

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297718

499i Alloway

36/124

BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA



KNUT HAMSUN

KOBIETY
STUDNI



*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

T O M 35.

*KNUT HAMSUN
KOBIECY U STUDNI*



*LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

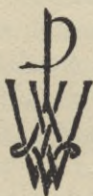
· KNUT HAMSUN

KOBIETY U STUDNI

POWIEŚĆ

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD Z NORWESKIEGO

FELICJI AUM



LWÓW—POZNAŃ 1925

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

J 40659



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1857/58

I.

Mieszkańcy wielkich miast nie mają najmniejszego uznania dla wymiarów i rozległości małych miasteczek. Wydaje im się, że mogą, przybywszy tam, stanąć na rynku i uśmiechać się z przekąsem, myślą, że mogą kpić sobie z domów i bruku, — tak sobie niejednokrotnie myślą. Ale czyż starsi mieszkańcy miasteczka nie pamiętają czasów, kiedy to domostwa były jeszcze mniejsze, a bruk jeszcze gorszy niż obecnie? Miasto rozwijało się w ich oczach. A w każdym razie C. A. Johnsen wybudował sobie dom olbrzymi, on, Johnsen w Przystani; budynek — godny jego stanu, z werandą na dole, a balkonem na piętrze i z rzeźbą dokoła całego dachu. I wiele innych jeszcze powstało budowli: szkoła, przystań dla parostatków, rozmaite sklepy, komora celna, kasa oszczędnościowa, — nie, niema się tu z czego śmiać. Do miasteczka należy nawet coś w rodzaju przedmieścia, kilkadziesiąt rodzin mieszka na szczytach wzgórz w kierunku doków, sch'udne domki pomalowane są na żółto, czerwono i biało, całkiem według gustu właściciela, a kosztowały w swym czasie wiele uciulanych groszy. A zresztą przecie i wielkie miasta mają swe okresy rozkwitu i upadku, tego nie brak nigdzie; ale czy słyszano kiedykolwiek, aby Johnsen w Przystani pozostał z próżnemi rękami i nie wiedział, jak sobie poczynąć?

Tak to i małe miasteczko posiada swe wielkości, swe solidne domy z pięknie ułożonymi synami i córkami, swą niezmiennność i swój autorytet. A miasteczko interesuje się swymi wielkimi obywatelami i śledzi ich z zajęciem, poczciwi parafjanie w ten sposób właśnie zabiegają dokoła własnych korzyści, żyją pod ochroną potężnych i przy nich się bogacą. Tak też być powinno. Ludziska pamiętają jeszcze ów dzień, kiedy Johnsen w Przystani został konsulem; wtedy trunkiem i pieczywem częstowano każdego, kto tylko zjawił się w jego kramiku, a niektórzy bezwstydnicy dwa razy wracali i raczyli się napitkiem.

Owego ranka znajdował się Jørgen Rybak, akurat jak obecnie, na morzu i łowił ryby na wielki obiad. Dzień ten zasłynął ucztą i świetnością, nowy konsul był jeszcze tak młody, że szeroko otwierał ramiona, a przytem miał obejście tak proste, tak z serca pospolite, iż lubił wino, dziewczęta i muzykę, więc urządził przyjęcie i sprosił całe miasto. O tak, wszystko udało się znakomicie. Ludzie pamiętają, że opisano ten dzień w gazecie, kobiety mówią dotychczas o nim przy studni. Niekiedy powstają swary o tę lub ową bagatelkę. Lidja powie: — Miałabym ja o tem nie wiedzieć, ja, któram dnia tego siedziała w kuchni! — Inna zaś kobieta obstaje przy swoim: — Ano idź i zapytaj samego Johnseną; mnie się tam jego pytać nie potrza — odpowiada na to trzecia, — bom sobie dotąd gazetę przechowała!

Ale od owego wielkiego dnia upłynęło jakie sześć czy ośm lat.

I niemniej od kobiet pamiętał go również kowal Karlsen. Był on bardzo poważanym człowiekiem, a zresztą także wdowcem, posiadającym dorosłe dzieci, więc nie żadnym młodym szalawilą — tak, on to, stojąc po-

cichutku w kuźni, dziękował Bogu za ów dzień uroczysty jako i za wszystkie inne dni, które dotąd przeżył. Uważał pilnie, aby podczas każdego wielkiego a radosnego zdarzenia w miasteczku pamiętać o tem, że zarówno on, jak i inni ludzie winni dziękować Bogu. Wiele o tem nie prawił, i ludzieby go też ochoczo nie słuchali, ale poważać go poważali, bo choć zacięty a niewdzięczny z nich był naród, kowal Karlsen pozostał mimo to osobliwym przykładem w miasteczku.

Nie brak też tam wielu innych typów i figur: Olaus na Błoniach, Jörgen Rybak, Mateusz Stolarz, doktor, pocztmistrz i tylu innych. Życie nie jednako szybko ich stera — niektórzy pozostają niezmienni, wytrzymują a znoszą wiele. I pocztmistrz na swój sposób jest nabożny, on, jak i kowal Karlsen; pozatem całe miasto jest świeckie i nie bardzo głębokie. Zdawałoby się, jakoby ksiądz nie istniał w parafji, — on jeno chrzczył, bierzmował, łączył ludzi ślubem i chował po śmierci — do niczego innego nikt go nie potrzebował i nikt nie wspominał jego imienia.

O, to małe mrowisko! Wszyscy zajęci tylko swojemi sprawami, a gdy drogi ich się krzyżują, odtrącają się wzajemnie na bok, niekiedy przestępują jeden przez drugiego. Inaczej być nie może — niekiedy przestępują jeden przez drugiego...

I otóż w łódce siedzi Jörgen Rybak, akurat jak przed sześciu, ośmiu laty i łowi ryby na wspaniałą obiad. Choć to niedzielą rano, wysiaduje wciąż jeszcze i chciałby zabrać z sobą do domu porządną ich porcję. Na drugim brzegu powoli wszczyna się ruch. Ranny wietrzyk powiał i uniósł z sobą Jörgena, to też musi ustawicznie wiosłować wtył, aby utrzymać się według znaków żeglarskich wzdłuż brzegu. Nie, więc woli za-

niechać i plynie do domu. Wysiada tu już od godziny drugiej nad ranem.

W mieście nikt jeszcze z łóżek nie powstał. Jörgen nanizal ryby na sznurek i niesie z sobą przez ulice. Idąc, wali butami, bo jest to naogół człowiek ociężały, w islandzkim kabacie i kapeluszu ceratowym, ale naogół nie wysokiego wzrostu, raczej chudy, i w dodatku przysadzisty. Lecz Jörgen wytrzymały jest i niezmordowany, nigdy chory w łóżku nie leży, nigdy się nie czuje zgnębiony; od zaziębienia kuruje się sam zupełnem niezwracaniem na to uwagi.

Dąży on do wielkiego domu C. A. Johnsen, zawieszona na drzwiach kuchennych sznurek z rybami i, tupiąc, zawraca do domu.

A tak, już się dymi komin na jego dachu, widać, Lidja już na nogach; śledziła śnać z okna łódź jego i uważała, aby wczas przygrzać kawę. Lidja — to żona jego, ma ona ciemne, kędzierzawe włosy i jest gniewliwa, ale niezwykle dzielna kobieta — godna gospodyni domu.

Jörgen z rumotem wchodzi. — Pocichutku! — szepta Lidja zaciekle i patrzy z wszelkiemi oznakami przeżenienia na dzieci, chłopca i dwie dziewczuszki, które się poruszyły we śnie. Jörgen ściąga z siebie buty i kaftan, pije kawę, spożywa śniadanie i wychodzi do komory, aby się przespać. — A nie skrzyp drzwiami! — szeptem napomina Lidja, zgrzytając zębami.

Ale w tej chwili — oczywiście — budzi się starsza z dziewcząt i podnosi się na łóżku. Zwykle to zdarzenie. Wnet też budzi się i druga, leżąca obok starszej. Matka staje się wściekła, otwiera z rozmachem drzwi do komory i woła za mężem: — A widzisz, jużes mi wszystkie pobudził! — I krzyczy tak długo, że i chłopaka rozbudziła.

Gniewliwa ta Lidja, ale wybuch jej złości nie trwał długo; podczas gdy dzieci poczęły gawędzić z sobą, uprzątnęła izbę i niebawem jęła i nucić. Bardzo ostrożnie uchyliła drzwi do komory i spytała: — No, jeszcze nie usnął? Cóżem to powiedzieć chciała, nallowileś chyba dobrą porcję ryb? Nie słyszałeś to jeszcze, jakich gości oczekują?

— Nie, jeszcze wszyscy spali.

— No, to zamknij gębę i śpij, — mówi Lidja i zawięza drzwi z powrotem. I głośno wojuje z dziećmi, aby je znów uciszyć.

Porządkuje i znów nuci, zamyśla się i silnie zajęta jest mającą się odbyć ucztą. Przed laty, bywało — gdy u Johnseny w Przystani spraszano gości, przygotowywano się ku temu wiele dni naprzód i przyjmowano pomoc do kuchni. I po Lidję też przysyłano; ale aż do dnia dzisiejszego żaden posłaniec po nią nie przyszedł, więc może i niewielkie będzie przyjęcie; widać tylko syn, Szeldrup Johnsen, zbierze u siebie kilku rówieśników.

Ale później, nieco nad ranem, gdy się już wszyscy ludzie z łóżek podnieśli, rozniosło się, że parowiec C. A. Johnseny wyruszy dziś na morze. Lidja już więcej głowy sobie nie łamie, ma się więc odbyć gromka uroczystość na cześć kapitana i miejskich dostojników, ale obejdą się w kuchni bez niej. Dobrze, więc szczęścia na drogę! Ubrała swe dzieci pięknie, wyczyściła z sukien plamy, a trzewiki natarła tłuszczem i sadzami, sama zaś też odziała się w odświętne szaty.

Nastąpiło popołudnie i rozpoczęła się wędrówka do przystani. Stosownie do późnej już wiosny, poubierali się ludzie w jasną, a lekką odzież, miły oku przedstawiając widok. „Fia“, naładowana, stała gotowa do drogi.

Statek ten nie był całkiem nowy; zbudowany w czasie, gdy niedrogi statek towarowy kosztował parę set tysięcy i nie więcej, odkupiony został w Göteborgdze przez Johnseną w Przystani, który kazał go odrestaurować i przechrzcil na „Fia“ według imienia swej małej córeczki. A co to musiało kosztować kupno takiego statku, odświeżenie go i odnowienie! Opowiadano sobie, że sam chrzest wiele pochłonał pieniędzy. Co znaczą jednak wielkie sumy dla Johnseną w Przystani. Statek zaś „Fia“ stoi tu sobie, jako jedyny parowiec i cud miasta.

Oczywista, że maleńka Fia też się znajdowała na swym statku w chwili, gdy miał ruszać, siedziała sobie w kajucie wraz z rodzicami i kapitanem. I oczywista, że brat jej, młody Szeldrup, też przyszedł na statek. Spory z niego już chłopiec, prawie dorosły, w jasnym ubraniu z czarnym aksamitnym kołnierzem na kurtce — stosownie do najświeższej mody. Piękny panicz, wspaniały, syn domu Johnseną, piwnooki, jak ojciec, osypany na policzkach pierwszym puchem zarostu. Kapelusze uchylały się przed nim, a on kłaniał się w odpowiedzi, tak że z gołą głową szedł prawie całą drogę do kajuty.

Statek stał pod parą i wyrzucał dym. Na pokładzie cisza panowała zupełna. Sternik i załoga stali przy galeryjce, spluwali w morze i gawędzili ze znajomymi na brzegu. Oliver Andersen znał swoją cenę i trzymał się na przedzie, podróżował on wiele lat skutą żaglową i był marynarzem — ot, zwykły sobie błękitnooki chłopak z ludu, ale siłacz i śmiałek, syn wdowy. Mniej niż średniego wzrostu, lecz krzepko i dobrze zbudowany, podobny był do wizerunku Napoleona, ale z chwilą, gdy zapuścił bródkę, nabrał wyglądu

całkiem innego. W tym to właśnie roku znalazł środki na pokrycie chaty rodzinnej czerwonymi dachówkami i na powiększenie jej pokoikiem pod samym dachem. Myślał snąć o przyszłości.

— Tak, tak, mówi do swej matki wdowy, stojącej na wybrzeżu z rękami pod chustką: — Tak, tak, napiszę ci z Morza Śródziemnego.

Pięknie powiedziane, po dorosłemu. Właściwie prowadzi rozmowę z innymi jeszcze na wybrzeżu, z dziewczętami, z Petrą, którą ma porzucić. Stoi tam — zaręczona z nim obrączką, wszystko jak należy.

— A nie zapomnij polewać ogrodu, — mówi dalej. Żartuje, widać, Oliver, i nie myśli na serjo, co mówi. Bóg i ludzie wiedzieli przecie, że nijakiego ogrodu nie posiadał, matka posiadała jeno trochę marchwi i rzepy wzdłuż ściany domostwa. Uśmiechnęła się blado, знаła syna swego — nie bał się on sypnąć żartem. Bać się czego — on? Znała w synu tylko wszystko najlepsze, miał dobre skłonności i użytkował je pięknie.

Drugi sternik wyprzedza go jednym obrotem ciała, i on również ma dziewczynę na wybrzeżu. — A zwiń no to tutaj! — mówił z przesadzonym tonem rozkazu i wskazuje na koniec liny.

Oliver zwija. Właściwie powinienby zeskoczyć na brzeg, choćby na jedną minutę, z pół minuty może, i wręczyć swej dziewczynie torebkę z rodzynkami, którą ma w kieszeni. Koniecznie powinienby wysiąść na brzeg. W każdym razie próbuje wyróżnić się z miejsca, na którym stoi.

— Karlsenie! — woła i przyzywa kowala Karlsena. — Dobrze, że was tu widzę. Winieniem wam jeszcze za obłąki do rynien mego dachu.

Karlsen zasromał się, że wszystkich oczy zwróciły

się ku niemu i mówi: — Daj pokój, niech ci to na sercu nie ciąży, czas pogadać o tem, gdy powrócisz do domu.

Ale Oliver dobył już sakiewki i podaje pieniądze przez poręcz: — Czy tyle tego było? — pyta.

Oliver czuje się lepszym, a wyższym, płacąc gotówką w obecności całego tłumu ludzi. Któż to tu nie stał jako świadek jego postępuku? Petra i kto żywa cała. I Lidja z dziećmi stała tu i okiem śledziła za wszystkim, ta brzytwa prawdziwa; mąż jej, Jörgen Rybak, stał gdzieś na skraju tłumu, ale gdy dostojnicy miejscy zaczęli się zjawiać i musieli kąt jego mijać, usunął się powoli coraz dalej od wybrzeża i znalazł sobie pewniejszą kryjówkę.

Otóż i nadeszli wielcy panowie, armatorzy, doktor, najszacowniejsi kupcy; niektórzy podochoceni jeszcze byli obiadem u konsula i dążyli w cylindrach i z kwiatkami w butonierkach. Przybył też adwokat Fredryksen; chwila nie wydała mu się jeszcze odpowiednia, ale adwokat Fredryksen już się postara wtrącić kilka słów uroczystych. Nawykł był do wygłaszania mów, on to w mieście urządzał zebrania i sam na nich przemawiał.

Państwo Johnsenowie ukazują się z kajuty, sam C. A. Johnsen z swemi piwnemi bystreimi oczyma i brzuchem bogacza, a pani Johnsen maleńką Fię prowadząc za rękę. Kiedy zeszli ze statku, wszyscy czynili im miejsca, ani jedno dziecko nie stało w drodze. Ludzie, posiadający parowiec, muszą mieć szeroką drogę na własnem wybrzeżu, nie inaczej to jak słusznie.

Kapitan wstępuje szybko na mostek i dzwoni do maszynisty. Ruszać! Liny zostają wciągnięte na pokład. Kapitan wznosi czapkę do góry; rodzina i przyjaciele na wybrzeżu kłaniają się w odpowiedzi, statek

drga i cofa się. Oliver ciska w ostatniej chwili na brzeg swą torebkę z rodzynekami i dostrzega jeszcze, że trafiła mniej więcej tam, gdzie paść powinna.

Chwila nareszcie nadeszła: adwokat Fredryksen występuje naprzód, unosi wysoko w powietrze swój jedwabny cylinder i życzy szczęścia i pomyślności parowcowi, właścicielowi i załodze. Hurra! rozbrzmiewa z wybrzeża.

I popłynęła *Fia* na Morze Śródziemne.

Torebka trafiła, owszem, ale przyjęta była niechętnie, wstydu tylko przyczyniwszy, gdyż pękła upadając i wszystkie rodzyнки wysypały się z niej na tarcice wybrzeża. Niema co, sytuacja; Petra uśmiecha się zmartwiona i stoi, lykając lzy. Matka Olivera poczyna zbierać rodzyнки w chustkę, z trudem trzymając w oddali dzieci i przestrzega, by nie deptały darów bożych. Dostojnicy miejscy i nawet państwo Johnsen minęli ten mały plac walki, a młody Szeldrup Johnsen, przechodząc oddzielnie obok, uśmiechnął się i rzekł zcicha do Petry: — Pozbieraj swoje rodzyнки! — Petra, kraśna jak malina, pochyliła głowę i zapadłaby się chętnie w ziemię...

Długo dzień ten pamiętały kobiety u studni. Mogły się nie godzić co do tego lub owego drobiazgu, ale pani Johnsenowa z całą pewnością była w czarnych, wytwornych jedwabkach i miała na ramionach zarzuconą pelerynkę z frędzlami. Kapelusz jej zaś był jeden z tych, o białem szerokim rondzie, co to kołysze się nieco w górę i na dół, za każdym krokiem; a stroiło go jedno wielkie pióro.

Nikt natomiast nie zwrócił osobliwej uwagi na wypadki następne, bo życie codzienne weszło w zwykłe

swe tory. Oliver powrócił na jesieni bez *Fii*. Tak, tak, przyjechał poturbowany, omal że potłuczony na śmierć, przyjechał kaleką. Nie inaczej. Kiedy się pada z lin i żagli okrętowych i łamie żebra, niełatwo to można przeżyć, ale w każdym razie zdarzenie to mocno przylega do pamięci. Olivera zaś przytłoczyła też beczka tranu i potrzaskała mu dymię i lędźwie, został pokaleczony, a jednak się wylizał. W małej włoskiej mieścinie leżał długo w szpitalu i niekoniecznie dobrze go pielęgnowano — wreszcie nogę trzeba było odjąć. Siedem miesięcy trwało, nim mógł powrócić do domu.

Petra, dziewczę jego, wykazała się wcale dobrze i trzymała głowę do góry podczas tego okropnego doświadczenia. Była ona, jako inne dziewczęta, odwiecznie powszednią, ale i dobre zalety posiadała również, nie zbywało jej na nich.

Mateusz, który chodził był na naukę do stolarza i pracował obecnie jako czeladnik, ten o dużym nosie, on to przyszedł do Petry i rzekł: — Co za wielkie nieszczęście!

— Jakie nieszczęście? — zapytała.

— Że Oliver powróci do domu w podobnym stanie. Czy nic o tem nie wiesz?

Petra odpowiedziała gniewna, a wierna: — Jabym o tem wiedzieć nie miała? Czy to nie ja list za listem odbierałam?

— Poniósł szwank, — rzekł Mattis.

— Tak, — odparła Petra.

— No, więc jest jednym z tych, którzy nawet siebie wyżywić nie mogą, a tem bardziej innych, jakże więc myślisz, dacie sobie radę?

Petra odpowiedziała krótko: — Niech cię o to głowa nie boli!

Nie okazała żadnego głośnego bólu, nie okazała żalości nad sobą, nie — może nawet nie czuła głębszego współczucia z narzeczonym. — Witaj z podróży! — rzekła do niego.

Oliver milczał, ale matka jego odpowiedziała: Tak, tak, widzisz przecie, jaki powrócił.

— No, kupiłeś sobie nogę drewnianą, — rzekła Petra.

Oliver spojrział na przeciwległą ścianę i odparł: — A tak, to się rozumie.

Matka dodała: — I kulę.

— To tylko na początek, dopókim jeszcze słaby.

— Czy to boli? — zapytała Petra o nogę.

— Nic podobnego.

— Ano, to jeszcze dobrze! — Petra zabrała się do odejścia i rzekła: — No, ja tu tylko na chwilę zajrzałam.

Nie mógł jej przeto oddać kilku podarków, które przywiózł z sobą: białą figurkę anioła i tackę z intarsjami. Czemu przyjęła go tak sucho a krótko? Wiedziała przecie, że zwykł był przywozić jej gościńce z dalekich krajów i tym razem nie zapomniał jej również. Co się tyczy nogi drewnianej, uczyniła, widać, na niej okropnie przygnębiające wrażenie, wcale oczekiwać inaczej nie należało, — ale być suchą, a oziębłą? — Czy Petra była oziębłą? Wszystko — tylko nie to. Jakto Mateusz rozповідаł o niej każdemu, który chętnie go słuchał: — Petra? nie chciałbym ci ja mieć jej na własność. Bo kiedy dziewczka stoi a dyszy, a nozdrza latają jej przytem, to — pięknie dziękuję!

Oliver musiał obejrzyć się za jaką robotą. Dopóki strawy w domu starczyło, jadł i przychodził do sił, powrócił mu krzepki jego tułów i potężne zdrowie, ale gdy matka nie mogła już czerpać z jego pensji, poczęło ubywać mąki i okrasy. Może i nie był za stary, aby

się zabrać do jakiego rzemiosła, mógłby zostać zegarmistrzem albo krawcem, mógłby wstąpić do seminarjum i uczyć się na nauczyciela. Ale czyż to na jego ręce takie babskie zajęcie? I z czego matka żyć będzie w czasie jego nauki? A zresztą morze i nic innego było jego żywiołem.

Młody był, a niewzwyczajony do swego nagłego niedołęstwa, siedział najczęściej na miejscu, a, żeby obejść izbę, musiał pomagać sobie rękami, przerzucając się z krzesła na krzesło. Pograżył się w wymyślanie jakiegoś nowego stanowiska w życiu, — miłe zajęcie dla urodzonego marynarza! — niekiedy wydziwić się dość nie mógł. On — bezsilny, on — kaleka! Zdobył sobie narazie łódkę, i łowił nieco na potrzeby domu. Zdarzyło mu się przykre nieszczęście, poniósł absolutny, nie do powetowania szwank na ciele, ale pozbawiwszy się zgangrenowanej nogi i przemógłszy następstwa, pozostał z resztą niezgorszą — z siłą netto.

Z połowem ryb nie powiodło mu się znakomicie, mróz chwycił i ściał zatokę lodem, nawet statek pocztowy nie mógł utrzymać wody splawnej, lecz za każdym razem torował sobie drogę, tnąc lód. Oliver mógłby, jak inni rybacy, wybić przerębel i łowić stamtąd, pieszo, rzecz można — na łądzie, tak czynił Jörgen, tak czynił nawet stary Marcin na Wzgórzu. Ale Oliver zbyt młody był jeszcze w swym fachu i zresztą — nie chciał uciekać się do tej ostateczności. Ludzie nie powinni mieć wrażenia, że łowi ryby z musu, lecz z ochoty, dla skrócenia sobie czasu.

Nastąpiły dni przykre, prawdziwie fatalne Boże Narodzenie. Ale na Nowy Rok pogoda się odmieniła, wichura zerwała się na morzu, a lód w zatoce odtajał. Oliver wyjeżdżał łódką i łowił ryby dzień po dniu,

coraz dłużej i dłużej pozostając na wodzie — zdarzało się nieraz do samego wieczora, — a powracał do domu z rybą. Ale nie z musu on łowił, gdzie tam!

Matka rzekła obojętnie: — Prawda, prosili mnie u Johnsen a w Przystani, abyś im dostarczył trochę ryby.

— Ja? — rzekł Oliver. — No, tak ci powiedzieli. Ale przecież ja dla obcych nie łowię.

— I ja tak sądzę, — rzekła i matka. Nie wszczynaj więcej tej kwestji, o, absolutnie, i zdawałoby się, całego Johnsen a odsyłała, by sobie sam łowił ryby. A wkońcu rzekła: — Tak, tak, obiecali zapłatę sowitą.

Milczenie. Oliver myślał i myślał. — Niech mi Johnsen w Przystani zapłaci pierwej za nogę moją, — rzekł.

W owym czasie Petra rzadko się ukazywała, przyszła parę razy, gościńce odebrała, pogawędziła o tem i owem — obojętnem — i poszła. Pierścionek nosiła dalej na palcu i żadnego nie czyniła napomknienia, ażeby zerwać zaręczyny, nie, tego powiedzieć nie można; ale Oliver w cichości ducha obawiał się może tego czy owego. Rozważywszy dobrze — wielkiej wartości sobą nie przedstawiał, pół-człowieka, coś w rodzaju pokraki, nie posiadającej nic zgoła, nawet i ubranie jego zaczęło się przecierać. Ano, w dni swego żeglowania, on — jak i inni — żył bez troski i niewiele odłożył. Jedynie, co uczynił dla swej przyszłości, a z czego się potrosze szczyił przed swym upadkiem, teraz może na nic się już nie zda: przybudówka — nowa izba pod dachem i komora z drugiej strony sionki. Bóg wie, czy spożytkuje kiedy te wspaniałości.

Bez końca nawracająca się zima przygnębiała ducha i odbierała odwagę.

Pewnej niedzieli po południu przyszła Petra i była grzeczniejsza jeszcze, niż zazwyczaj. — Widziałam, że matka twa szła do miasta, rzekła, więc zabiegłam na chwilkę do ciebie.

Oliver przeczuwa nieszczęście, dziewczyna jego jakaś mu obca, przemówiła tkliwie: — Biedaku ty! — i uderzyła w ton, że Bóg ciężko dotknął ich oboje.

— Tak — rzekł również Oliver.

— Taki smac nasz los — szepnęła Petra i westchnęła.

— Co masz na myśli? — pyta Oliver.

— A ty sam jak myślisz? — odparła.

I wnet zgodził się na wszystko, po części z dawnej buty, po części też uznał, że w gruncie rzeczy Petra ma zupełną rację. Niepodobna byłoby zamknąć oczu na jawny stan rzeczy.

Omówili sprawę wspólnie i Petra używała samych delikatnych słów, lecz myśl przez nie przezierала jasna.

— Nie dziwię się tobie — rzekł i wrył oczy w podłogę.

Kiedy już odejść się zabierała, wydało się, jakby jej pozostało jeszcze najgorsze do przebycia. Z początku podeszła do drzwi, ale zawróciła raz jeszcze i zbliżyła się do niego, a pogładziwszy po obu policzkach, zadarła głowę jego: — Nie sprzeciwiaj się aby, i nie dawaj mi odmowy. Myślałam o tem. Niedość, że masz siebie utrzymać, musisz też dbać i o matkę. A nie wiedzie ci się najlepiej.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc o czem mówi: przecie już o tem nieraz rozprawiali, niechby mu z tem pokój dała.

— Wiem ja o tem, — rzekł.

— I bez obrotności w ciele, no i wszystko to razem...

— I o tem wiem! — przerwał zirytowany.

— No, nie bądźże znów taki, Oliverze! — nęciła go. Ale gdy zmiarkowała, że zamierza odgryzać się bardziej jeszcze, i ona brwi zmarszczyła i przystąpiła nagle do rzeczy:

— Nie przekonasz mnie swem gadaniem, kiepsko ci się wiedzie w tej właśnie porze, ale z pewnością się czasy poprawią. Kładę ci go tu na stole, możesz zamienić go na co pożytecznego; na nic nie zda się twoje gadanie, więc ci go kładę, ot tu, na stół. Ciężki on a drogi, pewnikiem go niejeden kupić zechce.

— Co takiego? Aha, pierścionek. Połóż go — rzekł i kiwnął głową.

Mogła zaoszczędzić sobie wszystkich osłonek, nie miał w tej chwili nic przeciwko temu, żeby przyjąć pierścionek z powrotem, — przedstawiał w każdym razie wartość. Po odejściu Petry wsadził go sobie na czubek małego palca i przymierzał.

Ale nagle tknęło go rozrzewnienie: sprzedać go, zamienić pierścionek na jaki przedmiot? Nigdy. Pierwej zatopi go w falach. Może go zachować na pamiątkę życia całe, może co niedzielę wyjmować i przyglądać mu się. A zresztą... długo nie potrwa — a życie minie...

II.

Oliver nie wypływał już codziennie na morze łowić ryby. Nie codziennie. Widać rozprawa z Petrą powstrzymała go nieco w zapale, zwlekał z robotą, nie mógł się na nic zdecydować. Matka zagadywała: — Wyjedziesz dzisiaj? No, chyba nie? — A Oliwier odpowiadał: — Nie stało ci już ryby? — E, to nie dlatego, — odpowiadała matka i milkła.

— O, przydałoby jej się nieco mąki i coś niecoś innego: mydła, kawy, oleju do lampy, drewna na opał, masła, podpałki, syropu — same konieczności.

Mateusz, czeladnik stolarski, całą parą dom sobie budował, widać myślał o przyszłości. Pewnego dnia Oliver kusztyka do niego i wdaje się w rozmowę, igrając pierścionkiem na małym palcu. Waśni żadnej między sobą nie mieli.

Oliver rzekł: — Do swej przybudówki kupiłem dwoje drzwi, robił mi je twój majster.

— Pamiętam — odparł Mateusz — łońskiego roku, zimą.

— Mógłbyś kupić ode mnie te drzwi i wstawić je do swego domu.

— Chciałbyś je sprzedać?

— Tak. Jako że nic mi teraz po nich. Zmieniłem swe plany.

— Pamiętam ja dobrze te drzwi, sam-em je zmajstrował, — rzekł Mateusz. — No, więc tyś plany zmienił? I już ich nie przeinaczysz?

— Nie, dziś ani jutro.

— Ile żądasz za drzwi?

Rychło ugoda stanęła: drzwi były używane, nawet niepomalowane, a że Oliver wykosztował się na zamek i zawiasy, to nietrudno było cenę ustalić.

Więcej nie miał już Oliver nic do sprzedania, nie mógł przecież spieniężyć schodów. Żył z matką czas jakiś dobrze za otrzymane ze sprzedaży drzwi pieniądze, ale znów zbliżała się wiosna; Oliver był młody i nosił zniszczone suknie, lepiejby się prezentował w nowych, a że, niestety, już się z niego zrobił rak lądowy, pragnąłby też i kapelusza słomkowego. Matka z coraz większą a większą posępnością patrzyła w przyszłość i napomknęła, że możeby komorników wziąć do przybudówki, gdyby...

— Ano, Oliver nic przeciw temu nie miał.

— Tak, ale właśnie że drzwi brakuje.

Po chwili namysłu odpowiedział bez zakłopotania: — Drzwi? Drzwi chyba sam mogę skołatać.

Matka potrząsa głową: — I pieca niema.

— Piec? A coby ludzie z piecem w lecie poczęli? — zapytał.

— Nie mieliby to dla siebie strawy warzyć? Nie mają to mieć ogniska? — odparła. — Ech, widać się Oliverowi klepka jakaś zepsuła i nie myślał już tak dobrze jak wprzód.

Powędrował znów do Mateusza, pogadał z nim długą chwilę i rzekł: — Ano, budujesz sobie dom i malujesz go, a ustawiasz drzwi i okna, toć chyba zamýślasz stan swój zmienić?

— Nie wiem, co ci na to odpowiedzieć — rzekł Mateusz. — Ale nie mógłbym się akuratnie tego wyzrekać.

— Tak też odgaduję — przytakuje Oliver i patrzy na robotę stolarza. I dotąd żadnej waśni między sobą nie mieli. Oliver ciągnie dalej: — A kogobyś wybrał i kogo wybierzesz, znajdzie ona u ciebie dobre schronisko. Cóżem to chciał powiedzieć: a pierścionek złoty kupileś?

— Złoty pierścionek? Nie.

— Aha. No więc, kiedy pora nadejdzie, to ja mam jeden.

— Pokaż — rzekł Mateusz. — Ale twoje imię pewnie na nim wyryte?

— Tak. Ale łatwo da się zeskrobać.

Mateusz ogląda pierścionek, waży w ręce i ocenia. Skończyło się na tem, że go kupił. Niechby tylko pasował.

Oliver odparł znacząco: — Tego się najmniej boję. Według tego, czego się domyślał.

Mateusz spojrzał nagle na niego i spytał: — A ty co na to powiesz?

— Co ja powiem? — odparł Oliver. — Nie moja w tem rzecz teraz. I dla mnie chyba znajdzie się rada także, jeszcze nie umarł.

— Nie, toć wiem z pewnością — rzekł Mateusz, zgadzając się chętnie.

— Jak myślisz? — rzekł Oliver, któremu to pochlebilo. — Czy niema dla mnie widoków?

— Żartujesz sobie, Oliverze, takżej tobie widoki, jak i mnie.

Mateuszowi kamień widać spadł z piersi. Mówili z sobą przypoehlebnie, bez trwogi, ale też bez poufności.

— Jakim to sposobem tak cię pokaleczyło? Czyś upadł?

— Ja? — zawołał Oliver urażony. — Trochę ja za wiele po świecie jeździłem, żeby upaść.

— I ja tak sobie myślałem.

— Nie, to tylko bałwan naleciał na mnie.

— Ręczę, że porządny być musiał bałwan, który się z tobą uporał.

— Bałwan ci to był, niczem sam Ojczenasz, o tak, — odparł Oliver, chępiąc się. — Porwał z pokładu ładunek, zwałił mi na łono beczkę tranu, a spadła na mnie z góry, że niczem kula armatnia.

— Z góry!

— Wtędym usłyszał krzyki i wołania innych.

— A sameś nie krzyczał?

— Naco miałem krzyzczeć? Zdałoby się to na co?

Mateusz z uśmiechem potrząsa głową i mówi:
— Zuch jesteś, jakeś był!

O, Mateuszowi kamień widać spadł z serca, przyjemnie było mieć z Oliverem do czynienia. Czy można by sobie życzyć ustępliwszego człowieka nad niego? Połowa dolnych kończyn stracona — wszystko utracone, ale Napoleon do ostatka! Posadzić go w wózku i okryć fartuchem, a będzie bez feleru...

Znów żył Oliver z matką czas jakiś dobrze, trochę ryby łowił, więc się nią żywili, oni i kocisko; pierścionek dostarczył mąki i oleju do lampy. Ale więcej nie posiadał już Oliver nic na sprzedaż, nie mógł przecie sprzedać wróbla z dachu.

Matka coraz bardziej markotniała. Tak dalej trwać nie mogło! Poczyniała przebąkiwać, że coś począć należy, później ośmieliła się, powolutku wykazując niezadowolenie. Koryto było próżne. — Mógłbyś może

sieci wiązać, nie umiesz to sieci wiązać? — zapytała. Ale Oliver nic nie umiał, niczego się nie uczył, nie dbał o nauczenie się czegokolwiek, wyjechał na morze, gdy mu przyszła pora uczyć się czego.

— Tak mi nieporęcznie bez matówki — rzekła matka. — Mógłbyś zrobić mi matówkę, gdybyś był zwinny w palcach.

Oliver przyjął to za niewczesne żarty i kpiny ze strony matki i odrzekł: — Może chcesz jeszcze, bym ci dział rękawice!

Rozmyślał, rozważał wiele za i przeciw, — coś, rzeczywiście, czynić należało. I skończyło się na rozważaniu.

Z dolnych izb chaty wydobyć więcej, niż wydobyl — nie mógł, już oddawna zastawił ją u adwokata Fredryksena. Na nową przybudówkę długu jeszcze nie zaciągnął, i wnet po przybyciu do domu zwrócił się do Fredryksena o pożyczkę i na tę część domu, ale spotkał się z odmową. Przybudówka? Fredryksen uważał ją tylko jako utrzymanie domu w dobrym stanie. — A nowy dach? — rzekł Oliver. — Naprawa chaty, — rzekł Fredryksen. — A gdy Oliver napomknął, że pożyczycy sobie u kogo innego na tę przybudówkę, zagroził mu adwokat, że wypowie mu pożyczone pieniądze i odda natychmiast dom na licytację. Rozprawiali długą chwilę, — wreszcie adwokat zapytał zdziwiony: Toś ty naprawdę taki kapcan? — Ja? — rzekł Oliver i nadrabia miną. Nie, ale tak myślał adwokat! A że teraz dopiero dzięki nadbudowie i nowemu dachowi otrzymał dobrą gwarancję swych pieniędzy, więc Oliver powinienby podpisać oświadczenie, że wszystkie nowe instalacje domu wchodzi jako zakład pod dług — czy nie tak sądzi Oliver, człowiek uczciwy? Oliver, świeżo przybyły z zagranicy, nawykły do szerokiego traktowania

rzeczy, a prócz tego dobroduszny z natury — Oliver podpisał.

Rozeszli się z adwokatem w najlepszej przyjaźni. To było wtedy.

Często żałował później swej głupoty, ale odrobić jej — niepodobna. Bo jakżeby? Czy mógł sprzedać dom prosto z mostu, spłacić adwokata Fredryksena i pozbyć się go? Czy starczy na to pieniędzy? W każdym razie tę tylko miałby pewność, że byłby bez dachu.

Oliver przekłada sobie wciąż i rozmyśla. Niekiedy zastanawia się nad tem, czyby nie zostać religjantem, kupić sobie wózek na kółkach i jeździć kolejno po parafjach.

Matka często opowiadała mu to i owo z miasta, słyszała bowiem więcej od niego, łowiła słówka bądź na ulicy, bądź u studni, ploteczki, zdarzenia, kłamstwa i prawdę, zapamiętywała je sobie i zносиła do domu. Niekiedy leżało to tylko w jej głowie bez nijakiego użytku, ale niekiedy ta czy inna przypadkowa wiadomość miała swe znaczenie. Tak naprzykład, kiedy opowiadała o Adolfie, synu kowala Karlsena, chłopcu znanym im dobrze, który teraz szedł do marynarki i rychło miał odpłynąć na morze.

— Gdzież to on się najął? — zapytał Oliver.

— Na barkę Heiberga. Mówili, że sobie skrzynię na drogę daje robić.

Po chwili kiwa Oliwer głową i mówi: — Może przecie kupić skrzynię ode mnie.

— Ją także! — wzdycha matka.

— A naco mi ona? Wyjeżdżałem z nią na morze i powracałem raz po raz, teraz stoi po próżnicy. Nie, ty postaraj się tylko, żeby Adolf skrzynię kupił, patrzeć na nią nie mogę!

Pewny był widać, że Adolf chętnie skrzynię kupi; odbyła ona niejedną podróż i przywykła do morza, skrzynia okrętowa, używana, której szczęście służyło zawsze. Przed każdym wyjazdem Oliver cieszył się swą skrzynią. Życ to ona nie żyła, ale towarzyszem mu była i sługą, o, druhem miłym. Ale, krzyżyk na drogę, niechby się jej pozbył! Na ostatniej drodze powrotnej z Włoch ciężką mu była plagą, nie mógł jej już teraz jako kaleka poradzić, a na kolei miała wielką przewyżkę i musiał za nią płacić. Tak prawie, jakby mu się w chleb jego wżarła i ssała jego soki, poczwara — precz z nią!

O, całkiem obojętny Oliver nie pozostał, gdy matka przyszła z Adolfem. Miał tu swą skrzynię podróżną, w gruncie rzeczy brzydką i ciężką, ale pożyteczną. Narażona była na kopnięcia i poniewierkę, a przecie zachowała jeszcze swe zielone malowanie. Cięli też wprawdzie na jej wieku tabakę, ale — mocny Boże, co to jednak za skrzynia była, mimo wszystko!

— Taka jest, jak ją widzisz — rzekł do Adolfa. — Nie robiła sobie ona nic z czterech kapitanów, ani z żadnych kupców, ani z konsulów, stała, gdzie ją postawili i nie ruszyła się nigdy, ustąpiła chyba przed siłą pięści.

Adolf kupił skrzynię, przysiadł i posłuchał nauk Olivera. Odprawiony marynarz mógł opowiedzieć niejedno o życiu temu, który dopiero w nie wstępował: — A tak, wolne a swywolne życie, ale nie pod każdym względem do pochwalenia. Bezbożność i narowy, częste urlopy na ląd w cudzoziemskich miastach i gajach. — Nie dlatego pysznił się, że poszczęściło mu się o każdej porze znaleźć w mieście piękne kochanki, ale nie obyło się też bez walki i bijatyki. W takim wypadku należy

tylko jedną ręką ująć za kark, drugą — za drugi koniec i uczyniwszy facetem dziurę w szybie — raz, dwa, trzy, do rysztoła! — Ho ho, nie zawsze to się siedziało na krześle, jako kaleka!

Oliver począł filozofować. Jego koszalki-opalki marynarskie czcze były i pospolite, ani lepsze, ani gorsze niż innych majtków, ot: prawda i fanfaronada, bałamuctwo, bogobojność i kłamstwo z potrzeby. Rozwlekał się nad pokusami, wtrącał słowa angielskie, przestrzegał przed napitkami. — Widzisz, Adolfie, jakim to powrócił do domu. Wiary temu prawie dać trudno. Ale myślisz może, przyszło to z pijatyki lub hulania? Taki byłem trzeźwy jak i ty teraz! Niechże cię Bóg strzeże! na otwartem morzu mię zaszło, — a cóżem złego zrobił? Dlatego też nigdy się nie upijaj, jak to wielu innych, a wtedy niech już Bóg postąpi z tobą wedle swej woli, na to nijakiej rady niema. A kiedy widzą, że pieniądze przy sobie masz i z kieszeni dobywasz funty angielskie, to ciągną za tobą, jak mewa za płótką, więc wszyj sobie kieszeń w kurtkę, nim wyjedziesz.

— A tyś taką miał? — przerywa matka.

— Nie miałbym mieć! — Oliver odpina kurtkę, ale kieszeni wszytej w niej niema. Widać jest w innym ubraniu, w urlopowem ubraniu, mówi.

— Urlopowem ubraniu? — pyta matka.

Oliver puszcza pytanie mimo uszu i ciągnie dalej: Tak czy owak, niech Adolf słucha dobrych nauk, a nie tych przewrotnych. A pamiętaj sobie tylko, com ci mówił, Adolfie, i Boga w sercu nie zapomnij, kiedy nocą straż trzymasz a sterujesz. I musisz poduczyć się angielskiego języka i innych, gdziekolwiekbyś na całym świecie zajechał. Śledzą za tobą, czy do salonu wejdiesz na kufel piwa, czy do kościoła

zajrzesz, czy do konsulatu. Ale bierz ty aby skrzynię moją i ruszaj z nią w życie rzetelnie, nie przywykła ona do czego innego.

— O jakich to sukniach na urlop prawileś? — pyta znów matka. — Posiadasz inne jeszcze ubranie, niż to, w którym siedzisz?

— Nie mam innego ubrania! — odpowiada Oliver. — Kupiłem je w Italji. O czym to znów gadasz?

Ale matka większej odwagi nabierała, gdy kto trzeci był obecny, więc odeła się tylko trochę. Ach, koryto do cna się opróżniło.

Nic już Oliverowi do sprzedania nie pozostało, skrzynia podróżna była ostatnim dobytkiem i znów na nic spełżyły marzenia o nowym garniturze i kapeluszu słomkowym. A dzień mijał za dniem, aż pewnego razu ocknął się jakby i bąknął coś o tem, że odsprzeda łódkę.

— Łódkę! — krzyknęła matka.

Opamiętał się i zaczął obracać kota ogonem: Nie, nie, żadnej łódki na sprzedaż nie ma, nicby też za nią nie dostał, boć to tylko stare pudło, a trzyma się za ledwie kupy dzięki temu, że ją dziegiem wysmarował, sam ją kupił za chude grosze.

— Sama popróbuję wypłynąć na morze! — zagroziła matka. — Bo ty, widzę, masz dość tego.

Z największą oznaką obojętności i lekceważania słów matki ujął Oliver swą kulę i, chromając, wyszedł na ulicę.

Pogoda piękna, Oliver pociąga nosem i poznaje zapach morski. Stado gołębi przeciąga ulicą, dzieci skaczą przez sznur. I on niegdyś też przez sznur skakał.

Począł odwiedzać sklepiki. Co za gość! mówili, gdzie się ukazał i życzliwie oglądali się, by kaleka mógł

na czym usiąść. Raz po raz musiał opowiadać, jak to mu się nieszczęście przytrafiło, nabrał wprawdy w opowiadaniu i nauczył się upiększać je coraz lepiej i lepiej, szczególnie zaś dodawał zajmujące szczegóły do opowiadania o chorobie, o pobycie w szpitalu. Tam przecież nikt z towarzyszy na *Fii* nie był i skontrolować go nie mógł. Jedna z pielęgniarek nie stawiałaby sprzeciwu, żeby go zaślubić.

— No i czemuś nie przystał?

— Mogłem to ja zostać katolikiem!

Ale później nieco żadnej już z nim parady po sklepach nie czynili, aureola nowości z niego spelzła, sam musiał się oglądać za skrzynią, na którejby mógł usiąść, albo też stał, oparłszy się łokciem o ladę. I nikt go więcej nie zagadywał o pielęgniarkę.

Upłynął czas jakiś i odwiedziny po sklepikach ustały same przez się. Zabrał się znów potrosze do łowienia ryb. Johnsen z Przystani sam osobiście prosił go o sprzedanie mu tej odrobiny, którą odstąpić może z połowu. — Dobrze, odparł Oliver, aby nie powiedzieć mu wprost: nie. Johnsen w Przystani dobrze wiedział co czyni, był właścicielem statku, którego marynarz powrócił niedołężny do domu, lecz mógł się nim nadal wysługiwać na łódce. Ale nie — dzięki, Oliver woli zjeść swą rybę sam!

Hen na morzu spotkał Jørgena Rybaka. Łódki zerknęli razem i wszczęli gawędę. O czymby zresztą gadać mieli? O pogodzie, rybołówstwie i zarobkach. Jørgen pracował jak niewolnik.

— Wystajesz tu na zatoce — rzekł Oliver — ale, gdybym ja miał twoją dobrą łódkę, byłbym wypłynął dalej. Ile też zarobić możesz na dzień?

— To tak rozmaicie bywa. Niekiedy dużo, wtedy

też bywają dni lepsze i gorsze — niekiedy znów zarabia się lichy.

— Nie, muszę ci powiedzieć Jørgenie, że napróżno tu w zatoce wystajesz, akurat jak i my rybacy-ochotnicy. No, o sobie nie mówię, bom inwalida i do niczego niezdatny. Ale jeśli ty wypłynął na morze, złowiłbyś może kulbakę i grubsze ryby.

— A tak — uważał i Jørgen — mógłbym może złowić i wieloryba.

Zaśmiali się obaj, bo to były tylko wolne żarty i gadanina Olivera, żeby wyruszył na morze. Nie miał na to Jørgen ani łodzi odpowiedniej, ani sieci zdatnych do pomocy, i był sam jeden.

— Gdybyśmy tak mogli pracować razem i kupić sobie stateczek, — rzekł Oliver dalej, tak tylko, na żarty.

Jørgen, jak i wszyscy inni, odnosił się do kaleki z cierpliwością i siedział, a omawiał z nim wszelakie plany. Statek, a i owszem, wielkie przedsiębiorstwo, liny, sięgające na dno morza, — mogliby też otworzyć sprzedaż ryb. Pomysły te były Olivera. Przychodziły widać do niego nagle i wielkiej wartości nie miały, — objeżdżał przecie obce kraje i napatrzył się a nasłuchał nieporównanych rzeczy, więc myśli w głowie miał obrotne. — Siedzę tu i baję — rzekł — a skończę chyba na tem, że poszukam sobie zajęcia przy latarni morskiej.

— Tak — rzekł Jørgen — toby nie było najgorsze.

— Sam nie wiem, do czegoś przecie musi się i inwalida zabrać.

— Czyścić lampę, prowadzić dziennik, ciemną nocą kierować płynącymi na morzu... Gdybyś miał kogo, ktoby się wstawił za tobą.

— Mógłbym się postarać, żeby Johnsen w Przy-
stani pogadał za mną słów parę. No, jakże, nie popły-
niemy do domu?

— Nie. Muszę tu jeszcze chwilę pozostać. Obie-
całem pisarzowi dobrą porcję ryb, a złowiłem zaledwie
kilka drobnych sztuk.

— Ile to dostajesz za taką porcję od pisarza?

Jörgen wymienił średnią cenę.

Oliver pokręcił głową nad tą niską zapłatą i od-
płynął, ale i on również zabierał się znów do łowienia.
Posiedział z pół godziny i popłynął do domu z tem, co
nalapał.

Wiosłował tęgo, istny zuch. Być może, chciał po-
kazać się i zadziwić Jörgena Rybaka swemi siłami,
i udało mu się to w zupełności. Prawdę mówiąc,
Oliver był jakby stworzony na życie w łódce ry-
backiej; siedział, kołysząc wiosłami, niby ciężarami,
tam i z powrotem, a członki wszystkie, potrzebne do tej
czynności, były jak należy. Może do tej prawdy właśnie
doszedł w kilka dni później, bo stał się pilny i coraz dalej
a dalej wypływał na morze. Znalazł też miejsca dogodne
dla rybolówstwa, bo powracał do domu z dwoma lub trze-
ma haczykami ryb na dzień i niejedną sztukę od-
przedał w mieście. Zarobione pieniądze odkładał sobie.

— Mkniesz, niczem parowiec — rzekł Jörgen Ry-
bak. To samo mówił Marcin na Wzgórzu, najstarszy
rybak w miasteczku.

— Tak uważacie? A tak. Najeździłem się po
wielu morzach świata i napatrzyłem na niejedno.

Jörgen odpowiedział na to swem zwykłym przy-
słowiem, że w naturze niejedno się kryje, z czego naukę
brać winniśmy.

— Dobrze to, że się mogę posługiwać wiosłami —

rzekł Oliver — myślę wybrać się na dłuższą wycieczkę któregoś dnia.

Oliver nie wyznał, dokąd to zamierza — nie na całkiem dozwoloną udawał się wyprawę: na zbieranie jaj ptasich po wyspach. Może też zarazem zwiezie z tej wycieczki dla swego domu nieco drzewa na brzeg wyrzuconego. Była to podwójna spekulacja. Dozwolona wyprawa po drzewo spławiane miała ukryć nieprawne zbieranie jaj.

III.

O, nie, Jørgen rybak nie miał w sobie nic ze spekulanta; był rybakiem i zadowalał się małym zarobkiem, a według niego potrzeby swoje ograniczał. Posiadał swój domek i nawet cokolwiek ponad to, z trojga dzieci jego każde spaśne było i dobre. Jørgenowi dobrze się działo pod każdym względem.

Lidja natomiast odznaczała się gwałtownością i poędlivością, ale dzielna z niej baba, hoho! Że brzytwa i tarka, ba, piła, hebel i zgrzebło, — zgoda na to, ale nie do zastąpienia dla męża i dzieci. Ludzie ukradkiem kpiny sobie z niej stroili, gdyż próżność wielką miała, stroiła się i wpadała nawet w głupotę. Dzieci jej chędoższe były od innych, ona sama też schludniejsza od sąsiadek. Taki już zwyczaj wprowadziła z sobą od lat dziewczęcych, służyła bowiem w samych wytwornych domach: z początku u kupca Heiberga, potem, młodszą jeszcze będąc, przez lat kilka u Johnsen w Przystani, — więc czy nie do lepszych to ona należy! Nie miały te w młodszym latach sam C. A. Johnsen oka na nią! Pamiętała jeszcze dobrze te czasy. Daleko z nią nie zaszedł, ale nie przez niego to spelzło na niczem.

No, i poznała się z Jørgenem i przeciągała a namyślała się ze cztery lata, aż wreszcie wzięła go za męża. Dla oka się akuratnie malowniczo nie przedstawiał,

miał drobne, pospolite rysy, ale twarz szczerą, a ciemna, miękka broda była nawet jedyną w swoim rodzaju. Miał tę wadę, że chodził ociężale; tancerzem nie był, Bóg i ludzie słyszeć mogli, gdy wchodził i wychodził, a siedzące jego życie w łodzi ani trochę nie przyczyniało się do chybkości jego nóg. Ale Jörgen był zaufania godnym i wiernym człowiekiem i Lidja nigdy, ani jednego dnia nie żałowała, że za niego wyszła zamaż.

Jörgen pracował pilnie, a dochodziło do tego, że usychał z tęsknoty, kiedy powietrze nie pozwalało mu wypłynąć na morze. Wiosna i początek lata z nieskończonym mnóstwem świąt były przykrym czasem do przebycia, Wielkanoc i Zielone Świątki — czystym dopustem boskim. Uszłoby jeszcze, gdyby nie miał zbytu na swe ryby, ale jakkolwiek miasto niewielkie było, cierpiano w niem zawsze na brak ryby i ceny na nie wzrastały z każdym rokiem. Niech sobie Oliver gwizdże ile zechce na zarobki, a drobne rybolówstwo dobrym jest, doskonałym ratunkiem od biedy. Prócz tego czytał Jörgen w gazecie, że rybolówstwo, niemniej od rolnictwa na lądzie, błogosławionem jest zajęciem: że i to jest sprzętem plonu. Stał więc i on na służbie ziemi.

Ale obecnie trwało przymusowe wylegiwanie się na lądzie. Minęły wreszcie wielkie święta i Wniebowstąpienie Pańskie i Siódmy maja*) i Dzień pokutny, ale Bóg zesłał niepogodę na morze; spodobało się Bogu zesłać trzy tygodnie przerwy w sprzęcie plonu morza, niewiadomo naco to miało się zdać. Jörgen wałęsał się z chłopaczką swym u ręki, przemakali obaj niekiedy do nitki, stojąc na deszczu, wchodzili na wy-

*) Dzień uniezależnienia od Szwecji. P. tl.

nićlejsze miejsca i patrzyli na morze, licząc na niem parowce, schodzili znów na dół i zagłądali do łodzi, czy leży bezpiecznie, czy nie należy wody z niej wy-czerpać. Jörgenowi przykrzyło się okrutnie w tem pró-
zniactwie.

Spotkał Olivera. Nie mieli nic do roboty, więc mogli usiąść gdzie w ukryciu i pogadać. Oliver nie cier-
piał tyle od bezrobocia, zdrowotnie czuł się dobrze, niepogoda pozwalała mu na bezczynność, pilność opadła z niego. Wydawało się to zrzędzeniem losu: nie wcze-
śniej postanowił sobie zarobić pieniądze na nowe ubranie i nie pierwiej zagustował w robocie, aż nastąpiła długo-
trwała przerwa w połowie i dobre jego przedsięwzięcia znów go opuściły. Martwiło go jedynie to, że nie wybrał się w tę długą wyprawę, a zmuszony był dzień za dniem swarzyć się w domu z matką.

Stał się nawet prawdziwie chwackim w filozofo-
waniu. Młody był i umiał niekiedy w sposób natar-
czywy a potężny zaznaczyć swe istnienie. — Patrzaj-
cie, a bo to na ziemi wszystko szło tak ślicznie i było
perłami zahaftowane, jak w Piśmie Świętem? Olaus
na Błoniach uderzył jednego roku prosto w twarz pocisk
i tak mu już sina pozostała na zawsze. A w rok później,
gdy otrzymał robotę na dokach — dźwignia urwała
mu rękę. Obecnie pije jak świnia i bije się z żoną swoją.
— Weź, kogo chcesz, Jörgenie, a nieszczęście każdego
z nas zmienić i pokierszować może, choćbyśmy tam
nie wiemy jakie baranki boże byli.

— Tak, — mówi Jörgen.

— A bo to nieprawda? Czy to, jeśli z ciebie dusza-
człowiek, a kula armatnia cię w krok trafi, stajesz się
od tego lepszym? Wszystko inne, ale nie lepszym.
A ty może myślisz, że lepszy?

— Tak myślę, że to chyba chłosta Boża — mówi Jörgen pojednawczo.

— Ano, cap z ciebie! Chłosta? Opowiedz to samemu sobie, gdy cię taki Ojczenasz spotka. — Oliver zbiełał nagle ze wzburzenia, ale gdy Jörgen uczynił ruch, jakby chciał odejść, pożałował słów swoich i sięgnął do kieszeni po cybuch: — Chcesz go? Miałem ciebie na myśli, kupując go.

— Przestałeś już kurzyć?

— Od dawien dawna. Akurat od czasu szpitala. Kupiłem go niegdyś zagranicą. Więc, jeśli byś go chciał...

— Nie. Schowaj go sobie.

Poszli do domu.

— E, wara ci udawać świętego i zwieszać wdół końce ust, Jörgenie. Nie waż mi się aby tego czynić, — powtórzył Oliver z rozżarzającą się znów gwałtownością. — Mnie tam nic do tego, co ty gadasz, więc ty ze swoim i ja ze swoim do dom pójdziemy. Weź jeno naprzykład, że na morze ruszyć nie możesz: czy to dlatego, żeś tak bogaty i w środku zasobny, że ci już więcej nie trza? Powiadam ci, rachuje on dokumentnie i prawie, że kradnie on u ciebie, ten nasz Pan Bóg.

Jörgen brwi ściągnął i usta otworzył, jakby w odpowiedzi jakiej, co w tej chwili i jego uczyniło podobnym do człowieka zapalczywego. Ale skończyło się na przygotowaniach, — nie wypowiedział ani słówka.

Oliver umitygował się i znów odmienił: — Ale wszystko leży w Jego ręku, wiem o tem dobrze. A jeśli próbujemy iść według przepisów Jego, to innej drogi nam nie potrza. No co, nie chcesz fajki?

Jörgen wykręcał się i rzekł: — Już ty jej lepiej nie oddawaj. — Ale zobaczywszy błagalną minę kaleki,

zmienił ton i rzekł: — Czemu to ja mam dostać tę drogą fajkę?

— A właśnie że ty! — oświadczył Oliver. — Ja ci ją chętnie odstąpię, myślałem o tobie bezustanku. W niejednej potrzebie możesz mi wyświadczyć przysługę, a wiem, że uczynisz to chętnie.

Dom Olivera wielokrotnie zwracał się ostatniemi czasy po pomoc do usługnych sąsiadów. Oliver sam trzymał się na uboczu, ale matka wymykała się wieczorami, gdy już pozamykano sklepy i pożyczala „do jutra,” to kubek palonej kawy, to głęboki talerz mąki żytniej. Czego też nie napożyczała ta stara kobiecina! Któregoś wieczora pożyczyla nawet u Marcina Rybaka drobnych pomuchli.

Ustawicznie miała jakieś utarczki z synem. — Ale gdzie ty, na Boga, zapodział pieniądze, zarobione rybą przed niepogodą? — zapytała.

— O tem ci się chce wiedzieć! — odpowiedział Oliver.

Ale matka wytrzymałość miała i nie ustąpiła, aż go podjudziła dobrze; wreszcie pewnego dnia przyszedł i pieniądze na stół cisnął; jedno co uratował z tego wszystkiego — to szafirową krawatkę. O, nie były to zresztą wielkie pieniądze, kilka uciulanych szelągów, skrzętnie zebranych za rybę, sztuka po sztuce; ale wielkie, czy małe — pieniądze przeznaczone były na odzież i kapelusz słomkowy, a teraz, niechta sobie wędrują! Ma się rozumieć, że nigdyby ich nie wydał, gdyby sam Pan Bóg nie wszedł mu w drogę ze swą niepogodą i nie wstrzymał go w jego pięknych planach, — ale niechta już sobie idą! Nastroszył się i rzekł do matki: — Ostaw mnie więc w pokoju na czas dłuższy!

Matka nie została olśniona: — Tylko tyle tego! Tak, dalibóg, będziesz miał pokój! — rzekła. — Ale że zapłacić muszę długi nasze, to wiesz sam — na długo nie starczy.

Wtedy wypowiedział słowa, które długo, widać, tliły w jego głowie: — Ja się o siebie nie stracham, niech ci się nie zdaje. Abyś ty sobie radę dała — to i ja ją znajdę dla siebie.

— Co masz na myśli? — zapytała.

— Co? Myślę akuratnie, że człowiek kaleki i obrotności swej nie mam. Co to, oczy w głowie straciłaś?

— Więc mi iść każesz na koszt gminy? — zapytała zgorziona.

— Żeby tak na koszt gminy — to nie. Ale nie mogłabyś dostać troszyneczkę pomocy z kasy?

— To tak! — odparła i usta mocno zacisnęła.

— I co w tem niemożliwego? Ze mnie przecie inwalida.

— Inwalida? — krzyknęła wściekła. — A ja ci powiem: nie chce ci się pracować, nie chce ci się wyzyaskać darów bożych. Czemuś to nie uważał i nie wypłynął wczoraj, kiedy pogoda do połowu sprzyjała? Dziś morze znów spienione.

— I wczoraj było spienione nielada.

— No, a mógłbyś mi powiedzieć, czemu to Jörgen wyjechał?

— Jörgen wyjechał? Jörgenowi co — wszystko jedno: ma on nową i dobrą łódkę, — westchnął Oliver.

Milczenie. Ale matka ani myślała skrywać swego silnego wzburzenia: — Sprzedajesz drzwi chaty, rzekła, dobrze jeszcze, że ścian nie sprzedajesz! Jużbym rada pod murawą legnąć.

— No i ja!

— Ty! — syknęła — Nie, ty leżysz w chacie. A pewnam tego, że jeśli zacznę pobierać z kasy, to i ciebie jeszcze karmić będę musiała.

Wtedy w śmiech uderzył Oliver nad niedorzeczną mową matki: — Nie, dałabyś pokój! Hahaha, nie, jak mi Bóg miły, resztę możesz sobie gadać sama do siebie!

Po krótkim czasie znów zabrakło ryby do ziemniaków i drewna do pieca. Zdarzały się niekiedy dni pogodne, dni przydatne do rybołówstwa, ale Oliver nie korzystał z nich, a nazajutrz znów się zatoka bałwanila, ba, burza wzmagała się raczej niż ustępowała. Czem się to wszystko skończy? Nieba były nielaskawe, nigdy nie grzmiało tak silnie nad miastem.

Oliver przewalał się w izbie z krzesła na krzesło i długie godziny siedział i drzemał przy stole, rękami podparłszy lica. Od czasu do czasu nogą swą drewnianą za kotem sięgnął. Któregoś dnia wdrapał się na dach chaty. O, stary marynarz z Olivera, zachciało mu się znów w wyżyny, majstruje nieco koło piorunochronu, gmera coś koło kilku dachówek i schodzi nadół.

Popadł już był w nędzę głęboką, regularny posiłek ustał. Pewnego dnia matka poszła sobie dokądś i nie przychodziła w ciągu całego dnia; gdy i drugiego dnia nie powróciła, udał się Oliver do fachowca i rzekł: — Musisz okazać mi dobrodziejstwo i przyjść do mnie obejrzeć mój piorunochron, boję się, czym go nie uszkodził, gdym przekładał dachówki. — A bardzo ci to śpieszno? — zapytał rzemieślnik. — Uczyniłbyś mi łaskę, gdybyś poszedł ze mną natychmiast, — odparł Oliver. — Burza nadciąga, a obawiam się piorunu.

Rzemieślnik poszedł, — on jak i inni musiał wyka-
zać kalece uczynność.

Rzemieślnik wlaź na dach. Oliver pozostał na dole.
— Tamten mówił mu zgóry: — Ano, gdyby się zda-
rzyło nieszczęście, mógłbyś sam sobie za nie podzię-
kować!

— Jakto?

— Niech cię Bóg ma w swej opiece. Przewodnik
się przerwał. Dosięga zaledwie dachu i tam się kończy.
Ściąga akurat piorun do pieca w izbie.

— Stoję właśnie i myślę, — rzekł Oliver, — że
dobrze matka zrobiła, wybrawszy się na ten czas
z wizytą. Wtedyby nieszczęście tylko mnie dotknęło.

Człowiek zmienia przewodnik, a gdy robotę ukoń-
czył, Oliver pyta, ile mu się należy. — Nic. — E, chciał-
bym zapłacić. — No, no, zapłata nie ucieknie. Bę-
dziesz miał kiedy małą pomuchłą na zbyciu, możesz
mi ją dać. — Dostaniesz pelen hak ryby! — rzekł
Oliver.

O, Oliver mówił głośno, zamaszycie, niechta pewni
ludzie przechodzący usłyszą, — Petra, która właśnie nad-
chodzi. Niechże słyszą, że ofiarował zapłatę i że chciał
zapłacić sownie. Dalibóg, przeszła właśnie Petra, pe-
wnie dążyła do nowego domu Mateusza! do swego
własnego nowego domu! Oliver pozostał w miejscu.
Powinienby mieć kapelusz słomkowy, aby mógł się
czem kłaniać. Ale on nic już nie posiadał.

Matka nie powracała. Gdzież to się ona zapodziała?
czyżby doprawdy poszła do gminy? Oliver wznowił
swe wędrówki po sklepikach, nie był w nich już kawał
czasu, ale i teraz przyszło mu się tylko o jaką taką
pakę oprzeć i zakąsić sucharem. Widzicie, ogryzał
przecie sucharzysko dla uciechy, dla czystego żarto-

wania — nikt się chyba temu nie dziwuje; dawny marynarz zachował dotąd smak do wiktów okrętowego, a zęby miał przepyszne.

Obszedłszy sklepiki dokola, zatoczył szersze koła, przyszedł na Błonia i otrzymał filiżankę kawy i chleba u Marcina Rybaka. Pogawędzili o powietrzu, a Oliver opowiedział kobietom o swym pobycie w szpitalu i o pielęgniarce: — Bydlę ze mnie, żem jej nie wziął, — rzekł. — Ale tak się rzecz miała, że najchętniej człek żyje i umiera w religji, w której go wychowano. A prócz tego miał wtedy jeszcze dziewczynę czekającą na niego w domu i liczył na nią. — Skończyło się już między tobą i Petrą? — dopytywały się kobiety. — Nie przypominajcie mi nawet jej imienia, — odpowiedział.

Pokulał znów na plac, na którym dom nowy stawiano i przysiadł, wdawszy się i tam w pogawędkę: Tak, niemało to kosztuje dom budować, z pewnością. Ujdzie jeszcze z nagiemi murami domu, ale okna i drzwi zjadają człowieka. Jeśliby chciano dwoje drzwi kupić, to onby sprzedał, a ma parę nadzwyczajnej dobroci.

Od Błonia skierował się Oliver do Mateusza. Stolarz stał, jak zwykle, przy robocie, ale wypuścił hebel z ręki, żeby uprzątnąć siedzenie dla kaleki. Rozmawiali o niekończącej się na lądzie i morzu zawierusze, od której nie miał się gdzie człeczysko schować. Ale zawierucha trwała dla jednego jak i dla drugiego, ani Jörgen Rybak ani Mateusz na Błoniach wyjść nie mogli.

— Gdybym miał jeszcze swą fajkę, mógłbym ci ją podarować, — rzekł Oliver.

— Nie, tego nie potrzebowałbyś czynić.

— Patrzcie, naraz! Ale Jörgen ją dostał.

— No, Jörgen ją dostał?

— Nowiuteńką fajkę. Kupilem ją kędyś zagranicą. Cożem to chciał powiedzieć: kiedy myślisz stan swój zmienić?

— Ano, widzisz, — odparł Mateusz prawie, jakby trochę zawstydzony, — już teraz rychło.

— Aha, — rzekł Oliver i zadowolili się tą wiadomością. O, Oliver umiał być potulnym i okropnie rozumnym, on się godził z nieuchronnością. Stolarz czuł litość nad nim — wszak, w istocie rzeczy, był z niego Napoleon. Siedział tu sobie Oliver i spozierał w podłogę, a przeżywał widać ciężką chwilę, czy miał przymknięte. Ale nagle spokojną powierzchnię jego twarzy porały zmarszczki, nie odrywał wzroku od podłogi, lecz kulą wskazując przed siebie, rzekł: — Te drzwi muszę mieć zpowrotem.

Mateusz zbaraniał na chwilę i rzekł: — Co takiego?

— Drzwi moje muszę mieć zpowrotem.

— Drzwi? No.

— Oliver zwolna podniósł powieki i rzekł: — Możesz mi je *dać* zpowrotem.

Wpatrywali się w siebie.

— Zobaczą, może znajdę czas, to ci zrobię parę drzwi, — rzekł Mateusz.

— Nie, — odpowiedział Oliver, — albo te drzwi, albo żadne!

Miałż to być groźba? Oliver podniósł się i stał wyprostowany, kulą posługując się tylko, jakby laseczką. Z postawy jego biła wyższość. Widzicie, takie postępowanie mogło wywołać zaburzenia w pojęciu stolarza o kalece, Mateusz wyglądał bezmała, jakby nic nie rozumiał, wielki jego nos wydawał się jeszcze większy. Czuł się, widać, niezupełnie pewny siebie.

— Dobrze, drzwi możesz dostać zpowrotem.

— Wyświadczysz mi dobrodzieństwo, — rzekł na to Oliver. Pozostawił Mateusza pogrążonego w wielu myślach i poszedł do domu.

I znów nie pozostało nic więcej, jak siedzieć przy stole, drzemać i spać, od czasu do czasu jakimś kopnięciem straszyć kota, albo spoglądać na wymarłą ulicę. Długie to były dni. Drzwi właśnie nadeszły i stały w sionce, nie zawiesił ich jeszcze na miejsce, ale stały tu, całkiem gotowe. Mateusz sam je przyniósł na głowie, jedno po drugim. Stolarz niewiele się odzywał i nie dziwota. Oliver rzekł: — Nadzwyczajną siłę masz w sobie, Mateuszu!

Wkrótce powróciła i matka. Weszła, i nie powitała słowem, nie wyciągnęła ręki, ale nie miała też wyglądu nieprzyjaznego. — Dostałeś drzwi zpowrotem? — zapytała i uważała, że zaraz się milej w izbie zrobiło.

— Gdzieś to była? — zapytał syn.

— O, wędrowałam sobie troszyczkę.

— Ano widzisz, — rzekł Oliver, — choć tyś sobie odeszła, to ja jednak to i owo do domu nabyłem. Teraz to i drzwi dostałem.

— Wedle mnie rób jak chcesz, możesz mieć drzwi w domu, albo i nie, — rzekła matka i ściągnęła usta.

— Aha, tobie wszystko jedno, jak tu w domu wygląda! Niech ci się na drugi raz kaduk o drzwi stara!

Oliver powstał, ujął kulę i pochromił na dwór. O, chciało mu się, widać, skorzystać z okazji i dać porządnie ujście złości. Podążył drogą ku Błoniom, na nową budowlę. A tymczasem matka się w izbie posilała; starucha przychodząc, schowała pod chustką rozmałą żywność: wafle, kizkę krwawą, śledzia wędzonego, jaja, szynkę i chleb. Zapakowała potem wszyst-

ko dobrze i schowała jak mogła najgłębiej w swem łóżku.

Gdy Oliver powrócił, przyprowadził z sobą drugiego człowieka. Człowiek ten wyniósł na głowie drzwi. Matka i syn nie gadali z sobą. Człowiek przyszedł znów po drugie drzwi i też je poniósł z sobą na głowie, a szedł drogą ku nowej budowli. Oliver jednak uważał może, iż zaszedł za daleko, więc chciał powściągnąć matkę i rzekł: — Zechcesz kupić drzwi, to je krwią zapłacić musisz, a masz je sprzedać, to ci nie dadzą nawet tyle, żebyś sobie strawy porządnej kupił.

— No, nie sprzedałeś chyba znów drzwi, spodziewam się?

— A naco mi one? — zawołał Oliver. — I koniec końców, dbałaś o nie, jak pies o piątą nogę.

— Ach, Boże, zmiłuj się nade mną za ciebie! — wykrzyknęła matka.

Zamierzał z początku porwać się i całą winę na matkę zwalić, kręcił się niepotrzebnie szybko po izbie, postukując nogą drewnianą. No, ale postanowił użyć rozumu, skoro go posiadał: — Naści, to za drzwi! — rzekł i cisnął pieniądze na stół. Weź je sobie wszystkie.

I tym razem matka nie wydawała się oczarowaną. Spojrzała na pieniądze zukosa i uczyniła krótki rzut głową.

Oliver zapytał zgorszony: — Co — sądzisz może, żem przepił resztę? Zatrzymałem sobie jeno conieco na wyprawę.

— Co za wyprawę?

— Ano, kiedy się na dłuższą wyprawę morską wybiorę, muszę mieć zaco kupić sobie posiłek.

— Juści tam pogoda na wyprawę! — rzekła matka z niewiarą.

— Pogoda cichnie, wiatr się odmienił. A zresztą,
— mruknął, nadal udając tego, który ma rozum we
łbie i powinien się nim posługiwać, — a zresztą — będę
się tam z tobą certował!

— No, — odparła matka urażona.

— A tak. Bo cobym nie uczynił — wszystko ci
nie po myśli.

Niech to djabli wezmą! czy Oliver w gruncie
rzeczy nie był pokrzywdzony w sprawie z ćrzwiami!

IV.

Aż nareszcie nastąpił dzień pogodny i po nim jeszcze jeden. Zanosiło się na stałą pogodę. Oliver poszedł do Jörgena Rybaka i rzekł: — Nie mógłbyś to być takim dobrym zamienić się jutro ze mną swoją łodzią.

— Czemu to?

— Wybieram się na dłuższą wyprawę, a nie odważyłbym się wypłynąć we własnym czólnie. No, widzę, fajki używasz? Jakaż ona, dobra?

— Fajka niegorsza.

— Tak, tak, używaj jej sobie, bo fajka należy do ciebie.

Lidja chciała mu dać kawy, ale sam miał w kieszeni dość grosza i mógł sobie pozwolić na to, żeby jej odmówić: — Piłem właśnie, nim z domu wyszedłem. No, jak myślisz, Jörgenie, zrobisz mi tę przysługę?

Jörgenowi nie pozostało nic innego do wyboru. Odpowiedział: — Chyba, że ci zrobię. Ale musisz się dobrze z łódką obchodzić.

Tak więc wyruszył Oliver na swą daleką wyprawę.

A co się potem wydarzyło, starsi ludzie po dziś dzień pamiętają, to nie były bagatele: Oliver nie utonął, ani poniósł nowego szwanku, lecz powrócił ze statkiem, uszkodzonym, i żądał nagrody za ocalenie. Nie jego w tym tylko była zasługa: gdy znalazł statek

kołyszący się poza wypami na morzu, wymarły, bez załogi, musiał popłynąć do najbliższego brzegu i zwołać pomoc; ale Oliver, a nie kto inny statek znalazł, i przytem on, a nikt inny, był biegłym marynarzem, który pokierował ratunkiem. On puścił w ruch pompy, on zwinął żagle i popętanę liny, on potem zasadził ludzi do holowania, a sam ujął ster. Niktby nie zmiarkował nawet, że to kaleka.

Gdybyż tak sprowadził z sobą ładunek kawy! Tego szczęścia wszakże nie miał. Uszkodzony statek wiozł cegły, przeładowany był, rzecz można, ceglami. Widać Duńczyk jakiś, zmierzał ku najbliższemu miasteczku z temi ceglami i spotkał na morzu gwałtowną burzę. Stare pudło niewiele wprawdzie było warte, ale jakie było — takie było, dar i znalazek, uszkodzone, co prawda, bez czólen, bez przepychu, cuchnące i zdefektowane, ale przecie zgoła nie szczątki okrętu. Leżało snąć na morzu podczas całej zawieruchy, porzucone przez załogę z powodu niedostatku żywności niemal nic z jądła nie zostało na niem.

I otóż przedziwny widok ukazał się oczom całego miasteczka, które wyległo, przypatrując się ciekawie lustrzanej tafli zatoki. Co to takiego? Coś w rodzaju pochodni: holownik i statek, za niemi łódź na cumie. Ludzie zwolna zalegli wybrzeże. Jörgen przyszedł i poznał swą łódkę, — statek był mu obcy, ale na pokładzie stał Oliver.

Oliver stał krzepko a sztywno i nie posługiwał się przesadzonemi wyrazami, lecz wydał jeden i drugi rozkaz rybakom, których zwołał do pomocy przy ratowaniu statku. Wreszcie posłał na ląd po konsula. Jörgen krzyknął mu, pytając go przyjaźnie: co to za statek, ale nie otrzymał odpowiedzi, ponieważ Oliver tak wiele

miał na głowie. Olans na Błoniach, który bezustanku włączył się na wybrzeżu i gębę miał beczelną, rzekł głośno: — Patrzajcie, ukradł skutę!

Oliver oburzył się, że nie sam konsul się zjawił, lecz syn, młody Szeldrup. — Gdzie twój ojciec? — zapytał Oliver.

— Ojciec? — A to co za statek?

— Idź po ojca swego. Już ty na mnie polegaj, że przyjść musi ojciec spisać protokół i opieczetować wszystko na statku!

— Co to za statek, — pytam?

Oliver zawołał na kilku chłopców z wybrzeża, aby sprowadzili konsula i uczyniwszy to, zwrócił się dopiero do młodego Szeldrupa z objaśnieniem: — Ano, statek należy do jakiegoś Duńczyka, cudzoziemca, według tego, com zmiarkował po rozmaitych rzeczach.

Przyszedł konsul, sam C. A. Johnsen, i tłum rozstąpił się przed nim. Przyszedł, zwlekając trochę, aby nie mieć pozoru człowieka, który leci na każde wezwanie, ale głowę miał na karku i rozumiał wnet wszystko. Kilka pytań mu wystarczyło. — Przybywam z rzadkim gościem! — odezwał się Oliver. Konsul rzucił swem piwnem okiem na statek i nie dał sobie widać zaimponować, — wszak to nie parowiec, nie jego własna *Fia*. Posłał młodego Szeldrupa po przybory do pisania, potem wszedł na statek, przyjął raport i spisał protokół.

Zabrało to z godzinę czasu, lecz tłum czekał. Pół miasteczka wysypało się na wybrzeże, i Petra przyszła i adwokat Fredryksen przyszedł i zapytał: — A kto to zacz ten bohater? kto uratował statek? — Młody Szeldrup pozwolił sobie na swywołę i odparł: — Oliver, na wypadek, jeśliby pan mowę chciał wygłosić! — Młody Szeldrup żartował też z Petrą, chłopaczysko zaczynało sobie

zbyt wczesnie udawać dorosłego. — W moich oczach jest to zasługa marynarska, — rzekł adwokat Fredryksen.

Bezwątpienia, zasługa marynarska. Oliver dostał się z jej powodu do gazety i wielu o nim gadało. Sam zaś nie czynił z tego wypadku wielkiego zdarzenia; musiał opowiedzieć tym rakom lądowym wszystkie szczegóły, ale się nie pysznił, nie małpował dostojników miejskich i nie wystawiał się na pośmiewisko. Ma się rozumieć, że się Oliver mocno cieszył swym zuchowatym czynem, zaraz też poszedł i sprawił sobie nowe ubranie; aksamit i jedwabie nie w jego były charakterze, ale granatowego ubrania marynarskiego nikt mu nie powinien zawiścić. — Jak to się odbyło? — odpowiadał rakom lądowym: — Ano akurat, jak kiedy idziesz ulicą spacerem; widzisz, leży obrączka złota, to i podnosisz! — Ale śmiali się wszyscy z jego żartów: nie tak łatwo zdobyć nagrodę marynarską! Oliver czuł się królem, który raczył zniżyć do tłumu i dawał łaskawie przystęp do siebie. O nie, on nie pogardzał tymi, którzy siedzieli w domu, podczas gdy on ratował statek.

Ale już po kilku dniach widział się zmuszonym do przyozdobienia wypadku: do Jörgena Rybaka rzekł: — Wiesz, żem się wybrał po drzewo splawne. Wtem jakby mi co szepnęło, abym popłynął dalej a dalej. Tak akuratnie, jakby mię co natchnęło.

— Tak, tak, — Jörgen kołysze na to głową, gdyż niejedno kryje się w naturze.

— Trudno byłoby rzec więcej nad prawdę: nigdy nie marzyłem o całym statku zbłąkanym na morzu. Alé kiedyś siedział i wiosłowałem, coś mnie tknęło: dalej a dalej! Nie bez tego, jak wiesz, żem się po szerokim świecie rozejrzał i wyjeżdżałem już, mając lat czternaście. Obejrzałem ziemię po tej i po drugiej stronie,

więc powiedzieć mogę, że jakbym już więcej nie do tej małej miejsciny należał. Ale teraz żyć i umrzeć tutaj muszę, w imię Boże, na to rady już niema.

Zadziwiające, jak się Oliver podniósł na duchu. Przypadkowe szczęście z zabłąkanym statkiem poczęło zmieniać jego poglądy, cierpkość go opuściła, stał się łagodniejszym, stał się cierpliwszym. O nie, nie ujął się w karby, nie przedzierzgnął się w pilnego a robotnego, jeno paradował sobie w swych nowych sukniach, a nogawica fajtała pusta dokoła drewnianej nogi, lecz nie wyklinał już więcej na swe nieszczęście. — Kupisz dla mnie, czego sama zechcesz, — mógł przemówić do matki i bardzo był ustępliwy. Napotkał raz starą kobietę, która miała obrus do rozlosowania. — Pokażcie mi no, piękny macie obrus! — rzekł Oliver i kupił losy, niby dla zbawienia duszy własnej. Naszła go jakby bogobojność jaka.

Trwało tak z tydzień czasu, ale potem i to się skończyło. Konsul Johnsen w Przystani dał mu zaliczkę na nagrodę za uratowanie statku, ale nie mógł przecie poprostu sprzedać statku i ładunku i wypłacić Oliverowi całej sumy. Cóż to Olivier myślał, że jednym ciągiem po zaliczkę przychodzić może? W każdym razie oczekiwał on, że potrwa to nieco dłużej. Tak mu teraz dobrze było, błogie to były czasy! Oliver mógł kuszykać codzien do statku, pompować zeń wodę, niemal go za swą własność uważać.

Ale wreszcie zjawiała się i załoga. O, zjawiała się tam gdzieś daleko na południu i przywędrowała na północ: szyper i trzech ludzi, właściciele statku. Nie, mowy być nie mogło o skasowaniu szkuty, wzięli się natychmiast do naprawy. A że już przybyli do Norwegji, nie chciało im się wozić swych cegieł z powrotem, to też

sprzedali je konsulowi, a statek naładowali w drogę powrotną blankami. Porachowali się ze wszystkim i odpłynęli.

Złote dni minęły, Oliver znów na mieliźnie osiadł. Jakim to właściwie sposobem? Ano, owszem, nagrody pominąć nie można, ale musiał ją Oliver podzielić z dwoma innymi, z rybakami onymi, więc na każdego nie przypadł znów majątek. — Nie należy mi się to lwia część? — zapytał Oliver. Otrzymał lwią część, a krom tego oddzielną zapłatę za pompowanie. Ale dostał już na to przedtem zaliczkę i takim to sposobem nic już teraz nie miał.

Przysłużyło mu się to jego szczęście niesłychanie, ale i ono minęło. Krzywda mu się stała. Jak sądzili o tem Jörgen i Marcin na Wzgórzu? Powlókł się do Mateusza, aby posłuchać jego zdania.

Mateusz cudacki dziś jakiś, prawdziwa zagadka. Nie odpowiedział wcale na pozdrowienie Olivera i nie zakrzętnął się dokoła siedzenia dla kaleki. Wydawał się gniewny. Tak, bo jeśli człek zębami zgrzyta, a podskakuje na jednej nodze, wątpliwości o jego humorze być nie może.

Oliver zajęty był swoją sprawą: na dudka go wstrychnęli, dostał mu się tylko ojczenasz! — Bo weź na ten przykład: ja przecie statek uratowałem, a com za to otrzymał! Żałuję, żem się jednego szeląga dotknął. Bóg mi świadkiem, cisnę im je wszystkie zpowrotem!

— Stul gębę z plotkowaniem swem! — krzyknął nagle stolarz.

Oliver spojrział na niego: pracował, jak oszalały, a ręce mu drżały ze wzburzenia. Czyżby sobie podpiał? Jeśli mu miła wrogość, to ją mieć może. Oliver wyprostował swój rosły tors.

— Chcę mieć drzwi swoje zpowrotem, — rzekł Mateusz.

— No, — rzekł Oliver. — Cożes rzekł takiego? Drzwi?

— Chcę drzwi zpowrotem! — wrzasnął stolarz. — Zapłaciłem ci za nie, moje były. Rozumiesz mnie, czy nie? drzwi!

Oliver zamilkł nieco na taką nedorzeczność i odparł tylko: — Drzwi mi podarowałeś, a po tem wszystkim, co między sobą mieliśmy, łącznie to zrobić mogłeś.

Mateusz cisnął narzędzie i stanął tuż przed nim: — Mieliliśmy z sobą? Nie chcę mieć najmniejszej okruszyny z tobą. Nie. Ani tyle co czarnego za paznokciem. Co ja mam z tego? Nic, — tak, jakem rzekł: jeśli ona z tych, co to im nozdrza latają a trzepocą się, to ci za nią dziękuję! Ale czy tak czy owak, nie trza, byś mnie tu nachodził, a drzwi moje chcę mieć zpowrotem!

Widział to kto podobną nedorzeczność? Przyszedł tu Oliver w przyjaznych zamiarach i myślał zaskarbić sobie nieco współczucia, a tu go naraz wyrzucają. Widocznie coś się stało z Petrą, pomyślał Oliver. Głośno rzekł: — Jeśli cię kobiety wzięły na języki i pytlują bezecności, to już chyba potem, jakem ja się z nią miał żenić. Ja tam na to nic nie poradzę.

Stolarz wziął się znów do roboty i drwiąco potrząsnął głową, odsyłając wszystko do diabła. — Ano, sam ją wziąć możesz, — rzekł. — Jakes ją sobie sam obrządził, — dodał po chwili.

Oliver nie pojmował ani jednego słowa, ale — że go z warsztatu tak dobrze jak wypędzono, podniósł się i pokulał w stronę drzwi.

— Niesłychane rzeczy! — rzekł stolarz i śmiał się

wścickły do siebie samego, — myśleli, że mnie teraz na to nabiorą!

— O czym to gadasz? — zapytał Oliver.

— Nie, a to ci szczwanie i podstępnie przez was pomyślane! — ciągnął dalej stolarz i śmiał się jeszcze bardziej. — Ale Mateusz nie w ciemną bity! Jakem rzekł! Mateusz nie chce, rzekł Mateusz!

Oliver z ręką na klamce zaczął chwilę, czy nie usłyszy jeszcze więcej; ale ku swemu zdziwieniu ujrzał, że stolarz płakał, postać jego drżała. Gdy już drzwi otworzył, usłyszał za sobą głos nie do poznania: — Możesz ją sobie teraz wziąć! A ja przyjdę i zabiorę sobie drzwi swoje!

Oliver już się był przyzwyczaił w ciągu tego długiego czasu, że go jako kalekę szanowano, a tu naraz odzywają się do niego, jakby wcale nogi drewnianej nie miał! Zachowanie stolarza ubodło go i wielce musiał się miarkować, gdy dmuchnąwszy przed siebie, rzekł: — Możesz mi zabrać to i zabrać tamto — jak ci się podoba! Myślisz może, że się ciebie boję!

Stolarz nanowo się zuchem staje, ściągnął kaftan ze ściany i rzekł: — Idę z tobą natychmiast i biorę je z sobą!

Wobec powagi sytuacji, Oliver zmiękł, otworzył drzwi na oścież i czempędzej się wyniósł: — Nie mam już ich więcej, przyznaje się, sprzedałem drzwi na Wzgórze.

Po tych słowach cisza zapadła za nim, stolarz stanął, widać niemy z osłupienia. A niech sobie stoi, niechże sobie stoi w podwojach swoich, nie mogąc słów znaleźć!

Jednakże Oliver wcale się bezpiecznym nie czuł, krążył dobrą chwilę po ulicach, nim namyślił się zawrócić do domu, — stolarzowi naprawdę mogło

wpaść do głowy, by mu drzwi zabrać. Widziane to postępowanie względem kaleki!

Petra przechodziła ulicą, spojrzała na niego i skinęła głową. Ano, widać zaszło coś z Petrą. Coby tam się stać mogło? Nie chciała może stolarza, nie chciała Mateusza z dużym nosem. A bo to nie stał i nie płakał na widoku wszystkich ludzi, zamiast okazać się mężczyzną! Oliver pomyślał, że doprawdy sam powinien się znów zdobyć na odwagę i wyjechać na długą wycieczkę morską — ostatnim razem tak dziwnie mu została przerwana. Ale Jörgen wykręci się zapewne od wypożyczenia mu łódki po raz drugi, ludzie bywają niekiedy tak dziwni. A gdyby tak wybrał się na porządną wyprawę poza wyspy? Na jajka ptasie było już całkiem za późno, ale mógłby przecie znaleźć drzewo splawiane. I trudno nawet wiedzieć, co go spotkać może. Kto wie, czy szczęście nie czai się i nie czeka gdzie na niego.

Po południu znów spotkał na ulicy Petrę i znów mu głową kiwnęła. Dziwne, że w następnych dniach coraz częściej a częściej ją widywał, ją, która tygodnie i miesiące niewidzialną przedtem była. I nie czynił nic, aby ją spotkać, ot, przypadek czysty. Nabral on teraz powagi, wyratował przecie statek i dostał się do gazety, przechadzał się w swem nowem ubraniu i kłaniał się złotym kapeluszem; ale żadną miarą dziewczętom drogi nie zachodził i naprzód się nie wypychał. Nie, zawziął się natomiast na dłuższą wyprawę morską.

I znów począł się przekomarzać z matką, a nawet pewnego dnia na coś poważnego się zaniósł, gdy matka zapytała: — Aha, już mnie pewnie znów chcesz wygnać do kasy?

— A co ja z tobą mam począć? — zawołał w odpowiedzi.

— Twój ojciec powinien był żyć, a słyszeć cię!
— rzekła płaczu bliska.

— No.

— A tak. Bo nie taki był z niego mężczyzna, co w izbie siedział i wylegiwał się. Pracował rankiem i wieczorem, a przytem był w obejściu ugrzecziony.

Oliver zlekka dmucha przed siebie. — Ojciec ugrzeczony? No, to chyba teraz. Już to taki sposób kobiecy: kiedy się zmarło, a legło w mogile, to gębują na korzyść tego, kogo utraciły. — Oliver pamiętał z czasu swego dzieciństwa wszystkie bijatyki ojca z matką, a nie były to baraszkiowania tylko, hoho!

— Tak, a ty tu sobie siedzisz i gwiżdżesz — rzekła — kapelusz masz na bakier, a o nic się nie troszczysz. Chciałabym ja wiedzieć, jak ty sobie przedstawiasz, co dalej z nami będzie.

— Ja się tam o siebie nie trapię — odparł. — Nigdy nic podobnego. Wyjadę znów na morze. A zresztą myślałem o jakim zajęciu na latarni morskiej.

Tym razem dużego węzelka z żywnością na drogę nie zabrał, ale pożyczył mu Jørgen swej łódki, więc wziął narzędzia rybackie, naczynia i popłynął na morze. Myślał, widać, łowić ryby na wyżywienie się. Podczas jego trzydniowej nieobecności i matka dom opuściła, dokądś, niewiadomo jakimi drogami, a gdy Oliver powrócił, zastał izbę pustą.

Nie bardzo poszczęściła mu się wyprawa tym razem, widać niedość nawet przywiózł ryby na obiad. Więc postawił na ogniu garnek z ziemniakami.

No, ale zgoła nie błąkał się on po morzu na chybił-trafił, przywiózł z sobą w łodzi dobry ładunek drzewa, a prócz tego w wielkiej skrytości, bo aż pod pachą, szczyptę puchu, no i przeżył beztroskliwie, a próżniacze

dni za wyspami. Najadłszy się ziemniaków, czuł się zupełnie zadowolony; zeszedł znów do łodzi i sprzedał większą część swego ładunku ludziom, którzy się wiele targować z kaleką nie chcieli. Więc mu znów grosze w kieszeni brzęczały.

Dzień mijał za dniem.

Któregoś wieczora przysłała Petra. Myślał z początku, że się pomylił, bo szary płaszcz nowy miała na sobie, a prócz tego nie mogła przecie Petra przychodzić do niego, do byłego narzeczonego, z którym sama zerwała.

— Co za goście! — rzekł nieco zmieszany.

— Chciałam tylko na chwileczkę zajrzeć. A gdzie matka?

— Pytasz mnie, a ja siebie.

— Aha. A kto dla ciebie gotuje?

— Kto ma gotować? — odparł wymijająco. — A cóż tobie do tego? — myślał może. Siedziała tu w nowym płaszczu, owszem, ale on się jej przylizywać nie będzie. — Cóż to zaszło między tobą a Mateuszem? — zapytał, aby jej przyciąć nosa.

— Z Mateuszem? Jakto?

— Płakał przez ciebie — rzekł Oliver i śmiał się szyderczo.

— Przeze mnie? Żartujesz. Nikt przeze mnie nie płacze.

Wprawił ją porządnie w kłopot, widać to jej było z twarzy, a on śmiał się jeszcze bardziej, wzgardę mając dla niej i jej nowego płaszcza.

— Czemuś ty taki? — rzekła zcicha i powstała.

— Tak, tak, mnie tam to nic nie obchodzi — rzekł, by pokazać, jak obce są mu i ona i wszystkie jej sprawy.

— Czytałam o tobie w gazecie — podjęła znowu. Może miał jej być wdzięczny za to, że czytała o nim w gazecie? Ale nie. Co to się z Oliverem zrobiło? Taki zmieniony, niemal całkiem inny człowiek. Nie wiedziała, jak doń zagadać i badała go na różne sposoby, wreszcie poprosiła o pożyczenie gazety. Chciała raz jeszcze przeczytać sobie od początku.

Okazało się, że Oliver nosił ją przy sobie, wyjął więc z kieszeni, pieczołowicie zawiniętą w papierową torebkę i rzekł: — Możesz ją zabrać z sobą, ale oddaj mi ją nazad.

W kilka wieczorów później znów przysłała do chaty Olivera, a że to była niedziela, więc strojniejszą się jeszcze zjawiała. On jej może oczekiwał, uczynił może dla niej kilka niewinnych przygotowań: naprzód podłogę przetaił i wymiół do czysta płytę blaszaną przed piecem, poczem wpakował niepomyte filiżanki i statki do nowej pustej komory. Przypadek pośpieszył mu też z pomocą: znalazł dalibóg kilka drobnych monet włoskich w kieszeni starej kamizelki, wyjął je więc i rozsypał po stole, aby stroiły izbę. Następnie usiadł i zdrzemnął się za stołem. Gdy Petra przysłała, przeciągnął się obojętnie i ziewnął.

— Przynoszę ci gazetę — rzekła. Umiała całą wzmiankę o nim napamięć i wyrecytowała ją, tak, słyszał przecie, co o nim w gazecie mówili, tyle go chwaili, że mógłby z tem świat ziemi objechać.

— Jużem dość wielki świat objechał — odpowiedział, puszczając się.

— O tak, tego ci nie brakło. A kto ci podłogę wymył?

Co to ją obchodzi? Przysłała tu może wywyższać się nad nim? Odparł więc chytrze: — Dziewczęta.

— Co za dziewczęta?

— Kogo rozpytujesz? — odpowiedział, mitygując ją.

— Chętniebym ci to sama zrobiła — rzekła Petra.

Nie miała zresztą czerstwego, zdrowego wyglądu, raczej nieco chorowity. O nie, mój Boże, nie promieniała zgoła.

— Gdybyś chciał, tobym ci kawy ugotowała — rzekła potulnie. — Zabrałam z sobą kawy na wszelki wypadek.

Całkiem nie wzbudziło to jego niezadowolenia, ale: — nie, nie trudź się — odparł.

— Ty wielki świecie, tylebym zrobić nie mogła? — rzekła i wnet się do roboty zabrała.

— Zauważył, że opierała się o krzesło, a parę razy odwróciwszy się, splunęła. — Czemu w płaszczu stoisz, nie możesz to go zdjąć? — rzekł.

— To tylko lekki płaszczyk wiosenny. Jakie śliczne pieniądze leżą tu na stole! A coto za pieniądze?

— To z zagranicy.

— Całyś świat objechał! — rzekła.

— Te tu są z Italji. Takie tam mają pieniądze, soldi. Chcesz je?

— Nie, ty się ich dla mnie nie pozbywaj.

Zebrał szelążki i wrzucił do kieszeni jej płaszcza.

Pogawędzili o jego matce, że rychło pewnie wróci do domu, o jego ostatniej wyprawie poza wyspy, i o tem, że zuchwale to było wypłynąć tak daleko w otwartej łodzi. On przyniósł filiżanki z przybudówki, ona je pomyśla, nalala mu kawy, sama zaś dopiero co piła, nim przyszła, — wtrąciła krótko i już więcej pić nie może. Siadła na krześle, pot kroplisty wystąpił na jej lica.

Oliver natomiast poczuł się dobrym i zadowolonym, drażnił ją nawet potrosze stolarzem i był bez złości, nie miał nic przeciw niemu ani niej: — Ano, było tam co między tobą a Mateuszem?

— Wygadujesz! — Mateuszem?

— No co, nie miałaś to go brać za męża?

— *Mateusza!* — Petra w ręce klasnęła. Ona się wyrzekała Mateusza, odganiała od Mateusza, ba, wyśmiewała się z jego dużego nosa.

— Dziwno mi to! — rzekł Oliver i nie bez przyjemności słuchał jej zapewnień. — A ja rozumiałem inaczej, — rzekł.

— Petra spojrzała wzdłuż swego płaszcza i szepnęła: — Jednego tylko chciałam mieć za męża w swem życiu.

— Oliver popadł w zadumę, wreszcie zapytał: — Służysz to jeszcze u Johnseny? A jak się zachowuje Szeldrup?

— Szeldrup? Jaktó?

— Pytałem tylko. Znalazł się jak młokos, gdym przybył z zabłąkanym statkiem i chciałem spisać protokół.

— Aha! — Petra naląła mu raz jeszcze kawy i siadła z powrotem. Po dobrej chwili zaczęła: — Słuchajno, ty, Oliver, cobyś powiedział, gdyby...?

— O co chodzi?

Milczenie.

— Nie, nie, nic nie wiem, — rzekła, potrząsając głową i siedziała, obracając w palcach pieniądze włoskie. — Ale, jak sądzisz, nie mogłoby to być między nami tak, jak było dawniej?

Pytanie szczególnego wrażenia na Oliverze nie warło, może oczekiwał go, może myślał sobie swoje. — Skądże ci to do głowy przyszło? — zapytał.

— Myślałam o tem bezustanku.

— Ja tam dla nikogo do wzięcia nie jestem, — rzekł.

— Nie mów tak. Możesz otrzymać zajęcie u konsula.

— Konsula! — gwizdnął. Nie, ale przemyślałem o tem, aby otrzymać miejsce przy latarni morskiej.

— Tak, albo i tak. Coś przecie być musi.

Milczenie.

— Myśleć nawet o tem nie można, — rzekł. — Inwalida i pusty dom. Ano, mógłbym wstawić sobie parę drzwi do chaty, ale jednak.

Słyszała i ona, że nie było to niemożliwe dla niego, i nie nalegała dalej, jeno bąknęła coś o tem, że sama posiada dwoje drzwi. I pokazała mu, że wciąż jeszcze nosi jego obrączkę. Wszystko było po staremu. Oliver patrzył na nią niezaprzeczenie i ziewnął nieco, gdy poczęła mówić o pierścionku, ale może też wstydził się potrosze, więc jeśli się już miał odezwać, musiało to być coś zuchwałego:

— Haha, już tam inne imię stoi wyryte.

— Nie, bom je dała wyskrobać. Chcesz zobaczyć?

Ta Petra, pod wielu względami szatan to był, nie dziewczka, jaka sprytna a przezorna! Ale tego już prawie było nadto.

— A co, nie zwrócisz mu pierścionka? — zapytał.

— Pierścionka! Tego jeszcze brakowało!

Wtedy zaśmiał się Oliver z całego serca, żeby uratować ją i siebie.

— Oddać pierścionek? — rzekła. — Weź-no a zobacz, jaki ciężki! No, bo chyba, że to czyste złoto?

Oliver urażony: — Co wygadujesz! Myślisz może, że ci kupił mosiężny zagranicą? Toć to szczere złoto karatowe.

— Takem i ja zrozumiała. Nigdy już nie wydam go z ręki.

Ale tak lekko też jej to jeszcze nie ujdzie. Myślała więc sobie, że znów jest z nim zaręczona; ale czy nie powinnyby się namyśleć, rozważyć sobie trochę? Stolarz z tego nie umrze, toć to on się cofnął pierwszy, a prócz tego dobrze to wyrządzić kawał stolarzowi, który tak się źle zachował względem kaleki. Mimo to, wiele tu było do zastanowienia się.

— A ja tu sobie siedzę! — wykrzyknęła i skoczyła znów po imbryk. — Nie zauważyłam, żeś już filiżankę wypróżnił.

I Oliver pozwolił jej nalać kawy, smaczna była, mocna kawa; a i tak naogół Petra sprowadzała z sobą błogi dostatek, tylko to, że nalewając opierała się o jego ramię.

— Więcej jeszcze jest kawy tam, skąd ci tę przyniosłam! — rzekła i siadła mu na kolanach. — Możesz to mi jeszcze poradzić?

— Miałbym tobie nie poradzić? — rzekł butnie. — Umiem dźwigać, akurat jak i przedtem.

— A widzisz! Czemuby więc nie miało być dobrze! — Przyłgnęła do niego z płaszczem i wszystkim i całowała go i skomlała natarczywie: — No, jak myślisz, Oliverze, chcesz mnie?

No, tego było niemal więcej, niż nadto, — ale niechże tam, wszystko najdokładniej osądziwszy, może to i tak najlepiej. Jak jej się tego chciało, to niech tam!

— Hm! — rzekł. — Kiedy siedzę tu, a pomyślę, to zdaje mi się — tu wstrzymał się i pozwolił ciszy śmiertelnej zapanować na chwilę — że może to i da się zrobić.

— Tak, — tchnęła z ulgą.

— Jeśli już tak tego chcesz...

— Tak, — tchnęła.

V.

I znów mijał dzień za dniem, i gorzej żadną miarą nie było, jeno lepiej. Petra, wprowadziwszy się do chaty, przyniosła z sobą do niej to i owo, a Oliver łowił ryby z większym niż dotąd zapałem. Pewnej chętki do przygód nie stracił jeszcze, mógł pięknego dnia wypłynąć na morze w swej własnej wątlej łódce i powrócić do domu, zabawiwszy dobę całą. Cudak był z niego pod tym względem.

Nie, żadną miarą gorzej mu się niż przedtem nie działo, a jeśli tylko nędza wprost do oczu nie zaglądała, czuł się Oliver zadowolony. Matka ze swej wycieczki nie powróciła z pustemi rękami, przeciwnie, worek na plecach przywlokła, żywność, ubranie. Niedawno jeszcze temu, worek taki stałby się powodem dobrej sprzeczki, ale teraz troje ich w izbie było, więc podzielili się popołu, choćby ze wstydu, jeśli nie z innego powodu. Oliver zachował się, jako narzeczony, bez zarzutu.

Pewnego dnia przyszła staruszka, którą Oliver zaraz poznał i chciał raz jeszcze kupić u niej bilet na loteryę, ale tym razem jemu przypadła wygrana: staruszka przyniosła z sobą obrus. — Widzisz, — rzekł Oliver ze śmiechem, Pan Bóg o mnie nie zapomniał! Mieli więc obrus, a Petra postarała się o drzwi do przybudówki i do komory, nie brakło więc tego i owego.

Dawnemi laty, powracając z podróży, przywoził swej dziewczynie rozmaite prezenty, — cacka te przydały się teraz i stały wszystkie na komodzie, począwszy od fajansowego pieska i lusterka, aż do białego aniolka i tacki z intarsjami.

Po odbytym ślubie pozwolił sobie na parę gnuśnych dni, żywiąc się dobrze resztkami, pozostałymi po uroczystości, poczem matka, ze starego przyzwyczajenia, przypomniała mu, by znów wypłynął na łów. No i popłynął. A byłby uczynił to i bez przypomnienia, — rzekł, bo wiedział, co mu czynić należy! Dalibóg, lepsze miał życie, niżby znalazł słowa na wyrażenie go. Oliver nie utyskiwał, miał żonę i co potrzeba, wszystko było wyklarowane, nic niepewnego, nic wątpliwego. Szczęście, że nie odnajął wonczas przybudówki, jako że sam miał obecnie na nią użytek.

Jedno tylko, że Mateusz przyszedł któregoś dnia i przysłał chłopaka z zawiadomieniem, iż chciałby pomówić z Oliverem. Ale Oliver nie miał nic nieomówionego z tym człowiekiem, nigdy nic podobnego. — Czego on chce ode mnie? Powiedz mu, że najlepiej ten człowiek uczyni, jeśli nie odważy się pokazywać w mym domu.

Z izby widzieli stolarza jak spacerował, kokosząc się pod oknem tam i napowrót, hoho, zdawało się, że nie pierwszyczna mu to wystąpić przeciw Napoleonowi. — Wściekł się czy co, żeby się na kalekę zamierzać! — rzekł Oliver. — Ten niech z nim pogada, co to z nim dał koty! — rzekł przed siebie w pokoju. Petra parę razy pogładziła się po włosach, ochędożyła się i z miną nieprzewyciężonej wyszła na ulicę.

Z pokoju dojrzeć mogli, że się stolarz wzdrygnął. Gdzież się cała jego buta podziała! Tych dwoje na dworze rzucają sobie pytania i odpowiedzi, ale do ładu dojść

nie mogą; jeśliby mówili o drzwiach, no to proszę jeszcze, ale chyba, przeciwnie, rajcowali o pierścionku. Oliver siedzi w izbie jak najgłębiej i nos tylko trochę wysuwa naprzód, a obserwuje zajście całe nazewnątrz. Stolarz naraz ożywia się, nabiera animuszu i patrzy w twarz Petrze, poczyną wiercić się dokoła niej, nie przestając gadać, zatacza krąg dokoła niej. A Petra — choć przypadkiem piegi ma na twarzy i nie najpiękniej wygląda, umie na wodzy trzymać wzburzonego człowieka przytłumionemi a smętnemi słowy. No, stoi teraz nawet i uśmiecha się, wdzięcząc uwodzicielsko. Mateusz kończy na tem, że wbija wzrok w ziemię, a gdy Petra podaje mu rękę, ujmuje ją, nie podnosząc oczu, i postawszy tak chwileczkę, odchodzi. Oliver siedzi w izbie i prawie że mu współczuje.

A zresztą żadne więcej przykrości nie pojawiają się na horyzoncie.

Żadne więcej?

O, czas przecie umykał i niejedno się trafiało, nie-jeden dzień jesienny i zawierucha przeszkodziły wy-prawie na morze. Petra zległa, powiła dziecko, chłopa-ka. Stara matka nie miała już starania o dom, nie wychodziła więcej w świat i nie powracała do izby z torbą na plecach.

Mniejsza z tem. Oliver nie cierpiał biedy, działo mu się dobrze, jemu i kotu. O, to stare kocisko, nijaki użytek z niego, leżał w izbie i żarł, a z pożeranej ryby kałdunu nabierał, że w końcu myślały baby, że to kocica. A Oliver, czy i on się nie rozkładał wygodnie, kołysząc dziecko i śledząc oczyma ulicę? Ręce jego stały się jakby drobniejsze i zbieły, twarz jego wy-przystojniała. Gniewało go to, że nie widział sposobu kupienia sobie czapy futrzanej na zimę; mógłże to wy-

jechać w dzień mroźny z kapeluszem słomkowym? — Nie możesz to sobie kupić ceratowego? — rzekła matka. — Sama sobie kup ceratowy kapelusz — odparł — a ja sobie kupię czapkę z wydrzanego futerka! — Na próżności mu nie zbywało. Błękitny szalik, taki w swym czasie szykowny, zmienił barwę, przykra to była sprawa, ale chyba znajdzie się i na to jaka rada: czyby nie dało się go odfarbować, a może go też przecie Petra przenicować? Ale okazało się, że lewa strona niemniej była spłowiała. Wtedy zmarkotniał trochę Oliver i rzekł: — Widzi mi się, powiedziałaś raz, że mógłbym znaleźć jaki zarobek u Johnseny w Przystani, jakże z tem się rzecz ma?

Petra nieboga: a tak, pomówi z konsulem.

— Czemu to go wciąż tylko konsulem tytułujesz?
— zapytał zirytowany.

— Nazywalim go konsulem, kiedym tam służyła u niego.

— Ale od tego czasu więcej się już konsulów namnożyło — rzekł Oliver. — Heiberg jest konsulem, Gryn-Olsen został konsulem. Nie, ty się ani waż!

Prawda, namnożyło się konsulów co niemiara, o, tyle tych tam wice-kosulów i konsularnych urzędników, tylu ich się biło o lepszą kość, miasteczko roilo się od nich. Nie zawsze obchodziło się bez walki i zawisłości, zabierano się do niejednej roboty na szkodę drugiego, jeden kupiec nie dopuszczał, by drugi za jego plecami obrastał w dobytek. Johnsen w Przystani dożył, że niejeden człowiek mu dorównał, a czego dożyła pani Johnsen! Bóg jej tylko świadkiem.

Może też przyszła Petra do C. A. Johnseny w nader nieszczęsną chwilę. Żadnej roboty dla jej męża nie miał. Albo też bardziejby jej się przysłużyło, żeby wygła-

dała odrobinę ładniej i delikatniej? Biedna Petra, zszarzały i zaniedbany miała wygląd, a konsul bez ogródki powiedział: — Nie, Petra, zaprawdę, bardzo proszę wybaczyć. — Niechby popróbowwała szczęścia u tych nowoupieczonych konsulów, czem to oni właściwie handlują? Nie mógłby to jej mąż stać za ladą i ważyć kaszy u Olsera? Ale słusznie uczyniła, że się najpierw do C.A. Johnseny zwróciła, postara on się znaleźć później robotę dla Olivera, tylko nie teraz. Nie, nie powinna znów wyglądać tak zgnębiona, nie jej tylko źle się dzieje, czasy były kiepskie, nawet parowiec *Fia* nie najlepsze robił teraz interesy. I czemu to nie wyjeżdża Oliver na morze łowić ryby?

Konsul patrzył na Petrę i jej sprawę dobrymi, piwnymi oczyma i odprawił ją nie bez współczucia, ale odejść musiała z kwitkiem.

No i co teraz? Cożby innego, jak to, że Oliver znów wziął na odwagę i łowił ryby, niczem prawdziwy zuch, a tak, każdego dnia, od ranka do wieczora. On im pokaże! I nigdy nie zaszedł z rybą do Johnseny na Przystań, jeno demonstracyjnie przechodził mimo. Później, kiedy więcej ryb nałowił, niż je mógł unieść, założył sobie kilka łagwi na wybrzeżu, cały rynek rybny, bajkę prawdziwą. Otóż i stał tu niby jaki włościanin. Kilka pierwszych dni wzdrygała się rodzina chodzić po rybę w daleką drogę na przystań, ale że stały panował brak ryby, więc wreszcie zmuszeni byli iść bez sprzeciwu i jeszcze za to Bogu dziękować. Oczy Olivera stały się matowe, a cały on jakiś taki otyły i niedołężny na oko, ale nie zawsze, nie wtedy, kiedy chodziło o fortel, o wybieg. Dość był on szpakami karmiony. Ot, stał naprzykład ze swą rybą, ale nie wywoływał ceny, a dokładał wciąż do niej i czynił ją niesłychanie wysoką.

Nie chcecie ryby kupić? — No, to ostawcie! — Wiedział Oliver, że będzie mógł sprzedać rybę na regularnie kursujących statkach; a zresztą wiedział też, że dobroduszni ludzie nie tak już skrzętnie liczą się z groszem względem kaleki.

Całą tę jesień przebył Oliver z rodziną lepiej niż kiedykolwiek, a kobiety wychwalały swego żywiciela i wybierały dla niego co najlepsze kaski; żywiciel otrzymywał syrop do swej kaszy wieczornej, żywiciel dostawał wafle na śniadanie w niedzielę. Działo to się nie inaczej jeno całkiem słusznie. Poprawił swe stanowisko, pospłacał nieco starych długów w sklepikach i znalazł środki, aby wymalować oboje drzwi w dobudówce, począł też wznosić się w fachowym szacunku u swych kolegów rybaków: Jörgena i Marcina. Chodzili oni lata całe, dźwigając od domu do domu swą rybę bez szemrania, akurat do czasu, kiedy Oliver nauczył ich stać za ladą na wybrzeżu i podwyższać ceny za rybę. Podziękowali mu za to, że wpadł na myśl podobną. — Ano, już to prawda, że rozejrzałem się nielada po świecie, — rzekł Oliver.

Coraz większe poważanie ze strony rodziny i innych oddziaływało z kolei na niego, czyniąc go lepszym. Powracając z pracy dziennej i przechodząc pod oknami, mógł już zauważyć, że ruch wszczynął się zaraz w chacie, a Petra mówiła do dziecka: — Tatulio idzie! — Dziwne, jakie ciepło te słowa zmyślane roznosiły po jego ciele! Oliver twierdził nawet, że chłopak w kołysce je rozumiał. I nie wykluczone, że je dzieciak rozumiał: słowa były wypowiedane codzien o określonej godzinie i towarzyszyły im regularnie skrzyp drzwi, chłodny powiew i wstępujący do izby człowiek, który pochylał się nad kołyską. Skoro chłopak w parę miesięcy później sam

już mógł siedzieć i bawić się, nie było wątpliwości, że śledził zdarzenia w izbie z całą świadomością. Zwróćcie uwagę na to cudo, na tego zbytnika; zaledwie matka guzik na piersi rozepnie, poczyna mlaskać, a niech jeno powie: — Tatulo idzie! — biegną jego piwne oczy ku drzwiom.

Nie małą miał uciechę Oliver z chłopakiem. Gdy dzieciak rączki poczynał wyciągać, prosząc się do niego, do głębi poruszało to kalekę. — Maleństwo — widział to kto coś podobnego! — ta okruszyna, ten nicpoń, hehe, siarczysty chłop, tak mi Boże dopomóż! — A już całkiem piekło się porobiło, gdy dzieciak uderzył w bek przy odejściu ojca, poprostu piekło. Tatulo znieść tego całkiem nie mógł, i niemal sam bliski był płaczu, to też krzyczał do Petry: — Daj mu piersi, przecież ci gadałem! — Poczem podskakiwał na swej drewnianej nodze ku drzwiom i precz z domu.

O, nieraz z kobietami w spór się wdawał, co dzieciak rozumie, a czego nie rozumie, często walkę o niego staczał, ukazywał mu obrazki i litery i dawał do zabawy najrozmaitsze przedmioty. Była z nich para dzieci idjotycznych i zabawnych. — Cóż to, zgłupiałeś, czy co, — krzyczały kobiety, — dajesz mu do rąk imbryk do kawy! — A w coby miał bębnić? — spytał Oliver. Poznosił też malcowi cacka z komody, a gdy dzieciak cisnął na ziemię lusterko, Oliver rzekł, że sam je z rąk wypuścił i winę przyjął na siebie.

Błogie dni Pańskie! A Petra znów wypiękniała i chciało jej się wychodzić nieco w niedzielę. Ano, niech sobie tylko idzie, Oliver nic przeciw temu nie miał. Niechby sobie i babka poszła, nie pojmował nawet, że zdrowy a ruchliwy człowiek może usiedzieć w domu. Sam zaś pozostawał w izbie, a gdy dziecko zasypiało

i on drzemał za stołem. Czyżby marzył? Czyżby wspomnienia przeszłości przeciągały przez jego mózg opieszale? Miał dość powodu do ślęczenia nad swą dolą okropną, ale może go już ona całkiem przytępiła?

Na odwieczerz powróciła Petra do domu, a i pora była po temu, bo malec kwiczał, jak prosiak. Rzecz się miała tak, że Oliver chciał go uczyć czytania, ale pośrodku nauki począł chłopaczysko wrzeszczeć, a tulo jął go huścić wspaniale do góry i na dół i przemówił mu do rozumu: — No, no, no! nie trać aby otuchy, już wszystko pójdzie, jak należy, nauczysz ty się czytania, jak prawda, żem Oliver Andersen! Ale chłopak o mleko przecie krzyczał, a nie z innej przyczyny.

Gdyby choć Petra przyszła potulna i pokory pełna, że tak długo przepadała. Ale gdzie tam, ani mowy o tem. Widać przykra to musiała być dla niej zmiana: przyjść z ulicy i życia do domu pełnego krzyku dziecięcego. Tak młoda, a tak przykuta, tak zgnębiona. — Adyc zamilcz już, przecie przyszła! — rzekła do dziecka. O, lecz nie kwapiła się z zdejmowaniem niedzielnego stroju, lecz przystawała, przeglądając się w lusterku, i naogół biorąc zachowywała się prawdziwie wstrętne, a Oliver wykazał więcej niż cierpliwość, jeśli jej nie ździelił kulą.

Popatrzwszy na nią dobrą chwilę, woła wściekły: Czemu, do diabła, nie bierzesz malca?

— Czemu go nie biore? Już go biore.

— Tak — kiedy już zsiniał z krzyku.

— A niech sobie krzyczy. O życie tu nie chodzi.

— O, bez wątpienia powinien Oliver użyć kuli. Nie o życie chodzi? Boże, co za oślica! Ale chodziło o pokarm. Widzi przecie: kiedy dała dziecku, co mu się należało, zamilkło natychmiast. — Poszłabyś po ro-

zum do głowy! — rzekł Oliver, i całkiem sprawiedliwie.

Petra rzuca głową, Petra szemrze. Co jej się stało? Czyżby nie rozumiała, w jakie to wstąpiła życie? Przecież już więcej dziewczyną nie była, lecz przeciwnie, zamężną kobietą i świat miała przed sobą zamknięty. Niechby wszystkie nadzieje zostawiła! Petra — nieboga, aby się wyzwolić z kłopotu, musiała ustąpić. O, jakież to krzyż na się wzięła! Wcale go wytrzymać nie mogła, nie. W przyzwoity sposób inne dziewczęta też nie znosiły podobnego krzyża, a djabli wiedzą co wyprawiały. W domu konsula była osobą zaufaną, dwa razy dołożyli jej do pensji, a Szeldrup zakochany był w niej i pewnie jeszcze po dzień dzisiejszy. A ona tu teraz musi sterczyć!

Tak akuratnie, jakbyś niekiedy całkiem o dziecku zapomniała, — rzekł Oliver tonem sędziego.

— Pamiętam o niem dniem i nocą. Ale może go mam brać na plecy, kiedy wychodzę?

Petra dmuchnęła przed siebie. Oliver z coraz większą przyglądał jej się uwagą, ale kiedy zaleciał go jej oddech, pojął wszystko lepiej: włóczyła się gdzieś i zaglądała do kieliszka. — He, he, ależ to nieporównane, stamtąd to nabrała gęby i odwagi.

— Gdzieżeś była? — zapytał.

— O, nie byłam w wielu miejscach.

— W każdym razie piłaś wódkę.

— Zmiarkowałeś? A tak, byłam u konsula. Mieli gości i ździebko im pomagałam. Sama pani mnie częstowała.

Petra pijakiem nie była i objaśnienie jej starczyłoby, gdyby było prawdziwe. Gdyby było prawdziwe. Nie stroniła ona od kłamstwa, fałszywego zeznania,

przeciwnie, a że nazbyt przemysłna nie była, więc starała się słodko a zuchwale stawiać się, i z tem najdalej zachodziła. Oliver mógł wierzyć lub nie, siedziała u konsula, — albo to jej z tego co ubędzie, albo przybędzie? Patrzajcie, siedzi tu i dziecku pierś daje, trochę głupkowata, ale dorodna i młoda, może trochę narwana, może lekkoduch, — to i co? Nie, światłem nijakiem nie była, ot zwykłe stworzenie, bez wielkiego znaczenia, ot dziewczyna w parze butów, o, ale i nie bez dobrych zalet, dziewczyna z krwią gorącą, z szatańskim powabem. Wszak przysłała do domu i siedzi w izbie — przynależność Olivera, karmicielka, mleko mająca w sobie, Oliver widzi jej cycki.

Ale dziś Petra piła wódkę. Może głodna była, gdy ją nią częstowano, więc starczyło jednego kieliszka, żeby nabrała animuszu. To też stała się nieobyčajną i obojętną. Patrzcie, jak to ona poszturkuje małego Franusia, poszturkuje dziecko, choć wie, że Oliver to napewno zgani. Powstała sprzeczka i Petra odgryzała się, nie troszcząc się nawet, że stara babka weszła z ulicy i słyszała wszystko. — Co to? — myślała chyba babka, — poczuli się naprawdę? Słyszała, jak młoda kobieta rzekła do męża: — Czem ty się pochwalić możesz?

— Ja?

— Tak, ty. I że ci to nie wstyd!

— Takim jest, jak mię widzisz, — rzekł.

Wtedy zaśmiała się i rzekła: — Tak, żebyś choć taki był!

Babka nic z tego wszystkiego nie rozumiała i dziwiła się synowi, że się nie porwał na co niebezpiecznego. Siedział cicho. Słowa Petry takie dziwne były, do czego zmierzały? Oliver milczał.

— O co chodzi? — zapytała babka.

Nikt nie odpowiedział.

Nagle Oliver pyta: — Czemuś to przyszła do mnie, i chciałaś mię? Nie rozumiem tego.

— Na to odparła Petra: Dobrze to rozumiesz.

— Co rozumiem?

Milczenie.

Babka przeszła izbę i też ściągać z siebie zaczęła suknię niedzielną, powiesiła ją, ale cała się tylko w słuch zamieniła. Co innego mogła Petra wiedzieć o swym mężu, niż to, co świat cały o nim wiedział? Cóż to za tajemnicze dźwięki? Czyżby siedział w więzieniu, albo miał się tam dostać? Przypomniało się babce, że już od dłuższego czasu Petra przymawiała mężowi napół żartem, napół szyderczo, niekiedy zaśmiała się i czyniła nieprzyzwoite uwagi, że Oliver na to samo się zdał, co ich kot: żarł tylko rybę.

Izbę zaległa cisza. Dziecko spało w kołysce, ludzi pokój ogarnął. — Coście słyszały w mieście? — zapytał Oliver, chcąc okazać swą ustępliwość.

A że Petra milczała, odpowiedziała matka: — Ja tam nic nie słyszałam.

— Tyle, że mają tu założyć wielką szkołę.

— Patrzcie, mają założyć szkołę?

— Tak mówią. I mają budować olbrzymią kaminicę.

Ale że Oliver chciał wciągnąć do rozmowy swą żonę, zapytał jej wprost: — A kto był tam z gości?

— Co za goście?

Jakże, zapomniała o tem? Więc to tylko zmyślone bajki. Postanowił sobie sprawdzić to jutro.

— Myślisz może gości u konsula? Ano, wszyscy wielcy panowie.

— Przyszli z żonami?

— Nie. Nie wiem tego.

— No, więcś do stołu nie podawała?

— Czego się wypytujesz jednym ciągiem? — zawołała, śmiejąc się. — Może mi nie wierzysz? — O, lecz całkiem pewna siebie nie była, śmiech jej był pusty. Balansowali oboje, chodzili na ostrzu noża. Nagle Petra powzięła decyzję; pogładziła go po włosach i zażartowała:— E, tybyś powinien się być ożenić ze swą pielęgniar-
ką w Italji, Oliverze. Zostałbyś wtedy mężczyzną!

A Oliver odpowiedział napół żartem, że, — owszem, dalibóg bardzo żałuje pielęgniar-
ki.

VI.

Minęła zima — dzień po dniu.
— Ale, oczywiście, nie miał Oliver wytrzymałości. Pilność jego była sztuczna, zmęczył się bezustanną robotą dokoła ryb. I wszystko zwał na dziecko.

Zwolna weszło w przyzwyczajenie, że kiedy powracał do domu ze swego targu, demonstracyjnie oglądał dziecko w kołysce, przekonywał się, że oddycha, przysłuchiwał się jego oddechowi. I stawiał obrażające pytania: — Pewnie ci jedzenia nie dali, Franusiu, pewnie zapomnieli o tobie? — Z początku śmiały się kobiety i przyjmowały to za żart, ale Oliver poważnie oznajmił, że chodził w trwodze. Potem otwarcie już używał dziecka jako powodu, że nie może wypłynąć na połów ryb: aż się serce krajało, tak chłopak wrzeszczał, kiedy ojciec odchodził.

Miejsce swoje na wybrzeżu odstąpił Jörgenowi Rybakowi, sam mu je ofiarował: — Najlepsze to miejsce, Jörgenie, i tobie je daję. Wiesz przecie: ty i ja, Jörgenie!

Czyżby już łowić więcej nie chciał?

— Nie na sprzedaż, tyle tylko, ile sam będzie potrzebował. Jörgen w każdym razie zatrzyma miejsce przez całą zimę, na wiosnę może je Oliverowi nazad

zwrócić. Objął to dokładnie Jörgenowi: serca nie miał ostawiać Franusia samego, niechta idzie, jak chce, dziecko wyłącznie tylko chciało być przy nim. Dziwne to z takim małym robakiem, a mógłby Jörgen mu powiedzieć, dlaczego ojcu dawał pierwszeństwo, a nie matce i wszystkim innym?

— Chyba to już w nim wrodzone?

Akurat to samo myślał i Oliver: ojciec był rodzicem właściwym i dziecko do niego lgnęło; matka ziemią tylko była, w którą posiano. Czy to nie najzupełniej jasne? Trawa rośnie, a szkuta płynie po wodzie, na niebie zaś są gwiazdy — wszak to całkiem zrozumiałe. Ale chłopak to inna rzecz — i naturalnie, żaden człowiek na szerokiej ziemi wytłumaczyłby mu nie mógł, że Franek dziecko, nie dłuższy, niż tyci, a już — ma rozum!

Puste gadanie, koszalki opalki czeladzi okrętowej. Nic innego, jeno bajdurzenie babskie nad szydełkiem. Ale Jörgen, bardziej powściągliwy w gadaniu, musiał uciec się do swego zwykłego oświadczenia, że niejedno kryje się w naturze.

Miasteczko inaczej sądziło Olivera, miasteczko uważało, jak i należało się spodziewać, że Oliver zasłużył sobie na chleb i wodę za swe lenistwo. Widział to kto na bożym świecie, żeby się dla dziecka do łądu przykuć?

Ale niejedno kryje się w naturze, także i w Oliverowej. Tym razem otoczył swe sprzeniewierzenie się pracy osobliwym gadaniem. Naturalnie, że gnuśniał, ale czyż nie miał po temu dość powodów?

Pewnego ranka zauważył, że Petra oblała się zimnym potem nad imbrykiem z kawą. — Mdli cię? — pytał. — Tak, — odparła. Oliver nie zwraca na to uwagi,

bierze jadło, wypływa na ryby i powraca po południu. Petra jakby odmieniona, jakby ją co w gębie bolało. Oliver obserwuje ostrożny jej sposób żucia, i to, że kawy na oczy widzieć nie chce, chodzi, lecz spluwa po kątach. — Wciąż cię jeszcze mdli? — pyta Oliver. — Słyszysz przecie, że tak! — odpowiada mu podrażniona.

Wtedy to w bardzo rafinowany sposób patrzy na nią Oliver, patrzy zgóry na dół, nie skrycie, a otwarcie, chce, aby to zauważyła. Kiedy już ukończył oględziny, spuścił wzrok ku podłodze i westchnął.

O, Petra oczy we łbie miała, wślad za jego wzrokiem biegła. — Chcesz więcej kawy? — pyta i nalewa.

On nie odpowiada, nie, zdaje się siedzieć w głębokiej zadumie, ani słyszy, ani widzi. Czyżby ją wzruszył swem westchnieniem? W każdym razie zachowała się jak trusia, krzątając się po pokoju. — Pijże kawę, bo ci ostygnie, — mówi.

Oliver powraca jakby z dalekich stron, o, z krajów pomarańcz, albo może i z podziemnych światów, i wstaje. Gdyby nie przypadek wszystko w śmiech obrócił, mógłby z powagą i w zamyśleniu opuścić pokój: — Tak, tak, Franusiu, muszę iść, — mówi do śpiącego dziecka. Dotąd wszystko szło dobrze. Ale naraz jął się macać wzdłuż bioder i nie znajdował. — Przyjdę nazad do ciebie wieczorem, Franusiu, — mówi. Szuka na swej półce, otwiera szufladę komody i nie znajduje. Wreszcie doszukał go się w kołysce — ośnik, to nożysko, ten pałasz, który sobie sporządził do ryb na wybrzeżu. Dał go dziecku do zabawy wczoraj wieczorem i zapomniał. O, temu już nic nie zawadzi. Petra z początku ręce załamała, poczem śmiechem wybuchnęła. Westchnienie Olivera na nic przypadło, skurczył się i poszedł, jak pobity, do swej roboty.

Ale naco cała ta scena? Zgoła obojętna gra! Nie miałyby to zamężna kobieta powodu czuć się niedobrze lub wyznać odrazę do kawy? O, jakżeż to się naraz wydało Oliverowi nie do zniesienia, jakże ciężko, jak desperacko mu na duszy! Bóg nie stworzył go rozsądniejszym. Poddał się. Nie tak, żeby od tego dnia własną swą gnuśność uważał za grzech, nie skarżył się też na innych, nie, tego nie czynił, ale wszystko zwał na dziecko. Miał powód do wymawiania się od roboty.

Tak przeszła zima.

I tak minęło więcej jeszcze czasu — na próżnowaniu i domowych waśniach, na marnej strawie, w lachmanach, w ciemności.

Wiosną zwykł był Oliver budzić się i zabierać porządnie do połowu ryb aż do samej jesieni. Więc znów lepsze życie mieli w domu, wypłacił nawet za mąkę i margarynę, kupioną zimą u kupca i przebrnął jakoś. I w ten sposób przecie można. To poważanie, które był sobie ongiś zdobył, stracił, poprostu nie spostrzegano go i lekce sobie ważono, na co może i zasłużył. Bóg raczy wiedzieć.

Gdy w tym czasie dostał Franek małego braciszka, piwnooką wiewiórkę w kołysce, przyjął go ojciec jak należy i nie rozpaczał; dobrze się odnosił do obu chłopców, ale Franek, pierworodny, był i został jego chłopcem, a z drugim, Ablem, wiele się nie zadawał. Nawet i matka przekładała Franka, bo — może — był piękniejszy; w miarę jak Franek wyrastał z sukien, musiał brat donaszać reszty. Abel chodził rok za rokiem w wytartych spodniach. Nie martwiło to Abła, przeciwnie, znajdował zazwyczaj w kieszeniach tych znoszonych ubrań to kozik, to cybuszek, to koniuszek ołówka, guziki, haczyki do wędki, gwoździe, i przedmioty te rabo-

wał natychmiast, cichaczem zmieniając ich właściciela. Taki był jeden ze sposobów Abła przywłaszczania sobie dobytku ziemskiego. Miał zresztą i inne sposoby. Biegał ustawicznie razem z synem Jörgena Rybaka, z Edwardem, nieco starszym od siebie, od niego przeto nauczył się nader dużo. Obaj chłopcy zarabiali sobie niejeden grosz, biegając na posyłki, oddając przysługi lub też obławiając się jakim szczęśliwym „znalazkiem.“ Pewnego razu znaleźli doprawdy kawę w składach Gryn-Olsena, — czyż mogli przejść mimo? Stała przecież pośrodku podłogi i, widać, pozostawił ją tam ktoś przez zapomnienie: pełen worek, zaledwie napoczęty. Chłopcom się wydało, że przedstawia on dużą wartość. W kieszenie właściwie nie dało się napakować wiele, ale kieszenie też nigdy nie były nazbyt użyteczne. W drodze powrotnej do domu Edward stanął w niepewności, czy wrócić ze swoją porcją do rodziców, ale Abel wszedł bez namysłu do swej izby. Kawę otrzymała matka i obiecała mu też wzamian co innego, ale zresztą zabroniła mu znajdować więcej kawy. Gdy Abel przyszedł nazajutrz do piekarni z naczyniem, w któreby mógł nabrać kawy, towarzysz jego opowiedział mu sromotną historję: Z początku zmuszono Edwarda, aby przemknął się do worka z kawą, a skoro powrócił z tej wycieczki do domu, sprawiono mu lanie. Edward wątpił, czy zechce jeszcze nadal mieć swoich rodziców.

Owa kawa, która miała stać się źródłem stałego dobrobytu, przyczyniła też i Ablowi przykrości. Matka nie spełniła swej obietnicy i nie dała mu nic wzamian za nią. Próbował dobrocią i złością, ale nie. Wtedy udał się do Olivera, do ojca, i zapłakał.

— Kiedy się człowiekowi coś obiecało, to mu trzeba dać, — rzekł Oliver sprawiedliwie.

— No, — rzekła Petra na to, więc mam może odkupić od niego tę kawę, którą on ukradł? Dobrze go uczysz!

Ale ojcu schlebiało, że się syn zwrócił do niego, a że mu się dnia tego połów udał, obdarzył Abła błyszczącą koroną. — Niech ci się krzywda nie dzieje! — rzekł ojciec w obecności wszystkich. I dzięki temu szczodremu postępowaniu Abel znalazł się nazajutrz w możności zdobycia sobie używanego postronka do łowienia ryb. Odkupił go od Olaus na Błoniach, tego samego Olaus, którego pocisk trafił w samą twarz i od tego dnia stał się siny i bez urody. Później jeszcze utracił rękę. Pił nazabój i sprzedawał wszystko co posiadał, teraz też sprzedawał narzędzia rybackie Ablowi.

— Masz pieniądze? — zapytał Olaus.

— Tak, — odpowiedział Abel, — całą koronę.

— Jedną koronę? Nie sprzedam ci tego za pięć.

Obejrzeni sznurki, Olaus kurzył i strzyknął ślinę,

— Chyba nie przegniłe? — spytał Abel, próbując sznurków.

— Zgniłe? Nowiuteńkie sznurki. Możesz się na nich powiesić. Ale, jakem rzekł: za jedną koronę — nijak.

— Nie mam więcej.

— To sobie idź. Naco tu, u licha, sterczysz z jedną koroną!

Abel odszedł.

Olaus zawołał za nim: Te — jak się nazywasz — nie masz więcej?

— Nie.

— Pójdź tu, chodź i bierz. Ale to warte pięciu.

Abel był więc górą. Bo w głowach obu towarzyszy, Edwarda i Abła, rybołówstwo się właściwie roilo. Wy-

jeźdzali oni nieraz z ojcem Edwarda na morze, znali dno i miejsca odpowiednie, ale narzędzi nie mieli. Ojcowie nie odważyliby się powierzyć im swoich sznurków i puścić dzieci na własną rękę. Teraz jednak byli górą. Wieczorem wyjechali na morze w łodzi Olivera.

O, w jakim napięciu wyruszyli! Mali i czujni, jak złodziejaszki, sunęli wzdłuż brzegu, żeby corychlej zakręcić za cypel i zniknąć z oczu ludzi; nie wielcy byli, z łokieć długości, prawdziwe nic, ale nadymało to się i układało plany. Ile z tej pierwszej wyprawy przywieźli — nie zdradzili nikomu, ale co nałowili, miało pójść na powrót dla Edwarda, żeby każdy z nich miał swoje wędkę. O, przyuczeni byli do łódki, umieli wiosłować i obu i jednym wiosłem i wstecz płynąć, prawie od czasu, kiedy poczęli chodzić. Z Edwardem i Ablem nie było kłopotu. Co się tyczy Abła, trafiło mu się dziś akurat szczególnie dobrze, gdyż otrzymał wielkie buty, buty z cholewami. Bardzo się niemi chlubił, choć początkowo należały do ojca, a potem wynosił je także Franek.

Tak więc łowili ryby.

To znaczy, Abel zapuścił sznurek na dno i pociągnął do góry ze sążeń. Edward trzymał tymczasem łódkę na tem samym miejscu. Wiedzieli wszystko, ho, ho, znali się na wszystkim. Od czasu do czasu Abel opuszczał na dno ołowiankę i znów ją unosił na sążeń, a to w tym celu, by utrzymać sznurek ustawicznie w należytej głębokości. I oto znów opuścili go na dno, a kiedy chciał pociągnąć w górę — nie ustępował. Tak i uwiązał. — Cóż to — wiosłuj na północ, wiosłuj wtył! Spróbuj wiosłować na wschód, na zachód! — Ale sznur uwiązał na dnie. — Pójdźno, weź wiosła i dopuść mię do sznura! — mówi Edward, który jest przecie

starszy. Płyną naprzód, wstecz, wreszcie sznur puszcza: — Jużem wydobył! — mówi Edward. Ale kiedy sznur wyciąga, okazuje się pusty: pękł pośrodku, ołowianka i haczyk pozostały na dnie.

Patrzą się na siebie, nie myślą i nie pojmują co się stało: sznur pękł. — Do diabła! — mówi Edward, który jest starszy. Abel sam nie zaklął, ale usłyszawszy słowa Edwarda, poczuł, że wyraziły uczucia jego serca. Winę za nieszczęście nie mogli zwalić na siebie, bo czy to nie Olaus na Błoniach sprzedał im sznur przegniły? Nie było innej rady, musieli powrócić do domu.

— Dostaniesz z powrotem swą koronę, pocieszał Edward.

— Nie dostanę jej z powrotem, — mruknął Abel upadły na duchu.

— Nie dostaniesz? Ja z tobą pójdę!

— Dobrze, chcesz naprawdę? — O, Abel liczył na swego wiernego towarzysza, wypróbowanego towarzysza, i rozplomienił się. Siedział tu przecie Edward i usta surowo zaciskał, i kiwał głową, że myśli pójść z nim i rzecz załatwić. Jutro wysłedzą Olaus, kiedy przyjdzie na wybrzeże, tułał się tam przecie zawsze.

— Tak, ale Olaus nie chciał cofnąć targu. — Precz mi z oczu, szczury! — Abel uderzył w płacz, ale nic mu to nie pomogło. — Nie był to sznur do zapuszczania na dno, — rzekł Olaus, — to był sznur do łowienia. Wynośta mi się, mówię!

Ale maluczki Edward był jednak starszy i widać kuty w tego rodzaju sztuczkiach. Towarzysze uradzili i zgodzili się jednomyślnie, żeby nasypać prochu do fajki Olaus na Błoniach i poparzyć go raz jeszcze. O, te urwisy miejskie, łokieć od ziemi jeszcze nie odrosły, kiedy już stu djabłów za skórą miały! No, kupił

więc Edward tytuniu, a tytuniu i bez tego chciał kupić, nie były to więc wyrzucone pieniądze; dobrą bryłkę prochu znalazł u robotników przeprowadzających trakt. Był więc uzbrojony. Towarzysze siedli na wybrzeżu i czekali.

Piękną paczkę tabaki z papierkiem srebrnym i malowanką, djablo drogą zresztą i nećącą, mieli z sobą, otwartą, gotową do zażycia. Proch znajdował się na dnie.

Nadchodzi Olaus. — Cóż to za śmiecie trzymasz w ręce? — pyta.

— Myślisz mój tytuń?

— To tytuń? Daj mi go trochę do mej fajki.

— Nie, zabierzesz mi go całkiem, — odpowiada Edward i szykuje się do ucieczki.

— Co to, śmierduchu, ty masz mieć tabakę?

— A przecie ty sam sobie fajki nie nałożysz, ty, co to masz jedną rękę tylko?

Widzi Olaus, że wszystko stracić może i mówi: — Ano, bierz i nałóż mi ją, naści. Cóż to za błazeństwa takie!

Podczas gdy Edward głęboko zanurza fajkę w tytuń i zagrzebuje ją zupełnie, nie przestaje Olaus gawędzić: — Tobie to, smarkaczu, mieć tytuń? Skąd go wziąłeś?

— Kupilem.

— Pewnieś ukradł. Tybyś moim synem być powinien! No, nałóż, a porządnie, ino nie sknerz!

Edward oddaje Olausowi fajkę, gotową do zapalenia.

Teraz odchodzą chłopcy z jakie dziesięć kroków i przyglądają się koniowi przywiązanemu do słupa. Coś dziwnego było w tem zwierzęciu, akurat wyglądało, jak

koń: kary i wogóle nic mu zarzucić nie było można, ale chłopcy pytali i odpowiadali sobie, wyrażając swe zdania o koniu. Nagle syk i płomień buchnął z Olaus na Błoniach, i chłopcy ujrzeni go wysoko w powietrzu. Poczem wydało się, że spieszno im w inny kraniec miasta, gdzie czemprowadzić należy poskoczyć, aby obejrzeć coś nader zajmującego. Ale za sobą słyszeli kilka wściekłych pokrzykiwań o tem, kto ich ma „przyprowadzić“ i: — czekajcie tylko! — Abel, niestety, miał na sobie buty z cholewami i z początku o mało co go nie schwytano.

Nie były to ostatnie psoty towarzyszy, nie na tem też skończyły się ich wyprawy rybackie. Długo nie trwało, a wydobyli skądśsiś porządne postronki i posługiwali się łódką z całą wiedzą Olivera. Niedziele były to bardzo sprzyjające dni dla chłopców; ponieważ nie istniały między nimi spory co do zapatrywań religijnych, łatwo doszli do zgody, żeby łowić w dni świąteczne, gdy łódka stała próżna od rana do wieczora. Mogli, dalibóg, przynieść do domu cały haczyk ryb. Sprzedać rybę nie sprawiało żadnej trudności, moiściewy, doktor chętnie płacił cenę i trochę ponad to, dlatego choćby, że chłopcy woleli przyjść do niego, niż do Johnseny w Przystani, z którym doktorostwo bezsprzecznie stali we wrogich stosunkach. Niekiedy dostawali też chłopcy gruby kęs chleba z masłem — najlepsze, czem ich można było uczęstować po ośmiu godzinach postu; pytano ich też niekiedy w kuchni doktora, czy wolno im łowić w niedziele podczas nabożeństwa, ale wydało im się, że nie naruszają porządku życia gromadzkiego.

Wesołe, bogate dni. Swawolne, nieposkromione urwisy w najrozmaitszej działalności. Z duszą pełną przeżyć, dobę całą, na jawie czy we śnie. Czy w Ablu

dojrzałbyś coś marzącego lub jaką godność? Ani śladu. Wiewiórka drobna i błyskawicznie chybka, narwaniec, wszystkie członki jego były w ruchu. Widziano go jednocześnie hen wysoko u kościoła i w dole na równinie. Nie szedł nigdy, o ile była jakakolwiek okazja pobiegania, zawsze mu się śpieszyło, a wielkie jego buty dudniły po ulicy. Taki to on był. Edward też nie był zdechlakiem, ale starszy nieco i czuł na sobie odpowiedzialność, a prócz tego zawsze dostawał dość jadła w domu, więc okrąglejszy był ciałem. Spasłość jego nie stała mu w żaden sposób na zawadzie, wykazywał niezwykłą ruchliwość, gdy aptekarz wybiegał z hałasem do ogrodu i krzyczał: — Co ty tam, do stu djabłów, robisz na jabłoni? — Gdy Edward rozpoczął poważnie naukę w szkole, zeszczuplał nieco, ale nie tak, by to już bardzo stanowiło, raczej odbiło się to na ciele Abła. Abel pozostał teraz samotny i chudy: Ze starego nawyku włóczył się nadal dokoła domostwa Jörgena Rybaka, a niekiedy bawił się z małą jego córeczką, trzecią z rzędu, która przybyła przed kilku laty; ale tem, czem Edward i dorośli ludzie, tem jednak dziewczynka być nie mogła, o, daleko do tego. Nazywała się Lidja, ona jak i matka, a więc Lidka, zabawna i dobra, jak na dziewczynkę, ale nieznośna swym piskiem o byle co.

Tak, Abel pozostał samotny. Franek, brat jego też chodził do szkoły, a prócz tego całe swe życie był zbyt uczony i przewyższał Abła we wszystkim, więc wspólnego ze sobą wiele nie mieli. Nie zgadzali się całkowicie w poglądach na życie. Co rybołówstwo stanowiło dla jednego, tem dla drugiego były książki, gazety i wyższe sprawy. Franek rozpoczął naukę jeszcze przed czasem i był światłem. Miał zostać telegrafistą, albo urzędnikiem bankowym, a dumą matki byłoby, gdyby Franek

uczęszczał do wielkiej szkoły wraz z lepszymi dziećmi i uczył się wszystkich nauk świata. Każdy ma swoją ambicję; myślicie może, że Lidja, żona Jörgena Rybaka, nie miała swojej? Właśnie że tak, a co gorsza — była to biała ambicja i miasteczko śmiało się z niej: zapisała swe małe córeczki na kurs tańca. Naturalnie, że Lidja wyniosła się tem wysoko ponad swój stan.

Doprowadziło to tylko do tego, że Henryksen na Dokach, rodzina celnika i pani Johnsen w Przystani uznali za stosowne wycofać swe córki z lekcyj tańca — nie, nie dlatego, że i córki rybackie w nich udział brały, całkiem nie, ale Fia Johnsen naprzykład dostała blednicy i stała się tak chudą i wybujałą, że żal było patrzeć. W sprawę wdarła się polityka. Biedna przyjezdna nauczycielka tańców ręce załamywała i w głowę zachodziła, co czynić. Kwestja była nader poważna. Wkońcu wpadła na pomysł: ogłosi, że pierwszy kurs był już zapełniony — że też nie domyśliła się tego pierwej! — ale otworzy kurs drugi, bo napływ uczniów okazał się tak liczny, — a może nawet i dwa kursy jeszcze otworzy. I czyż nie wszystkim stało się zadość?

— I od tej chwili taniec dziwnie rozkrzewił się w mieście. Żadna kobieta już się z Lidji nie śmiała, dzieci napływały licznie. Jeśli Lidja posłała swe dzieci uczyć tańca, czemu nie miały tego czynić dzieci bednarza i golarza Holtego? Nigdy jeszcze nauczycielka tańców tak gorliwie nie klaskała w dłonie. Nabrała ona radości życia i nauczyła się polityki tanecznej. I Edward został zapisany na kursy, i Franek również się zapisał, ponieważ Oliver, ojciec jego, łowił chwilowo ryby i zarabiał pieniądze. — Tak, — rzekł Oliver, będziesz się

uczył, Franku, wszystkiego, czego się jeno uczyć można! — Ale co się tyczy Edwarda, to on, poszedłszy jeden jedyny raz na tańce, udał się do Abła i poprosił go, aby tańczył za niego. O, tak, Abel chętnie oddał tę przysługę koledze, ale że nie miał odpowiedniego ubrania, ani też nie mył się nigdy, więc został bez ogródki odeślany z powrotem. W ten sposób obaj chłopcy pozostali zupełnie wolni od tańca.

VII.

Miało aż huczało od tańców. Czyżby nastaly czasy rozkwitu i ryba wzdłuż wybrzeży chmarami wypełniała sieci? czy też zbrakło Anglikom drzewa budulcowego i statków do nowej wojny? Nic podobnego. Poza miastem było wszystko w należytym spokoju.

To tylko przybyła owa nauczycielka tańców i uczyniła przewrót w całej parafji. Przyjęto ją z chrześcijańską niechęcią, zwołano przeciw niej zebranie w sali przeznaczonej na modlitwy, ale już za późno, bo choroba rozpanoszyła się była zbyt szeroko. Ogarnęła ona nie tylko rodziców w imieniu swych dzieci, ale zagrażała też rodzicom samym. Istna epidmja! Objął z początku stan urzędniczy, ale począł też zarażać i wyższe kręgi, wzwyz aż do najlepszych ludzi miasteczka. Tańczono walca w jadalni konsula Gryn-Olsena i u Henryksena na Dokach, a nawet dostojnicy miejscy szli, nucąc, ulicą.

Przed szkołą tańców stale siedzieli ludzie, przysłuchujący się muzyce i kołyszący się nieprzystojnie w takt jej tonów, marząc, że biorą udział w tańcach; policjant Karlsen nic nie czynił, nie aresztował nikogo. Petrę znaleziono na ciemnych schodach, prowadzących do sali. Tam siedziała smętna, bezwstydną i marzyła przy dźwiękach skrzypiec i tupotu nóg dochodzącego z wewnątrz.

O, lecz Petra marzyła całkiem po próżnicy, wszak była zameżna i stracona. Do wszystkiego innego dołączyło się jeszcze i to, że znów zgrubiała i prawie że stać nie może, a tylko siedzieć. Już od tylu lat unikała zaokrąglenia, była niby ta dziewczyna i pięknie zbudowana, ale teraz i to minęło. Powinna może siedzieć w domu i nie pokazywać się światu na oczy, ale nagle zaskoczono ją na schodach, a sam Szeldrup Johnsen przyszedł i znalazł ją tutaj.

— Czy to ty siedzisz, Petro? — mówi i jest współczujący.

— Tak, — odpowiada Petra. — No, idź precz, Szeldrupie!

Ale Szeldrup jeszcze więcej wyraża współczucie i wtedy to Petra zrywa się na równe nogi i wycina mu policzek, prawdziwy policzek, choć to jest sam Szeldrup Johnsen. Tak uczyniła. I wnet znalazł się ktoś poniżej na schodach, który usłyszał praśnięcie i pobiegł na górę, aby zobaczyć resztę: że Szeldrup wymknął się chyłkiem do sali, a Petra zeszła, płacząc, ze schodów i — na ulicę.

Wszystko to było winą nauczycielki tańców. Mogła przecie była zatrzymać się w sąsiednim miasteczku. A niepokój wzniecony przez nią nie zdążył jeszcze opaść, przeciwnie: owego wieczoru, gdy się odbył popis tańców, niejedna złośliwość znalazła sobie wyraz wśród rodzin miasteczka. Zawieść o tiul i jedwabie sukien aż kipiała, a rodzice nawzajem zazdrościli sobie swych dzieci.

Doktorostwo towarzyszyli do domu Johnsenom w Przystani. Fię, która zabawiła się wybornie tego wieczora, należało odesłać do łóżka ze zmęczonymi nóżkami, starsi natomiast chcieli posiedzieć trochę dłużej. Zresztą i inni jeszcze zabrali się do John-

senów, między nimi adwokat Fredryksen, na którym zależało nieco pani Johnsen, ponieważ zwracał na nią uwagę. Henryksena na Dokach też zaproszono, choć oni wychodzili już cokolwiek poza zwykłe ramy. — Idź pan po swoją żonę, panie Henryksenie, i przyjdź do nas. I pan również, panie pocztmistrzu! — Ale szczególnie zostali doktorostwo zaproszeni bardzo formalnie. Nie należało ich unikać. Byli przecież szczytem, dobrze o tem konsulowie wiedzieli.

O, ta ukryta wrogość wśród przyjaciół, tych przyjaciół od serca! Rzadko dochodziło między nimi do uczciwego wybuchu, ale był on tuż pod ręką, leżał i tlił się. Szli w stronę domu żywo, gawędząc, szli po czterech rzędem i zamiatali ulicę, od czasu do czasu przystawali i wtedy wstrzymywali ruch uliczny, a ci, którzy przejść chcieli, musieli ich omijać. Wspaniały był to wieczór letni.

— Winszuję pani córeczki Fii, — rzekła doktorowa. — Latwo jej, doktorowej, być bezstronną, i nie trzymać strony żadnych rodziców miasteczka, gdyż sama nie miała dzieci w szkole tańca, nie — doktorowa zgoła dzieci nie miała. — Fia była śliczniutka dziś wieczorem. Ale czy nie sądzi pani, pani Johnsen, że lekka, przezroczysta sukienka byłaby bardziej stosowna?

— Sama pragnęła mieć jedwabną — odparła pani Johnsen — a zresztą dość było na sali tych tanich sukienek. Czy zauważyła pani, jak to Heibergowie wystroili swą Alinkę?

Inna dama rzekła: — Czy ta z tym grubym łańcuchem od zegarka?

To była jedna z córek konsula Olsena.

— Ach tak, biedactwo, ci Gryn-Olsenowie to też w swoim rodzaju dziwacy, — przyznała z pobłażliwością

pani Johnsen. Nie, nigdy nie mogła wybaczyć Gryn-Olsenom, że i oni objęli konsulat i stali się bogatymi ludźmi. Czyż to nie dziwne? Zdawałoby się przecie, że pani Johnsen powinna uważać to za wielkie szczęście, że w mieście przybywało coraz więcej kobiet z jej sfery, — ale nie, znieść tego nie mogła. I z czegooby też pochodziła jej żółta cera? Taka, żółta, — widać niezdrowy miała żołądek.

— Przechodząc do czego innego, — rzekł adwokat Fredryksen, mówca ludowy, i zatrzymał całe towarzystwo. Mówił tak głośno wśród cichego wieczora, niby marynarz w szynku. — Przechodząc do czego innego: Rychło to powróci do domu pański parowiec, panie konsulu?

Nie było to niemiłe Johnsenowi w Przystani, że mógł odpowiedzieć na to: — A tak, „*Fia*“ wkrótce powróci. Dawno już temu bawiła tu ostatnim razem.

— Gdybym to ja miał te pieniądze, które ona zarobiła! — życzył sobie Henryksen na Dokach. Rozumiał przecież, że nie o drobnostki tu chodziło.

A konsula Johnsen aż coś rozpierało, ale rzekł: — Odpowiem na to, bo milczenie źleby może zostało zrozumiane. „*Fia*“ w rzeczywistości nie tyle zarobiła. Nieraz cieszyłem się, że mam mocny grunt pod nogami i mogę opłacać jej nawigację. Ale ostatnimi laty, oczywiście...

— O, — wykrzyknął Henryksen i zakolysał głową.

— Moralność kupiecka nosi bezwątpienia zgoła niezasłużenie złe imię — mówi nagle doktor.

— Jakto?

Doktor ciągnie dalej, jakby nie słyszał żadnego pytania: — Bo jeśli taki człowiek, jak konsul Johnsen, się nią zadawalnia, to, widać, musi być użyteczna.

— Moralność kupiecka? Jakże to?

Długie, ważne milczenie. Doktorowi nie chciałoby się wypowiedzieć słów, na które możnaby gwizdnąć. Doktorowi nie chciałoby się też wdawać w dyskusję z Henryksenem na Dokach, przeto oświadczył, zwracając się do całego zebrania: — To oszczerstwo, że interes stoi w pokrewieństwie z wyzyskiem.

— Nie, coś podobnego...! — wykrzykuje zdumiony Henryksen. I wznosi brwi do góry, jak gdyby zasłyszane zdanie uważał za przewyborne.

Ale konsul C. A. Johnsen był przecie nie byle kto, może nie pod każdym względem wzór doskonałości, ale przedsiębiorczy, wielki człowiek. Dowcip miejski przezwiał go pierwszym konsulem dla odróżnienia od innych, którzy zostali nimi później i nie posiadali wielkiego znaczenia.

Konsul Johnsen odpowiedział: — Interes jest pracą zasługującą na swą zapłatę.

— I ja tak sędzę. Dlatego też niesłusznie to nazywać interes spekulacją.

— Tak, poniekąd. Spekulujemy wszakże wszyscy. Nim doktor zostaje doktorem, i on spekuluje, czy zajęcie to przyniesie mu utrzymanie i — dążenia swe uzależnia od tego. Potrząsa pan głową?

— Tak, całą głową.

— Hahaha! — śmiała się doktorowa.

— Medycyna jest wiedzą — objaśnia doktor. — Ale to, że „*Fia*“ zarabia mało, lub że „*Fia*“ zarabia wiele...

— Nie chce pan dokończyć?

— Ależ to całkiem jasne: Właśnie taki rodzaj interesu, jaki uprawia „*Fia*“, ludzie nazywają spekulacją. Według mego zdania — niesłusznie.

— A więc wszyscy są jednego zdania — pośredniczy pocztmistrz, ten zawsze uczynny człowiek.

— Ja mu się odplacę za jego złośliwą gębę! — powstrzymał się konsul od odpowiedzi. Ruszył posuwistym krokiem ku pani Henryksen na Dokach i gawędził z nią; była to młoda, przystojna kobieta, z łona ludu, ona podobnie jak i jej mąż, a choć niespełna lat trzydzieści — matka dwóch dziewczynek, uczęszczających do szkoły tańca. Konsul Johnsen zachowywał się względem niej rycersko i zabawiał ją rozmową, tak, chwilami przemawiał nawet do niej półgłosem, żeby inni słyszeć go nie mogli. Widzicie, życie konsula snąc też nie było zbyt rozkoszne i zachwycające, musiał więc korzystać z okazji. A czyż nie władał on dotąd swą naturalną siłą, czyż — choć siwawy — nie był jeszcze pełnym życia mężczyzną? Złościło go, że dorosły syn jego, Szeldrup, szedł obok i podsłuchiwał: — Idź-że naprzód i każ przygotować w domu wszystko! — rzekł do Szeldrupa.

A cóż dopiero pani Henryksen, której niepomiernie schlebiał towarzyszący jej dziś wieczór kawaler i wszystko, co ją czekało jeszcze w domu pierwszego konsula, — jakie przeżycia, jakie wspaniałości!

— Czy chce mi pan coś obiecać? — zapytała.

Djabeł się w nim zbudził, rozuzdał się względem damy i odparł:

— Nie śmiem dać pani żadnej obietnicy.

— Ależ — czemu nie?

— Obietnicę? Pani? Mógłbym jej tylko dotrzymać.

Wtedy dama roześmiała się i nic innego nie pomyślała nad to, że on jest przemily, że pierwszy konsul jest przemily. Wystąpiła więc ze swoją prośbą: czy konsul nie chciałby którego dnia zajrzeć z wizytą do nich, do Henryksenów na Dokach — konsul i żona?

— Czy nadchodzicie? — zawołała pani Johnsen zdaleka i przystanąła.

Nie było innej rady, musieli przyłączyć się do towarzystwa. Ale konsul postanowił sobie, że pomówi obszerniej z panią Henryksen później, gdy mąż jej szczerze zajmie się mieszaniem grogu. Wtedy, jako dobry gospodarz, powie mu: — Ależ, proszę, Henryksenie, czuj się pan zupełnie jak w domu! — A potem zabawi konwersacją jego żonę.

Pocztmistrz wszczął rozmowę o potomstwie. Był to szczupły, biedny mężczyzna i uchodził za nieszczęśnika. Uchodził również za nader religijnego i zwykł był mawiać z miną zamyśloną: — Tak, w co wreszcie mamy wierzyć! — Jako młody student marzył najwięcej o sztuce, o pałacach i katedrach, o architekturze, nigdy nie mógł zdecydować się na wybranie fachu i przybił wreszcie do urzędu pocztowego. Rysował obecnie w wolnych chwilach domy dla Boga i ludzi, on to również nakreślił plan wielkiej szkoły miejskiej, ową kamienicę z kolumnami, widoczną już zdala na fjordzie; za robotę nie otrzymał, ale zarząd miasta złożył mu podziękowanie. Żona jego pod żadnym względem nie była niezdarą, a choć nie jaśniała urodą, wypełniała dom dobrocią i błogosławieństwem. Starsza była nieco od męża, ale nie o tyle, żeby to wielką czyniło różnicę. Śród obcych milczała zazwyczaj; i tym razem zachowywała się cicho, nie odzywając się słowem z własnego impulsu.

— Potomność — rzekł pocztmistrz. — Teoria jego zasadzała się na tem, że do rodziców należy naogół przywiązywać mniejszą wagę, niż do dzieci. Absolutnie. Wszystko powinno kręcić się dokoła potomstwa: dziś wieczorem rodzice siedzieli na twardych ławach

wzdłuż pustych ścian i mieli pociechę i rozkosz, patrząc na swą dziatwę. Nie matki ubrały się elegancko, lecz przeciwnie, dzieci wystrojono odświętnie! „Tak samo strojne były ongiś i matki, będąc jeszcze małemi córeczkami,“ myślałem sobie. Akurat trzydzieści lat temu nosiły panie okropnie szerokie spódnice. „Boże święty!“ myślałem, wspominając.

— Elegje! — rzekł adwokat, kawaler Fredryksen.

— Tak, właśnie! — odparł na to bezdzietny doktor. A że to przemawiał ów nieszkodliwy pocztmistrz, który w gruncie rzeczy był przecie człowiekiem wykształconym, zapragnął dodać słów kilka: — Potomstwo? — rzekł — a naco to panu? Czy świat poto istnieje, aby w nim potomstwo zostawiać? Jak długo przebywamy tu na ziemi, to w jakimby innym celu, jeśli nie dla nas samych? Korzystajmy z czasu, panie pocztmistrzu, śmierć już za nami goni, rychło nas zmiążdży. Wszyscy leżymy między górnym a dolnym kamieniem młyńskim. Niektórzy, bardziej miękcy a ulegli, ci poddają się bez szemrania, inni zaś wiją się jak i pan, pocztmistrzu, wykręcają szyję wtył i boją się o swe lica, — o, lecz następna sekunda zmiążdży i ich także. Musi to być dziwne uczucie, a przeżyjemy je kiedyś wszyscy; jeśli poczyna się ono od dołu, więc chyba poczujemy jeszcze, gdy nogi i brzuch nas odumierają. — Doktor spotkał się z uznaniem i żartował dalej, ten dowcipniś, przyprowadzając każdego oddzielnie o dreszcze: wkońcu pozostanie pewnie tylko palec u nogi, który może będzie się ruszał sam przez się. Wszystko na tym świecie jest jednakowo cudowne i doskonałe.

Milczenie.

— Jakże beznadziejne są podobne myśli — mówi

pocztmistrz. — Ale nawet i to mając na widoku, dobrze to pozostawić po sobie — —

— Potomstwo! Które też zostanie zmiażdżone! I pełne beznadziejności! Nie wiem. Ja z swej strony mam sporo otuchy, niekiedy łapię się sam na tem, że stoję i zaczesuję włosy na łyse miejsca, i w ten sposób reparuję swą ruinę, jak mogę. I wtedy świszczę na wszystko.

— Tak, tak — rzekł wtedy pocztmistrz i widać nie umiał się bronić dalej.

Ale konsul Johnsen połknął haczyk, zaiste, i nie pozwolił się w róg zagnać tyłą wyższości: — Jeśli niema potomstwa, to przecież ludzkość wymrze, — powiedział.

— Proszę pięknie. To już nie moja rzecz będzie.

— Ale zależy przecie panu na tem, aby wyratować ludzi od śmierci, czy nie tak?

— Panie konsulu, panie pierwszy konsulu Johnsen, czy zwraca się pan z logiką do ludzi, leżących między kamieniami młyńskimi? — naśmiewa się doktor nieco zażenowany. — Gdzież wogóle znajduje się logika życia, logika rządu świata?

Tedy konsul rzekł: — Konstatuję, że osobiście doktor jest za wytępieniem ludzkości, ale rzemiosło pańskie, fach pański polega na przeciwdziałaniu wytępieniu.

Doktor najchętniej nie okazałby zbytniej uprzejmości niedość wykształconemu człowiekowi, ale konsul wyrobił się na takiego chwata, wzbil się nadto wysoko, doktor zmuszony był odpowiedzieć:

— Zajęcie moje stoi chyba nieco ponad interesem, nieprawdaż? Kiedy doktor pochyla się nad chorym, czyni to raczej ze współczucia z nieszczęsnym człowiekiem.

— Ach, tak!

— Tak, wzdychaj pan sobie! W każdym razie lekarz nie spekuluje wtedy.

Konsul odparł niegrzecznie: — On zarabia wtedy swą pięciokoronówkę. Doktor czyni, jak i my wszyscy: spekuluje na pięć koron, podczas gdy ja spekuluję na tysiące. W tem cała różnica. — Poczem konsul obejrzał się ze śmiechem dokoła, stawiając tym sposobem towarzystwo w jeszcze bardziej przykrej sytuacji.

Doktor zmuszony był śmiać się również: — Dobrześ tu nas pan wszystkich wzburzył, panie pocztmistrzu, — rzekł.

— Ja?

— Z pańskim potomstwem.

Na to musiał pocztmistrz odpowiedzieć: — Ależ drogi doktorze, potomstwo przecie mieć powinniśmy. Można twierdzić o kamieniach młyńskich, co się komu podoba, naszym celem jednak nie zostaną one nigdy.

— Cel swój nosimy w nas samych. Skoro umieram, umiera również wraz ze mną wszystko to, co się mnie tyczy. Wierzy pan w Boga, panie pocztmistrzu?

— W co mamy wierzyć? A pan nie wierzy?

Doktor chwieje głową: — Nie spotkałem go. Czy sądzi pan, że pochodzi on z tych okolic?

— Hahaha! — zaśmiała się doktorowa.

Pocztmistrz pyta: — I cóż to za cel być może, który w sobie człowiek nosi?

— Pieczołowite wyzyskanie życia. Używanie na przykład.

— Biedny cel, niedaleki cel. Wtedy, całkiem słusznie, wszystko się kończy wraz z nami. Ale wyobrazić sobie możemy cel wyższy: wieczne odnawianie się nas samych dzięki potomstwu. Co pan, serjo mówiąc, myśli

o tem? Wychodzę z założenia, że dotychczas żartował pan sobie z nas.

— Ani trochę.

— Weź pan na przykład mnie: jestem tu w mieście pocztmistrzem. Jedno stanowisko może, zaprawdę, być warte drugiego. Ale z jaką nadzieją przeniesie się do wieczności człowiek bezdzietny, który sam się niczem większym ponad to nie stał? Żadnego zadowolenia nie czułbym, gdybym do czego wyższego doszedł, przeciwnie, cieszy mię to nawet, że się niczem nie stał, gdyż tym sposobem nie zużyłem sił, które przydadzą się moim dzieciom. Jeśli przed śmiercią ujrzę w mych dzieciach choćby najmniejszą oznakę, że pod każdym względem przewyższą mnie swym blaskiem, wtedy poczuję tylko — co jest całkiem naturalne — głęboką wdzięczność względem najwyższej potęgi. Najbardziej smutnem zjawiskiem są dla mnie synowie i córki wielkich mężów, dzieci rodziców słynnego nazwiska. Smutniejsze to, niż dzieci osierocone. Dzięki Bogu, o mnie pomyśleć można, że gdybym nawet osiągnął dwa razy tyle, jak dotychczas — dzieci moje mogą mnie jeszcze przewyżżyć. A więc, że wywyższony zostałem dzięki wywyższeniu się mych dzieci, że nie posiadałem synów, podobnych do syna Goethego.

Teorja pocztmistrza nie przypadła nikomu do gustu. Była to teorja i pociecha dla nieszczęśliwych, którzy niewiele w życiu osiągnęli — a nie teorja dla ludzi na wielkich stanowiskach, hoho. — Nabozny z pana człowiek! — rzekł doktor przyjaźnie. A przecie konsul Johnsen sam djabło daleko zaszedł i był nietylko ojcem swych dzieci, ba, mógł się nawet więcej jeszcze wyrobić, on stał na krzepkich nogach i drogę przed sobą miał wolną, a nawet miał coś jeszcze na widoku, coś nowego

na widoku. Ale konsul Johnsen pragnął też wykazać pocztmistrzowi życzliwość i nie zaznaczać nawet swej wyższości, skinął więc głową i rzekł: — Według mego skromnego zdania, wiele kryje się w pańskim mniemaniu, panie pocztmistrzu.

— Zdania? — odpalił doktor.

Adwokat Fredryksen, którego dotąd nudził Henryksen na Dokach, wtrącił: — Owszem, zdania. My, kawalerowie i bezdzietni, też mamy swe zdanie.

I naraz wszystkich pewnie zdjęła obawa, że tym razem rozmowa się skończyła, że nikt już nie dorzuci więcej ani słowa. Konsul pośpiesznym krokiem wyprzedził innych, otworzył drzwi swego domu i poprosił gości: — Postaramy się w każdym razie zgodzić co do kieliszka wina! — rzekł z uśmiechem.

Podczas gdy towarzystwo wchodziło do jadalni, młody Szeldrup wyszedł cichaczem na ulicę kuchennymi schodami. Widać nie dbał wiele o tak jałowe dyskusje, jakie wszczynął pocztmistrz. Niktby mu też tego za złe wziąć nie mógł; w jego wieku życie nie jest żadną zagadką, a noc letnia należy do młodzieży.

VIII.

Starsi ludzie pamiętają dni i daty przeszłości. Błogo to przechowywać w głowie te przeróżne drobiazgi, jak gdyby stanowiły cenność, jak gdyby mogły przydać się kiedy na co. Tak samo przechowują oni wycinki z gazet.

I otóż stoją ludzie, przysłuchując się obcemu światowi parowca w zatoce. To żaden ze statków pocztowych, to żadna z tych łodzi towarowych, które przybывают raz na tydzień do drzwi każdej chaty. To też wdrapują się ludzie na dachy swych domostw, aby patrzeć. — Ależ to *Fia*, — mówią, — patrzajcie, jaka strojna flagami!

I jednocześnie wspominają ową wielką pielgrzymkę na wybrzeże pewnej niedzieli. Rachują w głowie, wiele lat już temu, i według wieku swych dzieci wiedzą, jakiego to roku było. Wielka to była wędrówka narodu, wspominają, i wtedy to *Fia* miała odpłynąć na Morze Śródziemne. Otóż powraca ona po wielu długich wyprawach morskich, na statku parada co się zowie, a w sercach pewnikiem wielka duma. I majtek Oliver Andersen też ongi był na statku.

Teraz zaś Oliver kusztyka ku wybrzeżu, wyrzuca nogą drewnianą, śpieszy się; w naiwności swej wierzy, iż towarzysze jego wypatrują go na wybrzeżu, że czekają

na niego, jako na pierwszego człowieka. Nie, nie wy-
czekują go wcale, poszedł już w niepamięć. Oparci
o galeryjkę, spoglądają zwysoka na tego kalekę, po-
znają go, ale nie objawiają żadnej radości — on to pierwszy
musi im się pokłonić i zbliżyć do dawnych przyjaciół.
Otóż i stoi Oliver, nieco szpakowaty, z przeredzonymi
włosami, mimo że młody jeszcze z niego człowiek,
a przytem taki jakiś dziwnie spasty, policzki zwisają
wprost na nim. Czyżby tak dobrze mu się działo na
bożej ziemi? Czyżby nieszczęście jego stało się tylko
szczęściem przebranem?

Z pokładu rzucają kilka współczujących słów z po-
wodu jego kalectwa, ale chłopcy nie zatrzymują się
długo przy nim, widać czasu nie mają i muszą wyzierać
w stronę ulicy — rychło już nadejdzie ich dziewczyna,
matka lub żona i dzieci, należy się więc ochędożyć nieco,
nim się ukąszą.

Oczywiście, że i Olaus na Błoniach znajduje się
tu ze swą fajką w zębach i zachowuje się, jak zwykł
się zachowywać ten pijak i fanfaron. Jeżeli majtkowie na
Fii liczyli na zadanie miastu szyku swem przybyciem
z niewypowiedzianie dalekich krajów, to Olaus pobróż-
dził im, nie wykazując ani odrobiny respektu.

— Skąd powracacie? — pyta.

— Z kraju, który się nazywa Chiny.

Nic to dla Olausy: — No, z Chin. Ano, świat już
teraz nie tak wielki — mówi — w dawnych to czasach
tylko mogli ludzie utrzymywać, że powracają zdaleka.
W przeszłym tygodniu wałęsały się tu dwa chłopcy po
mieście, żebrząc o pieniądze i jadło. Pytam się ich, skąd
pochodzą. Z Persji, mówią. A, przecie, jakeśmy się
w historii biblijnej uczyli, nikt nawet nie wie, gdzie
Persja leży! Masz tam tytuń do fajki?

Otrzymał fajkę pełną tytoniu, nie dziękuje zań, ale uznanie swe dla niego wyraża: — Znałem gorszy! — A przerzucając mostek na statek, komenderuje: — Chwytaj, a mocno go ściągnij!

Taki był Olaus. Los deptał mu po piętach, jedno-rękiemu, o wieczyście sinem obliczu; ale, do djabła, jemu tam od tego nie przybyło spokoju i tuszy. Nie był on opasły i martwy jako zwierzę, ani też nie dostał delikatnej, zwiędłej twarzy szlachcica, ale był pijany i chępliwý. Czyżby żył kosztem swej rezerwy? I nacóż innego zdałaby się rezerwa, jeśli nie poto, żeby nią żyć?

Oliver wchodzi na statek. Nie powinien był tego czynić, nie, święta żadnego z nim nie robią, rękę jego podaną uścisnęli jeno i powiedzieli co najpotrzebniejsze. Zajęci byli wszyscy własnymi sprawami. Miałby się może Oliver dziwować ludziom powracającym z Chin? Jako doświadczony marynarz sam tam przecież zjechał, nic nowego dla niego nie istniało. Nie, nie powinien był wchodzić na statek, zapomniał przecież w dodatku języka angielskiego i nie mógł się nawet wtrącić do rozmowy w należyty sposób. Kajuty czeladzi pozostały te same co i dawniej, przepaść mroku i zaduchu, chociaż splukano je, jak na święto. Zasiadł przy znanym sobie stole i gawędził a gawędził o swoim. Z początku słuchali go, ale najchętniej wypytywali się o krewniaków na łądzie i o dostojników miejskich, poczem jeden po drugim powychodzili na pokład i wyglądali swoich.

— Oliver mówi: — Weźcie-no naprzykład mnie, zem został inwalidą.

— A tak, siarczyście cię pono zdruzgotało w kroku?

— Co takiego? mnie zdruzgotało w kroku! Jestem człek żonaty i mam wiele dzieci. Beczka tranu nie może zdruzgotać w kroku żadnego mężczyzny.

— Co za beczka tranu? — pyta Kacper.

Oliver reflektuje się i zbija z tropu.

— Nie zwałeś to się z góry i nie ostry kant skrzyni trafił cię między nogami?

— Nie.

Tak długo mówił już Oliver o tej beczce tranu, że może sam w nią uwierzył, ale okazuje się, że nie była to beczka tranu. Czego to chciał dopiąć swem kłamstwem? czyżby pragnął ukryć cosik? Oliver opamiętał się i począł gadać dalej. Kapitana wcale nawet na oczy nie oglądał, a chłopcy byli powściągliwi. O, pewnie w listach z domu wyczytali o wszystkich jego późniejszych losach życia; zachowywał się nieraz brzydtko, dość plotek krążyło o nim i o jego domu. Biedny Oliver. Nawet gdy z kieszeni wyciągnął gazetę z opisem swego czynu bohaterstwa, nie uczyniło to wielkiego wrażenia. Żadnego, bo oto zaczęli nadchodzić krewniacy załogi.

Coś zabłysło w oczach Olivera. Owszem, tłusty był i jakby trochę słaby na umyśle, ale chwilami przebiegłość dzika w nim się budziła. Zbliżył się do Kacpra, dawnego przyjaciela i rówieśnika, i rzekł: — A żona twoja nie przyjdzie, Kacprze?

— Chyba że tak — mówi Kacper.

— A tak, boć już pewnie do domu wróciła.

— A gdzież to ona była?

— Nie wiem tego. Rok temu, jak wyjechała. Mówili, że była zagranicą.

— Co mi tu gadasz? — pyta Kacper zgorzszony.

— Ja? Nie, ty nie dbaj nawet o to, co ci mówi taki nędzarz, jak ja. Ale wszystko jedno być powinno tobie i innym, czy to beczka tranu, czy też skrzynia mnie pokaleczyła.

— Tak, a bo to nie wszystko jedno! — mówi i Kacper — Co ona zagranicą robiła?

— Mówili, że za dziewczynę służebną się najęła na statek.

— Niesposób, bom co rok tu z miasta listy od niej otrzymywał.

— Tak, tak — mówi Oliver.

W powrotnej drodze do domu spotyka żonę Kacpra. Ubrana odświętnie i niewinna dąży na powitanie swego męża. Oliver mówi do niej w przejściu, że Kacper stoi i czeka; była bardzo strojna i niewinna, i przemknęła mimo, nie odpowiedziawszy Oliverowi.

Oliver idzie do domu, do siebie, do swej izby i rodziny. Odwiedziny na statku *Fia* były bezsprzecznie chybione. Krzyżyk na drogę, on już tam więcej nie pójdzie! A co się tyczy Kacpra i jego żony, to już z tej strony żadnej przykrości nie oczekiwał: miał tu całe miasto współwiedzących. Kalekę zaś ochrania własna jego mizerota, nawet jeśli podburza wzajemnie przeciw sobie małżonków.

Oliver siada za stołem i zaczyna wylewać żółć na załogę *Fii*. Toć to halastra z nich, powinien ich był każdego zoddzielna nogami skopać, gdy miał jeszcze swą obrotność.

Petra nie odpowiada, nie patrzy w jego stronę, tak ją zmęczyło jego paplanie i jego osoba. O, ten tłuszcz na krześle! jak to dyszy! A ma na sobie szyte ubranie, na ubraniu zaś — guziki; na najwyższym czubku tego tłuszczu siedzi kapelusz na bakier. Znała wszystko na pamięć: drewnianą nogę, wyciągniętą i sterczącą, a zawałającą niewielką podłogę, jego mowę, jego wszystkie łągarstwa, fanfaronady, coraz gderliwszy głos kobiety,

matowy, wodnisto-siny wzrok, stale wilgne usta. Po prostu z każdym rokiem coraz bardziej podupadał, tylko chęć żarcia w nim nie wystygła. A jadła nie zawsze dość było.

Przedziwne! Życie w mieście szło swym torem i nawet silnie się wzmogło. Gdy nauczycielka tańców, dokonawszy swego czynu, wyjechała z miasta, postanowiono co sobotę urządzać zabawę z tańcami, a jednocześnie zaznaczyła się różnica na lepsze i w sposobie ubierania się i w życiu mieszkańców. Ale u Olivera i Petry nic się nie zmieniło na lepsze, chyba raczej na gorsze; wszystko szło wdół, na samo dno. A bo to ten szaleniec nie myślał już sprzedać cacek z komody, białej figurki anioła i skarbonki w formie świnki, przywiezionej z zagranicy! A pewnego dnia, zimą, wyszedł do miasta i sprzedał dom, który zamieszkiwał. Toż to czyn obłąkańca!

Niejednokrotnie już zamierzał Oliver sprzedać swój dom. Adwokat Fredryksen, do którego chata należała, powinien przecie okazać się ludzkim względem kaleki. Ale adwokat Fredryksen uważał widać, że dostatecznie mu pomógł, uczyniwszy go znakomitym swoją wzmianką w gazecie o bohaterskim czynie marynarskim; czemu to Oliver nie wykonywa więcej takich wielkich uczynków? Lecz sprzedać dom, dom należący do innego...

Na Olivera zrobiono najzwyczajniejsze w świecie doniesienie do policji.

Widzicie, tych Andersenów dawno już należałoby wyrzucić, ale miasto oszczędzało kalekę. Teraz sam wreszcie wysadził się Oliver swym występkiem poza nawias wszystkiego.

Oliver udał się, koląc kulą, do adwokata i prosił

za siebie; cofnie natychmiast ugode, rzecz cała prawie jeszcze nie doszła do skutku. Ale nic to nie pomogło, adwokat chce korzystać z okazji, aby dom opróżnić. Nie, nic to nie pomogło, aż Petra poszła do adwokata i pięknie prosiła, a i to się nie udało Petrze od pierwszego razu.

Cóż za położenie! Rodzina cała na skraju przepaści. Więc co z tego, że Petra wymykała się niekiedy z domu i siadała na schodach prowadzących do szkoły tańca, aby pomarzyć sobie nieco w godzinie wieczornej! Oliver, mąż jej, nie zdychał przecie ze wstydu i nędzy, przeciwnie, wynosił się nad adwokata i szemrał przeciw niemu, temu oprawcy, który tak nieludzkim okazał się względem kaleki. Ale choćby nawet oszukał Olivera z pieniędzmi za dom, nie czuł on się bardziej zrujnowany, jak wprzód. Nie brakło mu żadną miarą pięknych widoków, gdy siedział w domu i rozmawiał z rodziną. Latarnia morska — nie, tę myśl już zarzucił; ale co mu stało na przeszkodzie, żeby kupić sobie wózek na kółkach i odwiedzać gminy? A co, jeśliby zajechał do dużego miasta i grał na katarynce?

— O — odparła na to Petra — zrób tak!

— No. A z czego będziesz żyła ty i rodzina?

Właśnie, a z czego by to oni żyli? Chyba że tyle zarobi, iż przyśle grosiwo do domu. Ale co do tego miała Petra wątpliwości. I babka wątpiła, ba, wprost nawet powiedziała, że Oliver wszystek zarobek wydałby na żarcie.

Na niczem więc spelzła podróż żywiciela i stopa życia rodziny pozostała, jaką była. Ale żyli z dnia na dzień, ale żyli przecież i oni, przeżyli i to.

Czemuż to szło im tak opacznie? Żywiciel domu był cielesnie poszwankowany, — to i co? Hannibal był

jednooki, Aleksander — szpotawy. Oliver też nie był ogołocony ze wszystkich dobrych właściwości, gdzieżby tam! W głębi ducha skłonności miał do zgody, nie chodził przecie z oczyma krwią nabiegłymi i żuchwią okropną, czekając, aż małeńkie dzieci spasa się i będą przydatne na rzeź, o nie, do dzieci odnosił się przyjaźnie. Nie-dołączny — owszem, to ta nogawica tak żałośliwie furkała dokoła nogi, gdy chodził. Ale nie był on naprzykład jako ten garbus, który wygląda, jak gdyby się sam na plecach nosił. Pozbawiony dobrych przymiotów? Nie pił, nigdy nic podobnego, nawet i tabaki już nie zażywał, nie — pod tym względem stał się niby białogłowa.

Ma się rozumieć, że ani na jotę się nie polepszyło, raczej pogorszyło, gdy przybyło trzecie dziecko, dzie-wucha, która krzyczała po nocach i budziła zmęczonego żywiciela. Oliver znów jał ulegać swej chęćce wędrowniczey, przepadał poza domem, wypływał w łódce na morze i tam pozostawał dniami i nocami! Bóg wie, czego on szukał i co znajdował. Szczególniej urządzał te wycieczki po burzy. Może w swem zdziennieniu ufał, że znajdzie nowy statek-rozbitek. Pewnego razu zresztą znalazł ręczną walizkę, płynącą po morzu. Zawierała tylko kilka sztuk spodniej bielizny i nieco kobiecych fatalaszek, ale Oliver przyniósł ją do domu, wielkie rzeczy z nią wyprawiał, i ani do głowy mu nie wpadło dnia tego ruszyć ręką do roboty. Innym znów razem znalazł pustą konewkę po parafinie z korkiem zatkniętym; od czasu do czasu przybywał do domu z pęczkiem puchu, który wykradał z gniazd ptasich na placach lęgu. Wiedział, że puch ten ma wielką cenę, lecz nie śmiał zbyć go w mieście, musiał się więc z nim ukrywać.

Irytowało go, że Petra tak mało przywiązywała wagi do jego znalazzków, gwizdała na nie. Mógł, bywało, chyłkiem przemknąwszy się z wybrzeża, by go kto nie zoczył, wejść do izby z rozpierającą go piersią, rozłożyć swą zdobycz na stole i rzec: — No, naści coś do wybałuszenia gał!, — lecz Petra tylko burczała: — To ma być twój trzydniowy zarobek? po kiego licha nam ten puch! I naco nam pusta konew po parafinie!

Oliver spada zwysoka na ziemię i odpowiada dotknięty:

— Już cię znów dobry giez ukąsił!

Petra w płomieniach: — No, mnie giez ukąsił? Spojrz na nią w kolysce, może uważasz, że ona leży w puchu!

Oliver rzuca okiem na dziecko: leży w lachmanach, lecz mu żresztą niczego nie brak, krzyczy jeno, bo ząbkuje. Ale nagle porywa się Oliver i przygląda bliżej; pierwszy to raz przygląda się dziecku dokładniej.

— Cóż, u djaska — mówi — co to, ona ma niebieskie oczy?

Petra wzdrygnęła się lekko i odpowiada: — Widzisz przecie.

— A to skąd u niej?

— Skąd to u niej? A bo ja wiem! Widział to go kto, jak pyta!

Oliver pozostaje przed kolyską i wpatruje się w dziecko. Jakże go łatwo sprowadzić na manowce, jaki on głupi: dziecię błękitnookich rodziców nie miałoby mieć niebieskich oczu! Ale tamte, chłopcy, miały przecie piwne oczy? W tem się coś nowego kryje. O, w ciągu tych wielu lat nosił się Oliver ze swemi myślami i nosił w gnuśnej obojętności, teraz zaś stoi przed zagadką. Gdzież to Petra przebywała? W domu. W domu. Ko-

bieta, która wymierzała Szeldrupowi Johnsenowi policzki, nie wałęsała się poza domem.

Ona nie wychodziła z domu — nieprawdaż?

Bezmierna a nienaturalna zawiść rozżarza się w kalece, pierwszy raz doznaje on tego palącego, obcego bólu, a jest on tak silny, że wykręca mu twarz i strachem przejmuje Petrę, która zakrywa sobą swe dziecko. Oliver chwiejnym krokiem dociera do okna i wygląda na dwór. Jeśli oczy piwne były oczami rodzinnymi, temi właściwymi, jakże to oczy niebieskie mogły się również stać niemi? Dobrze zna plotki krążące o nim i o jego domu, nie był on przecie tak niepokalany i niewinny, żeby sam tego nie zauważyć; ostatnie co usłyszał było, że Petra nie zawsze dawała w twarz Szeldrupowi Johnsenowi! No to i co, Szeldrup Johnsen ma piwne oczy, a małeństwo w kołysce — niebieskie.

Robak wżarł się w serce Olivera. Dobrze mu było do tej pory, ale już mu się dłużej nie uda trzymać zdala od siebie niepokoju. Niepokój? Ależ do drzwi nieszczęście pukało, męka. Zaczął czaić się na rogach ulic, mógł, wybiegłszy z za węgła, schwycić Petrę za pierś i pytać, dokąd się udaje. Dniem i nocą był na straży i nigdy już pokoju nie zaznawał. Włosy jego osiwały. Jedyne miejsce, do którego Petra mogła swobodnie zachodzić, byli Johnsonowie w Przystani, ich dom i sklep, — tam wolno jej było pójść za każdym razem bez wielkich przeszkód z jego strony. Ale dążył za nią i patrzył, czy aby nie zbaczała.

To jego obłąkanie trwało i trwało, zaniedbywał morze, aby móc wystawać w kryjówkach i czatować, zebrał o rybę od innych rybaków, aby przynieść co nieco do domu. A Petra, głupia kobiecina, nie umiała ulżyć jego chorobie, raczej potęgowała ją jeszcze. Gdy po-

trwała czas jakiś i Petra dojrzała, że nie zagraża ona ani jej życiu ani całości członków, podjudzała go jeszcze aż do zapamiętania, rozżarzała aż do białości. Niebieskie oczy pochodzą może od Mateusza Stolarza, pomyślał Oliver i słów nie znajdował dość pogardliwych dla tego człowieka, tego nosorożca, tego babiarza prawdziwego. Petra brała go w obronę.

— No, może nie ma nawet okropnego nosa?

— Nie. Do twarzy mu nawet z tym nosem.

— Stul gębę! On, jako stolarz, powinienby zbudować oborę dla swego nosa.

Dziwne, że i inni też zazdrośni byli, chyba o te niebieskie oczy, — ale konsul Johnsen może żartował jeno i udawał chyba, gdy o tem z Petrą rozmawiał.

— Słyszałem, że ci się córeczka urodziła, Petro?

— Tak.

— Tym razem z oczętami błękitnego nieba?

Petra utkwiała wzrok w ziemię i milczała.

— Nie wszyscy mogą mieć błękitne oczy — rzekł ten konsul żartowniś. — Nie! — oświadczył ni stąd ni zowąd — nie mam miejsca dla twego męża, słyszysz! Spróbuj u Gryn-Olsena!

I znów powróciła Petra do domu z niezalutwioną sprawą, do domu, do rodziny i niepomyślności. To ci położenie! nikomu tak ciężkiej nie zesłano próby. Niekiedy popłakiwała i serdecznie się sama nad sobą litowała, ale zbyt zdrową i silną miała naturę, aby całkiem otuchę utracić; nierzadko wystawała przed swym domem i śmiała się a pyskowała z ludźmi przechodzącymi ulicą, — głębiej jej to nie dojęło.

Pory roku zmieniały się kolejno i czas mijał. Obaj chłopcy chodzili do szkoły, a Franek miał najlepsze zdolności i otrzymał bezpłatne miejsce w szkole i od-

znaczenie, lecz wiewiórka Abel też nie był łbem zakutym, jeno niesłychanym wisusem, który się całkiem czem innem interesował. Czas upływał i upływał, przyzwyczajenie przychodziło rodzinie z pomocą, a Bóg krzepił ją jakąś dziwnie hartowaną wolą, ratując od zguby. Co się tyczy Abelka, to żywił się on i odziewał po większej części sam, gdzie mógł w mieście. Zresztą zdarzało się, że mu to niekiedy i srom przyniosło, ta jego wiewiórkowatość: pewnego dnia, gdy wybiegł na wieś, nagwałt mu się chciało jadra, a że go nie otrzymał, jak również nie chciano mu podarować kaftana, który znalazł na sznurze od bielizny, zapytał bez ogródek, czy nie mógłby kupić filiżanki kawy. Wtedy to ludzie na zagrodzie poczęli zawstydzać Wiewiórkę i pytać, czy otrzymał pozwolenie picia kawy. — Fiu, pozwolenie! Nigdy już nie zajdzie więcej na ten folwark, nigdy, dopóki nie będzie dorosłym.

Brat Franek nie wychodził na poszukiwanie przygód, był na to za mądry. I on nieraz otrzymał w mieście miskę strawy, lub jaki przydziewek, tak, a nawet raz do roku dostawał cały garnitur w sklepie konsula Johnseny i przychodził do domu nowiusieńki od stóp do głowy. Takiego to rodzaju człowiek był Johnsen w Przystani, sam umiejący żyć wspaniale, i pozwalający żyć innym.

Czas upływał i upływał. Niekiedy wędrowała i babka na małą wycieczkę i powracała z dobrymi rzeczami: ziemniakami, szynką, torebką mąki, z serem. O, babka nie była do pogardzenia: jeśli tylko obyc się mogła bez pomocy z kasy i nie czyniła wstydu wobec innych kobiet u studni, niech tam sobie przewędruje kilka parafij, a wiktuały jej, przynoszone ze wsi, nieraz dobrą były pomocą. Zaiste, często gęsto babce zawdzięczać

należało, jeśli rodzina miała co przekąsić i do pieca wrzucić, tak się pilnie uwijała.

Oliverowi samemu działo się najgorzej. Jego choroba nie ustępowała. Na czas krótki rozpoczął znów swój połów ryb, a pochodziło to stąd, że dostała mu się nowa łódź. Widzicie, wyjechał na morze kawalek, i znalazł tę łódkę płynącą sobie po wodzie; fakt bezprzykładny; widać leżała gdzieś zaczepiona i urwała się, może przybywała zdaleka, z zagranicy. Po prawdzie, powinienby łódkę zameldować, któżby o tem wątpił; ale czy tak czy owak, zatrzymał ją sobie i głowa go o to nie bolała. Niktby go do sądu nie skarżył, kalece potrzebna była łódka, bo mógłby w przeciwnym razie zatonać w swem własnem kruchem czólnie. Z początku zamyslał nawet sprzedać łódkę i dostać za nią pieniądze, ale miasto mu zabroniło, za daleko iść nie wolno: — Nie, — mówili ludzie w miasteczku, — znalazłeś ją, to ją sobie trzymaj! — Tak więc każdą wolną godzinę spędzał Oliver na łowieniu ryb, używając swej nowej łodzi.

Każdą wolną godzinę.

Wiele ich wolnych nie miał, chorobliwa zawiść jego trzymała go na lądzie, przywiązywała do domu. Wszak Petra znów jęła okazywać potrosze wstręt do kawy, a on już się czuł prawie zniszczonym tą wieczną strażą. Nie wystawał to po kątach, kurytarzach i wertepach mieszkańcami całemi na przeszeptach i podsłuchiowaniu! Był nędznie odziany i marnie odżywiany, ale zazdrość trzymała go na miejscu godzinami, stał z sercem kołaczącym mu wysoko aż pod gardło i cierpiał swem pożądanym cierpieniem. Wiatr igrał jego nogawicą niby chorągiewką, która owinęła się dokoła masztu. W gruncie rzeczy nie był bez trwogi nigdy, nie czuł się spokojniejszy

dniem niż nocą, pracował ponad godziny, harował. Gdybyż to go choć zważyło na łożo cierpienia, gdyby go zabiło — ale nie. — Odgadnąć kobietę! Czy nie lepiej pozwolić jej latać dowolnie i zawrzeć drzwi domu! Co innego pozostawało do uczynienia z tą bezwstydnicą, która ma całkiem niewinne oczy i nigdy nie ustaje w kłamstwie? Mógł jej wyczekiwać w jednym kącie, a ona zjawiała się z drugiego, — gdzie więc przepadała? Mogła przybywać nucąc, jakby nigdy nic, — więc z jakimi myślami się nosiła, po czem to się obliżywała, co wspominała?

— Czego to sterczysz tu i czaisz się? — mówi Petra tylko i ani jej w głowie, by się zapaść w ziemię.

— Skąd powracasz? Przecież już noc późna.

— Nie byłam to u konsula! A co to trzymasz w garści, nóż?

— Widzisz przecie.

— Nóż rybacki. Czemu to z nim stoisz?

— Potrzebny mi był na wybrzeżu.

— Juści. Ale myślisz, że mię nastraszysz.

— Milcz!

— Odważ ty się tylko!

Nie, Petra czuła się pewną siebie, on był tchórzliwy i wstrętny, był do niczego, gwizdała na niego. Więc mija go tylko i wchodzi do izby, — mąż idzie za nią. W sionce zatrzymuje się nieco i chce go zawstydzić, tak, pokazać mu musi, że ona to, ptak nocny, jest porządna i baczną; widzicie, a bo to kto inny a nie ona zamyka drzwi wchodowe za obojgiem!

— No, drzwi zawierasz, — mówi Oliver. — Jestem pewny, że Abel jeszcze nie powrócił.

— To niech leży na dworze!

— On nie będzie leżał na dworze! — krzyczy Oliver

rozjątrzony i uczyniwszy półkole swem ciężkiem ciałem, zmiata ją na stronę.

Zachybotała się i krzyknęła: — Czemu mię odrazu na śmierć nie zatłuczysz?

Powstała znów dobra sprzeczką, wchodzą do izby i urządzają bal. Babka leży w starej komorze z dziewczuszką i Frankiem, podnosi się na łokciu i nadśluchuje, poczem kładzie się z powrotem. Wszystko to już stare, znane dobrze. Zazdrość Olivera narazie minęła, a czuje się wybornie i jest zadowolony ze swego zachowania się: Zatoczyła się lekko, jak dziecko pod ścianę. On jest mężczyzną, hoho, kołysze swym torsem.

Nocna potyczka rodziców bardzo jest na rękę Ablowi: przytupuje z ulicy tak cicho, jak tylko może i nie dostaje mu się od nikogo ani jedno złe słowo, ci chaczem kładzie się do łóżka.

IX.

Nic chyba nie wzbudza takiego gniewu i udręki, jak pozostawanie w tem napięciu. Oliver dniami całemi zaniedbuje roboty, włóczy się po ulicach i nie ma ani odrobiny błęgiego spokoju w sobie. W jego izbie okna zawieszono spódnicami i fartuchami, przeto wałęsa się przed domem tam i zpowrotem i czuje się bardzo idjotycznie.

Wreszcie łapie babkę, która mu mówi: — Tym razem znów dziewczyna.

Nie interesuje go to wcale. O, jakże mu to obojętne! ale gada, aby się dowiedzieć czego więcej: — No, znów dziewczyna. Ma wszystkie członki i zdrowe ciało?

— Tak, nic innego nie dostrzegłam.

— Więc nie jest tylko o jednej nodze?

— Nie.

— No, to i z tego cieszyć się musimy. Niedobrze to z nogą przyprawną, — cożem to chciał powiedzieć: Czy spojrziała już do góry? Oczami?

— Jakto?

— Pytam tylko. Czemu ona nie krzyczy? Chyba nie martwą się urodziła? Pozwól mi ją obejrzeć.

— Zasnęła teraz.

I znów musiał Oliver czekać, zaniedbać ryby, szwendać się po ulicach i czekać. Przed wieczorem

wolno mu ją obejrzeć. Gdy dziecko nie śpi, bierze je do okna i przekonywa się, jakie to ma ślipki. Petra leży i patrzy na niego, czuje się pewna, dziecku nic nie brakuje: ma piwne oczęta.

Zadziwiająco, jak ten nieznaczný szczegóół uspokoił wymęczonego ojca. Czuł się dumny z dziecka i rzucił nawet Petrze przyjaźnie i żartobliwie: — Z ciebie majster, jeśli tylko chcesz! — Choć się miało na odwieczny, wyjechał jeszcze łódką po rybę. Ostatniemi miesiącami wściekał się w swem sercu na Petrę, bo kto wie, może znów źle i podle się prowadziła, ale teraz innego był zdania: ona jednakże tak znów szaloną nie była, przeciwnie — wspaniała, Bóg mi świadkiem! I, proszę pięknie, rybę nałowi taką że aż ha, ile tylko jej nałowić zdoła! Tym razem znów są piwne oczy, oczy rodzinne, natura zwyciężyła, wszystko powróciło do porządku.

Ach, ten słaby na umyśle człowiek, Bóg wie, w jaki sposób on rezonował!

Pewnego dnia spotyka Szeldrupa Johnseną i mówi do niego: — Rychło zima nadejdzie i ty musisz z łaski swojej pomyśleć o mnie.

— Ja mam myśleć o tobie? — pyta Szeldrup.

— Tak. Bo kaleka ze mnie.

— A ja co na to poradzę?

— I mam wiele dzieci.

— Jąko ludzie głupio gadać mogą! — oświadcza Szeldrup bezradnie.

Oliver uśmiecha się uniżenie i patrzy w ziemię.

— Tak, tak — mówi, jakby tam szukał czego. — Ale musisz się postarać i przyjąć mię do roboty.

— Ja? I do jakiej roboty?

— W składzie towarów.

— O tem musisz pomówić z moim ojcem.

Oliver spogląda z wolna w powietrze, zwraca potem uporczywy wzrok na Szeldrupa i odpowiada: — Nie, ty to uczyn!

Grozi Oliver? Młody Szeldrup cofa się nieco, patrzy i on na kalekę. Ale wzrok jego jest pusty. Patrzajcie, poczęło się od tego, że miał wściekle a przeszywające spojrzenie, ale nagle stało się pustem. Widać namyślił się nieco, przypomniał swe zachowanie, wspomniął policzek i wszystkie plotki, nie ma ochoty raz jeszcze poruszać całej tej sprawy, mówi przeto: — No dobrze, chętnie mogę zapytać ojca, jeśli ci o to chodzi.

— Tak będzie doskonale! — odpowiedział Oliver.

W kilka dni później znów spotyka Szeldrupa, który pyta: — Mógłbyś się podjąć roboty w składzie? jak myślisz?

Roboty w składzie towarowym? Ależ to tylko wynoszenie się i bujanie ze strony Szeldrupa. W składzie towarów u Johnsen'a nie było dotąd stałego człowieka, jeno od czasu do czasu przybiegał na robotę który z sprzedających w sklepie, — miałby więc cały Oliver nie podobać tej odrobinie pracy!

— Ojciec pragnie pogadać z tobą — mówi Szeldrup.

Oliver wraca do domu jako nie kto inny, jeno wielki składowy! — Jakto tam było? — pyta Petry — odmówił ci Johnsen w Przystani przyjęcia mnie do roboty?

— Tak. I już go więcej o to nie zapytam.

Milczenie, o milczenie, które Oliver czyni ogromnem, czyni brzemieniem w następstwa.

— I nie potraza, sam z nim parę słów pogadam — mówi i wychodzi.

Kobiety patrzą na siebie. No, nic to, nie wskóra przecie, nawet gdyby Oliver i poszedł. Może nawet zgola nie pójdzie. A co do Petry, to ona szyderczo odrzuca głową.

Powróciwszy, milczał Oliver długą chwilę, tak, długą a przeciągłą. Kobietom nie chciało się przepytować, lecz uśmiechały się ukradkiem, a Petra rzekła nawet: — Ciekawam, kto to poszedł pogadać z konsulem?

Wreszcie Oliver przerywa milczenie i mówi: — Musisz mi wyporządzić dziś wieczorem moją świtkę islandzką. Będzie mi bez niej chłodno w składzie.

Petra krzyknęła niemal: — Ty *masz* iść do składu?

I nawet babka przystanęła, rozdziawiwszy usta.

Ale Oliver patrzy na nie z najwyższym zdumieniem i, zaiste, nic nie pojmuje, kobiety są dla niego zagadką. — Tak, naprawdę? — odpowiada pytająco.

Obiedwie w ręce uderzają.

— Ma się rozumieć, że mam iść do składu — mówi — któregośkolwiek dnia. Rozpocznam jutro.

Obgadali to dokumentnie raz i drugi: to oznacza przemianę ogromną, stałą pensję, dostatek, o, to miało tak wielkie znaczenie! A on tu siedzi sobie, on, który przeprowadził tak wielką sprawę, mocny Boże, gruby z dumy, gapiowaty, z kapeluszem na bakier, wzburzony. I znów mówi:

— Przecieżem rzekł, że pójdę z nim pomówić.

— Tak, ale ja, com mu się nagadała! — wtrąca Petra.

Oliver odpowiada: — To nie to samo, co kiedy mężczyzna przychodzi.

Oznaczało to zmianę, o tak. Ale Oliver, który siedząc tu, wie najlepiej na co przystał, myśli mniej więcej:

nijak to jeszcze, po prawdzie, nie oznacza ani to książeczki bankowej ani ogrodu rajskiego; Johnsen w Przystani szcudrośliwym nie był; ale z drugiej strony, był przecie pierwszym konsulem, i dla rodziny Olivera okazał się czemś w rodzaju zbawcy.

W składzie robota nie była ciężka, Oliver dzień za dniem niekiedy chodził tylko poto, aby być na miejscu. Najpracowitsze dni następowały z przybyciem do małej przystani łodzi towarowej, gdy wyładowywano mąkę, syrop, kawę, parafinę i olej lniany, a zapelniano ją natomiast rybą i tranem. Oliver musiał wtedy dbać o to, aby odebrany towar złożyć pod dach w składzie i w piwnicy i przy takiej sposobności mógł się niekiedy zmęczyć pod wieczór. A zresztą zadanie jego ograniczało się do zmiatania i utrzymywania porządku. Otwarty worek z kawą nie powinien zostawać zapomniany na środku podłogi, tak żeby mali chłopcy mogli czerpać z niego, uważając go za rzecz znalezioną. Kiedy klienci zjawiali się ze sklepu z karteczką, Oliver czytał ją i wydawał im według niej już to worek mąki, już dwadzieścia sąni liny, już to rybę na wagę. Do obowiązków składowego należało również napelnianie każdego ranka szuflad sklepu kolonialnymi towarami ze składu; wreszcie notować sobie musiał także te towary, których ilość poczynała się wyczerpywać, aby w kantorze mogli znów pisać o przysłanie na czas nowego ładunku.

Koniec końców wcale nie tak niepokazne stanowisko wyznaczył Oliverowi konsul Johnsen i ludzie raz jeszcze znaleźli okazję do przykłaśnięcia jego uczynkowi. Prawda, że Oliver stał się kaleką na statku Johnsen, ale to nie pociągało za sobą żadnych zobowiązań dla właściciela, zaledwie ot — zwykłe miłosierdzie i łaskę.

A tego gatunku uczuć nie brakło pierwszemu konsu-
lowi, był to wielki człowiek i dobroczyńca.

I cóż brakło Oliverowi? Nic zgoła. W składzie, bywało, panował obrzydliwy zaduch starej ryby i roz-
kładających się wątrób rybich, a szczególnie latem pa-
nował tam prawdziwy smród — ale czy to warto o tem
wspominać? Naogół przestawał Oliver, jak dotąd, na
skromnem, zarabiał na chleb i margarynę, na wyle-
giwanie się w niedzielę, na nieco elegancji: wzruszający
krawat, wyczyszczone buty, nowy kapelusz na bakier.
Dobroczynność konsula Johnsen'a względem niego od-
biła się także i w dalszych kręgach; po drobnych szcze-
gółach zauważył Oliver, że miasto już go więcej nie
przeoczało, a adwokat Fredryksen nie pozostał za innymi
wtyle i domu jego już nie niepokoił.

O, szczęście to było tak ogromne! Ale najlepsze
było to, że Oliver stał się rządcą w swym składzie to-
warów, w swem małym państewku, zaiste, nieomal że
władcą i, rzec można, osobą wyższej rangi. Jak on to
lubił, jak go to lechtało nawet, — jakby go kto brał
pod boki —, gdy ludzie miejscowi przychodzili jako
klienci, witając go słowem „dzień dobry,“ nim wycią-
gnęli kartkę. — Dzień dobry! — odpowiadał i on,
witając, bo tego rodzaju był z niego człowiek, że ni-
kogo prześlepić nie chciał. Trzeba też przyznać, że
opłacało się teraz być nieco uprzejmym względem
kaleki, w wielu okolicznościach mógł się przyczynić
do obfitszej czy skąpej miary, do lepszej czy gorszej
wagi.

Jórgen Rybak przychodził z kartką, Kacper, ten,
co to był ongi marynarzem na *Fii* i teraz bał się pozo-
stawić swą żonę, aby nie wodzić jej na nowe pokusy wy-
jazdu zagranicę — tak, i Kacper przychodził z kartką;

przychodził Marcin na Wzgórzu, Mateusz-stolarz i policjant Karlsen przyszedł, a po nich świat innych, a Oliver był tym właśnie, który ich we drzwiach składu przyjmował, przesłuchiwał ich żądania. Zaiste, niczem Józef, który stał się możnym panem u faraona w Egipcie.

— Tak, tyś się dostał na wysoką grzędę! — mógł się Jörgen Rybak odezwać w swej dobroduszości.

— Nie mogę się skarżyć — odpowiadał Oliver na to. — Losy mię tu posadziły i nie zapomniały o mnie. — Odstąpił Jörgenowi na całą przyszłość swe miejsce w przystani, które nazywał rynkiem rybnym: — Weź to sobie wszystko razem, skrzynie i moje miejsce, używaj ich sobie na zdrowie! Dałeś mi niejedną porcję ryb, kiedym głupi był jeszcze i nie wyjeżdżałem na morze, — dodaje i czuje się wzruszonym. — A co do mnie, to, Bogu dziękować, mam i ja i rodzina moja dość chleba codziennego, a czego nam więcej potrzeba naprzykład, nam ludziom! A twoje dzieci, Jörgenie, i moje dobrze z sobą żyją, a mój Franek chodzi do wielkiej szkoły i staje się coraz więcej i więcej uczony, aż dziw, umie czytać po niemiecku, jak tylko spojrzy na książkę przed sobą.

Jörgen potakuje głową, że i jego chłopcy i dziewczęta opowiadają o Franku z wielkim szacunkiem.

O, to nadzwyczajne, to brzmi niemal jak bajka z książki. — Franek może teraz otrzymać stanowisko jakiegokolwiek zechce, w banku, albo w kantorze, nic temu nie stoi w drodze. Jeśli poczekaś krzynkę, Jörgenie, to pójdziemy razem do domu.

Oliver wziąłswą chusteczkę do nosa, wytarł pot wewnątrz kapelusza, strzepał mąkę i kurz z twarzy, oczyścił buty, wyszczotkował ubranie i każe Jörgenowi czekać. Chce, widać, pokazać Jörgenowi, że nie jest tym samym,

co dawniej, nie jest byle kim. A Jörgen cierpliwy — czeka. Tedy zamyka Oliver wrota składu na ten wieczór. Skrzypią one w zawiasach przejmująco, ale miły to dźwięk dla uszu Oliverowych, pieśń łabędzia wrót składowych każdego wieczora. Poczem wsuwa ciężkie kluczyśko do kieszeni i — gotów.

Dążą do domu, Jörgen dźwiga z wysiłkiem ciężką konwię z olejem lnianym i przysłuchuje się mowie Olivera, prostej niby i w gruncie rzeczy potulnej, ale pełnej przechwałek:

— No, zabierasz się do wymalowania swego domu.

— A tak.

— Szczęśliwyś, że sam sobie możesz to uczynić! Ja zaś muszę nająć malarzy, żeby mi wymalowali mój, bo sam nie mam czasu.

— Nie?

— Trudnoby nie wyznać prawdy: i dla mnie nadeszły inne czasy; mogę dom malować i oporządzić, jak mi się podoba. Kosztuje to; ale na to rady niema.

Jörgen wygląda, jakby miał coś na sercu i mówi:

— Musimy postarać się, aby utrzymać chłopaków częściej w domu.

— Chłopaków? A to czemu?

— Wczoraj wieczorem znów wypłynęli na morze. Niekiedy strach mię o nich bierze.

— O Edwarda i Abła? Nie, Jörgenie, ty się o to nie turbuj! — mówi Oliver, udając wielkiego. — Te chwaty dadzą sobie radę sami.

— Powracają tak często późną nocą do domu. Pragnąłbym, abyś im odmówił swej łodzi.

— Daj chłopcom pokój — mówi Oliver. — Kiedym jeździł zagranicę i zwiedził wszystkie miasta świata, tom nic innego nie widział, ino że mali chłopcy sami

wypływali w łódkach. Ty byś powinien zobaczyć, jak to oni na Oceanie Spokojnym wyskakują z łodzi i płyną niby węgórze w wodzie.

— Ale wtedy nie mogą się przecie uczyć swych lekcyj.

Obaj ojcowie omawiają sprawę rozsądnie z tej i z drugiej strony, a Oliver zresztą jest tym bardziej doświadczonym podróżnikiem, który opłynął świat dokoła i Jörgen może słuchać słów jego. Lecz nagle mówi Jörgen: — Tak, ale nie obchodzi się też bez tego, że kradną ryby.

No — mówi Oliver. Poczem, widać, na myśl mu przychodzi, że złodziejstwo trudno dałoby się pogodzić z jego nowem stanowiskiem i nagle przerywa sobie: — *Kradną* ryby?

— Nie u mnie. Ale Marcin na Wzgórzu skarży się na nich.

— Już ja pomówię z chłopakami! — oświadcza Oliver i kiwa głową na znak, że pomówi z nimi gruntownie.

Obaj oni, Jörgen Rybak i Oliver, niejedną mieli pogawędkę w ciągu tych lat, znali się nawzajem tak dobrze, że rozstawali się zawsze z sobą nawet bez pożegnania i „dobranoc“; ale tego wieczoru mówi Oliver:

— Nie chciałbyś to do nas zajrzeć?

Jörgen jest powolny i nie taki wartki pod względem ducha, — cóż to sąsiad, składowy, ma na myśli?

— Nie wiem, możeby Petra miała trochę kawy i parę placuszków, możemy przecie spróbować.

— Dzięki ci, ale dziś wieczorem już za późno — odpowiada Jörgen na te przesadne słowa.

— No, tak, tak. A więc pokłoń się w domu.

Nigdy nic podobnego Jörgen nie słyszał — pokłonić się w domu!

Gdy powrócił do izby, musiał opowiedzieć żonie swe przeżycie. A Lidja, piła, niebawem przejrzała wszystko: —Oszaleli— rzekła— nie dlatego, że piją kawę, bo już jej drogo nie potrzebują opłacać, skoro ją znajdują w składzie, ale placuszki! A Petra była u samego inspektora szkoły i zapytała, czy Franek nie powinienby zostać księdzem.

Ach, ta poczciwa Lidja! Nie była ona pozbawiona odrobiny zawiści. Miała tam się Petra, dalibóg, czem pysznić — może temi mnogimi piwnookami dziećmi? haha! Nie, wara jej do tego! Szary płaszcz, który otrzymała przed ślubem, już nie istniał, jak się też spodziewać należało; ale bo czyż to zamężnej kobiecie wypadało chodzić w jasnym brunatnym okryciu, podarowanem jej niedawno przez panią Johnsen! wystawiała się tylko na śmiech!

Petrą, niebogą, wszyscy sobie gębę ucierali. W gruncie rzeczy było z niej nieszczęsne stworzenie, spętane zwierzę, od zmysłów odchodzące w swej uwięzi. Najgorsze dla niej samej i dla innych było to, że taki z niej nienasyconiec, że tak niezadowolona się czuła w duszy. Dostała przecie męża i utrzymanie, dom i dzieci, więc się jej tak źle w życiu nie działo, czy jak? Może warta była więcej? Miałż może powód czuć się nieszczęśliwą z mężem jak Oliver, co to został zarządzającym w składzie towarów konsula Johnsen?

Otóż wchodzi Oliver i zawiesza wielgachny klucz na kołku przy oknie. Sam dał pieniądze Petrze na słodkie placki i kazał kupić, a więc mu je teraz podają, ale niewiele ich, nie całą górę przed nim, żywicielem, na stół kładą, a prócz tego zachowuje się Petra bez najmniejszej dworności, jeno kładzie je na gołym stole.

Żeby ją nauczyć zachowania, podnosi Oliver swą filiżankę i kładzie placki na spodek, poczem patrzy na nią. Ale Petra mówi tylko niecierpliwie: — Nie wiedziałam, żeś przyszedł w gości!

Oliver pozostał, kim był; nie kłóci się, o ile tylko może tego uniknąć, daje każdej z dziewczynek placuszek, więc pozostaje mu jeden. Lakotniś z niego, niczem baba, rozkoszuje się wolniutko słodkim chlebem i przepija kawa; poczem zabiera się do razowca z margaryną na wieczerzę.

— Cóż to takiego nosił Jørgen w tej wielkiej konwi? — pyta Petra.

— Olej do malowania.

— Aha, będzie malował?

— Widać taki ma zamiar.

— Ach tak, niektórzy ludzie mają na wymalowanie i ustroje sobie domu! — mówi Petra.

Milczenie ze strony Olivera.

Po chwili znów Petra wszczyna: — Mateusz jest nieporównany, ma teraz czerwoną skrzynkę do listów na ścianie swego domu.

— Skąd ty to wiesz? — pyta Oliver niewzłocznie.

— Skąd wiem? Przechodziłam, to i zobaczyłam.

— A tyś co miała do roboty w tej części miasta?

Petra gwizdnęła: — Będę się może ciebie pytała o pozwolenie wyjścia za drzwi!

— Czemuś ty nie wzięła sobie Mateusza? — pyta Oliver. — Byłabyś teraz miała czerwoną skrzynkę do listów na drzwiach domu.

Milczenie ze strony Petry.

Rzecz w tem, że Oliver stał się łagodnym i wdzięcznym Opatrzności za to wielkie dobro, które nań spadło. Już nie filozofował bezbożnie z powodu swego nieszczęścia; grzech i wstyd, jeśli inni to czynili, — on czuł się poprostu wesołym, on — Oliver. Ale Mateusz Stolarz był jadem w jego radości, o, gdybyż ten człowiek zniknął ze świata, przepadł naprzykład w najgłębszej ciemności, Boże pociesz mię! Hej, jak to Oliver był zabawnie głupi! — widział stolarza w związku ze swą błękitnooką dziewczuszką: czekajcie tylko, już on dziecko przypilnuje, czy aby nie dostanie końskiego nosa.

Nic nie możnaby właściwie zarzucić Mateuszowi Stolarzowi, nie miał on sławy hulaki. Ten solidny chłop posiadał już teraz własny dom i warsztat i pracował z czeladnikiem i chłopcem do nauki. Nie „zmienił“ stanu, nie ożenił się. Zupełny kawaler. Jak gdyby powiedział sam sobie: — Nie, pięknie dziękuję, jużem raz długi nos dostał, nie trza mu być większym, jakem rzekł! — Przyjął za gospodynię do siebie Marynę Salt, a że jej minęła już czterdziestka, więc nikogo na pokuszenie wodzić nie będzie. Tak więc stał rok za rokiem przy warsztacie i piłował a heblował, kąciki ust zwisały mu wdół i nadawały wygląd coraz bardziej a bardziej smutny i prostacki, lecz pracował bez ustanku.

Ale właśnie to, że się Mateusz nie żenił, czyniło go podejrzanym w oczach Olivera. Nad czem to ten człek przemyślał? czy wciąż jeszcze na Petrę czyhał? Za każdym razem, kiedy imię stolarza wypowiedziano przy nim, dostawał Oliver z powrotem napadu swej choroby.

— Czy mogłabyś mi powiedzieć — rzekł — co to za parada mieć skrzynkę do listów na ścianie?

— No, no, toć to nielada ozdoba i przyjemność.
Nie na każdym domu wisi przecie!

— Ja, com jeździł po świecie, widziałem także
złocene skrzynki.

— Złocene!

— Od góry do dołu. I z koroną cesarską.

O, lecz Petra tysiąc razy słyszała o tem, co Oliver
widział na szerokim świecie.

X.

Dobrze jeszcze, że Oliver nie odebrał im łódki! Do czegożby to było podobne, żeby przeszkadzać ludziom w ich rzemiośle!

One cztery rybki, o których tyle i tak obrażającego poszło gadania, znaleźli wprawdzie, całkiem słusznie, w skrzyni Marcina na Wzgórzu, ale poszli przecie sami do Marcina, przytaknęli i wyznali wszystko. Ale przecież pożyczili je tylko, aby dopełnić drugi dziesiątek ryb, obiecanych do kuchni doktora. A teraz — proszę bardzo! — tu macie ryby z powrotem, przychodzimy z nimi sami z siebie, innym zaś razem pożyczymy ci też cztery sztuki, Marcinie!

Biedaczysko Marcin, zaprawdę, aż się trochę zafrasował, że rozpuścił język przed uczciwymi ludźmi; mruczy więc, że w każdym razie niema pośpiechu z pożyczaniem mu ryb w podziękę.

— Dobrze — mówią chłopcy — tu macie wasze ryby i dziękujemy ślicznie za pomoc!

Ale nie kto inny, jeno Oliver pomówił przecie z chłopcami i obiecał im błyszczącą koronę, byleby tylko naprawili wyrządzoną szkodę. O, Oliver nie był najgorszym, na swój sposób dobrze się odnosił do dzieci, a dzieci też mu rade były; Abel niekiedy łakocie ojcu kupował.

Za co to on miał kupować? Ależ Abel zarabiał pieniądze, Abel łowił ryby.

Chłopcy pochłonięci byli uprawianiem swego przemysłu. Nie o lekcjach i nie o nauczycielach rozprawiali, lecz o swych rachunkach. Mieli oni w głowie swe wydatki: część szła niekiedy na ratowanie z ambarasu którego koleżki, część przegrywali w palanta, a resztę przechowywali sobie. Żadnemu z nich nie brakło ani srebra ani papierków, ale mieli też rozliczne wydatki. Edwardowi koniecznie a ustawicznie potrzebny był tytuń w srebrzystym papierku, w przeciwnym razie, jak utrzymywał, dostawał morskiej choroby; a Abel, niestety, też go jeszcze nie przerósł pod tym względem, miał i on swoje potrzeby na ciastka lukrowane, pistolety, proch i ołówek czerwony do rysowania na ścianie. To przecież nie drobiazgi. Ale chłopcy przykładali się pilnie do roboty i lgnęli do łodzi.

Nieco później, gdy szkoła na serjo przykuła ich do siebie, nie byli już tak pochopni do pracy, hańba, ile czasu i sił poświęcać musieli lekcjom. Wynagradzali to sobie wędrówkami po mieście, szukając przygód, i w ten sposób też nieraz przeżywali niejedno. Specjalną zaś mieli uciechę z gniewliwych właścicieli sadów. Dobrodusznych posiadaczy sadów, jak pocztmistrz i Gryn-Olsen, obchodzili obojętnie, lecz aptekarz był wyśmiewany. Zeszłego roku, gdy gonili szczura w jego ogrodzie, strzelał do nich saletrą, — tego roku zemścili się więc, strasząc niemilosiernie jego kury, ściągając sznur jego chorągwi i ogoławając sad jego z owoców.

W psotach tych współdziałał z nimi ktoś trzeci. Wprawdzie była to dziewczynka, Lidka, narwaniec, ale sprawna i ochotna, szczególniejszpak do wystawiania na czatach i dawania sygnałów.

Edward, jako starszy, dzielniejszy był w układaniu planów, lecz Abel chyży był i wyglodniały, a przeto niezbędny do wdrapywania się na górę, lub przełazenia przez ciasne przesła. Wiele trudu mieli ze ściągnięciem kilku przepysznych ciemno-szafirowych śliw z wysokiego drzewa w ogrodzie aptekarza, a osiągnąć cel mogli tylko w ten sposób, że Abel wdrapał się na dach budynku gospodarczego i operował stamtąd. Było to późnym wieczorem, lecz księżyc świecił jasno; wszyscy stali na swych posterunkach, Lidka z świdrującymi oczyma, Edward, podtrzymując puste skrzynie, po których Abel włązi, Abel zaś drapie się w górę. Dużo czasu potrzeba, aby dotrzeć na stromy dach, ale Wiewiórka posuwa się naprzód ręką za ręką; kiedy wreszcie siada okrakiem na szczycie, musi się jeszcze przechylić dobry kawał w bok, aby dostać do śliw — a gdy już prawie sięgnął celu, szpak chrząka cichutko. Zauważyła światło w otwieranych drzwiach apteki. Nie inaczej. Ale Wiewiórka już jest u celu i ma odwagę zwleknięcia chwilę jeszcze — szpak chrząka głośno — aptekarz zjawił się nagle tuż pod budynkiem.

— Ach — krzyczy — szatanie, złaż mi tu natychmiast! Pokażę ja ci!

Ale bo to nie aptekarzowi pokazano raczej!

Poczęły się nań sypać dachówki jedna za drugą. Wiewiórka opuszcza dach z przeciwnej strony, prześladowana sypiącemi się za nią grudami ziemi, prześladowana staczającemi się za nią kamykami; nie może popaść na skrzynki, lecz natrafia gdzieś na jakieś sztachety, które ją bodą, a stamtąd dopiero zeskakuje wreszcie na ulicę, jako zbawiony, choć krwią ociekający człowiek. Na domiar wszystkiego dostał mu się jeszcze strzał saletrą, który celnie przebił cienkie portki Abła.

Ale najgorsze ze wszystkiego — to śmiech aptekarza.

A jakże to się odbyło, gdy chłopcy zażądali swych pieniędzy, które byli rozpozyczyli?

Wszak wyciągnęli z biedy kilku towarzyszy, otworzywszy im odpowiedni kredyt gotówką, ale czas mijał i mijał, a dłużnicy ani nawet znaku nie dawali, że chcą zwrócić pieniądze. Naznaczono im termin: dzień i godzinę. Stawiło się liczniejsze zebranie, winowajcy również, ale że to byli wielce przemądrzali chłopcy, uśmiechali się tylko do swych wierzycieli, drażniąc ich. Edward i Abel przedsięwzięli sobie jednak doprowadzić dziś rzecz do porządku, w razie potrzeby nawet siłą.

Edward — jako pierwszy.

Podąża on prosto z mostu w stronę Reinerta, tego, co to jest synem kościelnego i nosi modne spodzienki po kolana, a pobrzękuje na kamizelce ojcowym łańcuszkiem od zegarka — do niego to zdąża Edward, całkowicie poprawnie, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, tak zupełnie, jakby mu chciał rękę podać na przywitanie. Ale Edward kryje tym razem szatańską przebiegłość: naraz wyrzuca naprzód ramieniem i z pięścią rzuca się bez opamiętania na przeciwnika. Zebranie stoi jak na szpilkach i przygląda się zajściu, przygląda się, jak przeciwnicy tarzają się dokoła, jak zrywają się znów na nogi, i w podskokach okrążają plac, skrami tryskając nawzajem ku sobie. I oto w pewnej nieszczęsnej chwili Reinert dostrzeżga, że zgubił łańcuszek od zegarka. Wszyscy rzucają się do szukania i Lidka, ten szpak, znajduje go w żwirze. — Oddaj! — krzyczy Reinert. Ale Lidka ma lepszy rozum, podbiega z łańcuszkiem do swego brata i Edward wsuwa go do kieszeni. Oo! krzyczą zebrani. Gdyby Reinertowi zostało więcej czasu, byłby sobie

może odbił łańcuch napowrót, ale musi on pobiec natychmiast do mosiężnika, aby nie powrócić do domu z przerwany łańcuchem.

— Zapłacę! — krzyczy do Edwarda — chciałem cię tylko trochę podrażnić.

Zebrani głośno przystają na takie załatwienie kwestji.

Pozostała jeszcze sprawa Wiewiórki i zabawnego przysadkowego wyrostka, zwanego Pluskiewką. Ale że Reinert, na którym się Pluskiewka wielce wzorował, musiał opuścić plac boju, nie miał więc nikogo, któryby mu dodał otuchy, to też ujrzał się słabym i opuszczonym i szepnął: — I ja ci zapłacę!

Tak to miało jedno przeżycie za drugim, nie wszystkie tak łatwe i ucziwe, lecz wszystkie pouczające i według możliwości rozwijające.

Nastał czas, kiedy Abel wybujał nieco w górę i żarłocznie rzucał się na jadlo, jednocześnie odstąpiła go ochota do pracy, rozpoczął wczesnie lata wyrostka. I źle się dziać poczęło Ablowi. Wydawszy swą gotówkę, nie mógł już sobie dłużej prywatnie kupować u piekarza żywności, to też najął się wieczorami do inżyniera jako chłopiec do posługi i do rąbania drewna na opał. W tej to służbie będąc, zasmakował w kradzionych przejażdżkach po ulicy, w zawieszaniu się kilku calami kuperka na krawędzi wozu, każdej chwili gotów do zeskoczenia, jeśliby go zoczyli. On, który dotąd nigdy nie dbał o konie i jazdy, chwycił teraz już z oddali turkot wozu i czekał na niego, a niemała to sztuka skoczyć na wóz w odpowiednim momencie.

U inżyniera otrzymywał co wieczór prócz małej zapłaty błogosławionej grubości kromkę chleba, — były mu one dobrą pomocą i wzmagaly w nim siły życiowe.

Miesiąc za miesiącem pozostawał na owem miejscu w ciągu całej zimy, spotykał się także z Edwardem w szkole, ale żadnych przygód z nim nie przeżył. Natomiast przeżył coś z Lidką: w dwunastym roku życia poszedł do niej w konkury.

Znał już przecie Lidkę oddawna jako chwacką dziewczuchę i przywiązał się do niej, teraz w dodatku wypiękniała nadmiernie, a nie obeszło się bez tego, że syn dzwonnika, Reinert, przechadzał się w jej pobliżu, paradując w swych spodenkach po kolana. Abel więc postanowił działać szybko.

Niedziela; oboje znajdują się u Jörgena Rybaka, kury spacerują dokoła nich po małym podwórku, Abel i Lidka gawędzą z sobą. Ona jest w pięknej żółtej sukience, ponieważ to święto, a on ubrany dziś jak i wczoraj i innych dni, — ale o tem Abel nie myśli. Ona tłumaczy mu właśnie, iż pojąć nie może, jak to Ragna Gryn-Olsena dotąd jeszcze może się bawić lalkami. Gdy spojrzę na swą lalkę, to nawet nie chce mi się więcej okiem rzucić na nią.

Wtedy to pomyślał Abel, że skoro ona aż tak wyrosła, to nastąpił wielki czas do czynu, — wyłożył więc swą sprawę serdeczną. A chociaż starał się mówić bez ogródek i wypowiedział wszystko co trzeba, nie zrozumiała go Lidka odrazu, lecz jąła przepytywać. Była to dla niego najsroźsza chwila. Nie dlatego, aby wątpił co do jej odpowiedzi, powie mu „tak“ odrazu, tyle przecie z sobą w życiu wspólnego mieli. Ale ona, usłyszawszy jego sprawę raz jeszcze, zmarszczyła brewki i rzekła: — Nie. — Poprostu nie.

Spojrzał na nią badawczo, czy jest trzeźwa.

Lidka stała, i widać, dumiała, a przekładała sobie i była nieco zła na konkurenta, zaprawdę. Przyjaźnili

się z sobą i dobrze znali wzajemnie, ale zaręczyć się z nim — nie. Prawda, że kawalerem był jeszcze i pod tym względem nic na przeszkodzie nie stało, ale zaręczyć się z nim naprawdę — nie.

O, te kobiety! Niestety, prócz miejsca chłopca do posługi u inżyniera nie posiadał on narazie nic, z czemby mógł przystąpić do założenia sobie domu, ale mógł jeszcze awansować, — kto mu to wzbraniał awansować? I nie powinna też prześlepiać, że miał zamiary poważne, a Bóg wie, czego się spodziewać należy ze strony Reinerta w spodniach po kolana! Lecz te kobiety! — Nie, — rzekła więc i potrzęsła głową.

— Tak, tak! — odpowiedział jej na to.

Stał przed nią zawstydzony, nie mogąc się nawet zdobyć na to, by odejść, a najchętniej zapadłby się w ziemię. Co miał uczynić? Zdjąć może czapkę i ukłonić się — szanowna pani! Musiał wszakże wypowiedzieć jakieś słowo, jakieś pożegnalne słowo, tem bardziej, że ona przecie nie była do cna zepsuta. — Tak, tak, do widzenia! — rzekł. Ale gdy chciał podziękować jej za wszystko, nie mógł się zdobyć na to i czuł, że twarz mu się wykrzywia — i... och, jakże mu żal było Lidki z powodu całej tej nędzy i zmartwienia, które ją z pewnością spotkają w przyszłości z Reinertem!

Dobrze to podcięło jego odwagę życiową. Nie pomagały już teraz nawet kromki u inżyniera, schudł do kości, ziałł wiecznie, nie miał chęci do niczego, przesiadywał w ukryciu po ciemnych kątach i marnował się w swym smętku i zniechęceniu. Były to najgorsze miesiące, jakie przeżył. Szkołą i lekcjami — tak, zajmował się w miarę, akurat tylko tyle, ale rybołówstwem — ani śladu. Nikogo, komuby się zwierzyć, — sam jeden w pustyni wśród łachmanów i frasunku. A czy

Lidka żadnego nie czyniła kroku do zbliżenia się? Więc tak go szybko zapomniała? Tak jakoś wyglądało. Unikała go widocznie. Co łatwiejszego dla niej, jak wykazać, że i ona czuje się zdruzgotana? — ale nie, nigdy nie przybiegła do niego, nigdy nie wyraziła skruchy, ani padła na kolana.

Poprosił ojca, aby mu pozwolił konfirmować się jak najrychlej i oddał potem do szkoły wojennej. Ojciec pogadał z nim i był nie od tego, lecz — jeszcze na cię ździebko za wcześnie, — rzekł, nie tak bardzo, lecz ździebko, musi upłynąć jeszcze kilka miesięcy, a kilka miesięcy rozwieją się jak dym! już to Abel zobaczy! Wnet nastąpi wiosna i będzie mu wolno wyjechać z ojcem w daleką wyprawę, na Wielkanoc lub Zielone Świątki.

Ale Abel nie dbał o daleką wyprawę, najchętniej przesiadywał w swej dziurze i ślęczał. Naco mu teraz morze, łódka, jaja z placu legu, drzewo splawiane i przygody! Daleko, daleko był od tego wszystkiego, zagnany w miejsce ciężkiej ciszy, — ten mały krążownik.

Przebiedował zimę. W domu przebywał tylko podczas nocy, dniem miał szkołę, od czasu do czasu jakąś uśmiercającą lekcję, wieczorami — swe miejsce u inżyniera. Biedny mały bojownik, dobrze, iż to wytrzymał! Franek, brat jego, szedł przecie swą prostą drogą, nie zbaczając ani na lewo ani na prawo — co za różnica między braćmi! Pozostał wciąż jeszcze pilnym chłopcem i dotąd zachował swe bezpłatne miejsce w szkole. Wszak był światłem, wszyscy widzieli blask jego i wszyscy przyznawali, że mają przed sobą coś niezwykłego. Co za różnica między braćmi! Byli jakby nie z tych samych rodziców. Owszem, Franek miał tych samych rodziców, lecz — zaprawdę, — rodzice jego wydawali się jakby nie jego krewnymi. W własnym domu, w izbie rodzi-

cielskiej, wydawał się jakimś osobliwym, takim poważnym, takim delikatnym, a pilnym, względem Abła zaś nieźnośnie dorosłym: — Powinieneś już o tem wiedzieć w tym wieku — mógł się do niego odezwać językiem nauczyciela. Zaprowadził sobie zwyczaj wdrażania Abła z niepotrzebną dokładnością w pewne uprzejmości: — Kiedy nauczyciel wchodzi do klasy, to powinieneś powstać i skłonić się, a kiedyś to uczynił, to nie stój dłużej, lecz usiądź z powrotem. — Małpa! — rzekł Abel.

Skoro Franek zdał egzamin szkoły preliminarnej, powstało pytanie, jaką ma sobie drogę obrać? Jaką ma sobie drogę obrać, — on? Ależ tę samą co i przedtem, jakżeby inaczej! Czyż można było przygasić jaśniejące światło? Nie za zgodą odnośnego osobnika, jeśli on jest tym, co się zowie! Ale nim się losy jego rozstrzygnęły, udał się Franek za poradą dyrektora szkoły i doktora na pokrzepiającą wycieczkę w góry wraz z innymi młodzieńcami, którzy również uczyli się zbyt usilnie. Przed wyruszeniem w drogę, zważył pieczołowicie swe zapasy żywności na wadze, ujął nieco i przyłożył nieco, przestrzegając ilości jak najdokładniej; zważył też w ręce buty i stwierdził, że są ponad przepis ciężkie, — ale niech tam.

Gdyby i Abel pracował i uczył się aż do zapamiętania, to i jego nie minęłaby ta wycieczka, a dobrzeby mu posłużyła, pokrzepiłaby go doskonale. Ale Abel nie był z tego gatunku, — jeszczeby tego brakło! — a w dodatku narazie pogrążony był w smutku i beczynności.

Pewnego dnia rzekł do niego Edward, że teraz znów powinni wypłynąć na morze, bo wielka chmara szczupaków morskich przyplęnęła z oddali. Abel okazał się zniechęcanym i niechętnym do niczego, musiał go towarzysz namawiać całą godzinę. I mimo to nie udało mu się

pociągnąć Abla bez pogróżek. Rzecz się miała tak, że Abel okazał się nader niedołężnym w przerywaniu stosunków i porzucaniu raz objętego miejsca, gdyby zaś miał powrócić do połowu ryb, musiałby wymówić służbę u inżyniera. Miał tam wprawdzie nędzną zapłatę, inżynier rządowy też nie otrzymywał wielkiej gaży i sam siedział w tarapatach, ale nie skąpiono w jego domu okazałych kromek, i zresztą wszyscy odnosili się uprzemie do Wiewiórki, — mógłże więc ni stąd ni zowąd powiedzieć mu: żegnam? Wiedział Abel, że nie obejdzie się bez ściśniętego serca, odkładał więc decyzję z dnia na dzień.

Tedy Edward rozgniewał się i rzekł, że sobie poszuka innego towarzysza.

— Dobrze. Ale skąd weźmiesz łódkę? — zapytał Abel.

No, więc Edward znów spotulniał, bo łódka należała do Abla, do Olivera.

I po raz pierwszy od dłuższego czasu mógł sobie Abel zatriumfować, mógł sobie stać i strzyknąć, jak dorosły, ślinę na ulicę, czując się czemś więcej, niż niczem. A Edwardowi, temu bratu Lidki, dobrze tak, bardzo dobrze!

Jednakże i on miał pewne przywiązanie do swego dawnego towarzysza, a gdy rozmyślił rzecz głębiej, wziął na odwagę i odmówił służbę u inżyniera. Wszystkoby mu poszło jako tako, gdyby nie to, że go pani trzymała tak po macierzyńsku za rękę i rzekła: — Biedny Abelku, taką masz chudą i drobną rączynę! — Wyszedł na ulicę oślepiiony łzami. Ktoś zawołał na niego: — Hop, hop, a co, byłeś tam, sprawili ci lanie? — To była Pluskiewka.

Znów więc siedział na bartnicy i zwolna powracał do siebie samego. Patrzajcie, już się był z niego zrobił

prawdziwy rak ładowy i fornał, na łódkę uzdeczkę zarzucił i pojeźdżał nią jak koniem, a gdy nadpływała nieco większa fala, to siadał znów dwoma calami ku perka na ostry kant łodzi i chybotał się, dla utrzymania równowagi. O, tak, dobrze znane im to wszystko, towarzysze znów mieli życie przed sobą i znów zarabiali grosze. Kupiec Dawidsen był nowym i świetnym do interesów człowiekiem: sprzedawał im wspaniałe sznurki i brał w zapłatę ryby. Żaden rybak nie miał lepszego od nich rynsztunku. Po upływie tygodnia Abel, zobaczywszy wóz, nie czuł już żadnej pokusy.

Ale długo jeszcze nękało go wspomnienie o Lidce; nakładał drogi, aby uniknąć spotkania z nią i nie wymieniał jej nigdy. O, nie, lecz udało mu się raz doprowadzić do tego Edwarda, żeby o niej zagadał, wypowiedział bodaj jej imię. Abel pyta:

— Czy to nie Alinka tam idzie?

— Gdzie?

— A tam. W tej żółtej sukni.

— Nie. To przecie Lidka.

Dawnemi czasy, gdy szła po zakupy i przypadkiem spotkała go na drodze, powierzała mu noszenie dla siebie ciężkich przedmiotów, — teraz i to już minęło, on się też jej więcej nie nastęrczał. Niech ją tam! A szczególnie teraz, gdy nauczycielka tańców znów powróciła do domu i Lidka rozpoczęła lekcje tańca, a Abel nie, szczególnie teraz rozeszły się ich drogi. Los stanął pomiędzy nimi.

Dwa tygodnie upłynęły, a obaj chłopcy o niczem więcej nie myśleli, jak o morzu. Szkoła wojenna Abła może była i dobra, dużo roztrząsali tę ostateczność, ale wnet się dowiedzieli, że szkoła wojenna znów się składa z nauczycieli i z lekcyj. Nie, niechby tylko zo-

stali konfirmowani, to się wynajmą na jaki statek i wyjadą na morze. Jedyna to droga życia dla mężczyzny.

— Komu mamy dziś wieczorem dostarczyć ryb? — pyta Edward.

— Dziś wieczorem zabiorę z sobą cały haczyk do domu — odpowiada Abel.

— Nie chcesz sprzedać?

— Nie. Bo ojciec prosił mię o porcję ryb na wieczerzę, Franek powrócił do domu.

Edward, pogrążony na chwilę w myślach: — Aha, więc przyjechał do domu. Ale, jak myślisz, jeżeli on zostanie księdzem, to może nas przecie potępić?

— Potępić? Doprawdy może potępić?

— Bo przecie uczy się zaklinać.

Franek stał się dla nich obu czemś mistycznym i napoły niebezpiecznym. Nie warto może było zadawać się z nim wiele.

XI.

Cóż to za nowy szyld wywieszają nad drzwiami kantoru konsula Johnseny? Znów jakaś tarcza czy herb, — czyżby naraz otrzymał szlachectwo? Nie, został konsulem belgijskim.

Ledwie zmiarkowali, że tam o coś zabiegał i miał coś na widoku, a więc widać to, że zapragnął być dwakroć większym od innych konsulów, dubeltowym konsulem. A jakże wielkie miało to znaczenie, że przybył mu jeszcze jeden herb na ścianie, a pani Johnsenowej pierścionek z kamieniem na palcu!

Gdy dyrektor szkoły przeczytał nowy szyld, otrzepał pył ze swego wytartego fraka i udał się do dubeltowego konsulatu. Kuty z niego człowiek, że wybrał tę chwilę do pomówienia z konsulem.

Powinszował mu w pięknych, pełnych szacunku słowach: — Pan konsul został zatem obrany na męża zaufania jeszcze jednego państwa.

— A tak, owszem. Zresztą — z tem tylko robota i wcale nie tak małe wydatki. Ale trudno się było wykręcić. Przechodząc do czego innego, muszę podziękować panu dyrektorowi za Fię. Cieszę się, że już po egzaminach. Mogło jej się być wprawdzie powieść nieco lepiej, ale już na to rady niema, zresztą nauczycielką nie zostanie.

— Tak pan mówi o tem? Fia mogłaby z łatwością zostać nauczycielką, i to nauczycielką wielu przedmiotów, pouczać innych, ależ owszem. Panie konsulu, przychodzę dziś do pana, jako do człowieka pierwszego pod każdym względem, mam do pana prośbę.

— No?

— Prośbę poważną. Chodzi o ucznia, który nie powinien przerwać swego świetnego rozwoju i zniszczyć. Mowa tu o Franku, synu Olivera.

— I co mu się stało?

— Dawał mu pan rok po roku odzienie i wykazał pan wielkie zainteresowanie się całą jego rodziną...

— Ależ całkiem nie! — przerywa konsul.

Dyrektor patrzy na niego ze zdumieniem: — Z początku miał pan jego matkę...

— Na służbie. Owszem, Petra służyła u nas.

— Tak. A potem dał pan i ojcu zajęcie. Myślę więc, że dobrodziejstwa pańskie względem rodziny były liczne i wielkie. Ale oto Franek potrzebuje teraz pomocy, potrzebuje jej w najwyższym stopniu i to natychmiast. Pomóż mu pan dalej, panie konsulu!

Z początku konsul wcale nie był zachwycony tą propozycją, przeciwnie, zmarszczył czoło. Pierwszy człowiek w mieście osiągnął już wszystko, co mógł osiągnąć i śnać chęci nie miał być większym jeszcze aniżeli był, dlatego też rzekł: — Jeśli pan wylicza moje dobrodziejstwa — jak je pan łaskawie nazywa — czy sądzi pan, że jest to powód, aby raz jeszcze zwrócić się po nie do mnie?

— Chcielibyśmy chętnie uzyskać przedewszystkiem pierwsze imię w mieście, potem postaramy się o inne. Jesteśmy całkowicie świadomi, że — tak, że

my teraz — nadużywamy uczynności człowieka, któremu wprost trudno powiedzieć „nie.“

— Czem ma chłopak zostać?

— Może zostać czem zechce, taki z niego pilny i gorliwy uczeń. Ale głównie wielką ma łatwość do języków.

Konsul namyśla się, wpatruje w powietrze, i znów myśli, poczem mówi te dziwne słowa: — Moznaby sobie źle tłumaczyć, gdybym znów użył pomocy rodzinie.

— Źle tłumaczyć?

— Dałoby to powód do gadania. Nie słyszał pan, że ludzie przebąkują to i owo?

— Co takiego?

Konsul zaczyna z innego tonu. A więc dyrektor nie zasłyszał nawet o pewnym policzku. Mówi przeto: — O tak, przebąkują, — trudno tego uniknąć, — że czynię swe małe dobrodziejstwa jedynie z chęci wywyższenia się.

Dyrektor nigdy nic podobnie głupiego nie słyszał, nigdy. O, tak, lecz człowiek, jak konsul, powinien wznieść się ponad to, wznieść się ponad to aż w obłoki. — Wszystkie lepsze żywioty w mieście są po pańskiej stronie.

Rozprawiają o tem dalej, a konsul jeszcze zupełnie jest spokojny co do plotek, co do mniemania ludzkiego, ale wkońcu ulega nieco i mówi: — Ano nie odmówię i ja podania ręki.

Z kolei dyrektor szkoły stał się może nieco niespokojny, ale dał temu wyraz w bardzo ostrożny sposób: — Dziękuję tysiąckrotnie, wiedziałem przecie, że nie na próżno tu przyjdę. O, nie zbywa tu ludziom możliwym na okazji do wykazania swej wielkości. W przeciwnym

razie niezwykle dary zaginęłyby zarówno dla życia duchowego, jak i dla kraju.

— Jakto, nie życzył pan sobie tylko podania ręki?
— pyta konsul.

— Ależ tak, właśnie. Tego wielkiego czynu, który pan konsul nazywa podaniem ręki. Chodzi zatem o roczną zapomogę w czasie studjów chłopca.

Tak wysoko nie myślał się chyba konsul zaangażować i rzekł: — Tja! — kołysząc z niechęcią głową.

Ode drzwi rozlega się pukanie urękawiczoną dłonią i pani konsulowa Johnsen wchodzi do pokoju: — Przepraszam, odejdę niezwłocznie!

O, czyż to nie najgorsze ze wszystkiego, co się przytrafić mogło konsulowi, że pani weszła akurat w tej chwili! A dyrektor szkoły z całą naiwnością wtajemniczył ją niezwłocznie w wielkie plany co do chłopca Franka. — Ach tak, — rzekła pani, — tak, tak, — rzekła.

Ale obecność jej właśnie na dobre wyszła planom. I pani Johnsenowa, widać, w podniosłym dziś była nastroju, w dniu, w którym została dwakroć większa od innych pań. Spojrzała tylko na męża i rzekła:

— Tak, w tym wypadku musisz chyba ująć się za chłopcem.

Uczucie ulgi przeniknęło konsula, niewiadomo nawet z jakiego powodu. Miał więc w niej poprostu sprzymierzeńca swego dobroczyнного opiekowania się rodziną Olivera. — Wielkie to szczęście posiadać żonę tak rozumiejącą męża — rzekł. — Chciałem właśnie posłuchać twego zdania, Joasiu.

— Szanowna pani cześć sobie przynosi! — wykrzykuje dyrektor.

Czyżby jej to za wiele było, czyżby tyle znieść nie mogła? Zgłupiała całkiem z tych pochwał i zapytała: — Czy chłopak już confirmowany?

— Ma właśnie teraz iść do confirmacji. I życzeniem naszym było, żeby jednocześnie wstąpił do gimnazjum.

Konsul pyta: — Kogoż to chciał pan jeszcze prosić o pomoc?

— Obu konsulów, Olsena i Heiberga...

— Nie uważam tego za potrzebne — mówi pani.

— Nie, nie, może i nie. Myśleliśmy jeszcze zwrócić się do adwokata Fredryksena. Dom Olivera jest jego własnością, zapewne zgodzi się podarować go na ten cel.

Ale konsul Johnsen takiego nabrał rozmachu dzięki zachowaniu się żony, że ruszył ramionami i rzekł: — Ach, taki tam adwokat! — Szasta się tylko i politykuje, chcąc się dostać do parlamentu. Niechże go pan zostawi przy tem zajęciu, do niczego lepszego on się nie zda.

W tem miejscu dyrektor uśmiechnął się z szacunkiem i wyraził swą zgodę. Wymienia następnie Henryksena, chcąc właśnie Henryksena też przyłączyć do tej sprawy.

— Którego Henryksena? — pyta pani.

— Henryksena na Dokach.

— Ach ten. Żona jego niekiedy pisze się Hendryksen.

— No, z tego niema się znów czego śmiać — mówi konsul, aby powściągnąć swą żonę.

Ale pani widać nie znosi dziś wiele, więc też znieść nie może, żeby ją kto powściągał; mina jej sztywnieje.

Konsul ciągnie dalej: — Ale rzeczą najgłówniejszą jest, że zgola niewiadomo, czy Hendryksen wogóle może dać coś na cele dobroczynne.

Pani śledzi z uwagą: — Tak, tego my wiedzieć nie możemy. Nie stykamy się z nimi zupełnie.

Dyrektor siedzi jak na żuźlach, nim udaje mu się znów załagodzić sprawę. Wszyscy troje mówią o Henryksenach na Dokach i godzą się, że są to pospolicie dobrzy ludzie — na swój sposób, ale nieco poza nawiasem, nieco niekulturalni, a on, Henryksen, zagląda do kieliszka.

— No — przerywa pani wreszcie — przyszłam do ciebie tylko na chwilę, po papierek.

Konsul podchodzi do kasy. — Jeden papierek? — pyta.

— Tak. Byleby tylko dość duży.

Po odejściu pani, konsul siada z powrotem i naradza się z dyrektorem: — Roczna zapomoga, tak. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o podaniu ręki. Czy mówił pan o tem z doktorem?

— Tak. I on również chce według sił służyć pomocą. Ale wielkich kapitałów nie posiada.

— E, co on tam mieć może! Nie, słuchaj pan, mogę panu odrazu powiedzieć, co myślę: ja opędzę wszystkie te wydatki. Może pan iść do domu, panie dyrektorze, i spać spokojnie.

— O!

— Tak, uczynię to — powtarza konsul i powstaje. Udzielię tej rocznej zapomogi, tego podania ręki, sam.

Dyrektor podniósł się również i bełkoce oszołomiony: — Poznają teraz pana konsula!

Widzicie! tak to chłopaczysko Franek zbawiony został od ugrząźnięcia w swem otoczeniu, w ciemności, z której się był dźwignął. Wszystko zostaje ułożone, dyrektor może triumfować, może zatrzymać na ulicy każdy lepszy żywiół miasteczka i opowiedzieć nowinę, może osobiście pójść do domu Olivera ze swą wiadomością.

mością. Radosny to dzień dla niego, czuje się, jak gdyby raz jeszcze dobrze mu się udał dzień egzaminacyjny. Nie znał bogatszej radości nad tę, którą daje czynienie tego rodzaju dobra i wykazanie wyższości nauki i książki. To jest jego rzemiosłem i jego namiętnością. A jedną namiętność musi przecie człowiek posiadać, — niektórzy idą przez ogień i wodę, aby wolno im było konjugować czasowniki.

Dyrektor szkoły spotyka gromadkę młodzieży szkolnej, powracającej z wycieczki w góry. Gromadka znużona jest ruchem i trudem, poraniona, opalona słońcem, zgorszona złośliwymi bykami i chłopami. Dyrektor szkoły zostaje poznany zdaleka, gromadka kłania mu się, rękami macha. Najstarsze z dzieci już się go pozbyły. On to przewodniczył ich torturom w ciągu całego dzieciństwa. O, czynił to tylko dla ich dobra, uzbrajał ich na życie, przygotowywał do rolnictwa, rybołówstwa, hodowli bydła, do handlu, przemysłu, sztuki, życia rodzinnego, do marzeń i bogobojności, — ale teraz pozbyli się go już, zdali egzamina i odtąd zaczną już używać swego rynsztunku w walce życiowej. Idąc tak, przechowują sumiennie w swych małych mózgownicach miarę powierzchni Szwajcarji i daty wojen punickich, a na góry wdrapują się z następującymi wiadomościami z historii naturalnej w swem sercu: Ryby należą do kręgowców! Powracają do domu, kulejąc, pierwszy raz doświadczywszy na sobie, co to jest słaby obieg krwi. Dyrektor szkoły spotyka ich, spotyka owe dzieci, które może zamiast tego czem są, powinnyby raczej być w lachmanach, lecz na swobodzie. On sam jest starym człowiekiem z mózgiem konfirmanta, napół wygłodzony i w wyszarzanem odzieniu, frak jego wisi na nim, jak na wieszadle, strzemiączko wystaje mu na karku, ale

on, — dyrektor szkoły, — dyrektor szkoły w wielkiej kamienicy — nadchodzi.

— Jakże wam poszło na wycieczce?

— Tak a tak, byki, chłopci...

— Trza być wyższym ponad to, wyższym o całe niebo. Czy chcecie posłuchać radosnej nowiny?

— Tak, tak.

— Franek zostanie gimnazjastą!

Niektóre z dzieci są tak mądre, że udają, jak gdyby to była najradośniejsza nowina, którą usłyszeć mogły, kilku chłopców odnosi się obojętnie, inni znów czują zawiść. Weźcie na przykład Reinerta w spodniach po kolana, — czy mu to łatwo wyrazić radość, jemu, który też wie co należy o rybach i ma wyraźne zdolności do języków! Chłopiec Franek we własnej osobie nie bez zainteresowania odnosi się do nowiny, opalona twarz jego okrywa się na chwilę ciemniejszym jeszcze rumieńcem, ale nie pada on na kolana. Nie, bo już i dawniej odbierał podarki, pomagali mu i podtrzymywali inni w ciągu całego szeregu lat; nigdy nie był zmuszony sam szukać wyjścia, na wszystko znalazła się rada, wszystko musiało się jakoś ułożyć! Miał go więc teraz szczególnie wielka radość przeniknąć? Jego, Franka? Chłopiec przecież nigdy wesół nie był, ani jednego dnia. W szkole zawsze uczył się gorliwie i radował, gdy ludzie okazali szacunek jego pracowitości i ambicji — to wszystko. Nie, nieznanne mu owe płomienne wybuchy, nigdy zgóry nie spadał nadół, nigdy ze dna nie wypływał na powierzchnię, nigdy nie narażał się na nic i nigdy nie miał przeciw czemu walczyć; zamiast wypłytywać się z kłopotów — unikał ich raczej. Mądre postępowanie, ubogie postępowanie. Bóg stworzył go na filologa.

Dziękuje kolegom za towarzystwo i wędruje do

domu. Na wieczerzę otrzymuje talerz świeżej ryby, która mu dobrze posłuży. Przyszedł ojciec, Abel dziwnym trafem też raz pozostaje z rodziną; stare, do niczego niezdatne kocisko, czując rybi zapach, krąży dookoła i miauczy.

Do izby, rzekłbyś, coś obcego wstąpiło — Franek, jako bardziej jeszcze niezwykła osoba. Zostanie rychło potwierdzony i wyjedzie. Babka niemniej na tę wiadomość i odnosi się już do niego, niby grzeszna owieczka względem księdza. Może myśli sobie, że jej się to przyda kiedy, w konfesjonale.

Oliver siedzi za stołem z najmłodszą dziewczynką na kolanach. Petra z przednajmłodszą, tą niebieskooką. Wszyscy zajadają. Oliver jest nieco jakby osowiały, zaiste, gawędzi z dziewczuszką, aby zmniejszyć cokolwiek uroczystość chwili. — Maleństwo moje, — mówi tatusina dziecina, niewielkie to i nie straszne, takie tylko sobie dobre maleństwo. — Czyjaś ty córeczka? Tatusina, tak wiedziałem ci ja. — Od czasu do czasu kładzie dziecku w buzię kęs jaki, ale zresztą myśli tylko o sobie. Może on — Oliver — pożreć niesłychane mnóstwo, jeśliby tylko Petra nie wykazała stanowczego sprzeciwu. — Tak, tak, możemy Ablowi podziękować, że mamy dziś wieczorem rybę na wieczerzę, — mówi Oliver.

Jakby to co ważnego było, a nie zgoła obojętne!

Petra pochłonięta jest zdarzeniem domowem i każe Frankowi odpowiadać sobie na swe zapytania.

— Gimnazjum! — mówi Oliver z godnością i kiwa głową — tak, to jest droga! — Ale brak mu, niestety, rozumu, aby roztrząsać tę kwestję dalej i, zaledwie skończywszy jedzenie, bawi się znów z dzieckiem i daje mu białą figurkę anioła, jako lalkę. Patrzajcie, niewiele już pozostało z cacek na komodzie, za dużo używano

ich do zabaw dziecięcych, a co się tyczy małego lusterka w ramie mosiężnej, to nie zaprzepaściło się ono nigdzie, jeno Oliver je ściągnął, aby się w niem przeglądać w składowie. O, ten docna zepsuty człowiek, ten niewieściuch, on używał lusterka do przeglądania się!

Wyczekuje chwili, kiedy będzie miał więcej posłuchu i siedzi, gotów do objawienia czegoś. Z jaką to się nowiną nosi? Że Johnsen w Przystani został dubeltowym konsulem? Tak, i to także, to jest po pierwsze. Ale nagle mówi do Petry: — Opowiadali sobie, że będzie wielkie przyjęcie u Johnsenów.

Od czasu do czasu zdarzało się, że Oliver przychodził do domu z wiadomością, jakoby u Johnsenów potrzebną była pomoc Petry: pani coś napomknęła o tem, Szeldrup szepnął jakieś słówko, sam konsul nawet miał dla niej robotę. Niekiedy były to płonne słowa, jakieś „nieporozumienie“ ze strony Olivera, bywało jednak i tak, że wszystko okazywało się czystym jego wymysłem. Ale za każdym razem, kiedy Petrze przynoszono podobne wieści, kładła na się paradne suknie i wychodziła; nikomu to przecie nie szkodziło, a jej w każdym razie dostawała się wolna godzinka.

— No, znów mają mieć gości? — pyta.

— Chyba że tak. Przecie został dubeltowym konsulem. Już się tam wszystkiego dowiesz.

— To może i mnie potrzebują do pomocy?

— Tak. A może nawet kazali ci przyjść dziś wieczorem, by wyszorować podłogę w kantorze. Nie dosłyszałem tak akurrotnie.

Petra wychodzi. Babka zostaje przy dziewczynkach, lecz pozatem dom się opróżnia. Oliver wymyka się za swą żoną i zazdrośnie uważa, czy aby naprawdę kieruje swe kroki ku Johnsenom. Ale ona przywykła

do tego, wie, że na każdym rogu ulicy ma go tuż za sobą, więc stara się zażegnać wszelki skandal, nie zbaczając ani w prawo, ani w lewo.

Abel też nie pozostaje w domu. Znalazł był sobie wytworne biczysko i schował je pod kamieniem przyzby, teraz je wyjmuje z kryjówki i ogląda badawczo; jest to plecione biczysko, giętkie a poręczne, więc kombinuje natychmiast, do czego mu służyć może, w każdym razie może przecie chodzić, trzymając je w ręce i trzaskać z niego w powietrzu. W jednym końcu siedzi ozdobna skówka mosiężna. Zna miejskich stangretów, i mniej więcej domyśla się, kto zgubił biczysko, ale Abel, niestety, nie znajduje się w tem usposobieniu, aby uczciwie odnieść je właścicielowi. Udaje się z niem do Jörgena Rybaka.

O, że też on nigdy nie może zaprzestać krążenia wokół tego domu, tego raj, z którego został wygnany! Że też Edward nie mieszka gdzie indziej!

Czy to zresztą nie Edward przechodzi właśnie ulicą w końcu tej pierzei? I czy to nie inżynier nadchodzi w jego stronę — więc może Abel poskoczy i, mijając go, dogoni swego towarzysza?

— Dzień dobry, Ablu! — mówi inżynier. — Posłuchaj-no, mam podejrzenie, żeś to ty mi parokrotnie zawiesił na drzwiach haczyk ryb. Chcę ci zapłacić za twą rybę, — mówi i wyjmuje sakiewkę.

— To — nie... mówi Abel i zacina się.

— Co? Moja żona jest całkiem pewna, że to ty.

— To nie było tak wiele sztuk — mówi Abel.

Inżynier wtyka mu koronę, bo nie ma on wielkich kapitałów do rozdania.

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony — mówi.

Rozchodzą się każdy w swoją stronę i Abel kieruje się nadal ku domostwu Jörgena Rybaka, ale oczy jego zwilżyły się nieco po słowach inżyniera.

Kury powskakiwały już na grzędę, podwórko zaległa cisza. Ale gdy Abel wsuwa tam głowę i dostrzega Lidkę, woła na chybił trafił: — Edward!

Lidka odpowiada: — Ach, jakżeś mnie przestraszył, ty wronię szkaradnel!

— Wypatruję tylko Edwarda!

— Chodź tu! Edward dopiero co wyszedł. Co trzymasz w ręce? Edward był w domu, najadł się i znów poszedł. Chodź tu, słyszysz!

— Sama jesteś wronię! — mówi naraz Abel. — Omyłka jest wykluczona, słyszy swe słowa na własne uszy.

Lidka klęczała dotychczas przed krzesłem pokrytem przyborami do pisania, ale teraz wstaje i niema już w niej ani trochę złości, jeno żal za swój porywczy wyraz: — Nie gniewaj się już o to! — mówi i robi minę, jakby znów chciała uciec się do płaczu — jak zwykle.

Któżby się temu ostał! Abel żenuje się jeszcze pocieszać ją otwarcie, ale posuwa się aż tak daleko, że pyta: — Coś tu pisała?

— Listy. Spójrz, jakie mam palce! — mówi Lidka i wyciąga ku niemu atramentem powalane palce. — Ach, ty wielki świecie, jak ja wyglądam! — krzyczy i otrzepuje piasek ze swej sukni.

Między nimi zgoda już zupełna i Lidka puszcza w ruch swą gębusię: — Możesz się cieszyć, że nie masz tyle listów do pisania. Czy ty umiesz pisać listy?

— Nie wiem tego.

— Na lekcjach tańca poznałam tyle przyjaciółek, do których muszę pisać listy. Czy to laskę trzymasz w ręce?

— Nie widzisz sama, co to jest? To służy do trzepania sukien. To jest trzepaczka do sukien.

Lidka gnie biczysko i próbuje w powietrzu i głową przytakuje, że jest wspaniałe.

— Możesz je sobie wziąć — rzekł Abel.

Rzecz była załatwiona.

Gawędzą o tem i o owem, a Lidka udaje dojrzałą i dorosłą: tyle ma pracy do wykonania podczas dnia, że wieczorami pada ze znużenia od wszystkiego tego szycia i prasowania w domu. — Czy wiesz, o czem myślę?

— mówi nagle.

— Nie.

— E, wszystko jedno zresztą. Ale zaraz mamusia na mnie zawoła, więc wtedy już za późno będzie, jeślibyś mi chciał coś powiedzieć.

Napadło go to tak znienacka, że poczuł się unicestwionym. Cóż to powinien jej był powiedzieć, o czem to ona myślała?

— Tak! — krzyknęła naraz Lidka głośno i wrzaskliwie w stronę domu i wpadła do wnętrza.

Ale Abel ani dosłyszał, żeby żywa dusza wołała na nią z domu.

Znów nieudały wieczór i czysta rozpacz. W kilka dni później stangret miejski wpadł na trop swego wspaniałego biczyska, przyszedł i odebrał je napowrót. Abel więc został unieszczęśliwiony na całe życie.

XII.

Lata upływają. Młodzież się konfirmuje i strzela w górę, staje się coraz dłuższą i dorosłą, obecnie nawet niezwykle dorosłą, gdyż moda chwilowa nakazuje jak najwyższe obcasy u obuwia.

To też Fia Johnsen szła obok matki prawie tak wysoka jak i ona, piwnooka i blada, śliczne stworzenie; z piegów prawie że już całkiem wyrosła, a długi warkocz opadał jej wzdłuż pleców. Ludzie śledzili całe jej dzieciństwo, pamiętali, gdy się urodziła, nieporównanie, jakto pamiętali, ba, wiedzieli także, jaką sukienkę miała na sobie do konfirmacji, — kobiety mogły wystawać u studni, rozwodząc się nad całą tą wspaniałością. Dobrze to być Fią Johnsen.

Brat Szeldrup przebywał to w jednym kraju, to w drugim i chodził na naukę, współmieszkańcy jego miasta tracili go od czasu do czasu z oka; Fia natomiast pozostawała w domu. Uczyła się tańców i gry na fortepianie, wycierania kurzu i umilania ogniska rodzinnego. Wykazywała ochotę do rysunku i malowania, ona to w domu konsula studjowała ilustrowane dzienniki i czasopisma, ona to malowała paradne talerze, które stały wokół na boazerji wszystkich ścian jadalni.

— Dzieło mojej córki — zwykł był mawiać konsul do swych gości.

Talent swój rozwijała z początku u szkolnego i miejskiego nauczyciela rysunków, później jeździła do większych miast i do stolic i uczyła się coraz więcej, a za każdym razem, gdy powracała z podróży, uśmiechała się bardziej uczenie do swych paradnych talerzy. Zaszła aż tak daleko, że na własną rękę malowała widoki ze swego okna i pejzaże w ogrodzie. Dobrze. Ale Fia była tak młoda i tak żałośnie szczupła, zgoła nie wygłodzona, lecz niedorozwinięta, bez mięśni, bez zajęcia. I do czego miałyby się też ona wziąć, ten talent? Rodziców stać było na utrzymanie jej w domu lub wysłanie gdziekolwiek, według jej własnego żądania, a czy przebywała tu czy tam, zawsze była śliczna i pociągająca i nigdy nie przeskakiwała dwóch stopni naraz, o nie. Ale na tem koniec. Nie potrzebowała żadnej drogi życia. Talent jej nie był koniecznością, życie nie posiadało żadnej powagi.

— Powinna zająć się porządnie pracą — mówi doktor.

Mawiał tak wiele lat z rzędu, złościąc tem rodziców. Pracą? Jaką pracą mogłaby się zająć ich córka?

— Nie zechce jej pan powierzyć roboty pokojówki?
— pyta konsul.

— Nie nada się do tego.

— Nawet nie do tego!

— Nie. Ale zdejmijcie z niej pierścionki brylantowe i przyłóżcie ją do pracy w ogrodzie.

— Do tego mam doświadczonych ludzi. Biedactwo Fia, wszak pracuje ciężko nad swoją robotą, chce teraz pilnie zająć się czas jakiś i urządzić wystawę.

— O Boże! — mówi doktor.

Obaj panowie siedzą w kantorze C. A. Johnseny, w dubeltowym konsulacie, i w ten sposób konsul pozbawiony jest możności udania się w swą drogę.

— Córka moja nie tak przypadła panu do gustu swą sztuką — mówi. — Natomiast kilku krytyków odezwało się o niej bardzo pochlebnie.

— Tak, znamy to. Ale naco, u diabła, dziewczynie ta sztuka, jeśli ona sama jest mizerna?

— Wyrośnie pewnie z tego.

— Nie, to wcale nie tak pewne.

Dziwne, że konsul Johnsen zawsze znosił tyle prawdy od doktora. Że też on w ciągu tych wielu lat nie zdobył się ani razu na energję, aby mu drzwi pokazać. Autorytet lekarski? Co znaczył on dla konsula więcej od innych autorytetów? Oczywiście, społeczne stanowisko i powaga doktora były w mieście kolosalne, trudno przeczyć; ale czy dałyby się w jakikolwiek sposób porównać z konsulem? Zaprawdę, dla wszystkich z osobna zagadką było, dlaczego doktor pozwala sobie mówić tak bez ogródek do potężnego człowieka.

A właśnie teraz miał konsul Johnsen powód do unikania bardziej niż kiedykolwiek wszystkich przykrości. Nie brakło mu ich i bez tego. Mówi więc, starając się jak najmniej urazić doktora: — My, rodzice, ufać musimy, że losy łaskawsze okażą się względem Fii, niż pan, panie doktorze. Czy nie chciałby pan zapalić nowego cygara przed odejściem?

— Owszem, dziękuję, gdy będę odchodził. Gdyby pan pokierował Fią we właściwy sposób, nie miałyby potrzeby czekać na miłosierdzie losów. Jakże to, czy nie ma pan zamiaru wydać jej kiedyś zamąż?

— Sądzi pan, że nie nadałaby się w razie potrzeby do tego?

— Mąż pragnie pojąć za żonę kobietę, a nie malarza.

Konsul mówi z uśmiechem: — Mojem skromnem zdaniem zdąży ona wdrożyć się później w przymioty

mężatki. Ta kwestja będzie aktualna dopiero za lat kilka. Narazie uprawia swą sztukę.

— Przypuśćmy więc — mówi doktor — że nie miałaby ona środków na tę zabawę, wtedy zmuszonaby była wyrobić się na daleko dzielniejszą kobietę. Przypuśćmy także, iż nie zawsze pozostaną jej środki na tę przyjemnośćkę.

Konsul znów się uśmiecha: — Wtedy będzie pan musiał ją utrzymywać.

— Czynię tylko przypuszczenia, jak pan słyszy.

Natręctwo doktora było nie do zniesienia, a gdyby konsul znał rzeczywistą przyczynę tej natrętności dzisiaj właśnie, to jednak możeby, mimo wszystko — mimo wszystko — wskazał drzwi swemu gościowi. Wszak to ów nowy pierścionek diamentowy, który Fia otrzymała, pierścionek z brylantem nie dawał doktorowej chwili opokoju: — Naco to takiemu dziecku, poco to dziewczynce? — Powinna nawet nosić jeszcze krótkie sukienki, tak, powinnyby. I gdzież to się podział ów maleńki, mizeracki pierścionek brylantowy, obiecany doktorowej już przed wielu laty? O, jakżeż to wszystko było smutne i ciężkie, że! Wciąż tylko w kółko to samo, jedno i to samo, dzień w dzień, życie bez radości, brrr!

Ale konsul nie wie nawet, co za walki przeszła para doktorska między sobą, a znalazł widać w mowie swego gościa pewną myśl rozumną, bo sam stał się zamyślony. Fia była jego radością i pragnął nadewszystko jej szczęścia, może poddawał się trochę za dużo jej zachciankom, podróże do miast kosztowały go coraz więcej i więcej, ale kształcenie jej pociągało za sobą te wydatki, nie mógł przecie powściągać córki i zawstydząć wobec nowych przyjaciół i kolegów, których teraz miała. W do-

broci swego serca poczęła skupować obrazy innych malarzy, chcąc im w ten sposób przyjść z pomocą, ale co do tego ojciec założył protest. Do czegożby to było podobne. Budżet ich dość miał wielkie rozmiary, kasa jego nie była bezdenna. Dobrze, Fia pochylila głowę i poprawila się ze swego błędu, ale cichaczem taila w sobie kilka innych — o, kilka drobnych wad, blahostki wobec tych pięknych a chlubnych przymiotów, któremi się odznaczała. Znajdując się między obcymi, zachowywała się elegancko, niby skończona dama, może nawet cokolwiek za wyniośle. Lubila dawać do poznania, że pochodzi z domu o starej kulturze, z gniazda milionera — coś, co po części było oszukaństwem, a po części oszukiwaniem samej siebie. Gdy spóźniła się czasem na statek pocztowy, zwracała się do otoczenia ze słowami: — O, gdyby tu był nasz własny parostatek!

Ach, własny ich parostatek nie mógłby sobie pozwolić na to, aby przewozić pannę Fię, była to zresztą balja, która czyniła tylko ośm mil i naogół zarabiała zaledwie pięć procent, a od czasu do czasu traciła dwa.

I właśnie teraz znów straciła.

Dobry konsul nie zawsze okazywał się dobrym armatorem, to też tej sztuki właśnie miał się Szeldrup uczyć zagranicą. Okazało się, że dysponowanie parowcem towarowym różni się nieco od wysłania po węgiel naładowanej tranem galeasy na Morze Północne. *Fia* nie z każdej swej wyprawy przywoziła zarobek, nie trzęsała się swe ośm mil między jedną pomyślnością a drugą. Ale pomijając już straty pieniężne, *Fia* i pod innym względem stawała się niekiedy krzyżem. Tak naprzykład wszczęły się nagle wśród załogi sarkania, skargi na pokarm, ucieczki, — konsul pojąć nie może, iż

ta sama żywność nie wystarcza już tego roku, tak jak zeszłego i innych lat. Siedzi więc i złości się.

Niesłychana nowina dotarła też do niego, ta mianowicie, że nawet kupiec Davidsen został konsulem — wprawdzie jeno pojedynczym, ale konsulem. Przechodziło to wszelkie granice. Davidsen, który przeprowadził się tutaj z sąsiedniego miasteczka przed dwudziestu laty i dotąd jeszcze uchodził za nowego wśród urodzonych prawdziwych obywateli; który niejednokrotnie sam stał za ladą, usługując klientów; który sprzedawał małe wędki dla dzieci, i wielkie liny, i grube płótno żaglowe do okrętów, — wszystko to rzeczy prostackie, a nie manufaktura i błyszczące wyroby galanteryjne. U Johnseny w Przystani sprzedawcy sklepowi stali w kołnierzyku, u Davidsena zaś wolno im było stać z zakaszanymi rękawami, a ręce ich musiały nadawać się do obracania ciężarów. Złego w tem nic niema, praca nie hańbi nikogo; ale wszak nie tak powinien wyglądać konsulat i reprezentacja.

Czy na tem koniec utrapień konsula? Jeszcze jedno: okazało się, że Oliver, składowy, partoli w robocie. Jakże to? Fuszerował wagą. Na własną korzyść? Ale gdzie tam, na korzyść konsula. Nicby to nie szkodziło, wierna służba nie hańbi nikogo, ale jednak nie należy partaczyć. Rzecz się miała tak, że Mateusz Stolarz przyszedł z kartką na wogę*) grysikowej mąki, a gdy Oliver miał odważyć mąkę, zawieruszył gdzieś, widać, swój tłusty mały palec na jednej szali. Snać pokaźnie ciężki musiał być ten mały palec, skoro Mateusz powziął podejrzenie i udał się do Gryn-Olsena, żeby raz jeszcze mąkę przeważyć. I — akurat jak mu się zdawało: poważny niedobór wagi!

*) Woga = 18 kilogramom. (P. ł.)

No i uczynił Mateusz co mógł najgłupszego, bo opuścił skład z workiem mąki, a powinien był się raczej klepnąć w czoło, niby że „zapomniał“ sakiewki swej w sklepie Johnsen, wywabić stamtąd którego z chłopców sprzedających i sprowadzić z sobą do składu, żeby skontrolował wagę. Ale Mateusz głupi był i prostak, szedł prosto przed siebie ze swym dużym nosem i jął niezwłocznie grzmieć i trąbić na wszystkie strony, i na jaki to pożytek? Leciał po mieście od wagi do wagi i ważył swą mąkę, a nie zapomniał opowiedzieć każdemu, dlaczego. Wkońcu powrócił znów do Johnsen w Przy-stani z wymączonem ubraniem i wściekły więcej, niż zwykle. Zdarzyło się, że i Olaus na Wzgórzu przyszedł do sklepu, a Olaus był dziś pyszny jakiś, nakarmiony gorzalką, napasiony gorzalką. Z początku siedział apatyczny i nieobecny jakby, ale gdy usłyszał historję stolarza, zbudziła się w nim naraz świadomość na nowej podstawie, i on zaczął gębować na cały głos: — Co się dzieje, fałszywa waga?

— Fałszywa waga — rzekł stolarz. — Jakem rzekł!

Subjekt i zarządzający Berntsen psyknął na nich:

— Wy tu takiego hałasu nie róbcie, konsul jest w kantorze.

— Bardzobym chciał, żeby tu wyszedł — rzekł Mateusz.

— Dawać nam tu konsula! — krzyczał Olaus.

— Patrzącie, Olausie, tu macie tytuniu do waszej fajki, i idźcie sobie z Bogiem — rzekł zarządzający Berntsen. — A wy, Mateuszu, chodźcie za mną!

Udali się do składu.

Oliver przyjął ich bardzo uprzejmie i okazał po-błażliwość względem wściekającego się stolarza. Z jakiej przyczyny mieliby oni nosić w sercu wzajemną złość

i fałsz ku sobie? Oliver aż się zaśmiał. Sądził może Mateusz, że on — Oliver — taił za coś urazę jaką do niego? I znów musiał się zaśmiać. Jeśli co w nieporządku z miarą, to stało się to z niedopatrzenia, a może się to przytrafić każdemu.

— Nie pierwszy to już raz zauważyłem — rzekł Mateusz.

Oliver spogląda na niego z podoba i odpowiada: — Co się tyczy tego, to powinienbyś ostrożniej pyska używać. Mogę cię powołać do postawienia świadków.

Subjekt Berntsen waży i dodaje do worka brakującą ilość, dosypuje nawet nadwagę:— Tak masz ważyć Mateuszowi! — rzekł i łagodzi sprzeczkę. — Niedobrze to, żeś latał z workiem po mieście, Mateuszu, mógłbyś tu na miejscu otrzymać zadość twemu prawu.

— Tak, alem się wściekał, bo to nie pierwszy raz.

— Słyszycie to sami, Berntsenie! — mówi Oliver i bierze go na świadka.

Ale Berntsen jest starym kupcem i mądrze sobie postępuje, Mateusz stolarz nie jest złym klientem, a w dodatku majstrem stolarskim, posiadającym czeladnika i chłopca do nauki. Miał także i dom własny, choć nijakiej rodziny, ledwo tylko Marynę Salt, to prawda, lecz Mateusz to nie lada kto i nawet wybrany został do zarządu gminy.

— Nie gorączkuj się, Oliverze — przestrzega Berntsen. — Według tego, co rozumiem, błąd jest po twojej stronie i sądzę, że mogę ci to powiedzieć w imieniu konsula, żebyś wagą nie błędził.

Tak zakończyła się ta sprawa.

Konsulowi całą historję doniesiono; sam on wyższy był, oczywiście, ponad wszelkie podejrzenia, ale złość go zdjęła. No, więc latano po mieście i ważono

raz jeszcze jego miarę! A choćby tylko to, że ktoś odważył się w jego sklepie krzyknąć: — Dawać nam tu konsula! — toć to niczem nie lepsze od sarkania marynarzy *Fii* na pokarm. Nie, dawny dobry duch opuścił już tę ziemię. Wszystko staczało się wdół, granice zapadały się, poczynano ocierać się o niego, mieszać się z nim, doktorowi też się zdawało, że przysługuje mu w jego obecności całkowita wolność słowa. I w dodatku ci konsulowie, wyrastający jak z pod ziemi, na każdej ulicy!

Mógł więc doktor poszukać innej pory i godziny dla wypróbowania cierpliwości konsula, a nie akurat tę chwilę.

Do drzwi kantoru pukają, a że konsul nie odpowiada, woła doktor: — proszę! — Więc i na to sobie doktor pozwala. Nie więcej, jak przed paru laty, byłby konsul Johnsen powiedział: Stop! — bo dawniej nie czuł się tak bezbronnym, obecnie jednak wydawał się z tego czy innego powodu zgnębiony. Czegóż miał się on, do licha, bać? Wiedział coś o nim ten doktor, ten lekarz okręgowy, ten znachor, lub też miał jakiś oręż przeciw dubeltowemu konsulowi?

Wchodzi aptekarz. Jest to drobny, nerwowy człowiek, blady, prawie bez zarostu, zamożny, żonaty, lecz młodzieńczy i bezdietny, w poplamionym garniturze, zalatujący lekarstwami i tytuniem.

— Dzień dobry! — mówi.

— Uważa pan? — mówi doktor. — Ja zaś uważam, że nędzny to dzień.

Aptekarz wita się z konsulem podaniem ręki i dziękuje za przyjemnie spędzony z nim czas ostatnim razem. Następnie podaje również rękę doktorowi i mówi: — Pozwól mi się pan powitać.

— Myśli pan, że na to przystanę?

Taki był widać sposób żartowania tego człowieka; nie przyjął ręki aptekarza.

— Cygaro, aptekarzu! — częstuje konsul. — Poczem bardzo mu pilno ująć kilka wielkich arkuszy na biurku, poczytać w nich nieco, ułożyć według strony i znów rozwichrzyć.

— Zajęty pan, widzę — mówi aptekarz. — Odejdę natychmiast.

— To te konsulaty siedzą mi na karku — mówi konsul.

— A tak, zapewne nie są one tylko dla uciechy.

— Siedzę właśnie i pracuję nad raportami do moich rządów. Jest to, dalibóg, wcale pokaźna robota.

Być może, iż powiedział to konsul nawpół żartem, ale jednak dość godnie i czynił wrażenie, jak gdyby jego obowiązki honorowe były nader wielkiem brzemieniem.

— Pańskie rządy? — zapytał doktor — A to ci dopiero, dostał pan więcej rządów? O ile wiem, ma pan tylko jeden rząd: norweski.

Konsul mógł tyle tylko uczynić: pominąć pytanie doktora i zapytać aptekarza, czy nie potrzeba mu prawdziwie dobrego wina, Maderv, rocznik ten a ten.

— Ile kosztuje butelka? Nie, zbyt to drogo, aby trzymać je w aptece. Ale mógłbym kupić dla swego własnego użytku z pięćdziesiąt butelek.

— Mnie tego nie proponuje! — myślał chyba doktor. — Kramarzu, żydzie! — przemilczał zapewne. — Gdzie obecnie jest Szeldrup? — zapytał głośno.

— W Hawrze. Czemu pan pyta o to?

— Kiedy powróci do domu?

— Sam nie wiem. Pozostanie tam prawdopodobnie jeszcze czas jakiś.

— Już dziewięć miesięcy minęło, gdy ostatnim razem tu bawił.

Konsul przypomina sobie i mówi:— A tak, słusznie.

— Tak, słusznie — mówi też i doktor. Poczem ziewa bez żenady i podnosi się, aby strzepnąć popiół z cygara na wyczyszczoną blachę przed piecem.

— Proszę, tu jest popielniczka — mówi konsul.

— O, przepraszam! — Doktor podchodzi do okna i wygląda na ulicę. Jak wielkie a pewne siebie jest jego lekceważenie, jak może on odwrócić się plecami do dubeltowego konsula!

— Czem mogę służyć dziś panom? — pyta konsul.

Aptekarz dziękuje, odmawiając i woła: — Proszę, chodź pan, doktorze! Nie możemy dłużej wstrzymać pana konsula.

— Przypatruję się dzieciom na ulicy — mówi doktor, nie spiesząc się i nie odwracając. — Mała dziewczynka z piwnymi oczkami, widocznie też jedna z córek Olivera. — Następnie odwraca się i mówi wprost do aptekarza: — Czy nie zauważył pan, że zaczyna tu być mnóstwo piwnookich dzieci w naszym mieście?

Aptekarz wzdraga się: — Taak? Nie, nie wiem nic o tem.

I wczoraj przybył jeszcze jeden egzemplarz.

Aptekarz, wciąż wzdragający się, lecz zaniepokojony i nie posiadający się z ciekawości: — Jeszcze jeden egzemplarz? Ano, co na to można powiedzieć?

— Tym razem znów u Henryksena na Dokach. To znaczy u pani Henryksen. Numer drugi piwnookich u niej.

Aptekarz jak na szpilkach, aby doprowadzić doktora do mówienia dalej:— Co pan mówi! Ależ to niczem

szczeble Jakóba. Jak to tam było z temi czarnemi i białemi szczeblami?

Doktór zapina paltot i z całą obojętnością zabiera się do odejścia. — Co na to powiedzieć można, pyta pan? Nic, trzeba milczeć. Cudu żadnego w tem niema, ani w tym, ani w innym domu, jeno szczerą naturą. Błękitnookie małżeństwa otrzymują dzieci o piwnych oczach — po ojcu o piwnych oczach — obojętne kto to taki.

— Co też pan mówi!

— Co ja mówię... I żadnych w tem niema atawistycznych przypadków. Badałem trochę tę sprawę, w rodach owych ludzi nie było przodków o piwnych oczach i to w wielkiej ilości pokoleń.

— Ależ tam do diabła, mogę na to powiedzieć!

Konsul bierze udział w rozmowie, uśmiechając się od czasu do czasu i mówiąc: — Hm! — A pozatem stoi spokojnie i czeka na odejście panów.

— No, tak, proszę wybaczyć, panie konsulu! — żegna się wreszcie doktor. — A właściwie szkoda, gdyby pan miał już, aptekarz, swą Maderę u siebie, poszedłbym teraz do pana skosztować jej.

— Ach tak, prześlę ją panu przed wieczorem — mówi konsul.

Doktór odzywa się jeszcze ode drzwi: — Proszę, niech pan pomyśli nad tem, cośmy mówili o Fii, panie konsulu. Niech nam rośnie zdrowa i silna! Mam do tej małej, śliczniutkiej damy pewien prywatny feblik.

Konsul pozostaje samotny i bezmyślnie spogląda w swe wielkie arkusze, porządkuje je według stron i znów rozrzuca po biurku. Co za cel mieli ci panowie ze swą wizytą? Czyżby jakie podejrzenie zrodziło się w konsulu co do tego przypadkowego spotkania? Może na-

znaczyli tu sobie schadzkę, aby przedsięwziąć jaki manewr przeciwko dubeltowemu konsulowi?

Wyraz twarzy jego staje się coraz bardziej stanowczy. Gdy aptekarz zapukał do drzwi, doktor zawołał: — proszę, — aby godny jego sprzymierzeniec nie odszedł sobie czasem. Komplot! Spisek!

Konsul otwiera nagle drzwi do sklepu i mówi do Berntsena, swego zarządzającego: — Wypisz pan rachunki dla doktora, prosił o nie!

Ale wydawszy ów rozkaz, konsul nie załatwił jeszcze sprawy i czuje w swej głowie zgoła postronne myśli. Widzicie, nie może on już, jak za dawnych czasów, przyjmować wszystkiego tak lekko, nurtująca jakaś myśl wgryza się teraz w jego serce i tłumi w nim chęć do pracy. Raporty muszą zaczekać, zresztą Berntsen może je napisać.

Podchodzi do lustra, nakłada kapelusz, stara się naśladować swą niedbałą minę z dawnych czasów i zdąża na pocztę z kilku gotowemi listami.

XIII.

Porzucając kantor pośrodku godzin pracy, konsul ustępuje zapewne nastrojowi bezradności, nie może znaleźć sobie miejsca. Znosi sam swe listy na pocztę, używając ich tylko jako pretekstu do wyjścia, — zwykle czyni to jeden z jego chłopców sklepowych. Pod pretekstem również studjowania rozkładu jazdy parowców zatrzymuje się przed ścianą na sali pocztowej, chcąc tym sposobem dać czas personelowi do oznajmienia urzędnikom w wewnętrznych pokojach, że sam konsul Johnsen przyszedł na pocztę.

Pocztmistrz wychodzi ze zdumionemi i pytającemi oczami, czy nie mógłby w czemkolwiek pomóc panu konsulowi?

— Nie, dziękuję. — Zresztą, jeśliby pocztmistrz miał chwilę czasu, niechby zbadał swe książki co do pewnego listu poleconego; list zawierał czek, i konsul od wysłania go nic o nim nie słyszał.

Wchodzą do tylnych pokojów i pocztmistrz załatwia sprawę niezwłocznie, poczem siedzą i gawędzą. Chłodno tu, lekki zapach laku i farby do stemplowania unosi się w powietrzu, na ścianach wiszą kolorowane narysy domów dla ludzi i Boga, oddzielne rysunki wieżyc, wierzei, fryzów, robót snycerskich, pięknych drzwi, kominów, wszystko wytwory fantazji.

Poza oknami, wychodzącymi na ogród, chwieją się bujne krzaki bzu.

Siedzi tu konsul na krześle drewnianem i przysłuchuje się dziwnemu gadaniu, tak różnemu od tego, które zazwyczaj brzęczy dokoła niego. Więc poto tu przyszedł? Naogół przecie pocztmistrz zanudzał wszystkich ludzi na śmierć, doktor umykał przed nim: — Bóg nie obdarzył mię cierpliwością wysłuchiwania wszystkich jego niedorzeczności, — zwykł był doktor mawiać. Jeśli konsul Johnsen siadł tu na krześle, śnać zmęczony się czuł lub wzburzony.

O, ten pocztmistrz gaduła, wielce życzliwy, choć nudny, i serdecznie dobry, nie różnił on się ani trochę od kowala Karlsena, chyba tylko tem, że kowal prawie wcale nie rozmawiał i nie męczył innych, jeno sam był zawsze idjotycznie zadowolony. Zadowolony — na podobnym świecie! Obaj oni nie byli może wiele więcej warci od kobiet u studni — o, oni sami byli niby dwie kobiety u studni, kropla w kroplę, tylko że bajanie ich było na tle religijnem, duszę zaś mieli iście babskiej prostoty. Zdobyli sobie oni mądrość życiową, która pomagała im brnąć przez życie, pocztmistrz doszedł nawet do swego punktu widzenia drogą filozoficzną. Niekiedy wypadki życia dobrze załazy im za skórę, ale nie zdawały się one mieć wpływu na ich poglądy — naprzykład kowal Karlsen, którego Bóg obdarzył wyrodnymi dziećmi, a on mimo to stał silnie przy swem religijnem zapatrywaniu, nie przestając dziękować Bogu za zło i dobro. Nie byłaż to wiara Izraela! Może i naprawdę mają obaj rację, myśleli ludzie, może nawet powinni oni służyć nam jako wzór i przykład, ale miasto z tego powodu nie przestawało być, jakim było, miasteczko pozostało małym pelzającym mrowiskiem, i to chyba

dawało dowód, że życie szło swym torem, naprzekór wszystkim teorjom, może nawet szczególnie naprzekór teorjom religijnym. Czyż więc nie roztaczała się jedynie beznadziejność dla dwóch tych sprawiedliwych w całym mieście? Czemu nie przyłączyli się oni jeszcze do wszystkich innych?

Być może spotkało dziś pocztmistrza coś bardzo radosnego, Bóg raczy wiedzieć, ale rzecz to przecież nie wykluczona; w każdym razie jest on dziś w rozkoszonym humorze. Nie potrzeba wiele, aby go rozweselić, umie on przestawać na małym; z faktu, że najstarszy syn jego zdał przed paru dniami egzamin na sternika i natychmiast otrzymał zajęcie, cieszył się ojciec jak głupiec. Jak gdyby podobne stanowisko sternika było czemś nadzwyczajnym! — Głęboka natura z tego chłopca — rzekł pocztmistrz, jakie on nam listy pisuje! Nie wiem zresztą, które z dzieci naszych jest najlepsze. Weźmy na przykład tego, co to pracuje w rolnictwie. Odklada on sobie z swej pensji i przysyła do domu, aby siostrzyczki jego kupiły sobie piękne buciki. A co to za zuch! Boję się już podawać mu rękę na powitanie, ścisną mię okropnie, haha, prawdziwy niedźwiedź. A powinien pan zobaczyć, jak on potrafi rozdzierzgnąć super liny, paznokcie ma niby obcegi, a czasem to i zęby do pomocy bierze. Trudnoby znaleźć podobne zęby! . . . A Szeldrup wciąż jeszcze w Hawrze?

— Tak! — odpowiada konsul.

— Widzę to po listach, doktor pisał wczoraj do niego.

— Doktor pisał do niego?

— Tak. A Fia, jaka to piękna dziewczyna, ach, jaka piękna i dobrze ułożona! Moja żona stała dziś przy oknie i patrzyła na nią, a i mnie przywo-

łała, bym ją zobaczył. Przepraszam, chciał pan co powiedzieć?

— O nie, już wszystko jedno.

— Wczesnym rankiem wyszedłem sobie dziś drogą daleko w okolicę, tak, konsul jeździł tamtędy do swej posiadłości. Wie pan, naraz gościniec skręca w las i zdaje się, jakby się w tem miejscu ziemia kończyła, a głęboko w lesie poczyna się świat inny, taki jakiś przyjazny, i nadzwyczajny, wypełniony ciszą, a jednak nie bez cichych dźwięków. Skręciłem z drogi, aby nikogo nie spotkać i szedłem sobie bokiem, ale w głębi — widzę, siedzi człowiek. Dojrzał mnie, więc ominąć go nie mogłem, siedział i grał na drumli. Dziwny jakiś człowiek, robotnik, włóczęga. Mówiłem z nim dobrą chwilę. Nie bardzo był rozgarnięty, mowa jego krążyła dokoła jadła i pieniędzy, ale siedział biedaczysko i grał. — POCO tu siedzicie? — pytam. — Nie wolno mi to? — pyta mię w odpowiedzi. — Tak. — No, to co tobie do tego? — odpowiedział. — Nic, ale pograj jeszcze troszkę. — A co za to dostanę? — zapytał. — Kilka groszy. Jestem pocztmistrzem tu w tem mieście i dużo pieniędzy przechodzi przez moje ręce w ciągu dnia i roku, ale nie należą one do mnie. — O, jaki taki list chyba pan sobie zatrzymuje, — rzekł. — Jakżebym mógł? W takim razie uwięzionoby mię natychmiast. — Nie, — rzekł mi, bo bogaci państwo trzymają ze sobą. To tylko my, co to się włóczymy po świecie, musimy za wszystko odpokutować. — Głupie to było gadanie, więc mu wytłumaczyłem, że ja otrzymuję swą pensję, a jeśli starczy mi ona, by związać koniec z końcem, to w gruncie rzeczy mam wszystko, czego mi potrzeba. Ale nie, on tego pojąć nie mógł, jemu nigdy na nic nie starczyło, i kiedy zarobił na parę butów, to

brak mu na spodnie lub odwrotnie. — U tych chłopów wiecznie tylko haruj i haruj, — rzekł. Kiedy przychodził z prośbą o stawę, kazali mu ludzie pierwej popracować, ciężko pracować, drwa rąbać, najcięższą z robót czynić, jaka bywa latem. Wieczorem dawali mu kaszę z odrobiną mleka, bez kromki chleba, bez miski zsiadłego mleka, na co ich przecie doskonale stać, te czerwce ziemne! Ano, niezadowolona jednostka, jedna z tych gnuśnych a ciemnych. Jeśli wyjdziemy z założenia, że my, ludzie, zostajemy w zależności od jednego i tego samego prawa rozwoju, to przyznać musimy, że człowiek ten daleko nie zaszedł, może bawił już tu na ziemi niezliczone mnóstwo razy, ale nie uczynił prawie żadnych, choćby nieskończenie małych postępów. Więc za każdym razem cofa się on z powrotem w ciemność, prawie że całkiem niezmienny i znów powraca do życia i rozpoczyna od początku.

— Sądzi pan, że tak to się z nami dzieje? — pyta konsul z uśmiechem.

— A w co innego mielibyśmy wierzyć? Wszak nie możemy przypuścić, że rządzi nami niesprawiedliwe prąźródło naszego powstania, rozbija się to o zbyt wiele trudności; musimy przypuścić, że jest ono sprawiedliwe. I nie możemy też przypuścić, żeby sprawiedliwe prąźródło skazało owego włóczęgę na wieczną nędzę, od samego początku. Początkowo stoimy chyba wszyscy narówni i mamy jednakie szanse. Niektórzy użytkują je, inni nadużywają. Ta praca, którą wykonywamy na tym świecie nad sobą samym, przydaje nam się później — na tamtym, a jeśli pracą naszą nie umiemy wzbić się wzwyż, to pozostajemy w tyle. Dlatego też, niestety, nie widzimy u ludzi zmiany na lepsze w granicach czasu historycznego, myśmy wszyscy przegapili swe szanse.

— A zatem sądzi pan, że umieramy wielokrotnie i znów się rodzimy?

— Cóż innego sądzić można? Dane nam zostają szanse raz po raz. Praźródłu na czasie nie zbywa, zawiera ono w sobie wieczność, a że i my stanowimy jej cząstkę, więc nie ginimy nigdy. Ale idzie przecie o to, żeby nie powracać za każdym razem do tego samego stanu, a w naszej mocy leży poprawić swe warunki dla następnej inkarnacji.

— Tak, żeby ów człowiek mógł otrzymać później swą miskę zsiadłego mleka.

Pocztmistrz uśmiecha się:—Podobne rzeczy mają dla niego znaczenie tylko teraz, w obecnym jego położeniu. Ja zaś mam na myśli jego stan duchowy, moralny jego habitus. I tu zbliżamy się do bardziej ważnego punktu: człowiek ten siedział i grał na drumli. Z pewnością musiał pracować nad sobą w swych poprzednich egzystencjach. Grał dla mnie pieśni i melodyjki, grał doskonale, nigdy nic podobnego nie słyszałem. Ale nie omawiam tu jego biegłości, lecz to, że on wogóle grał, siedział w lesie i grał. I niech pan posłucha: opowiadał mi o jakiejś harfie eolskiej, którą był wypatrywał u żyda; miała ona struny rozmaitej grubości i z rozmaitego metalu: ze stali, mosiądzu, miedzi i srebra, nad niemi zwieszały się małe kulki, któremi wiatr poruszając, uderzał o struny i wydobywał z nich miękkie dźwięki. Tak grała harfa eolska. Dziwne to było słuchać podobnych słów w ustach tego człowieka. Nie, on nie pozostawał w miejscu podczas swego żywota ziemskiego, wypracował on w sobie małeńki płatek ogródka z jedynym zatkniętym w nim kwiatuszkiem. Teraz więc wszystko zależy od tego, czy on zachowa się tak, że w następnej egzystencji ogródek zwiększy się w obszarze.

— Cała ta teoria powinna chyba rozpocząć się od tego, czy istnieje wogóle praźródło jako istota.

— Od czego chce pan rozpocząć, mówi pan? A czy nie znajduje się również źródło praźródła? Zatrzymajmy się w porę i przypuśćmy, że istnieje praźródło jako istota. Daleko trudniej obyć się bez niego. Kwestja ta przechodzi nasze pojęcie, lecz czujemy potrzebę wiary w potęgę, w konieczność rządzącą wszystkim, co nas otacza, nie wiemy nic pozytywnego o tej konieczności, lecz istnieje ona dla nas siłą tego, że jej potrzebujemy, a ta potrzeba z kolei jest częścią praźródła, do którego sami należymy. Uzbrojeni w nią jesteśmy; gdyby ona nie istniała w jakimś celu, nie posiadalibyśmy jej. Czy uważa pan, że wnioski te są niesłuszne?

— Nie znam się na tem, nie wiem.

— I ja też nic nie wiem, nikt z nas nic nie wie. Ale mamy przecież nie gasnące nigdy światło. W przeciwnym razie wszystko pokrywałaby ciemność.

— I cóż to za światło?

— To jest *myśl ludzka*. Błądzi ona i wkracza na bezdroża, ale pewni być możemy, że istnieje. I należy ona do naszego ryzsztunku, a pochodzenie jej wywodzi się od bóstwa.

Milczenie. Obaj panowie siedzą i rozmyślają.

Konsul pyta: — Bóstwa — ale od jakiego? Gdyby nasza myśl ludzka zdała się na co, mogłaby przecie wreszcie znaleźć sobie to prawdziwe bóstwo.

— Już znaleziono je. W naszej jego potrzebie.

— Ależ ludzie zastępują przecie jedno bóstwo, przyjmując drugie. Grecy zmienili swoje, Egipcjanie zmienili, my, ludzie północy, też zmieniliśmy. Obecnie nadajemy łodziom rybackim imiona dawnych bogów.

— Przepraszam — mówi pocztmistrz — pan ma na myśli bogów, ja zaś bóstwo. Pan mówi o teologii. Nowe milczenie.

W gruncie rzeczy cała ta rozmowa była nudna i konsul najchętniejby sobie poszedł, ale w danej chwili nie miał się dokąd udać; do domu mniej chętnie, niż gdziekolwiek. A pocztmistrz miał to w sobie zadziwiającego, że dzień po dniu, rok za rokiem nosił się ze swem zadowoleniem. Kto z innych czuł się zadowolony? Starzy i młodzi, mali i wielcy — wszystkich trawił niepokój, wszystkim było śpieszno, wszyscy dźwigali jakieś brzemię z wyłącznym prawie wyjątkiem chybionego akademika, a małomiasteczkowego pocztmistrza. Byłże z niego głupiec, półgłówek? Być może. Ale nie wyczerpywało to zdania o nim, o nie. W żaden sposób nie możnaby go naprzykład zawsze nazwać ustępliwym i pokornym, konsul słyszał, jak to on umiał bronić się stanowczo. Pragnął przedewszystkiem pokoju, a gdy mu go nie dawano — brał go sobie sam. O nie, deptać po sobie nie pozwalał. Okropne w nim były jego filozoficzne kontemplacje, ciągnęły się one bez końca, a dla ludzi, którzy się na tem znali, były istną plagą.

I czemuż to nie trzymał języka za zębami? Z pewnością dlatego, że uważał, iż ma coś do powiedzenia? Ale samotnym głosem był w swem miasteczku. W domu jego panowała taka cisza, żona jego nie mówiła sama wiele, odpowiadała tylko, gdy ją o co zapytano, poza tem pilnowała swych spraw gospodarskich, — więc w mózgu pocztmistrza powstawały najprzeróżniejsze refleksje, mruczał i mówił z sobą samym. Ale nie zawsze się na tem ograniczało, niekiedy ten czy inny niewinny obywatel miasta musiał pokutować i wysłuchiwać wy-

kładu, tak daleko odbiegającego od cen drzewa budulcowego i frachtów okrętowych.

Jeśliby konsul znajdował się dziś w swym zwykłym, pełnym werwy nastroju, gdyby w tej właśnie chwili nie trapił go pewien niepokój i nie szukał u innych pokoju, byłby sobie poszedł w swoją drogę, z całą pewnością. Teraz wszakże pozostał na miejscu. Udawał, że w gruncie rzeczy wcale na to czasu niema, lecz że czynił to jedynie i wyłącznie z uprzejmości dla miłego człowieka; spoglądał na zegarek, otworzył nagle swoją tekę i zajrzał w nią, czy tam przypadkiem nie został list jakiś zapomniany. Wtedy rzucił od niechcienia: Ach, ta myśl ludzka, jak to ona szuka, szuka i nie znajduje. Wiele tam ona nie warta? Czy jak, pocztmistrzu?

Na niej jedynie polegać możemy, tak. Światło, które goreje i które zagasa dopiero z zanikiem życia na ziemi. W rzeczywistości wystarcza nam to. Jakie jest działanie tego światła, ile ono rozprasza ciemności, to jest rzecz inna: jeśli wirujemy dokoła w nieskończonych kręgach pomyłek, to może właśnie to jest ruchem, to jest życiem; gładki bieg naprzód byłby bez tarcia i musiałby pęd hamować. Gdybyśmy mieli klęknąć przed czem, to powinniśmy klęknąć przed myślą ludzką, przed światłem, ba, gdybyśmy byli religijni, gdybyśmy mieli miłosierdzie nad sobą samymi, musieliśmy z pokorą uznać myśl ludzką. Ale my jesteśmy zbyt rozumni, my nie pochylamy głowy. Uczymy się takiej masy ziemskiej mechaniki. Mówi pan: — szukamy, szukamy i nie znajdziemy. Nie zgadzam się z panem pod tym względem. Mogę przyznać, że nie znajdujemy, lecz żebyśmy szukali — nie. Ale poco mielibyśmy szukać, jeśli i tak nie znajdujemy? Owszem, jeśli samo szukanie jest ruchem w pewnym celu. Ale my szukamy niewiele,

mało kto z nas szuka, idziemy natomiast na naukę, ćwiczymy nasze umysły. Jakie to jałowe, jakie ubogie! Przyjrzyj się pan tym uczonym ludziom! Każdy się tylko uczył swego, umięją tylko to jedno. Jest to sprawa szkoły, studjów, sztuki pamięciowej.

Konsul uśmiecha się:—Co do mnie, jestem absolutnym nieukiem. To jest, musiałem się uczyć czego innego i nawet po dziś dzień nie ukończyłem tej nauki.

— Czyżby? Niedość jeszcze jesteście dzielni, niedość ziemsko pilni? Ależ tak. Nie pod tym względem ludzkość pozostała w tyle. Do podobnych właśnie rzeczy przykładaliśmy się zawsze, od czasu jak historia to pamięta, doprowadzając je do niebezpiecznych wyżyn. Ale zaniedbaliśmy tylko pochylać głowę. Obecnie doszliśmy do tego, że wwarliśmy się głęboko i stoimy, a ratunkiem z tego nie będzie nabycie większych jeszcze wiadomości i zewnętrznej rutyny, lecz pograżenie się w samych sobie, w refleksji.

— Wszyscy przecie nie możemy zostać filozofami?

— Tak jak wszyscy nie możemy zostać jednostronnymi mechanicznymi uczonymi. Ale właśnie do tego każdy dąży gorliwie. Stało się to naszym wysokim celem. W ciągu ostatnich stuleci nic nie cieszyło się podobnym szacunkiem, jak kultywowanie nauki; wyższa klasa zaraziła tym szacunkiem niższą, tak że życzeniem każdego stało się przyjąć w niej udział. Jakież ogromne znaczenie miała w świecie mechanika czytania i pisanie! Wstyd to nie przyswoić jej sobie, błogo to posiąść ją dla siebie. Żaden z wielkich założycieli religji nie uprawiał tych sztuk, ale obecnie stały się one również nieodzowne dla starców, jak i dla dzieci. Nikt nie przykładła najmniejszej wagi do tego, aby umieć pochylać głowę

z namysłem, ludzie przyswajają sobie pisaniem i czytaniem te myśli, które im są potrzebne, jako ludziom nowoczesnym. — Piękniej to umieć czytać i pisać, niż pracować rękami! — rzekła klasa wyższa. Niższa klasa słuchała posłusznie. — Mój syn nie będzie uprawiał roli, z której każdy płaz na ziemi żyje, on żyć będzie z pracy innych! — rzekła wyższa klasa. I niższa klasa słuchała. Wreszcie pewnego dnia zbudził się ryk, ryk mas, masa dość już się wyuczyła sztuczek klasy wyższej, umie ona czytać i pisać, więc dawajże tu nam wszystkie dobra ziemskie, do nas one należą, do diabła tam z pracą nad sobą samymi dla przyszłej egzystencji! Tę pracę wyższa klasa też sobie zaoszczędza.

— Czy sądzi pan zatem, że byłoby lepiej, gdyby czytanie i pisanie było tylko dostępne nielicznym?

— Myśl ta nie jest nowa. Ale najlepiej ze wszystkiego byłoby, gdyby udało nam się wykorzeńić szacunek dla powierzchowności, gdyby wszyscy utracili wiarę i zabobon co do tej mechanicznej uczoneści. Utrzymują niektórzy, iż ryk ów przebrzmiałby, gdyby uczoneść jeszcze się zwiększyła, no i wzmagają ilość sztuk i biegłość w ich wykonywaniu. I głowy zadzierają się w górę, coraz bardziej i bardziej puste i żadna myśl ciężka ich nie skłania. Nie, nie ta droga prowadzi naprzód, nawet i rozum ziemski mówi jasno, że prowadzi ona pod złom skały. Brałem się niekiedy do czytania podręczników szkolnych mych dzieci, kiedy jeszcze małe były — i przyznać muszę, że umiałem tylko niewielką część wszystkich tych sztuk. Dajcie im ich jeszcze więcej, nie szczydźcie im ich, przesyćcie ich niemi, pięknie proszę! Ale ryk trwać będzie i ryk się wzmoże. Miska zsiadłego mleka? Dawajcie więcej misek, dużo misek zsiadłego mleka, do nas one należą! Następna

egzystencja? Czytamy przecież, że następna egzystencja — to tylko marzenia bab-dewotek — co to obchodzi nas! — O, jakże mało mają oni miłosierdzia nad sobą! — mówi pocztmistrz i chwieje głową. — Mają oni może ów maleńki płat ogródka z jednym kwiatkiem zatkniętym, ale powrócą oni do następnego żywota ziemskiego w całkiem inne warunki świata, zachowawszy niezmiennie swój duchowy habitus.

Konsul stara się właśnie nadać sobie wygląd jeszcze mniejszego zainteresowania się tematem i posuwa się bardzo daleko, rzucając oczyma na rysunki rozwieszane, zwraca nagle uwagę specjalnie na jeden, podnosi się, nakłada okulary i przypatruje się pięknym wrotom. Tak, bo konsul Johnsen życzy sobie, aby ludzie mieli szacunek również i dla jego — Johnsen — zdania, nie może on przecie dać się nawrócić w jednej chwili na wiarę w istnienie wielu egzystencji — choć djablo to była smakowita i słodka nauka. Będzie mógł więc powrócić tu na ziemię raz jeszcze, rozporządzać się raz jeszcze, zwyciężać swych wrogów, którzy go nabawiają niepokoju, urządzać przyjęcia, uprawiać zabawy z dziewczętami, dysponować parowcami, zarabiać pieniądze, być matadorem miasteczka nadmorskiego — nic lepszego nie wymaga. Naraz przypomina sobie ten przykry dodatek w rozważaniach pocztmistrza, że można powrócić na świat w całkiem inne warunki i konsul Johnsen znów staje się wzburzonym człowiekiem, nie znajdującym sobie rady. Powrócić tu może jako marynarz, jako włóczęga; powrócić jako nic, po tem, kiedy już znaczył tak wiele! Siada znów na krzesło i śpieszy przeprosić za swą nieuwagę: — To te wrota okazałe, wrota niemal rajskie! Co to chciałem powiedzieć: Nie szukamy, mówi pan? Ależ niektórzy sądzą, że już

znaleźli bez szukania. Inni uważają za pewnik, że gdy człowiek umiera, nic po nim nie pozostaje.

Pocztmistrz, zawsze jednako usposobiony, zawsze gotowy z odpowiedzią: — Z wyjątkiem jego ostatniego krzyku, krzyku przed ciemnością, która mu się ukazuje. Nacóż to byliśmy tu na ziemi? Dla bezcelowego ruchu? Czemu?

Ale konsul, który obawia się obszernego wykładu również i o tej nauce, nie przypadającej mu zgoła do gustu, mówi: — Chrześcijanie wierzą w zbawienie po śmierci.

— Owszem — odpowiada pocztmistrz. — Zbawienie jako takie nie jest złym wymysłem, pocieszyło ono nocą niejednego mieszkańca ziemi. Ale przecież i tej błogości dostąpić nie możemy, nie zasłużywszy na nią, czy nie tak? A nawet pono niewielu ją uzyska, jaka więc rada pozostaje reszcie? Chrześcijaństwo nie zwalnia nikogo od pracy nad sobą, przeciwnie, twarde nawet stawia po temu wymagania: darmo i niezasłużenie nikt nie osiągnie zbawienia, mówi. Tak brzmi wymaganie prawa. Ewangelja na swój sposób surowsza jest jeszcze: należy wierzyć w krwawą politykę odkupienia praźródła, wierzyć ślepo, bez zastrzeżeń. „Radość mieszka w moim sercu, gdy się Dziecię rodzi“*) nie wszyscy umieją śpiewać. Ale wszyscy mogliby pracować nad sobą w granicach swej możliwości. Niema w tem nic nieprawdopodobnego.

Konsul mówi: — Siedzę tu i myślę sobie, że według zdania pańskiego, przyczyniłem się chyba do złego uczynku, pomagając chłopcu zdobywać naukę.

— To zależy — odpowiada pocztmistrz. — Chłopic nie był może tym razem uzbrojony lepiej i nie

*) Kolęda norweska. (P. tł.)

mógłby wznieść się na wyższy stopień. Tego nie możemy wiedzieć. Ale pomoc pańska nie pomogła mu wiele do pochylania głowy. Chyba pan sam w to nie wierzy? Zamiarem pańskim było przecież wyłączenie tego dziecka z tłumu i podniesienie w górę jego głowy. Siedzi on sobie teraz na ławce i pozwala się nauczać, aż się wyuczy wszystkiego, wtedy podniesie się, jaśniejac moralną pustką, i wejdzie w życie i zacznie uczyć innych tej samej pustki. A kto, na litość Boską, zdolen jest nauczyć nas tego, co tu na ziemi posiada wartość? My sami. Nikt inny. To, czego nas inni nauczyć mogą, jest mechaniką bez wszelkiej wartości dla czego innego, jak dla dzielności ziemskiej. Zaobserwować to można właśnie na tłumie. Nauczył się on już niemal tyleż mechaniki, ile jej w dawnych czasach umiała klasa wyższa — owszem, ale życie ich duchowe pozostało w miejscu. Ryk? Jak gdyby to on nie był jedynie wyrazem osobistej pożądlivosti ziemskiej! Masy nic nie czynią dla wewnętrznego dobra bliźniego, nie wypracowały one w sobie żadnego etycznego uczucia wspólnoty. Wspominają wprawdzie o swym instynkcie społecznym, ale nawet i tego nie posiadają. Chcą tylko ryczeć i czynić przewroty, a gdy zachodzi ku temu potrzeba — właśni ich prowodyrowie nie są w stanie ich powstrzymać. Wszystko zapada się, — a niech się zapadnie!

Konsul Johnsen potakuje. Latwiej mu teraz postępować za tokiem mowy pocztmistrza, nie jest to już etyka i wyższe brednie, ostatnie słowa — toż to polityka prawicy, interes, — pocztmistrz, okazuje się, wcale nie jest tak głupi. Konsul mówi, aby się uniewinnić: — Dyrektor szkoły i inni tak gorąco polecieli mi chłopaka.

— Tak — odpowiada pocztmistrz — bierz pan

tylko chłopca w opiekę, i oddawaj go do coraz to wyższych i wyższych szkół i doskonał go pan w zewnętrznych umiejętnościach. Powróci on do domu i radować będzie swych bliźnich i wćwicy ich jeszcze bardziej w duchowe wyjałowienie. Natomiast nie zdoła on stłumić w nich ryku ani odrobiny, a nawet bardziej jeszcze oddali ich od wszelkiego wgłębienia się w siebie. Ale — być może — do tego właśnie, a nie do czego innego on się nadawał, kto to może wiedzieć. Prawdopodobnie w całym rzędzie poprzednich egzystencji tak się zachowywał, że wyżej ponad to wznieść się w obecnej nie może. Więc niech tam sobie praźródło czeka na niego i jemu podobnych, aż w nich zmiana zajdzie, to cierpliwe praźródło, które ma dość czasu, dość wieczności.

Rozmowa znów zbacza na nieprzyjemne tory i konsul chciałby położyć jej koniec. Poco on tu wogóle przyszedł? Z powodu jakiegoś przypadkowego niepokoju, ale nie o życie przyszłe, lecz o teraźniejsze. Nieco więcej polityki byłoby go więcej zajęło, był on przecież wielką podporą społeczeństwa, którą zawiść obalić pragnęła, którą małpowali dorobkiewiczze, której marynarze na *Fii* znów przyczyniali zgryzoty i zachodu — jakiegoż środka należy użyć przeciw temu? Pracować nad sobą! Pocztmistrz jest idjotą.

— Tak, tak — mówi konsul powstając — wszystko jest tajemnicą dla nas, zarówno w tem, jak i w przyszłym życiu, szczególnie zaś w przyszłym. Gdybyśmy wiedzieli coś pewnego o życiu z tamtej strony, tobyśmy już teraz mogli się bardziej według tego kierować.

— Trudno wziąć to komu za złe — odpowiada pocztmistrz z uśmiechem — jeśli tai w sobie nieco ziemskiej ciekawości. Ale Rządca świata ma chyba powód do utrzymywania w ukryciu przedewszystkiem tego, co

się odnosi do naszej poprzedniej egzystencji tu na ziemi. Może była ona tak czarna swemi występkami, że wspomnienie o niej pokonałoby nas zupełnie i zmiażdżyło. Bardzo być może. Mamy więc w tej niepewnej nadziei, że nie tak znów okropnie zachowaliśmy się przedtem, pewną podnietę.

— Ależ, w takim razie, czy należało nas stwarzać aż takimi mizerakami od samego początku?

— Ponieważ wychodzimy z założenia, że życie składa się jedynie z tego: ruch ku pewnemu celowi, to nielogicznym jest przypuszczenie, iż od samego początku uzbrojono nas w beznadziejność. Ale tak w istocie nie jest. Mizerakami — według wyrażenia pańskiego — możemy być natomiast, aby, że tak powiem, rozpocząć od maleńkiego dla późniejszego rozwoju. I jeśli po dziś dzień jeszcze jesteśmy tak samo mizerri jak pierwej, musimy za to winić siebie samych. Bośmy zaniedbali swe możliwości...

— Tak, tak, tak! — przerywa konsul. — Myślę wszakże, iż mielibyśmy pobudkę do polepszenia się w tem życiu, gdybyśmy z pewnością wiedzieli, co nas oczekuje w przyszłym.

— O ileby to nie uczyniło nas gorszymi jeszcze, panie konsulu, a tak, jak rzeczy stoją, jest już dość źle! Czy sądzi pan naprawdę, że ludzie wyrobiliby w sobie zapas dobroci, gdyby posiadali pewność, że nie wymagano jej od nich nazbyt surowo, a przede wszystkim, że niema żadnego pośpiechu? Człowiekby raczej szalał, grzeszyłby na kredyt, grzeszył aż do ostatniej możliwości i cofnął się sam o kilka egzystencji z powrotem. Byłoby mu szło jeszcze ciężiej, aniżeli teraz, z wyrobieniem się wzwyż, jeszcze łatwiej staczałby się wdół. W na-

stępnem życiu musiałby znów rozpocząć od samego początku. Wszystko byłoby stracone, żadnego ogrodu, żadnego kwiatka, tylko ruchby pozostał...

Jeżeli konsul Johnsen odszedł z powrotem do swego kantoru, to z obawy, żeby go nie zagadano docna. Teologja! gwizdał pocztmistrz pogardliwie, ale jego nauka była też wcale piękną teologją! Konsul złościł się z powodu tej wizyty, przecież nie jest on Nikodemuszem, który chodził w nocy na naukę, wyszedł tylko, żeby się nieco rozerwać, a nie żeby się dać nawrócić. Z jedną realną wiadomością powracał tylko do domu, mianowicie tą, że doktor pisał do Szeldrupa w Havrze. O czymby? Może plotki i podłostki, intrygi, pięciokoronowa wizyta u położnicy na Dokach... a bodaj doktora lichy!

Konsul nie zapomniał wydać rozkazu swemu zarządzającemu Berntsenowi, aby posłał pięćdziesiąt butelek Madery do aptekarza. I nagłym przeskokiem myśli znów wspomniął pocztmistrza, tak, niechaj Bóg broni, ile żona tego człowieka musiała znosić gadaniny! A co, jeśli by tak posłać również pocztmistrzowi w podarunku pięćdziesiąt butelek? Ale pewnie powróciłyby nazad z posłańcem.

Bez żadnej wątpliwości wino powróciłoby z posłańcem, to też konsul aż się uśmiechnąć musiał z tych bajecznie skromnych ludzi. Praca nad sobą, naco? Czy widział kto kiedykolwiek, aby Opatrzność dziękowała za to? Mamy tu w mieście kowala Karlsena, człowieka bogobojnego, cicho i gorliwie pracuje, zła nikomu nie przyczynia, nikogo plotkami nie zakatrupia i w drzazgi nie roznosi — a jednak chłuszczą go niepowodzenia, domowe strapienia, wyrodne dzieci, jeden z chłopców jest podobno włóczęgą przydrożnym, — czy

jest w tem sprawiedliwość? Kowal Karlsen ma brata, policjanta Karlsena, starego łotra, lisa, który posiada zamożną żonę z pianinem, syna w ministerstwie kościelnem, córkę w misji Schreudera*) . . . a wszystko to może dlatego, że policjant Karlsen *nie* pracował *nad* sobą?

A zatem, pracujmy *dla* siebie!

*) Misja chrześcijańska w Afryce, zorganizowana przez Schreudera. (P. tł.)

XIV.

Henryksen na Dokach ufał w Bogu, że żona jego zwycięży niebezpieczeństwo i tym razem, jakkolwiek choroba miała przebieg ciężki. Nadzieja była płonna. Wieść go doszła przez posłańca krótko przed powrotem do domu na obiad. Stał właśnie wśród swych robotników i nitował gwóźdź, ale nie znitował go do końca, cisnął młotek i zawołał, skoczywszy: — Pogorszyło jej się? — Tak, leży teraz całkiem cicha.

Leżała cicha. Doktor odszedł rano z wielką nadzieją, a już około południa posłano po księdza i przyszedł za późno.

Tak to niekiedy bywa.

Rozpoczęły się kwestje pogrzebu, poczęstunku orszaku, kwiatów, żałobnych sukien, flagi na półmasztu. Henryksenowi przysła z pomocą Lidja Jörgena Rybaka i Petra Olivera, ale mimo to musiał się uciec do silnych trunków, aby podolać wszystkiemu. Płakał też wiele i rozpaczał po nocach. Tem bardziej ubodło Henryksena, że żona nie chciała posłać po niego w ciągu całego tego okropnego przedpołudnia, gdy leżała i zamierała. Chciała go oszczędzić, zawsze była tak dobra. — Ale wezwijcie księdza, — szepnęła. A ten nie zdążył nadejść w porę.

Leżała więc, podcięta w połowie swego życia, pod-

cięta w swem zdrowiu i młodości, nie starsza nad trzydzieści parę lat. Było to aż nader smutne, więc choć Henryksen należał tylko do ludzi prostych i własną się pracą wybił, wszyscy dostojnicy miejscy mieli iść z konduktem. Tak, tak postanowili. Pani konsulowa Johnsen sprzeciwiała się temu nieco: — Nie byliśmy też przecie u kupca Davidsena z wizytą, kiedy został konsulem, — rzekła. — Nie, ale jego chować nie mieli, — odpowiedział Johnsen. — Ach, ci Henryksenowie, — rzekła pani, przecież nie obcowaliśmy z nimi wcale, czemu to mamy iść na pogrzeb? — Żeby nie było gadania, — odparł Johnsen. — Pani ustąpiła, ale zaznaczyła, że czyni to, doprawdy, z wielkiej grzeczności. Biedna pani Johnsen, poruszała się zazwyczaj jak najmniej i ostatnimi laty stawała się coraz cięższa i cięższa, wogóle nie była zbudowana do ćwiczeń cielesnych, o nie. Konsul natomiast zachował dotąd swój odpowiednio wielki brzuch, i zwolna siwiejące a łysiejące włosy, w kondukcie szedł w jedwabnym cylindrze, ze wzniesioną wysoko piersią.

Długi kondukt pocieszał nieco na swój sposób Henryksena, pokłonił się z bardziej może niż należało jaśniejącą miną konsulostwu Johnsenom i doktorostwu i wogóle wszystkim, a swe dziewczynki wyuczył kłaniać się z wdzięcznością. Robotnicy z warsztatów okrętowych nieśli trumnę, a za nimi szło całe miasto; z każdego masztu powiewała żałobna flaga, dzwony biły. Nawet Olaus na Błoniach przyszedł na pogrzeb i wyjaśniał każdemu dlaczego: — Prawda to, że na tych przeklętych warsztatach urwało mu rękę, ale pani Henryksen pocziwa była kobieta w każdym calu, djabło dobra kobieta, cześć jej pamięci! Nie masz tam dla mnie szczypty tytuniu?

A tam, u studni, stoi kilka kobiet i, ręce wsadziwszy pod fartuch, patrzy na kondukt i zcicha omawia cały ten przepych kwietny i uroczystość. — Tak mi Boże dopomóż, i Olaus na Błoniach się też przyplątał, wstydu nie ma żadnego. — Dobrze wie, co robi, chce mu się gorzalki i bułki do zakąszenia, siny jego nochal węszy je już zdaleka. — O tak, co do tego, to już Henryksen nie poskąpi, poczęstuje uczciwie, nie sknera z niego, robotników rozpuszczono i wszyscy mieszkańcy miasta, którzy tylko mają ochotę, przyjść mogą i zasiąść przy tych długich stołach, co to je zastawiono w ogrodzie.

Oliver też kusztykał za innymi. Wódki nie pijał i nie pchał się do koryta z ciastem, co mu się z łakoci jeść chciało, sam sobie kupował. Ale Oliver poszedł na pogrzeb, bo wszyscy lepsi ludzie nań poszli. W składzie i tak przed południem do roboty nic nie było, ludzi jakby kto wymiótł, więc Oliver oczyścił się, przejrzał się starannie w lusterku, zamknął drzwi na klucz i poszedł.

Kondukt ze współudziałem czterech konsulów i całego miasta nie należał do rzeczy zwykłych, więc nawet szwedzki bryg, który przyjechał z ładunkiem do Gryn-Olsena, wywiesił flagę na pół masztu.

I dlaczegoby nie miał tego uczynić? Drażnicy załogi poszli gdzieś sobie, ładowanie wstrzymano, przystań jakby wymarła. Tenże bryg wiozł zresztą z sobą chorego, posłano nawet po doktora, lecz doktor obiecał przyjść dopiero po pogrzebie, wtedy, rzekł, ani minuty nie będzie zwlekał.

Ale doktor, stojąc na cmentarzu, dostrzega nagle ze swego miejsca, że bryg wzniosł flagę żałobną, i myśli go oświeca: chory marynarz może już umarł? Nie

poszcęściło mu się z panią Henryksen, więc się stał strachliwy, to też — skoro się tylko nadarzyła sposobność, szepce uniewinnienie do ucha Henryksena i opuszcza orszak żałobny.

Idzie naprzelaj, wprost ku przystani Gryn-Olsena i wchodzi na bryg. Wszystko się tu wydaje wymarłem, jednakże znajduje wreszcie człowieka leżącego w kajucie dla czeladzi i podchodzi do niego.

— Jestem doktorem, — mówi — chciałbym zobaczyć wasz puls.

Szwed wyciąga rękę.

— Pokażcie mi język.

Szwed rozdziawił gębę.

— Macie apetyt?

— O tak, owszem.

— Sypiacie dobrze?

— O tak.

Doktór przykłada ucho do piersi, opukuje ją, przewraca człowieka na drugą stronę i puka także w plecy: Pocicie się mocno. Jakże tam z waszem wypróżnieniem?

— Ano, tak całkiem doskonale, to akuratnie nie jest, — męczyło go wielce w ciągu ostatniej doby, teraz już jest lepiej.

— Tak, tego wam zaniedbywać nie wolno, — mówi doktor.

— Co takiego?

— Nie powinniście tego zaniedbać. Zapiszę wam lekarstwo, poślijcie po nie do apteki.

— I poco to? — pyta Szwed zdziwiony.

— Poco? — pyta również doktor i patrzy na niego idjotycznie.

O, ten czort-szwed, ten głąb i żartowniś, czy chciał figla doktorowi splatać? Dopiero teraz objaśnia dok-

torowi w krótkich słowach, że to nie on, lecz jeden z jego towarzyszy leży chory.

— Co? Więc gdzie jest ten chory?

— Ano, i on tak rychtyk chory nie był, zaciął się tylko flaszką i silnie krwią ociekał, ale że doktor nie zaraz przyszedł, przewiązaliśmy go sami.

Doktor widocznie stawał się obrażony. Zapytał ostro: — Więc gdzie jest ten chory, pytam, ten, co się zaciął?

— Poszedł do kantoru doktora, pewnie tam siedzi i czeka.

Nim doktor opuścił kajutę załogi, nie mógł się powstrzymać, aby nie zadać następującego zgryźliwego pytania: — Dlaczego więc, do licha, pozwoliliście mi się zbadać?

Ale i na to miał ten człowiek najwiarogodniejszą odpowiedź: wymienił słowo kwarantannę, zdawało mu się, że badanie miało na celu sprawdzenie ogólnego stanu zdrowotnego na statku, nic innego.

No, więc jednak nie filut i nie łotr, lecz spokojny człowiek. Byłby teraz doktor obrócił rzecz całą w żarty i dodał kilka wesołych słówek, do szczętu by zatarł swą pomyłkę, ale on uczynił co mógł najgorszego, okazał złość, mrucał rozgoryczony, więc wypadek ten nabrał znaczenia. Szwed nie pozostał dłużny odpowiedzi, i nie dziwota, no i śmiał się także nader dużo, naprzekór wszelkiemu respektowi, a wreszcie porwał się z tapczanu. Wtedy doktor odszedł.

Historja rozniosła się wnet po mieście szeroko, po tej małej mieścinie, i doktorowi niezczędzono małych złośliwych dodatków do historji, która sama przez się dość już była komiczna. Wszyscy ci, którzy pragnęli mu przypiąć latkę, czuli się pysznie, a konsul Johnsen

naprzykład zaśmiał się serdecznie po raz pierwszy od dni wielu.

— Z doktora przecie tęga głowa — mówi konsul do adwokata Fredryksena. On nie potrzebuje wypytywać chorego co mu dolega, doktor sam, hoho, od pierwszego wejrzenia to dojrzy! Ale w gruncie osioł z niego. No, więc znalazł, że i Szwed dostał gorączki położniczej?

— Bóg raczy wiedzieć, czy się rzecz nie miała w tym rodzaju!

— Hahaha! doskonale! Chodź pan do mnie, adwokacie, wypijemy kieliszek na szczęśliwe wybory!

Panowie weszli do mieszkania Johnsenów.

Przez szczęśliwe wybory rozumiał każdy z nich pewnie co innego, lecz konsul Johnsen nie był fanatykiem i, w rzeczywistości, też żadnym politykiem. Był on jedynie podporą społeczeństwa. On — polityk i fanatyk? Mościewy, przed niewiele laty mógłby z największą łatwością zostać wybranym do stortingu*), ale odmówił, nie miał na to czasu, a prócz tego był dubeltowym konsulem, no i bez tego dość wielkim mężem. Później zadał wiatr z innej strony, zeszłego roku nie byłby już otrzymał dostatecznej ilości głosów, nawet gdyby sam zechciał przejść na wyborach, tak gorliwie pracował adwokat Fredryksen w kołach politycznych. Ale przecie obojętne to, kto zostanie wybrany, żadnejby różnicy to nie sprawiło C. A. Johnsenowi, dubeltowemu konsulowi. Ten Fredryksen nie jest zgoła człowiekiem jemu równym, ale niech go sobie wybiorą, z wielką chęcią. A i w takim razie niegłupio to uraczyć go prywatnie kieliszeczką wina, — taki dorobkiewicz mógłby jeszcze wpaść na myśl rozdmuchania sprawy zaburzenia na

*) Parlament w Norwegji. (P. tl.)

statku *Fia*. Ale choćby i to jeszcze, proszę pięknie, dubeltowy konsul pozostanie tym, kim jest; no, lecz czemużby nie — proszę, jeszcze kieliszek wina, adwokacie. Rzadki z pana gość w moim domu!

O, lecz adwokat Fredryksen wcale nie żąda być rzadkim gościem w tym domu, nie, tego sobie nie życzy. Czy to nie on nosił się w ciągu lat ostatnich z myślą młodzieńczą, że będzie mógł przychodzić i wychodzić z tego domu jako jego członek, ba, jako jeden z domowników! Dla świata myśl ta była dobrze ukryta i nigdy też na światło dzienne nie wyjdzie, dopóki on pozostanie niczem, niczem innym, jak adwokatem w miasteczku nadmorskiem; ale wybory, wybory może rozwiążą mu język. Od tego wszystko zależy.

— Widziałem, że panna *Fia* powróciła do domu z gośćmi?

— Tak, ma się rozumieć! — odpowiada konsul. — Malarze, równie jak ona, koledzy, aż dwóch naraz. Gdybyśmy nie byli tak dobrze zaopatrzeni w jadalnię i pokoje, byłibyśmy w kłopotcie, haha!

— Młodzi to chłopcy, zdatni przynajmniej do czego?

— Sam nie wiem. O tak, pewnie że tak. Bardzo wiele o nich mówiono i pisano. A do domu wnieśli masę życia.

— Tak?

— O, cały dom wzięli w obroty artystyczne, jeden maluje moją żonę, drugi — mnie, pozujemy im, wyprostowani jak na drutach. Najgorsze to, że żonę moją malują w całym przepychu, a tak się zapaliła do tej myśli, że odbywa seanse przed i po obiedzie; chodzi więc obecnie stale w wyciętej jedwabnej sukni. Nie żeń się pan nigdy, panie adwokacie!

— Panu to mówić?

— Żona i dzieci to jedynie wydatki, hahaha!

No, to już zakrawało na rozrzutność, a adwokat nie znosił tego tonu. I co za wścibskość napomykać, że nie powinien się adwokat żenić; czemużby nie? Więc jedynie wydatki? W głębi ducha adwokat myślał, że konsul naprzykład absolutnie nie stracił na swym ożenku: wszak to pani Johnsen wniosła mu swój okazały posąg i od samego początku kierowała mężem. Za cóżby innego pojął on Joannę Holm? Nie olśniewała ani urodą, ani wykształceniem. O nie, panie dubeltowy konsulu, tybyś do dziś dnia był drobnym kramarzem i tylko Johnsenem z Przystani, gdyby nie twoja żona, — zapamiętaj to sobie! Ale o tem właśnie bardzo się nie chciało pamiętać konsulowi; doktor przecie przypomniał mu to raz na swój zwykły, mocno kolący sposób i od tej chwili też datowała się nienawiść między obu panami. Pani Johnsenowa natomiast nigdy o tem nie zapominała, aczkolwiek nigdy go tem nie dręczyła i nie używała w celu szykany męża. Dawnemi laty, schwytsiwszy kilkakrotnie męża na nieostrożnem zabawianiu się z dziewczętami, pragnęła się z nim rozwieść i żądała zwrotu całego swego majątku, ale że interes nie mógłby się obyć bez tej pomocy, przeto mąż jej musiał nauczyć się ostrożności, — innego wyjścia nie było.

To też adwokat mógłby był dać konsulowi w tem miejscu bardziej kąśliwą odpowiedź tak, aby konsul spuścił nieco z tonu, ale nie śmiał. I na cóż to, jeśli mógł osiągnąć cel dobrocią? Zacytował więc: — Ożeń się, a pożałujesz tego! — Ale z żeniaczką ma się chyba jak ze śmiercią: wszyscy musimy pójść tą drogą.

— I pan, adwokacie? Tak, tak, oczywiście, jeszcze nie za późno. Na zdrowie!

Adwokat wypił i zamilkł. Za późno? W każdym razie był daleko młodszy od konsula, który bez ustanku uganiał się za kobietami. Konsul, widać, nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma przed sobą człowieka, który może zostanie wybrany do stortingu. Jego ton był odrobinę za wysoki.

— W każdym razie nie myślę czekać, aż będzie za późno — rzekł — Wszyscy przecie powinniśmy wystrzegać się przekroczenia pewnego wieku! — Dostało się konsulowi.

Adwokat do tego więc zmierzał. No, proszę, chętnie jeszcze i to. Tak więc, zostanie posłem do stortingu? Członkiem motłochu, rady rodzicielskiej w kraju? Nie, konsul woli raczej pozostać tym, kim jest! Powrócił mu jego humor i chęć czynu, wysłał raporty do cudzoziemskich rządów, nakreślił plan postępowania w sprawie marynarzy, postanowił wystąpić z godnością wobec doktora, wykazać się gniewnym zamiast strwożonym, wyrobił sobie coś w rodzaju buty wojowniczej — tak, a potem, niech przyjdzie, co ma przyjść!

Czy to było mało!

A obok tego wszystkiego wykazywał największą uprzejmość gościom swej córki, zabawiał ich rozmową, pozował im, dostarczał na wycieczki do lasu wina i smakołyków ze sklepu, był względem nich dbały i obdarował każdego żółtym jedwabnym szalikiem na szyję, aby mogli marzyć sobie w ogrodzie do późnej nocy.

Konsul rozumiał doskonale, że jeśli Fia sprowadziła z sobą do domu tego rodzaju gości, to kierowała się jedynie chęcią przyjścia im w inny sposób z pomocą, aniżeli wprost kupowaniem od nich obrazów. Nie była z niej tania osóbką. Musiał przecież zatrzymać portret żony i swój własny i nie wolno mu nawet było pytać

o cenę, jeno musiał wręczyć im pewną kwotę. Czyż wypadło mu zachować się inaczej?

Zresztą było to obojętne, konsul się z tem nie liczył, przeciwnie, wbijało go to nawet nieco w dumę. Rozniosło się przecie po mieście, w jakim celu obaj panowie się tu zjechali i nietylko w jego małej mieścinie, bo nawet i w stolicy pisma pisały o tem, że dwaj młodzi artyści przebywają obecnie u konsula Johnseny, matadora wybrzeża, w celu namalowania portretów rodzinnych.

— Cóż to, roznosicie mnie panowie po gazetach? pyta ich konsul z boską żartobliwością. — Nie życzę sobie żadnego rozgłosu — mówi. — A zresztą jesteście tu panowie u mnie w domu pokryjomu, pamiętajcie o tem! Jeśli dowiedzą się, że malujecie moją żonę i mnie, nałożą mi tylko jeszcze wyższe podatki.

Hoho, jak to on umiał gadać do młodych i uśmiechać się zgóry, a słuchać ich zbytków. Nic złego nie broili, porządni to byli młodzieńcy, o ile mógł sądzić, ale djabeł tam im da całkiem wiarę, hehe! Wyjeżdżali też na posiadłość wiejską konsula i tam zabawiali się platanem figłów, między innemi wymalowali pewnej nocy Karego na szaro. Czy to było szczerze przerażenie, czy też tylko dobrze udana gra — parobek stajenny dobrą chwilę od rozumu odchodził, zobaczywszy nad ranem konia i oprzytomniał dopiero, gdy mu do ręki wciśnięto pięciokoronówkę, aby farbę zmył.

No, ale Fia, miałaż ona jakie zamiary względem tych młodzieńców, byłaż ona w nich, że się tak wyrażę, — zakochana? W takim razie odbywało się to w cichy, wykwinny sposób. Zachowywała się względem nich uprzejmie i po koleżeńsku, ale zawsze z pewną powściągliwością, nie zapomniała nigdy pięknych manier. Malarze nazywali ją zazwyczaj hrabianką. Przeciw temu

przezvisku Fia ze swej strony nic nie miała, odpowiednie to było miano, dobrze się z niem czuła; ale czyż bo nie zasługiwała na nie? Córka swego ojca, niemal dziecię miasta, z najbardziej poważanego domu, artystka, dama poetyczna, talent — gdzieżby się z nią inne równać mogły! Alicja Heiberg, również córka konsula, ale bez szczególnych uzdolnień, uczyła się tylko gospodarstwa, obowiązków życia codziennego; córki Gryn-Olsena zostałyby może dzielnymi dziewczętami, ale nierozsądni rodzice wyśmiewali ich pragnienie zajęcia się czemś, życząc sobie wychować je na szykowne panny. A któż był pozatem? Dwie córeczki Henryksena na Dokach, całkiem jeszcze młodziutki, dzieci prawie, też z nich zresztą nigdy nic nie urośnie.

Fia była więc hrabianką, wysoką i wiotką, elegancką w obejściu, akurat, jaką być należało. Ostatniemi laty sprowadzała sobie wielkie kapelusze i ubierała się w nieco bardziej śmiałe kolory, nic przesadnego, tyle tylko, ile jej było do twarzy. Kiedy przechodziła ulicą wystrojona, jak malarka, nic dziwnego, że inny artysta, pocztmistrz, stawał przy oknie i cieszył się jej widokiem.

Nie, konsul nie mógłby uwierzyć, że Fia miała zamiary jakie, bo w takim razie należałoby pomówić z nią po ojcowsku. Ci młodzikowie — to nic dla niej. Jeden z nich był synem pisarza powiatowego, a więc poniekąd z domu uczonego i układnego, drugi zaś był synem malarza pokojowego — obaj jednako biedni. Konsul nie pogardzał żadną klasą społeczną, nie, tego konsul Johnsen nie czynił, ale posiadał przecież tę jedną jedyną córkę, było to jego dziecię ukochane i chciał chronić ją w jak najlepszy sposób. Syn kupca ze starego bogatego domu odpowiadałby lepiej jego smakowi.

Dlatego też konsul nic przeciw temu nie miał, gdy

obaj artyści przyszli pewnego dnia do stołu i opowiedzieli, że otrzymali zamówienia. Możemy być za to wdzięczni panu konsulowi, dodali.

— Winszuję panom! — odparł konsul. — I cóż to panowie macie wykonać?

— Malować portrety konsula Olsena i jego żony.

— Gryn-Olsena! — wykrzykuje pani Johnsen.

— No, wiecie, panowie!

Zaśmiali się wszyscy przy stole, a konsul mówi łagodnie: — Zamówienie jest zamówieniem, rozumiesz to chyba, Joasiu!

— Czy i pan Heiberg lub Davidsen nie zamówili portretów? — pyta pani. — Niebawem i oni ich zapragną!

I znów się wszyscy śmiali.

Konsul zwraca się do obu artystów i daje im krótkie objaśnienie: — Nabrało się już tyłu konsulów w tem mieście, wszyscy zaś młodszy małpują starszych. Z tego należy się tylko śmiać, Joasiu! — Z drugiej strony jednakże mogło też irytować, że niepodobna się było niemal ruszyć w tym domu, aby i w innych nie poczęto ruszać się w tenże sam sposób, w takt. — Ale nie należy podobnych rzeczy brać poważnie, Joasiu!

Pani zgoła tego poważnie nie brała, to było nieporozumienie. Jeśli kto — to ona patrzyła z uśmiechem na innych konsulów. Okrzyk jej miał być wyrazem czystej radości.

— A co się tyczy Davidsena — mówi konsul — to — jest on całkiem innego kalibru: bez wymagań, bez kultury, ale też i nie głupi. Jest to człowiek pracy, stoi za swą ladą i sprzedaje szare mydło. Owszem, podoba mi się ten Davidsen.

— Haha — śmieje się nagle pani Johnsen, pogrążona w swych głębokich myślach. — Zastanawiam się

właśnie nad tem, że jeśli mnie namalowano w sukni jedwabnej, co na siebie włoży pani Olsen, aby być jeszcze strojnieszą?

Pomówili nieco i roztrząsali sprawę sukien, barw, efektu jednego jedyne go złotego łańcuszka czy też klejnotów. Znakomite osoby wieku przeszłego nie wzdrażyły się przed pozowaniem w całej okazałości, w koronkach, klamrach, łańcuszkach, drogich kamieniach, teraz natomiast pozuje się we fraku, jak konsul naprzykład, a i to może być dobrym obrazem fraka.

— Tak — mówi konsul i podnosi swój kieliszek — życzę panom, abyście z równem powodzeniem, z równem genialnem natchnieniem malowali konsula Olsena, jak moją żonę i mnie. Jesteśmy oboje niezmiernie zadowoleni i głęboko wdzięczni!

Wypili na to.

Fia pyta: — Kiedy zaczną panowie malować u Olsenów?

Artyści odpowiadają: — Kiedy zechcemy, choćby natychmiast! — I opowiedzieli, że prawdopodobnie namalują też portrety dwóch młodych panien domu.

— Masz tobie, chcą być aż tyle wystawniejsi! — woła znów pani. — Wiem już teraz, w co się pani Olsen ubierze: będzie pozowała aż w dwóch jedwabnych sukniach!

Znów śmiech i to śmiech aż pod sufit. Rzadko to kiedy pani Johnsen odzywała się z dowcipem, były widać ku temu powody i nikt też od niej dowcipu nie oczekiwał. Konsul z miejsca stwierdził, że żona jego była pyszna, że była nadzwyczajna!

Ale, niestety, trudno to pani Johnsen znosić pochwały, wysiła się znów na dogadywanie, co też pani Olsen będzie miała na nogach — może dwie pary bucików?

Więc raz jeszcze różesmiiali się wszyscy, ale — gdyby też ona chciała zaprzestać wreszcie! — pomyśleli malarze.

Okazało się, że dobrze i bogato żyło się u konsulostwa Olsenów podczas malowania obrazów. Obaj artyści nigdy suciej nie zostawali częstowani winem i ciastkami, kawą i śmietankowymi waflami. W dodatku oba „dziewczątka“, młode córki domu, tak były hoże i wielkie, tak wesole — do ukąszenia. Syn malarza pokojowego zakochał się w obu naraz, ale nic tam nie zyskał, nie tak łatwo się dostać i do konsula Olsena; gdybyż to przynajmniej był syn pisarza powiatowego! Dziewczętom nic zarzucićby nie można, może były trochę afektowane, może przesadzały nieco w mowie więcej niż się uczyły w szkole, ale djablo śliczne były dziewczuchy, i młode dziewczuchy, bez wszelkich braków, raczej nawet miały wszystkiego nazbyt wiele, zarówno cielesnej tuszy jak i ciężkich płowych włosów i pełnych warg: niedostatki ich wyrażały się w zbytku; chodząc kołysały się nieco.

Panią Olsen spotwarzano widać w mieście. Uprzejma z niej dama, a dobra, aż do wzruszenia i łez, macierzyńska, o łagodnych oczach i nieco wtył cofniętem czole. Jedyłą troską jej były córki, pragnęła uczynić z nich eleganckie i szczęśliwe panny, — a jakże je kochała, pozwalając czynić wszystko, czego zapragnęły, pozwalając rosnąć w swawoli i nieużyteczności jedynie dla strojów i próżności! Z pewnością nie pani Olsen domagała się wymalowania swego portretu, codzień przeciw temu protestowała, żądając w to miejsce portretów swych córek — obiedwie na jednym —, a więc portretu dubeltowego. Konsul Olsen za każdym razem musiał ją prosić, by zamilkła — słyszysz przecie Henrysiu, wszak już

panowie rozpoczęli twój portret, — na dubeltowy przyjdzie kolej później!

Więc ofiara pozowała w jedwabiach i mnóstwie pierścieni i łańcuszku do zegarka i była mężowi posłuszna.

On zaś siedział z większą jeszcze okazałością i pompą, a okrążył od swego małomiasteczkowego bogactwa, — ten parwenjusz, ten spekulant pomyślny. Bawiło go niekiedy, siedząc, wyśpiewywać aryjki z rewji i wykrzywiać twarz, a potem nagle przybierać godną minę i milczeć dłuższą chwilę, odpowiadając tylko skinieniem lub wstrząśnieniem głowy. Pragnął nadać sobie wygląd człowieka, mającego do myślenia o wielkich interesach. Cyt! — mówiła pani, — ojczulek musi mieć teraz spokój, dziewczątka! — A ojczulek siedział dobroduszny i uprzejmy i nader próżny, — chętnie lubił ciszę dokoła siebie, gdy pozował, myśląc o swych wielkich interesach.

— Wybornie! — rzekł malarz. — Otóż i mamy ten właściwy wyraz twarzy! doskonale! usta stanowcze, mądrość! Proszę, pozostań pan tak — dodał, jak gdyby zabierał się do fotografowania konsula.

A konsul Olsen zmuszał się w swej próżności do myślenia o pewnej wielkiej transakcji zbożowej z Argentyną, a bezwarunkowo nie śpiewać i nie wykrzywiać swych stanowczych ust.

Zanosilo się na to, że portret będzie niezwykle udany, więc malarz, syn malarza, prosił o pozwolenie wystawienia go w Krystjanji. — Proszę, ależ proszę bardzo! — Konsul unikał wprawdzie wystaw, tak, naprawdę, ale jeśliby mógł przysłużyć się tem malarzowi, to. . . ależ proszę! Chciałby okazać się uprzejmym względem młodego malarza — wszyscy dlań byli uprzedzający, nawet i córki, choć nie zakochały się w nim żadna. Kolega jego,

malujący panią, zdawał się posiadać większe szczęście. Tak, syn pisarza powiatowego zdawał się posiadać lepsze szanse, — o, ale i jego pewnego dnia wystrychnięto na dudka. Dziwne bo to były panny. Jako córki z kupieckiego domu przenosiły widocznie nadewszystko życie kupieckie, wymieniały bowiem często Szeldrupa Johnseną. A więc dziwne panny i może nawet nienazbyt rozwinięte. . . Bo cóż o tem sądzić? Pewnego dnia, gdy już syn pisarza rozpoczął był malować ich portret, udały się, djabeł wie dokąd, przepuściwszy seans. Za całe wytłumaczenie podały, że niespodziewanie spotkały na ulicy Szeldrupa Johnseną i przystały z nim, chcąc z nim nieco pomówić, gdyż tylko na krótko powrócił do domu.

Jak gdyby to było dostateczną wymówką! Malarz przyjął to za lekceważenie i obrazę.

XV.

Szeldrup Johnsen powrócił niespodzianie do domu, tak, i miał również niespodzianie rychło odjechać.

Zabrał z sobą zarządzającego u ojca Berntsena, i udał się z nim do doktora ukłonił mu się krótko i zadał następujące pytanie: — Co mają oznaczać listy, które mi pan posyłał? Przyjechałem tu, aby się tego dowiedzieć.

Doktór, odrobinę zaskoczony, napół z uśmiechem:

— Listy? O, te...!

— Jednego dnia pisze mi pan, że nowy egzemplarz piwnookiego dziecięcia przyszedł na świat, w kilka dni później — że matka tego dziecka umarła.

— Tak.

— Tak. Chciałbym wiedzieć, czemu mnie pan zwiadamia o tych zdarzeniach.

— Czy nie moglibyśmy pozostać w cztery oczy? — pyta doktor pokornym tonem.

— Nie, chciałbym mieć świadka słów pańskich — odpowiada Szeldrup.

— Ale rzecz w tem, że to, co mam panu do powiedzenia, nie nadaje się dla obcych uszu.

— Zatem ja wiem, co nadaje się dla pańskich! — mówi Szeldrup i występuje kilka kroków naprzód. Doktor cofa się, usta jego drżą, mówi:

— Nie, czekaj pan, widzę teraz, że się pomylił, przepraszam najmocniej. Tak — właśnie, pomyliłem pana z kim innym, przepraszam! W gruncie rzeczy nie miałem nic złego na myśli!

— Właściwie powinienem pana poprostu zbić na kwaśne jabłko — mówi Szeldrup drżącym głosem. — Oszczyerca z pana, ot, czem pan...

— Czekaj pan, pozwól mi...

— Nikczemnik i wstrętny plotkarz. Tak. Powiniennem panu natrzeć porządnie uszu.

Doktor przyszedł nieco do siebie: — Ależ czekaj pan trochę, wszak postawiłem znak zapytania. Pamięta pan może? Chciałem właściwie zapytać pana o coś z punktu widzenia naukowego, dla mojej własnej nauki. Czy ma pan listy przy sobie?

— Gdybym je tu miał z sobą, zmusiłbym pana do przeżucia ich i połknięcia.

— Ależ nie, nie, nie, pomówmy lepiej o tem, pomówmy o tem spokojnie, nieprawdaż? Bardzo proszę wybaczyć mi. Czyniłem to ze względów naukowych, zdawało mi się, że wolno mi to uczynić, ponieważ znamy się tak dobrze. Czy nie pamięta pan, że czyniłem to w formie zapytania, że postawiłem znak zapytania? Jest to mianowicie nierozstrzygnięty punkt w nauce...

Szeldrup staje się wściekły, coraz bardziej rozjątrzony i niepoohamowany, zachowanie się jego traci na tem, maleje: — Nauka i pańskie brednie! Jest pan jeszcze w dodatku tchórzem, lisem kutym i chce pan zagadać swe listy. Mógłbym pluć panu w twarz!

Doktor zebrał jeszcze więcej sił: — Ależ niech się pan tak nie unosi, rzecz cała wcale tego nie warta, całkiem nie. A nawet to niemądrze zupełnie, proszę mi wybaczyć.

— Co pan przez to rozumie, że nie jest to mądre?

— Gdybyśmy byli sam na sam, powiedziałbym to panu. Niemądre to i może się zemścić.

— Djabła dbam o pańską zemstę, rozumiesz pan?
— krzyczy Szeldrup.

— Bardzo pana przepraszam — powtarza doktor.

Ale głośna ta rozmowa w tak cichej zazwyczaj poczekalni wzbudza w domu uwagę i przywołuje panią, zmuszając Szeldrupa do skłonienia się w milczeniu i opuszczenia pokoju wraz ze swym towarzyszem.

A więc całym rezultatem podróży z Havru okazały się przeprosiny, kilka pustych słów! Szeldrup myślał wieczorem o powtórnej wizycie u doktora, mówił nawet o tem z Berntsenem, ale otrzymał radę, aby zaprzestać w porę. Doktor dostał dość narazie. Dostał aż nadto! O, ten nieporównany zarządzający konsula Johnsen radził dobrze, wiedział co czyni i miał myśl zwróconą na wszystkie strony; nie wykluczone też, że stojąc tak u doktora w poczekalni domyślał się, do czego doktor za każdym razem zmierzał. I cóż było do domyślania się? Nic — plotki, Szeldrup powinien zamilczeć o tem ze względu na siebie i na całą rodzinę.

— Nie, zostaw go już pan, nastraszył go pan więcej, niż to może znieść narazie — rzekł Berntsen.

Szeldrup ustąpił, złość go już odpadła, zadowoli się więc przeprosinami. Spoliczkować doktora — to sprawa wymagająca jeszcze namysłu. Wszak sam przed wielu laty dostał policzek, na który nie zasłużył wcale, — ów haniebny policzek od Petry, a nie mógł przecie dopuścić, aby policzki pozostawały na wieczne czasy związane z jego imieniem.

Nazajutrz wczesnym rankiem wsiadł Szeldrup na statek, aby powrócić do Havru.

I wtedy doktor raz jeszcze popadł w porządną kłopot.

Przyszedł i on raniutko do przystani, on — jak i wielu innych —, pragnąc odświeżyć się nieco po przeżytych znojach, — ale djabli wzięli odświeżenie! Czyż mógł był przewidzieć, że Szeldrup tak szybko się znów wybierze w drogę, on, który zazwyczaj pozostawał tygodniami w domu podczas wakacyj? Ale otóż nie kto inny, lecz on kroczy wzdłuż przystani, w towarzystwie: ojca, matki i siostry, w towarzystwie dwóch obcych malarzy. Czy ma się uklonić? Uklonić pierwszy? Z pewnością, wszak należało się to damom. Stał wprawdzie całkiem na uboczu, ale jednak — uklonił się, a zrobiwszy to, usunął się jeszcze więcej na bok.

Naraz zdawało się, jak gdyby znów Szeldrupa złościła chwyciła. Poszedł za doktorem. Wziął widać obecność doktora akurat tutaj za przekorę, za zuchwalstwo. No i co teraz? Idzie prosto na doktora, jak gdyby chciał doń dotrzeć pod sam nos, ale nie patrzy nawet na niego, o, ani jednym spojrzeniem. Czy chce go wprost przewrócić, czy chce go wepchnąć do wody? Dzielily ich już zaledwie cztery kroki.

I w tej właśnie chwili ów zadziwiający Berntsen zjawia się nagle pomiędzy panami i mówi do Szeldrupa: — Widzi pan, zapomniał pan tej paczki! — i odciągnąwszy Szeldrupa cokolwiek na stronę, wręcza mu jakiś przedmiot. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego! Może to tylko gadanie puste. Ale od tej chwili Berntsen wydaje się nader zajęty w przystani, wszędzie go pełno, a jednakże ciągle jakoś nie odstępuje od boku Szeldrupa. — Muszę tu dojrzeć w sprawie pewnych towarów, — rzekł, — oczekujemy przybycia pewnych towarów! — Ba, a nawet gdy Szeldrup począł wchodzić na mostek, wiodący na

statek, podążył za nim Berntsen, aby rozejrzeć się w towarach.

Szeldrup stoi oparty o poręcz pomostu i przytłumionym głosem rozmawia ze swą rodziną na wybrzeżu. A rodzina ta zebrała się w największym podziwieniu nad tem, że Szeldrup przyjechał i że znów odjeżdża z powrotem. Ojciec nie badał go ani trochę w tej sprawie, ale dla matki i siostry miał tylko jedną odpowiedź: Interesy! Nikt jednak nie znał prawdy.

Naraz, stojąc tak, wskazuje ręką doktora na przystani i woła do Berntsena: — Słuchaj pan, panie Berntsenie, — mówi głośno i dobitnie, — powinienem był jednakowoż dobrze wsypać temu łajdakowi! Jak on śmiał tu przybyć!

Cisza. Tylko jeden jedyny głos rozlega się z wybrzeża: — Cóż u diabła? co on mówi? — To Olaus na Błoniach wietrzy awanturę.

— A gdy pan powróci do Havru, to proszę nie zapomnieć przysłać nam kilka postawów materiału — mówi Berntsen — natychmiast, bawełnianych materiałów z ładnymi deseniami, jak pierwej, ot, chociażby z pięćdziesiąt sztuk.

— Dobrze.

— Nie chciałby pan sobie tego zanotować?

Szeldrup zmuszony jest wyciągnąć notes i zapisać zamówienie.

Statek odbija i Berntsen zeskakuje na ląd.

Doktor stoi, chwiejąc się, jakby po odbytej walce, twarz jego wyraża pustkę. Chwilę to trwało, poczem wyprostował się, wysunął naprzód pierś i ruszył z miejsca. O, niepodobna pozwolić na coś podobnego, pogodzić się z urąganiem młodego kramarza w miejscu publicznem!

Prawdę mówiąc, nie brakło doktorowi zmartwienia w ostatnich czasach, ale, opuszczając przystań, wyglądał, jak gdyby postanowił sobie znosić je z godnością. Olaus na Błoniach patrzył wślad za nim i bąknął coś o jego pyszałkowatości.

W tejże chwili nadbiegły obie panny Olsen. Były strojne, młode i zdyszane. — Widział to kto! spóźniłyśmy się! — rzekły. — Czy było tu coś ciekawego na statku? Dlaczego przyszlście tu wszyscy, i czemu machacie ręką w stronę statku, Fio?

O, wiedziały przecież dobrze dlaczego. Panny Olsen z pewnością dziś rano jeszcze w łózkach dowiedziały się o wypadku i natychmiast skoczyły w swe suknie, ale mimo wszystko — spóźniły się.

— Szeldrup znów odjechał — odpowiada Fia.

— Pomyślnie — co ty mówisz? Szeldrup? Tak prędko! Czyżby?

I więcej, śnać, nie śmiały dodać, podeszły tylko do obu malarzy i udały się z nimi do domu na seans.

Dogoniły doktora, który przystanął i rozmawiał z adwokatem Fredryksenem. — No cóż, — woła do nich doktor, — spóźniłyście się na pożegnanie? — Hoho! doktor czuł się teraz jak zbawiony, powróciła mu jego dawna pewność siebie.

— Pożegnanie? Co za pożegnanie? — spytały panny Olsen i minęły doktora.

Doktor spojrział z ironją wślad za nimi, i zwrócił się znów do adwokata: — Przerwano nam. Czy nie może mi pan dać odpowiedzi na me pytanie?

— Nie; nie bez pewnych trudności.

— Jakto? — mówi doktor. — Ależ to sprawa ogólnospołeczna!

— O, tak. Ale jest to również sprawa czysto prywatna.

Doktór uśmiecha się sarkastycznie: — Zdawało mi się, że pan, jako obeznany z prawem, jako ten, który z boską i dobrych ludzi pomocą zostanie może w przyszłości prawodawcą, znajdzie radę na takie zło społeczne.

— Zwiększona liczba urodzin w kraju zazwyczaj nie bywa uważana za zło społeczne.

— Otóż i masz tobie znowu! To są elegje pocztmistrza na temat potomstwa.

— O nie, tego punktu widzenia i ja nie uznaję!

— *Ja* zaliczam to do zła społecznego. Ale zresztą przecież mówimy tu o tem, że pewien, — jeden — człowiek zapełnia miasto swemi piwnookami bękartami.

— Tak pan twierdzi?

— I wiem z pewnością.

— Nader trudno to udowodnić.

— Bardzo trudno, o, tak, szczególnie gdy świadkowie umierają. Ale otóż może nauka potrafiłaby się w to wmieszać. Nauka, oparta na doświadczeniach jest niepokonanym świadkiem.

— I to twierdzi pan?

O, adwokat się przegalopował, nie powinien był lwa drażnić. Pełen zdumienia doktor pyta: — A więc pan wątpi o nauce? A więc i pan stoi na tak niskim poziomie . . .?

Adwokat, mówca ludowy, tak widać myślał: — On mówi z umysłu, że stoję na niskim poziomie. Chytrze to powiedziane. Nie miał innego wyjścia, jeno musiał zmniejszyć nieco powagę tej rozmowy: — Nie, pod tym względem źle mię pan pojmuje. Nauka — bezsprzecznie. Ale posłuchaj mnie pan, doktorze: piwnookie dzieci są przecie rozkoszne dzieci. Gdyby tak było, jak pan mówi, musiałyby ojciec być człowiekiem dzielnym i wytra-

wnym, a więc zdatnym na patriarchę. Nasza liberalna epoka . . .

— Panu podoba się kpić ze mnie? — pyta doktor.
— Do widzenia, panie adwokacie!

O, ma ochotę krzyczyć, pęknąć ze złości! Wszyscy i wszystko przeciw niemu! Nawet taki tam adwokat, niegolony, szczeciniasty, o, taki demokratyczny, który w dodatku zatknął sobie kogucie pióro za kapelusz, jakby się wybierał na wycieczkę w Alpy. Piękny młodzieniec!

Wszystkie te utrapienia doprowadziły doktora do silnego zniecierpliwienia. Czyż nie powinien on raczej stać na katedrze i uczyć ich, uczyć tę hołotę? Oczywiście, że stanowisko jego dość jeszcze silne było, ale szacunku mu teraz takiego nie okazywano, wcale nie. Gdyby nie żywił tej głębokiej pogardy dla większości ludzi, byłby się niekiedy obrócił i zapytał, z czego się oni, do wszystkich djabłów, śmiali, gdy go mijali ulicą.

Otóż konsul, naprzykład, przysłał mu zeszłego tygodnia długi rachunek, ten Johnsen w Przystani, papa kramarski. O tak, dostanie swe pieniądze, dostanie jak najprędzej swe szelągi, proszę bardzo, jednego z najbliższych dni! Haha! musiał się doktor zaśmiać. Wyśle pieniądze pocztą, tak uczyni, aby wszyscy widzieli, — czy to nie świetny kawał? I od tego dnia i chwili ustanie wszelki handel w tym kramiku, w tej knajpie! Ależ to takie miejsce, w którym pewien szanowany obywatel miejski nie otrzymał nawet uczciwie zważonej mąki!

Nagle wpada mu do głowy, aby pomówić trochę z Mateuszem Stolarzem i usłyszeć nieco więcej o słynnej historii z mąką grysikową. Radzi się swego zegarka. Owszem.

Tak wysokiej a zaszczytnej wizyty nie spodziewał się Mateusz Stolarz w swym warsztacie, to też natych-

miast poprosił doktora do izby. Siedli wśród krzeseł i foteli na biegunach, etażerek i stołów pokrytych grubemi pluszowemi obrusami. Ponad stołem środkowym zwieszała się lampa, dosięgając prawie płyty, na ścianie widniały fotografie krewniaków-emigrantów i wizerunek stortingu z roku 1884; na gzymsie pieca leżały gałęzie listowia, wyschłe na papier. Ciasno tu było w przepelnionej izdebce i duszno. Rozmowa jakoś też się nie kleiła. Mateusz wydawał się zmieniony, nie ten co dawniej, jakiś taki nieusposobiony.

Doktor miał parawanik, który należałoby skleić. Stolarz pośle więc chłopca po niego.

Stał któregoś dnia między otwartem oknem a drzwiami, więc, oczywiście, wiatr przewrócił go i potrzaskał w kawałki.

— Tak. O, to nie trudno.

— Ale to nie powinno się było zdarzyć, całkiem nie. Nie powinno też być w pokoju przeciągu. To te głupie dziewczęta temu winne. Jakże tam u was, Mateuszu? Może wasz dom lepiej jest prowadzony? choć zawsze dziewczęta pozostają dziewczętami.

Mateusz — nagle żywy, gorączkowy, porusza kilkakrotnie szybko głową. Może to oznaczać cokolwiekbądź, ale tylko nie: tak. — Dom mój dobrze był prowadzony, ale teraz dziewczyna ma odjechać.

— Odjechać? I czemu to?

— Nie chciałbym o tem gadać. Powarjowały wszystkie.

— Jakżeż to się ona nazywa?

— Maryna Salt. Stara, może z pięćdziesiąt lat, ale i ona sfiksowana. Nie, co za czasy! Tylko parszczą nozdrzami, niby te żrebaki.

— Już wam się znów wszystko ułoży — mówi doktor.

— Ułoży? Niech się tam djabłu lepiej ułoży! — oznajmia wzburzony stolarz. — Toż to było uknute i sprzysiężone! — dodaje.

Doktor pragnie odejść. Kłopoty domowe rodziny rzemieślniczej nie mogą interesować akademika, przysiętem dotknęła go swoboda, z jaką przemawiał doń stolarz. Przecie równymi nie byli. Ale miał tu jeszcze inną sprawę: — Słuchajcie Mateuszu, — rzekł — przecież to wy dostaliście raz fałszywą wagę u tego tam Johnseny w Przystani?

— Co takiego?

— Pytam, bo może i inni jeszcze narażeni byli z tej strony na to lub owo.

— Nie — odparł Mateusz krótko i głową potrząsnął.

— Mówicie nie?

— To nie było u konsula, jeno w składzie towarów.

— I myślicie może, że konsul o tem nic nie wiedział?

— Konsul? Jakżeby on mógł o tem wiedzieć?

Przecież on w składzie nie siedzi.

— Więc naprawdę dali wam fałszywą wagę w tym interesie?

— To wina Olivera. Niech pan doktor wybaczy! ale nie rozumiem całkiem, czemu się pan o to pyta.

— Kiedy przyślecie po parawan? — pyta doktor i wstaje.

— Zaraz. Natychmiast. I do jutra może już przeschnąć. A tak, zrobię to z największą przyjemnością. Proszę, panie doktorze, tędy!

Stracone zachody. Otóż i idzie ów człowiek tą samą drogą, którą był przyszedł, doktor miejski, persona grata, autorytet, idzie z zawiedzioną miną z powodu bagateli, bez żadnego powodu niemal. I on zapewne marzył o wyżynach życia, o szczytach, — skóra

jego miękka była wtedy, krew — purpurowa, chodził zakochany, umiał się uśmiechać — a gdzież to się teraz wszystko podziało? Życie, życie rzuciło się na to i strawiło! Coraz bardziej i bardziej rozplywał się w drobnych zgryzotach i drobnych interesach, rok za rokiem stawał się bardziej pomarszczony i złośliwy; sam na sam z żoną przy każdym jedzeniu, w pustym domu, bez rodziny, bez dzieci, samotny ze swą uczonością i swem niepowodzeniem, ciekawski, plotkujący i niepokaźny. A i on chyba miał niegdyś sny młodzieńcze. Dawno już to temu. Obecnie ani śladu z tego wszystkiego. Z minionych czasów pozostał mu jeno żargon knajp studenckich, ich radykalizm, wolnomyślność i płytkie gadanie, bez najmniejszego śladu piękna i tego serdecznego ciepła nawet w grzechach młodości. Skołtuniał, intelekt jego wykoleił się. Jakże źle mu się działo! Był już prostoprostu niczem. Ale zobaczycie: zaoszczędzi on sobie teraz tyle, ile mu będzie potrzeba na zapłacenie rachunku u Johnseny, a wtedy postara się zawiązać stosunki z innym kupcem, u którego otworzy sobie kredyt. Może nawet u Dawidseny, tak — właśnie u Dawidseny. Był przecie nowym konsulem i potrzebował prostoprostu lepszej klienteli. Toż to plan, postanowienie, godne gospodyni w tarapatach!

Wraca do domu i zostaje panią domu na spacerze. Wchodzi do sypialni i znajduje parawan nieuszkodzony. No, więc widocznie wytrzymał ów upadek. I naco to się zdało jego urąganie? Nawet i tu ogarnia go tak cierpkie i przykre rozczarowanie i tak przeogromna wściekłość, że jednym pchnięciem przewraca parawan i kopie go nogami. A niechże sobie przyjdzie chłopak stolarza! Nie, nie dane mu w życiu ani jedno zadowo-

lenie, ani jedna słoneczna radość! Za lat dwadzieścia, za dziesięć może — umrze i w tejże chwili zostanie zapomniany.

Znów wychodzi, — niech się tam jego poczekalnia obejdzie bez niego. Ależ, naturalnie, otóż i nadchodzi ten pocztmistrz nieborak, mruczając, jak zwykle, do siebie samego. Doktor zaledwie się przemógł, by, wymijając go, uchylić kapelusza.

A ot, spotyka Henryksena na Dokach, — patrzajcie tylko, jakie to miasteczko małe, a ludzie drobni, tyle miejsca pozostaje dla każdego na jednej ulicy, że chodząc, czytać mogą na plecach poprzednika. Ale jakkolwiek z Henryksenem należało się przywitać. Wdowiec spodziewa się tego po nim. W innych warunkach mógłby doktor napomknąć lekko o należności, o honorarjum. Prawdę powiedziawszy, to honorarjum właśnie miało pokryć lwią część rachunku u Johnseny w Przystani. Ale pani Henryksenowa umarła, pacjent umarł — haniebne to nieszczęście, cios!

— Co słyhać dobrego pozatem, czy noworodek zdrowy?

— Tak, dzięki Bogu, zdrowy, wspaniały.

Doktor rozumie, że dziecko to służy Henryksenowi do uśmierzenia jego zgryzoty. Został wdowcem, to prawda, ale dano mu wzamian tego maleńkiego rozkosznego malca na pociechę. Henryksen nie czyni wrażenia całkiem przybitego, ani przygnębionego i doktorowi wraca znów nadzieja otrzymania chyba należnego honorarjum.

— Pójdę z panem do domu i obejrzę dziecko — mówi.

Henryksen uradowany i wdzięczny: — O tak, gdyby pan doktor zechciał.

— Z chęcią, ukradnę tę pół godzinki z mej praktyki i pójdę z panem. A pan, panie Henryksen, czuje się pan pozatem przy najlepszym zdrowiu?

— O tak, dziękuję, doktorze. Nie mógłbym powiedzieć nic innego.

— Oczywiście. Zdrowie skały. Czy żona pańska nie powiedziała nic panu przed śmiercią? Czy nic poufnego nie miała panu do zwierzenia? Zwykle przecie tak bywa.

— Nie — odpowiada Henryksen i kręci głową. — Myśli pan, czy nie prosiła, abym dbał o dzieci, o malca? Nie.

— Gdy kobiety umierają, czują zazwyczaj potrzebę proszenia o przebaczenie za to czy inne przewinienie. Czasami w głębokiej tajemnicy postępują całkiem niewłaściwie, dopuszczają się błędu, lub czegoś w tym rodzaju. Umierające kobiety prosiły mię już nieraz o przekazanie swych próśb rodzinie.

— Nie, nie. O, nie. Ona zresztą nie miała zaco prosić mnie o przebaczenie, daleko do tego. Przytem, niestety, wcale przy jej śmierci nie byłem obecny.

— Życzyła sobie księdza, słyszałem?

Bez cienia podejrzenia Henryksen odpowiada: — Tak, chciała, widać, przyjąć św. Sakrament.

Chłopiec okazuje się wielkim i pysznie zbudowanym, prawdziwy aspirant do czegoś, urósł też bardzo, choć chowany na flaszcze, krzykacz i złośnik.

— Ale ma brązowe oczy — mówi doktor.

— Tak, czy to nie dziwne! — odpowiada Henryksen. — W ciągu wszystkich miesięcy ciąży żona pragnęła tylko dziecka o brązowych oczach, zupełnie takich, jakie mają poprzednie. Gdybyż Bóg dał nam te brązowe oczy, takie są miłe i śliczne! — mówiła. — No i spełniło się jej życzenie.

— To i dobrze, to przynajmniej! — rzekł doktor z krzywym uśmiechem.

Ale Henryksen przyjął to dosłownie: — Tak, nieprawdaż? O, tak chyba było sądzone! Kieliszek wina, doktorze? Może konjaku z wodą sodową?

Idą obaj do pokoju i siadają każdy ze swym konjakiem, a Henryksen niezwłocznie bierze sobie aż dwa kieliszki. Opowiada o żonie, o swej samotności, która jest nie do wytrzymania. Dniem, podczas roboty ujdzie jeszcze, lecz gdy noc nadchodzi, noc! — Zachowuje się względem swego wysoce szacownego gościa z największą grzecznością i uwagą, powoli staje się nawet wdzięczny za pomoc — tak, za wszelką pomoc, której doktor udzielił.

— Niestety, nie w moich siłach leżało pomóc lepiej — odpowiada doktor.

— Tak, lecz mówię panu wprost, że uczynił pan, co pan mógł, przychodził tu pan przecie wiele razy i doglądał jej i pisał recepty. Wszyscyśmy robili, co leżało w naszej mocy. Tę pociechę mamy jedynie, że z naszej strony nic jej nie brakło. Ale, widać, czas jej nadszedł. Proszę jeszcze konjaku, doktorze!

— O, sam nie wiem. No, ale kiedy już pan prosi.

Henryksen rozpromienia się. — Zaszczyt to dla mnie, doprawdy zaszczyt dla domu, żona moja powinna by tego dożyć! A teraz prosiłbym pana o przysłanie mi rachunku, porządnego rachunku! Tak, życzę sobie tego. Albo może zechce mi pan odrazu powiedzieć jego wysokość, tylko sumę ogólną, nic więcej.

— Możemy pozostawić to na kiedy indziej, później.

— Wszystko, co uczynić można było, zostało wykonane, oto nasza pociecha! — bełkoce Henryksen za-

topiony w myślach. — Tak, chciałbym doprawdy — pozwól mi pan niezwłocznie . . .

Henryksen powstaje, zbliża się do biurka i wraca z papierkiem, grubym, czerwonym papierkiem, podaje go doktorowi: — Proszę, ten tutaj, jeśli nie ma pan nic przeciw temu! Czy odpowiada mniej więcej wymaganiom, czy wystarczy?

Doktor zgoła nie jest chciwy na pieniądze, zgoła nie pożądlivy. Co zarobił, już dawno wydał, więcej nawet, wydał na jedzenie i picie, na „rozkosze”. Nie taki znów z niego zły człowiek, żeby się nie czuć zażenowanym z powodu wielkości tego papierka, — tożto podarek! — Więc odpowiada: — Za dużo, mnie się nie należy aż tyle, połowa zaledwie!

Henryksen głową chwieje, rękę ma szeroką i serce dobre, chce też, widać, okazać się godnym podziękii lekarza: — Bierz pan, doktorze, przyjmij to od niej i ode mnie. I nie mówmy o tem więcej!

— Przyjdę tu do małego, kiedykolwiek pan zechce, Henryksenie. W dzień czy w nocy.

Doktor powracał do domu odmłodzony. Co mu się stało? Ano, czuł się przedtem bezbronny, a otóż nagle okazuje się, że ma oręż: — Proszę pięknie, panie Johnsen w Przystani, przysłał mi pan rachunek, alem do-tąd zapomniał o tej bagatelce, proszę — żółty kwitek z poczty na list pieniężny do pana!

O tak, doktor był rad, lecz nie spowodowało to całkiem jego nawrócenia, nie wywołało wzburzenia ani kryzysu z wdzięczności. Życie pozostało niezmiennie, wrogowie ci sami co wprzódy, przypadek dał mu możność triumfowania nad nimi w tak głupi i jałowy sposób, a on nie chciał wyrzec się tej przyjemności. Mógłby przecie pójść do sklepu Johnseny i wyrównać swe długi z Bernt-

senem, — ale nie, nie czyni tego, zaciera natomiast ręce, ciesząc się zgóry na myśl o złośliwym liście, w który ma zamiar wsunąć pieniądze, gdy je będzie odsyłał Johnsenowi.

Onby się miał tego wyrzec! Patrzajcie, przecież nadchodzi tu jeszcze jedno z tych piwnookich! miasto aż się od nich mrowi! Wstrzymuje chłopaka i pyta: — Czy to nie ty zwykle przychodzisz do mnie z rybą?

— Ano, tak.

— Czy już nie łowisz ryb więcej?

— Nie.

— A czem się teraz zajmujesz?

— Ja — ja rychło wypłynę na morze.

— Ale teraz co robisz? Takiś nieumyty.

— Teraz akuratnie pracuję u kowala, ale . . .

— Ale ochoty do tego nie masz? Nie, nie, jedź ty lepiej na morze! Jakże ci to na imię?

— Abel.

— Powiedz twemu ojcu — twemu ojcu w domu, żeby przyszedł którego dnia do mojej poczekalni. Mam z nim coś do pomówienia.

XVI.

No, nieumyty chodził Abel wszystkie dni swego żywota, ale, naturalnie, służba u kowala nie uczyniła go bielszym.

I co za niedorzeczność właśnie ze strony Abła, że stanął przy kuźni, przykuł się do glinianej podłogi, dmuchając w miech i kując żelazo na komendę maleńkiego płasającego młotka! Ale do czegoś przecież musiał się Abel zabrać! Już dawno był potwierdzony i wyrósł na wielkiego, krzepkiego wyrostka. A pewnego dnia kowal Karlsen zawołał na niego z kuźni: — Chodźno tu! nie mógłbyś ująć tego młotka i uderzyć za mnie parę razy!

Abel uderzył, w gruncie rzeczy bawiło go to stanie w kuźni i próbowanie swej siły, to krzesanie gwiazdek z jarzącego się żelaziwa. Kuł tak do południa, a potem kowal zabrał go do pokoju i nakarmił.

— Mam tu bardzo pilną robotę — rzekł kowal — mógłbyś mi pomóc także i po południu?

— Ano, mogę — rzekł Abel.

Gdy zapadł wieczór, dostał stawy raz jeszcze, a przed odejściem — koronę. — Chwacki z ciebie chłopak — rzekł kowal — mógłbyś może przyjść też i jutro?

— Mogę — rzekł Abel.

Zadecydował o tem na własną rękę. Postanowienia jego zawsze zależały tylko od niego samego — nie wiadomo, czy rys ten odziedziczył po ojcu swym, Oliverze, czy też nabył go, włócząc się i biedząc sam w ciągu całego dzieciństwa.

Pozostał u kowala tydzień.

— Gdzież to przepadasz teraz dniami całemi? — zapytał ojciec.

— U kowala. Dostaję strawę i koronę na dzień.

— Och, ty Ablu, ty Ablu! — rzekł ojciec i pewna doza dumy poruszyła się w sercu kaleki. — Chcesz już pozostać na stałe u kowala?

— Na stałe? Nie. Tylko dopóki ma tę śpieszną robotę.

Ale kowal miał pilną robotę tygodniami, miesiącami, o, tyle należało kuć i naprawiać, aby wykończyć w porę! Abel musiał pozostać. Nie to, żeby zobowiązał się na cały termin nauki i poniechał morza, ale w istocie dobrze mu było u kowala, zarabiał sobie na porządny wikt i na ubranie; bardzo mu było potrzebne i jedno i drugie.

Między kowalem i kowalczykiem zapanował przyjazny stosunek. Czasami siadali sobie śród roboty i ćmili fajkę, ponieważ kowal oświadczał, że czuje się zmęczony i nie może pracować tak ciężko. Naogół wzięwszy, Abel odniósł wrażenie, iż nie taki gwałt już był z dalszą robotą; wprawdzie niekiedy przybywało coś nowego do wykonania, ale nie tyle, aby majster sam nie mógł temu podołać. Pewnego wieczora Abel zapytał, czy ma jeszcze przyjść nazajutrz? Kowal nigdy podobnej głupoty nie słyszał. Ależ nigdy dotąd tak mu się robota w ręce nie paliła, jak na jutrzejszy dzień właśnie.

Majster był wdowcem i miał dorosłe powydawane dzieci. Sam był bratem policjanta Karlsena. Człowiek,

który pracował ciężko i żył jakoś z dnia na dzień, ale więcej nie pożył. Tak to prowadził swą niewielką kuźnię w ciągu półtorej generacji. Miał córkę, która, owdowiawszy, przybyła do niego i zajęła się domem. Niekiedy opowiadał Ablowi swe przeżycia, drobne zdarzenia tylko, codzienne zdarzenia, ale że nigdy prawie nie opuszczał swej kuźni i swego miasteczka, każda bagatela nabierała dla niego przesadnie wielkiego znaczenia. A czemu nie miał wielkiej kuźni, i nie przyjmował czeladników i chłopców do nauki? Bo nie dbał o to, nie miał na to środków, domu, ba, nawet kuźni dość wielkiej. Liczna gromadka własnych dzieci też przeszkodziła mu żyć na szeroką skalę. — Pomyśl tylko, pięć dziewcząt! — rzekł — pięć sztuk tylko z tego gatunku! I prócz tego dwaj chłopcy! — A był też przecie i na wsi kowal, akurat po drodze do miasta, ale wykonywał on wszystką chłopską robotę, podkowy, pługi, kosy. Sam zaś Karlsen był kowalem miejskim i wyrabiał drobne przedmioty dla użytku domowego, czasami zaś — jak to teraz naprzykład, gdy mu konieczna była pomoc Abła — prostsze części parostatków.

— O tak, poco tam się człękowi uganiać za czemś więcej! — mówi Karlsen. — Przez całe życie przebrnąłem ot, z tym tu! — dodaje z uśmiechem i wskazuje na młot. — Więcej mi nie trza i więcej nie jestem wart. Za tyle lub tyle lat umrę, akuratnie tak samo, jak umarł mój ojciec i zemrą moje dzieci. Więc i tak musiałbym porzucić wszystko, nawet gdybym posiadał wiele. Adolf, ten wciąż na morzu, ożenił się w Angliji i pisze, że tylko tyle zarobi na rodzinę, ile konieczne, a już, aby do domu przysłać, nic zaoszczędzić nie może; odpowiadam mu za każdym razem, że chyba już ja mu krzynkę pošlę, jeśli mu potrzeba. Jeździ więc morzami i jeździ, a po

takim lub innym czasie i on umrze. Tak, tak, Abelku, wszyscy pójdziemy tą drogą. Widzisz, Adolf był moim najmłodszym, już ośmnaście lat temu, kiedy odpłynął i od tego czasu do domu nie przyjeżdżał. Ośmnaście lat — to szmat czasu, to jeszcze przed twojem narodzeniem, a jeszcze kupił sobie skrzynię na drogę od twego ojca. Płynie i płynie, no a wkońcu należy okręt z lin obrać i zawinąć do portu! Dziwne to pomyśleć, że taki był maleńki, kiedy tu chodził po kuźni i przebierał w tych rzeczach. Zdaje mi się, że to całkiem nie tak dawno temu.

Głos kowala załamał się cokolwiek, powstaje i podchodzi do ławki i wygląda nieprzezroczysem oknem. — Hm! — chrząka i stara się nabrać tęgiej miny. — Właściwie, powinienem którego dnia umyć te szybki, — żartuje. — Czy nie? jak myślisz, Ablu? Już ze czterdzieści roków nie widziały całkiem światła dziennego!

I śmieje się, powraca i siada z powrotem. — Tak to tak, tak, tak! A najstarszy chłopak mój to po kraju chodzi na przeróżną robotę. Taki już zdawna był, że żadnej stałej roboty jąc się nie chciał, ale od miejsca do miejsca ciągnął; może i to dobre, i to również, ale ja tam nie wiem. Do domu nigdy nie zagląda, nie, dziwak taki, do głowy sobie wbił, że nie powróci, dopóki nie zbierze dużo pieniędzy na wybudowę izby i nie będzie mógł nam pomóc, byśmy się wybili w górę. Chłopak, widać, na obczyźnie całkiem rozum postradał. W górę! — cóż to, myśli, że byśmy fruwali? Powinienbym ja z nim tylko godzinę pogadać. Ale siostrę swoją spotyka nieraz, tę, co to jest u mnie, spotyka go ona niekiedy, a żyją jak dwa gołąbki. Wygrywa jej na drumli. Już mistrzem

był w graniu od maleńkości, a teraz, słyszę, lepiej gra jeszcze. Czy to nie dziwne, gdy pomyśleć o nas wszystkich: niedawno znów go siostra spotkała i grał jej na drumli, ale taki był obrośnięty, że go prawie poznać nie mogła. Dostał już nawet kilka siwych włosów. Ale nie, do domu nie chce powrócić! nim się nie wzbogaci, wpierv go nie zobaczymy! To też w swoim rodzaju pomieszanie. A i on dawniej dreptał tutaj po kuźni i on kuł młotem i dźwigał drągi żelazne i gadał z sobą samym. Niedawno to temu, wydaje mi się, parę lat. A gdziekolwiekbyś go w mieście spotkał, zawsze wyjmował, bywało, drumlę z kieszeni i grał sobie trochę. A matka jego, dokąd żyła, często mu w rękę dodatkową kromkę wsuwała, bo tak szybko rósł, a kiedy mu nowe ubranie kupiono, to przychodził z tą swoją małą łapusią i dziękował nam. Hm!

Kowal zrywa się i naraz mu spieszo: — Nie, to nie uchodzi; czyś gotów, Ablu! Hehe, jakie to z nas pilne chłopcy! Weź-no, a dmij czempredziej!

Żartuje i udaje, że mu bardzo wesoło, ale chyba — wszystko raczej, tylko nie to — on jest stary i zmęczony, łatwo wzruszający się, wyczerpany. Na siłach mu już zbywa. Abel, choć nie starszy nad swój wiek, mógł podźwignąć w dwójnasób tyle co on i wytrzymać dzień cały przy robocie. Staremu pomagała wprawa, ręka włożona, miał lekki sposób imania się pracy; często wszakże mógł zapatrzyć się swemi matowemi oczami w młot i wtedy stawał w robocie.

O nie, wesołym to on nie był. Nie miał też największej pociechy ze swoich dzieci, nie ze wszystkich. Jedna z jego córek była swego czasu często na ludzkich językach, ta, co to zamaż poszła za Kacpra, który dla jej płochości musiał porzucić morze i wziąć się do

roboty na warsztatach okrętowych. Teraz i ona i gadanie o niej ucichły, lecz przed wielu laty, gdy mąż jeszcze żeglował, wtedy porzuciła dom i puściła się na morze, żeglowała wesoło, żeglowała bezwstydnie. O, brykała, jak żrebak! Mąż, a może więcej jeszcze ojciec, wzbudzali wtedy współczucie wszystkich.

A jednak — kowal Karlsen prowadzi egzystencję nie całkiem beznadziejną; ma przecież, czego mu potrzeba i nieco ponadto, — jest zadowolony z losu. Wieczorem dziękuje Bogu za dzień miniony, dziwi się, że upłynął tak doskonale, że nie zaszło nic złego. Jakże to nietrudno o nieszczęście! Potem pozwala sobie niekiedy na ciche a pocieszne przekomarzanie się z córką: — Myśmy, zaprawdę, wykończyli dziś wielką robotę, my — dwaj chwaty, a ty co? Nie widzę wcale, abyś tu się poruszała, krzesła stoją całe, jak stały.

Śmieją się z tego, a córka odpowiada: — Tak, ale ja stłukłam dziś, niestety, dwa talerze.

— I, jest to o czem gadać! — mówi ojciec. — Przez ten czas mogłabyś natłuc z tuzin przynajmniej!

Kiedy tak sobie bają w dobrym humorze, Abel zbiera się na odwagę i pyta, czy może jutro wolno mu będzie nie przyjść do roboty? czy on wogóle potrzebny tu jeszcze? Wtedy stary kowal staje się poważny, patrzy na chłopca i uważa niemal, że to było najgorsze, co od niego dotąd słyszał: czy to mu aż tak spieszno akurat w najrobotniejszy czas? i dokąd to mu tak pilno?

Abel chciałby nająć się na statek.

— Nająć? Teraz, tak późnem latem, kiedy idzie na zimę? Wiosna — to czas najodpowiedniejszy. Czy nie mógłby w każdym razie pozostać jeszcze z miesiąc czasu? Bo teraz mają przecież tę wielką robotę, muszą ob-

toczyć na oselce gracie i świdry dla inżyniera, naprawić dwa zamki do drzwi u konsula Heiberga, sporządzić nową sprężynę do wózka dla Henryksena na Dokach, utoczyć nową oś do maślnicy w posiadłości Johnsen. w Przystani, wykuć przenajrozmaitsze haki dla malarza, który ma odmalować kościół. Roboty starczyłoby dla wielu na długie czasy.

Abel pozostał.

O, lecz morze!... tegoby tylko brakło, aby on zapomniał o morzu! Towarzysz jego, Edward, znajdował się obecnie według ostatnich wieści w Południowej Ameryce, i zeglował już od lat dwóch, a on, Abel, dotąd chodził po lądzie i stał w kuźni! Nie, dzięki! No, ale zresztą całkiem bez powabu kuźnia nie była, stawał się od tego dobrym i umorusanym sadzami, ludzie zaraz miarkować mogli, czem to się on zajmuje, a gdy chodził przez miasto, pobrzękując na ramieniu drągami żelaznymi, wzbudzał nawet u rówieśników pewien szacunek i uchodził za dorosłego. A czy to mali chłopcy nie musieli usuwać się i zmykać na bok, aby się nie nadziać na który z jego drągów!

Więc naogół tak mu znów źle nie było. W dodatku przecie dostawał Abel o regularnej porze pożywnej strawy, a sen jego stał się spokojny, i cały okrzepł na tem lepszym życiu. I czy to nie okrutnie miły był ten dom rzemieślniczy, gdzie wszystko stało na swoim miejscu, gdzie podłoga czysta była, a fuksja płonila się na oknie! W niedzielę ubierał się kowal w piękne ubranie i chodził zwolna po mieście i okolicy. Nie miał zwyczaju wchodzić do kościoła, ale prawy i nabożny był z niego człowiek, z tysiącem grzechów, których żałował, i o tysiącu dobrodziejstwach bożych, które go radowały. Wszystko mu się zdało niezasłużenie dobrem.

Abel spotyka go pewnej niedzieli na ulicy. — A doprowadź mię kawalek! — mówi majster — Dokąd to idziesz?

Nie, Abel nie dążył nigdzie, szedł sobie tylko, był samotny. Lidka całkiem już wyrosła z jego towarzystwa. No, to i krzyżyk na drogę! A przecie teraz takby dobrze miała. Lecz on nie patrzył nawet w tę stronę, gdzie ona była! Edward, brat jej, był niegdyś dobrym towarzyszem, ale i on, widać, stał się wielkim panem, bo nigdy słowa do niego nie napisał, a przebywał w Południowej Ameryce. Więc dokądby Abel miał zdążyć w święto? Pozostać w domu nie mógłby żadną miarą w swem nowem ubraniu i wymyty, a z błyszczącym nożem w futerale, który sobie kupił; brat jego Franek chodził do wyższych szkół i nigdy do domu nie przyjeżdżał, a Oliver, ojciec jego, wypłynął w szkiery, jak niezmiennie czynił każdego święta. Nie przestawał dotąd szukać przygód. Nie, Abel nigdzie nie dążył. Ale znał on doskonale miejsce w polach, gdzie przebywają żmije i szedł może tam, aby sobie którą upolować. Nie, starszym ponad to jeszcze nie był, wyrostek z niego pozostał do tej pory.

Albo może czekał na kowala? Więc chyba tylko poto, aby pewni ludzie zobaczyli go w poważanem towarzystwie. Nie szkodziłoby, gdyby ona akurat siedziała w oknie świetlicy, gdy przechodził z majstrem. Lecz zresztą niech tam sobie ona robi, co jej się żywnie podoba — jakże to jej na imię? Lidka? — on w każdym razie przejdzie mimo, niby czeladnik kowalski, niezbędny pomocnik Karlsena.

Gdy minęli chatę Jörgena Rybaka, kowal spostrzega, że mówi sam tylko, że Abel nie odpowiada. Kowal nie dojrzał snąć błyskawicznym zezem

czegoś w pewnem oknie domu i serce jego nie zabiło szybszem tętnem; wydaje mu się natomiast, że zbyt starym towarzyszem jest dla Abła, uśmiecha się więc do niego i mówi: — No, dziękuję ci za kompanję, Ablu, teraz trza mi w tę stronę!

Abel idzie na źmije. Gnieździły się w skalistej wyrwie, a wiele ich tam zwykle bywało, wylegiwały się leniwie i wygrzewały. Abel i inni chłopcy często w ciągu tych lat za nimi się uganiałi. Pogoń taka zawierała w sobie niebezpieczeństwo ale i honor. W czasach szkolnych sława się nawet o niej rozchodziła.

Kiedy się Abel zbliżył do wyrwy, usłyszał śmiechy i wołania innych chłopców, którzy zdążyli go już ubiec. Więc on już dalej nie idzie. Nie, bo tam pewnie sami malcy, ośmiolatki, takie głuptasy. Rozumni ludzie nie zbytują podczas polowania na źmije, lecz zapierają oddech i stąpają niby po płatkach różanych.

No i co teraz? Wie, że po tamtej stronie wzgórza jest doskonale echo i tam się też kieruje, by pohukać sobie trochę. Wyrostek z niego wciąż jeszcze.

Cicho tu, ustronno, ani żywej duszy. Huka, a tak, a echo odpowiada. Ale właściwie zajęty jest przecie ważniejszymi sprawami, niż próbowaniem echa, — rzuca się na wrzosowisko i przeżywa raz jeszcze owo przejście pod pewnem oknem. No, i co to osiągnął ogółem wzięwszy swym pomysłem? Nóż w pochwie z alpaki powrócił na właściwą stronę i połyskał pięknie, ale czy ona go dojrzała? A prócz tego postać w oknie mogła być jej siostrą, a nie nią samą. Pewnego nic nie było.

Leży długo i przeżywa a przeżywa zdarzenie i waży wszystkie możliwości, niekiedy cierpnie od słodkiego parcia w piersiach i wije się w uniesieniu,

niekiedy staje się beznadziejny i krnąbrnie porywa się w górę, mówiąc głośno:

— Krzyżyk na drogę!

— Drogę! — przedrzeźnia echo.

Abel woła: — A tak, krzyżyk na drogę!

— Na drogę! — odpowiada echo.

Abel woła coraz wyraźniej i coraz głośniej, sylabizuje echu i zmusza je do powtórzenia każdego słowa oddzielnie. Zajmuje go to chwilę, ale nie może przecie do nieskończoności siedzieć tu i gadać z tą papugą w skale, zamyśla się natomiast nad samem echem, tą mową bez ust, dźwiękiem bez głosu, brzuchomówstwem ciuciubabki, która siedzi może gdzieś poza granicami świata. Przyzwyczał się do obowiązkowego rozważania wszystkiego, czego doświadczył i co w życiu napotkał; nikt go tego nie uczył, nikt nie rozwijał, wszystko tylko miał sam z siebie. O, niejedną wspaniałą chwilę spędził sam z sobą. Dawnemi czasy zwracał się do ojca i pytał go o zadziwiające rzeczy, a Oliver nie był człowiekiem, stroniącym od rozmyślania nad głębokimi zagadnieniami, bo on przecie tyle się w świecie napatrzył! Ale w czasach ostatnich, a szczególnie od czasu, gdy nieszczęsny pociąg do Lidki na serjo się rozwinął, Abel szukał najchętniej samotności i sam się biedził nad pytaniami. Kowa! Karlsen też wpłynął na niego, mądra prostota i łagodność starca koili w nim niejedno, a wesołość jego dodawała mu otuchy.

— Bum! — woła, imitując wystrzał.

— Bum! — odpowiada echo.

Odpowiedź tak krótka, dźwięczy niby niewidoczne pęknięcie. Zadziwiające to i niepojęte. Abel męczy się rzetelnie nad zagadnieniem, tak, wiruje mu ono w głowie, djabeł się w niem rozezna. Otaczają go

zagadki i misterja. Ot wyszedł sobie, aby natrafić może na źmiję, a tu przysłuchuje się echu. I ta przewrotność rzeczy jest też niepojęta i mistyczna, mógł ślęczeć i nad nią również aż do wieczora. O, jak on umiał ślęczeć! I to nie nad łakomym kęskiem, nie nad sportem murzynów, lub nad zarobieniem pieniędzy, ale gdzieżby tam. Ale nad czemkolwiekbaǳ. Lidka o tem nic nie wie, siedzi sobie w domu i wygląda oknem, ale gdyby ona tylko wiedziała, jaka — ona głupia! Widzą mu się rozległe łąki, a na nich zwierzęta, widzą mu się miasta, lasy, morze, nieskończoność, wieczność...

Czyżby spał?

Porywa się i chrząka, ziewa, wyrzuca ramionami i przeciąga się. W tej samej chwili wypada coś z rękawa jego koszuli: ciemny splot liny z paszczą, długa bestja, która z chyżością błyskawicy wkręca się we wrzosowisko. Hej — tu się nie krzyczy i nie zaciska spódnic dokoła nóg przed myszą: w jednej sekundzie jest się na nogach i dalej za uciekinierem! Znajduje się go, zdeptuje, rozplaszcza głowę. Dokonane.

O, lecz kto jest tego świadkiem? Niebo i pola. Nikt. Czyn bohaterski stracony nadaremnie.

Abel ujmuje zwierzę za ogon i zabiera z sobą, uczyni z niego podarek mrowisku przydrożnemu. Prawdziwie wspaniały to okaz, prążkowany, krzyżem znaczony — piękność, o, i jakiż wstrętny! Mrowiska nie znajduje i nie przestaje włóczyć się z trupozsem, nie napotyka też ani jednego człowieka, ani jednego dziecka.

Poczyna mu się to przykrzeć, a jest daleko jeszcze do miasta. Nagle czuje klucie w ręce, w prawej ręce, która trzyma źmiję, a gdy się jej przypatruje, widzi, że ręka nabrzmiała i pociemniała. A więc jednak został porządnie ukąszony. I teraz nie zachowuje się

jak panienka, która piszczy i łyzy leje, lecz, choć nikogo wokół niema i nikt tego nie widzi, zachowuje się jako ten człowiek żelazny, jakim właśnie jest: Abel wypuszcza żmiję, odnajduje ranę i poczyną ją ssać. Umie to, czynił to już dawniej; jednocześnie odpina szelki od spodni i owija je mocno dokoła kostki. Dziwne, że nie poczuł samego ukąszenia, chodził z trucizną kilka minut i coraz trudniej to naprawić samem wysysaniem. Ruszając dalej, nie zapomina zabrać z sobą trupa żmii.

Odczuwa teraz coraz więcej i więcej ukłuć w rękę. No, więc w każdym razie niedziela nie przejdzie mu w monotonności. Od czasu do czasu spogląda na tę rękę, która nie chce zbieleć, na ranę, śmiesznie małe ukąszenie, którem się niema nawet co chwalić. Ale powoli, gdy ręka nie nabiera lepszego wyglądu, Abel patrzy na nią z niecierpliwością raz jeszcze, jak gdyby chcąc zbadać, czy to naprawdę wina ranki i czy to rzeczywiście jego ranka. Ależ tak, omyłka jest wykluczona. Okazuje jej teraz nieco większe zainteresowanie i wcale mu to nie jest niemiłe, gdy wreszcie w oddali ukazuje się jakiś człowiek. Ssie i idzie naprzód.

Rękę ze żmiją zakłada na plecy, aby nie wystraszyć tego człowieka. Ależ to kowal Karlsen tu siedzi! Aż tutaj zaszedł, tutaj siedzi na kamieniu, w samotności, z rękami zaciśniętymi dokoła wygasłej fajki. — Znów tu jesteś, Ablu? — mówi. — Siedzę sobie tutaj, nic nie robię i patrzę na góry i doliny świata, i dziwuję się, och, dziwuję. Czy widzisz tę skałę tam, szczyt, hehe, wspinały chłop! Czy widzisz, jakie to pagórki ponawieszał na siebie? O, jakże pięknie tu na świecie! Myślisz wracać do domu?

— Tak, do domu — kiwa Abel głową. Lecz właśnie znalazł tu żmiję i ta go troszkę ukąsiła . . .

Kowal zrywa się wzburzony i drżący:

— Nie — nie — nie —

— O, to nie tak niebezpiecznie! — objaśnia Abel.

Ale jakże mu to współczucie dobrze czyni! Starszym się przecie nie jest, gdy się ma lata wyrostka; to wzburzenie i przestraszanie innego człowieka o naszą osobę są poprostu słodkie, rośnie się od tego i śmieje, a, żeby się wykazać zuchem, mówi się: ech, co tam! nic to ważnego być nie może! tylko majster musi być tak dobry i ścisnąć okropnie silnie rękę ponad kostką, trochę wyżej, ot tak . . .

Idą do domu. — Nie widziałem dotąd takiego gruboskórca jak ty, — mówi kowal, — a czy to nie boli?

— Nie, ani trochę, jeno małą odrobinę.

Abel nakłada drogi, chcąc wynaleźć mrowisko, które zna ze swych wałęsań się po okolicach, a kowal głową potrząsa, lecz idzie za nim. Od mrowiska dąży za nim do domu. Stary, zaprawdę, nieco dumny z malca, pokazuje go temu i owemu, których napotykJają po drodze i sieje dokoła rozkoszne przerażenie.

Dochodzą do miasta, Jórjen Rybak stoi we drzwiach swej chaty. — Musisz obejrzeć, jaką chłopak ma rękę! — mówi kowal skwapliwie. Abla aż coś rozpiera z dumy. Nie zatrzymuje się on u tych drzwi, właśnie, że nie u tych, uśmiecha się tylko i idzie mimo. A kowal woła za nim i pogania: — No, idźże prędzej. A prosto do doktora! Zarusieńko!

Abel w gruncie rzeczy potem obłany i chory, jak pies, ale aż wniebowzięty ze szczęścia. Patrzajcie, teraz tam majster stoi a rozpowiada o nim; pewni ludzie

niech się dowiedzą, jak to żelazny człowiek poczyna sobie z ukąszeniem żmii.

— Czy to nie tobie kazałem oddać ojcu zlecenie?

— pyta doktor. — Czemu on nie przychodzi?

— Nie wiem.

— Powiedz mu, żeby tu zaraz przyszedł. Inaczej poślę po niego. Powiedz mu to! Pokaż mi tu rękę. Fuj, jak ona wygląda!

Doktor zna swą sztukę, co lato zdarza mu się kurować ukąszenia żmij, a żadnych dotąd wypadków śmiertelnych. — Ale to niezwykle ciężki wypadek! — mówi za każdym razem. Wzbija to pacjenta w dumę, może przecie opowiedzieć wszystkim, że bliskim był śmierci. Ale tym razem doktor powtarza kilkakrotnie, że jest to nader niebezpieczny wypadek.

XVII.

Nie, nie taki to człowiek z Olivera, który biegnie na zawołanie doktora, on przecie więcej znaczy, niż taki. Jego stanowisko składowego wynosi go do jednej klasy społecznej z ludźmi lepszymi, do sprzedawców u Johnseny w Przystani, ba, stawia na równi z zarządzającym Berntsenem. Albo może nawet Oliver jest odrobinę wyższym jeszcze, nie lata on przecie od strychu do piwnicy na usługi klientów, lecz stale stoi na swem miejscu. Akurat odpowiednie stanowisko dla człowieka, jak Oliver.

Znalazł był sobie swe właściwe miejsce, idzie mu świetnie z zarządzaniem składu, podoba mu się „Dzień dobry“, rzucane na powitanie i „Do widzenia“ na pożegnanie, podoba mu się zarabianie na jadlo i na odzież, czas wolny na przegłądanie się w lusterku i strojenie się. A obok tego może przecież uprawiać także osobiste swe interesy; co święto wypływa w szkiery, na morze, i myszkuje i marzy i pożąda, Bóg wie czego, może lepszego życia jeszcze, nowej Jerozolimy, a do domu powraca z tych wycieczek obładowany tem lub owem, co przypadkiem znalazł: już to jakiś pień drzewa wyrzucony na wodę, kilka nieprawnych jaj mewich, albo najkosztowniejsze, czego zbieranie najsurowiej zabronione przez prawo: szczyptę puchu. Nigdy go na tem nie

złapano, nikt nie rozbierze kaleki do naga poto, aby znaleźć na jego ciele torebkę z puchem. I zaiste, nazbierał Oliver z biegiem lat wiele puchu, teraz pytanie tylko, jak go zbyć. Ale nawet, gdyby mu się nigdy nie udało spieniężyć tego puchu, nie przestanie jednakże go zbierać, tego rodzaju towaru nie może nawet na oczy widzieć, aby go nie wziąć w posiadanie.

I w domu też teraz lepiej idzie. Lata uczyniły snąc jego żonę pokorniejszą, włożyła się więcej w życie domowe i zasmakowała w kawie, a kawa kosztuje go teraz stosunkowo bardzo tanio; coraz rzadziej też wypada mu przemykać się za Petrą z nożem w rękawie. Wprawdzie nierzadko jeszcze bywała nieznośna, o tak, wciąż jeszcze sapała swemi ruchliwemi nozdrzami i zadzie-rała nosa do góry, — Petrze nigdy dość dobrze nie było i nigdy dość nie miała. Nieszczęsne z niej stworzenie, urodzony nienasyceniec, urodzony pożądlivec w przeciwieństwie do Olivera, który zadawałniał się mniej dobrem, zadawałniał się nią nawet. Ani wątpliwości być nie mogło, że Petra to w swoim rodzaju djable nasienie. O, ale niechby się tylko nie wałęsała — a nie wałęsała się nigdy, nie przesadzała, obcym tylko patrzeć na się pozwalala, a raz jedyny urodziła błękitnookie dziecko. Koniec końcem mógł być Oliver zadowolony, miał ją dla siebie codzien, rozgrzewał się przy niej, jadł obok niej i leżał w jej łóżku, a we śnie dmuchała w niego swym oddechem. Patrzajcie, to znów nie tak mało. I w każdym razie jego była żoną, a nie innego, o ile było to wiadome!

A czy to ona nie piękna? Z całą pewnością, przyjemnie zbudowana, z słodkością w swej osobie, nieco rozrosła w sobie, nieco bujnych kształtów — inaczej nigdy-by jej Oliver nie poślubił, zapamiętajcie to sobie! Ale nie

rozdaje ona swego powabu na wszystkie wiatry. Gdyby tylko Mateusz Stolarz został usunięty na bok, mógłby być Oliver spokojny. Rozdająca na wszystkie wiatry, — ona? Petra, która samemu Szeldrupowi Johnsenowi umiała wyrznąć policzek! Jak gdyby to zapraszała byle kogo, mówiąc: — Pójdź-no, poigramy sobie ochoczo, a występnie, a do dna! Nie, nie, skądby! Ale też nie była jako obraz święty, Boże, pociesz mnie! W niedzielę chodziła z krzyżykiem złotym, który jakimś sposobem wyszachrowała i nosiła na aksamitce dokoła szyi. I nikt nie mógłby powziąć tak idjotycznej myśli, że możnaby ją kupić jednym kiwnięciem palca. Ani mowy o tem.

Petra była na swój sposób żoną właściwą dla niego, dla Olivera. Częstokroć lepszej sobie nie życzył. Błękitnookie dziecko? Oczywiście, że mu ta mała dziewczuska psuła nieco szyki, o, poniekąd podtrzymywała przecież płomień jego podejrzeń; ale zniewieściła i uległa jego naturą nie mogła długo oprzeć się dziecku, życie codzienne nazbyt często dawało powód do zerknięcia się z dziewczątkiem, a gdy nikogo w domu nie było, musiał ją kołysać. A przytem, podejrzenie jego, rzecz można, zostało oszukane: oczekiwał, że w tej małej twarzyczce rozwinie się nos koński, a dziewczynka tymczasem wyrastała o niepospolicie pięknym nosie. Djabełby tam coś z tego rozumiał. Zagadnął w swoim czasie o tej sprawie tego i tamtego: że niespodzianie został ojcem błękitnookiego dziecka, podczas gdy reszta miała oczy brązowe, i jak to rozumieć? Dostawał odpowiedzi wymijające, Jörgen Rybak ani trochę się nie zdziwił. Można było spotkać dziwniejsze rzeczy, a zresztą niejedno kryło się w naturze.

Oliver czuje się też względnie szczęśliwszym ojcem. Napewno wyrośnie co dobrego z takich dzieci. Niewielu

jest takich, którzyby się lepszymi pochwalić mogli, a gdy się Oliver zestarzeje i stera siły w składzie, dzieci jego już będą dorosłe i z kolei one użyczą mu pomocy. Od Abła może nie należało oczekiwać wiele, ale Franek — o, Franek chodził do wyższych szkół i stał się uczony, a czasem obejmie wysokie stanowisko. Już jest studentem, ale studjował i studjował dalej.

I wreszcie jeszcze jedno: nie szkodziło to, że Johnsen w Przystani był dubeltowym konsulem, Oliver nawet za cześć to sobie uważał. Poczęto mówić, że i Gryn-Olsen najmie sobie składowego tylko dlatego, aby zostać wielkim, i że Marcin na Wzgórzu, ten stary rybak, zabiegał o jakieś miejsce. Ano, proszę, bierz je sobie, toć i Gryn-Olsen jest konsulem i człowiekiem bogatym, może też i dość dobrym, by u niego służyć. Ale czy to on jest po dwakroć konsulem? Hehe, Marcinie na Wzgórzu, dostanie ci się akuratnie połowa, ale — proszę bardzo.

Tak upływają dni i lata, a Oliver żyje, jak się da, i wędruje sobie, jakby wcale nie był jednonogiem. Ośmnaście lat już udaje człowieka, tak dobrze, jak umie, tak dobrze jak inni, lepiej może, niż inni.

Pewnego wieczora w sobotę szcztokuje swe ubranie i buty, i szykuje się do powrotu do domu. W ostatnich czasach wykazuje jakąś zagadkową prze-zorność, niewiadomo nawet dlaczego, ale wygląda cichaczem na ulicę, a spostrzegłszy nadchodzącego doktora, cofa się i czeka. Czemuż unika on doktora, kiedy wszyscy inni uważają sobie za honor, gdy zostają zatrzymani przez niego na ulicy?

Doktór spaceruje sobie tam i zpowrotem w towarzystwie pocztmistrza, którego przecież zazwyczaj unika, dowlókl się aż do sklepu Dawidsena i znów zawraca,

i tak wiele razy. Oliver siedzi w uwięzi. Czyżby chodził tu doktor i prosto czekał na kalekę? Bo przecie nie wypada mu osobiście odwiedzić go w składzie? Oliver słyszy oddzielne dźwięki mowy pocztmistrza, ale nie może pochwycić ani słowa; doktor, widać, słyszy wszystko, ale nie wydaje się, jakby na to zbyt wielką uwagę zwracał, nie, raczej czyni wrażenie, iż używa pocztmistrza jako pretekstu, aby móc chodzić tu i czatować. Przykra sytuacja.

Zdarzyła się bowiem Oliverowi ta rzecz niezwykła, że dwa razy przysłano od doktora po niego, a on wyrozumieć nie może, jaki jest cel tego. Jakieżby? Rozwinęła się w nim iście babska chytryść i podejrzliwość, rozmyśla, czy nie ma to jakiego związku z konsulem Johnsenem. Próbował tak i siak, z całą pokorą doniósł konsulowi: że on sam tylko marny i nieuczony człowiek, że doktor pragnie przyjąć go do swego kantoru, jak mu tedy należy postąpić?

Konsul zbywa to natychmiast uśmiechem zdziwienia i mówi: — A ja co mogę o tem wiedzieć! Ale nagle namyśla się i pyta: — Czy przysłał po ciebie?

— Dwa razy.

— No. I czegoż chce od ciebie?

— Nie wiem tego.

— Ty sobie nic z tego nie rób!

Zaczem Oliver postąpił według tej rady i więcej się o tę sprawę nie troszczył.

Ale otóż spaceruje sobie teraz doktor po ulicy i zdaje się czekać na niego.

Doktora, śnać, wcale to nie bawi i tylko od czasu do czasu wtrąca się do rozmowy, tylko wtedy, gdy przechodzi kto ulicą, przed kim chciałby się pokazać. Wtedy zadaje pocztmistrzowi jakie pytanie, na które

ten zmuszony jest odpowiedzieć. Gdyby Oliver do-
słyszał co z tego, mógłby napawać się następującą roz-
mową:

— Poruszyłem właśnie kwestję potomstwa. Nie
odpowiadał mi pan na to.

— Może nie wyraziłem się dość jasno, — mówi
pocztmistrz. — Czy to nieprawda, że rodzice, docho-
wawszy się dorosłych dzieci, nie dbają już tak bar-
dzo o nie, lecz o dzieci swych dzieci, o wnuków raczej?
To właśnie ma wskazywać na wrodzony instynkt w lu-
dziach, owo nigdy nieustające rozkrzewianie się.

— A z drugiej strony: czy to nie trochę bezmyślny
rys ze strony owego wrodzonego instynktu, że zmusza
on do ustawicznego płodzenia dzieci, skazując je na
najnędnniejszą egzystencję, na głód i chłód, na złe wy-
chowanie, na hańbę i zagładę? — Gdybyż choć wszyscy
rodzili się w dobrych domach!

— Nie wiem, czy kwestję tę należy stawiać w ten
sposób, — odpowiada pocztmistrz. — Być może, rodzimy
się na ten los, na który zasłużyliśmy sobie w poprzedniej
egzystencji. Istnieją pewne oznaki, wskazujące słusz-
ność tego przypuszczenia: niektóre dzieci zostają wy-
chowane w najlepszych domach, a jednak wyrodniają,
inne zaś przychodzą na świat w nędzy moralnej, a wy-
rastają na doskonałych ludzi, wychowują się miano-
wicie sami. Nie brak podobnych wypadków nawet i tu
w mieście. Życie jest jednym splotem, jedną gmatwa-
niną podobnych wypadków, logika nasza nie wystarczy
chyba do wytłumaczenia ich sobie.

— A właśnie, posługujmy się logiką, w przeciwnym
razie wszystko staje się jeno bredzeniem, za przepro-
szeniem pana. Przed chwilą dopiero wyraził się pan,
że dzieci nawet w najlepszych domach mogą zwy-

rodnieć. Słusznie. Ale jednocześnie zasłużyli oni w swych poprzednich egzystencjach na los obecny. Jakże, więc i zasłużyli sobie swój los, a zarazem zasłużyli na urodzenie się w lepszym domu?

— Czemużby nie? Nie powiedziane chyba, żeby lepszy dom i doczesna pomyślność były najlepszym dobrem na świecie, że życie bez kolców jest najlepsze. Spójrz pan w inną stronę: niektórzy ludzie poprostu utrzymują się i czerpią karm z cierpienia, mogą nawet znaleźć szczęście w cierpieniu.

Doktor nie mógł powstrzymać w sobie westchnienia. Ciężko to chodzić tak i udawać uprzejmość wprost wbrew własnym interesom. Spojrzał na swój zegarek, zawrócił bystro w stronę Dawidsena i jął podążać wściekłymi krokami, ale pocztmistrz nie odstępował. Gdy powracali raz jeszcze, temat ich rozmowy całkiem się zmienił. Pocztmistrz wygłaszał mowę na temat społeczny:

— Oczywiście, że tylko średnia klasa pracująca powstrzymuje życie od wymarcia. Nie pojmuję, że ktoś się może temu sprzeciwić. Tylko że nie stanowi ona przecież masy, choć ona to właśnie mówi: my robotnicy. O, masa, nauczyła się ona wszystkich sztuczek, umie ona czytać swe gardłujące piśmidła i pochwyciła te myśli, które jej są potrzebne. My — robotnicy! Czy włączeni są w to chłopi, albo rybacy? Nieprawdaż, my nie mamy przy tem nikogo innego na myśli, prócz robotnika przemysłowego. On to tylko wyje. Czy pamięta pan, doktorze, owe czasy przeżyte wspólnie, gdy robotnika przemysłowego nie znano jeszcze u nas, lecz każda chata posiadała swój własny przemysł? A jednak nie mieliśmy tyle do roboty, aby nam to przeszkadzać miało w utrzymywaniu dni świątecznych, nie brakło

nam jedzenia, nie przybywało od tego zmartwień, cały sposób życia prostszy był, zadowolenie — większe. I naraz rozpanoszyła się mechanika, wszczęto produkcję masową, powstał robotnik przemysłowy — na korzyść i radość czyją? Fabrykanta, pracodawcy, a nie czyją inną. Jemu to chciało się zarobić więcej pieniędzy, on to, tudzież dom jego miał napawać się większym ziemskim zbytkiem, on to również myślał, że śmierć nie najdzie go nigdy.

— Nie, ależ czekaj pan, — uśmiecha się doktor, — a czy to nie on wprowadził wielu ludzi w czyn, czy nie on dostarczył chleba dla tylu a tylu głodnych ust?

— Chleba? Myśli pan: pieniądze na chleb. Zasadził on ludzi do roboty fabrycznej — podczas gdy rola w kraju leży nieuprawna. Ot, co on uczynił. Zwabił młodzież, odwołując ją od naturalnego powołania w życiu i wyzyskał jej siły na własną korzyść pieniężną. Ot, co uczynił. Zapoczątkował czwarty stan na świecie, w którym już i przedtem zbyt dużo było stanów, całą klasę przemysłowych pracowników, najzbędniejszych pracowników świata. I widać przecie, co za przewrotny typ wytworzył się z takiego robotnika przemysłowego, który wyuczył się już sztuczek klasy wyższej: opuszcza on łódź, opuszcza rolę, opuszcza ognisko rodzinne, rodziców, rodzeństwo, porzuca bydło, zwierzęta, kwiaty, morze, wysokie sklepienie Boże — i w zamian otrzymuje Tivoli, dom gminny, knajpy, chleb i cyrk. Dla tych oto dóbr wybiera on sobie życie proletariatu. Poczem wyje: My, robotnicy!

— A więc precz z wszelkim przemysłem?

— Dlaczego? A czy to przedtem nie istniał przemysł?

— A więc żadnej fabrykacji?

— Cóż na to rzec można. Możeby dało się uczynić kilka nielicznych wyjątków.

— Patrzajcie!

— Naprzykład fabrykacja szyb.

— Hahaha.

— W ciepłych krajach artykuł ten jest zbyteczny, ale w naszym klimacie potrzebny nam koniecznie. To właśnie miałem na myśli.

— Ależ, drogi panie, — mówi doktor, — nie potrzebuje się pan chyba tłumaczyć, że my, ludzie, między innymi potrzebujemy szyb okiennych.

Pocztmistrz czuł się chwilami tak bezsilny, tak mało zdolny do obrony, narażał się na przyparcie do muru. Przy jakiejś okazji użył zwrotu: — Ostatni będą pierwszymi. — Młody kandydat, zastępca pisarza powiatowego, przechodził właśnie ulicą i doktor zapytał uszczypliwie, tak, jakby to dlań zagadką było: — Ależ czem, na miłosierdzie boskie, zostaną tedy pierwsi? — Lecz pocztmistrz odparł w dobrej wierze: — Pierwsi będą ostatnimi.

— Hahaha, — zaśmiał się znów doktor. — Tam do diabła, — rzekł. — Powiedz mi pan, pocztmistrzu, jakim to sposobem czuje się pan zawsze tak szczęśliwym ze wszystkiego?

Pocztmistrz dostrzega widać, że teraz żarty sobie stroją z niego i odpowiada: — Nie zawsze i nie ze wszystkiego! — I zamilkł.

— To musi być przyzwyczajenie, — mówi doktor. — Nie może się pan obejść bez szczęścia. My zaś, ludzie powszedni, którzy z tego jesteśmy świata, my musimy się go wyrzec. Naturalnie, że to przyzwyczajenie.

Pocztmistrz milczał. Doktor znów musiał uciec się do tematu o potomstwie, aby mu rozwiązać język.

Ale w tem miejscu pocztmistrz nie pozwala nagle na się deptać, lecz niespodzianie staje dęba: — Czy to nie pan, doktorze, wymienileś miłość? Co pan rozumie przez nią? Powinienby pan powiedzieć: popędy zmysłowe, funkcja zwierzęca. Powinienby pan powiedzieć: rozpusta, o, lecz i ona tak przebiegła, tak zapobiegliwa, tak bezdzielna, jak tylko można.

— Rany boskie! — wykrzyknął doktor zdumiony. Ale rychło znów był tym pełnym wyższości mężem, któremu nie chciało się więcej dyskutować. Spojrzał na zegarek. Naraz, jak gdyby pocztmistrz nie istniał więcej dla niego, zawołał do wnętrza składu: — Wyjdź no, Oliverze, chciałbym z tobą pomówić.

Jak gdyby Oliver zaraz miał wyskakiwać, skoro tylko doktor zawołał! Przesiedział w swem ukryciu, w swym składzie, aż doktor minął, poczem zawarł drzwi i wyszedł.

Ale nie sądzone mu było jednak uniknąć tego spotkania. Doktor śledził za nim w pierwszej przecznicy, podnosi nawet palec do kapelusza i zmienia całkowicie swój ton: — Dobry wieczór, Oliverze, dobrze to, że cię spotkał, czy możesz towarzyszyć mi do domu?

Oliver podążył za nim, czy to ustępując swej ciekawości, czy też chcąc koniec położyć sprawie.

— Czy masz co przeciw temu, żebym zbadał twe biodro? — pyta doktor.

— Jako —?

— To dla celów naukowych. Jesteś doskonałym okazem do badania. Rozbierz się.

Oliver zwlekał.

— Długo to nie potrwa, pięć minut wystarczy, dwie minuty. Chciałbym obejrzeć twe biodro, czy cię nigdy nie boli?

— Nie.

— Pozwól mi je obejrzeć.

Nie, na to Oliver przystać nie chciał. Dziś sobota wieczór, czas mu do domu.

— Nie zatrzyma cię to długo, ze dwie minuty.

Oliver wzdragał się. O nie, tyle tylko, nie dalej. Doktor cieszył się wprawdzie wysokim szacunkiem w mieście, ale historja z majtkiem szwedzkim wcale tego szacunku nie spotęgowała. Mimo to byłby chyba Oliver posłuchał i rozebrał się, ale obawa go snać zdjęła; powinienby koniecznie wynaleźć jakiś szczególny powód, by się od tego wykręcić. Co mu się stało? Twarz jego nabrała chytrego, a złego wyrazu, spojrział z wolna na doktora i rzekł:

— Nie, nie rozbiore się.

— Głupiec z ciebie, — rzekł doktor. — I zarost twój na twarzy też się nie pojawia, — jakim to się dzieje sposobem? Tyjesz i gładkiś, jak niewiasta.

— Nic mi nie brak, — rzekł Oliver.

— Właśnie to chciałem zbadać. Uszczerbku żadnego nie poniesiesz, chciałem się tylko o czemś przekonąć, w okolicy brzucha, wystarczy na to jedna minuta.

— Nie, nie chcę.

Doktor nie dał jeszcze za wygraną: — Jakimże sposobem poniosłeś szwank swego czasu?

— Spadła mi na łono beczka.

— Nie rozumiem tego.

— Uderzyła we mnie i zdruzgotała nogę. Więc ją odjęli.

— Pozwól mi zobaczyć, jak wysoko ją odcięto.

Oliver wskazuje ręką.

— Nie, zdejmijże spodnie, myślę.

— Nie, — odpowiedział Oliver po raz trzeci, — nie chcę.

Doktór powiedział, a słowem swym nadał głębię i wagę: — Jak chcesz. Myślałem zresztą pomóc ci tylko.

Oliver wędruje w stronę domu, godzina już późna, dochodzi go muzyka z domu tańców, jako że dziś sobota wieczór. Wpada mu do głowy, że może nie dość jest pięknie ubrany, aby spotkać strojnych chłopców i dziewczęta, którzy zbierają się zazwyczaj przed salą balową, więc woli obejść inną drogą. Widział to kto podobne spotkanie — ależ tu stoi Petra i mówi nie z kim innym, jeno z Mateuszem Stolarzem. Oboje są nader wzburzeni, Stolarz wygląda nawet siarczyście namiętnie, więc znów ono szydło przebija pierś Olivera. Idąc, poczyna żuć. Mateusz zoczył go i cofnął się, wszedł do swego warsztatu. I mądrze postąpił, ustępując, znikając, gdyż w tejże chwili podchodzi do niego Oliver i żuje. Petra też mądrze czyni, że czeka na swego męża; gdyby choć na chwilę zamyślała umknąć, niby łania, przywołałby ją ten człowiek, głosem grzmiącym, ten jej małżonek.

Idą obok siebie, Oliver milczy i żuje.

Petra czuje widać, że burza się zbliża, więc ucieka się do ofenzywy i mruczy: — Hm. A to ci sytuacja.

— Tak, — mówi i Oliver, — to ci sytuacja. — I oczyma łypie w jej stronę.

— Z Mateuszem, myślę. Słyszałeś może co o tem? — pyta Petra.

— Słyszałem, co takiego? — Oliver nic nie słyszał, lecz swoją tylko przejętą sprawą, mówi: — I ty się już dobrze nasłuchasz.

— Co ty tu chodzisz i zrzedzisz, — mówi Petra

niby niewiniątko a swobodnie. — No, więc nic nie słyszałeś?

Musiało zajść coś nadzwyczajnego. Ciekawość bierze górę, ukłucie szydłem w piersi staje się mniej dzikie, Oliver zapytuje: — I co mi chcesz powiedzieć?

Wtedy właśnie nastąpiła dla Petry akurat najodpowiedniejsza chwila, żeby się podrożyć, więc urażona, mówi: — Dobrze, z pewnością ci nic nie zechcę powiedzieć. Mogę milczeć.

Oliver zatem musiał całkowicie zmienić ton i nawet zacząć żebrać, nim Petra ustąpiła. O, lecz nowina to nazbyt wielka, aby się Petra nie połasiła oznajmić mu ją pierwsza. Petra już dłużej milczeć nie może: — Ano, to coś o Marynie, — mówi.

— I co się z nią stało?

— O Marynie Salt.

— Ależ tak, przecież słyszę.

— Ano, zległa. Dostała dziecko.

Oliver, widać, sam dokumentnie nie wiedział, jak przyjąć tę nowinę, ale w każdym razie oszukano go o porządną rozprawę z żoną. Napoły gniewny mówi:

— To ty o takich rzeczach z nim gębolisz?

— Gębolisz? Właśnie dopieroco z domu wyszedł i to mi powiedział. Jest docna wzburzony.

— Dobrze mu tak.

— No, bo chyba nie myślisz, że Mateusz jest ojcem dziecka?

— Aha, a ty wiesz, że nie on.

Swarzą się o to, kłócą. Jeśli Mateusz nie jest ojcem, to już Oliver tem mniej wie, jak przyjąć nowinę. Ale tak, czy owak, sobota dziś i późny wieczór. Oliver był

głodny i niełaskawy, w myśli mu tylko powrót do domu. Gdy mu wreszcie podano jadło i to wiele jadła, życie wypogodziło się znów dla niego, śmiał się i wypytywał Petrę o bliższe szczegóły, i co Mateusz powiedział i jak się do tego odniósł.

Petra opowiadała. Rada, że burza przeciągnęła, i ona dobrego nabrała humoru, nie brakło go jej, przedrzeźniała Mateusza i kpila sobie z niego: Mateusz cały czas wymagał od Maryny, aby wyniosła się z domu, nim zlegnie, ale Maryna wypierała się i kłamała w żywe oczy, że daleko jeszcze do tego, kiedy jej czas nastąpi. Aż ostatniej nocy słyszy Mateusz krzyk dziecka w domu, więc porywa się i pędzi po akuszerkę, biegnie po doktora. Doktor mówi z powątpiewaniem: — Maryna Salt? jakże, nie minęła to jej czterdziestka, pięćdziesiątka? Chyba to niepodobna? — Mateusz odpowiedział: — Więc myśli doktor, że ja dziecko urodziłem? — A czyś pewny, że to dziecko? — pyta doktor — Ano, krzyczy w każdym razie, leży sobie i krzyczy. Przyjdź pan i zobacz.

Petra śmieje się, Oliver i babka śmieją się, nawet i obie dziewczyniątka pojmują doskonale śmieszność Mateusza i nie mogą utrzymać powagi. — Powinniście zobaczyć Mateusza, — mówi Petra. — Stał, podskakiwał na nodze i nosem pociągał i rozpaczał, że nie udało mu się tej starej klępy wyrzucić w porę z domu. Mówię, że jest między czterdziestką a pięćdziesiątką, ale pewnie ma ze sześćdziesiąt z okładem, wołał, a czy to do ludzi podobne? Żeby to nozdrzami strzyc, akurat jak królik słuchem, kiedy się ma wiek i lata próchna.

Na to Petra szczerwanie powiedziała: — Ano, najlepiej chyba zrobisz, jeśli się z nią ożenisz, Mateuszu. — Ożenić się z nią? — wykrzyknął. — Ja? I za coby

ja ją pojął? A niech ją djabeł bierze! A jeśli ten dzień nastąpi, że stan swój zmienię, to — żebyś wiedziała — nie z dziewczką — czarownicą. Jakem rzekł!

Cały dom w śmiech.

Ale chcąc znów nieco godności nadać sobie, Oliver ośmiela się i mówi: — No, ale czy to wszystko razem jest powód, aby stać i bajdurzyć z obcym człowiekiem pośrodku ulicy?

Petra już teraz pewna siebie: — Nie, mogłabym wejść do niego, do domu, alem nie chciała tego robić, — odpowiada.

— Spróbowałabyś tylko.

— A czemu nie? Taki z niego zabawny i naiwny człowiek, trudno chyba o zabawniejszego nad Mateusza. Pewna jestem, że ta, która go za męża dostanie, będzie mogła poza jego plecami dziecko po dziecku rodzić. Onby nawet ani krzty się nie domyślił.

— Toby ci się spodobało... No, idźcie, a połączcie się, dzieciaki, — krzyknął nagle na dziewczęta i zmusza je do odejścia. Nawet babka opuszcza izbę. Tak, toby ci się spodobało, — powtarza.

— Mnie? — odpowiada Petra, — warto mię o to brać na język!

— A tak, zdaje ci się, że cię na zbyt krótki łańcuch uwiązano, niedość ci daleko dają po morzu bujać.

— Mnie? — śmieje się Petra i hehehe, śmieje się. — Nie, ja mam męża, który bacznem okiem za mną śledzi. To wiem z pewnością.

Oliver patrzy na nią podejrzliwie, czy sobie czasem nie drwi z niego, i przygotowuje się do bestjalskiego wybuchu.

Petra owija go dokoła swego palca: — Ale zresztą,

mówi przypochlebnie, — a zresztą, mógłbyś mi, jako dobry mąż, trochę częściej pozwolić pójść, dokąd mam ochotę. Takbyś powinien, Oliverze. Bo wiesz przecie, że nic złego nie robię, tylko rozejrzę się dokoła, pooglądam wystawy i pokręcę się trochę.

— Nie wypada to dla zamężnej kobiety, która ma się zaliczać do lepszych, — odpowiada Oliver. — I dokądbyś pójść chciała? może na salę, gdzie tańczą? Tak, to do ciebie podobne.

— A nawet, a gdybym poszła na salę? Gdybym tylko na chwileczkę tam zajrzała?

— Tak, i zabrała z sobą dziewczęta, — urąga Oliver. — Ale dopóki ja się nazywam Oliver Andersen i dopóki pozostanę na stanowisku, które mam, tego ci nie wolno. Masz tu moją odpowiedź.

— Nie, nie, dobrze, — odpowiada Petra i ustępuje. — Ty rządzisz tutaj, a kiedyś rzekł nie, to i będzie nie.

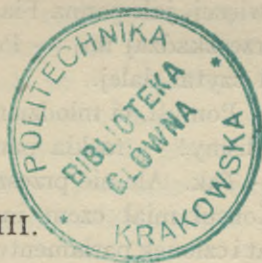
— Juści że tak, — odpowiada Oliver i rośnie.

— Ale przecie do Maryny Salt zajrzeć mi wolno?

Oliver się porywa: — Byłbym zadowolony, gdybyś pojęła, że ci do takich ludzi iść nie wypada, słyszysz! i że nie wypada ci wejść do takiego domu. Ani mowy o tem. A kiedy mąż jest zarządzającym w składzie, to nie przystoi ci iść, gdzie ci się podoba, jeno trzymać się swego stanu. Nie ścierpię tego i ty weź tylko na rozum, że ja tego sobie nie życzę.

— Nie, nie, — wzdycha Petra i pozostawia mu ostatnie słowo.

Ale Oliverowi w głębi ducha schlebiało, że go żona prosiła o nieco wolniejszego czasu, tak, pochlebiało mu to. Bo nie wszystkie kobiety prosiły mężów o pozwolenie, lecz wiele z nich dopuszczało się dzikich sprawek, nie wymieniwszy o tem nikomu ani słowa.



XVIII.

Jedno zdarzenie następuje po drugim: pani konsulowa Johnsen idzie pewnego dnia ulicą ze swą córką i obiedwie zadowolone są z siebie i z innych, naraz dostrzegają w przecznicy malarza, który malował portret pani, owego syna pisarza powiatowego, widzą go pod ramię z jedną z córek konsula Olsena. Pani Johnsen, otyła i ocieężała, byłaby najchętniej przysiadła na miejscu. Fia mówi tylko: — Tak, słyszałam, że się zaręczyli.

Było to coś najsroźszego, co się zdarzyło przeżyć pani Johnsen. Gdyby to przynajmniej był ten drugi malarz, syn malarza pokojowego! Nie o nich przecież chodzi, żaden nie byłby dostał Fii, tegoby jeszcze brakowało; ale rzeczywiście, do czego to podobne, aby coś podobnego urządzać tuż pod nosem Fii! I co ona na to? Przyjęła wieść spokojnie i rzekła: — Tak, słyszałam, że się zaręczyli! — Jakaż więc, u diabła, była ta Fia na ciele i duszy? czyżby doszczętnie zimna? Teraz tylko powinien jeszcze ten drugi wygłodzony wyrostek, ten syn malarski, przyjść i błagać o Fię, wtedy już mu pani Johnsen wskaże drzwi największe i wierzeje naościęz rozewrze!

— Ach, na jakim to się świecie żyje!

Konsul Johnsen przyjął wiadomość daleko mniej

poważnie, prawie że nie dbał o nią wcale, lecz rzekł mniejwięcej, jak panna Fia: — No, więc się zaręczyli? Nie przeszkadzaj mi! — Poczem znów powrócił do gazety i czytał dalej.

— Pomyśl, ci młodzieńcy, dla których przecie tyle uczyniliśmy! — rzekła pani.

— Tak. Ale nie przeszkadzaj mi, powiedziałem ci!

Konsul miał czem innem myśl zaprzątniętą: Adwokat i członek parlamentu, Fredryksen, zainterpelował rząd w sprawie środków, które należałoby przedsięwziąć z powodu powtarzających się na naszych statkach skarg załogi. Nie wymienił wprost wypadku na parowcu *Fia*, nie, tego nie uczynił, ale nie skrył, że nawet w małym jego miasteczku chodziły pogłoski o szerzającym się niezadowoleniu z postępowania właścicieli. Stosunki te należałoby zbadać.

Spadło to na konsula, jak piorun. Ten adwocacina, ten nieogolony parwenjusz, on, który w jego domu obdarzany bywał winem i życzliwością, teraz odplaca się napaścią! Dużo należy przecierpieć, gdy się jest dubeltowym konsulem i wielkim mężem.

Gdyby konsul Johnsen wiedział, co poprzedziło to postępowanie, może nie byłby dziwił mu się szczególnie: mógł podziękować córce za ten podstępny kawał, urządzony mu przez posła do parlamentu. Patrzajcie, otóż idzie sobie owa dama, idzie panna Fia, strojna i bez winy, a jednak ona to spowodowała interpelację do parlamentu! Tak się stać musiało. Gdyż adwokat Fredryksen nietylko dostał odkosza na swe oświadczenia, ale go w dodatku jeszcze panna obraziła. O, nie uczyniła tego z umysłu, lecz zupełnie niechcący. Tak się stać musiało. Wystarczyło teraz mniej, niż dawniej, by urazić pana Fredryksena.

Zdziwił się wprawdzie nieco jej odmową z miejsca. Przyszedł do niej, osiągnąwszy nareszcie zwycięstwo na wyborach do stortingu, a zatem nie był więcej tylko adwokatem Fredryksenem, ale to nie czyniło, zda się, na niej wrażenia, nie prosiła nawet o czas do namysłu. „Nie“, rzekła z uśmiechem i potrząsnęła głową.

On, oczywiście, przyjął to grzecznie i zapytał: — Czy nie pozostawia mi pani żadnej nadziei, panno Fio?

— Nie, musi to adwokat wybaczyć!

A on nadal przyjął to grzecznie i jako gentleman zapytał: — A więc nie jest pani wolna, panno Fio?

O tak, była wolna.

— No, — rzekł tylko i umilkł.

Nie mógł pojąć jej wcale, nie mógł pojąć całej dziewczyny, i wydało mu się chyba, że sama sobie drogę do szczęścia zawała. Cofnął się.

W tej niezwykłej sytuacji dość trudno się hrabiance zachować, coś ją kusi do powiedzenia czegoś więcej, powiedzenia głupstw jakichś, obraźliwości. Z pewnością uczyniła to, aby się okazać miłą i zatrzeć swą twardą odmowę, ale uderzyła w ton, że jest z dobrego domu i nie może sobie nawet pomyśleć, aby go opuścić.

— Dobry dom może pani znów dostać.

Toby już nie było tosamo. Wszystko wiązało ją z domem, otoczona była wykształconem środowiskiem, subtelnością, ilustrowanemi dziennikami, starą kulturą...

Adwokat spojrział na nią. Przyczem już nie przyjął tego grzecznie, lecz ją się śmiać. Pozwoliła mu śmiać się, wcale jej to nie krępowało. Gdy adwokat znów spoważniał, rzekł: — Ależ droga panno Fio,

wszystko to, co pani wylicza, mogłaby pani chyba znaleźć gdzie indziej? Nieprawdaż?

— Gdzie? — zapytała.

— No — przez to już przebrnąć nie był w stanie. Adwokat znów zamikł, zamilkł na zawsze.

Od tej pory czas jakiś rzadko go można było spotkać na ulicy, nie wdawał się z nikim w pogawędkę, zamknął się w sobie, przesiadywał w domu, rozmyślając, niewiedomo nad czem, może nad tym wspaniałym posagiem, który go ominął. I z tem byłoby sporo racji.

Również w stortingu zachowywał się pierwszymi czasy powściągliwie, głosował za każdym razem poprawnie i nie popełnił żadnego błędu, lecz nie przestawał milczeć. Aż nareszcie rozwarł usta w kwestji marynarzy i wykazał, jaki żar wewnętrzny tał w swej piersi.

O, mówił doskonale i wzruszył storting, wzruszył kraj i naród, serce jego względem uciemiężonych byłotak wielkie, umysł tak humanitarny: — Zaznaczono tu, że sprawa posiada dwie strony; owszem, właśnie z dwóch stron należało ją roztrząsać. A nie szkodziłoby wcale, gdyby ci wielcy właściciele, gdyby ci z klas wykształconych, ci o mniemanej kulturze, zechcieli przyjrzeć się tej drugiej stronie. Podczas gdy statki urządzały istne wyprawy bajkowe i zgrabiały ku sobie pieniądze, załoga przymierała na tem samem jadle i zadowalała się wygodami, które wystarczały jej w dawnych czasach, gdy ludzie wytrzymalsi i twardsi byli, niż obecnie. A czy to służba taka wolna jest od niebezpieczeństwa? może to igraszka? Rząd powinienby wejść na taki okręt kupiecki lub spojrzeć, jakto częstokroć załoga powraca do domu: ci, którzy nie byli zupełnie wyczerpani, przybywali, kulejąc na jedną

nogę, niekiedy z jedną ręką tylko, służba zamieniła ich w kaleki. W jakim stanie powracali do swej rodziny, mówca znał przykłady takie we własnym miasteczku. Ale gdy chodziło o poprawienie nędznych warunków owych ludzi, napotykali na opór u swych wielkich panów. Co innego, gdyby humanitarne pobudki, prawo i sprawiedliwość panowały w kraju! Jeśli rząd nei zdoła zaprowadzić zmiany w tych nikczemnych warunkach, to storting zdoła wymusić tę zmianę — gdy zechce.

Jakiś prawnik wystąpił, oczywiście, przeciwko tej mowie, jakiś cień przeszłości; czynił zarzuty przesadnego przedstawienia sprawy: zdarzyło się, niestety, że któryś majtek poniósł szkodę, ale przecież żadna praca nie obchodzi się całkiem bez niebezpieczeństwa; on sam w swej młodości był marynarzem, bo przecież wszyscy chłopcy miasteczka tem być chcieli, ale nie zachował żadnych ciemnych wspomnień o pożywieniu i wygodach, które otrzymywał . . .

Starcze gadanie, przestarzałe gadanie! adwokat Fredryksen wcale go chyba nie słuchał. Może nawet nie słyszał też wiele z tego, co mówił następca, radca stanu. Człowiek ten nie umiał powiedzieć nic stanowczego, unosił się nad wodami, jednakże postara się mieć uwagę zwróconą na te stosunki.

— I to już coś znaczy! — wyraził się pan Fredryksen i w każdym razie mógł podziękować radcy za uprzejmość! Z tym samym chłodem znów usiadł z powrotem, być może tylko chciał dać do zrozumienia, że nie dał sobie zaimponować.

Referat toczył się w dalszym ciągu.

Przewodniczący rzuca okiem na zegarek i wychodzi z fałszywego założenia, że kwestja ta narazie jest

wyczerpana. Przedstawiciel Telemarkji powstaje, łamaną mową sprzeciwia się zakończeniu i oznajmia, że i on zamierzał teraz zabrać głos w tej sprawie.

— No, więc nie żywię żadnej nadziei, że się z nią tak rychło uporamy — mówi prawicowiec z bladym uśmiechem.

To poskutkowało. Ale okazało się, że podjudziło to tylko większość: Jakże, nie miałby przedstawiciel okolic skalnych mieć prawa podtrzymania adwokata z miasta nadmorskiego, nowego męża, który stał akurat na właściwym punkcie w sprawie wyzyskiwanych marynarzy!

I po obiedzie zwyciężył wreszcie adwokat Fredryksen gruntownie i osiągnął zorganizowanie komisji rewizyjnej. To się nazywa obiecujący początek, jego okręg wyborczy szczylił się nim...

Konsul Johnsen czyta gazetę, ciska ją i podejmuje napowrót. Już dawno nie był tak wzburzony; wreszcie oddaje dziennik Berntsenowi i mówi: — Czytaj pan te brednie! — Taki był zgorszony. Tu tronował w swem miasteczku i pomagał pełną ręką na prawo i na lewo, wziął kalekę na służbę, opłacał wyższą szkołę jego dzieci, nie szczędził miłosierdzia, czynił dobro — a co miał za to? Napaść! Żeby choć Szeldrup był tutaj i podjął się obrony. C. A. Johnsen czuł się zmęczony. To życie pełne walki należało chyba rozpoczynać codzien od początku, — konsul nie miał sił więcej na to.

Żeby to choć było jedno jedyne miejsce, dokądby się mógł udać! Może znów do pocztmistrza? Tak, jeśli już koniecznie pragnie, by go osypano religijnymi bzdurami! Nie, woli już wymknąć się na chwilkę do swego ogrodu i udać, że wyszedł z domu na godzinę, a potem powróci i rozpocznie pracę z no-

wemi siłami. Kto wie, może to zbawienny pomysł, po prostu ratunek, nagle natchnienie, może nawet pochodziło ono z nieba? — bardzo to możebne.

I konsul doprawdy zdobył w ogrodzie nieco spokoju. Siedziała tam w całej niewinności córka jego i malowała bzy i gawędziła z ojcem, a przyjemnie było patrzeć na to, że udawało jej się malować je tak ślicznie, tak całkiem podobne do żywych. Dobrze też podziało na ojca, że córka tak była zadowolona z życia.

— Siedzisz tu sobie taka pilna, Fio?

— Tak. To na tę błogosławioną wystawę. Czy nie uważasz, ojcze, że mogę być bardzo dumna z tego obrazu?

— O tak.

— I ja tak uważam. A przecie to tylko początek.

O, dziwne stworzenie z tej panny Fii. Ułożyła sobie życie ze wspianiem zastrzeżeniem: pozwólcie jej zostać jaką jest, sama ona sądzi, że to właśnie jest słuszne. Najszczęśliwsze swe godziny przeżywa wtedy, gdy siedzi w Galerji Narodowej, kopjuje obrazy i gdy kopje jej stają się podobne do oryginału. Gdyby zaś ktoś zainteresował się jej malarstwem i napisał o niem nieco w gazecie, nie czułaby potrzeby większego szczęścia, nad to, w którym żyła. Dobry z niej charakter, bez goryczy, pełen życzliwości, ambicja nie przyprawiała jej o żadne cierpienia.

Tak, dziwne stworzenie. Są w niej wprawdzie pewne braki, ale braki te wydają się, jakby służyły jedynie dla jej własnego błogosławionego dobra. Czy odzywało się w niej poczucie winy? Nie zdawałoby się. Chodziła w cichem zadowoleniu z siebie, nie czyniła nic złego, nie żałowała niczego, nie smęciła. I jakiejby

zmiany pragnąć mogła? Malowała i podróżowała i nic poza tem, w miastach posiadała wszędzie dobrych przyjaciół, przeżyła niejedno, ale niewiele. Niektórzy znajdowali, że nazbyt porosła uczonością, nienaturalnością: — Posłuchaj dziecko, — mówiono, — czyś ty się urodziła z tą wstrzemięźliwością? Ależ istnieją godziwe i dozwolone zuchwałości, hrabianko, możesz naprzykład spokojnie zakochać się w chłopcu, panienko! — Naco to? — mogła odpowiedzieć Fia.

Jakiejby zmiany mogła sobie życzyć? Czyżby wszystkie te próżno na wysiłkach malarskich zmarnowane lata nie dały się użyć na co innego? I na co? Ależ to były umiłowane lata, misja poetycka, powołanie, przechowywała je w pamięci, niczem srebro dziedziczne, te lata. Dążyła, lecz nie osiągała nic, o nie, ale nie przestawała pracować. Był to jakby rodzaj uporu, nawet jej w myśli nie powstało, aby ustać, aby zawrócić, nie potrzebowała też żadnego zbawienia od swej idée fixe, boć przecie dla niej to stworzona była. Nie, żadne poczucie winy i żaden smutek się w niej nie rodził.

A gdy tak starzejący się ojciec siedzi obok i słucha jej mowy, przeglądając się, jak w zwierciadle, w jej łagodności i zadowoleniu, to może myśli sobie jednocześnie: — Bóg wie, czy Fia nie jest najmądrzejsza z nas wszystkich! Los nie prześladowuje jej i nie karze, a my inni jakże tłuczemy się w wieczystej walce!

— Wsypali nam, właścicielom statków, porządnie w stortingu, — mówi konsul. — Opowiadają, że głoździmy i narażamy na kalectwo naszych żeglarzy.

Nie porywa się Fia na to, lecz przyjmuje spokojnie, opuszcza pędzel i myśli chwilę nad tem: — Tak? — mówi.

— Ależ tak, doprawdy! Tak się im właśnie wydaje, im, postronnym.

— Czy ci to sprawia przykrość?

— Może nie wręcz przykrość. Ale miłe mi to nie jest. Staję się coraz starszym i coraz bardziej zmęczonym. Szeldrup jest zagranicą. No, mam, dzięki Bogu, ciebie, Fio! — kończy.

— Gdybym ci choć mogła przyjść w czemś z pomocą, ojczy! chyba nie napadli też i na ciebie?

— Nie wymieniają mego nazwiska. Ale dobrze mię tam nacechował nasz własny poseł.

— Nasz —?

— Ten Fredryksen, adwokat.

— Taak? — mówi Fia i zamyśla się więcej jeszcze.

— Nie wiem, co mu uczyniłem, że się tak na mnie porywa.

— To tylko brak kultury, — mówi Fia miękko.

Czy to cień rozczarowania czy refleksji przemknął po twarzy konsula przy tej odpowiedzi? Nie zaraz się z nią zgodził: — Kultury? Nie wiem, ile kultury on posiada. Nie tego też potrzeba najbardziej w naszej epoce. Wszyscy teraz ludźmi jesteśmy.

Fia milczy. W twarzy jej pojawia się wyraz uporu, konsul go zna, wtedy ona nie ustąpi.

— Uważam, że to jest najlepsze, coś dotychczas namalowała, — mówi. — No, więc sądzisz, że to brak kultury? Może masz i rację. Powiedz mi zresztą — tak, no, ty o adwokacie wcale nie myślisz?

— Ja?

— Nie, oczywiście, wiedziałem o tem, ani odrobiny.

Bez wątpienia, i on jest po swojemu dzielny i dorobi się czego. Lecz skoro ani ty, ani twoja matka, ani ja wiele o niego nie dbamy, nie warto więc, aby ten człowiek do nas przychodził. To właśnie miałem na myśli. Nie zaprosimy go więcej do siebie. Pomów o tem z twoją matką, ona go dawniej trochę lubiła.

A więc tę rzecz załatwił i właściwie mógłby sobie odejść.

— Ach, prawda, ten malarz, jak to on się nazywa, zaręczył się tu przecie? Czy to z tą starszą czy z młodszą córką? Cóż, Fio, słyszałaś już chyba o tem?

Fia się uśmiecha: — Z pewnością, że ja pierwsza dowiedziałam się nowiny. Między nami, papo: ja przecież pośredniczyłam między obiema stronami.

— No. Więc ty, Fio! Pośredniczka!

Tak to ona przyjęła tę wiadomość.

Gdy konsul powrócił do kantoru, nie przyniósł z sobą rady w sprawie z adwokatem i nie zarobił dziesięciu tysięcy na dobrym interesie, ale udał przed sobą, jakby dopiął pewnego celu i zacierał ręce, jakby go rozpie-rała chęć do pracy. A więc była w tem tylko odrobina sztucznej energii. Kłania się po drodze temu i owemu z napotykanym, kłania się pięknie damom — owszem, odpowiadają mu, jak się odpowiada wielkiemu człowiekowi, bo nie czytały jeszcze o sprawie w stortingu. A jednakże — damy nie odpowiadają mu, jak za dawnych czasów, nie spoglądają omdlewająco na niego, jak ongi, gdy go spotykały... Zestarzał się już, młode damy spoglądają teraz na nieosiwiałe jeszcze głowy, konsul więc musiał sięgnąć do niższych rzędów, stoi snąć już na dnie. To i co z tego? Pozostaje przecie tym, kim jest!

Wszedł do kantoru, spojrzął na zegarek i siadł na krześle. — Kolosalnie odświeża taka maleńka pauza! — mógłby powiedzieć, o ileby sam w to wierzył. O, lecz nie na długo to orzeźwia, interpelacja adwokata Fredryksena nie przestaje krążyć mu po głowie. Brak kultury? Może Fia i miała rację. Zaprawdę, najmędrza z niej istota, że w miłostkach posiadała zamiłowanie tylko do pośredniczenia, djabło mądra dziewczyna! Nie miał nic przeciw temu, żeby jeszcze czas jakiś wstrzymała się od zabawy z chłopcami, sam przecie wiedział, jaką niepohamowaną siłą jest miłość, dość wcześniej ją ona poczuje.

Okaleczeni marynarze? Którym się daje utrzymanie, których się poprostu bierze w ramiona i wsadza cmoczek do ust! Gdybyż ten Szeldrup był w domu! Ale Szeldrup należał do gatunku twardych, nowoczesnych ludzi, on myślał o sobie i o nikim więcej prócz siebie. Teraz znów pisał o roku w Nowym Orleanie.

A patrzcie, tu w kantorze aż kapie od niewykończonych roboty, pulpit zavalony chaosem listów, depesz i rachunków. Berntsen też mógłby przyjść i rękę przyłożyć do tych nagromadzonych stosów, to i owo załatwić od ręki. Konsul stary? Trochę zmęczony, spracowany, czy jest się czemu dziwić? Lecz stary? A jeśli nawet stary, pozostaje przecie tym, kim jest. Gdy się włosy przeredziły, to fotografował się w kapeluszu, w cylindrze...

Powstaje i woła Berntsena ze sklepu.

— Co to za młody chłopiec stoi tam w czapce z kutasem? *)

— To Franek, — odpowiada Berntsen.

*) Czapka studencka.

— Franek?

— Któremu konsul pomaga w naukach. Syn Olivera.

— Aha, ten.

— Przyszedł tu do nas po swe nowe ubranie. Swe doroczne ubranie.

— Aha. Słuchaj pan, Berntsenie, czy nie mógłby pan zająć się tutaj cokolwiek i pomóc mi w pisaniu? Patrz pan, jak to rośnie i przerasta mi już powyżej głowy. Pan pracuje z taką łatwością.

Berntsen obiecuje, że poświęci na to czas wieczorem.

— Dziękuję panu. Przedewszystkiem wyślij pan za asekurację *Fii*. Tutaj porobił się prawdziwy zamęt, a ja mam tyle na głowie. Czytał pan gazetę? Co począć z adwokatem?

— Mamy coś uczynić? — pyta Berntsen.

— Nie wiem. Nie, może nawet ma pan słuszość, że nie potrzebujemy nic czynić. Ale może przybędzie tu komisja i zada jakie pytania?

— To im odpowiemy.

— Słusznie! Odpowiemy punkt po punkcie. Ach, Berntsenie, czy nie chciałby się pan w razie potrzeby podjąć odpowiedzi komisji?

— Owszem.

W ten sposób rzecz oddana zostaje w najlepsze ręce i konsul czuje, że mu odjęto ciężkie brzemię. I tak mu jest lekko, że czuje się panem, pragnie się znów pokazać nieco i mówi: — A tego studenta, Berntsenie, przyślij mi pan tu na chwilę!

Wchodzi Franek i staje przed wielkim człowiekiem.

— Podoba mi się, że nie przebywa pan zbyt często w domu — mówi konsul i mówi mu: pan. — Bo znaczy

to, że zajęty pan studjami, o ile mogę sądzić? Nie poznałem wcale pana, musiałem pierwej zapytać Berntsenę. Ogromnie pan wyrósł ostatniemi laty. Student więc z pana i idzie panu dobrze?

— O tak, dziękuję.

— Ciesz się mię to. Wszyscy musimy się starać, aby czemś zostać, pan w pańskim fachu, a ja — w swoim. Cóż to chciałem powiedzieć: Mam nadzieję, że jako młody człowiek, wystrzega się pan rozpusty — mówi nagle konsul. — Lekkomysłności wszelkiego rodzaju? — mówi. O, ten konsul Johnsen mógłby rozśmieszyć kamień nagrobny, i dalej mówi: — Tak, powinien pan uważać koniecznie. Powinien pan zostać rozsądnym chłopcem i omijać pokusy. Oczekuję tego po panu.

Franek się nie uśmiechał, stał jeno szczupły i wysoki i przysłuchiwał się w skupieniu, niby w kościele, odpowiada poprawnie i grzecznie gdzie należało: tak lub nie, — konsul wyniósł najlepsze wrażenie. Czy celem konsula było pozostawić w młodym człowieku jak najkorzystniejsze wrażenie z tego spotkania ze swym dobroczyńcą? Kto wie, może to się w przyszłości okaże pożytecznem dla dobroczyńcy, gdy nowe napaści zagrożą. W każdym bądź razie nie zaszkodzi ta mała mówka.

Konsul mógł w całkiem dobrej wierze wyzyskać tę okazję, aby popisać się swemi zaletami moralnemi: — Bywają szlachetne przyjemności i jałowe przyjemności — rzekł — w późniejszych latach doszedłem do wniosku, że prawdziwych radości mogą nam dostarczyć tylko dom i rodzina. Bez wszystkich innych radości można się obejść doskonale, jeśli się tego tylko pragnie poważnie. Oto moje przeświadczenie.

Ach, ten konsul Johnsen! Był widać w porze ochładzania się namiętności, a teraz gdy go już powoli opuszczały pożądania, nie chciałby pozbawić się korzyści, udając, że je przewyciężył. I tu jeszcze był dobrym kupcem.

A zresztą konsul Johnsen nietylko był pustką i niczem innym. Miał i on popędy serca. Tak naprzykład przez chwilę jedną powstała w nim myśl, aby studentowi podać krzesło, — lecz zaniechał jej, uczynił natomiast coś lepszego: podszedł do kasy i powrócił z banknotem, o, wielkim czerwonym banknotem, który podarował ze słowami: — Proszę, oto trochę drobnych, jako kie-szonkowe.

A Franek zgiął się w głębokim ukłonie, którego w swym czasie wyuczył się od nauczycielki tańców.

— Niema co o tem trąbić w puzony — mówi konsul — przecież mówi pismo, że nie powinna wiedzieć lewica, co czyni prawica, czy nie?

— Tak.

— O tak, my ludzie! Ale powinniśmy starać się, by postępować jak można najlepiej. Pan chce chyba zostać księdzem?

— Nie, jeszcze sam nie wiem...

— Nie wie pan jeszcze?

— Większą mam łatwość do języków.

— Języków?

— Do filologii.

— Aha. Jest w tem jaka przyszłość? Więc tak.

Ale nieco przykro brzmiało to w uszach konsula. Niewiadomo czy dlatego, że sądził, iż mógł zaoszczędzić sobie swą przemowę moralną, czy też obawiał się, że filolog nie przyniesie mu w przyszłości tego samego pożytku, co ksiądz.

Żegna więc chłopca uprzejmie: — No, mnie pora do roboty! — Ale go nie wygania, dalej mówi przyjaźnie: — Pomyśl-no pan jednak dobrze, czy nie lepiejby było zostać księdzem. Przecież w istocie nie postąpiłem źle ani względem pańskiego ojca ani względem pana, nie postępuję wogóle źle względem nikogo. Lecz czem pan chce zostać w życiu, o tem musi pan sam zdecydować — ja tylko mogę służyć skromną radą. Adje, młody człowieku!

XIX.

Młody człowiek powrócił do sklepu i ponownie zajął się przeglądaniem gotowych ubrań. Ponieważ był szczupły i wąski w ramionach, nie miał żadnego trudu z dobraniem sobie odpowiedniej kurtki, ale że jednocześnie kolosalnie wystrzeżił w górę, spodnie, należące do kurtki, okazały się za krótkie. Znalazł wprawdzie garnitur z surdudem, który okazał się odpowiedni pod każdym względem, ale Berntsen uważał, że ten jest za drogi.

Ów dobry Berntsen niekoniecznie był takim, jakim się wydawał; łagodny i uprzejmy względem wszystkich, ale wcale nie baranek. Swą czujnością, swą bezustanną troską o dobro interesu naprzykrzył się niekiedy samemu szefowi, a nawet pani Johnsen niechętnie zwracała się do Berntsena, lecz wolała pójść do innych sprzedających w sklepie, gdy jej czego stamtąd było potrzeba. Nie należało to widocznie do żadnej przyjemności oglądać materiały na suknie i ozdoby razem z Berntsensem. Był on natomiast nieprawdopodobnie dzielnym kupcem.

— Według mego zdania za młody na to jesteś, aby chodzić w surducie — rzekł do Franka. — Myślę, że czas na to będzie za lat parę.

Franek wtrącił, że Reinert już chodzi w surducie, choć młodszy.

Nie pomogło to. To, w co się ubierał Reinert, syn dzwonnika, nie może służyć za wzór i przykazanie dla innych. Przecież on się nawet niegdyś w spodenki po kolana wystrychnął! — A zresztą, — rzekł Bertsen bardzo łagodnie, — zresztą dla Reinerta nie trudno o to, wszak ojciec jego płaci.

Wyrostek Franek wcześniej przyzwyczaił się rozumieć i domyślać przymówek. Nie bolały go one wiele, utrzymywały go one tylko na odpowiednim miejscu, tak że nader rzadko odważał się posunąć za daleko; gdy mu się to jednak kiedy zdarzyło, cofał się natychmiast zpowrotem. Wiedział przecie, że w każdym razie znajdzie się jakie wyjście. I tym razem wziął ubranie, które mu wzięć kazano, i podziękował. Bo co w gruncie rzeczy znaczyły dlań suknie? Inne, wyższe sprawy zajmowały jego myśli.

Reinert czekał na niego przed sklepem. Obaj studenci przechadzali się razem ulicą, nie dlatego, że tak się przyjaźnili od serca, ale ponieważ obydwaj byli studentami. Nie, nie byli przyjaciółmi od serca. Zdolni byli obaj, świetne głowy do języków, ale Franek uchodził za tego, który stał o dobre źdźbło wyżej. A właśnie tego źdźbła Reinert znieść nie mógł, nie mógł poddać mu się, napełniało go to niejednokrotnie goryczą a nawet pragnieniem zemsty. Ale pod jednym względem miał on wyższość nad Frankiem, choć młodszy od niego latami: w stosunku do dziewcząt, do pań. Czy mogła mu się oprzeć Lidka albo dziewczynki na Dokach? Pod tym względem przydały mu się jego upodobania do stroju i do pięknych sukien, sztywnej bielizny, spiczastych butów, a w dodatku i to, że miał odwagę

w piersi i nigdy nie czuł obawy. Oczywiście nikt go przecie nie gnębił przymówkami. Dlatego też nawet mu do głowy nie wpadało zemknąć w przecznicę, gdy spotkali Alinkę Heibergów; przeciwnie, ukłonił się i przystanął. Właśnie tak uczynił.

Teraz więc Franek z kolei musiał czuć się służką. Dama nie obdarzyła go ani jednym słówkiem, zaledwie że spojrzeniem. Nie śmiałyby nawet zerknąć na wieżę kościelną, aby zobaczyć, która teraz godzina, gdyż Reinert przyswoił sobie zwyczaj wyjmowania swego zegarka, migocząc przytem nowym medaljonem, zawierającym pukiel włosów; oczywiście, że wszystkie damy natychmiast prosiły o przyjrzenie się puklowi włosów, — były przecież takie trajkotki. Franek, który dążył ze swem nowem ubraniem pod ramieniem i z dużym banknotem w kieszeni, czuł się wyjątkowym trafem górą i zapytał damy: — Jakże się pani miewa od czasu, gdyśmy się widzieli ostatnim razem? — Dziękuję, dobrze! — odpowiedziała mu. — O, Alinka Heibergów nie taka była gadulska, jak inne.

— Skoczę tylko na chwilkę do domu z tą paczką — mówi Franek chytrze — i wrócę natychmiast.

Nie spodziewał się, że da to Reinertowi okazję do odpowiedzenia: — Chcesz już iść do domu? Ależ jeszcze nie późno, poczekaj, zobaczę! — Lecz nie, Reinert nie posiada delikatnej ani szczególnie subtelnej duszy, zgoła nie, to też odpowiada: — Daję ci na to pół godziny! — i wyjmuje zegarek.

Franek doskonale zdąży wrócić za pół godziny, zdąży doskonale.

W domu daleko łatwiej mu zdobyć sobie uznanie. Tu stał się panem, wszyscy na palcach przed nim chodzą. — Pokaż mi, jakies ubranie dostał tego roku — mówi

matka — ubierz-no je zaraz! — Franek opowiada, że go wezwano do konsula, matka i babka aż konają z ciekawości i poczynają stawiać pytania: — Czego chciał od ciebie? — Ech, konsul! — Franek udaje obojętność, niekiedy odpowiada, niekiedy nie, bo czasem milczenie najlepszą jest odpowiedzią. W domu rozczarowani są wszyscy, że Franek nie chce zostać księdzem, babka wcale pojąć tego nie może, bo przecie taką ma dobrą do nauki głowę. Tedy uśmiecha się Franek, a śmiech jego jest taki smętny i blady, prawie nic, zaledwie tylko cień uśmiechu. Dzieweczki gładzą rękami jego ubranie, piękne guziki, utrzymują, że z kieszonki na piersi wystaje maleńki różek czerwonego jedwabiu, przszyty raz na zawsze do ubrania, który ma imitować chustkę do nosa. Spodnie są za krótkie i matka spodziewa się je poprawić i wydłużyć, zabiera się też natychmiast do roboty, bo Franek musi wyjść i złożyć wizytę dyrektorowi szkolnemu. Ale babka pograża się w głębokie medytacje, trzęsie głową, mruczy i okazuje niezadowolenie.

— Juści że tak powiedzą! — mamroce wreszcie.

— Co takiego?

— Że brak ci zdolności, by zostać księdzem! — Myślała, zapewne, o kobietach przy studni.

Franek milczy. I to było dobrą odpowiedzią.

— Daj Frankowi czas do namysłu — mówi Petra, która nie straciła jeszcze całkiem nadziei.

O, lecz Franek nie dał się zagadać, postanowienie jego jest nieodwołalne, niewzruszone, stało się krwią i kością jego — dniami i nocami przemyślał nad niem, czekajcie więc, on zna swe powołanie.

Udaje się do dyrektora szkoły. Spodnie jednak jak były, tak są nieco za krótkie dla niego, kurtka wisi

na nim tak przypadkowo, jakby skrojona według gramatyki o dowolnych prawidłach. Zadzierą głowę do góry — taki zabawny, gdy na głowie ma czapkę, która wynosi go do chińszczyzny, do kasty. Ponieważ od ostatniego pobytu jego drogę do szkoły przebudowano, krąży nieco i zatrzymuje się nagle przed jakimś domem. Mówi do siebie samego i do kobiety stojącej we drzwiach:

— Szedłem widać zajęty innemi myślami.

— Tak, a dokąd to idziesz? — pyta kobieta.

— Do szkoły — odpowiada krótko i skręca w bok.

— To się udaj tędy, w górę, ot tam — woła za nim kobieta.

Phi, dobrze to, że nie wiedziała, kto on zacz. Albo może i wiedziała? W każdym razie nie znała go do tego stopnia, aby się poufalić i tykać go i wskazywać mu drogę niepytana.

Dyrektor szkoły, zmęczony egzaminami, siedzi w szlafroku i pantoflach i napawa się gramatyką, pokrzepia się. Nic w świecie nie daje się porównać z taką spokojną i łagodną składnią obcego języka, tak czystą, pozbawioną wszelkiego podniecenia, bez wymysłu!

— Proszę wejść! Czy to ty, Franek? Bardzo mi miło. Znasz tę gramatykę, Franku? Dopiero co ją otrzymałem, doskonała! Powinienbym ją był dostać przed egzaminem, a ja siedziałem i ślęczałem tymczasem i przygotowywałem się według starej. Bo córka moja objęła za mnie w ciągu całego niemal roku język francuski, to też do egzaminu musiałem zabrać się ponownie do przejrzenia. Tak to już bywa w naszym fachu, że gdy wyjdziemy czas jakiś z wprawy, to zapominamy, cośmy już przedtem umieli. No, ale dzięki Bogu, przyjemnie to znów zagłębić się w nauce, nieprawdaż?

Uklęknąć w przewiewnej świątyni i rozkoszować się
wyborną wiedzą!

Dyrektor zestarzał się w ostatnich latach, stał się siwem dzieckiem o zwiędłych oczach poza szklami
binokli. Z Franka był zadowolony, dochodziły go o nim
tylko dobre wieści, życzył mu i nadal wszystkiego
dobrego, największe nadzieje w nim pokładał. O, z tą
pilnością, którą dotąd wykazywał, mógł oczekiwać chlu-
bnej przyszłości, nie wykluczone przecież, że sam zo-
stanie kiedyś dyrektorem tejże szkoły, z której wyszedł...

Życie uczyniło go pokornym, życie zgnębiło sta-
rego filologa, a powołanie zmuszało go do skromnego
sposobu myślenia. Nikt mniej od niego nie chełpił
się swą filologją. Nie wymieniał nigdy badaczy, wiel-
kich duchów filologicznych, nie pojmował ich,
może zgoła, nawet nie znał ich nazwiska. Co miał on
wspólnego z genjuszami! Do powołania jego nie nale-
żało czynić wynalazki, on tylko powinien nauczać, je-
dyńie nauczać. Nauczać akurat tyle, aby sam z tego
żyć, nauczać tyle właśnie, ile należało, aby pokie-
rować innymi poprzez kurs gimnazjalny do egzaminu.
Dyrektor szkoły wypełnił wtedy, co do niego należało.
Chuda, żałosna egzystencja, nędza i zaćmienie ducha,
staczanie się wdół, harowanie, ślepotą. Gdyby to
choć była choroba umysłowa, gdyby choć przeznacze-
nie, głupota niebios! — lecz nie, to była głupota czło-
wieka samego, mały.

Zresztą, dyrektor szkoły opowiadał też i o innych
obietujących uczniach, o kilku nawet. Mieli oni olśnie-
wające zdolności do nauki, potężne; Franek osiągnął
już tak wiele, że dyrektor mógł się zająć bardziej no-
wymi okazami niezwykle uzdolnionych dzieci. — Adje,
Franku, i Bóg z tobą!

Franek powraca do domu, zadowolony i on, w podniosłym nastroju. Nie znalazł okazji oświadczenia się za jakimiś określonymi studjami, ale stary nauczyciel języka nie wątpił chyba, że będzie to filologja, — cóżby innego? I w gruncie rzeczy wszystko przecie jedno, byle się tylko Franek uczył, uczył wiele: to jest celem wszystkiego. Franek opuszcza dyrektora szkoły, dyrektora w wielkiej kamienicy i wraca do domu.

Wieczorem przychodzi ojciec ze składu i Abel z kuźni, nie przeszkadza to jednak Frankowi. Jemu pozostawiono komórkę w starej izbie; tam jest jego kąt, jego gniazdo. Dali mu je rodzice, aby i podczas wakacyj uczył się i czytał, studjował, zapamiętywał i zanurzał się w języki. I tak też czynił. Gdy go wołano do jadła, przychodził jeszcze bardziej doświadczony, uczony, więcej jeszcze niezmierny. Ale każdy posiłek tylko mu czas mitrężył.

Niekiedy przychodził z pustem pudełkiem blaszanem, które przynosił skądś z ulicy i pytał: — Jak myślicie, co tu na niem napisane? — Nie, tego nikt nie wiedział. Ale matka rozpoznała może markę z czasów swej służby u Johnsenów i odgadywała: — Może losoś? — No, ale to przecie nie jest po angielsku, — odparł Franek urażony; matka druzgotła w niwecz całą jego naukę swą wiedzą praktyczną: — Tutaj stoi *Alaska Salmon*. — Wtedy i ojciec się wtrącił, on był niegdyś marynarzem i wiedział niejedno: — Alaska, to kraj, miałbym nie wiedzieć, co jest Alaska?

Puszka blaszana nie przyniosła Frankowi wielkiego triumfu.

Ale zwracali się do niego z innymi niepojętymi rzeczami.

Matka postawiła przed nim szpulkę nici, proszę: *Brook Brothers, 50 yards*. Ojciec i tu się wmieszał, a nie zdobył się na oszczędzanie swego syna, objawił znaczenie tych słów i aż napeęzniał. — Angielszczyzna marynarzy! — rzekł Franek. Naogół wzięwszy, ojciec, Oliver, był aż przykry z tą swoją pamięcią języka angielskiego, obniżył wielkość i tajemniczość syna wytłumaczeniem żonie, co było wypisane na jej papierku z igłami: *Silver Eye. Cast Steel*. — To powinnyby być napisane małemi literami, — rzekł Franek. Tego ojciec zrozumieć nie mógł. — Dlaczego miałoby to być wypisane mniejszemi literami? — zapytał. Wtedy Franek dał mu jedyną właściwą odpowiedź: milczał. I nagle otrzymał wielce zasłużone zadośćuczynienie. Matka przyniosła pudełko, które dostała w sklepiku i na niem widniało: *Toilet Soap. Superior*. Nie, nad tem Oliver zęby połamał. Każde słowo obce dla niego, Franek musiał uroczyście dopomóc.

A brat jego, Abel, siedział tu i nic z widowiska nie rozumiał i nie mówił ani słówka. Co za różnica między braćmi! Na chwilę, zdawało się, wzruszyło się serce uczonego brata lekkim współczuciem dla Abła, przecież dopiero niedawno powrócił do domu i nie chciałby brata pominąć: — No, no, Ablu, — mówi — nie są to sztuczki czarodziejskie, i tybyś tyle co ja wiedział, gdybyś się był uczył! — Abel uśmiechnął się nieco sztywno i potrzęsął głową.

W wielu więc wypadkach rodzina korzystała z wiadomości językowych Franka, uczoność wkroczyła w dom Olivera. Dziwne tylko, że nikt ze sąsiadów nie przychodził z prośbą, aby im objaśnić zagadkowe i cudzoziemskie słowa w gazecie lub na paczce herbaty. Nie mieli, widać, popędu do wykształcenia i zagadek

ducha, byli gnuśni i ospali. Takie to było otoczenie Franka.

Pewnego wieczora przyszedł Oliver i rzekł: — Ano, kiedy się najesz, Franku, kiedy skończysz wieczerzę, to cię o coś zapytam! — Spożyli wieczerzę w pewnem napięciu, jedynie Franek był spokojny; nie wątpił, że będzie umiał odpowiedzieć.

I wreszcie chwila nadeszła: Oliver położył coś na stole. Stary grzesznik rozłożył talję kart na stole i zapytał Franka czy wie, co jest wypisane na futerale. — Cóż to? talja kart! — Kobiety aż się porwały na niego. Ale Oliver uciszył burzę: — Stulcie pyski — rzekł. — Co byście mi rzec chciały, wiem sam i bez was, i nie byłbym wziął sam tego do ręki i przyniósł do domu, gdyby Olaus na Błoniach nie prosił mię o to.

Franek nie wziął tego tak za złe, przyjął to układnie. W ostatnich czasach nie dano mu okazji wykazania wielkiej biegłości w językach i nie miał, śnać, nic przeciw temu, aby się znów nieco popisać. *Whist à 52 Blatt. Verzierte Asse.* — No, Abel, jak myślisz, co to ma znaczyć? — zapytał Franek i nadal życzliwie. Abel, zaambarasowany, uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i musiał pozostawić kwestję nierozstrzygniętą. Franek począł: — Właściwie to tu napisane w trzech rozmaitych językach! Poczem objaśnił znaczenie od pierwszej do ostatniej litery i ani na chwilę nie był w kłopocie. Bajecznie! Tymczasem Abel ujął plugawą talję kart i pokazał, że były to całkiem zwyczajne asy. Jakże to zrozumieć? Nad tem się wielce Franek zastanowił, gdyż nie chciał zapuszczać się w żadne dyskusje: — Lecz mogę ręczyć za tekst — rzekł.

Oliver przysłuchiwał się w milczeniu, wreszcie wykrzyknął: — Nieporównane!

Wszyscy patrzeli na niego, bo może też tylko przesadzał, Franek bowiem nie zdawał się promieniejącym. Ale Oliver przygasił przedtem nieco syna i zepsuł mu porządnie szyki swym językiem angielskim, chciał więc dać mu teraz zadośćuczynienie; umiał on obchodzić się z dziećmi, — udał więc nadmierny zachwyty: co za głowa siedzi na jego synu!

Czyżby Petrę zazdrość zdjęła? Skrzywiła się na te słowa Olivera i odrzuciła głową: — Twoim synu?

Oliverowi jakby kto drzwi przed nosem zatrzasnął, twarz jego martwieje, usta zwisają, thuste palce jego leżą bez życia na stole.

Petra tłumaczy się: — Bo on przecie nietylko twój syn, ale i mój także.

Zwolna powraca Oliver do siebie: — Tak, a kto powiedział inaczej? Oczywiście, że on i twój syn, twój syn także! — Ale oto już Oliver odetchnął zupełnie, powróciła mu znów dawna sprawiedliwość i nie chciał czynić różnicy między synami, nie zapomniał więc i o Ablu, gdy rzekł: — Ano, kiedyś was, chłopców, postawił na nogi i wdroyłem was w pożyteczne nauki i wiedzę, więc swój obowiązek spełniłem. Na więcej mię nie stać.

Nazajutrz wieczorem Oliver wytłumaczył, co zaszło z asami: — Ten łotr Olaus na Błoniach poprostu z łajdactwa wsadził w futerał inną talję kart i myślał, że nabierze Franka! Ale Franek zupełną miał rację! A ty, Ablu, też miałeś rację, bo asy nie inaksze były, jeno te, które zwykle spotykałem na całym świecie, tak daleko, jakem go objeździł. I prawdą jest co mówię: uczoność macie obaj, dzięki Bogu!

A jednak Franek nie promieniał, niewiadomo z jakiego powodu. Widać te seanse w domu nie przyspa-

rzaly mu dość satysfakcji. Bo jakże, czyż było tu dostateczne pole do popisu? Ani szerokości w niem, ani długości, ciasne ramy bez obszaru: ojciec, matka, troje rodzeństwa, babka. Obmyślił któregoś dnia, by przynieść z sobą uczone książki, matematykę. Niebotyczne obliczenia, — rzekł. Czytał im na głos geometrję, algebrę, rachunek całkowity, prawidła pochodności. Styczna do koła w danym punkcie jest najdalsze położenie, jakie przybiera sieczna, przechodząca przez ten punkt i przez punkt sąsiedni...

Oliver oświadcza zniweczony: — To zupełnie, jakby nie człowiek mówił. Czy wy się tego uczyć musicie?

— Musimy się uczyć wszystkiego.

Wzniósł się wysoko ponad swój stan i przemawiał językiem dzikiego. Mówił zrozumiale tylko dla siebie samego i nie mógł nawet, jako wróbel szary, porozumieć się z innym wróblem. Do czego to dojdzie! Pyta Abła: — Czy niema tu w mieście choć jednej zagranicznej gazety?

— Nie wiem nic o tem. Ale inżynier abonuje gazety?

— Zagraniczne? W zagranicznych językach?

— Tego nie wiem. A norweskich ci niedość?

— Norweskie! — gwiździe Franek.

W tej małej nadmorskiej mieścinie wszyscy znali język angielski. Któżby nie znał angielskiego! Ale chłopiec Franek umiał aż nazbyt wszystko, pozostawało mu jedynie rozmawiać z sobą samym, pozostawało pytać i odpowiadać sobie samemu, kiwać sobie głową, trząść nią, wątpić i wierzyć w milczeniu. Od czasu do czasu jakieś westchnienie dochodziło do izby babki, a wychodziło z komory, wychodziło ze skały, z piersi człowieka spętanego.

Abel był nie do uwierzenia głupi, niekiedy podnosił jakąś książkę i pytał: — Co to za książka?

— Łacina. Ty tego nie rozumiesz.

— No, znaczy, to drukowane łacina?

Franek milczy.

— Czy chcesz pojechać z nami w niedzielę na wycieczkę żaglowcem? — pyta Abel.

Franek z powątpiewaniem kiwa głową: — A kto jedzie?

— Kilkoro nas będzie.

— Może kto z Doków?

— E, gdzieby, z Doków? Tam takie wszystko małe. Ale Lidka też jedzie.

— Lidka! — Franek gwizdze na nią.

Nieprawdopodobnie głupi ten Abel. Czytanie książek nie wprawiało go w zachwyt, myślał, niczem kował. „Lidka,“ rzekł. Franek nigdy sobie nic nie robił z wycieczek żaglowcem, teraz mniej jeszcze dbał o nie, przyzwyczaił się trzymać nieco na ustroniu. Nie stykał się nawet teraz z Reinertem. Obaj studenci chodzili każdy oddzielnie. Ów poczciwy Reinert niedługo już się będzie pysznił na ulicy! Chodził w tużurku i medaljonie i nie przestawał gadać jak dorosły. Któregoś dnia uklonił się Fii Johnsen i powiedział jej komplement z powodu kapelusza. Tego już było nadto, panna Fia przeszła w milczeniu obok. Franek stał wprawdzie dobrze na uboczu przy tem zajściu, lecz Reinert wciągnął go zuchwale w skandal, śmiejąc się i wołając głośno: — Czyś widział coś podobnego, Franku! — Franek prościuteńko skoczył do domu.

Nie miał to też zresztą nic innego do czynienia, jak wałęsać się z Reinertem, kłaniać się dziewczętom, damom, towarzyszyć im na ulicy! Pusta przyjemność.

Natomiast zachodził niekiedy na DOKI. w oino mu było odwiedzać Henryksena, który wykazywał należny szacunek uczonemu młodzieńcowi, chodził też niekiedy na spacer z najstarszą córką, Konstancją, i opowiadał jej rzeczy o większym świecie, aniżeli ten, w którym dotąd przebywała. Konstancja owa dziewczynką jeszcze młodą była, a więc niedorosłą zupełnie, lecz za prawdę, nad wiek rozwiniętą, a opowiadań jego o wielkim świecie słuchała z wdzięcznością. Miłe to były spacery. Franek zachowywał się pięknie u Henryksenów i mówił: „co, proszę?” i „przepraszam,” otrzymanego papierosa wyjmował z ust, gdy przemawiał, pił kawę, odchylając dystyngowanie mały palec. Nie było tu mowy o głębszem zakochaniu się, jedynie pewne rozkoszowanie się serca, pewien smak dobry. Widać przecież, do czego wielka namiętność mogła doprowadzić Reinerta: serce jego było skłonne do wybryków nawet na ulicy i pośród białego dnia, mogło mu ono podyktować lekkomyślną chętkę gwizdania, śpiewania. Franek trzymał od siebie zakochanie na odległość ramienia.

Gdy nadeszła niedziela i Abel przyszedł po swoje siostry, aby je zabrać na wycieczkę żaglówką, zapytał i Franka raz jeszcze, czy nie pojedzie z nimi.

— Nie.

— Mamy z sobą żywność, wylądujemy i potańczymy. Pluskiewka zabiera z sobą harmonijkę.

— Nie.

A jednak tęskno patrzył za nimi Franek, gdy już wyszli z domu, poczuł snąć w sobie słaby jakiś rozbłysk, jakby refleks życia nazęwnątrz. Nieboże, od samego początku źle był kierowany. Franek widzi błękitną żyłkę tętniącą mu podskórną na ręce, jego pierś za-

pada, jego mózg dziecięcy osiągnął już w ośmnastym roku życia dziwną starczość.

Babce w izbie spodobało się, że odmówił pójścia na wycieczkę, o, znamionowało to poniekąd przyszłego księdza! Babka otrzymała nakaz nienaruszania spokoju studenta, lecz teraz uchyla jednak trwożnie drzwi i przynosi mu filiżankę kawy z prośbą nie pogardzenia nią.

Kawa nadeszła w porę.

— Dobrześ zrobił, żeś został w domu, — mówi babka.

— A tak, bo co jabym tam z nimi robił! — odpowiada Franek.

Nie wątpi, że nie popełnił błędu. Pozostając w domu, trzyma się tak rozsądnie właściwej drogi. Nie wiedział, że tylko ten nie może błędzić, który nic nie czyni.

I znów pochyła nos nad książką, A obiady i kolacje wiele czasu mu nie zabierają. Bo przecież, gdy go wołają na jedzenie, to mu właściwie oznajmniają, że on całkiem nie jest głodny, o czym wiedział już przedtem.

XX.

Bardzo być może, że źle Abel uczynił, iż urządził tę wycieczkę żaglowcem: Lidka nie przyszła i dzień był stracony. Wytrzymał aż do wieczora na zielonej wyspie, skakał i tańczył, pokrzykiwał głośno i brykał jak szaleniec, ale skoro tylko wrócił do domu, udał się natychmiast na wytropienie Lidki i zbadanie, co się z nią dzieje. Nie znalazł jej, bo była to niedziela i Lidka siedziała u policjanta Karlsena i ćwiczyła się na fortepianie.

Dobrze.

Następnego wieczora znów jej szukał i nie znalazł. Wyszła; siostry były w domu.

Widać, Lidka przejrzała jakoś, że on chce z nią pogadać, ale nie ułatwiała tego, przeciwnie, unikała go. No, więc całkiem naturalne, że sobie poszła, ale trzeciego wieczora pozostanie z pewnością w domu.

Nie.

Wtedy spokorniał Abel. Wprawdzie i teraz jeszcze sądził, że świat jest miejscem, na którym żyć można, ale interesującym nie jest wcale, a życie wogóle jest świńskie i zbyteczne. Ujrzał dziś Lidkę w towarzystwie innych dziewcząt i Reinerta — Reinerta, tego syna dzwonnika, który ustawicznie musiał mieć towarzystwo dziewczyn — tak, z nim to właśnie

widział Lidkę. Niema co, ślicznie. Samego Reinerta trzeba by pohamować w jego niecnem postępowaniu, a Lidkę należałoby poprawić. Abel to uczyni, Abel ją poprawi. Ale podobnych rzeczy nie dokonywa się obuchem, należy osiągnąć to cierpliwością i olbrzymią subtelnością. Nie zawsze można zawinąć okrętem do portu, a więc należy wholować się do portu. Przedsięwziął sobie, że nie pójdzie więcej do dziewczyny, daleko mu do tej myśli, lecz postara się spotkać ją przypadkiem na ulicy. Ale w kilka dni później, gdy wciąż jej jeszcze nie zoczył, powlókł się jednakże w stronę znanego podwórza.

W czasie tego wyczekiwania kilkakrotnie potulniał i znów gorzał płomieniem, w danej chwili był wściekły, a spotkawszy wreszcie dziewczynę, nie mógł się powstrzymać od powiedzenia mniej, niż rzekł: — No, więc, już się wyhulala? Kiedy się pobierzemy, inaczej zatańczysz! Czemuś nie przyszła w niedzielę na przejażdżkę żaglówką?

Może go Lidka wyczekiwała dziś wieczorem, może też przedsięwzięła sobie wielką ku niemu grzeczność, gdyż uśmiechnęła się, odkloniła na jego powitanie i rzekła: — Czy to ty, Ablu?

To go rozbroiło. Właściwie powinienby się teraz rozprawić z pewnym człowiekiem, ale zostać wykonawcą przedsięwziętego planu nie miał jakoś, dziwnym trafem, otuchy i ziewnął lekko.

Ale właśnie sama Lidka nie cofnęła się przed zajrzeniem w oczy rzeczywistości: — No, czemu nie przyszłam w niedzielę? dlatego, że musiałam grać na fortepianie. Nie mogłam przecie jednocześnie czynić jednego i drugiego.

— Prawda — odparł. A jednak dobrze wiedział,

że nie cały dzień grała tylko na fortepianie, lecz dopiero wieczorem. A prócz tego przyrzekła siostróm jego wziąć udział w wycieczce i zawiodła. Ech, djabełby tam to zrozumiał.

Siedziała sobie na wąskich, wątych schodkach drewnianych i szyła, cerowała coś, czy przerabiała nieco jakąś sukienkę, — zręczna była w palcach. I jak zwykle w takich wypadkach, tak się i tu stało: skończyło się na tem, że ona została niesprawiedliwie napastowana i czemuby miała to ścierpieć? Ten wyrostek kowalski i jego siostry myślą może, że są jej równi? Ale niech się jak najrychlej wyzbędą tej myśli! — Mam trochę więcej do uczenia się, niż ty — rzekła. — Może ci się zdaje, że to tak łatwo grać na fortepianie?

— Nie, — rzekł.

— Już same nuty są tak straszliwie trudne. A w dodatku te ćwiczenia.

— Ale poco ty się tego uczysz?

O, jaki z niego głuptas! Poco się ona tego uczy? Bowszyscy lepsi ludzie się tego uczą. Uczyła się tańców, musi się też uczyć grania, haftowania, szydełkowania wstawek do swych koszulek — o, czego się to ona nie miała uczyć! Weźmy naprzykład chodzenie z parasolką w słońcu: i to nie jest rzeczą wrodzoną, lecz należy się w to wćwiczyć, nauczyć wspaniałego sposobu noszenia. I siostry jej też się wciąż jeszcze uczyły i uczyły, i one nie były byle czem, nie zamierzały rzucić się pierwszemu lepszemu na szyję, siedziały w domu, siedziały i czekały na sternika, na subiekta sklepowego. Tak się właśnie lepsi ludzie zachowują.

Lidka nie tak się znów na słowa Abła obraziła, ale zbyła je milczeniem.

Tak więc Abel stał znów jak zmyty.

Odłożyła na chwilkę naporstek, a on ujął go w ręce i improwizował: — Z czego to może być, kiedy ma takie jakieś żyłki?

— To? Z kości słoniowej.

Zmysł dla kości słoniowej mało był w nim rozwinięty, największa ze wspaniałości, o której słyszał, była świątynia Salomona, ale nie naporstki. Jednakże djabeł snąc węń wstąpił, gdyż odstawiwszy kosztowny naporstek, pogładził niebieski perkal sukienki, którą trzymała w ręce i rzekł: — O ile mogę zmiarkować, jest to brokatela.

Ona niezwłocznie przyjęła to za docinek, co może w rzeczywistości było i prawdą i odparła: — Na tem ty się nie rozumiesz!

Milczenie.

— Nie miałybyś tam jeszcze jednego stopnia dla mnie? — zapytał.

— Stopnia? Chciałbyś usiąść! Ano, proszę.

Podniosła się i ustąpiła mu miejsca.

— Nie, nie tak myślałem! — bronił się. — Jeśli niedość miejsca dla nas dwojga, to mogę postać! — Zresztą nabrał rozmachu i rzekł: — Com to chciał powiedzieć — nie, ta twoja gra na fortepianie to istne bzdury. I co ci za korzyść z tego, gdy się pobierzemy?

Zaiste, opadła z powrotem na schody, zamieniła się jakby w punkcik i trwało dobrą chwilę, nim jej mowa powróciła: — JAKTO? Z tobą?

Spojrzał na nią badawczo, udając, jakby się czuł całkiem swobodny. Nie przyznałby, że miał wrażenie, jakby go ona za nos ujęła, tylko może ździebko, oczywiście, ale jednak: za nos ujęła i zwróciła go w stronę wyjścia, aby sobie poszedł.

— Nigdy ciebie nie poślubię — rzekła Lidka.

Z tych słów Abel wnioskuje, że mu dała odmowę, ale mimo to pozostał w miejscu, patrzył na nią, patrzył całkowicie nieodzwrotnie na nią i niekiedy migał oczami. Dziwny to ona ma czasem sposób gadania, akurat, jakby go wcale nie chciała. Może postąpić, jak zechce, krzyżyk na drogę! Znajdował się w tej chwili w mocno kwaśnym nastroju.

Lidka spojrzała na niego, skinęła z uśmiechem głową i rzekła: — Prawda, co ci mówię! — O, więc wątpliwości niema, że postępuje sobie ostro, a przecie to zbyteczne, powinnyby trochę złagodzić swe słowa.

— Mógłbyś mi trochę pomóc i potrzymać tutaj — rzekła i podała mu fałdkę do trzymania.

Nie, nie ruszył się.

— Słyszysz! — rzekła i wetknęła mu igłę w lydkę.

Podskoczył, i, djabeł wie czemu, rozjuszył się, wściekł poprostu. Nie wyrzekłszy nic więcej ponad krótki okrzyk: — Aj! — stał przez chwilę i zagryzał usta, błądy, gotów do wyrzucenia z siebie całej burzy. Nie udobruchało go to wcale, gdy Lidka naraz wybuchnęła śmiechem: — Co to, na miłosierdzie boskie! On, który zniósł ukąszenie żmii, i który często nabawiał się bąbli, parząc sobie ręce w kuźni, on do góry podskakuje od ukłucia igłą! — Ale fakt był faktem. Więc uważała widać, że musi uczynić mu jakąś przyjemność: — Ty — rzekła — z tego Reinerta to porządna małpa!

To wróciło Ablowi równowagę, przypomniało mu to jego zamiar ocalenia jej, ocalenia Lidki. — Tak — rzekł i on.

— Pyszałek!

— Tak. Alboś o tem dotąd nie wiedziała?

— Ale z niego szykowny facet. I trochę kręcą mu się włosy.

— No, może ci się on podoba?

— Mnie? Mama mówi, że się ogromnie wyrobił. A w dodatku uczył się masę!

— Hahaha — rzekł Abel — gadanie — rzekł. — Uczył się tak wiele? Umiem sto razy więcej od niego, jeśli chcesz wiedzieć. Tak. Nie akuratnie to samo z książek, ale umiem sto razy więcej innych rzeczy.

— Tak, innych rzeczy! — szydziła.

— Sto razy więcej, zapamiętaj to sobie! I zobaczysz, on wcale księdzem nie zostanie. To tak samo, jak z Frankiem, on też księdzem nie będzie. Taki tam syn dzwonnika! A jeżeli liczysz na takiego, który daleko mniej wart, niż na to wygląda, toś głupia, powiem ci!

— Ja? Ani mi się śni myśleć o nim.

To zmienia postać rzeczy i Abel czuje się naraz daleko źzej, mógłby ją ucałować, doprawdy, ucałować w same usta. Siedziała przed nim. Ale pocałować dziewczynę zniecka jest dość trudno i wymaga wielkiej wprawy technicznej, należy utrafić. Nie, więc ujął natomiast stojące pod ścianą toczydło i wzniosłszy je z rozwydrzenia, czy z nadmiernej siły nad postumentem, złożył na jej kolanach.

Hej, mówią ludzie o tem, że można oniemić, ale tak ogłuszającego milczenia Abel nigdy nie słyszał dotąd. A potem Lidka wszczyna krzyk, skrzeczy, wrzeszczy, rozgoryczenie czyni ją jakąś obcą mu i brzydką. Nie było innej rady, jeno musiał zdjąć z niej toczydło i położyć znów na miejsce.

— Ty prosiaku! — wrzeszczała. — Jak śmiesz!

— Hehehe — śmiał się zawstydzony i nieszczęśliwy Abel. — Widzisz, co ja umiem zrobić! — Zresztą, zadziwiające, jak niewiele trzeba było Lidce, aby ją wzłość

wprawić. On zaś nie był taki. Może Lidka miała to po matce.

— Patrz, jakieś mi zaświnił moją robotę — rzekła.

— Świeżo uprana suknia!

— Potrzymam ją pod studnią — zaofiarował się Abel.

— Idjota!

Więc chciał ją znów zmiękczyć dobrymi słowy, napomknął niejako o swych uczuciach dla niej, powiedział, że ją kocha i — obojętne, co ona o tem sądziła — ale on ją chce mieć dla siebie. Mógłby pójść dla niej do wszystkich studzien w miasteczku, niech mu więc wybaczy ten wybryk z toczydłem . . .

Powstała i otrzepała z zawziętością suknię, potem i z siebie piasek zgarnęła, i znów opadłszy na schodek, aż skrzypnęło, zamilkła.

— A zresztą — rzekł, — wcale nawet nie chciałem tego zrobić. I niema co brać sobie tego do serca.

— No, — odrzekła i spojrzała na niego wściekła. Jej oczy powściągnęły go.

— Ciekawym, gdzie to teraz przebywa brat twój, Edward.

— Zamilcz!

— Kiedy powróci do domu, czy wiesz o tem?

— Zamilcz! czyś słyszał? zamknij gębę!

— Tak i będzie! — rzekł i głową skinął. — Powiedz tylko, będzie tak, jak zechcesz — rzekł i skulił się w sobie.

Ale tak pozostać nie mogło. Po chwili podniosła się naraz i znów poczęła strzepywać piasek z siebie, jakby jeszcze nie była dość czysta. Ale złagodniała niemal już zupełnie i uśmiechała się nawet nieco.

Przecież nie tak okropnie starzy z nich ludzie. Jeśli on miał lat dziewiętnaście, to ona będzie miała ze siedemnaście, lub coś koło tego. Albo, jeśli już prawdę powiedzieć, to on miał tylko lat szesnaście, lecz ona i tak jest jeszcze młodsza. I co to za wiek! A ot — stali naprzeciw siebie.

— I pocoś to zrobił, ty warjacie? — zapytała, śmiejąc się.

— Poco? Sam nie wiem.

— Czemu nie siadasz, słyszysz! — rzekła i sama zajęła miejsce.

Teraz on z kolei zamilkł trochę i stał tylko, przewieszając się przez poręcz schodów. Ale gdy znów wyciągnęła ku niemu koniec sukni do potrzymania, ujął go i trzymał. Po chwili wskazała na jego rękę i rzekła: — A to dziwnie kosmate masz rękę.

— Dziwnie? Galante, jak i być powinny.

O, to jego owłosienie! W żarze kuźni, bijącym z kolumna, wybujało w górę, niby czarna sierść. Abel dumny był z niej, rówieśnicy nie mogli pochwalić się taką, przerósł ich, pozostawił daleko za sobą. Przecież to wprost rękę dorosłego mężczyzny!

— Przemysłiwam nad tem, żeby wytrzymać u kowala cały czas terminu — rzekł. — Co myślisz o tem?

— Nie wiem. I jak długo to potrwa?

— Nie potrwa długo. A później, mówi Karlsen, mogę kupić kuźnię za tanie pieniądze. Chce mi w tem dopomóc.

— Kuźnia? a ty co z nią chcesz począć? No, tak, będziesz w niej kuł. Ale czy to musisz być w niej bezustanku?

— Inna robota nie wiele lepsza. Nie podobają mi się inni czeladnicy.

— Ale ty się taki stajesz czarny od kuźni — rzekła Lidka.

— A gdy czas nastąpi i pobierzemy się...

Tym razem już nie skoczyła wściekła do góry, nie, tego nie uczyniła, ale przerwała mu stanowczo:

— Z tego nic nie będzie!

— To się już i na dom znajdzie — dokończył.

— Nigdy!

— Jakto? — zapytał, nie rozumiejąc.

— Nie kocham ciebie — odparła.

Spojrzał na jej ręce, spojrzał na jej twarz i pomyślał trochę. — To się już ułoży — rzekł w takim tonie, jak gdyby mogła uważać to za rzecz nieodwołalną.

Ale Lidka znów staje się córką swej gwałtownej matki i nie chce obrazy darować: — Puszczaj — komenderuje i targa sukienkę.

Ale oczywiście, takim palcom targnięcie nie da rady.

— Czyś nie słyszał, żem ci puścić kazała!

— Aha. Ty tylko powiedz, jak chcesz, żebym zrobił.

I puścił, ale znów byli ze sobą na bakier.

— Wstydzilibyś się! — rzekła Lidka.

Odparł tonem dorosłego: — Nie mam wprawdzie więcej nad lat dwadzieścia, jeśli ci o to chodzi. Albo może i nie całe dwadzieścia.

— Ach, Boże, jak ty łiesz! — zawołała. — Ależ z ciebie prawie takie nic, u confirmacji byłeś dopiero zaprzeszłego roku. Może myślisz, że nie wiem, kiedyś się urodził?

Tedy roześmiał się Abel: — Ech, nie, Lidko, już ty mi wybacz. Bo kiedyś ja się urodził, to o tobie nikt nie myślał nawet. O, wcale mi tak znów niedaleko do

dwudziestu, niech sobie ludzie gadają, co chcą. Chyba sam wiem najlepiej.

— No, — ale Lidka niecierpliwie ręką machnęła i rzekła: — A ja zostanę konfirmowaną tej wiosny.

— Ano, to dobrze.

— Dobrze? — jak to rozumiesz?

Milczenie. On widać myślał, że dobrze, aby się to już raz odbyło, bo będzie wówczas wolna i dorosła, lecz nie śmiał drażnić jej więcej.

— No, jużem skończyła szyc — rzekła i powstała.

— Tak, do widzenia — rzekł. Ale naraz zuchwale poprosił o trochę wody.

— Jeśli tu tylko gdzie będzie — odparła i rozejrzała się dokoła. — Ale możesz wejść do pokoju i napić się.

Na to odparł Abel: — Nie, to już pójdę do domu i tam się napiję. Już mi wszystko jedno.

— Całkiem nie! — zawołała Lidka. — Ja pójdę dla ciebie po wodę — rzekła, jakby on był jej jedynym na świecie.

Kiedy się napił, gadali ze sobą jeszcze chwilkę, a nim odszedł, wolno mu było jednakże objąć ją i ucałować dobrych kilka razy. Okropnie miękkie i niebezpieczne ramiona u tego kowalczyka.

Wywijał niemi, powracając do domu, pan sytuacji, wybraniec dziewczyny, posiadacz kuźni w przyszłości. Tak, wszystko się ułoży! Najchętniejby zemknął i uniknął towarzystwa innych, ale w domu byli goście: Maryna Salt siedziała w izbie.

Wszyscy domownicy byli obecni, z wyjątkiem syna studenta, i w krótkim czasie zdążyli powiedzieć bardzo wiele; Marynie Salt spieszyło się mocno, wyszła tylko na miasto po sprawunki i nabrała ochoty zaj-

rzenia do dawnych znajomych. Oliver sam dorzucał to lub owo poważne słowo, podczas gdy gość pił kilka filiżanek kawy z rzędu i przekasał placuszkami.

— Jakże to tak możesz porzucać malca? — pyta Petra. — Czy chłopak zasnął?

— Nie, nie wiem nawet. Mateusz go dogląda.

— Mateusz?

— Spokojna jestem o dziecko, gdy jest u Mateusza.

— Nie chcesz mi chyba wmówić, że Mateusz dziecka twego pilnuje!

— Jakże, nie chcę tego? A jakbym ja inaczej dała rady? — pyta Maryna Salt. — Musiałam wyjść dziś wieczorem i poczynić zakupy dla domu, a Mateusz siedzi w izbie. Tak robi za każdym razem, jakżeby inaczej!

Oliver oświadcza z godnością: — Mojem zdaniem, Maryno, weźmie cię Mateusz, gdy ten dzień nastąpi, że zechce stan swój zmienić!

Nie miała Maryna nic przeciw usłyszeniu takich słów, lecz Petra, zdawało się, powzięła nagle trochę zawiści: — O, ja tam tego nie sądzę. — No, ale mnie to wszystko jedno.

Nie byłoby to znów takie głupie ze strony Mateusza, utrzymywał Oliver i stał po stronie Maryny. Wtedy miałby chłopca do nauczania, gdy dzieciak wyrośnie i do oddania mu w spadku całego warsztatu.

— O, chłopiec dopiero co się urodził — wtrąca Maryna. — Więc do tego czasu jeszcze daleko.

Petra mówi: — Chciałabym przyjść kiedy i obejrzeć chłopaka. Chyba że spory?

— Ano, nic mu nie brak. Doktor mówi, że rasowy z niego dzieciak.

Petra staje się naraz uważną: — No, tak rzekł doktor?

— Tak, a czyż to takie dziwne?

Milczenie. Petra myśli. — Nie, — odpowiada wreszcie. — Bo doktor tak tylko gada. O moich też tak powiedział, że są rasowe. Nie wiem, co on przez to ma na myśli.

Oliver znów zabiera głos: — O ile pojąć mogę, myśli on, że to jest wielkie, silne i zdrowe dziecko, na przykład. — Tak, dziękować Bogu, nasze wszystkie były dziarskie.

Petra pyta: — A jakie ma oczy?

— Bronzowe oczy — odparła Maryna.

Tedy Petra staje się całkiem już zazdrosna i jakaś dziwna, i nie mogła powstrzymać się od okrzyku: — Skądżeś ty sobie dla niego oczy bronzowe zdobyła?

— Hehe, tybyś powinna była to wiedzieć! — odparła Maryna Salt i zaśmiała się kokieteryjnie.

— Domyślam się sama! — mówi Petra sztywno i cierpko. — Jego nie brak nigdzie!

Maryna patrzy na nią: — Gadasz! O kim to myślisz?

— O, o nikim. Nie mam nikogo na myśli.

— Nie, ty się lepiej nie trudź — mówi Maryna — bo się i tak nie domyślisz. Nabiera chytrego a tajemniczego wyglądu i milknie. A to szatan z tej starej dziewczki! któżby mógł być ojcem jej dzieciaka? Wydawało się, jakby sama siedziała i rozważała to pytanie, ba, jakby miała wybór i wybredzała.

— Niema tam więcej w imbryku kawy dla Maryny? — pyta Oliver.

Czwarta filiżanka zostaje nalana i wypita, a podczas tego mówi się znowu wiele i obszernie. Petrze

powinienby znów powrócić cały dobry humor, ponieważ okazało się, że Maryna Salt sama posiada oczy bronzowe — czyż to więc dziw, że i jej dziecko je dostało? Ale Petra raz już powzięła podejrzenie co do pewnego człowieka i nie mogła się pozbyć tego podejrzenia: — A jednak nie kto inny tylko on! — utrzymywała. — Dość z niego przebiegła sztuka. Wziął sobie tym razem piwnooką, żeby już całkiem uniknąć podejrzeń.

— Nie rozumiem, nad czym to sobie język strzępisz, Petro! Tak, muszę wprost powiedzieć: plotkujesz! — oświadcza Maryna, śmiejąc się jeszcze życzliwie.

Petra jest rozgoryczona i nie przestrzega nawet przyzwoitości wobec gościa: — Może ci się zdaje, że cię wziął za co innego, jak za te twoje bronzowe oczy? Nie, Maryno, sama chyba wiedzieć powinnaś, że z ciebie już nie młódka!

W owem stadjum wydało się Oliverowi, że powinien wdać się w sprawę, i tak też uczynił, gdyż sięgnął po czapkę i pochromił za drzwi. Zabrał też z sobą Ablę. W izbie pozostało pięć kobiet, wliczając w to młode i stare. Ale że Petra tak była wzburzona, wielkiej dla gości przyjemności nie sprawiała. To też gdyby Maryna Salt się nie miarkowała, mogłaby skruszyć filizankę. W miejsce tego rzekła tylko, dotknięta do żywego: — Młódką? nie, ja już młódką nie jestem. Ale i ty, Petro, nie jesteś jałoszką tegoroczną, pamiętaj to sobie. A co się tyczy tamtej sprawy, toś ty chyba dość dostała od tego człowieka, o którego mię teraz posądzasz.

Petra zwróciła widać uwagę, że dziewczynki słuchały, siedząc obok, więc w śmiech wszystko obróciła: — Dostałam? Ani jednego oera więcej nie dostałam od żadnego innego człowieka, jak od mojego męża, mo-

żesz temu wierzyć! I zaco by mi inni pieniądze dawali? Starczy nam, chwała Bogu, w zupełności, co Oliver zarabia!

Dało to powód do skierowania rozmowy na inne tory, i tem samem most został przerzucony; wszyscy nań wstąpili, a obie spierające się matki powolutku zawarły pokój. Przeszły na plotkowanie o miasteczku i o ludziach miejskich. Piąta filiżanka kawy została nalana i wypita. wszystkie kobiety leżały oparte o stół i spoglądały sobie wzajemnie w twarze. Znów był bal u Kacpra, tego co to pracuje na Dokach, wytrzepał swoją żonę. Maryna sama słyszała to wieczorem.

Petrę pasja bierze na Kacpra: co mu żona zrobiła?

— Ano, coś tam zaszło z jakimś robotnikiem w warsztacie.

— Niechby on się odważył rękę podnieść na mnie!
— groziła Petra.

— O, tak, na ciebie, ale na tę żonę, którą on dostał! — mówi babka, która jest stara i zapalczywa. — Czego to ona nie wyprawiała onego roku, gdy mąż był na morzu: najęła się na obcą skutę i pozostawała dłuższy czas zagranicą, jako pokojówka.

Maryna Salt oświadcza: — Dziwno mi, że nie dostała dziecka.

— A ty wiesz, co ona dostała?

— Ano, bo i później też musiałaby mieć dziecko.

— Nie, — mówi Petra — ona nie z takich, które dostają dzieci, ona sobie postępuje, jak jej się podoba.

Babka popada w zamyślenie nad owem dawnem zdarzeniem: wycieczką zagraniczną młodej żony marynarza, o której tyle gadania było w swoim czasie.

A jakiego to prawego ma ojca, kowala Karlseua, a z jakiego dobrego, szanowanego ona domu, a jednak!

— Tak się w życiu zdarza, — mówi Maryna Salt. I wyklada inne nowiny z miasta: najmłodsza córka Gryn-Olseua wzięła ślub w Krystjanji, w połowie tego miesiąca.

— W Krystjanji? i czemu to?

Tak było w gazecie, Maryna slyszała, jak o tem czytano w sklepie u Dawidsena.

I kogo to za męża dostała?

— Malarza, — piszą.

Dziewczynki coś o tem wiedziały: — Tego malarza, który malował obrazy u Johnseua w Przystani i u Gryn-Olseua, — mówią dziewczynki. O takich sprawach wiedziały te szelmy — o, bystre były aż nadto!

— Podobno pochodzi on z wielkiej i dostojnej rodziny, według tego, co Dawidsen mówił.

— Dziwne, że to się tak cicho odbyło i nikt o tem nie slyszał.

Maryna Salt odpowiada na to: — Gadają, że panna młoda musiała się spieszyć.

— Aha, to tak! — szepce cała izba ze zrozumieniem. I potem wszyscy myślą nad tem dobrą chwilę.

— Ano tak, żenią się i balują, ani temu końca nie widać, — oświadcza Petra. I znów odważa się na bardzo niebezpieczną drogę: — Możesz się czuć szczęśliwa, Maryno, żeś się w takie rzeczy nie wdawała!

— Na to jeszcze nie za późno, — mówi babka.

— Tak, Petra myśli, że za późno, — odpowiada Maryna, — urażona ponownie.

Petra nie ustępuje: — Jeśli mam rzec po prawdzie, to myślę, żeś chyba wybiła sobie wreszcie podobne rzeczy z głowy. Ile ty masz lat?

— Tyle, że ich nawet spamiętać nie mogę, — odpowiada Maryna i powstaje. — No, a ja tu marudzę cały wieczór! Składam wam piękne dzięki za poczęstunek i za dobre przyjęcie! A ty pokaż się u mnie choć na chwilę, gdy będziesz kiedy przechodzić, Petro!

Nie, o nie, młodką Maryna nie była, ale gdy szła w stronę domu, dźwigając ciężkie paczki ze sklepu tak lekko, jakby nic, i gdy nogami przebierała, niby w tańcu, niktby jej o starość nie posądził. Wyglądu nadzwyczajnego też nie miała, brązowe jej oczy jasne były i ani trochę nie żarzące, ale widać przecie, co to z niej za człowiek, jeśli w tym wieku mogła dostać dziecko. Nie pyskujcie aby na Marynę Salt, nie najgorsza ona. A bo to lepsze są córki Jörgena Rybaka i Lidji — te, co to w domu siedziały i udawały wielkie państwo — może one więcej warte? A nawet sama Fia Johnsen, wiele to ona była lepsza, ona, która malowała bzy, a patrzyła na mężczyznę i na słup miłowy jednokowemi oczami?

— Zabawiłam długo, — rzekła Maryna Salt, wstępując do chaty.

Mateusz nie odpowiedział i wogóle czynił, jakby się na nią gniewał. Zresztą siedział przy dziecku i śpiewał mu do snu, a był właśnie w połowie strofki.

— Może spróbuję zagadać go ploteczkami miejskimi, — pomyślała sobie tedy Maryna, trochę o Kacprze i jego żonie, trochę o ślubie w Krystjanji? Ale Mateusz nie z tych, co to o plotki dbają. — Czy się dzieciak budził?

Mateusz kończy śpiewkę i odpowiada: — Nie. Ale teraz ty go już swem szczekaniem ze snu zbudzisz.

— Nic nie szkodzi, i tak mu teraz pora dać piersi, — mówi Maryna.

Dziwny widok: Mateusz Stolarz śpiewający przy łóżku dziecka!

Z początku wrzał i podskakiwał na nodze. Losy mu urządziły okropny, niepojęty kawał, że nie udało mu się wyrzucić Maryny Salt z domu, nim zległa. Uczyniło to na nim silne wrażenie i zmieszało niesłychanie. Fúj, do diabła, w jego domu! Ale długo jej nie pozwoli zostać, o, nie dłużej nad dwa, trzy dni i wtedy na ulicę ją wyrzuci: — a pokwap się ino trochę i nie zapomnij zabrać z sobą malca! — Minęło jednak więcej niż dwa dni, a później mijał dzień za dniem i nie tak to łatwo przyszło Mateuszowi chwycić za drąg i wyгнаć ją z domu. Dokąd to się miała udać? I z takim niemowlęciem, silnym chłopcem wprowadzie, o bezwstydnym płucach, ale jednak...

Mateusz Stolarz ustępliwy był człowiek: ustąpił dwoje drzwi, które niegdyś wycyganili u niego, odstąpił żonę młodą, która go oszukała o pierścioneł złoty i tak w kółko. Porywał się z miejsca i sapał, ale ustępował. I co innego mu pozostawało?

A Maryna Salt rychło znów na nogi stanęła i koło swej roboty się uwijała. Dziecko niewiele pracy przysparzało, jedzenia nie potrzebowało, tylko piersi i snu, leżało w komorze Maryny, w jej własnym łóżku, i miejsca nie zajmowało, — Mateusz dużo powodów znalazł, aby się nienazbyt surowo do rzeczy zabrać. Ale za pół roku, ot pośród lata, tak, aby żadne z nich nie zamarzyło na śmierć, wtedy za drzwi ich wyrzuci, jako rzekł! Albo też, najwyżej za parę lat, gdy już chłopiec sam chodzić będzie umiał.

A potem jeszcze obiecywał sobie, że dziecka nigdy na oczy oglądać nie będzie, — ale i to się nie dało przeprowadzić. Maryna Salt, matka, pobiegła, bywało, do

studni, a dzieciak nie czekał na nią z krzykiem, jeno, nie krępując się, przywoływał stolarza. Kilka razy już się tak zdarzyło. Mateusz zębami zgrzytał i stawał się wściekły, ale kamieniem nie był, zauważył, że dziecko milkło, gdy do niego przemawiał, że uspakajało się, gdy słyszało głos ludzki, — spowodowało to, że coraz częściej i częściej przemawiał do niego i skończyło się na tem, że zabrał się do śpiewania. Gdy dziecko umiało już patrzeć i nauczyło się go rozpoznawać, unosił je i chodził z niem po pokoju. Ta poczwarka, ten chłopys, taki dziwnie lekki w jego rękach. — Ano zamilknij, bez tych krzyków, które czeladnik i chłopiec słyszeć mogą w warsztacie, zamknijże gębę! A zresztą, nie dziwota, że krzyczysz, biedaku! — marzniesz i nie dają ci piersi. Już ja z nią pomówię, jak mi Bóg miły, pomówię! Nie dziwiłoby mię, gdyby cię której nocy na śmierć przygniotła w tem wąskim łóżeczku. Patrzaj, weźmiemy pierzynę i ponosimy cię w niej. A widzisz, zaraz ci cieplej, a ja już, Panie dopomóż mi z nią pomówię . . .

— Chłopak leży i marznie! — krzyczy na matkę.

— Marznie?

— A bo ja wiem i nie chcę wcale o tem wiedzieć. Nie moja w tem rzecz. Ale ty go tu nie zostawiaj, żeby się zagłodził.

— On się nie zagłodzi.

— Może ci się zdaje, że płacze po próżnicy? I takiej to zostać matką!

Maryna Salt dostrzegła, że opłacało się stosować do woli stolarza: — Dam mu piersi, — rzekła.

— I to nawet porządnie! — zażądał stolarz. — Nie wiem, czy kiedykolwiek krzyczał mocniej, niż tym razem.

I wychodzi Mateusz napowrót do warsztatu, do czeladnika i chłopca. Jest zły i zawstydzony, odwraca

się ode drzwi i mówi do Maryny: — Nie będę chodził do niego za każdym razem, żebyś nie myślała, wszystko mi jedno, czy chłopak zapłacze się na śmierć. Ale muszę mieć spokój w warsztacie od tego wrzasku malca i w mym własnym domu! Tak. Nie może przecie leżeć tutaj i krzyczeć na zabój.

I Mateusz wchodzi do warsztatu; czeladnik i chłopiec gotowi już do odejścia. Mateusz urąga na Marynę i dziecko: — Ech, niejedno wytrzymać przychodzi! Ale czekajcie, długo to nie potrwa. Znam ja tu w domu takiego, który już o nich nic wiedzieć nie chce. Gdyby to za wypędzanie takich nie była nakładana kara, wielka nawet kara, jedna z największych kar... Chyba wiesz co o tem? — pyta czeladnika.

Czeladnik wiele o tem nie wie, ale uważa, że kara nie jest wykluczona.

— Okropna kara, wieloletnia. I nie chcę się wcale na nią narażać.

Mateusz stoi teraz dniami całymi i pracuje nad małym łóżkiem, łóżkiem dziecięcym, dla jakiejś tam rodziny w innem mieście, mówi, a że mu miarę przesłano, więc to łatwy obstalunek. Piękne to będzie łóżeczko z kratką i nawet nieco rżniętymi gzymsami, kazali mu też pomalować łóżko na biało, nim je na miejsce odeśle. A więc stoi i pracuje. Ale djabli nadali z tem łóżkiem. Piosenka dziecięca dniami całymi nie wychodzi mu przytem z głowy, — sam dostrzega, że nuci nad robotą i wystawia się na śmiech. Człowiek z takim nosem nuci piosenkę dziecięcą i hebluje! Podejrzywa czeladnika, że uśmiecha się pod nosem.

W dniu, w którym może chłopca posłać do malarza z łóżeczkiem, widocznie bardzo jest kontent.

A jeszcze bardziej radował się chyba, gdy mu je

zwrócono śnieżnie białe i błyszczące tak, i gdy mógł je zapakować i odesłać. Ale z Mateusza znów sobie kpiny widać robią: odstalowano nagle łóżeczko, rodzina kupiła sobie łóżko gotowe. Mateusz list o tem otrzymał. A tak, nowy figiel. Ale tym razem przyjął go Mateusz dziwnie spokojnie, rzekł tylko: — Ano, trudna rada, zawsze mogę się pozbyć łóżka. Ale, jakem rzekł, niejedno się może człowiekowi przytrafić. Nie, nie trza zadawać się z temi obstalunkami z drugiego miasta! — rzekł Mateusz.

Słowem, Mateusz osiadł ze swem łóżeczkiem na koszu.

Więc malec z komory mógł je sobie pożyczyć, ów syn Maryny Salt, — niech sobie poleży w niem z tydzień czy ile, póki się nie sprzeda. Przecież łóżeczku od tego nic nie ubędzie.

XXI.

Bezsprzecznie należałoby się, aby ślub odbył się w domu panny młodej, ale konsul Olsen wyprawił wesele swej najmłodszej córki w stolicy, w sali palmowej wielkiego hotelu. Głowa jego nie pozbawiona była planów i Bóg wie nawet, czy nie myślał o jakimś zamorskim kraju jako miejscu wesela, naprzykład o Argentynie lub Australji. Przypadłoby do gustu temu człowiekowi o tak obszernym horyzoncie myśli, gdyby przy podobnej okazji wszystko odbyło się elegancko i sławetnie; duży hotel uchodził, potrzebował tylko dzwonić na pięciu lokajów. Było to wytwornie i jednocześnie praktycznie mądrze, bo żona jego chciała zaoszczędzić sobie fatygi przyjęcia.

Tak więc zaślubia malarz, syn pisarza powiatowego, swój model. W mieście rodzinnem narzeczonej szemrzą nieco, że odbywa się to w takim pośpiechu i bez uprzedzenia; było w tem nawet według opinji kobiet u studni coś zastanawiającego. Ale tak czy inaczej, młoda dama porzucała życie kupieckie i wyrzekła się Szeldrupa Johnsen. Odtąd już nie on będzie tym jedynym wybranym, lecz inny.

Adwokat Fredryksen zostaje zaproszony na gody, wszak jako członek stortingu i przewodniczący swej komisji jest już obecny w stolicy. Nie należy go po-

minąć; to osobistość wybitna, a stał się czemś oficjalnem, jakby opatrzony lwem Norwegji. *) — Witam! — rzekł Gryn-Olsen i posadził swego gościa na honorowem miejscu.

I przy tej to okazji chce sobie adwokat Fredryksen założyć podwalinę swego szczęścia i zawiera tymczasową umowę z drugą córką Gryn-Olsena, z tą starszą. Miało to pozostać w tajemnicy. Muszą poczekać jeszcze czas jakiś, Bóg wie czemu, — ale należało to do planów przyszłości, jak mówił adwokat. Przecież nie życzył sobie pozostać tylko członkiem stortingu i na tem kropka. Ale owa umowa tymczasowa miała być święcie obowiązująca.

A więc i druga córka Gryn-Olsena miała porzucić życie kupieckie i szykownych kupców. Była to duża i zdrowa dziewczyna o ślicznych ustach i nadmiernej ilości ciężkich popielatych włosów; adwokat zaś był w podeszłych latach, wcale nie jakiś gimnastyk, nawet, łagodnie powiedziawszy, niechlujny; bez greckiego nosa, lecz setny chłop, bez wielu włosów, lecz z nabrzmiewającą fałdą tłuszczu na karku — a więc tylko cień różnicy między dwojgiem. Adwokat był nie do pogardzenia.

Powrócił do rodzinnego swego miasteczka. Ależ oczywiście, że niezwłocznie stanął na czele komisji w sprawie maltretowanych marynarzy i głowę swą nosił wysoko, ba, podobna karjera! Nie można powiedzieć, żeby deptał po innych, ale zdawało się, jakby głos jego stał się jeszcze grubszy, gardło zaś bardziej grzmiące. Widać wprawił się w stortingu przy wnoszeniu swej słynnej interpelacji.

Przechadza się adwokat w godzinach popołudnio-

*) Herb narodowy norweski. (P. tł.)

wych po ulicach miasteczka, a każdy miałby chęć pogadania z przybyłym: doktor, który całem sercem cieszył się z interpelacji w stortingu przeciw dubeltowemu konsulowi, celnik, jako lewicowiec, młody pełnomocnik sołtysa, który sam był kandydatem na adwokata, później wielu innych. A członek stortingu nikomu nie odmawia mimochodem kilku słów. Z tego czy innego powodu nie było mu na rękę, że doktor akurat teraz przyczepił się do niego, ale ominąć tego niesposób; inni odchodzili sobie swoją drogą, doktor jednak nie przestawał się narzucać, — pozostał, jakim był zawsze.

Tak, wciąż ten sam człowiek w miasteczku. Doktor nie zmienia się: odwiedza chorych, wypisuje łacińskie recepty, wierzy w swą naukę i wiedzę i zarabia na chleb. Dość ma codziennej udręki. W rzadkim wypadku i jemu przypadnie mała radość, jak naprzykład wtedy, gdy Henryksen na Dokach zapłacił mu grubym banknotem za śmierć żony, ale naogół wzięwszy doktor żyje bezradosny. Przeniósł się w swym czasie od jednego kupca, od Johnsen, z którego był niezadowolony, do innego, do Dawidsena; ale okazało się, że obaj są jednacy; i Dawidsen nadesłał mu rachunek. Konsul, nieborak, bogaczem nie był i zmuszało go to do małostkowości, — wszyscy kramarze są tacy. Doktor nie kupował narazie u żadnego kupca stale.

Doktor nie wzbudzał w nikim zawiści, życie jego nie jaśniało żadnym przepychem. Oczywiście, że nie martwił się nigdy z powodu własnego charakteru, z powodu nieumiejętności zmienienia siebie samego, polepszenia się, nie martwił się, że życie jego było wykołejone, a on sam chybiony, błazen, głupiec, idjotycznie dumny przy całej wątpliwości jego charakteru. Wina

ponosili ludzie, miasto i po części przeznaczenie. Oczywiście, że tak się rzecz miała. On zaś był, jakim być powinien.

O, jakże mógł on się niekiedy martwić!

Doktór nie miał żadnego pociągu do rzeczywistego ryzyka, do niebezpiecznych sytuacji, ale od zatargów nie stronił; przeciwnie: kłuł i ciął, gdzie się dało i wzbudzał swym języczkiem przestrasz niemały. Istny giez nieustępliwy, osa z żądłkiem. Schlebowało to jego dumie, że nie każdy i nie wszyscy mieli mu odwagę odpowiadać, był to jego triumf na dzień jeden, na godzinę. Chichotał i śmiał się zadowolony. Z gruntu złym człowiekiem nie był, nawet daleko od tego, w swe przymioty sam się wkładał, szkoła i schematyczny rozwój według książek doprowadziły go do tego, czem został. Nie, nawet i złości swej nie posunął do godnej szacunku wielkości, — za późno wybił się w górę, dopiero jako starszy i rozbity na duchu człowiek. Doprowadził więc tylko do cierpkiego niezadowolenia, zawziętości, drobnej zemsty i plotek. Gdy jaki pacjent umierał, mówił ów doktor o niebezpiecznym języczku: — Ano, oswobodziła się jeszcze jedna para butów! — I to go samego tak bawiło, że słuchaczowi twarz się nieco dziwnie wydłużała.

Nie umiał też zachować się odpowiednio względem członka stortingu, lecz kłuł go ochoczo z wielu krańców. Tak naprzykład musiał doktor koniecznie przyganić, że mąż taki, jak adwokat Fredryksen, wystroił się w buty o zbyt wysokich obcasach, choć jest Fryderyksenem i członkiem stortingu; — wszak chodzenie i tak już dość wielką sprawiało mu trudność. Nowy garnitur jeszcze uchodził, ale podobne buty do podobnych nóg, jak jego!

Adwokat nie wiedział, że jego nogi mają jakąś wadę.

— To pochodzi stąd, że nie zna pan anatomji.

— Znam tę małą anatomję, jakiej mi potrzeba.

— Otóż to właśnie: dostajemy się do stortingu, więc nie potrzebujemy wiedzieć więcej, niż wiemy!

— W tym celu udajemy się niekiedy do lekarza okręgowego w swem kole wyborczem i tam dopełniamy swej wiedzy.

— Hoho, więcejby się tu przydało, niż dopełnienie, należałoby rozpocząć od początku, ojczulku!

Adwokat nie życzy sobie swarów, a z drugiej strony nie chciałby też dostarczyć pozbawionemu wszelkiego respektu chamowi tego triumfu, że doprowadził adwokata do uniesienia się i opuszczenia pola. A więc został i milczał, o, lecz całą drogę tylko zaznaczał, jak nikłym wobec niego był cały ten doktor. — No, otóż mamy i cyrulika Holtego. Dobry wieczór, Holte! — mówi adwokat i przystaje, w nadziei, że doktor sobie pójdzie. Nie, ale ten nie odchodzi. — O której to porze jest u pana najmniej osób, panie Holte? Chciałbym kazać ostrzyć sobie włosy.

— I panu chce się iść do golarza i wyczekiwać kolei? — pyta doktor. — Przecie może go pan zawołać do siebie.

— My, demokraci, nie jesteśmy tak wielkimi panami, — odpowiada adwokat.

— Powiedział pan „wielkimi“? Nie, Bóg to raczej wiedzieć.

Spotkali też Mateusza Stolarza i znów powitał go adwokat: „dobry wieczór,” pomówił słów parę i puścił.

Doktor rzekł: — Tak, tak, ten poczciwy Mateusz też dostał do domu piwnoockiego bękartą. Zbyt wielkiej

uciechy mu to nie sprawiło! — I w tejże chwili doktor, siłą asocjacji widać, pomyślał o czem innym, bo rzekł nagle: — Ta interpelacja pańska była świetna. Tak mu się właśnie należy, temu świntuchowi!

Adwokat odpowiada wymijająco: — O nie, ta interpelacja zadawała mnie najmniej ze wszystkiego, com tam uczynił.

Doktor natychmiast uszczypliwie: — A co pan tam zrobił innego?

— O, nic — mówi adwokat i nie chce zwady.

A kiedy doktor aż tak małym uczynił tego wielkiego człowieka, osiągnął to, do czego zmierzał i teraz uprzejmie mógł okazać mu swą życzliwość: — Oczywiście, że w stortingu niejedno się czyni, o czem my, niewtajemniczeni, nawet nie wiemy, naprzykład praca w komitetach, nie mówiąc już o robocie w komisjach. Dobrze to, że pan przewietrzy trochę tę kwestję stosunku marynarzy do właścicieli; zabierz się pan tylko gruntownie do rzeczy. Naco to, do licha, mają się te dusze kramarskie bogacić dla siebie? Nieuczzone, ignoranckie osobniki, które umieją tylko stać za ladą, ale zato ćmią cygara o złotych etykietach, piją stary, dobry rocznik madery, mają diamanty na żonach i córkach, ależ rzygaćby się chciało od tego! Tam, do stu djabłów, otóż i pocztmistrz! No, musi pan wybaczyć, że się oddalę. Wyszedł pewnie, żeby znów przewietrzyć swą teorię o wielu egzystencjach. Czy może pan pomyśleć sobie coś gorszego nad tego człowieka? Tylko to choćby, że życie jego świadomie i ustawicznie skierowane jest ku dobru, hehe! — Potomność! — mówi i cieszy się swemi dziećmi. Idjota z niego. — Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, iż się wyratuję ucieczką, nie życzę sam sobie aż tak źle, aby słuchać jego ga-

dania. — Dobry wieczór, pocztmistrzu! Wyszedł pan znów podsłuchiwać głosu Boga? Mówiliśmy właśnie o panu.

— Dziękuję za wszystko to dobre, co panowie mówiliście o mnie.

— A za to ewentualne złe?

— Nie przysłuchiwałby się pan temu.

— Tak? Ale i ja sobie przecie najbliższy.

— Właśnie dlatego! — rzekł pocztmistrz.

Doktór miesza się i mówi: — No, no, więc myśli pan, że sam sobie najlepszą oddaję przysługę, mówiąc dobrze o panu?

— Tak, tak myślę. To jest, mówiąc dobrze o wszystkich ludziach. Panie adwokacie, witam pana z podróży!

Doktór chciał właściwie odejść, ale w łagodnej nauce pocztmistrza coś jakby przykazało mu pozostać jeszcze chwilę a w każdym razie zapuścić i tu żądelko: — Pocztmistrzu, pan nie należy do tego świata. Wierzy pan w dobro rządzące nim i jednocześnie mówi pan: W co mamy wierzyć! Ten świat wymaga logiki i realności, a nie sentymentalności.

Pocztmistrz posiadał tę przewagę, że sprzeczki zawsze wkraczały w dziedzinę, z którą był doskonale obznajomiony, na której w każdym razie refleksje doprowadziły go do pewnego punktu widzenia. To widać czyniło go tak często usposobionym i gotowym do bronienia swych zapatrywań, ba, od czasu do czasu nawet dość ciętym. Ale zresztą pocztmistrz nie był owieczką, — umiał i on niekiedy zranić drugiego opuszczonymi żrenicami i lekkim uśmiechem. To, co mówił, nie było prawie nic takiego, same tylko grzeczne słówka, ale nie zawsze całkiem niewinne.

— Nie wiem, czego ten świat wymaga, — rzekł.
— A nie tyle to ważne, czego on żąda, lecz czego żądać powinien. Ponieważ, jak to widzimy, logika okazała się wątlą, więc może światu czego innego prócz niej potrzeba. Nie wiem. Z logiką w każdym razie daleko się nie zachodzi.

— Owszem, w nauce.

— Tak pan twierdzi!

— Jabym tego nie twierdził! Nauce niepotrzebna metafizyka i zabobon, tu chodzi o jej logikę.

Pocztmistrz potrząsa głową: — Nauka tańczy ze swym oszczepem dokoła metafizyki i dziobie a dziobie w nią, lecz bez rezultatu. — Bez wszelkiego rezultatu? — Tak. Bo ta fundamentalna moc życiowa nie daje się zranić i jest wieczną. Nie można przecież przebić morza.

— Czy uczył się pan tego w uniwersytecie ludowym? — pyta doktor.

— Nie. Nie uczęszczałem — jak pan to czynił — do żadnej wyższej szkoły.

Ta kąśliwość dała doktorowi powód do wypowiedzenia grubjaństwa: — Nie zaszkodziłoby to panu, gdyby się pan był poduczył. Może wtedy nie osiadłby był pan w tem uroczem miasteczku, jako pocztmistrz.

— Uważa pan, że to niedość wielkie stanowisko?

— A pan sam jak uważa?

— Jestem zadowolony. Niektórzy nie mogą wyzbyć się ochoty okazania się wielkimi, mimo że są nimi w istocie. W tem leży błąd niektórych.

— Mówiliśmy o nauce . . .

Pocztmistrz przerywa: — Nie, proszę mi wybaczyć! Nie jestem — podobnie jak pan — naukowcem, i nie umiem wodzić sporów w naukowych kwestjach.

— I to jest błąd pański, — rzekł doktor i ciągnął dalej: — Prawdy naukowe posiadają jedno z dwojga, lub też oboje: albo są jasne same przez się, albo też dają się udowodnić logicznie. No, a metafizyka nie jest ni to, ni drugie.

— Ależ panie doktorze, ani mówię, ani myślę, że metafizyka jest nauką. Może wprost nawet jej przeciwieństwem.

— W takim razie są to banialuki, panie pocztmistrzu, a nic innego! Gdybyśmy nie mieli nauki, co byśmy wtedy mieli? Mojżesz i prorocy — niechże ich świat posłucha!

— Metafizyka uzupełnia tam, gdzie się nauka kończy. Otóż jak się rzecz ma.

— Nauka nie kończy się nigdy. Idzie ona może poomacku, niezawsze dosięga swego celu, ale posuwa się, i posuwa coraz dalej, dąży bez przestanku naprzód.

— A tak, tak się to mówi, — odpowiada pocztmistrz. — Wyraziłem się zresztą błędnie, i ja zamierzałem powiedzieć, że metafizyka tam się rozpoczyna, dokąd nauka nie całkiem jeszcze dotarła. U tych nielicznych punktów, punkcików, drobnych szczegółów, których nauka jeszcze nie przeniknęła aż do ostatecznego krańca. Jest to tylko różnica o jeden włoszek. No, więc wyrażmy się tak.

— Aha, chce się panu żartować! Hehe, wszak wierzy pan w cały system egzystencji, jako objaśnienie zagadki bytu. Stamtąd czerpie pan swe światło na drogę życia.

— A w co mamy wierzyć! — odpowiada pocztmistrz. — Niekiedy jest to tylko nikłe światełko, blask gwiazdy nocą. To nie owo silne światło, nie słońce ja-

snego dnia, lecz są to gwiazdy śród nocy. Starczy za-
ledwie, by przy nich rozróżnić nieco przedmioty.

— Więc czy nie lepiej posługiwać się światłem na-
uki, jak daleko ono sięga?

— I to czyniłem. Ale właśnie, że niedaleko ono
sięga, więc muszę dać sobie radę bez niego. I wtedy
nauka znów pozostaje daleko wtyle, — to jest, prze-
praszam, na szerokość włosa tylko — i patrzy za mną,
dokąd ja dążę.

— Nie, proszę mi wybaczyć, nauka ma co innego
do roboty, jak patrzeć za panem! Ale, o ile trzyma się
ona wtyle, czyni całkiem słusznie, gdyż woli ona mieć
pewny grunt pod nogami.

— Grunt, który zmienia się co drugie pokolenie.

— Tak mówią głupcy, tak, ci, którzy są najmniej
z nią obeznani. Czy matematyka na przykład zmienia
swe prawdy podstawowe?

— Nie, żeby dać panu odpowiedź, lecz poprostu dla
ubawienia pana nieco, powiem: matematyka od sa-
mego początku musi coś „przypuścić.” Przy świetle
owych gwiazd szukała i znalazła mizerniutkie x , na którym
się oparła. Cześć iksowi, które przyjęto z braku czegoś
lepszego.

— Koniec końcem: Matematyka zatem też się
na nic zdaje?

— Tak pan mówi? Owszem, zda się ona pewnie
wiele dla ludzi, którzy hołdują czystej, precyzyjnej ro-
bocie myślowej, li tylko dla samej myśli. Matematyka
stoi oddzielnie i ma wartość sama w sobie. Ale dla na-
szego życia duchowego pozostaje zgoła obojętną.

Doktór podniósł obie ręce do uszu, jakgdyby je
sobie niemi chciał zatkać, bezwiedny ruch wywołany
jakby bezradnością. I czemuż to on wszczął tę bezna-

dziejną walkę na słowa, tak go nudzącą i wyczerpującą! Nie zatkał sobie jednakże uszu, lecz wahał się chwilę, czy wydać z siebie krzyk oburzenia, czy też ratować się ucieczką, wreszcie opanował się, tak, a nawet posunął swą siłę woli tak daleko, że uchylił kapelusza i rzekł: — Dziękuję, to mi wystarczy! Muszę odwiedzić chorego z moją biedną nauką! — I zniknął w bocznej uliczce.

Gdy i pocztmistrz wykonał ruch do odejścia, adwokat powstrzymał go; znajdowali się w pobliżu sklepu C. A. Johnseny, dubeltowego konsulatu, i adwokat pragnął mieć kogoś do rozmowy, gdy będą przechodzili pod oknami. O, dobrze wiedział, co robi, wybierając tę drogę, zamierzał dojść aż do willi dubeltowego konsula, i dalej jeszcze, hen na pagórki, do szczytu z widokiem. Miał po temu swe powody.

Adwokat podniósł swój głos do głosu, jakim wypowiedział w stortingu swą interpelację: — Wszystko, coś pan twierdził, pocztmistrzu, może i jest słuszne, mam ku temu wiele sympatji. Ale czy cała ta metafizyka i uduchowanie nie uczyni nas niezdolnymi do życia tu na tej ziemi? Czy nie pohamuje to naszego pochopu do czynu?

— Odpowiem nie poto, aby nauczać pana, lecz aby odpowiedzieć na pytanie: otóż myślę, owszem, że nas nieco powściągnie. Będziemy cofali się przed zdobywaniem fałszywych korzyści, będziemy wzdragali się wysysać się wzajemnie nazbyt jawnie. Chyba nie uważa pan tego za niesłuszne?

— Nie.

— Obecnie pracujemy bez opamiętania nad tem, aby zepchnąć drugiego na bok, aby samemu zająć miejsce, zmuszeni jesteśmy konkurować, jak się to ogólnie nazywa, no i więcej jeszcze, niż konkurować.

A co, gdybyśmy tak pracowali więcej nad sobą, niż dla siebie?

— Ale jeśli właśnie owa praca nad sobą czyni nas mniej chętnymi do czynu? To przecież i wtedy nie posuniemy się w życiu daleko naprzód?

— Za to podniesiemy się w górę. Pomyśl pan, gdybyśmy tak od czasu do czasu zechcieli uprzytomnić sobie, że nie będziemy żyli tu setki lat jednym ciągiem! Przychodzimy na świat, przypatrujemy się krótką chwilę wszystkiemu i znów odchodzimy. Z pewnością, panie adwokacie, posuwamy się naprzód, nawet jeśli nie traktujemy się wzajemnie.

— Jesteśmy z natury rozmaicie uposażeni, być może też, rozmaite jest nasze przeznaczenie. Działalność Napoleona należała do tego świata, on pragnął iść naprzód, nawet traktując innych.

— Ale przecie nie ta strona jego osobistości przyczyniła najwięcej szczęścia jemu samemu i światu całemu.

— Takim było widocznie jego przeznaczenie. On, jak i inni — wszyscy postępujemy według tego, jak nam sędzono.

— A tak, składamy wszystko na siłę przeznaczenia. W ten sposób mamy najlepszą wymówkę dla naszego postępowania.

No, pocztmistrz zaczynał sobie zbyt wiele pozwalać, może nawet chciał puścić strzałę pod osobistym adresem. Tego adwokat wcale sobie nie życzył, przecie nie poto chciał go tu z sobą zabrać. — Pójdę aż do pagórka, skąd roztacza się widok, — rzekł: — pan może nie chce iść aż tak daleko?

— Nie, — odparł na to pocztmistrz i zawrócił.

Adwokat Fredryksen odetchnął, wszystko szło więc według jego przewidywania, spojrzął na swój zegarek. Najlepszem ze wszystkiego było to, że się pozbył doktora. Znał przecie napięty stosunek między nim a konsulem Johnsenem, więc nie chciałby w tej chwili właśnie pokazać się w jego towarzystwie. Gwizdać na uduchowanie i metafizykę, rzeczy, które zawadzają nam tylko w życiu na ziemi! bo czyż to nie powinniśmy dążyć naprzód? Nie oznacza to akurat, aby miał zamiar podstawić komu nogę, nie, tego adwokat Fredryksen nie uczyni, ale sam też nie życzy sobie, by mu zawadzano. Przemawiał w nim jedynie zdrowy pęd do czynu. Nie — obalić kogo, pchnąć nożem? Ale gdzież tam! — Zarządzający Berntsen u Johnseną czeka zapewne na rewizję i przesłuchy; ale skądby, nic takiego nie będzie miało miejsca, — pan jego, właściciel okrętu, może żyć w spokoju.

Jeszczeby tego brakło, aby Fredryksen wykazał się bardziej przykrym wobec konsula Johnseną, niż był dotychczas! Adwokat pokazał pazury, ale on ich nie użyje, jako przewodniczący komitetu ma powody humanitarne, a jako adwokat Fredryksen — intymne, aby nie występować groźnie.

Mija dom dubeltowego konsula, dom ozdobiony rzeźbą, dom z werandą i balkonem, wielki dom, ogród z bzem perskim i jaśminem, cały ten zapach bogactwa i kultury: fontanna, urny cementowe, motylki, drąg banderowy, wszystko co potrzeba. Idzie wpoprzek ku górcie — tak właśnie, ot i Fia odbywająca swą przechadzkę wieczorną, panna Fia orzeźwia się po znoju całodziennym. Nie zapomniał jej dotąd i nie wyrzekł się jej jeszcze, spogląda na nią, jak dawniej, jak nędza patrzy na miliony. Przyznać trzeba, że ma lepsze wi-

doki teraz niż dawniej, więc może młoda dama nie zechce samej sobie stać w drodze do szczęścia i przeliczyć się grubo. Czyżby ona, no — i jej rodzina, nie nabrały szacunku dla jego działalności w stortingu?

Dojrzała go za sobą i przyspieszyła kroku.

O, dama, nie oblicza widać zgoła, nie miała żadnego doświadczenia w obliczaniu, nawet potrzeby obliczania. Bóg raczy wiedzieć, co to z niej za człowiek i charakter.

Ona coraz bardziej przyspiesza biegu, ale nic to nie pomaga, dogania ją adwokat i otrzymuje ostateczną odpowiedź tej od zorzy wieczornej zaróżowionej godziny. Jakże ona mknęła, jak usiłowała go uniknąć! Bardzo widać musiała tęsknić do zachodu słońca i piękna, aby aż tak się kwapić. Ale adwokat Fredryksen nie z tych, którzy dają za wygraną.

Uklonił się za jej plecami i rzekł zdyszany: — Wygna pani ze mnie ducha, panno Fio.

Ona, delikatna i blada, w posiadaniu tyłu doskonałości, lekko wystrojona, jak zazwyczaj, chłodna, znów hrabianka: — Bardzo mi przykro. Szłam pogrążona we własnych myślach, przechadzam się tu zazwyczaj, aby pozostać w samotności.

— A czy to dobrze chodzić tak samej? — pyta adwokat. — I o czym to pani myśli, gdy się pani już dostaje na wierzchołek wzgórza?

— O tem ot! — odpowiada i wskazuje na świat cały, na chmury, morze, nirwanę. — O, tak mi to dobrze robi! — I pojąć nie może tego człowieka, tego zwierzęcia, które nie odczuwa szlachetnego rozkoszowania się naturą. Że też są tacy, którzy tego nie umieją!

— Wróciłem właśnie ze stortingu, i radbym panią przywitać, — rzekł adwokat.

— Bardzo to uprzejmie.

— Pani też podróżowała czas jakiś?

Fia odpowiedziała: — Wróciłam niedawno i znów wyjeżdżam, o tak. Udaję się teraz do Paryża.

— Tam do diabła! — pomyślał snąc adwokat, — szeroko, szeroko zamierzamy: Notre-Dame, wieża Eifla, Rotszyld. — I obawiał się, widać, w tej chwili, że stoi może daleko niżej od niej, gdyż rzekł: — I cóż pozostaje do powiedzenia o tem naprawdę wielkiem nam, członkom stortingu i adwokatom? Że jest dla nas nie do osiągnięcia. Ale możemy przecież i my dojść do rozmaitych innych wielkości, panno Fio.

Ciemna mowa dla damy.

— Myślę, że możemy i my wznieść się do góry szczybel po szczybelu, otrzymać coraz wyższe stanowisko. To jest właśnie to dobre w demokratycznym ustroju państwa, że każdy ma możliwość osiągnięcia najwyższych godności.

Milczenie. Dama nie zdaje się ważyć jego widoków.

No, więc adwokat Fredryksen przeszedł wprost do swej sprawy, dał jej do zrozumienia, czem ona była dla niego, że stanowiła dlań kompletnie wszystko, i czy mogłaby dać mu jaką nadzieję, odrobinę więcej nadziei, niż ostatnim razem?

— Nie, — rzekła dama.

Czy dobrze słyszał? Czy i tym razem nie chce się namyśleć?

— Nie, — rzekła, potrząsając głową. — Spójrz pan na ten zachód słońca — rzekła; — powinien pan to raczej obejrzeć. Patrz pan, jakie kolory! Jaki świat uroczy z tego miejsca!

Nie ustąpił jeszcze: — O tak, widok stąd jest piękny, — rzekł, — lecz widoki?

Spojrzała na niego pytająco.

— Moje widoki? Przyszłość?

Wtedy — naprawdę — rozgniewała się dama nieco, mógłby przecież użyć trochę innych słów, gdy ona ukazywała mu kolory. Czyż w tej osobie istotnie niema ani krzty poezji i kultury? — O nie, przepraszam, o przyszłości pańskiej musi pan pomówić z kim innym, — rzekła.

Skrupilo się wszystko na Oliverze, niewinnym człowieku, który całkiem nie stał w drodze planom adwokata Fredryksena. I czemuż to on miał za wszystko odpowiadać?

Oliver przemykał się ze składu do domu, gdy go adwokat dogonił i prosto z mostu rozpoczął od interesu: — No, Oliverze, masz już teraz stałą posadę, czas więc, żebyś wykupił swój dom.

Niewiadomo, co adwokata do tego skłoniło, ale powracał on właśnie ze Wzgórza, z interesu, który przegrał, może więc chciał teraz ubić drugiego. Czyżby nie wielkie przywiązywał znaczenie do tej obowiązującej umowy z córką konsula Olsena? Lub też, czyżby wątpił o jej posagu? W każdym razie mówił krótko i węzłowato, jak ten, który zmuszony jest ratować, co jest do ratowania, o, lecz w jego słowach nie odczulbyś człowieka niepewnego lub niespokojnego.

Oliver odparł tylko, że jakże to może on dom wykupić, mając pensję w składzie, akurat tylko taką, aby z głodu nie umrzeć?

— A co mnie to właściwie obchodzi? — zapytał adwokat. — Sprzedaj dom i zapłać mi moje pieniądze, wtedy będziemy kwita z sobą.

I dokąd to się ma udać Oliver ze swą rodziną?

— Znów to samo, — wybucha adwokat. — Na jaki to obowiązek z mej strony liczysz właściwie? Pomyśl tylko: dom stoi i z roku na rok traci na wartości, nawet nie dbasz o to, by go wymalować, aż cały gnije.

— Myślałem wymalować go latoś.

— Nie, dłużej się już na to nie zgodzę. Wiesz, gdzie się znajduje mój kantor — przyjdź albo ty, albo twoja żona. — I z tem adwokat odszedł.

Naturalnie, że Oliver musi posłać swą żonę, już raz sprawę załatwiła i najlepiej się do tego nadawała. Tak się też jakoś złożyło, że Petra akurat teraz miała szczególnie dobry i wesoły wygląd, a że dostała też nową, przyzwoitą bieliznę, więc czuła się przedziwnie wesoła w całym swem jestestwie. Niktby jej tego za złe wziąć nie mógł. A do adwokata chciała się udać w tejże chwili, tego samego wieczora. Oliver wtrącił, że kantor już teraz zamknięty. To zapukam do mieszkania jego, odparła Petra. Wtedy Oliver nie mógł inaczej, jeno musiał podziwiać tę gorliwość i rzekł napominająco: — Ano, pamiętaj, objaśnisz mu dokumentnie, jak to on poczyną sobie z kaleką!

Po odejściu Petry Oliver wyjął z kieszeni laski i placuszki, które był przyniósł dla siebie i dla dziewczynki. Nie czynił różnicy między niemi, lecz podzielił pięknie, a ta z błękitnymi oczami, Modraczek, dostała niemal więcej, ponieważ była najgrzeczniejsza i w istocie, zaprawdę, najśliczniejsza. Dziwne, że się to tak skończyć miało. Ojciec długo wyczekiwał końskiego nosa w tem błękitnookiem liczku, ale został błogo zawiedziony. Z radości zapewne nad tem zajął się swą modrooką dzieciną tyleż, ile tą o „oczach rodzinnych.” Raz tylko przetrzepał Modraczka: kiedy bęcnęła do wody z jego własnego pomostu. Nie pochromął, ale po-

frunął, by ją uratować i wyłowił ją z dna kula. Gdy znów rozwarła oczy, krzyknął i uderzył ją parę razy ściśniętą dłonią w mokry kuperek. Radość jego przeistoczyła się w nagłą wściekłość. Naogół nie bił żadnego ze swych dzieci. To należało do matki. Oliver był tym, który znajdował swe najlepsze towarzystwo w malcach i nawzajem posiadał całkowicie ich serduszka.

I otóż siedzą sobie teraz we troje i gwarzą rozkosznie, przechowując między sobą malutką tajemnicę o łakociach. Tak jakby siedzieli i dzielili się i spożywali kradzione, straszą się nawzajem żartobliwie, że mama nadchodzi, babka nadchodzi, usuwają cokolwiek na bok, dla braci — studenta i kowalczyka. O, nikt nie umiał ucztować z dziećmi tak, jak ten ojciec. A potem opowiada im o swych podróżach na morzu, był wszędzie na świecie i widział ludzi, którzy pożerali pływające pakuły, i psy, które ciągnęły wózki z mlekiem. — Ty wielki świecie! — mówią dziewczynki. Phi, ale co to znaczyło w porównaniu z tem, co on jeszcze widział: małpy, pawie, wielbłądy — akurat takie, jakie były u Abrahama, Izaka i Jakóba, dzikich ludzi z kółkiem w nosie, trąbę morską, ogniem ziejące góry, raz nawet statek rozbójników morskich, kliper, trójmasztowiec o trzydziestu jednym płótnisku, razu jednego morderstwo w szynku, wśród białego dnia. O Boże, drżą z przerażenia dziewczynki: czy na ciebie nigdy nie napadli brzydscy ludzie? Niechby się ino kto odważył go napaść! odpowiada Oliver, napaść takiego człowieka, jakim on był wtedy! odpowiada. Niestety, losy mu sądziły zostać inwalidą i kaleką. Dziewczynki litują się nad nim i wszyscy troje siedzą sobie, niczem trzy kumoszki.

Aż nagle zdaje im się, że ktoś nadchodzi. Ojciec spieszy stół uprzątnąć, wrzuca w ostatniej chwili aż

dwie bułki pszenne do ust i siedzi potem, nie poruszając szczękami. O, jakże on wypchany i przeogromnie pocieszny ze swą poważną twarzą i ustami pełnymi bułek! Próżny alarm, niema nikogo, sprzysiężeni są ocaleni. Wtedy szalona uciecha ogarnia dziewczynki, zadają ojcu pytania, zmuszając go do przemówienia, lechcą go pod boki, naciskają policzki, śmieją się, chichoczą, aż się zanoszą. Ojciec musi powstać z krzesła, aby móc przeżuć i przelknąć. Troje dziatwy.

Po chwili wchodzi Franek, student, zmęczony i szary po pracy dziennej, osłabiony, niczem po jakiejś rozpuście. Spożywa swą strawę, dostaje placek i milczy, nawet i o tej porze przetrawia jeszcze swą ubożuchną pracę pamięciową, od której przybywa. Coś smętnego jest w tym chłopcu, na którym wisi darowane ubranie ze sklepu i ręce niezdatne do chwytu. On taki lingwista i taki niedojrzały.

Oliver, ojciec jego, myśli chyba, że nie zaszkodzi powiedzieć synowi jakie słówko z ojcowskim napomnieniem: — Nie ucz się znów aż tak okropnie, Franku, jeszcze zmizerniejesz od tego. A według tego, co sądzę i myślę, umiesz więcej, niż każdy inny człowiek w mieście, jeśli już o to chodzi.

Franek milczy.

— Opowiedz nam dziebelko o tem, czegoś to się dziś nauczył i wyszperał.

O, co oni z tego rozumieją! Lecz Franek bąka to i owo, aby mieli choć małe pojęcie o rzeczy, wymienia formy odczasownikowe, przybranki, wymiany funkcjonalne, potem opuszcza się daleko, daleko niżej i objaśnia przypadki, objaśnia rodzaje. Mowa dzikiego, ale on ma ją w głowie, płynie mu ona z ust, dźwięki, mozolnie przyswojona gmatwanina, która go zajmuje dniem

i nocą, szczebiot ptasi, potężny chaos. On sam uważa to za coś cennego i subtelnego, a gdy która z dziewczynek powtórzy słowo mylnie, on ją poprawia i pełen własnej wielkości jest ten mały człowieczek; wśród całej swej uczonej niewiedzy nabył niewzruszonej pewności sztubaka. Nikt go nie uczył zastanawiania się, pod naciskiem swojego obowiązku dążył tylko naprzód, ani mowy być nie mogło o tem, żeby marnotrawił swój czas i swe siły, zredukował życie do umiejętności językowej, lecz nie czuje się oszukany. Tak więc kroczy i kroczy po swem pustkowiu, jałowa, bezmyślna wędrownica, nie w celu przybycia do jakiegoś celu, lecz jedynie i wyłącznie, aby zostać jednym z tych, którzy kroczą pustkowiem. To jest jego zajęcie na przeciąg całego żywota.

Nudzi swych słuchaczy i ojciec ziewa, nie posuwa się jednak aż tak daleko jak dziewczynki, które podnoszą się zza stołu. Franek dostrzega ich nieuwagę; boli go to nieco, więc się odgryza: — Pięknie mógłbym tu siedzieć i was czego nauczyć!

Dziewczynki opadają pośpiesznie na krzeselka, a ojciec ich broni: — I tak się tego nie uczą, za głębokie to dla nich. Ale i one i ja, wszyscy uważamy, że to coś najdziwniejszego ze wszystkiego, cośmy dotąd słyszeli. A przecieżem słyszał, jak murzyni gadali na szerokim świecie.

Ale Franek stracił humor, znużony jest i wiele sił nie ma, zaczyna zbierać się do odejścia, prosto chce odejść od nich.

— Chcesz wyjść? — pyta ojciec.

— Tak.

— No, tak, tak, dziękujemy ci za to, cośmy dziś usłyszeli. Ale że słowa niemieckie mają mieć rodzaje —

bo slyszalem Niemców więcej może, niż kto inny — ale kiedy ty tak powiadasz . . .

— Takeś się skrzywił u krawatki, — przestrzega Modraczek.

A że Franek zawzięty ni to pies na każdą niedokładność, poprawia jej wyrażenie, rozbiera je na częsteczki i dowodzi jakie jest marne. O, lecz beznadziejnie to się z nimi mozolić, nie uczyły się przecie one języków od ósmego roku życia. Więc Franek wychodzi i zapomina o krawacie.

Znowu pozostają sami ci troje. I ich humor się zepsuł, już ich się nie ima wesołość, a Brunetka jest zła na Franka. Ojciec go tłumaczy. — Tak, ale księdzem i tak nie zostanie, więc na co to mu się uczyć tego wszystkiego? — Zamilkłabyś. Dyrektor szkoły też nie jest księdzem, a przecie z niego człowiek uczony. Co też ty wygadujesz!

Niebawem i Abel powraca do domu, a że spożył wieszczę u kowala, więc dostaje teraz tylko dwa małe karmelki. Ale z Abła na swój sposób dziwak, gdy zjadł swe łakocie, wyjmuje z kieszeni nowe przysmaczki, które sam przyniósł dla innych. Widzicie, Abel przecie codzien otrzymuje swe posilne jadlo w domu kowala, a w domu strawę różnie gotują, siostrzyczki nie co wieczór kładą się syte do łóżka, może nawet i ojciec nie zawsze syty. Abel stawiając dwie małe torebki na stół, woła natychmiast, żeby nie ruszano słodyczy — bo kupił je dla siebie, mówi, niech się nikt nie waży tknąć co z tego, bo on sam chce się tem rozkoszować w łóżku. Poczem siostry i ojciec rzucają się na tutki i pochłaniają słodkości. — Drapieżniki! — pieni się Abel. — Czy masz co więcej? — pyta Brunetka. — Ja ci tu dam więcej. — Hahaha. — Ale nagle ojciec szepce:

— A co dla Franka? — Okazuje się, że Abel ma oddzielnie w kieszeni dwa ciastka drożdżowe dla Franka.

Zajadają i dobrze im. O matce i babce nie myślą nawet, one obie piją najczęściej kawę poza domem i też na swój sposób się bawią, biesiadują często na własną rękę. Sam Oliver, ojciec, wprowadził te potajemne uczyty. Początkowo powstały one zapewne z jego potrzeby czynienia swym dzieciom jakiej przyjemności, ale wyrodziło się to z biegiem czasu, gdy Oliver coraz mniej i mniej odczuwał potrzebę postępowania otwarcie; najlaciej mu było, spotkawszy dzieci w przejściu, wetknąć im jaki kęs do buzi, aby przelknęły na miejscu. O, wszyscy zachowali w pamięci te błogosławione szachrajstwa tego tatula, który im cichaczem radość sprawiał. A pamiętasz wtedy? a pamiętasz, jak to wtedy? szepcą do siebie. I wogóle, ktoby się mógł równać z tatulem.

Tak sobie siedzą.

— Spójrzycie na jego ręce i na jego stawy! — mówi ojciec. — Akurat takież same, jakie ja miałem, gdyim jeszcze posiadał swą obrotność.

— Pokaż mi Ablu, — mówi Brunetka i skubie jego owłosioną rękę. Abel krzyczy i skarży się ojcu: — Nie mógłbyś to, jako starszy, z nią pogadać.

Wieczór upływa, w izbie panuje życie rodzinne. Świat na dworze ich się nie tyczy. Nie łakną oni czego lepszego, bo i czegooby? Modraczek, doprawdy, aż kolorków nabrał od spożycia ciastka drożdżowego. W izbie siedzi ojciec okrążony swemi dziećmi. Ma on łagodny wygląd tłuszciocha, a jeśli się weń nie zagłębić, wydaje się niewiniątkiem. Jakież to on ma dzieci! Dziewczynki są rozgarnięte, wcale nie za mało rozgarnięte, a szczuwane, jak sam djabeł, chytre, pojmują nie-

jedno. Franek jest już uczony, a Abel skończony człowiek. Lepiej nijak być nie może; jeśli dodać do tego słodycze — to życie jest istnym rajem.

Ablowi pora udać się do starej izby, do babki, tam ma swój ką. Legowiskiem jego jest ława, która służy mu nocą za łóżko. Łóżko wspaniałe. Abel jest zmęczony i śpi jak susel. Otóż i idzie na spoczynek. Bo wczesnym rankiem musi znów stanąć przy kuźni.

Po chwili i dziewczynki układają się do snu, a Franek powraca do swej komórki. Oliver siedzi sam przy stole. Wydaje mu się, że Petra długo gdzieś przepada. Bóg wie, co jej znów do głowy skoczyło! Oliver ziewa, wyjmując swe lusterko kieszonkowe i przegląda się. Gdy Petra przyjdzie, zamierza zapytać ją, co robiła w ciągu tak długiego czasu, nie przepuści jej tego pytania.

A gdy Petra wreszcie nadchodzi, przynosi z sobą nowinę, zapobiega wszelkim przyganom, pierwsza chwytając za słowo: — Przyplłynął obcy statek!

Były majtek z miejsca połyka haczyk i pyta: — Gdzie?

— Zawinął do przystani.

Oliver zapomina o wszystkim z powodu tej nowiny, wychodzi, utykając, aby zobaczyć co zaszło. Pozostaje dobrą chwilę, a gdy znów powraca, może chępliwie pokazać się swą wiadomością: — Według bandery sądząc — to Anglik.

— Anglik! — wykrzykuje Petra.

— Ma takie same otwory do wylądowania, jak statki zbożowe, więc widać to do Gryn-Olsena.

Żeby mu się przypodobać, Petra udaje nadal przesadne zainteresowanie i woła: — Do Gryn-Olsena! Że też ty się zaraz na tem poznasz!

— A tak — mówi Oliver — nie po próżnicy bywałem na szerokim świecie.

Wtedy Petra korzysta z chwili i wtrąca: — Bawiłam może zbyt długo u adwokata, ale przecie musiała pogadać.

— A tak — mówi Oliver i pyta: — A co powiedział?

— Zrządził bardzo.

— Ten zdierca. Powinienbym ja tylko mieć swą dawną obrotność. No, i jakżeście się ugodzili?

— Ano, ustąpił trochę. Chce poczekać dziecko. Ale nie odrazu mi się udało namówić go do tego — odzywa się Petra.

— Nie.

— Mam przyjść raz jeszcze na przyszły tydzień — mówi Petra.

No, to już w każdym razie znaczyło odroczenie, więc Oliver mówi: — Żebyś mi tę rzecz do porządku doprowadziła. Żebyś się wszystkiemu sprzeciwiła, cokolwiekby ci ten lajdak proponował.

I znów izbę opuszcza. To ten Anglik zaprzęta mu głowę, jego serce marynarskie wyrwa się ku obcemu statkowi na wybrzeżu, chce go zbliżyć obejrzeć, powąchać jego zapach, statek z morza i z zagranicy, mowa angielska, półnaczy palacze, kapitan hen wysoko pod obłokami, na mostku komendanta. Napotyka na wybrzeżu wielu ciekawych mieszczuchów, spotyka Jörgena Rybaka i nieuniknionego Olaus na Błoniach z fajką w ustach.

— Dobrze, żeś przyszedł — rzekł do Olivera, — pomożesz mi dostać tytoniu do fajki — mówi Olaus. — Nie rozumieją, gdy co do nich gadam.

Oliver nic przeciwko temu nie ma, by uchodzić za tego, który zna język angielski, a gdy ze statku przerzucają kładkę, wstępuje na nią i idzie na pokład. Ale Olaus jest niezmiennie tym co zawsze, starym Olausem, na-

trząsa się z tytoniu, który dostaje, nie więcej to niż na pokrycie jednego oka, mówi, a przytem znał już lepszy, tfu. — Niema tam kogo, któryby dał dobrego, mocnego tytoniu? gdzież to sternik?

Wtedy to majtek angielski, zda się, zrozumiał norweskie słowa, albo też czytał może w niezadowolonym obliczu Olaus, ale krótko i węzłowato schował swą paczkę tytoniu i odszedł.

Oliver patrzy za nim i jakieś dalekie wspomnienie przewija się w jego mózgu. Czyżby już spotkał kiedy tego obcego marynarza, czy też tylko przypomina mu on kogo? Może zetknął się z nim gdzie w mieście portowem, na ulicy, w kantorze służby — ale gdzie? Świat jest wielki, a Oliver objechał go dokoła.

Oliver spotyka innego z załogi okrętowej; przepytuje swym niemal zapomnianym językiem angielskim, dowiaduje się, skąd statek przybywa, i do kogo tu w mieście przyjechał. Wszystko jest zajmujące i przenosi go z powrotem do poprzedniego życia na morzu. Dowiaduje się, ile też statek ma pojemności, ile załogi, w jakim wieku jest kapitan, ile czasu zużyli, by tu przybyć z Morza Północnego? W zamian Oliver opowiada, czem sam jest: starym marynarzem, rozpoczął, gdy nie większym był nad pięć, a objechał już wszystkie strony świata, gdy spadło nań nieszczęście, beczka tranu przygniotła go i zdruzgotała. No, od tego czasu minęło sporo dni, a przed kilkunastu laty wyratował, tyle prawie że w pojedynkę, wielki statek-rozbitek. Jak na kalekę niemiała to zasługa, więc i w gazecie o nim pisano; a teraz od lat wielu zarządzał w składach konsula Johnsen, ot tam. Żonaty jest i ma czworo dzieci ze swą żoną, jeden z chłopców już student.

Olausowi na Błoniach znudziło się słuchać tego

paplania w nierozumiałym dla niego języku i schodzi na ląd. Anglik jest cierpliwszy, okazuje się zresztą, że to sternik, drugi sternik, nie żaden pyszny i dumny pan, lecz, przeciwnie, setny chłop, wykazuje nawet nieco zainteresowania się małą zabawną miejsciną, gdzie ma pozostać trochę i wyładować towary. Na Oliverze czyni jak najlepsze wrażenie.

Gdy powraca na ląd, przepelniony jest wiadomościami i może skupić dokoła siebie znajomych i złożyć im raport. Jörgen Rybak wiernym jest słuchaczem, stary i pokręcony, stoi, gdzie stanął, mówi mało, zawisa na ustach mówiącego i nie odchodzi sobie, nie kłusak z niego, o nie. Jest coś potulnego w tym starym spracowanym rybaku, żona go, widać, nagięła w ciągu tych pięćdziesięciu lat. O, lecz zbyt krzepki on, aby się dać przepłoszyć. Patrzajcie, Lidja choć gwałtowna i dzielna baba, aż po dziś dzień najprzedniejsza praczka w mieście, po dziś dzień piła, nie nauczyła męża się kwapić, pozostał ociężałym i poczciwym, był posłusznym. Bóg raczy wiedzieć, może zbyt wiele otaczało go córek w domu, zbyt wiele ich zajmowało krzesła w izbie. Syn Edward żeglował.

Choć obcy statek był zwykłym towarowym, przechwalał się nim Oliver, jakby swoim własnym: obszedł go dokoła i obejrzał skrupulatnie, salon był wyłożony mahoniem ze złoceniami...

— Nie byłeś przecie w salonie — przerywa Olaus.

— Jakto, nie byłem w salonie?

Olaus pokrzykuje: — Ty nam chcesz wmówić, żeś był w salonie? Kapitan przecie wyszedł na ląd.

Oliver poddaje się: — Alem przechodził mimo salonu i widziałem wszystko. Nie rozumiem, czemu ty nigdy nie możesz stulić gęby. — Odwraca się do

innych i ciągnie dalej: — Kapitan musi być bogatym człowiekiem.

— Sam to powiedział? — pyta Olaus.

Wtedy Oliver milknie, zarządzający składem towarowym milknie i uważa się za zbyt dobrego, aby się użerać z osobą, która aż tak daleko niżej stoi od niego. Kaleka ma swą dumę.

Ale Olaus też ma swoją. I on tam stoi, gdzie stanął. Widział go kto kiedy, żeby się cofał? Skoro już Oliver i inni opuścili wybrzeże, Olaus pozostaje wciąż jeszcze, a nie z innej na świecie przyczyny, jeno dlatego, aby nie być tym, który odchodził. Szaleniec, o nieugiętym karku człowiek, bez złości, lecz z żałośnie wyparzoną gębą. Pijus z niego był życie całe, ale nie uginał się nigdy i nie żebrał o nic innego prócz tytoniu. Wobec dostojników okazywał niegrzeczność i nie kłaniał im się nigdy. Potężne jego zdrowie pozwalało mu spać byle gdzie, na dworze lub w izbie.

Nie kapitan z niego i nie doktor, nie konsul i żaden z powszednich ludzi miasteczka, lecz hałaburda z cybuchem, szczątki okrętu, w którym pozostało jeszcze drogocenne żelazo, jest jeszcze coś z męczyzny w tym nieboraku.

I on mógłby utyskiwać na to i owo, i on był kaleką, przydławiony nieszczęściem, pokiereszowany na twarzy, człowiek o jednej ręce, ale, Bogu dzięki, z pozostałą mu drugą ręką, on się nie uciekał do łez, on tylko dęba stawał, hoho, rozcieńczał tylko swe fransunki w wódce i znosił je. Dziwak i on na swój sposób. Aniby mu do głowy nie wpadło kraść otwarcie, możnaby śmiało zawierzyć mu towar na Przystani, ale za robotę swą wymagał ogromnej zapłaty i gdzie mógł, skórę zdierał. Zuchwałość jego była w gruncie rzeczy pocz-

ciwa i rzeczowa, nie wymykał się cichaczem i nie ukrywał, lecz występował naprzód śmiało, takim jaki był, rubaszny i nieodpowiedzialny, pełen bez troski. Wszystko razem wzięwszy, człowiek o dobrych i złych przymiotach, razem splecionych. Czy widział kto, aby się Olaus wybierał do sąsiednich miasteczek wyłącznie w celu bójki? Ani mowy o tem, Olaus urządzał te wycieczki, żeby się po desperacku upić i pokrzepić trochę. Brakująca ręka nie przeszkadzała mu wiele, chwycić nią nie mógł, ale za to podnosić i dźwigać. Jednoręki ma to szczęście, że nie jest bez rąk. To szczęście ma on w każdym razie. Olaus nie rozpaczał, pozostała mu przecie jedna ręka. Z pewnością patrzył poniekąd z góry na spalego Olivera, który chromał po wybrzeżu i nawet nie miał nóg, nieborak.

Obaj kalecy wzajemnie sobą pogardzali i ani wątpliwości być nie mogło, że Olaus czuł się tym wyższym. Oliver wiedział o tem i nie posiadał się z zazdrości, wyrażającej się w natrętnem współczuciu, okazywanem jawnie swemu towarzyszowi niedoli, litował się nad nim, ponieważ nieszczęście uczyniło go pijanicą, który znieważał i bił swą żonę. — Ja jej nie biję — wołał Olaus — tylko wtedy, kiedy poczęła zadawać się z innymi. Ty uważaj tylko na swą własną żonę. — Wtedy Oliver stał się tak współczujący, że to aż poprostu okropnie i rzekł: — A choć to smutno patrzeć na tve oblicze, Olausie, ale gorzej może jeszcze jest z twemi rękami. Ani sobie pomóc w czem możesz, ani igły nawlec poradzisz. Uważam, że ci się bardzo wielka krzywda stała.

O nie, nawlec igły Olaus nie mógł, właśnie to było jedną z rzeczy, którychby wykonać nie mógł. Ale też nie był gładki i bez zarostu na twarzy, niby niewiasta,

przeciwnie — kościste i surowe miał lica, o ciemnej cerze i obrośnięte ciemnym zarostem, proch, który go osmalił w policzki, pozostał na nich i nie chciał zblaknąć. Olivera zaś oblicze było gładkie i okrągłe, niby zadek dziecięcy, o policzkach zwisających, ustach wiecznie wilgotnych. Mało było pociągającego w Olausie, w Oliverze natomiast — coś odrażającego. O, lecz on, a nie tamten był właśnie przemożniejszym, miał bardziej cwany łeb na karku, lepszy spryt. A bo to i w tej chwili nawet nie dąży w zmierzchający się wieczór i nie wpada mu świetna myśl do głowy! Wszak to teraz natrafia się okazja sprzedania puchu ptasiego, wywiezienia go w wielkiej tajemnicy z miasta i z kraju.

Widzicie, puch ten dotąd trzymał na strychu, był to martwy kapitał, i nikomu od tego krzywdy nie będzie, gdy go uruchomi, przeciwnie, korzyść z tego nawet dla całej rodziny, rodziny Olivera, której zagrażało wyrzucenie. Jako przestępstwo rzecz cała sprowadzała się niemal do niczego, rozdzielało się to na setki drobnych kradzieży po pęczku puchu w ciągu połowy niemal żywota ludzkiego. — A czy dostojnicy miejscy mogli wykazać czyściejsze rachunki w ciągu tego czasu? I krótko powiedziawszy: że smyknął raz i drugi, to prawda, a że sprzedawał kradziony puch i chronił go od moli i kurzu, to chyba nie zwiększało jego przewinienia. Bo nie mógł to puch ponieść szkody, leżąc tak długo na strychu!

Inni ludzie i na włos jeden lepsi od niego nie byli, albo im szczęście nie służyło w wykonaniu jakiego figła, albo też nie byli zmuszeni do tego. I oni nieraz wielką ku temu chęć mieli, bardzo ich to męczyło, że musieli się wyrzekać, ale chodzili jakby w kajdanach, niby więźniowie własnej uczciwości i złościли się, że nie wolno

im się rozpuścić. Tak się rzecz miała. Więc czego żądać od takiego człowieka, jak on, jak Oliver, kaleki, nieboraka z liczną rodziną? Czyż i on nie byłby porządny i rzetelny w swem zachowaniu się, gdyby go na to stało? Ale kiedy to on miał środki na to? Całe życie przebył, jak tabaka w rogu, zarządzający składem z pokusami w każdym kącie, zimą w mrozie, od którego ręce jego okrywały się bąblami, latem w zaduchu wątrób i tranu, który mu dech w piersi zapierał, zaduch, który go jakby wtył odrzucał, gdy rankiem wrzeciądze składu otwierał. I co za dziw, że jego dusza nie pozostała niewinna i aksamitno-miękka. Wiele z tego, co czynił, powlekał cień, ciemnia i on zdawały się jakby mieć z sobą pewne porozumienie — owszem, to tylko było dziwnem, że nie zamordował on dubeltowego konsula i nie okradł jego składu.

Ale on miał rozum lepszy ponad to, on nie czynił głupstw, które w oczy były. Jego sposób mierzenia i ważenia towarów był nieprzejrzany i zmieniał się nieco w zależności od klientów, wycieczki jego łodzią były tajemnicze wprost, powracał późną nocą i przywoził z sobą to i owo, a między innymi i ten puch ptasi schowany w pachwinie. W ciągu całego szeregu lat nazbierała się wspaniała paczka puchu, mieściła się w worku, ale gdyby go był puścił na wolność, wypełniłby komorę. Statek angielski mógłby okazać się dobrym rynkiem zbytu dla niego.

Oliver się nie kwapi, mądrość jego nakazuje mu przeczność. Wypytuje swego uczonego syna Franka, zgoła tylko dla żartu i aby zbadać, czy wie, jak się edredon nazywa po angielsku. O tak, Franek przerzuca parę kartek w słowniku i znajduje, — dla niego to chwilka jedna! A wieczorem, gdy Oliver wolny już

jest od zajęcia w składzie, udaje się na wybrzeże, pokazuje się tam, gada z Anglikami, próbuje małych potyczek. Wyłazi z niego, że posiada nieco puchu edredonowego, — *eider down* — czyby tego nie potrzebowali? O, owszem, sternik, drugi sternik — myślą, że tak. Aha, więc posiada *eider down*, a ile? — O, tylko troszkę, na jedno łóżko lub koło tego. — A więc, — mówi obok stojący majtek, — nawet nie na jedno łóżko? — O, bardzo to możliwe, Oliver skupował kłaczkami małemi w ciągu wielu lat, będzie z pewnością miał na dwa łóżka, albo coś koło tego...

Omawiają sprawę. Oliver nie ma właściwie prawa handlować puchem, przecież sklepu nie posiada, ale wieczorem mógłby przynieść próbkę. Taka zapada umowa.

Próbka jest świetna, nieporównana, jakby nadziemski, płatek jeden wymyka się i buja aż do obłoków; leżeć na takim puchu, to nie co innego, jak unosić się w górę, kołysać w przestworzach. Zapada nowa umowa co do ceny i czasu dostawy, panowie się nie kramarzą. Obliczają w funtach, ale Oliver funtów przyjąć nie może, są to zbyt podejrzane pieniądze w jego rękach. All right! tamci naradzają się z sobą, dostanie więc pieniądze norweskie, jeśli nie zaraz, to w ostatniej chwili, może być spokojny! Oliver ma w sobie jeszcze owo szerokie serce marynarskie, podobają mu się zresztą panowie i wierzy im. Przyjdzie nieco później z puchem, to się do reszty obliczą. Nie bójcie się o zapłatę, gentelmenie!

Prowadzą go na tylny szaniec i zakamarki statku, żeby go mieć dla siebie samego, wtykają mu co nieco jadalnego do ręki i zachowują się względem niego niczem bracia; to co innego, niż załoga na *Fii*, która ledwie spojrzała w stronę kaleki. O, niema,

jak Anglicy, Olivera przecie obejmują, z Oliverem gawędzą i wypytyują go, a gdy się na jakim słowie zaciął, mógł sobie wstawić słowo norweskie, — tak znów dokładnie na to nie zważali, jak oni potrafią *make it out!* Widzieli rychło wszystkich ludzi w miasteczku, ale pocztmistrza nie widzieli, — czy ten człowiek poprostu dzień i noc wysiaduje w kantorze i ślęczy nad pocztą pieniężną? Sternik i marynarz interesują się nawet takimi pobocznymi sprawami jak to, że pocztmistrz ma prywatne mieszkanie na pierwszym piętrze w gmachu poczty. Gadają też o osobistych stosunkach Olivera: — Aha, więc ma syna studenta? To nie bagatela. Oliver ma przystojną kobietę, wiedzą o tem, bardzo ponętnie zbudowana, widzieli ją na wybrzeżu; i czemu to jej z sobą nie zabiera? Nie zjedliby jej...

Częstują go trunkami, ale Oliver w nich nie gustuje, natomiast zauważyli, że rad jedzeniu i z kajuty cichaczem wynoszą tę czy inną łakotkę dla niego, którą spożywa na uboczu. Co za gentlemen!

Wreszcie statek wyładował, a Oliver przynosi ostatnie resztki puchu. Tego wieczora spotyka tylko marynarzy. Burza zawodzi i deszcz pada, kapitan i sternik są z wizytą pożegnalną u konsula Olsena, drugi sternik cierpiał na ból zębów i prosił, aby mu wybaczone, woli on mimo niepogody chodzeniem po drogach okolicznych rozgrzać się aż do potu; załoga jest na lądzie.

Wszystko jest w porządku, dziś wieczorem otrzyma Oliver swe pieniądze, norweskie pieniądze, po nie to właściwie udał się teraz drugi sternik.

A że są sami na statku, nie potrzebują trzymać się kątów i kryjówek, marynarz zaprasza swego gościa na befsztyk i smażone kartofle w izbie czeladnej.

Pamiętny to poczęstunek. Oliver wewnętrznie roz-
słoneczniony i omroczony z sytości i rozkoszy. Oczy
jego padają na skrzynię, i znów jakby wspomnienie
jakieś w nim powstaje. Spogląda na majtka i omal nie
krzyknął: — Adolf!

— Jak się nazywasz?

— Ksander, — odpowiada majtek.

Milczenie.

— Dziwne to — mówi Oliver — jak ta skrzynia
podobna do mojej.

Marynarz odpowiada obojętnie: — Tak? To nie
moja. Należy do jednego z innych chłopców.

— Nie twoja ona?

— Nie. Jeśliś już pojadł, to wyniosę znów talerze.
Chodź, pójdziemy na górę.

— Akuratnie, jak moja własna skrzynia. Ten
sam rodzaj ucha, zielona, rznęliśmy na niej tytoń, a i na
niej tu są znaki.

— Tak?

— Jak to ci było na imię?

— Ksander. Chodźmy na górę. Chłopcy zaczną
się rychło schodzić.

Idą na górę. Wiatr dmie i deszcz pada, zmierzcha
się szybko i wszędzie dokoła niesamowito jakoś. Stoją
przy balustradzie, mówią o powietrzu i głowami trzęsą.
Wszystko już gotowe. Rotman poszedł do hotelu i
czeka, ale chyba noc jeszcze tu spędzą.

Hen na wybrzeżu, popod skrzyniami, coś się po-
rusza, brezent unosi się w górę i jakiś łeb się uka-
zuje i nadśluhuje, — to Olaus na Błoniach, który
ułożył się na nocny spoczynek.

Oliver jest może jeszcze podchmielony po tem
silnem jadle, bo pyta nagle: — A skąd ją dostałeś?

Marynarz nie pojmuje.

— Skrzynię. Jam ją sprzedał chłopcu, który się nazywał Adolf.

— Skrzynia nie moja, słyszałeś przecie!

— Nie, przepraszam, nie twoja ona, ale...

Marynarz mówi: — Jeśli chcesz iść teraz do domu, to pamiętaj, przyjdź tu jutro raniutko. W nocy nie odjedziemy.

Jest już około jedenastej.

XXIII.

Oliver wraca do domu nieco odurzony. Czyżby już więcej i tyle znieść nie mógł, czyżby dobre jadło i stara skrzynia okrętowa mogły sprowadzić nieład w jego myślach? A przecie o ile to przebieglejszą głowę i lepszy spryt posiadał Oliver od człowieka pod brezentem!

Spotyka kilku z załogi anglika, którzy dążą znów na statek, wracając z restauracji i są niczego wato weseli chłopcy. Oliver poznaje obyczaje z dawnych czasów.

Przed domem Gryn-Olsena widzi ludzi z otwartymi parasolami i latarkami, to panowie powracający z wizyty wieczornej, żegnają się z sobą i udają do domu. Dubeltowego konsula wśród nich niema, konsula Heibergera też nie, i on potrosze udawał wielkiego pana i nie zadawał się z Gryn-Olsenami. Oliver widzi adwokata Fredryksena i słyszy też jego głos grzmiący, zna również obu panów angielskich, kapitana i sternika, zna konsula Davidsena, pocztmistrza, inżyniera, celnika. Całe towarzystwo. Wpada mu na myśl, że mógłby zapewnić sobie nieco swe pieniądze za puch, przewidziawszy się dokładnie o odejściu statku, — dlatego też zamysła iść w ślad obu marynarzy. Spryt powrócił Oliverowi.

— Dobranoc, dobranoc!

Pocztmistrz nie ma parasola do pożyczenia, ale pyta zgromadzonych:

— Czy nie chce który z panów pożyczyć mej latarki? Mam tak blisko do domu, może pan, panie kapitanie?

— Ach, dziękuję panu! Niech pana Bóg błogosławi!

Pocztmistrz dzieli parasol z panem Davidsenem, który zdąża w tę samą stronę, trzyma zaś swą latarkę w ten sposób, iż światło najmniej pada na niego. Obaj wiele z sobą nie mówią z powodu silnego wiatru a i to tylko ogólnikowo. Davidsen, który jest tylko drobnym kupcem i konsulem, zauważył coś jednak dziś wieczorem, a gdy stają przed jego domem, pyta tajemniczo: — Czy widział pan, jak bardzo był dziś adwokat zajęty towarzystwem?

— Zajęty?

— Damą, córką, jakże to jej na imię? starszą córką Olsenów.

Nie, pocztmistrz tego nie zauważył.

— Może to i ma swe znaczenie — mówi Davidsen.

— Może i tak. Ładne ma dzieci konsul Olsen, ładne dziewczęta, zarówno ta, która wyszła za malarza, jak i ta, która mu pozostała, mile panny. Stoję właśnie i myślę o słowach pańskich, nie, coby też to znaczyć mogło? Ona taka młoda i piękna, adwokat pewnie dwa razy starszy.

— Już takie dziwy dawniej widziano.

— O tak. Wszyscy my pracujemy i spieszymy się, ženimy się i walczymy i mozolimy się i przygotowujemy się do tego, aby umrzeć jak najpóźniej! Przepraszam, chciał pan coś powiedzieć?

Drobny kupiec i konsul Davidsen może i nie chciał nic powiedzieć, ale uczynił zapewne ruch jakowyś, bezwiedny odruch, z pewnością bał się, aby pocztmistrz nie rozpoczął znów swych nudnych wykładów, dlatego też odpowiedział: — Chciałem tylko powiedzieć, że może pan zabrać swój parasol do domu.

Pocztmistrz odmawia: O nie, pozostało mu tylko kilka kroków, w domu ma parasol. I co też to on chciał powiedzieć: — W przeciwieństwie do zajęcia w lesie, i mewy nad wodą...

— Adwokat myśli pewnie tylko o posagu, — mówi Davidsen pośpiesznie.

Pocztmistrz ciągnie dalej: — O, w jakim my, ludzie, wiecznym żyjemy niepokoju, dniem i nocą! Nie spoczywamy nigdy. Nie chodzi nam o zdobycie dostatecznej ilości, chodzi o zdobycie więcej, niż dosyć. Dusza nasza wznosi się i opada, pełza na czworakach, próbuje innych wschodów i znów się stacza. I pewnego dnia umieramy. Kapitan angielski chce podnieść kotwicę dziś w nocy, pogoda temu nie sprzyja, ale on chce podnieść kotwicę. Musi udać się do miasteczka odległego stąd o dwanaście mil i lądować, chce być gotowym jutro rano o siódmej do przyjęcia ładunku drzewa na statek. Więc udaje się przez morze Północne i próbuje innej drogi. Odpływając dziś w nocy, wygrywa dzień jeden. A czy wygra dzień w życiu? Nie, nie, zziąja się, ale wygra dzień zarobku. Zwierzęta i ptaki śpią sobie w nocy.

— Nie chce pan mego parasola?

— Nie, dziękuję, już prawie wcale nie pada. No, nie będę pana dłużej zatrzymywał. Kapitan angielski mówił o Bogu...

— A tak, slyszalem, że nabożny z niego człowiek. No, ale na spoczynek czas, pocztmistrzu.

— Nabożny, tak. Może i nie wszystko zrozumiałem, bo Anglik ma tu na świecie swą własną religję i usprawiedliwia ją całkiem na sposób angielski. Podbija sobie naród za narodem, odbiera im samodzielność, kastruje ich i czyni ich grubymi i cichymi. I otóż pewnego dnia Anglik mówi: Bądźmy więc sprawiedliwi, jak nakazuje Pismo! I daje kastratom coś takiego, co sam nazywa samorządem.

— Zupełnie słuszne co pan mówi. Dobranoc, pocztmistrzu!

— Dobranoc! No, panu chce się na spoczynek? Gdyż chciałem też poruszyć inną jeszcze kwestję. Ciekawym, czy Anglicy posiadają swego własnego Boga, angielskiego Boga, podobnie jak mają swój własny rząd? Czy w przeciwnym razie mógłby pan wytłumaczyć sobie, czemu to oni prowadzą bezustannie wojny zaborcze po całej kuli ziemskiej, a potem, zwyciężwszy, uważają, iż dokonali wielkiego, wzniosłego czynu? Wzywają każdego człowieka do pojmovania tego w ten sposób, dziękują swemu angielskiemu Bogu za pomyślnie uwieńczony występki i stają się z tego powodu nabożnymi. I otóż spotykamy w Anglikach dziwne rysy charakteru, przypuszczają oni, że i inni ludzie muszą się cieszyć z tego, co oni uczynili, *teraz*, mówią, muszą się już chyba ludzie poprawić, pozwólcie tylko zapanować sprawiedliwości, stańcie się religijnymi! Innym narodom wydaje się może to dziwnem, że nie Anglicy właśnie spuszczają wdół oczy, z pewnością mają oni swego własnego Boga, któremu całkowicie zadośćuczynili i który dał im rozgrzeszenie. Pisują w gazetach, że obecnie nadeszła już pora, aby

się ludzie zmienili, przyjmują to jako swój program: chodźcie, stańmy się nabożnymi, mówią, cóż innego pozostaje nam do roboty? O, gdyż zmiana zajęć powinna w ludzkości, wszystko powinno różnić się od życia poprzedniego: na ścianach powinny być inne obrazy, na półkach inne książki, inni kaznodzieje w kościołach, otrzymamy inny ustrój społeczny, inne mieszkania, inną naukę, inną miłość, inną bogobojność — słowem z innego mamy być ciasta. Czemu? Czy dlatego, że i Anglicy się zmienili? Czy dlatego może, iż ludzkość się przeistoczyła? Ludzkość stała się tylko nieskończenie powolną i podczas wielu, wielu egzystencji różną od tej, jaką była...

Pocztmistrz podnosi wzrok do góry, przy nim nikogo niema, Davidsen już odszedł. Davidsen stał, widać, tu, dopóki mu sił starczyło, a potem zemknął. Nie pierwszy to raz ludzie zmykali przed owym mówcą, gromada opuszcza go tak często. Gromada woli raczej objawienie tego, czego sama oczekuje. Pocztmistrz zaś objawia coś nieoczekiwanego, jest on samotnym przeciwko gromadzie.

Pocztmistrz wraca do domu z pochyloną głową, drzwi tylne otwarte, jak zwykle, więc wchodzi na kurytarz. Pod przeciwległą ścianą coś się porusza: pocztmistrz podnosi latarkę i dostrzega mężczyznę.

Mężczyznę. Obcy to jakiś, lat około trzydziestu, nieznany, o ciemnej, rzadkiej brodzie, odziany w płaszcz *water proof*, ściągnięty w stanie pasem rzemiennym.

Przez kilka sekund przyglądają się sobie, spotkanie ich jest chyba niespodzianką dla obydwu. Wtedy mężczyzna ucieka się do tego wybiegu, że patrzy na parasol wiszący obok na ścianie, poczem patrzy na pocztmistrza i znów na parasol. Wydaje się do szczętu

żalośnie zmieszany. Ów parasol — to tak, jakby przypomnieć sobie nie mógł, kiedy on go tutaj zawiesił.

Czy mu pocztmistrz wcale z pomocą nie przyjdzie? Jako — pocztmistrz sam sobie nawet rady dać nie może, osunął się, plecami wsparłszy się o ścianę i tak pozostał, z latarką wysoko wzniesioną w powietrzu.

Ale tymczasem nieznajomy zdejmuje parasol i zaczyna w jakiejś desperacji tłumaczyć się, a brzmi to osobliwie, brzmi niesamowicie, pijak z niego, czy obłąkaniec? Mówi po angielsku, słowa są słowami, ale człowiek jakiś szalony, próbuje naprzykład, czy parasol da się otworzyć i mówi do niego: — Dentysta! — mówi. — Takbym myślał! Kto mi powie, jaki tam koniec będzie? Rozumiesz?

Pocztmistrz stoi sztywny i biały, jak trup. Na początku twarz jego rozjaśniła się radosnym wyrazem, wydało się, jak gdyby poznał mężczyznę i chciał doń przemówić, lecz wstrzymał się i namyślać się począł, widać dostrzegł swą omyłkę, stężał napowrót.

Może nie znał języka? Ależ tak, belkotał przecie dziś wieczorem po angielsku z kapitanem i sternikiem. Może nic nie miał do powiedzenia? Jeśli raczej nie aż nadto! Gdy obcy człowiek przemyka się ku drzwiom, pocztmistrz szepce: — Czekaj pan trochę!

— Dentysta! — mówi człowiek. — Czy pan nic nie rozumie? Wściekam się z bólu zębów. Czy on tu nie mieszka? Widziałem szyld...

Pocztmistrz szepce: — Miałem syna...

— To nie ja — mówi człowiek i chce przejść mimo.

— Skąd pan pochodzi?

— Idź pan precz! — komenderuje człowiek.

Pocztmistrz mówi z spuszczonemi oczyma: — Czy miał pan z sobą ten parasol, przychodząc tutaj?

Mężczyzna zdaje się namyślać: — Czym go miał?
No . . .

Ale nagle pocztmistrz przypomina sobie chyba drzwi do wewnętrznych pokojów poczty, do poczty pieniężnej, najważniejszej ze wszystkiego, drzwi do niej nie są teraz zamknięte, stoją półotwarte. Pocztmistrz spieszy tam i po chwili rozlega się jęk.

Gdy obcy człowiek wyszedł na podwórze, przystanął nagle, pozostał chwilę w miejscu i zawrócił. Wszedł raz jeszcze na kurytarz i powiesił parasol na miejscu. Poprzez półotwarte drzwi do kantoru ujrzał pocztmistrza. Leżał odchylony nieco na krześle. Obok niego stała paląca się latarka.

Więc obcy wylatuje znów na ulicę i puszcza się biegiem. Deszcz pada i wiatr huczy. Oliver nadchodzi z wybrzeża i widzi przelatującego tuż obok siebie człowieka. Ależ to drugi sternik! myśli. A to ci siarczysty ból zębów mieć musi, ha! — Hej, hola! — woła i chce mu przypomnieć o swych pieniądzach. Ale człowiek pędzi dalej przed siebie.

Co takiego? — to się wydaje Oliverowi podejrzanę. I poco to o tej porze drugiemu sternikowi gnać w stronę lądu? Przy wezbranem morzu tej nocy wiatr może się zmienić, kierunek i burza ścichnąć, wtedy statek jego ruszy, czyż on o tem nie wie? Oliver woła za nim raz jeszcze, lecz napróżno. Wtedy puszcza się, zaprawdę i on za drugim sternikiem i czyni nieprawdopodobne susy na swej kuli. Oliver umie więcej niż biegnąć nawyprzódki, gdy o to chodzi. A teraz chodzi o jego pieniądze.

Dogania biegacza i widzi, że ten przystaje, słyszy, że daje rodzaj sygnału — jest to właśnie w tem miejscu, gdzie się kończy równina i droga ostro zakręca do lasu,

otóż stamtąd to rozlega się teraz sygnał. Oliver sły-
szy też odpowiedź na sygnał. — Na pogoń za dzie-
wczętami nie jest pogoda odpowiednia, myśli sobie
śnać Oliver, musi co innego tu zachodzić, ale co?
Przeskakuje do najbliższego drzewa i kryje się za niem.

Ze swego miejsca widzi kilka postaci, które idą
drogą naprzeciw drugiemu sternikowi, przystają i głowy
swe zbliżają tuż do jego. Wygląda to nader tajemniczo,
bardzo dziwnie. Ponieważ wiatr donosi z tej strony,
mógłby dobrze usłyszeć ich rozmowę, ale on nic nie
słyszy, to znaczy — nie mówią wcale, albo tylko szeptem.
Czynią wrażenie duchów, poruszają się, może nawet
patrzają na siebie, czynią i działają, ale milczą. Oliver
znajduje, że wszystko to jest niesamowite, pragnąłby
niezwłocznie oddalić się z tego miejsca, gdyby nie jego
interes.

Czas upływa, powoli północ już mija i wody wzbie-
rają — wiatr ścicha, a tam wśród gromadki wszczyna
się nagle niepokój i pośpiech; duchy zbliżają się, Oliver
słyszy nawet, że wiodą rozmowę. Prócz drugiego ster-
nika jest ich jeszcze dwoje: kobieta i długobrody męż-
czyzna. Gdy stają tuż przed nim, Oliver wyskakuje
na drogę. Z gromadki wita go okrzyk. Drugi sternik
czyni wrażenie, jakby zamierzał pośpieszyć dalej, ale
Oliver przemawia do niego i prosi o swe pieniądze. —
Przyjdź na statek! odpowiada drugi sternik. Ale w tej-
że chwili opamiętał się. Chwyta niecierpliwie za kie-
szeń swego *water proof'u* i wyciąga z niej pieniądze,
banknoty, wiele banknotów; ponieważ jest ciemno,
długobrody mężczyzna pociera zapalną i przyświeca.

Rozlegają się trzy krótkie świsty syreny od strony
morza. To statek angielski zwołuje swych ludzi. Drugi
sternik rusza galopem.

Zadziwiająca, lecz w tej chwili Oliver mniej zajęty jest swemi banknotami, niż owem towarzystwem. Oczywiście, że nie traci głowy i wsuwa pieniądze do kieszeni bardzo starannie, lecz zaraz potem jest wysoce zdumiony kobietą w towarzystwie: — Wyszłaś na taką niepogodę? mówi do niej i nazywa ją po imieniu!

— Tak — odpowiada mu strasznie zmieszana.

O, liczyła widać, że będzie w ciemności całkowicie pewna, ale zdradziła ją zapalka, teraz waha się bezradnie i odpowiada tak pod przymusem.

No i co dalej? Oliver jest Oliverem. Głowa jego poczyna widać pracować nieco, chwila ta jest akuratnie odpowiednia dla człowieka, jak on: ciemność nocy, tajemniczość onej obfitości papierków w *water proof*ie, spotkanie na ustroniu i wreszcie kobieta — tak, to była ona, córka kowala Karlsena, wdowa, ta sama, która prowadziła ojcu gospodarstwo. Oliver zresztą nigdy przedtem nic złego o niej nie słyszał, ale może i ona wrodziła się w swoją siostrę i swego brata włóczęgę. Kowal Karlsen nie miał szczęścia do swych dzieci. I w jakiej to sprawie wyszła dziś córka wieczorem?

— Widziałem cię, — rzekł Oliver.

Na to nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. A jeśli Oliver myślał sobie, że uzyska cośkolwiek, dowiedziawszy się dziś wieczorem tajemnicy o niej, to się widać bardzo rozczarował.

— I coś tu robiła? — pyta.

Długobrody mężczyzna wtrąca się do rozmowy. — Śpiewaliśmy duety. A ty sam, coś tu robił?

— Ja? Przecież widziałeś. Odebrałem swe pieniądze.

— Twoje pieniądze, tak. Czy to te za puch edredonowy?

— No, i ty wiesz o tem?

— A tak, wiem.

Oliver zwrócił się do wdowy: — Z kim to tu przyszłaś? Czy to twój narzeczony?

— A choćby i tak! — odpowiada mężczyzna w bardzo dobitny sposób i postępuje krok naprzód.

Oliver cofa się i mówi: — Chciałbym się tylko dowiedzieć, skąd ty pochodzisz. Nie znam cię chyba, czy jak? A może znam?

— Skąd ja pochodzę? Stamtąd mniej więcej, gdzie się znajdują twoje place łęgu, hahaha!

Więc rozumie chyba Oliver, że niczego nie osiągnie i potulnieje jak owieczka: — Nie posiadam żadnych placów łęgu. Skupiłem tylko trochę tego puchu po szczypcie, u kogo się trafiało w ciągu lat dwudziestu, to ci mogę powiedzieć. Nie, niestety, nie ten człowiek ze mnie, żebym miał place łęgu, jak widzisz, kaleka tylko ze mnie.

Długobrody mężczyzna okropnie, śnać, musi być pewnym siebie, albo też udaje, choć nim nie jest, ale ani trochę już nie dba o Olivera, zwraca się do wdowy i rozmawia z nią obojętnie: — Czy mogło powieść mu się lepiej? deszcz już prawie że ustał! Pewnie zaraz dostanie się na statek.

— Tak.

— Bez niego odbić nie mogą, pozostaliby zupełnie bezradni. Nie, ani na jotę nie mogłoby pójść lepiej. Jużby był na statku, gdyby go nie wstrzymało to obliczanie pieniędzy. Widział to kto coś podobnego? puch edredonowy, kradziony! Ale już lepiej pójść nie mogło. Marzniesz?

— Nie.

— Nie bądźże taka markotna, co ci to braknie?

On odplywa, a my pozostajemy, to i wszystko. Setny ch'op!

— Tak go wczoraj okrutnie zęby bolały — mówi Oliver, żeby się przypochlebić.

Człowiek na niego uwagi nie zwraca i ciągnie dalej: — Ale, akurat, kiedyśmy się tu spotkać mieli z nim dla niewinnej przechadzki, to się pogoda uczyniła świńska. I czemuś to nie chciała wziąć od niego płaszcz deszczowego, gdy ci go pożyczał?

— Nie chciałam.

— Nie, nie chciałaś. Ale z jego strony było to jednakże pomyślane niewinnie.

— Nie chciałam przyjąć nic od niego — mówi kobieta.

Milczenie. Nagle człowiek mówi, śmiejąc się: — A bo to on nie twój narzeczony? Co też ty wygadujesz?

— Milcz lepiej!

— Myślę, że wolno ci się chyba spotkać z narzeczonym swoim! Ale zresztą, co to gadać jeszcze o tem, przyszliśmy tu całkiem niewinnie i spotkaliśmy go. Na tem koniec! Ale, jakże to, mamy tu stać w miejscu?

— Żebym to wiedziała wszystko! — mówi kobieta.

Na to długobrody czyni coś niespodziewanego i zabawnego, wyjmuje z kieszeni drumlę i poczyną grać melodję. Może to zrobił, by ją rozochocić, a może też, aby zaznaczyć własną obojętność, zaznaczyć niewinność swej obecności tu na drodze nocą. Nie do wiary, że może on wygrywać w tej chwili, ale to nie omyłka, Oliver słyszy muzykę w swych uszach. I, aby znów się przypochlebić i wkraść w łaski mężczyzny, Oliver mówi: — Przepysznie, jak mi Bóg miły! Pochyla się w stronę wdowy i mówi: — Objeździłem w swem życiu świat dokoła, ale podobnego grania...

Człowiek przerywa sobie, zwraca się do verOlia i pyta: — Na co tu czekasz?

Kaleka czuje dokładnie, że nie jest cierpiany przez tego człowieka, to też odpowiada: — Nie, nie czekam na nic. Myślę, że pójdę zobaczyć, kiedy statek odbije.

Mężczyzna znów zaczyna wygrywać.

O, lecz tym razem popełnił błąd, nazbyt wielki, gra jego wzbudza naraz podejrzenie Olivera. Ależ ma się rozumieć, że znał tego włóczęgę! Gdy się dobrze zastanowi, pamięta jego grę z lat chłopięcych, przytem wspomina też legendę o tym grajku, dziecku jego miasta, synu kowala Karlsena, artyście na drumli, włoczykiju po wszystkich sobotach na traktach i kolejach żelaznych w całym kraju. I czego to on szuka tu dzisiaj? Przywiódł też i swą siostrę, a na statku angielskim był brat jego, Adolf, ten ze skrzynią okrętową — o, co za banda rodzeńska jednego chowu! Złościło Olivera, że im w twarz nie rzucił tego wszystkiego, co o nich wiedział.

Wracał do domu w wielorakich medytacjach. Trudny to był kłębek do rozmotania i Bóg wie, czy opłacało się wogóle troszczyć się jeszcze dłużej o nich. Drugiego sternika nie znał zupełnie, a może on to był właśnie najważniejszą osobą w tejsprawie. Oliver miał zresztą swą własną sprawę, którą się mógł napawać: kieszeń wypchaną pieniędzmi, zapłatę za jego pilne wycieczki na place łęgu, rok za rokiem.

Dotarł niemal do domu, gdy statek angielski gwizdnął przeciągle, odbijając od wybrzeża.

Wszystko razem wzięwszy — wieczór, pełen przeżyć, mierzyć mógł się niemal z pamiętnym dniem, w którym powracał z morza, ze statkiem-rozbitkiem. I Oliver nie miałby nic przeciw temu, by powrócić dziś do

izby, jako wielki i zasłużony mąż; otóż i on, człowiek nie od parady, pies wietrzący i tęga głowa, przychodził z pieniędzmi, z tajemnicą i wiedzą! Ale tu nie było co począć, dom cały spał, Petra spała. Mniejsza o nią; naogół nie była jego powiernicą, aniby mu to do głowy nie wpadło; ale w tej właśnie chwili mógłby przed nią trochę nadać się tajemniczością i bąknąć jej zlekka jakie słówko, nad którym zieleniałaby z medytacji. Tak, ale Petra spała. Widać zmęczona była, ta chudzina-nieboże, był to jeden z wieczorów, w którym znów pójść musiała do adwokata Fredryksena, by omówić sprawę domu; wcale nie tak dawno temu wróciła do domu, dopiero co zdążyła zasnąć tak słodko.

Oliver budzi ją, opuszczając umyślnie kulę na ziemię. I z myślą o tem, co to on znaczy w tej chwili, mówi tonem niezadowolenia: — Mogłabyś przygotować mi trochę ciepłego jadła, kiedy wracam po ważnej sprawie, cały przemokłem.

Petra widać zmęczona już jego wiecznymi przechwałkami i fanfaronstwem o ważnych sprawach, odpowiada gniewnie: — Ciepłego jadła? Ja też powróciłam i nie zastałam ciepłego jadła.

— Aha, znowuś wychodziła?

— A bo to nie miałam iść do adwokata?

— Czy ty nigdy nie skończysz z tym adwokatem!

— wybucha Oliver gwałtownie.

Żadnej odpowiedzi.

— I co wy, na miłosierdzie Pańskie, tyle czasu marudzicie na gębowaniu? Tydzień mija za tygodniem, a tu końca jak nie widać, tak nie widać. Do diabła ciężkiego! Ale niech no on poczeka, dopóki mię pewnego dnia nie rozzłości, to mu już pełen pysk pieniędzmi napcham. Może nie wierzysz? Wszystko mi tam jedno, co ty

sobie myślisz, ale ty mnie nie znasz porządnie! nie taki ze mnie dureń, za jakiego ty i on mię uważacie...

Żadnej odpowiedzi.

Nie było co począć. Ale Oliver jednakże próbuje odrobinę uprzejmością: — Tak, tak, już sobie angielski parowiec popłynął, — mówi na początek.

Petra śpi.

Nie, cała powaga chwili została na nic zepsuta, cała wielkość i uroczystość chwili unicestwiona. Niema co, miło to przyjąć do domu, do rodziny, z majątkiem w kieszeni!

Zdjął z siebie przemoczone ubranie, odczepił nogę drewnianą i leął obok żony — ni to wyspa obok wyspy. Nic innego uczynić nie sposób. Ona leży bez słabości i oddycha ciężko a spokojnie, z ciałem w zupełnym spoczynku. Ciemno jest i on jej widzieć nie może, ale pachnie mu rozkosznie i jest ciepła, leży zgodliwie na boku, aby mu pozostawić miejsce. Przygoda tego wieczora nie przestaje zajmować Olivera, godziny upływają, a gdy już dzień świta o tyle, że poczyna rozróżniać przedmioty, sięga po swą paczkę pieniędzy i liczy raz jeszcze papierki, cichaczem, plecami zwrócony do łóżka.

Nazajutrz nie odzywa się z samej złości ani jednym słówkiem do Petry. Żona, która przespała wielką okazję dowiedzenia się czegoś wielkiego, nie była więcej warta. Ale znakomicie na tem wyszedł. Zdarzyło się bowiem tak, że Petra sama objawiła mu niesłychany wypadek w mieście: powróciła od studni i nie zdążyła nawet wiadra odstawić, gdy zaczęła opowiadać, że poczta dziś w nocy została zrabowana, a pocztmistrza znaleziono gdzieś daleko w mieście na schodach bez kapelusza, nieprzytomnego.

Każdej innej chwili byłby Oliver z miejsca chwycił za kulę i poskoczył do miasta, ale złość, że go Petra pozbawiła wczoraj wieczorem triumfu, powstrzymała go tym razem. To też nie chce on wyrazić ani cienia podziwu nad jej opowiadaniem, jej historją zbójczą, o nie, zjada do końca swe śniadanie i doskwiera Petrze znakomicie tem, że o nic jej nie pyta nawet. Jak się ona wścieka i wścieka coraz bardziej! Rzekłbyś, przyrzekła sobie nie nalewać mu nowej filiżanki kawy, choć widzi, że już jest pusta, — niech się sam usługuje! Wreszcie mówi Petra:

— Co to! — zaniemówiłeś dziś w nocy?

— Zaniemówilem? — odpowiada okropnie zdumiony.

— Ano, rób jak chcesz!

— A o czem miałbym gadać? — pyta. — Co takiego masz na myśli?

— No, więc nie słyszałeś nawet, com opowiadała?

— Ach — te tam paskudztwa! Wiem ja daleko więcej od tego!

Ona rzuca nań wzrokiem i myśl w niej powstaje: — No, tyś chyba sam się w to nie zaplątał?

A to ci dobre! on tu siedzi niewinny, jak noworodek i ręce ma czyste, a tu posądzają go o podobną rzecz! Odchrząknął z godnością i rzekł: — Może stulisz gębę!

— Pytałam tylko. Nie było to gorzej pomyślane, niż powiedziane.

— Stulisz ty pysk! — powtarza Oliver i powstaje.

Prawda, że Petrę rozgoryczyło to, iż nie wykazał zgoła żadnego poważania dla jej wielkiej nowiny, jej kolosalnej nowiny, ale że on trzyma kulę na podorędziu, uważa za daleko pewniejsze wynieść się, niż pozostać,

odrzuca więc głowę i udaje się z nowiną do starej komory, do babki.

Oliver kończy śniadanie i wychodzi z domu. Ponieważ całe miasto wzburzone jest kompletnie wypadkiem godzin ostatnich, nikt do składu nie zagląda, Oliverowi pozostaje więc najlepsza okazja do medytacyj. Szczęście, że się tej nocy nie zdradził Petrze z niczem! prawdziwe zrzączenie Boga! Petra byłaby z samej zarozumiałości biegła po mieście, rozpowiadając kaździutkie słówko, i zamieszałyby go jeszcze w grabież poczty, a mimo całą jego niewinność byłyby może też i pieniądze za puch w niebezpieczeństwie. Chodziło teraz o to, by się zachowywać jak najostrożniej, żadnych wielkich wydatków, narazie! Nijakich pięknych sukien, zgoła żadnych strojów! Różowy krawat z okna wystawowego sklepu robótek ręcznych nie ozdobi jeszcze jego piersi.

Oliver obmyślał wszystko jak najdokładniej. Nie ulegało wątpliwości, że chodził z częścią zrabowanych pieniędzy w kieszeni, ale on ich przecie nie zrabował, Bóg mu świadkiem. Dzieci kowala Karlsena możeby mogły dać świadectwo, ale on nie miał zamiaru donieść na nich policji, — jeszczeby tego brakowało! Wszystkie okoliczności mówiły przeciw temu; przedewszystkiem Abel terminował u kowala i wdowa była jego gospodynią. A czy sam kowal Karlsen nie był jego majstrem? Tyle przecie żywił jeszcze Oliver uczuć ojcowskich, że nie wtrąci syna w nieszczęście. A zresztą dzieci kowalowe są może też niewinne, ktoby to mógł wiedzieć? Ten, który najwięcej był obeznany z rzeczą, to ów obcy drugi sternik, a kto go tu znał?

O, ten drugi sternik i ten Adolf ze skrzynią okretową, może to najgorsi zbrodniarze! Czyż nie prosili

oni Olivera, aby przyprowadził z sobą żonę na statek, bo jej przecie nie pożą! Ale na szczęście nie wziął Oliver z sobą Petry i nie narażał się na byle co, nie z takich on, aby żonę swą zabierać do kogo! I otóż okazuje się, że jego uczucia przyzwoitości wyszły mu na dobre, mogłaby jeszcze popaść w czystą bandę zbójcejką...

W mieście aż brzęczało od sensacji. Pismo wystąpiło z artykułem, który został napisany przez człowieka, posiadającego słowo w swej mocy, policjant Karlsen chodził tu i tam i wszędy, czynił poszukiwania. Od pocztmistrza nie można było wydobyć żadnego porządnego objaśnienia, siedział tylko zgnębiony, patrzył w podłogę i zdawał się oszołomiony. Począł dawać coś w rodzaju opisu obcego mężczyzny, na którego natknął się w kurytarzu poczty około dwunastej godziny w nocy: człowiek ów był stary, o długiej siwej brodzie, może nawet nosił maskę; mówił po angielsku. Podczas innych przesłuchów pocztmistrz zmienił swe wyznania: obcy może nawet nie był stary, a przeciwnie, młody, pocztmistrz nie byłby w stanie dać mu rady. Człowiek ten nie posiadał parasola. Słowem, pocztmistrz mówił same głupstwa i wprowadził wszystkich w zamęt, zgłupiał zupełnie, rażony ciosem. Doktor przyszedł do niego i skonstatował przekrwienie mózgu i upadek sił duchowych. Boże święty, on, który przedtem rysował wieże i domy z kolumnami!

A miasto wrzało. Krzywdą byłoby powiedzieć, że ludzie nie pomagali w poszukiwaniach policjantowi Karlsenowi i władzom, w pierwszych dniach. Pozostawili niemal wszystko inne na uboczu i poświęcili się wyłącznie temu celowi. W wielkim tym zgielku zatonęła całkowicie inna nowina, która zasłużyłaby może na większą uwagę, ta mianowicie, że konsul C. A. John-

sen otrzymał order kawalera Dannebrog. A kto się przejmował tym zaszczytem, kto go wymieniał? Składająca się z kilku wierszy notatka w gazecie, przypadkowe powinszowanie nielicznych mieszkańców, którzy pamiętali o tem. Pani konsulowa Johnsen większą już przydawała cenę temu odznaczeniu i zatelegrafowała o niem zarówno do Szeldrupa, przebywającego teraz w Nowym Orleanie jak, i do Fii w Paryżu.

XXIV.

W wielkich miastach wychodzi się z założenia, że mieszkańcy małych miasteczek niemal wcale nie znają tych wielkich zdarzeń, któremi Pan Bóg obdarzał stolice. Jest to błędny i obrażający sposób myślenia; mają i oni, zaprawdę, swe krachy, oszustwa, morderstwa i skandale — akurat tak samo, jak na wielkim świecie. Pismo miejscowe nie wypuszcza wprawdzie o tem dodatków nadzwyczajnych, ale nowiny bywają rozszerzane szybko i bez zawodu, wychodząc od studni, a docierają aż do najciaśniejszych komórek. Bo czy to istniał choć jeden w całym nadmorskiem mieście, któryby nazajutrz wczesną porą nie wiedział o zrabowaniu poczty? Chyba tylko nie Gryn-Olsenowie, bo państwo ci sypiali długo i często spożywali śniadanie jeszcze w łóżku.

I tak samo jak małym miścinom nie brak sensacyjnych zdarzeń, nie brak im w nich również warjacyj. Mieszkańcy małych miasteczek mają wszelakie potrzebne im urozmaicenia wypadków. Może myślicie, że skazani są na to, aby żyć i umrzeć, czerpiąc tylko z ograbienia poczty? W takim razie aureola nowości owej znakomitej sprawy nie tak szybko by zbladła. Najdłużej ze wszystkich utrzymywał ją przy życiu doktor, ponieważ w ten sposób mógł się okazać zwy-

ciężcą nad pogiębionym pocztmistrzem, ale niedługo trwało, a ludzie męczyli się obgadywaniem tego wypadku.

I jaki temu był koniec? Końca żadnego nie było, sprawa nie została wyjaśniona: Ów stary czy młody człowiek, mówiący po angielsku i który może nosił też maskę, a w każdym razie nie miał parasola, ten rzeczywisty przestępca nie został wykryty. Zatelegrafowano na statek angielski, ale skończył on już ładowanie w Norwegji i był właśnie w drodze do jednego ze swych ojczystych portów. Zatelegrafowano i tam, a skoro tylko statek przybył, wszczęto rodzaj przesłuchu, ale nie doprowadziło to do niczego. Oczywiście, że wyszło na jaw, iż Adolf był Adolfem i synem kowala, majtkiem norweskim, ale ożenił się i zamieszkiwał w Anglji i na szkucie angielskiej stał pod dobrą opieką flagi angielskiej. Prócz tego kapitan jego był człowiekiem religijnym.

Drugi sternik też okazał się Norwegiem, synem pocztmistrza w jakimś bliżej oznaczonem miasteczku, nieżonaty, z doskonałemi świadectwami dobrego prowadzenia się, żadne podejrzenie nań paść nie mogło — ojciec zresztą musiałby w razie spotkania poznać rodzzonego syna w owym obcym człowieku na kurytarzu, czego przecie nie uczynił. Zresztą i tu znów rzecz rozbiła się o tę flagę angielską: flaga angielska nie otaczałaby złodzieja opieką ani jednego dnia, ani jednej chwili, o tem wiedział świat cały. Drugi sternik i Adolf byli zatem obecnie na służbie angielskiej u nabożnego kapitana i o żadnem wydaniu ich mowy nawet być nie mogło.

A czemu obaj ci marynarze nie odwiedzili swych krewnych, gdy statek przybył z ładunkiem do ro-

dzinnego ich miasta? Ano, widzicie, było to jedno z tych bardziej delikatnych pytań, które im zadano, ale odpowiedzieli na nie całkowicie wyczerpująco: nie chcieli pokazać się ojcu, matce i rodzeństwu z pustymi rękami, a nie zdołali nawet odłożyć sobie na stronę pokażniejszej sumy ze swej pensji. Oto powód. Ale Bóg mu świadkiem — zawołał drugi sternik — że wyszedł na ląd i krążył dokoła domu niejednym wieczór, zaglądał w okna, drżał, gdy usłyszał, iż ktoś się zbliża do drzwi, składał ręce, gdy dostrzegał cień matki swojej na firance. To było wzruszające, cały sąd się wzruszył, a niemałe to ma znaczenie, gdy się sąd wzrusza.

Dziwna rzecz się ujawniła u marynarza Adolfa: podczas wizytacji jego odzieży i jego samego okazało się, że był silnie i sprośnie tatuowany na całym ciele. Były to tak uderzające świństwa, a na zapytanie, gdzie mu je wypalono, odpowiedział: W Japonji. Rysunki te zaszkodziły Adolfowi szczególnie w oczach sędziego śledczego, ale nie mogły przekonać o napadzie na pocztę. Drugi sternik nie miał żadnego tatuowania, lecz piękne i czyste ciało, więc wyłabudał się daleko lżej od Adolfa, ba, a nawet mówiło to poniekąd na korzyść obu podejrzanych.

No, więc o napadzie na pocztę przestano mówić potrosze, nie tak znów strasznie wiele wpadło w ręce złodzieja czy złodziei: jakie siedm czy ośm tysięcy koron w poczcie pieniężnej. Jeśli doprawdy kilku należało do podziału tego łupu, to część każdego nie wynosiła znów tak wiele. Ochota brała poprostu powiedzieć: — No, na zdrowie!

Zdarzenie całe utraciło rozmiary wielkości. Policjant Karlsen nie wykazywał żadnej gorliwości w dochodzeniu prawdy, czego też nie należałoby oczekiwać,

skoro własny jego bratanek, a więc i on sam, narażony był z powodu niej na przykrości! Ale nawet i zwierzchnictwo policjanta Karlsena nie przywiązywało wagi do użycia środków ostatecznych: bo czy to nie głupio wszczynać zatarg z Anglią o taką blahostkę! A prócz tego ogólnie życzo no sobie w mieście, aby oszczędzić kowala Karlsena, człowieka, który zasłużył sobie na lepsze dzieci, niż je był posiadał.

— No, ale jakże pocztmistrz? Wziął sobie tę katastrofę tak do serca, że nikt nie byłby go poznał więcej w tej pochylonej, złamanej jakby postaci, z biegającym dokoła wzrokiem i ustawicznie mamroczącemi wargami. Szlachetny jego charakter nie mógł przeżyć wstydu i straty poniesionej przez powierzony mu urząd, bo chyba z innego powodu nie potrzebował się trapić, skoro syn jego nie uczynił nic złego. Pocztmistrz stał się przedmiotem litości wszystkich. Prawda, że w ciągu całego swego pobytu w mieście zanudzał rozumnych obywateli swą wiekuiłą nabożnością i metafizycznym gadaniem na ulicy, jak i w zaułkach, ale teraz, gdy go los tak srodze dotknął, pamiętano raczej zalety, niż przywary tej nawiedzanej duszy. Bo czy to nie on rysował plan wielkiej szkoły, tej kamienicy z filarami, którą podróźni dostrzec już mogli z morza i pamiętać potem aż do samej śmierci? A otóż i siedzi sobie z omroczonym umysłem, niedoleźniejszy od dziecka.

— On jest w błogostanie, ciemny i martwy — rzekł doktor. — Zrozumiałem to po nim w ostatnich czasach, oczy jego poczęły przeszywać, stał się nader kruchy i wystarczyłaby tylko jedna kropla niepowodzenia, ażeby go ostatecznie złamać! Wiara zwała go z nóg.

W przeciwieństwie do wszystkich innych doktor z trudnością mógł zapomnieć o napadzie na pocztę, żywił nawet bezustanku podejrzenie, że pieniądze odplynęły ze statkiem angielskim. I cóż mogło przeszkodzić drugiemu sternikowi, obeznanemu doskonale z domem, by wtargnąć do swego mieszkania i okraść pocztę pieniężną? — Potomstwo! — zwykł był mawiać pocztmistrz. Ach, potomstwo, gotowe na wszystko! Potomek Adolf należał do tegoż kalibru, obrzydliwe rysunki pokrywające jego ciało świadczyły wymownie o jego charakterze. Zaprawdę, obaj ojcowie mieli po ciechę ze swego potomstwa.

Doktor nie mógł doprawdy pozbawić się uczucia triumfu. Nigdy nie kroczył po piaszczystych ulicach miasteczka z mniejszym wysiłkiem jak teraz, i nigdy nie otrzymał bardziej jasnego potwierdzenia słuszności swego poglądu na życie. Do owego nabożnego i wierzącego rozbitka — pocztmistrza zachodził wprawdzie często, patrzył chwilę na niego i opuszczał go znowu, nie znajdował w pacjencie ni śladu powrotu do światła i świadomości, wywnioskował stąd, że zaćmienie jest bezpowrotne. A czyto nie *myślą ludzką* przechwalały się dawniej w swych mowach owe usta dzieciństwa? Że myśl ludzka nie ustaje nigdy, że myśl ludzka — to światło nigdy nie gasnące? Zgasło ono w każdym razie dla niego i pozostawiło po sobie czarny knot! Takie słabe głowy nie powinny się zapuszczać w refleksje na własną rękę, powinny zająć się rysowaniem gmachów szkolnych i kościołów i pozatem trzymać się wiernie katechizmu.

Doktor nie miał wprawdzie czem się pysznić ani nie miał powodu do słonecznej radości, ale czuł zadośćuczynienie na swój sposób. Materjalizm jego okazał się

słusznym, wypadek, że pocztmistrz zamienił się w idjotę, ukrzepił pozycję doktora wśród ludzi, bo przecież to on jakby przepowiedział nieszczęście; nikt się z nim równać nie mógł co do autorytetu, diagnoza jego była niezbita. Gdy opowiadał o pocztmistrzu, że wiara zwała go z nóg, ten i ów pytał: — Wiara? — Wtedy doktor mówił: — A tak, zabobonna wiara! — I to musiało pozostać niezbite.

Lecz słonecznej radości nie miał dziś doktor więcej, niż dawniej, życie było i pozostało niegodziwe. Gdyby nie to, że mógł się od czasu do czasu rozkoszować drażnieniem swych bliźnich, życie stałoby się nie do zniesienia. Myślałby kto może naprzykład, iż mu co z tego przybyło, że zmienił kupca? Przerwał swe długoletnie stosunki z konsulem Johnsenem i przeniósł się do konsula Davidsena, a przecie czynił to nie w celu zaszkodzenia konsulowi Davidsenowi, lecz, przeciwnie, pragnął dopomóc mu do rozwinięcia jego małego sklepiku. No i co z tego wyszło? Nie zostało to zgoła uznane, Davidsen też przysłał mu rachunek. Wszyscy oni jednacy, tylko, że Davidsen był świeżym konsulem. A na dobitkę konsul Davidsen nie był nawet człowiekiem, z którymby doktor mógł sobie pogawędzić porządnie, nie odpowiadał przecie wcale i udawał tylko pokornego, ten djabeł chytry, przyzwalał z uśmiechem na najtęższe drwiny.

Więc dubeltowy konsul był jednakże lepszy, choć i z niego jeno kupiec i właściciel statku.

Rozeszła się wieść o tem, jak paradnie się rzecz miała, gdy doktor przyszedł powinszować dubeltowemu konsulowi orderu Dannebrog. Zabrał ze sobą aptekarza na tę wizytę i obaj zachowali się nader służalczo. Weszli do konsulatu przez sklep, czego zazwyczaj nie

czynili, i przez jednego z subjektów przesłali swe karty wizytowe, poczem zdjęli kapelusze i kalosze, obwiesili laski i przyglądźili włosy i zarost grzebykiem kieszonkowym. Obaj panowie byli w rękawiczkach.

Konsul ukazał się we drzwiach nieco zdziwiony, z kartami wizytowymi w ręce i spytał żartobliwie, czy panowie życzą sobie audjencji. Na to skłonili się obaj. — No, ależ chętnie, proszę bardzo, rzekł konsul i nadal traktował rzecz lekko.

Lecz skoro weszli do kantoru i panowie nie przerwali uroczystego tonu nawet w trakcie winszowania konsulowi, ten ostatni sam począł to uważać za zupełnie naturalne, iż zachowali się tak ceremonjalnie, bo — kto wie? — może należy się w ten sposób winszować kawalerowi orderu? co mógł on o tem wiedzieć! Wprawdzie składał się trochę i rzekł: — No, no, nie należy znów aż tak trzymać się formalności! — lecz nie, panowie byli niewzruszeni i nie dali się nakłonić do lżejszego tonu.

Konsul poczęstował panów cygarami, oni zaś powstali, i ujęli, każdy kłaniając się, swe cygaro, lecz nie zapalili. Konsul z kolei zapragnął okazać się życzliwym i wszczął rozmowę o grabieży poczty, której właśnie dokonano. Panowie przytakiwali wszystkiemu i przywiązywali do słów jego wielkie znaczenie. Dotąd wszystko szło dobrze, konsul zachowywał się z wyszukaną grzecnością; jako najtęższemu mężowi miasta nie mógł mu być przecie obcym dobry ton towarzyski. Jeden z chłopców sklepowych wszedł do kantoru i wręczył paczkę do własnych rąk konsula. Konsul cisnął ją na pulpit, nie rzuciwszy nawet na nią okiem. Zarządzający Berntsen wszedł i zapytał o coś, konsul odparł przez ramię: — Później! jestem teraz zajęty!

Podczas tego obaj panowie siedzieli, jak mysz pod miotłą, zdawało się, jakby czekali na ton jeszcze bardziej wytworny. Ale gdy to oczekiwanie ich zawiodło, zbudził się snąc szatan w doktorze, pragnął on ulżyć sobie w bardziej swoisty sposób. Więc zwrócił się do aptekarza i wyrzekł słów kilka; z szacunku dla kawalera orderu mówił cicho, lecz rzekł: — Właściwie powinniśmy byli zdjąć także i buty w przedpokoju!

Wtedy zrozumiał konsul. Duszę jego wykrzywił może grymas, ale z twarzy jego nie dałoby się nic wyczytać, gdy odpowiedział doktorowi: — Widocznie bał się pan, że pończochy pańskie są dziurawe!

No, czy więc konsul Johnsen nie był panem całą gębą! Odpowiedź jego ukąsiła, doktor spotulniał na chwilę, uśmiechnął się i rzekł: — A bardzo być może, bardzo być może! — Lecz wnet znów się w nim proch zajął i rzekł: — Zresztą zapłaciłem przecie i za pończochy i za wszystko, com wziął u pana w sklepie.

— Tak? — odparł konsul pytająco.

— Przechowuję pokwitowanie.

— Czyżby? — A że doktor milczy, konsul ciągnie dalej: — Co z tego? Nie rozumiem, do czego pan zmierza?

— Do niczego — odpowiada na to doktor. — Chciałem powiedzieć tylko tyle.

Na to nie powinienby się konsul więcej odezwać i przewlekać dłużej tego tematu, ale poczuł się snąc dotkniętym, że z niego zakpili i nie mógł się powstrzymać, by nie nadać sobie nieco wyższości: — Mam, do prawdy, tak mało do czynienia z owymi drobnymi zakupami w sklepie, zarówno pana jak i innych, załatwia to Berntsen. Ja pracuję w kantorze i zajmuję się nieco większemi sprawami.

— O tak, o tem niema wątpliwości! — przyznaje aptekarz, który tchórzy i chciałby sprawę załagodzić.

Lecz doktor tylko chichoce chłodno: — Ma się rozumieć! — I mówi: — My jesteśmy wielcy, my siedzimy tu i dysponujemy, — słowem i piórem, — jednym małym statkiem, my nie stoimy za ladą i nie sprzedajemy szarego mydła i naparstków. — A że doktor w tem miejscu wciąga powietrze przez zęby, czyni wrażenie, jakby ziałł — albo może raczej, jakby go opanowała wściekłość.

Konsul odpowiada: — Rzecz się ma tak zupełnie, jak ją pan przedstawia, ja się do tych drobnych spraw wcale nie mieszam.

— Jacyśmy to zresztą wielcy! — wykrzykuje doktor. — Boże święty, jacyśmy to obaj wielcy, i pan i ja!

Aptekarz wdaje się w rozmowę: — Ależ to nie było tak pomyślane. Wybacz pan, ale ja tę kwestję inaczej pojmuję! co się z panem dzieje, doktorze!

Doktor powstaje: — No, wie pan, aptekarska dusza, panie...

— Cicho! Prawdę powiedziawszy, konsulu, chcieliśmy tu przybyć dzisiaj, aby — sądziliśmy, doktor i ja, że jako starzy znajomi, moglibyśmy pozwolić sobie na mały figiel z — nie, aniśmy mieli w myśli, żeby drwiny urządzać z pańskiej osoby, oczywiście, ale że moglibyśmy zabawić się nieco orderem, kawalerstwem pańskim, którego przecie ani pan ani my nie cenimy znów tak wysoko. Możemy zachowali się niezupełnie właściwie, ale sądziliśmy, że możemy przyjść i ubawić trochę zarówno pana, jak i nas samych.

— I nie omyliliście się wcale — odpowiada konsul. — Jak panowie widzieliście, od pierwszej chwili wpadłem w wasz ton żartobliwy.

— Że też chce się panu objaśniać coś tak samo przez się zrozumiałego! Dziwię się panu, aptekarzu! — woła doktor. — Chodź pan, pójdziemy! Adje!

Owszem, aptekarz powstał, lecz pozwolił doktorowi oddalić się i znów rozpoczął objaśniać konsulowi, używając wyszukanie grzecznych słów. Spodziewał się, że nie powstanie rozdzźwięk między starymi znajomymi; doktor posunął się za daleko, nikomu w myśli nie powstało, by zdjąć także i buty, a dysponowanie wielkim parostatkiem od jednego portu świata do drugiego, od Genui jednego dnia do Zurychu — drugiego, to jest rzeczą tak wielką, że aż niemal przechodzącą rozum ludzki...

— Zurych nie jest właściwie portem, — mówi konsul i uśmiecha się pobłażliwie.

— Aha, nie jest portem. Niestety, nie jestem obeznany wielce z żeglugą, wiem wszakże, iż otrzymuję pigułki z Zurychu. Ale cóż to chciałem powiedzieć: — jest to w każdym razie tytaniczna robota to siedzenie tu i dyrygowanie okrętem po oceanie, i jednocześnie zarządzanie największym sklepem w mieście. Moglibyśmy z doktorem zdjąć buty w przedpokoju, o ile o to chodzi, mówię to wręcz otwarcie; ale jeśli znam pana dobrze, nie przypadłoby to panu do gustu. Może nawet doktor przeszkrobał coś przedtem, ja tylko proszę konsula być wyrozumiałym dla nas!

— Już o tem zapomniałem, nie mów pan o tem więcej! jeszczeby tego brakowało, żebym sobie brał do serca słowa doktora! mam doprawdy co innego do roboty, — odpowiada dobroduszny konsul Johnsen. — Dajże pan już pokój!

— A wreszcie, co się tyczy orderu, został pan pierwszym kawalerem miasta i z pewnością nikt panu

nie zazdrości tego zasłużonego zaszczytu. Jest to zapewne uznanie za tak świetne pokierowanie statkiem, który poniósł hawaryję przed dwudziestu laty?

Konsul uśmiechając się: — No, od tego czasu przybyło może parę drobnostek.

— Oczywiście. Mnóstwo ważnych rzeczy, nie mniej naprzykład pańskie cenne raporty. Teraz zapewne i drugi rząd pójdzie wkrótce za przykładem — czy to nie Boliwja?

— Co takiego? Nie jestem przecież konsulem Boliwji.

— Wybacz pan!

— Prawdopodobnie Olsen lub Heiberg jest konsulem Boliwji.

— Tak. Ale czy pan nie jest dubeltowym...

— Konsulem? Ależ owszem — odpowiada konsul Johnsen i śmieje się głośno z zakłopotania aptekarza. — Oczywiście, wiadomo, dubeltowym konsulem, hahaha! Ale dubeltowym konsulem Boliwji musi być, doprawdy, jeden z tamtych panów, hahaha!

— Ach, wszak to Holandję przecie miałem na myśli — mówi aptekarz znękany, — bardzo jestem niezręczny. Ale jakkolwiek bądź, order pański jest chlubą, nietylko dla pana, lecz dla całego miasta naszego, wszyscy jesteśmy tem zaszczytzeni. Rząd holenderski nie omieszka wkrótce wyrazić panu swego uznania.

— Jakto? Nie, niema po temu szczególnej przyczyny. Czy nie chciałby pan przed odejściem zapalić cygara? No, jak pan sobie życzy!

— Ci się muszą teraz porządnie wstydzić! — myśli sobie zapewne konsul po odejściu panów. I z pewnością też myśli, że cała ta niemądra wizyta w każdym bądź razie napewno nie wyszła na dobre doktorowi. Panowie

ze swej strony inne może mieli myśli, Bóg ich tam wie, może nawet aptekarz, wychodząc, chichotał wewnętrznie, a gdy opowiedział doktorowi o swej „sortie“ od dubeltowego konsula, może nawet chichotali obaj panowie razem. O, wszak znany to był wszystkim fakt, że konsul Johnsen nie miał dokładnego pojęcia o dyrygowaniu okrętami po oceanach świata, i że głównie Szeldrup, syn konsula, załatwiał dyspozycje co do towarowej łodzi *Fia*.

Doktór jednakże nie wydawał się zadowolonym, rzekł tylko: — Koniec końców, on wcale nie zrozumiał złościwości. Może nawet siedzi teraz i przymierza na sobie swój order.

Aptekarz był zdania, że konsul zrozumiał.

— Zrozumiał? Co on wogóle rozumie! Jak pan to powiedział: tytaniczna robota?

— Powiedziałem: tytaniczna robota.

— I powiedział pan Boliwja i Zurych? A mimo to pana nie wyrzucił?

— Trochę to potrwa, nim mu się w głowie rozjaśni. Ale wkońcu wszystko zrozumie.

— Ani gadania o tem. Nie, tego nie można nazwać udanym pomysłem z naszej strony.

Doktór kieruje się do Gryn-Olsenów. Odwiedza ich często, w ostatnich czasach prawie że codziennie, ma tam swe sprawy. Zięć domu, artysta-malarz, przyjechał na pobyt letni wraz z żoną i dzieckiem. Dziecku nic nie brakowało, ale młoda matka, jak wszystkie młode matki, była pełna obaw, i żądała lekarza.

Doktór nic nie miał przeciw temu, by przychodzić do domu Gryn-Olsenów, zarabiał tam nieco dodatkowego dobrego grosiwa i nawet w tem zagustował. Nie było tu wszystko tak wytwornie i dystygowanie

ale też nie było tu wszystko tak odmierzone, wszystko płynęło szeroko, obficie, nawet nieco rozrzutnie, trochę marnotrawnie. Rękawiczki nie do pary mogły wałęsać się w przedpokoju, drogie parasolki stały po-trzaskane. W samych pokojach nie było nieporządku, ale wszystko zdradzało zbyt pełną sakiewkę: ramy obrazów, dywany, obicia na krzesłach; firanki wisiały do samej podłogi i włoczyły się po niej. Nie, tu się nie odczuwało sknerstwa, ale urządzenie domu przywodziło na myśl *self made* majątek, nowe bogactwo.

— To i co! — myślał sobie pewnie doktor i zapijał czerwone wino i kurzył drogie cygaro, Tu się przynajmniej spotyka serdeczność i gościnność i przytem jak największą ochoczość uznania jego wielkości. Siedział więc sobie miękko na sofie, a wszyscy zawisali na jego ustach, więc cóż z tego, że pieniądze są nowe? Pieniądze pozostają pieniędzmi, milion nie jest gorszy od tysiąca. Ot i siedział doktor. Nie taki on, żeby sobie dał zaimponować, ale wyglądał naprawdę trochę ubożuchno w tem otoczeniu, gors jego skrzypił irytująco na jego piersi, a mankiety musiał ustawicznie przytrzymać małym palcem, aby mu nie wjeżdżały aż po kostki.

— Nie, dziecku i dzisiaj nic nie braknie — rzekł. — Dostanie jeszcze tylko kilka zębów, a stanie się podobnym i pod tym względem do swej pięknej matki.

Młoda matka głęboko rumieniąc się: — O, jak to dobrze! Myśmy się znów o nią tak przestraszyli. Najzabawniejsze zresztą to, że nie ja, lecz kto inny trwożył się najbardziej.

Konsul Olsen pyta: — A kto to taki trwożył się najbardziej?

— Ty, papo! Tak, już chyba sam musisz przyznać!

Konsul tłumaczy się: — Nie obawiałem się, lecz sądziłem, że nie warto, by się dziecko męczyło, jeśli można temu zaradzić. Nazwana została po mnie, doktorze!

— To objaśnia wiele! — mówi doktor.

Tutaj doktor zmieniał się w innego człowieka, przestał być na straży i kłuć szpileczkami, tutaj i bez tego żywiono respekt dla niego. Zachowywał się uprzejmie i opiekuńczo, napawał się poprostu; w poczuciu swej wyższości nie pogłębiał jeszcze przepaści między sobą, a tymi ludźmi. Panował tu zresztą zawsze dobry humor i na odmianę mile lechtał podniebienie; doktora nie psuto w tym domu, i tu panował śmiech i zdrowie, oczywiście, że była to również nieco naiwna wytworność.

Tutaj ludzie bez przestanku przybywali i odchodzili. Prócz zięcia z rodziną przyjechał z wizytą też i ów drugi artysta-malarz, syn malarza. O, zabrali go tylko z sobą. Aczkolwiek nie był on, podobnie jak jego kolega, członkiem tego domu, ale i on również stał się mile widzianym gościem, więc udzielono mu w facjatce pokoju z dywanami i firankami aż do podłogi.

I otóż syn malarza zapragnął malować portret doktora.

— Naco to panu? — pyta doktor szczerze. — Ja go kupić nie mogę, a innym też go się panu sprzedać nie uda.

— Chcę namalować pana tylko ze względu na twarz pańską — odpowiada malarz. — Na zapłatę nie zważamy! — dodał wesoło. Patrzajcie! ten syn malarski nie najgorszy jeszcze, nierzadko cięty w słowie, przytem

zapałny i ustawicznie zakochany. Twarz miał szczerą, tylko ręce wielkie i grube, — doktor patrzył z niechęcią na te ręce.

— Ano, maluj ją pan sobie! — rzekł doktor, udając obojętność.

— Dziękuję. Ale pragnąłbym namalować pana w pańskim gabinecie, otoczonego butelkami z lekarstwem i grubemi książkami, zajętego pańską nauką.

Doktor poprostu aż się wzdrygnął. Dziwny to artysta! tyle zrozumienia dla uczonego człowieka i jego działalności! Doktor wzruszył się widocznie, lekki rumieniec okrył jego wychudłe policzki, i, aby skryć go, upił z kieliszka.

Tak, dobrze mu tu było w domu Gryn-Olsena.

Początkowo nie oczekiwał tu snąć wiele. Zamierzał uszlachcić ten dom, jak uszlachcił inne domy, na przykład dom Henryksenów na Dokach i Heibergów, sklep Davidsena, Johnsenów w Przystani. Teraz poczuł tu upodobanie, więc korzystał z niego, jak długo się dało. Miał nawet zresztą i inny zamiar jeszcze: mógł przecie poprostu odsunąć Johnsenów w Przystani w cień na korzyść konsula Olsena — proszę, skosztuj, jak to smakuje! Zamierzał wprowadzić tu nieco równowagi w te stosunki, stworzyć równosilną potęgę z tamtej strony przegrody, o, mógłby może przewodzić w mieście niezgodą, dwiema partjami kokoszemi!

Byłoby mu się może i powiodło, ale wszystko rozbiło się o dobroduszość i ociężałość rodziny Olsenów. Nie, rodzina Olsenów nie wykazywała gotowości przyjęcia nauk, nie posiadała zmysłu do intryg i psikusów. Znała się na jadle i pieniądzech i meblach godnych domu kupieckiego, ale nie posiadała kultury i ilustrowanych pism, nie miała talerzy malowanych przez

córki domu. Rodzina Olsenów trzymała się poziomu.

— Johnsen w Przystani został kawalerem orderu — mówi doktor. — Teraz kolej na pana!

Gryn-Olsen potrząsa smętnie głową i odpowiada: — Nie jest to tak łatwo, niestety!

— Nie jest to niedościgłe. Wystarczy tylko odrobina pracy.

Gryn-Olsen znów smętnie głową trzęsie i odpowiada: — Jestem urzędnikiem konsularnym kraju bez orderów.

— Tak. Ale posłuchaj pan, konsulu: Może pan sobie w każdym razie nabyć posiadłość wiejską.

— Posiadłość? O tak, owszem.

— Nieprawdaż?! Czemu to w okolicy ma być tylko jedna posiadłość? I czemu to ona ma do niego należeć? Pan z pewnością bogatszy od niego.

Gryn Olsen waży głową z uśmiechem: — E, niechże pan nie przesadza!

— A więc posiadłość. I będzie pan do niej jeździł dwoma końmi.

— Dwoma końmi? Nie.

— Przecież stać na to pana!

— Owszem stać mię, — odpowiada konsul i nadyma się. Ale dwoma końmi — nie, wybaczy pan, Nie umiem powozić nawet jednym.

— Najmie pan sobie stangreta. Boże święty, przecie z pana nie taki, który nie wie, czego wymaga od pana pańskie stanowisko. Stangreta z błyszczącymi guzikami i złotym galonem dokoła czapki.

— Nie, nie, nie, sam stangret śmiały się aż do rozpuku — oświadcza Gryn Olsen. — I ja nie umiałbym nawet siedzieć w powożeniu o dwóch koniach.

— Doktor proponuje: — Ja w niego wsiądę pierwszych kilka razy, to znaczy pani Olsen i ja. Nieprawdaż, pani Olsen?

Pani Olsen całkowicie przerażona: — Ja? A niechże Pan Bóg ma w pana w swej opiece! Doktorowa może, doktorowa sama niech...

Ani sposób dojść z nimi do ładu.

XXV.

No i powróciło w mieście wszystko do dawnego porządku — tylko pocztmistrz był i pozostał zdruzgotany. Zwolniono go ze służby za nędzną pensyjką, rodzina przeniosła się do malutkiego domku od strony Doków, a nowy pocztmistrz wkroczył uroczyście do gmachu poczty.

Lato minęło i obie czapki z chwaścikami powróciły do swych studjów. Nie byli absolutnie druhami od serca, ale odjechali na tym samym statku. Druhami od serca? Wszak Franek pracował w ciągu całych swych wakacyj i tem samem znów przegonił Reinerta o nową odrobinę, mógłże więc ciepły, harmonijny stosunek powstać z czegoś podobnego? O, czego się Franek nie nauczył podczas tych tygodni! Poznać to nawet po nim było. Wetkał on w swą pamięć tyle zawilej uczoności językowej, powolutku, bez gwałtowności, bez przemocy, dokładając tylko siły żywotnej i poświęcając swój czas, i oto stoi tu na statku, nieco szczupły i zżółkły, bez pulchności w żadnem miejscu, a więc cudownie stworzony do uczenia się więcej jeszcze. Samo życie dokoła siebie nie większą darzył uwagę, niż na to zasługiwało; rąk do roboty nie używał, zajęciu majtków na statku przypatrywał się tępym wzrokiem, czeladź obsługująca maszyny wydawała mu się strasznie

umorusana. Franek nie umiałby wpakować w szope beczek i skrzyń, nie, nie do tego on był stworzony; ale umiał on szukać słówek w słowniku, posiadał chudą i świętą wiedzę językową, żadne porównanie tu nie jest możebne, Wyższość nabywa się pilnością szkolną, a traci się ją przy robocie.

Na statku spotkał starego znajomego z ławy szkolnej, Pluskiewkę. Zjawia się on z za maszyny, niby błądy murzyn, napół zaledwie odziany, ze spoconą twarzą, z szeroko otwartą na piersiach koszulą. — Dzień dobry! — rzekł i skinął głową.

— Dzień dobry! — rzekł i Franek i szuka w pamięci, kto jest ten murzynek. — Czy to ty?

— Tak. A boś to nie wiedział?

— Nie — odparł Franek nieco obco.

— Jestem tu palaczem. Jakże się wie dzie Ablowi, dobrze?

— Ablowi? nie mógłbym powiedzieć nic innego.

Pluskiewa chce odświeżyć wspomnienia szkolne: a pamiętasz to? Czyś zapomniał o tem? — Śmiał się, polyskując białymi zębami i nie pomyślał nawet, że był powalany, stał w samym przeciągu i nie troszczył się o niego. Franek zmienił miejsce dwa i trzy razy i rzekł: — Tu tak ciągnie!

— Dobrze się miewacie wszyscy w domu, a siostry twoje?

— Tylko tyle słyszałem, że dobrze.

— Hahaha, tak zupełnie, jakbyś nie z domu powracał, — mówi Pluskiewka. — I jakie to dziwne, żeś nic nie wiedział, że ja pracuję na statku. Siostry twoje wiedziały.

Franek broniąc się jakby: — Mam tyle innych rzeczy do myślenia.

— Ale pamiętasz chyba, gdyśmy wybili szybę?
I że dyrektor nas zdybał?

Franek coraz bardziej i bardziej daleki, niemal na horyzoncie: — Nie, to już tak dawno temu.

Pluskiewka pojmuje uczoność towarzysza i próbuje zapytać go o niego samego: — Wracasz znów do uniwersytetu?

— Tak, to się rozumie.

— Ach, ty wielki świecie, jakże to już daleko zaszedłeś? Rychło pewnie zostaniesz księdzem?

— Księdzem? — śmieje się Franek. — O nie!

— Nie?

— Studjuję przecie języki.

— Aha, wszelakie języki świata. A tak, i to przecie nie bagatela. Wszystkie języki świata, podobnie, jak dyrektor. Reinert zato chyba idzie na księdza?

— Nie, nie wiem tego.

— Jakto, tego nie wiesz?

Franek odpowiada niechętnie: — Nie wiem, czem on ma zostać.

— Widziałem dziś rano Reinerta wchodzącego na statek, ale mnie chyba nie poznał.

— Bardzo to możliwe. Przecie takiś osmalony.

— Tak, alem mu się pokłonił — rzekł Pluskiewka i jał wybierać popiół z komina i wyrzucać go za burtę.

— Tak tu proszy! — rzekł Franek.

Nie, Reinert poznawał tylko tych, których chciał poznać, zaledwie nawet poznawał Franka, swego kolegę, który w dodatku ubiegł go nieco. Franek prawie że go nie widział na statku, Reinert jeździł drugą klasą i najchętniej przechodził do pierwszej. Ale Franek stał sobie na swem miejscu trzeciej klasy w poczuciu większej umiejętności językowej.

To, czego się Reinert uczył podczas wakacyj, nie było warte wspomnienia; trochę przeglądał książki, żeby uradować ojca swego, dzwonnika, ale więcej zajęty był poza domem. Reinert żadną miarą nie próżnował, zawojował całkowicie Lidkę i dziewczęta na Dokach, ba, a nawet mimo swój wiek młodociany uczynił znaczne postępy u Alinki Heibergów. Djabli niech go wezmą, jak ślicznie ten chłopak wyglądał ze swemi lokami i w swem pięknem ubraniu, a w dodatku takie miał junackie zachowanie, że dobrze mógł uchodzić za dorosłego. Doszło do tego, że usiłował nawet zaćmić pełnomocnika sołtysowego wobec dam, choć tu przecie miał do czynienia z człowiekiem, który już zupełnie ukończył studia.

Franek przechadzał się po pokładzie, zsiniały i zziębły, szukając sobie zacisznych miejsc, zależnie od tego, jak statek zakręcał. Pierwszą rzeczą, którą zamierzał uczynić, przybywszy do Krystjanji, będzie kupno płaszcza z aksamitnym kołnierzem.

Przeszedł właśnie mimo kajuty dla palących, a że drzwi stały otwarte naoścież, zajrzał do wnętrza i przystanął. Poczem ukłonił się i chciał przejść dalej, ale stał tu już nieco przydługo, a prócz tego znajomi przecie tam siedzieli akurat naprzeciw niego: adwokat Fredryksen z rodzinnego jego miasteczka, tęgi mąż, lecz gawędził z nieco pośledniejszym od siebie, z Reinertem; siedzieli i gawędzili, adwokat czyścił sobie nożem z perłowej masy paznokcie, obaj palili.

Franek nie wszedł do wnętrza, ale nie miał też powodu wymknąć się precz chyłkiem, — przecie na tyle znany i uznany był ogólnie; to też odezwał się tylko ode drzwi do Reinerta: — Spotkałem tu na statku Pluskiewkę, pytał o ciebie.

Reinert nie odpowiedział, lecz siedział i jakby mrugał oczyma i myślał.

— Jest tu palaczem na statku.

— Aha — rzekł Reinert nieobecny.

— Kto to taki Pluskiewka? — zapytał adwokat Fredryksen, jak gdyby o tem nie wiedział.

— Nasz towarzysz szkolny — odpowiada Reinert. — O tak, cieszę się już na powtórne ujrzenie „*Dzwonów Kornewilskich*“.

— Wcale tego nie widziałem.

— Klausen jest tam znakomity. Jest to zdanie ogólne.

— Tak, mało pozostaje mi czasu na cyrki i teatr, — grzmi adwokat Fredryksen. — Mam przecie swą pracę w Stortingu, a prócz tego jestem przewodniczącym jednej komisji parlamentarnej...

Franek zrozumiał, że nic tu niema dla niego do roboty i ruszył dalej. Zresztą powinienby wtulić się znów w zaciszny kącik i uśmiechnąć: wcale znał on lepiej języki, aniżeli tamci obaj razem, Fredryksenowi pozostały może resztki niemieckiego, — resztki wszystkiego!

To i co? nie mógłby się i adwokat uśmiechać? Z jego językami działo się, jak i z jego anatomją: wiedział, co wiedzieć potrzebował. Teraz powracał do swej komisji, doskonale wypoczęty, by rozpocząć tam, gdzie zaprzestał poprzednio. Owe posiedzenia komisyjne były nie do pogardzenia, gazety donosiły o tem, kiedy powracał do domu; mógł też podejmować pieniądze z kasy państwowej jako zwrot kosztów za drogę i utrzymanie, tam też spotykał kolegów i równych sobie wieczorami przy szklance lodży i długim cybuchu. A i rozgłosu mu z tem przybyło, pewne pisemko kresowe

wymieniło i jego, wśród wielu innych, jako przyszłego radcę: czyż nam to brak mężów? A asesor Fredryksen! Nie szkodziło to adwokatowi, że go wymienili, przeciwnie, wygrał nieco na tem, trochę wygrał, o, miał on przyszłość przed sobą! On i teraz już był człowiekiem, który mógł pozwolić sobie na to, by w trakcie rozmowy dobyć szczyryka i dłubać dokoła swych paznokci.

Tak więc jechała owa trójka dzieci jednego miasta do Krystjanji, każde w swoim celu, ze swą próżnością, ze swą przyszłością. Pluskiewka palił pod maszyną.

A miasteczko nadmorskie leżało w tyle za nimi.

Pozostawili pustkę po sobie każdy na swój sposób. Franek może najłatwiejszą do zniesienia. Komora opróżniła się, ale zato babka jego nie potrzebowała już dłużej chodzić na palcach w starej izbie i mogła teraz łomotać obręczami komina, ile jej się podobało. Oznaczało to nie tak małą zmianę na lepsze. Abel odziedziczył teraz komórkę po bracie, ale dla niego nie miało to wielkiej wagi, zajmował ją przecie tylko nocami, a zresztą Abel nie był naukowcem.

Zato adwokat pozostawił już głębsze ślady swym wyjazdem. Nie to, żeby kancelarja jego ucierpiała szczególnie z powodu jego nieobecności, sprawy jego nie były tak wielkie, aby nie mógł ich załatwić na ławie stortingu, otrzymawszy swą korespondencję nadesłaną pocztą. Ale pozatem miał przecie adwokat swą tymczasową umowę; panna Olsen odczuwała być może brak jego, w każdym razie cisza musiała zapanować po jego głosie. I co więcej? Ależ czekajcie, pora właściwa jeszcze nie nadeszła, lecz się zbliżała; gazeta kresowa wymieniła mężów przyszłości, a wśród nich i jego, z umową. Panna Olsen z pewnością odczuwała brak pewnych ciężkich kroków na schodach, jeśli już nie co

innego; sapiącego jegomościa, który wchodził, kark z faldą tłuszczu, ręka dotykająca jej: — Dobry wieczór, dobry wieczór! Jeśli nie należała do zapominalskich, pamiętać też musiała ogarki cygar w popielniczce, gawędę, rzeczowy sposób omawiania miłości i omawiania polityki norweskiej: — Co jest w gruncie rzeczy dążeniem naszym tu w życiu? Aby mieć dobrze, cóżby innego! Wznosimy się wciąż ze stanowiska na coraz wyższe stanowisko i jest nam coraz lepiej i lepiej, jadamy dobrze, ubieramy się dobrze, robimy oszczędności, stajemy się zamożnymi, posiadamy kamienicę w mieście i udział w statkach na morzu, mieszkamy w swej posiadłości, żeglujemy, o ile nam się chce, lub jeździmy, jeśli nam się tak spodoba. Nie czynimy nic, co nam nie wypada, nie zapuszczamy się w żadne ryzyka, niech się inni tem zajmują, każdy według swego upodobania! A pozatem — pozatem możemy puścić w ruch przedsiębiorstwa i dawać ludziom pracę, możemy też czynić dokoła siebie dobro, wyciągać rękę pomocną. Słyszymy naprzykład o bezdomnej rodzinie i pozwalamy jej zamieszkać w jednym ze swych domów: — Proszę, mieszkaj tu sobie, ty i rodzina twoja! — Słyszymy też o nieszczęśliwych wypadkach i okazujemy im współczucie, jesteśmy wszystkim raczej, lecz nie twardego serca; marynarze ponoszą kalectwa na swych niebezpiecznych stanowiskach — my się w to wdajemy i staramy się o ich prawa. W ten sposób stajemy się solidarni, pragniemy postępu i demokracji. Pozostawcie tylko nam załatwienie sprawy ze służbą wojskową, chorągwią, ojczyzną...

— Tak — rzekła wtedy panna Olsen.

— Czy nie prawda? Tak się przecież dzieje i tak dzieć powinno! Ale otóż świat w ten sposób urządzony,

że niedobrze człowiekowi przebywać samotnie, zarówno osoba jak i stanowisko wymagają pomocnicy, panno Olsen...

— Nie chce pan zapalić nowego cygara?

— Owszem, dziękuję. A więc, pomocnicy. Potrzebna ona z wielu przyczyn: dom mieć musi gospodynię, pomocnica powinna zająć się urządzeniem pokojów, zakupy gospodarskie przechodzą przez jej rękę. Ktoś przychodzi i pyta o męża, a on pracuje, jest w radzie stanu, ale żona go wyręcza. Zarząd domu starców lub jakiejś instytucji dla niedołączonych umysłowo życzy sobie jej cennego poparcia, a więc owszem, pani podpisuje wezwanie. O, ona jakby wzniesiona do wyższych poziomów, ku nowym zaszczytom, ale też i do nowych obowiązków. Nie może się ona wiecznie wymawiać, oko społeczeństwa czuwa na niej, a społeczeństwo ma swe wymagania. — Czy mogłaby pani podolać tym wymaganiom, panno Olsen?

— Ja? — mówi panna Olsen, śmiejąc się. — Nie, nie wiem sama. Owszem, pewnie żebym potrafiła, gdyby o to chodziło. A pan jak myśli?

— Ja wychodzę z tego założenia. A teraz pozostaje tylko wyświecić, czy i pani chce również. Od czasu naszej pierwszej umowy upłynęło już kilka miesięcy, miała pani czas do wielokrotnego zastanowienia się. Ale ja sam czekam jeszcze na pewne zmiany, mające wkrótce nastąpić, więc pośpiechu jeszcze niema, daję pani jeszcze dłuższy termin.

Wtedy panna Olsen pyta lekko zdziwiona: — Nasza pierwsza umowa mówi pan? jaka to umowa?

— Ależ, droga, nasza tymczasowa umowa. Czy nie pamięta pani? na ślubie siostry pani? Zdawało mi się, żeśmy doszli do porozumienia...

— Tak, nie rozeszliśmy się w niezgodzie.

— A widzi pani!

— Ale przecie to pan się sam umawiał.

— No, tak, o to nie będziemy się sprzeczać, bo ja mówiłem najwięcej z nas dwojga, ma pani rację. Dałem pani obietnicę...

— Ona się tylko tak trochę droży! myśli sobie pewnie adwokat Fredryksen. Ale dla wszelkiej pewności chce coś napomknąć, bąknąć, co mu właśnie do głowy wpadło. Ci malarze i artyści, którzy się tu do domu nazjechali, może mu nawet sprzątną dziewczynę przed nosem; nieprawdopodobne chyba, żeby się to stać mogło, lecz on w każdym razie napomknie o tem: — Złożyłem więc swą prośbę do stóp pani i tam ona spoczywa. Hm. A kto tam śpiewa na strychu?

— To malarze. Mają tam na górze swą pracownię.

Adwokat uśmiecha się: — Tak, ci chłopcy, te dusze beztroskie, śpiewają i malują na płótnie! O tym drugim wcale nawet nie mówią, ale szwagier pani jest przecie z wykształconej rodziny, ojciec jego i ja chodziliśmy jednocześnie na uniwersytet. Jakże się temu chłopcu powodzi? Taki młody człowiek nie ma nawet gruntu pod nogami, nie uczył się niczego poważnie, nie studjował. Innego wymienić nawet nie chcę, ale szwagier pani urodził się jakby dla wielkiej przyszłości. No, może mu się jeszcze poszczęści, może uda mu się od czasu do czasu sprzedać jakiś obraz, ja sam później kupię jeden u niego i pani polecę wybór.

— Co...!

— Tak, doprawdy, — kiwa głową pan Fredryksen, jak gdyby z góry, z wyżyny. — Kupię bilet i pani pozostawię wybór. Zgodzi się pani?

— Więc powierzy mi pan to?

— Powierzyłbym pani rzeczy daleko ważniejsze, oczywiście. A co się tyczy obrazów, to kupimy od niego nie jeden, lecz dwa. Tak właśnie. Ja wyjeżdżam znów do Krystjanji na służbę dla mego kraju. Niechże nasza umowa spoczywa do czasu, a gdy pora właściwa nastąpi, ufam, że myśli nasze będą zgodne...

Tak to się właściwie przedstawiała owa tymczasowa umowa. Adwokat zatem był nią głównie sam tylko zobowiązany! Patrzcie, przed kilku miesiącami załatwił sobie tę sprawę i to ku własnemu zadowoleniu, lecz dzisiaj wyobrażał sobie, że już nie będzie sam w tej umowie, że zdobędzie dla niej i drugą stronę. Ma się rozumieć, że panna Olsen się zgodzi, należy ją tylko zapytać, przesłuchać. Ale poszło, tak właśnie a nie inaczej, ona wprawdzie robiła nieco ceregieli, ale nic to nie znaczyło, wszystko skończyło się tem, że obiecała kupić obrazy do ich pokojów.

I adwokat Fredryksen wsiadł na statek.

A panna Olsen pozostała w mieście i rozmyślała w samotności. Ile to ona obiecała owemu człowiekowi? Nic. Ani najmniejszego źdźbła bożego. Ale czy kategorycznie odmówiła mu od pierwszej chwili? Niektóre kobiety nie odmawiają żadnemu mężczyźnie, ani jednemu; nawet najnieprawdopodobniejszy nadaje się jako przedmiot do rozmyślań. Panna Olsen nie należała do chciwych, do wyrafinowanych, ale człowiek ten nadarzył jej się, miała go na podorędziu, jeden lepszy jest od żadnego, przybywało jej lat, siostra była zamężna, Bóg wie, przyszłość jest przyszłością, radca stanu może być niebylejakim mężem, gdy zostanie radcą stanu. O, w każdym razie nie zawadzi pomyśleć o tem! Ale pożądliwie? Nie siedziała przecie pogrążona po nocy w kalkulację, lecz była to dziewczyna naturalna,

podobna do wszystkich innych, sama natura wiodła jej politykę. Nie odczuwała dotąd nigdy żadnego braku, miało więc jej braknąć adoratora? Miała poddostatkiem wszystkiego innego, teraz i radcę jeszcze dostanie, gdy on do tego dojdzie! Nie kryło się w tem nic niepojętego. Kura na grzędzie ogrodu też nie jest niepojętą.

Oczywiście, że panna Olsen musiała czuć brak adwokata po jego wyjeździe.

A czy brakowało go innym? Rodzinie Olivera? Nie sposób. Sam Oliver był chyba więcej, niż rad, gdy natarczywy kredytor znów opuścił miasto, a Petrę pewnie zużyły te wieczne latania do drzwi adwokata. Ich układy dobiegły nareszcie końca. Niepodobna chyba, aby Petra mogła coraz bardziej i bardziej polubić człowieka, który ją tak dręczył! z pewnością mowy tu nawet być nie mogło o afekcie z jej strony, tegoby jeszcze brakowało! A bo to kto słyszał o jakim cudzie i bezwzględnej miłości między nimi? a bo to mówiono u studni o tem, że oboje stanęli w płomieniu? bo to padło słowo: krótkie śpięcie? Do adwokata należał dach nad głową Petry, rozmawiała z człowiekiem, aby ten dach nad sobą utrzymać, — ot i wszystko. Z pewnością, że często musiała biegać i gadać w tej sprawie, a Oliver, mąż jej, mógł niekiedy zrzędzić, że nigdy skończyć tego nie mogła, ale czy to ona ubierała się w inny sposób, drastycznie a podniecająco, na te wizyty, jak w nowe gieleczko pod suknią? Oliver wiedziałby co o tem. Ona dostała te nowe gielezka, to się, widać, lubiła w nie odziewać. Petra — była zamężną kobietą i żadne zalecania się mężczyzn nie czyniłyby na niej wrażenia. Przed wielu laty, za czasów swej młodości, wyrznęła Szeldrupowi policzek za dobre słowo, coby więc dała takiemu teraz, kiedy już włosy jej siwieć

poczęły nad uszami, a dzieci jej były niemal dorosłe!

Oliver nie miał powodu do podejrzeń. Rzekł: — No, więc odjechał?

— Tak — odparła Petra. — I byłabym rada, gdyby już tu nigdy nie powrócił!

— Jakże to — myślisz, że odjechał na zawsze?

— Tego nie wiem. Cieszyłabym się, gdyby tam pozostał!

Oliver widział po swej żonie, że myślała tak, jak mówiła, skrzywiła się z obrzydzeniem i jednocześnie splunęła na bok. Wyraźniej wypowiedzieć się nie mogła. Petra znenawidziła adwokata.

— Tak, z niego to nie człowiek zbożny — rzekł Oliver. — Ale te adwokaty, kiedyż to oni byli inaksi — pytam!

— I to ci powiem — ciągnęła Petra — że następnym razem sam możesz pójść do niego. Ja się tam więcej nie ruszę.

Czy mógł to kto prawić wyraźniej! Oliver nie wziął jej tego za złe, przeciwnie, następnym razem on sam się przespaceruje do adwokata Fredryksena — rzekł, — załatwi się z nim krótko i węzłowato — rzekł — i kiwnął głową. I zamierzał rozprawić się z nim raz na zawsze, powie mu swe nazwisko: Oliver Andersen, i zażąda kwitu za całą kupę pieniędzy, którą ciśnie na stół temu krwiożercy. Kaleka i tchórz wymalował, jak to on postąpi sobie z adwokatem.

A zresztą Oliver doprawdy nabrał odwagi w ostatnich czasach. Poczucie, że ma pieniądze w kieszeni, wytworzyło w nim podniesienie się, charakter jego się poprawił. W pierwszych dniach po napadzie na pocztę czuł się jeszcze niepewnym i poprosił, aby mu Petra

wszyła kieszeń w kamizelkę. Petra gwizdnęła na jego słowa i przyjęła je za przechwałkę. — Mocną kieszeń! — rzekł Oliver. — Tak, z płótna żaglowego! — rzekła Petra. Musiał tedy Oliver zwrócić się do matki, aby mu tę robotę wykonano.

Teraz więc, gdy chodził ze swą kieszenią wszytą, wypchaną paczką banknotów, czuł się Oliver pewnym. Nikomu nie wpadnie do głowy zrewidować kaleki, który nic złego nie uczynił. Pieniądze za puch należały do niego.

Złościło go tylko, że pieniędzy tych nie wolno było pokazać jak się należy na światło dzienne. Uciechę sprawiłoby Oliverowi, gdyby mógł wejść do sklepów miasteczka, zażądać tego i owego, a potem wydobyć z kieszeni cały swój bank i zapłacić, ujawszy część z niego. Lecz ta przyjemność była mu wzbroniona, pieniądze należało używać, stroniąc od światła. Jedną dobrą stroną miały, że składały się po większej części z drobnych papierków, to też z nader ostrożnymi pauszami mógł sobie uszczknąć jaki papierek z paczki, i wymienić na towary. W ten sposób nakupił sobie cukierków, które mógł ssać codzień, a prócz tego trochę stroju, nowy krawat na szyję i krochmalny kołnierzyk; dziewczuchom kupił pantofelki z kokardami. I nikt nie podejrzewał go za te nadzwyczajne wielkie wydatki; kilka grubszych banknotów leżało nieodprutych w jego kieszeni.

Tak więc szło wszystko doskonale. Oliver większych potrzeb nie miał, zadowalał się łatwo. Żarłokiem chyba nie był, aczkolwiek nieco łakotliwy. Petra — to czyste jego przeciwieństwo: chciwa, żądna kobieta. A właśnie, że w tym razie przydał się Oliverowi nowy jego charakter, ustawicznie musiał wybaczać

Petrze i przykazywać jej łagodność. Szatan ją tam zrozumie. Stała się szczególnie gderliwa i niedostępna, jakby urzeczona, ani jadło ani trunek nie był jej dość dobry, to jedno, to drugie okazywało się nie po myśli, ostatnim razem przyniesiona kawa smakowała poprostu jak stęchła, i co to za kawę przynosisz do domu! rzekła. Zobaczyła u kupca Davidsena ser szwajcarski, a gdybyż to dotąd służyła za pokojówkę u konsula Johnseny, toby teraz jadła taki ser! Zresztą w oknie u golarza Holtego dojrzała też kawalek mydła żółtego, — takie mydło musiało pewnie pachnieć pięknie!

Ale Oliver, który siedział z pieniędzmi w kieszeni, mógł odpowiedzieć: — Nie bądźże tak pożądliva na wszystko co ci w oko wpadnie, Petro! Pomyśl lepiej trochę, co ty i ja zarabiamy! Jeśli mamy pomówić o tem, przyznać musimy, że dobrze nam się dzieje!

Petra jednakże objawiła się jako niepoohamowana i przekorna i poczęła swarzyć się z mężem. Zamiast tego, aby się ulęknąć kuli, która leżała na podorędziu, natrzęsała się zarówno z niej, jak i z niego samego i rzekła, że żyje z kulą, gada do kuli i leży obok kuli i musi umrzeć z kulą, — co to za życie! I w tejże chwili splunęła na stronę, akurat, jakby chciała rzygnąć.

Oliver mógłby podnieść swój silny korpus i rozłupać stół toporem, albo zarwać piec, albo w inny sposób dać jej jakie małe ostrzeżenie, lecz w miejsce tego uczynił coś nieoczekiwanego, wyszedł mianowicie na miasto i powrócił zarówno z serem jak i z kawalkiem mydła, i rzekł: — Pięknie proszę! — Niesłychane przeżycie! Petra na chwilę skamieniała wobec tego niepojętego faktu, potem do płaczu się uciekła: ona nie chce już tych rzeczy, nie pragnie wcale ich posiadać! Że też

z niego taki idjota i długi zaciąga na podobne bałamuctwa! Odnieś je z powrotem!

— Nie, miejże sobie to, czego ci się chciało — rzekł Oliver.

— Chciało mi się?! Może jej nie wolno pożartować sobie troszkę? Albo może nawet miała w dodatku zamilknąć i pary nie wypuścić życie całe? Pfe!

Musiało to chyba zboleć Olivera, że Petra spluwała jednakowo za nim, jak i za adwokatem, ale przemilczał. O, wielkie zmiany zaszły w człowieku, który nabył nowego charakteru! Oliver namówił żonę, by skosztowała sera. O tak, skosztowała, lecz go znów wypłula. Co to miało znaczyć? Ona nie tego sera żądała, niech jej tylko Oliver nie oszukuje! Petra aż zbladła z niepohamowanego gniewu i ostro przykrzyknęła na dziewczuszki, ponieważ się uśmiechały. Gdy zaś powąchała mydło, musiała zatkać sobie nos.

Niepodobna było jej dogodzić.

Ale mniejsza o to, ani Oliver, ani dziewczynki nic nie miały przeciw temu, by zatrzymać kupione specjały dla siebie.

Tak to powoli dni mijały, dni złe i dobre, starcia, drobne wypadki, niekiedy dni ze wspaniałem daniem rybnem, gdy Oliver wypłynął wieczorem na morze, niekiedy z pieczywem do kawy, gdy Oliver zamienił jaki banknot. Wcale naogół źle nie szło, rodzinie powodziło się bardziej znośnie, niż większej części drobno-mieszczactwa w miasteczku. Czy to wielu miało stałe zajęcie i kieszeń pełną banknotów!

Gorzej działo się nieszczęśliwemu pocztmistrzowi i jego rodzinie. Doktor wciąż jeszcze nie mógł dostarczyć żadnego polepszenia w tym tak ciężko nawiedzonym pacjencie; siedział, gdzie go posadzili, mil-

czący i pochylony, po części martwy. Nie możnaby też było przypuścić, że odczuwał wewnętrzne zadowolenie z czegoś, na tej podstawie że, pozostawszy w samotności, chichotał i śmiał się i uderzał po kolanach z uciechy. O, daleko od tego. Nie dostrzegłbyś wcale, że pocieszał się swą dawną filozofją, radością nad dziećmi, lub tem, iż tak bardzo go przerosły, że, Bogu dzięki, już teraz pracują dla lepszego żywota ziemskiego w następnej egzystencji. Pocztmistrz wyglądał, jakby nie myślał więcej, nie szukał więcej, nie wierzył więcej. Szukał on w ciągu długich lat pańskich i znalazł wreszcie ścieżynkę i odrobinę światła, tą więc podążył — aż, gdzieś daleko, przeznaczenie stanęło przed nim przeraźliwe i okropne i wstrzymało go. Rozmyślenia przygięły go ku ziemi.

Żona jego i dzieci dzielni byli ludzie. Jedna z córek miała objąć miejsce w sklepie konsula Johnsen, syn, który zajmował się rolnictwem, podtrzymywał go z całych sił, a nędzna pensyjka starczyła niemal na dłużej, niż oczekiwano, lecz tyle dorosłych osób żyć z niej jednak nie mogło. Żeby wyglądało, gdyby nie syn w Anglii, ów dzielny drugi sternik, nie przyszedł z pomocą. Gdy usłyszał o zrabowaniu poczty i o nieszczęściu ojca, zachował się, jak mężczyzna. We wspólnym liście prosił rodziców i rodzeństwo, by podczas swego doświadczenia pokładali nadzieję w Bogu, opowiedział, że i on cierpiał niewinnie za tę sprawę, że go przesłuchano i podejrzewano, ale że, oczywiście, nie pozostała na nim żadna plama. Wybaczył światu, iż go podejrzewano i oskarżono. Bogu dzięki, sprawiedliwość zwyciężyła, — w Anglii zawsze sprawiedliwość zwycięża. Wkońcu doniósł, że było chyba wezwanie do miasta, aby opamiętało się i przyszło do rozwagi,

tak niesłychane zdarzenie dotyczy nietylko jego i jego rodziny, ale wszystkich ludzi. Słowem, prawił nabożnie. Co za syn! Ani słowem nie wspomniał najważniejszego, a najważniejsze było, że, naraz, jakby musiał mieć lepsze środki, niewiadomo, czy uzyskawszy lepszą pensję, czy też znalazłszy nową kopalnię złota w ziemi Anglii, przysłał do domu dobrą sumkę pieniędzy i obiecał później więcej. Było to prawdziwem zbawieniem. Piękny jego postępek przyprawił matkę i siostry o nieoczekiwane szczęście. Poszły do ojca i opowiedziały mu nowinę, postanowiły wyłożyć mu ją nagle, aby wstrząsnąć jego zwiotczący mózg, miały nadzieję, że radość od jednego zamachu powróci mu rozum. Gdybyż tak naprawdę! Ale nie, zostały zawiedzione. Pocztmistrz wysłuchał ich, tak, a nawet zdawało się, że dokładał wiele dobrej woli, aby zrozumieć ich paplanie jedno przez drugie, ale zmańdrzeć od tego nie zmańdrzał. Czynił całkiem wrazenie, jakby już tę nowinę przedtem był słyszał, albo jak gdyby sam to sobie myślał, — jedyną zmianą w jego twarzy było chyba to, że trochę przybladł. Żona wybuchnęła płaczem.

— Nie — rzekł doktor — syn wasz, drugi sternik, nie jest w możności wyleczyć pani męża.

Pocztmistrzowa nie mówiła wiele z siebie, ale że ją ubodła niewzruszona i stała pewność doktora, zapytała: — Czemu nie?

— Tak, czemu nie? — odparł doktor. — Tedy więcej już mam nadziei, że pocztmistrzowi wreszcie samemu znudzi się siedzieć i patrzeć na swój pępek!

Podobna mowa wobec nawiedzonej rodziny, ba, wobec Boga! Ale był to jeden ze zwykłych sposobów doktora załatwiania spraw.

Doktór powraca do swego gabinetu. Pozował w tym czasie malarzowi, dlatego też nosił swój starzejący się surdut i swe prążkowane spodnie, które sobie sprawił na confirmację Fii Johnsen. Już temu wieczność cała.

Przechodzi mimo dubeltowego konsulatu Johnsen, a że ma zawsze czujne oko na ten interes, dostrzega rychło, że znów tam przybył nowy szyld: „Magazyn mód. Bluzki. Trykotaże. Ubieranie kapeluszy.“ Szyld musiano zawiesić nad drzwiami nocą.

Doktór przystaje i odczytuje go dokładnie, a, żeby nie mówić sam z sobą, kiwa głową i mówi do kłaniającej się dziewczynki, która przechodzi ulicą: — Nasz kawaler orderu uwielbia nowe herby!

Owszem, konsul Johnsen uprzętnął przybudówkę przy sklepie, tę, w której przez lata całe stały piece i kilka bron, i zamienił ją na magazyn mód. Poprostu.

Doktór idzie dalej i uśmiecha się, podchodzi do drzwi swego domu i trafia na malarza, który spaceruje, czekając na niego. — Odkrycie, młody człowieku! — woła doktor zdaleka — przeżycie! — Poczem zaczyna wykladać, o co idzie.

Naogół nie wdawał się doktor w rozmowy z synem malarza pokojowego, ale ten młodzieniec to jednak co innego, artysta i wcale nienieznaczny człowiek. nieuczony w książkach, ale z dość wielkim rozumem. aby słuchać, gdy wiedza przemawiała. Podczas seansów brano więc pod światło całe miasto, od nieszczęsnego pocztmistrza aż do Johnsenów w Przystani i Gryn-Olsenów, od Davidsena i Heiberga do adwokata Fryderyksena i kaleki Olivera — tego o wszystkich tych piwnokich bachorach w domu. Malarzowi dostał się nie jeden ciekawy szczegół o stosunkach miejskich, doktor

był dowcipny i złośliwy, o, nie brakowało mu wprawy w strzelaniu, zdarzało się jednak, że chciał być aż nadto gorliwym, że strzały jego, drżąc, utkwiły akurat obok celu. Doktor może przecież także pudłować.

— Młody człowieku, obcym tu pan jesteś — mógł się doktor odezwać — miasto całe, toż to gniazdo, dziura, ale beze mnie byłoby bagienkiem. Ale ja już ludziom daję co nieco do przelknięcia! — Tak to siedzieli obaj w gabinecie doktora, malarz malował, a doktor rozpuszczał język. W pokoju nie panował nazbyt wielki nastrój naukowy, aczkolwiek malarz życzył sobie tego, a portret miał się nazywać „Lekarz“. Doktor wyszukał kilka książek i poustawiał kilka szklanych naczyń medycznych, na stole leżała słuchawka, a na ścianie wisiał alfabet, według którego dobierano okulary ludziom o słabych oczach, w kącie zaś stało chyba też nieco sublimatu w filiżance — oto i wszystko. Gdzież był stół operacyjny i gdzie szafka oszklona z wszelakimi instrumentami? Oba krzesła, znajdujące się w pokoju, były to stołki drewniane. Żadnego mikroskopu, żadnego szkieletu, nie, żadnej nawet czaszki trupiej na znak niewzruszonej odwagi medyka w obchodzeniu się z umarłymi.

W takim to otoczeniu malowano doktora. Miłe to były posiedzenia, przerywane jeno przez tego lub owego pacjenta o nabrzmiałym palcu, lub przez młodą mężatkę o zastanawiającym bólu zębów. Doktor był pysznym modelem, pełnym życia, gawędziarstwa, goryczy, niewiary i kłótności, twarz jego zmieniała się ustawicznie, zachowując jedynie, jako niezmienną, niewzruszoną minę wyższości. O, jakże łatwo mógł przekonać młodzieńca, że miasteczko jest gniazdem i dziurą!

I otóż napotyka go tutaj przed drzwiami swego

domu i nie czekając nawet, aż wejdą do mieszkania, poczyną opowiadać swe przeżycie: — Młodzieńcze — adwokat Fredryksen nie jest jedynym, który łączy korzyści z miłością dla ojczyzny! — Jakże on ciskał strzałami, jakże on trafiał i chybiał na przemiany! Johnsen w Przystani otworzył sobie dziś w nocy magazyn mód. Zresztą pewnie to dzieło zarządzającego Berntsena. Jest on człowiekiem wielkich zdolności, a zarabiał tak mało na piecach i bronach i sprzedawał je tak późno, więc dalejże do mód! Mniejsza z tem, dobrze się to dobrało ze wszystkim innym w tym sklepie, Johnsen w Przystani sprzedawał przedmioty codziennej potrzeby do gospodarstwa, więc chciał też sprzedawać służącym ich pataluchy. Magazyn mód! A któż to będzie prowadził ten nowy oddział? Ano, pokrzywdzony pocztmistrz posiadał dwie córki, starsza z nich miała objąć ten wydział. Szczęście to dla Johnseny w Przystani, że pocztmistrz został zdruzgotany, a jedna z córek zmuszona była szukać służby. Pilna z niej i przyzwoita dziewczyna, ale otóż musi i ona wyjść poza swe niskie drzwi przy Dokach i zniżyć, by zarządzać magazynem mód. Nie uczyła się tego, ale nic to nie szkodzi, wiele do tego nie trzeba. Johnsen tanio ją nabył, ba, a nawet padł na niego pewien blask dobroczyńcy za to, że przyjął ją do roboty. Młodzieńcze, miasto jest dziurą...

Młyn huczał, malarz nie przychodził do słowa. Wkońcu wreszcie doktor rzekł: — No, wejdźmy, rozpoczniemy malowanie!

— Chciałbym chętnie sprzeniewierzyć się dzisiaj — mówi malarz.

— Tak, sprzeniewierzyć? I owszem. Ma pan co innego do roboty?

Malarz odpowiada: — Czuję się jakby trochę mniej usposobiony.

— Tak? No, to owszem. Do widzenia!

Ale doktor patrzył wślad za malarzem i powziął śnać podejrzenie co do powodów jego nieusposobienia, — wszak młody malarz niósł z sobą swe pudło do malowania, jak zazwyczaj? bodaj czy się nie gdzieindziej udaje?

A właśnie, malarz udawał się gdzieindziej. Otrzymał od pani konsulowej Johnsen zawiadomienie, aby przyszedł i domalował order Dannebrog do mężowskiego portretu, który był wykonał przed paru laty. O, ci konsulowie i konsulowe w miasteczku nadmorskiem! No, w małym liściku, który przesała malarzowi, dodała pani swe objaśnienie: Portret i przedtem jeszcze odznaczał się dobrem podobieństwem, pisała pani konsulowa Johnsen, ale Fia dopiero co wróciła z Paryża i uważa, iż nieco barw bardzoby ozdobiło obraz. Pasteur również był wymalowany z krzyżem legji honorowej na czarnym fraku.

XXVI.

Nastaje jesień i zima, nastają dni krótkie. Rozkosznie to na swój sposób stać w kuźni i mieć dach nad głową i kuć skrzące się żelazo, które jarzy się samo, a i jadła i trunku było poddostatkiem w domu kowala, tak, zaiste, gorzej działo się wielu innym od Abła. I sam on też uważał, że mu dobrze. Weźcie-no naprzykład, że samą robotę można było wykonywać bez rękawic i bez czapki! Wielki fartuch skórzany stanowił najważniejsze jego okrycie.

Majster Karlsen bardzo skapcaniał w ostatnich miesiącach i z coraz większym i większym upadkiem ducha mówił o swych siłach, bąkał o oddaniu kuźni, mrucał o śmierci; że śmierć, ta wstępuje do nas lub przechodzi mimo aż do następnego razu, ale umrzeć musimy wszyscy! Jesień srogą była dla niego, przeczekała mu i ubieliła włosy, myśli jego stały się nie liczne i nieświeckie, pozwalał sobie na długie chwile odpoczynku, podczas gdy Abel pracował. Oczywiście, że ograbienie poczty wywarło chyba na nim wrażenie. Brat jego, policjant Karlsen, nie mógł się powstrzymać, by nie opowiedzieć mu o przesłuchach w Anglii i o tem, że Adolf miał świńskie rysunki na ciele. Stary kowal odpowiedział: — To nie nasz Adolf. — Policjant Karlsen ciągnie dalej: — I pomyśl tylko: a przecie

był tu przez cały ten długi przeciąg czasu i wyladowywał statek, a do domu do ciebie nie przyszedł ani razu! — Ano, odparł kowal, pewnie ze siostrą się swoją spotkał, jeśli już tu był. Obaj chłopcy spotykają się ze siostrą, pocoby do mnie przychodzili? Nie czyń ty im krzywdy! — No, więc znany Adolf był tutaj? pyta policjant Karlsen. — Nie, — odpowiada kowal.

Same brednie. Żadnego w tem rozsądnego mniemania. Kowal Karlsen przyjął to zresztą inaczej, aniżeli pocztmistrz, nieuczony był i prosty, patrzył na wszystko z większem przyzwyczajeniem, w jego sposobie myślenia nie było hysterji, lecz rzemiosło, jako kowal należał do swego stanu. Dobrze to należeć do swego stanu, w przeciwnym razie staje się człek dorobkiewiczem i pochodzenie swe na nic spartaczy. A nie byłże kowal ojcem? O Adolfie wiedział daleko więcej dobrego, niż złego i nie rozpaczał. Nie więcej jak przed paru laty dreptał sobie chłopak po kuźni i zadawał pytania i kuł maleńkie kawałki żelaza i tłukł sobie palce i płakał, i wtedy go znów pocieszano, czy nie tak? Ten Adolf w Anglii musi być całkiem inny Adolf — a przecie i on palce sobie przytłukł, może nawet młody był jeszcze. Ludzie dobrzy wszyscy jednak, z wyjątkiem sekutników! — mógł się kowal odezwać. Ale w każdym razie wyzbył się snać nadziei ujrzenia swych synów, jako następców w kuźni, któż go więc zastąpi?

Do Abla rzekł: — Za rok wyuczysz się więcej, niżem ja umiał, kiedym rozpoczął pracować na siebie.

Chyba zmierzał on do czego tem powiedzeniem, lub też była to tylko pochwała i uznanie? W każdym razie wbijało to długi pozłocisty klin w głowę Abla, niezwłocznie myślał o Lidce i o przyszłości! Nie do

wiary, co za chłopaczysko! Był, jakim go widziano, krzepki i prostotliwy, umorusany, bez sztuczności, jak skra żywy, nabył z latami pyszną klatkę piersiową, a choć kudłate ręce jego wydawały się stworzonymi bez znacznej staranności, tkwiły w nich siły nielada. Buty swe sam sobie podkuł, a dla znawców takiej roboty, podeszwy Abła były czemś ekstra.

Gdy wieczorem wracał do domu, zaczekał na ojca swego i wtajemniczył go w stan rzeczy. Oliver, choć sam od tygodni wielu zajęty głębokimi rozmyślaniami nad czemś, co się w domu przytrafiło — Oliver wyzbył się na chwilę własnych myśli i słuchał syna z uwagą. — Sądzi widać, że to ty obejmiesz i poprostu prowadzić będziesz kuźnię! — rzekł.

— Aha! — rzekł Abel.

— Nie uważam tego za niemożliwe. A sam, jak myślisz?

— Nie wiem.

Ojciec głową kiwa, jak gdyby sprawa była dla niego załatwiona i oświadcza: — Inaczej nie miarkuję!

Z pewnością, Oliver był przyjacielem dzieci, do niego to one przychodziły ze swemi wątpliwościami i swemi kłopotami, on to posiadał właściwe współczucie, stworzony był na takiego ojca, który pozwala swym dzieciom wychowywać się samym. Abel, ten niesforny sowizdrzał, bąknął raz coś o tem, że się chce ożenić i założyć rodzinę, miał po temu swe powody, nigdy bo nie ustanie, nim jej nie posiadzie, rzekł. A nawet i wtedy ojciec śmiechem nie wybuchnął, lecz przeciwnie, głową skinął: że to nie głupie, wcale a wcale nie głupie, pod pewnemi względami, i że nie spadło to na niego całkiem nieoczekiwanie. Bo kiedy Abel w krótkim czasie stanie się kowalem miejskim i rze-

mieślnikiem, wielkim a rosłym w barkach, to będzie mógł, krótko powiedziawszy, czynić wszystko, co mu się spodoba, zaiste. Potrzeba mu tylko czasu, aby się postanowił i zagospodarzyć, zaopatrzyć w komin i izbę mieszkalną i tym podobne rzeczy, ale parę lat minie szparko, już to Abel zobaczy! — Abel zauważył, że nie-sposób, aby wytrzymał ze dwa lata w ten sposób. — Ano, niełatwo mi w to uwierzyć, odparł ojciec i ustąpił. — Abel nie przestawał: — Bo na każde wakacje przyjeżdża ten Reinert do domu i psuje mi wszystko. — Reinert! gwizdnął ojciec z drwiną, która mocno pocieszyła Abla, — ten smarkacz, nie starszy on nad lat ośmnaście albo coś koło tego! — Abel, któremu właśnie mijał chyba szesnasty, pośpieszył rzec: — I ja nie starszy nad ośmnaście. — Tak, ale różnica to wielka u ciebie. Tyś rzemieślnik i fachowiec, kiedy naukę skończysz, toś i czeladnik i majster któregośkolwiek bądź dnia. To właśnie, co ci prawię: czy jest na świecie jaka rzecz, która mija raźniej, jak rok lub dwa lata! A patrzajno, jeden żeni się i drugi żeni się, a nie są nawet tem, czem pomocnik jest dla mularza. Ale ty czemś jesteś! — Całem tem gadaniem chciał chyba Oliver powiedzieć, że czas znajdzie radę dla szalonego chłopaka na jego dziwactwa.

I dzisiaj także dodaje synowi otuchy, i rozwija swój pogląd na sprawę w wielu przyjacielskich zwrotach. Kowal Karlsen osadzi Abla na całej kuźni — jak Faraon osadził Józefa. — Powiem ci, Ablu, — rzekł, — że dzielny jako ty jesteś w swym fachu, i jako żeś wypełnił wszystko, co ci on nakazał, a do czego cię Bóg naznaczył, to nic innego mieć na myśli nie mógł.

— Ano nie — mniemał i Abel.

— Ustanowiony będziesz nad wszystkim dobrem jego, pójdziemy do domu i opowiemy to siostron

twoim, wielkie to są rzeczy. Jeden rok mniej znaczy, niż kto myśli; bo co jest rok jeden? Tyle tylko, że Bóg mignie jeden jedyny raz swem okiem, to i rok minie. A kiedy czem zarządzasz, to tak akuratnie, jakbyś tę rzecz posiadał. Siarczystą to różnica między dobrym zarządzającym, a złym zarządzającym, a kiedy ja zarządzam składem i wielkim śpichrzem konsula, to tak zupełnie...

Klituś-bajtuś, i bzdurzenie, rozczulenie i puszenie się. Aż wreszcie mówi ojciec: — Już to wy pracować umiecie, wy chłopaki, ty zarówno jak i Franek! A jeśli-byś chciał czekać na kawę, to ja mam z sobą placuszki, — mówi i chce zgotować synowi uroczystość. — Dziś sobota wieczór i nie trza ci jutro do kuźni.

O, lecz Ablowi śpieszno, i jest zajęty, umywa się czempredzej i znów odchodzi. Czyni wrazenie rybaka, któremu ryba idzie na haczyk, więc trza ją pociągnąć do góry. Ten Reinert znów był tu wieczność całą w ciągu lata i zatruwał mu życie. Teraz wreszcie już odjechał, ale i potem Lidka nie tak się zachowywała, jak powinna, Abel nieraz z ciężkiem sercem odchodził od niej wieczorami. Dziś wieczorem z daleko większą ulgą do niej idzie.

Zastaje ją w domu i wywołuje na ulicę, ona widzi znać po nim, że coś zająć musiało i podąży za nim.

Z początku podaje jej rękę, a gdy ona zwleka nieco zdziwiona, by ją ująć, wita się z nią siłą.

Lecz Lidka, akurat od czasu, kiedy poczęła pracować u konsula w Przystani, w jego nowym magazynie mód i szyć koszulki i bluzki, chodziła z igłą w ręce i ze szpilkami na piersi, ani dostęp do niej zbliżka.

— No, uklułam cię widzę — rzekła niewzruszona.

— Tak — i jemu wydało się to przynajmniej tak samo jasne jak i jej, uśmiechnął się kwaśno i zlizął krew.

Owo małe zdarzenie wcale nawet może nie było tak niefortunne, gdyż powstrzymało Abła, mógłby inaczej z miejsca powiedzieć najgorsze nieprawdopodobieństwa.

— Chciałeś co ode mnie? — zapytała.

— Po pierwsze — rzekł — mam objąć kuźnię jednego z najbliższych dni! — I potem już opowiedział wszystko prosto z mostu, przesadzając w wielu rzeczach i pomijając wiele drobnych pytań, które mu Lidka zadawała. A owszem, on był już czeladnikiem w swym fachu, skończy naukę równie łatwo tego, jak i przyszłego roku i będzie mógł robić co mu się zechce. Ojciec doradzał mu rozejrzeć się za kominem i za jaką izbą. . . . — Niema tu czego stać jak gęś i śmiać się! — rzekł urażony.

— Nie, — rzekła i uległa. Ale zresztą chyba że był on niespełna rozumu! niedawno konfirmowany, czy *był* już konfirmowany?

— Nie chcę ci nawet odpowiedzieć — rzekł.

Tak, ale na Boga, jakie on duby plecie! A matka jej śmiała się z niego za każdym razem, gdy go zobaczyła. Ileż on ma lat?

— Dwadzieścia trzy lata i trzy miesiące — odparł i wyglądał, jakby sam wierzył w swą dokładność.

Wtedy zaśmiała się Lidka w głos i raz jeszcze zapytała: — Ile lat, mówisz? Boże, strzeż mię od ciebie, Ablu!

— Tylkobyś się natrzasała! — wykrzyknął zgniewany. — A sama ile masz lat? O tem ty nie pomyślisz.

Lidka narówni z nim nie pragnęłaby uchodzić za małą, zaprawdę, wszak lubiła uchodzić za pannę krawcową i oddawna już nosiła długie sukienki. — Ja? — rzekła — ile ja mam lat? I poco pytasz? Nie chcę wcale tu dłużej stać i słuchać ciebie.

Abel zmienił ton: — Nie, tybyś tylko chciała słuchać Reinerta. Ale temu koniec nastąpi. Ani mi się wierzyć nie chce, że ty sobie co robisz z Reinerta, Lidko!

— Ja? Mama uważa, że z niego elegancki pan.

— Nie, ale on jest łobuz! — krzyknął Abel okropnie wzburzony, ja go między paznokciami memi ścisnę, gdy tu powróci. Rozumiesz to?

— Muszę już wejść do mieszkania — rzekła Lidka.

— Między temi paznokciami! — krzyczał i obie pięści wznosił do góry. — Już ja się tego podejmę!

Jasnym się snać dla niej stało, że znosił udręki, więc gdy nieco później oświadczył, że musi ją mieć i czekać dłużej nie może, była zgodliwa i odparła: — Nie, pewnie że nie może. — Nie przestawał mówić, głos jego nabrał obcych dźwięków, drżał, każde słowo mówił, jak myślał, a ona wreszcie odparła poważnie, nieco zbyt dorośle, jak na jej wiek dziewczęcy: — Tak, ale nie mogę powiedzieć, żebym cię kochała!

Uśmiechnął się z niedowierzaniem: — Ależ tak — rzekł. I nanowo począł mówić: że może przyjdzie im mieszkać u kowala na górze. Była tam komora, na niebiesko malowana, ze ślicznymi policami. Kowal z pewnością myślał, żeby mu oddać i tę izdebkę także, bo cóżby innego kowal miał na myśli z tem wszystkim! I tam to zamierza Abel ją schować, — dość już włóczenia się podczas wakacyj z tym smarkaczem, z tą panienką w spodenkach po kolana i frantem, — rzekł. Inne teraz życie nastanie! Abel postanowił kilka innych jeszcze

podobnych rzeczy i stał, odzywając się o nich jak najkorzystniej.

Lidka, jak się wydawało, rozsądniej to przyjęła, kiwnęła głową, gdy mówił o komorze, a gdy oświadczył, że chce w przyszłości powstrzymać całe to jej zabawianie się, uważała zapewne, że to bardzo surowo z jego strony, lecz że może i całkiem naturalne, aby tak postąpił, w każdym razie nie wystąpiła z żadnym protestem. Ale mało po mału, słuchając tak jego mowy, przymykała zwolna oczy, rzekłbyś własne swe źrenice straciła z oczu i nagle obróciła się i weszła do mieszkania.

Weszła do mieszkania i nie wracała!

Czekał na nią chwilę, wszak przez całe życie musiał się stosować do mniej poprawnych sposobów obchodzenia się ze strony Lidki i odejście jej nie było gorsze niż tyle innych postępków. Choćby wtedy naprzykład, gdy oblała mu ręce wrzącą kawą, aby zgolić z nich włosy! Albo wtedy, gdy podeszła do niego ze ścierką od podłogi i chciała zmyć czarny cień pod jego oczami, choć cień ten siedział w skórze i powstał z kłopotów!

Zamierzał akuratnie odejść, kiedy Lidka otwarła okienko we drzwiach i wyjrzała. Nie mogła, widać, dłużej się hamować.

— Widzę cię — rzekł — proszę cię, możesz znów wyjść. — Rozpiął nieco kurtkę i wysadził swój brzuch, tak, użył wkońcu tego niegodnego wybiegu z całkowitą świadomością w nadziei, że ona dostrzeże łańcuszek jego, do którego nie miał zegarka.

Gdy powtórnie wyszła na dwór, zapytała niewinnie: — Jakto, jeszcze tu stoisz?

— Tak — odparł z zimną krwią — czekałem na ciebie.

Udała, że wyszła po naręcz drzewa w szopie, a był to chytry pomysł, nie mógł przecie z nią gadać, gdy stała z pełnem ramieniem drzewa. Rzekł więc w kadcuznym tonie, z ruchem w kierunku swego łańcuszka: — Tak, tak, skoro tego chcesz, Lidko, mogę tu przyjść za pół godziny!

Właściwie nie miał z nią już chyba wiele do omówienia, ale nie o to przecie chodziło, chciał tylko być tam, gdzie ona była, cóżby innego! Pójdzie więc sobie kawaleczek na wybrzeże i zawróci, zajrzy jeszcze do Lidki. Gdy zachowa się grzecznie i nieszkodliwie, nie stanie jej się krzywda od nowej pogawędki, jemu zaś dobrze tylko uczyni.

I już to było obmyślane z góry, już też traf szczęśliwy — zastał ją w izbie całkiem samą, rodzice do snu się pokładli w komorze, a siostry wyszły, jako że to była sobota wieczór. Lidka szła i była przesadnie gorliwa.

Oczywiście, że zaraz chyba dojrzał, iż usta jej nieporównane były i słodkie, ale z grzeczności i aby nie być natrętnym, pocałować jej nie chciał, nie chciał wogóle postępować stronnie i tylko na swoją korzyść. — Myśmy dziś na niebardzo jakoś dobrej stopie byli, rzekł.

— Jakto — ona o tem nic nie wie. — Jakże to? Ależ nie siedźże tu i nie przebieraj w palcach tych białych wstążek, Ablu!

Jeśli to znów miał być ton, więc on i dziś wieczór, widać, nic nie osiągnie, a jeśli ona siedziała tu z większą jeszcze niż kiedykolwiek ilością szpilek na piersi, to, śnać, otoczyła się parkanem umyślnie. Czyż więc można się temu dziwić, że stał się zły i gniewny, gdy go przestrzęła co do tych białych wstążek! — Nie powinnaś być taką! — rzekł jej w odpowiedzi. Dotykałem się i

przedtem materji i aksamitu najprzedniejszego gatunku. Ale zresztą, nie mają tam moje palce nic do roboty, — dodał i ręce ku sobie zgarnął.

Nawet gdyby niewielką do niego czuła predylekcję, powinnyby się była wzruszyć i dostać łyzy w oczach i ręce dokoła niego zarzucić, ale nie, żadnej tkliwości.

Długo myślał nad tem, jak zdobyć miarę jej serdecznego palca, powinno to się stać, niby przypadkiem, potrzebna mu ta miara do pewnego celu i dlatego właściwie przebierał w tym skrawku wąskiej wstążeczki. — Takie masz cienkie paluszki, rzekł, twój palec serdeczny nie grubszy chyba nad tyle? Pokaż-no!

Jeśli on myślał, że ona nie ma jeszcze dorosłych palców, a tylko dziecięce, równało to się obrazie: — Nie, daj mi pokój! — rzekła. — Nie mam czasu!

Czy to byłoby napaścią, gdyby on ją poprostu objął i pocałował za to udawanie wielkiej osoby? Wprawdzie siedziała taka odpychająca, jakby od tego szkodę ponieść mogła, ale on porwał się jednakże i uczynił to, pocałował ją, stawiał czoło wszystkim szpilkom i całował ją przez chwilę. Poddawała się, jęcząc raz po raz: — Zwarjowałeś! puść mnie! czego ci się zachciewa! — ale poddawała się chętnie. O, Lidka i on czynili to już przedtem, nie pierwszy to dziś raz.

Potem już było jakoś w gruncie rzeczy przykro, próbował wprawdzie śmiać się i obrócić wszystko w żart, ale trochę nieudana była to sprawa. Ona poprawiła naprędce swe włosy i kołnierzyk, który zjechał na stronę, przyprawił ją o nieporządek, i urągała nie mało; poczem zamilkła i, rzekłbyś, nadzwyczajnie jej śpieszno było rozpocząć znów szycie. Okropną musiał jej, widać, krzywdę zrobić, zgorzona była,

tak zgorazona, zarówno tych ostatnich całusów, jak i wszystkich poprzednich, zdawała się żalować, jako na nic wyrzuconych.

Tak więc siedziała Lidka otoczona materiałem, koronkami, nićmi jedwabnymi i wstążkami, wyłożyła też na stół lepsze szycie swych sióstr, aby się niem pochełpić, sama zaś najwięcej przecie szyła podszewki. Na Ablu nie uczyniło zatem wrażenia, że poczyniła owe przygotowania, nie rozumiał on się ani trochę na paniach szyjących.

— Zupełnie ani wiedzieć o tem nie chcę, byś mię więcej całował! — rzekła nagle.

— Nie?

— Całkiem nie!

— Co takiego, pocałowałem cię? Niepodobna! — O, lecz zuchwałość jego nie pomogła mu nijak, musiał przyznać, że wszystko przeciw niemu mówiło. I nie pozostało mu nic innego, jak uciec się do dawnego środka, który jej już był niedawno wmówił na dworze: zapewnił ją ponownie, że ona jego mieć będzie i nikogo innego, a podczas wakacyj on jej nie odstąpi.

— Zamilcz! — rzekła.

— Pójdę już zaraz jutro i postaram się o komin — postanowił. — Johnsen w Przystani wyrzucił kilka pieców na pole, pójdę i nabędę jeden z nich, a rdzę już z nich sam zetrę. Tak, właśnie, jutro skoro świt to zrobię.

— No, tylko ty się odważ! — pogroziła mu w odpowiedzi.

Swarzyli się trochę o to, a Lidka była tą rozsądniejszą i miała przewagę: — Że też ty się mnie ani krzty nie wstydzisz! — rzekła.

— Tak, tak, mogę zaczekać z kilka dni — myślał Abel i odroczył, jak mógł najdalej.

— Kilka dni! — odparła współczująco.

— No, może i to nawet nie pomoże mi nigdy? — zapytał popędliwie. — Jeśli tak sobie myślisz, chciałbym o tem wiedzieć!

Odparła mu nieskończenie chłodno i z góry: — Tak, tak właśnie myślę!

— Że nie zechcesz mnie nigdy?

— Tak, przecież możesz się tego domyśleć — odpowiedziała. I poczęła zbierać na stole fatalaszki, jakby chcąc tem pokazać: ot co ja wszystko tracę w życiu, jeśli odpowiem mu inaczej w tej chwili! Odwróciła się, matka ją wołała do izby, Lidja mówiła:

— Idź natychmiast i połóż się, Lidko! A ty, Ablu, odejdź też w tejże chwili! I nie chcę wcale, abys mi się tu włóczył rankiem i wieczorem, no, więc już slyszales. I co to za przeklęte warjactwo u tego smarkacza! Czyś rozum postradał? Idź do domu i utrzyj sobie pod nosem!

Drzwi do komory zamknęły się i znów otwarły i Lidja raz jeszcze przemówiła do izby, piła wyrzekła swe ostatnie słowo: — Powiedz swemu ojcu, w mojem imieniu, żeby ci wsypał różgi w twój drugi koniec!

Abel — tak i siedział. Otóż podniósł się i stanął tak dziwnie, z krzesłem między nogami. Opamiętał się wreszcie nieco i spojrział ku zamkniętym drzwiom, potem na Lidkę. Twarz jego nabrała jakiegoś sinego wyrazu, ale trzymał się jako tako i rzekł z uśmiechem: — A to ci, do djabła!

Lidka nie przysłała mu z pomocą i nie uznała jego zuchowatości. Nie to, żeby go wyganiała, daleko od czegoś podobnego jak: — A pokwap no się, tu chodzi o życie, zmów Ojczenasz! — nie, Lidka przywykła do ostrego języczka swej matki i wcale go się nie stra-

chała. Ale gdy Abel podszedł do drzwi, wydało się doprawdy, jakby podobał jej się jego sposób znikania, nie wstrzymała go ani jednym słowem.

— Tak, tak — rzekł, aby nie czuć się docna zgubionym. — Tak, pójdę ja sobie z drogi, jeśli tak rzeczy stoją! — O, lecz chyba zbyt wiele obiecywał, zapytał nagle Lidki: — Nie mogłabyś ze mną wyjść trochę, abym mógł z tobą pogadać?

— Jeszcze czego! — odpowiedziała.

Abel poszedł do domu. Rodzice siedzieli i sprzeczekali się o coś, a że żadnego zainteresowania w tem nie miał, by się im przysłuchiwać, zniknął w starej komorze..

A przecie wcale nie tak nieinteresującą kłótnię wiedziono w nowej izbie; trwające od tygodni rozmyślenia Olivera nad pewnym tematem znalazły sobie wreszcie wyraz w pewnym rodzaju przesłuchu żony: Petra mianowicie znów była w innym stanie i jakim to sposobem, na miłosierdzie boskie!

Dziwne, że Petra sama starała się jak najdłużej skryć swą okrągłość, akurat, jakby zameżna kobieta nie miała prawa przytyć, tak, jakby się puściła na coś przewrotnego; może to właśnie przedewszystkiem wzbudziło podejrzenie Olivera. Ale dziś wieczorem, gdy on ją do muru przyciska bezpośrednio oskarżeniem, Petra nic więcej nie skrywa i nie zaprzecza niczemu.

— Petro — rzekł — widzi mi się, ty znów jesteś gruba?

— Gadasz! — odparła.

— I jakżeś ty, do wszystkich djabłów, przyszła do tego?

— Na nic zda się, widać, przeczyć przed tobą — rzekła, pochlebiając mu. — Bo ty dojrzysz wszystko..

— A tak — rzekł, — widziałem to już od wielu tygodni.

Petra zdążyła przygotować się, nie zwałał wina na niego i nie rzekła w ten sposób: — Jakem ja do tego przyszła, sam wiesz chyba! — Nie, ona cios podjęła, ale odwróciła go, uchyliła na stronę: — Skąd ja do tego przyszedłam? — rzekła. — Przecież nie większa to bieda, że ja dostaję dziecko, niż że Maryna Salt dostała dziecko.

— Jakto — Maryna Salt? — A co ona ma z tem wspólnego? — Oliver nie znajduje słów.

— Tak, powiem ci to wręcz, — ciągnie Petra dalej i prawie że surowo patrzy na męża, jakby pokrzywdzona. — Starsza ona była, niż ja teraz jestem i całkiem nie rozumiem, na co to się pewni ludzie tak zagapili u Maryny.

— Nie rozumiem całego gadania twego.

— No — rzekła Petra. — Ale to ci powiedzieć mogę, że cię posądzają, żeś ojcem dziecka Maryny Salt.

Oliver zbaraniał. Czy ludzie oszaleli! Rzekł: — Ty, tyś chyba rozum zgubiła!

Petra mruknęła i wyglądała, jakby więcej jeszcze pokrzywdzona.

— Żeby tak od wszystkich grzechów był wolny! — rzekł Oliver.

— Sam wiesz, czem jesteś! — odparła nieprzejednana.

Duma bodnęła Olivera, począł w niej smakować. Zaiste, wszystko razem wzięwszy nie miałby nic przeciw takiemu posądzeniu, nie zamierzał z pewnością uważać go za hańbiące, może co najwyżej nieco obrażające. — Któż ci to wmówił takie łągarstwo! — zapytał.

Petra odrzekła: — Powinno ci być wszystko jedno, kto to taki. Ale jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to Mateusz.

— Mateusz tak powiedział?

— Tak. I miał pono swe powody ku temu.

Oliver zamyślił się nad tem, nasadził czapkę na bakier i napuszył się. — Na wiele to się bywa narażony! — rzekł. — Ale zresztą nie dbam o to, co ty i Mateusz myślicie o mnie. Ale niech on zbyt pewny nie będzie, że go do sądu nie podam.

— Nie pomoże to skarżyć tylko Mateusza. Musiałbyś skarżyć całe miasto.

— Gada całe miasto o tem? — pyta Oliver.

— Tak, nic innego nie słyszałam.

I znów zamyślił się o tem i rozważał. Znalazł się naraz w przedziwnej, wysoce nieoczekiwanej sytuacji, Boże pociesz mnie! Należałoby zużyć ją do czego, wykorzystać, począł nucić podczas myślenia. Petra spojrzała na niego badawczo i stała, widać, nic nie rozumiejąca wobec owego szczególnego, co zachodziło obecnie w tym człowieku, w tym spartaczonym człowieku. On nuci? Być może, czuł się w tej chwili szczęśliwszym, niż był nim w ciągu lat dwudziestu, może czuł w sobie przywróconą znów godność, wartość, widział się zrehabilitowanym dzięki oszustwu, wśród fałszywego światła, ale zrehabilitowany. Czemu siedzi on tutaj i ma wygląd zasobnego i obfitującego? Czyżby otrzymał chleb i wino i błogosławieństwo, czyż niebo otwarło się nad nim, czyżby stał się cud? Patrzejcie, nieborak już nie jest sobą, jeździł ongi po szerokim świecie, a w tej chwili śnać, znów jest na morzu, siedział, obliżując się i buńczuczyl się, naśladował siebie samego z dawnych czasów, gdy szczęściło mu się dostawać

piękne kochanki w miastach portowych. Petra przyzwyczajona była widzieć go jako tłustego i obojętnego, przylepionego do swego kostura, lub przewalającego się w krześle u końca stołu, — o, był, niczem te meduzy, które leżały dysząc w śmiertelnej głupocie i nicości na krańcu wybrzeża. Teraz natomiast siedzi i ma jakąś pełną zadziwienia radość nad czemś, i co to takiego?

Petra rozumiała go coraz mniej i mniej, a to nucenie mieszało ją. Gdyby nie była całkiem pewna, podszłaby do niego i przyjrzała mu się, czy to tylko Oliver Andersen i czy ma dobrze w głowie. Przywołała go z powrotem do rzeczywistości, mówiąc: — Wciąż ino śpiewasz!

— Co?

— Śpiewasz tylko, mówię.

— Śpiewam? Ano, tak mi się zdarzyło, trululu! Nie, ja nie śpiewam.

— Tak, ty tylko próżnuj. Niektórzy ludzie trele tylko w głowie mają.

I co teraz Oliver zrobił? Powstał z krzesła i pochwycił ją. Małpa, naśladująca giesty innych, dwie niewprawne ręce na połowie. Udawał, czynił, jakoby nie mógł ostać się słodkości jej osoby, rozpustności w niej, wysunął język, śmiał się swemi wilgotnymi usty. O, ona znalazła się na rzeczy! Gdyby poznała, że zbytki jego zawierają w sobie choć odrobinę czego, byłaby poszła mu naprzeciw, tak, mogłaby mu nawet przewodniczyć, ona wszakże cofnęła się teraz tylko przed tym pustym wybrykiem i dreszcz nią wstrząsnął. Gdy to dojrzał, opadł z powrotem na krzesło, rozmiękł i niesamowity.

Petrze trudno, widać, powstrzymać się od splnięcia. Zdrową miała naturę, meduza na końcu wy-

brzeża napawała ją obawą i wstydlivością. Aby wyrównać znów rzecz całą, przestała patrzeć na niego i rzekła, jakby do siebie samej: — Nie, żebym to ja mogła odgadnąć, coś ty takiego dojrzał w tej Marynie Salt!

Oliver odparł słabo: — Zamilcz! Ja tego nie zrobiłem, słyszysz!

— Sam wiesz, co zrobiłeś!

— Tak, krzyżyk ci na drogę, wiesz ty sobie tylko! Ja tam o to nie dbam.

— Ano nie, to się rozumie — odpowiedziała Petra niby męczennica. — Jesteś chłopem w domu, a nam drugim nic powiedzieć nie wolno na twoje postępowanie.

— No, ze mnie znów nie taki już tyran?

— E, na mnie ty się w każdym razie nie oglądasz — rzekła.

Oliver powolutku znów stał się dawnym Oliverem, zapytał nie bez sporej ciętości: — No, a któż to taki się za tobą oglądał?

Odpowiedzi na to żadnej nie otrzymał i może nie życzył jej sobie wcale, ale Petra zuchwałą była i umiała w każdym razie odgryzać się dobrze: — Gdybym to ja tylko była z tych, co to chcą, tobyś już zobaczył, — rzekła. — Ale ja nie z takich. Nie taka ja pożądliva, żeby węszyć dokoła, jak ty to czynisz, a Maryna Salt ma już najmniej ze sześćdziesiąt lat, więc ją sobie możesz chętnie wziąć!

No, Petra wcale więc wyzbyć się nie chciała tej idjotycznej myśli. Czyż więc nie było to rozsądnie, że Oliver, zrobiwszy dobrą minę, pozwolił, by rzecz za taką uchodziła? Petra poczyniała już wmawiać mu, że doprawdy go podejrzewała, a z tego podejrzenia

jemu tylko korzyść a nie strata przyjdzie, jeśli wykorzysta je właściwie. — Tak, tak, — rzekł i uległ pół na pół, — przecie i ja mogę mieć swe błędy, nie znam człowieka, coby nie miał swoich błędów i wybryków i pożądań.

Zadziwiająco, jak łatwo zdobył on na to zgodę Petry i od tej chwili wcale już nie byli z sobą w niezgodzie, przeciwnie — ton zapanował lekki i swawolny. Przesłuchy żony, pytanie, jakim to ona znów, do wszystkich djabłów, sposobem brzemienną się stała — to się zatarło i zniknęło. Oliver przepuścił to, ba, poszedł dalej i wyraził jej nawet coś w rodzaju uznania, bąknął słów kilka o tem, że płodność miała szatańską: czterdzieści i ileś tam lat a taksamo szalona, jak przedtem.

— No, jakże — rzekła napoly żartobliwie — czyżem ci znów dobra?

— Ty? — zawołał. — Nie znam ci równej, za prawdę. I to powiedzieć muszę, że już masz to w sobie, ta pochwała ci się należy. Boś ty, Boże mi łaskaw, nie wynalazła plci w sobie, wypatrując jej — rzekł — ale ty masz ją w sobie.

XXVII.

Nazajutrz rano Oliverowi znów, widać, powróciły jakie takie powątpiewania. Pyta więc Petry: — Nie, doprawdy, tak Mateusz powiedział?

— Co takiego?

— Że to ja jestem ojcem dziecka?

— Tak, słyszałeś!

— Nie rozumiem, jak on mógł wpaść na coś podobnego.

Petra ręce na bokach opiera i odpowiada: — Nie, boś ty taki obcy temu wszystkiemu, ale Maryna wiechyba sama najlepiej.

— To i Maryna tak mówi?

— W każdym razie chłopaka po tobie przezwała.

— Po mnie? — zawołał Oliver. — I jak mu na imię?

— Ole Andrzej.

Milczenie. To tak prawie, jakby szpunt w otworze, tak, w tem coś *było*, a jednak... O, te kobiety — szatany do różnych wymysłów!

Petra kończy: — Więc już Mateusz miał swe powody na to, by powiedzieć, co powiedział.

Wtedy Oliver, zdawało się, przystanął i namyślał się: — Ale jakżem to ja mógł uczynić? — A gdy opuścił izbę i poszedł do Mateusza, wyglądało, jakby chciał dowiedzieć się bliższych szczegółów.

Niedziela rano, zastaje więc stolarza napół odzianego w kuchni. Dziecko jest przy nim, Maryna Salt poszła do kościoła. Stolarz patrzy ze zdziwieniem i obcością na człowieka, który, kulejąc, wtacza się do niego z ulicy.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry.

Milczenie. Ponieważ Oliverowi nie proponuje krzesła, musi zająć miejsce na skrzyni z drewnem. Zamieniają słów kilka o pogodzie, o mrozie, który nastął, Mateusz skąpy w słowa, ale od czasu do czasu zagaduje do chłopaka na podłodze.

— Urósł — mówi Oliver.

— Tak, to się wie.

— W jakim on wieku? Patrzajcie-no, nawet i zęby już dostał! Jakże się on nazywa?

Stolarzowi oczy nabiegają gniewem i mówi: — To ci może być wszystko jedno. Nie nazywa się inaczej, jak to dziecko tutaj.

— Pytałem tylko. Mnie się to tam zresztą nie tyczy.

— Matka dała mu paskudne imię, ale miała, widać, potemu swe powody.

A że stolarz taki wrogi i niesposób wydobyć z niego żadnego określonego napomknienia, gada Oliver sam: — Do kogo możnaby powiedzieć, że on jest podobny?

— Do matki — odpowiada Mateusz krótko.

— Tak, do matki. Ale ze strony ojca?

— Kogo wypytujesz? — wybucha Mateusz rozgorączony. — Może to ty znasz ojca?

Oliver śmieje się i przyjmuje to niby dobrotliwie, ale musi się też ująć za sobą: — O, z ciebie zawsze ten

sam dawny Mateusz! Żeby tak nie miał żadnych grzechów!

— Tak pewnie mówią wszyscy, gdy się zanosi na co poważnego.

— Co ty masz na myśli?

— Co ja myślę? Że wszyscy bez wyjątku tylko przeczą. A ten, który przewinił najwięcej, ten przeczy może najsilniej. Nigdy nic innego nie słyszałem. Posługuje się przekupstwem i płacą, i pieniądze wykłada, aby tylko ludzie trzymali języki.

Tak, Oliver zgadza się z nim i lituje się nad matkami, lituje się nad dziećmi: — Biedne dzieciaki! — mówi.

— I to też gadają wszyscy — odpowiada Mateusz i bierze dziecko na kolana i mówi do niego: — No, co, odeszła cię matka, widzę? Tak, tak, spoglądasz na drzwi, ale ona pozostanie jeszcze z godzinę, ona się o to nie kłopoce. Patrzaj na mój zegarek!

Oliver milczy, nie słucha gadaniny stolarza, myśl naraz w nim powstała. Oliver posiada swą ospałą przebiegłość, głowa jego pracuje najlepiej w ciemności i na drogach ubocznych. W tej chwili jedna ręka jego manipuluje w kieszeni wewnętrznej, wszytej w kamizelkę, o, tak pokryjomu, tak po złodziejsku, tak tylko, jakby się przypadkiem drapał. Zaczem unosi cokolwiek parę papierków i spoziera na nie, czy się nadają, a następnie siedzi jak mysz, cicho. Z tej odrobiny, którą Mateusz powiedział, nic stanowczego nie dałoby się wywnioskować, nie wyraził się dość wyraźnie i Oliver znów musi gadać, co ma do gadania. — Słyszałem, opowiadali, że chłopakowi na imię Ole Andrzej, ale chyba, że to nie tak? Nigdybym temu nie uwierzył.

Stolarz wściekły: — No, o tem słyszałeś? Więc

czego się, u licha, pytasz? Zdaje mi się, żeś przyszedł tu na przeszpiegi! Czego tu chcesz?

Oliver łagodnie i żadną miarą nie niezadowolony ze wzburzenia przeciwnika: — Nie, mnie tam całkiem nie obchodzi, jak się chłopak nazywa i więcej się o to pytać nie będę...

— A tak, kiedy już wiesz — sapie stolarz przez duży nos.

Po upływie dobrze wyrachowanego milczenia mówi Oliver tak samo powolutku, jak przedtem: — Tak, dziwi cię to pewnie, że przychodzę tu do ciebie, Mateuszu?

Mateusz więc mówi: — Tak.

— Widzę to! — Ale Oliver podnosi oto dwa papierki na światło dzienne i pyta: — A tak, przyszedłem tu z pewnej przyczyny. Ile to w swym czasie kosztowały drzwi, któreś mi był zrobił?

— Drzwi?...

— Któreś mi wziąć pozwolił. Chcę je zapłacić. Przewlekalo to się dość długo, ale nie było mi poręcznie zapłacić dotąd.

Mateusz stolarz miesza się kompletnie i tyle tylko może powiedzieć: — I teraz niema żadnego pośpiechu.

— Nie mogę żądać, abyś mi borgował do dnia sądnego.

— Drzwi? Nie, z drzwiami nie było pośpiechu. Czyś ty o te drzwi tu przyszedł?

Oliver mówi z godnością: — Widzisz, Mateuszu, tyś mi rachunku nie przysyłał, więc byłem trochę uniewinniony; ale teraz już o cenę nie stoję, chcę zapłacić każdy oere. A jeśli co między nami zaszło złego, chciałbym to dzisiaj wyrównać.

Mateusz mruczy, że wina mogła być po obu stronach. Żałuje widać swego uniesienia i mówi: — Nie możesz to usiąść tam na krześle! — A zresztą i teraz jeszcze jest powściągliwy i zdaje się nadal nierad wżycie, — mówi najczęściej do chłopca.

— Tak, jemu tu dobrze u ciebie! — oświadcza Oliver. — Wielkie to szczęście dla niego! No, powiedzcie mi, Maryna zasługuje na podanie ręki. Ona nie jest źle zbudowana.

— No — mówi Mateusz.

— Wcale nieźle zbudowana. A przed paru laty, kiedy dostała dziecko, jeszcze nie taka stara była, jak teraz. Więc nie powinniśmy się jej tak bardzo dziwować.

— Nie, niewolno brać zegarka do buzi i pakować go do gardła, dziecko! A co się tyczy tamtej rzeczy, nie zawsze ona od wieku zależy — mówi stolarz rzeczowo i odwraca się do Olivera. — Ino to, że nozdrza takie mają, któremi strzygą i strzygą.

— Hahaha, tyś to akuratnie utrafił, Mateuszu! Cóżem to chciał powiedzieć: on ma oczy brązowe, widzę.

Żadnej odpowiedzi.

— To mają być dobre oczy, te piwne oczy. Ale co do mnie, to miałem oczy niebieskie, a dałem sobie i z nimi radę w życiu. Ale prawie wszystkie moje dzieci mają piwne oczy, tak akuratnie, jakbym innych dzieci dostać nie miał, jak tylko z piwnymi oczami.

Stolarz i nadal o nic go nie oskarżał, ale też i z niego nie zwalniał, odparł: — Matka jego ma oczy brązowe. A zresztą nie trza, by dziecko słuchało takiego gadania, chłopak to rozumie.

— On nie rozumie tego.

— On? Tybyś o niczem takim mówić nie mógł, czegoby on nie rozumiał. O niczem na całym świecie. Powiesz tylko: drzwi, to on ku drzwiom spoziera, a śpiewasz sobie przy heblarce piosenkę, pojmuje, że to dla niego.

— Moje też były takie samuśkie — mówi Oliver.

— Z niego to całkiem niesłychany chłopak — ciągnie dalej stolarz — Muszę się wystrzegać, żeby się nie wyuczył czytać dziennika od jednego końca do drugiego z samego przysłuchiwania się mnie. Pacierz wieczorny i ręce składać — to nic dla niego.

— Akurat jak dla moich! — oświadcza Oliver.

— Nie — wydobywa się z stolarza — takiego dzieciaka, jakim on jest, chyba nigdy jeszcze nie było.

Oliver powtarza: — Tak, poszczęściło mu się w każdym razie, że się dostał do twego domu! Ale naogół Oliver rozczarował się co do obrotu rzeczy, wskórać nic nie wskórał, do niczego nie doszedł, musi posunąć się dalej, bliżej przepaści: — Cóżem to znów chciał powiedzieć, taki zapominalski ze mnie! Ano, siedzę tu, jak widzisz, wedle pieniędzy, ale wpadło mi do głowy, żeby cię o jedną rzecz zapytać... a właśnie! masz tu dzieciaka u siebie i pokochałeś go; ale co, jeśliby tak pewnego dnia przyszedł ojciec jego, przyznał się i zeznał—?

Stolarz spytał szorstko: — Może ty chcesz przyjść z nim?

— Ja? Z ojcem? A skądbym ja go wziął? Ja tylko kaleką jestem.

— O, po tobie spodziewać się można wszystkiego!

Oliver uśmiechając się: — Nie chciałbym wydać się lepszym, aniżeli jestem. Lecz nie o tem przecież mieliśmy gadać. Ale któregoś pięknego dnia może dziecka już więcej u ciebie nie będzie...

— No, może chcą przyjść i wziąć go? Niech po próbują tylko! — groził Mateusz.

— Myślałem, że jednego pięknego dnia sam chyba stan swój zmienisz i ożenisz się, a wtedy dokąd dziecko podziejesz?

— Dokąd? — krzyknął stolarz. — Myślisz może, że go wyrzucę? Nigdzie on nie pójdzie, na to ja swą głowę daję!

— Ale jeżeli ojciec przyjdzie...

— Kogo tu siedzisz a świdrujesz, a wypytujesz? Czego tu, do szatana, chcesz się wywiedzieć? Boisz się czego, drżysz o swoją własną skórę? Siedzisz i napychasz uszy jego po brzegi nieprzyzwoitem gadaniem, nie chcę nawet wiedzieć nic o tem.

Oliverowi udaje się ledwie wtrącić: — Ja? Nie, ja nie gadam nieprzyzwoitości, ja tylko siedzę tu z pieniędzmi dla ciebie, z temi dwoma papierkami...

— Słyszał to kto coś podobnego? siada tu i udaje niewiniątko i gada paskudztwa! Pieniądze — to i co z niemi? O! — wykrzykuje nagle. Wreszcie widać i Mateuszowi Stolarzowi otwarły się oczy, blednieje ze złości i podnosi się z chłopcem na ramieniu: — Schowaj ty sobie twe pieniądze, i idź skąd przyszedłeś, ja ich posiadać nie chcę!

Tak, Oliver powstaje i nie chce bójki, ale podjudza stolarza i mówi, chromając w stronę drzwi: — He, he, to tak prawie, jakby dziecko twoje było! A może to ty jesteś jego ojcem?

— Mówisz: ja?

— Pytam tylko — odpowiada Oliver. I teraz już wątpliwości niema, że chce podżęgać dalej Mateusza Stolarza; mówi: — Przecie to prawda, żeś łóżko dla niego zrobił?

Mateusz się broni: — To nie miało być dla niego. A ty leżysz może na gołej podłodze? Nie słyszałeś przedtem, żeby dziecko łóżko miało? Ale teraz precz mi z domu, jakem rzekł! — woła Mateusz i odsadza od siebie chłopaka. — A zabierz ze sobą twe pieniądze przekupne! Haha! myślałeś kupić mię, żebym milczał o tem, żeś ojciec! aleś mię nie nabrał, schowaj sobie swe banknoty dla kogo innego! O, jaka też z ciebie świnia! Precz z domu, mówię!

I Oliver wychodzi.

Wygląda na bardzo zadowolonego, zdawało się — wcale mu lepiej pójść nie mogło, niż poszło, zaprawdę. Otóż i znów nuci. Gdy powrócił do domu, zastał Petrę gotową pęknąć z ciekawości, ale on nie objaśnił jej niczego, tylko puszył się jeszcze bardziej i stanął we drzwiach chaty z ręką za pazuchą, jak gdyby wcale a wcale zimno nie było, i z tego miejsca przemawiał żartobliwie do kobiet i dziewcząt, przechodzących mimo.

— Dobre czasy, zgoda w domu i radość z życia — O, my się wznosimy, coraz wyżej i wyżej wzbijamy się w górę, daj Boże, abyśmy i nadal tak mieć mogli! — Wyrażało to się w nader pięknych postępkach: Mateusz Stolarz miał przecie tę skrzynkę czerwoną na ścianie, Oliver zaś kupił klamkę mosiężną do drzwi i rzekł do Petry: — Pamiętaj, żebyś mi ją czyściła do glancu! — Z narażeniem się na niebezpieczeństwo schwytania przy szastaniu pieniędzmi, kupował drobne podarki córkom i żonie i był dobroduszny, ba, częściej niż przedtem wracał do domu z tutką kawy dla babki — co go zresztą pewnie nic nie kosztowało.

Jakże radosnem stało się życie! Zima minęła, rok upłynął i Oliver miał rację, że nic tak szybko nie

upływa, jak rok. Nic wielkiego nie zaszło, ale zawsze dość dla urozmaicenia, rodzina do więcej nie przywykła. Dziecko okazało się znów z tych błękitnookich, i tego żaden djabełby tak w jednej chwili nie wyśledził, ale kwestja owa nie miała już więcej onego ogromnego znaczenia, co w dawnych czasach. Może ma Petrę wziąć na spytki? A jakby to wyglądało, gdyby go samego na spytki wzięto? czy i on nie był osławiony w mieście? Gdy raz dziwił się z pewną cierpkością tym nowym oczom błękitnym w rodzinie, Petra odrzekła: — No, a ty i ja nie mamy to oczu niebieskich?

W rozmowie z Jörgenem Rybakiem, starym jego przyjacielem, Oliver zaznaczył, że i rośliny w polu nie są jednakie: niektóre rodziły owoce nad ziemią, inne zaś pod nią. — Weźno naprzykład jabłka: niektóre są czerwone, a niektóre żółte. A potem zaś weź ziemniaki, co to rosną pod ziemią: jeden gatunek ziemniaków jest żółty, inny znów gatunek całkiem siny. Tak samo rzecz się ma z naszymi ludzkimi oczami, że bywają najwyszelakszych kolorów. Myślałem już sobie, że to może pochodzi ode mnie samego: że kiedy najbardziej wściekły jestem za kobietą, wtedy bywają brązowe oczy. Jak myślisz, Jörgenie?

Nie, Jörgen już miał przeszło lat siedemdziesiąt, ożeniony był z Lidją, piłą, był ojcem trzech dorosłych córek-dam, jemu już prawie bielmem oczy zaszły, on nie wiedział — nie pamiętał. — Jakto wściekły? — rzekł. Wyraził się, że wiele też kobiet złych było i wściekłych.

Ale Oliverowi, zda się, zależało na tem, aby go gruntownie zrozumiano: — Weź-no, jako ostatni przykład, Marynę Salt, — rzekł. — Przecież posądzają mnie o to, że'm ojcem jej dziecka, a chłopak dostał oczy brązowe.

— No — odparł Jørgen Rybak.

— Albo weź inne przykłady w mieście: dość w niem jest bronzowych oczu. — Ale nie wierz ty tylko wszystkiemu, o co mię ludzie obwiniają, Jørgenie, proszę cię o to. Choć nie chciałbym się też tłumaczyć, to mam w sobie potężną, ni ten ogień krzepką naturę i zdarzają mi się w domu błękitne oczy, i bronzowe — wedle tego, jak wypadnie.

— Tak — rzekł Jørgen Rybak.

Tak to Oliver wznosi się z dniem każdym i tak to coraz większe i większe stanowisko obejmuje w swym świecie urojonym. Ależ cichoście tylko, wszak on jest jego stwórcą i opatrzycielem, on przechadza się po nim z własnym wymiarem i sam obszar jego stwarza; po upływie paru lat będzie on stał na wyżynie i rozglądał się po wielkim kraju, który do niego należy.

Więc chyba się teraz zadowala przebywaniem w swym świecie? Nie wybucha śmiechem i nie porzuca go? Ze światem, który sobie stwarzamy, musimy się też wlec, tak muszą czynić wszyscy twórcy.

Od czasu do czasu miał też jakieś zmartwienie, które należało zgryźć w sobie. Niekiedy znów dostawał humor i wychodził w godzinie wieczornej, by zabawić się na ulicy, zalecać się, smalić cholewki, kobiety do słuchania siebie zmuszać. Znał słowa i sposób zachowania się z dni swego marynarstwa, ale już dawnego szczęścia nie miał, zawodziło go ono, niewiadomo czy dlatego, że już nie miał więcej sprawności w strzelaniu, czy też, że nie znajdował odpowiedniej zwierzyny. I czego mu brakło? czemu wyśmiewały się z niego dziewczęta? Te skrzaty, te ziółka, czyżby wiary dać nie chciały solidności jego zamiarów? Czemu, do szatana, wstrząsały się całe, gdy sięgnął kiedy po nie?

I to, że się rządziło światem, też miało swoje złe strony.

W ostatnich czasach rozpoczął znów wyjeżdżać na morze. Owszem, był to dobry, stary środek, gdy ciężkie doświadczenia brały przewagę, gdy Bogu miało być oznajmione, że życie znów stało się ciężkiem. Nazywało się to, że łowił ryby, aby zarobić coś dodatkowo, ale nie najpoważniej zajmował się rybą, tak, często powracał do domu bez połowu. Ale czy to niepotrzebne mu były szelągi, czy nie wyglądało już dno z owej szczególnej kieszeni, wszytej do jego kamizelki? O, z niepokojem spoglądał, że kieszeń się opróżniała. Miałby ochotę zaciągnąć pożyczkę, aby wstrzymać w niej zanikanie, ukraść, — niemiło to widzieć się zubożałym tuż przed samym nosem. Dawne swe miejsce w składzie i pensję posiadał, owszem, życie codzienne mógł z tego utrzymać, ale ów dodatek, złożony z drobnych i łakoci, do których się był przyzwyczał, na to nie miał już więcej środków. I gdzież to, w istocie, podziały się pieniądze za puch edredonowy? Spora to była paczka i djabeł tam zrozumie, gdzie się one podziały! Adwokatowi Fredryksenowi nic nie zapłacił za dom, ani też siebie i rodziny nie zaopatrzył w odzież na dwa lata; kilka większych banknotów zmienił w sąsiednim miasteczku, dokąd był pojechał, — ale rok już od tego minął. Kieszeń jego była pusta. Mógł w nią zaglądać, wywracać ją — była pusta.

Nie byłże więc zmuszony łowić ryb!

Prawdę powiedziawszy, Oliver nic nie miał przeciw temu, aby się znów kolebać w łódce. Zaopatrzył się w garnki i narzędzia rybackie i wypływał, chętnie pozostawał na morzu od soboty wieczór do poniedziałku zrana i przede wszystkim łowił rybę na obiady i wie-

czerzę dla siebie, ile sam potrzebował w ciągu tej półtorej doby. Były to próżniacze i beztroskie godziny, pozwalał się unosić raczej, niż wiosłował, węszył po zatokach i przeszukiwał wysepki; oczywiście, że znów począł zbierać puch, oczywiście, że nie zapomniał oka w głowie, wypatrując porzuconych przedmiotów lub drzewa splawionego. Pewnego razu znalazł pustą beczułkę, innym znów razem flaszkę z kartką wewnątrz, — ale to nie posiadało wartości. Hen, daleko, przy wnijsciu do fjordu wznosiła się ptasia góra, prostopadle z samego morza; nie był na niej już ze dwa lata, tak daleko było do niej, ale opłaciłby się trud przedostania się do niej. Ptaki mieszkaly na każdym występie wzdłuż całego zbocza i niebardzo były płochliwe.

Dni mijały, a Abel był przecie dobrym chłopcem, i uczynnym chłopcem. Niekiedy mógł ojcu wetknąć przy sposobności dwukoronówkę, inaczej kruchoby zapewne było z Oliverowemi łakociami. I skądby na nie mógł wziąć środki! Miał niegdyś syna, który się nazywał Franek, chłopiec uczony, cud, o, lecz do domu nic a nic nie przysyłał, sam nawet nie przyjeżdżał więcej i nie pisywał. Wieść chodziła, że objął już kędys miejsce nauczyciela i że studjował dalej, coraz dalej, czem to się skończy! Kostusia Henryksen na Dokach otrzymała list od niego: pozostał mu jeszcze rok jeden do końca, pisał, wtedy będzie już gotów. Nie mógł więc Oliver oczekiwać od niego żadnej podpory w ciągu roku, w ciągu całego długiego roku, ale potem chyba przyśle mu co porządnego! nie wszyscy przecie mieli uczonego syna pod ręką!

W międzyczasie miał Abła, także z gruntu dobrego chłopca przecie. Oliver był sprawiedliwy i różnicy między synami nie czynił, a gdyby chodziło o świeżość,

to może teraz Abel bliższym był jego ojcowskiemu sercu. Zachodził często rankami do kuźni w drodze do składu. Abel zwykł był już wtedy stać przy robocie, bawiło to ojca wdawać się w małą pogawędkę z synem i pytać, jak mu szło w pracy. Szło zawsze doskonale, Abel już objął kuźnię i był tu nade wszystkim pierwszym. O, takiego to syna mieć! Więcej jeszcze osób zachodziło do kuźni. Pluskiewka przychodził, ten, co to był palaczem na statku spacerowym, czekał widać, aby jedna z siostr Abła wyrosła dostatecznie, wtedy on ją zechce dla siebie, — z takimi to zamiarami nosił się Pluskiewka. Przyszedł do kuźni i rzekł: — Czyś kupił kuźnię? — Nie, rzekł Abel, nie mam za co kupić kuźni, ale jestem tu w miejsce majstra. Czy mógłbyś wystarać się dla mnie o chłopca do młota? — Wiesz, rzekł Pluskiewka, kiedy kupisz sobie młot parowy, który sam idzie na parafinie, to zaoszczędzisz sobie chłopca do młota. — Nie gadaj mi tu takich błazeństw! — odparł Abel. — Ja nie gadam ci błazeństw, — twierdził tamten, — widziałem wiele takich młotów na Horcie. — Abel sam wiedział o takich młotach parowych, które puszczano w ruch parafiną, ale zacyby on miał kupić podobny młot do kuźni, która nie była jego? — Nie gadaj o tem! — Pluskiewka zaproponował, żeby Abel kupił młot na własny rachunek, a wikt i pensję chłopca schował sobie do kieszeni, — na takim załatwieniu sprawy zarobi także i majster Karlsen. — A skąd wezmę pieniądze na taki młot? — zapytał Abel. — Pluskiewka odrzekł: — Trochę chyba masz sam, trochę mogę ci pożyczyć, a resztę zostaniesz dłużnym!... Okropnie to musiał być Pluskiewka zakochany w Modraczku, siostrze Ablowej!

Nie, nie, kuźnia jeszcze nie należała do Abła, ale

on ją miał w swych rękach i pracował za piękną pensję. Kowal Karlsen nie zawsze oddalał się z kuźni, nie całkiem się oddalał, ale najchętniej wystawał przy śrubsztaku i piłował to czy owo, co należało wygładzić, ale do samej pracy w kuźni coraz mniej i mniej się wtrącał. — Jak myślisz? — pytał Abła, kiedy w rzadkim wypadku wypadło mu podjąć się roboty. Zresztą nie było już z niego już nawet i pół robotnika, przychodził późną godziną i odchodził wczesnym wieczorem. Tak więc się zdarzało, że Oliver miewał swego syna całkowicie dla siebie samego, gdy mu składał owe ranne wizyty.

Gawędzili o drobnych swych sprawach i roztrząsali zajścia w mieście: — Nie, wiesz, ten Jörgen Rybak staje się już coraz większym i większym idjotą, — rzekł Oliver — nie zna on różnicy między żółtymi i innymi ziemniakami, i poco mam czas tracić na gadanie z takim człowiekiem? Uciekam precz od niego, gdy go zobaczę! — Ojciec i syn nigdy nie popadali w niezgodę, rozmawiali przyjaźnie o wszystkim, mówili poniekąd po bratersku o każdej rzeczy, która im na sercu leżała; gdy się rozstawali, nie postanowili żadnego zamachu, nie zdecydowali się na żaden określony pogląd życiowy, gdzieżby tam, ale Oliver dowiedział się, co syn miał do wykonania dzisiaj, komu miał okuć tę taczkę, — na posiadłość wiejską konsula Johnseny, — kto był właścicielem tego pięknego parawanu, który tu wczoraj przysłano — a był to doktor. O, ten Abel, niebylejaki syn z niego, pracował dla wszystkich lepszych ludzi!

Abel pyta: — I co myślisz o tym młocie parowym, o którym ci opowiadałem? Obiecałeś co obmyśleć.

Naturalnie, że nie znał się ojciec bynajmniej na tym bajkowym młocie, musiał to chyba syn wiedzieć zgóry, ale nie był to Abel zacnym chłopcem, że

chciała posłuchać zdania ojca? A może nie miał też nikogo bliższego do pogadania. Nie traktował on ojca z wyższością i nie słuchał słów jego z wewnętrznym współczuciem; zdawało się, że potrzebne mu było uznanie ojca we wszystkim, co przedsiębrał.

— To ci powiem — odpowiedział Oliver — że byłem przecie daleko w świecie i widziałem wszystkie rozmaite zawody, a teraz obmyśliłem to dokumentnie. A jeśli możesz otrzymać taki młot, to weź go tylko na pierwsze słowo. Tak ci radzę.

Aha.

— Tak. Mówię ci to wprost. Bo niema drugiego majstra, któryby miał podobny młot w jakimkolwiek fachu. W siolach i miastach o niego pytać będą, a ty zobaczysz ino, jakie to skry ten chwyt ciosa z żelaza!

— Tak.

— Do gazety się przez niego dostaniesz, możesz mi wierzyć na słowo, bo sam byłem w gazecie. Zrato- wałem zagraniczny wielki okręt z morza śród bałwa- nów i burzy i sprowadziłem go do przystani. I po- słałem tylko po konsula na ląd, żeby spisał protokół. Jak sądzisz, co sobie myśleli ludziska, co to przyśli ze wszystkich krańców świata na przystań i to zoba- czyli! I trzy dni później stałem w gazecie.

— Tak.

Zdarzenie, którem niestrudzony Oliver nie prze- stawał męczyć innych. Ale i młota nie zapomniał również, nie, wyraził się, że mu więcej z głowy wyjść nie chce. A gdyby mógł się przysłużyć synowi któ- rego z najbliższych dni, to jest, gdyby dostał coś w ręce, coby się spieniężyć dało, przyjdzie z tem do niego w tejże chwili. — Pozwól mi się tylko zastanowić! — rzekł i kiwnął głową z miną zamyśloną, jak gdyby już

zoczył rychłą jaką możliwość. O, znajdzie się rada z pieniędzmi, a jeśli już nie da się inaczej, to on wypłynie co noc na morze i przyjedzie z wieloma ładunkami drzewa splawionego, które może odprzedać. . .

Samo gwarzenie i bajdurzenie. Po odejściu ojca Abel pozostał równie biedny, jakim był poprzednio, tak, a może nawet nieco biedniejszy, jako że stracił w zakład dwie korony. A miało się to tak, że Abel rzekł: — Nie, ty już nie mógłbyś dłużej na noc wypływać, tobie sił już brak. — Mam i nadal akurat te same siły w tułowi, co i przedtem. — Ty nawet tej kłody żelaznej nie uniesiesz. — No, nie uniosę? Przecie to ta sama, com ją dźwignął zesz ego roku! — Tak, aleś teraz o rok starszy. Niechta już będzie, stawiam tę dwukoronówkę! — Oliver nie splunął nawet w garście, uniósł kłodę i wygrał dwie korony. — Nie chcę ich wcale! — rzekł. — Nie, bo tobie chce się może dostać kłodą w głowę! — odparł syn i wręczył monetę.

Same zbytki i przyjacielstwo.

Żaden z nich nie wymieniał Lidki, i nie napomykał więcej o ożenku, nie, z Abła już teraz daleko starszy i stateczniejszy człowiek. Najgęstsza swą brodę miał wprawdzie na rękach, ale kuźnię przecież zawiadował i był w miejsce majstra, od tego się tylko rosło i dojrzewało. A zresztą i inne jeszcze powody przyczyniły się do tego. Tak naprzykład Lidja nie była bez znaczenia dla jego rozwoju. Mógł się wykreść, jak chciał, od przyznania się do tego, ale pewnego wieczora, przed wielu laty, stara ta pila dała mu, zaprawdę, nauczkę, której nie zapomniał. W słowach jej tkwiło coś, trzask dla jego uszu, ocucenie, a miało ono ten wynik naturalny, że począł trzymać się zdaleka od domu Jörgena Rybaka. Ano, owszem, on zejdzie z drogi, tak jak

obiecał! Było mu najkonieczniej potrzeba dowiedzieć się, kiedy Edward powróci do domu z Nowej Gwinei, czy gdzie on tam teraz przebywał, ale jednak dom omijał zdaleka. Później, kiedy spotkał Lidję, wydawała się daleko uprzejmiejszą, i kiwała mu głową: — Dzień dobry, Ablu! — przemówiła słów parę w przejściu, a on się na to też grzecznie zachował. Kilka tygodni minęło i Abel spotkał oblubienicę samą, Lidkę samą. Zadziwiające było to, że on jej wcale teraz spotykać nie chciał, przynajmniej nie w tej chwili; wracał umorusany sadzami i nieochędożony z kuźni. Gdy spotkanie uniknąć się nie dało, osłabł w kolanach, ale zdołał uklonąć się lekko i przejść mimo. W owych tygodniach zdarzyło mu się tak, że go lekliwość opadła. W następnym czasie spotykał ją kiedy niekiedy w mieście z paczkami w ręce, mógłby podejść i ponieść je dla niej, ale tego nie uczynił.

Nie, już więcej nie wspominał o ożenku.

Zawołał za swym ojcem: — A kłody jednak nie dźwignąłeś tak wysoko, jak w zeszłym roku!

— Czegom nie zrobił? — odparł ojciec. — Mógłbyś wedle mnie i ty sięść na niej!

Chyba że wskazywało to na szczególnie dobry humor Olivera, jeśli mógł sobie żartować tak błogo? O, lecz przeciwnie, miał on dziś szczególnie złe przecucia. Skoro tylko został w składzie na samotności i ogarnął się i przejrzał w lusterku i rozpoczął swą pracę, otwarły mu się oczy, że stał przed niebezpieczeństwem: znów spotkał w mieście adwokata Fredryksena. Ten oprawca, ten krwiożerca! patrzył on na kalekę, jakby go uważał za swoją własność. A teraz dwa lata minęły od ostatniego spotkania.

Oliver przesadzał tak kolosalnie. Adwokat prze-

szedł zwyczajnie — układnie i w zamyśleniu mimo niego, ale Oliver nie był już przecie więcej owym męznym człowiekiem, kieszeń jego wszyta pusta była, tężyzna jego charakteru zniknęła. Gdy powrócił do domu na obiad, miał rozmowę z Petrą. Nie powiedział jej żadnej nowiny, ona sama spotkała adwokata.

Oliver spytał: — Powiedział co?

— Nie, czy on co powiedział! Miałby co powiedzieć do mnie — na ulicy!

— Jak ci się zdawało, że wyglądał?

— Nie wiem. Jak wyglądał? Ja nie patrzę na mężczyzn, a już całkiem nie na niego! Ta stara świnia dość mnie już dręczyła, gdy tu był ostatnim razem w domu.

— Uważam, że miał jakiś niemiły wygląd.

Po chwili mówi Oliver dalej, że pewnie teraz adwokat Fredryksen znów rozpocznie swe niedorzeczności. — Ja się tam do niego więcej nie ruszę, — rzekła Petra. — No, więc lepiej będzie, jeśli wszyscy razem pozostaną bez dachu? I Oliver rozwinął rzecz ze swego punktu widzenia: nigdy takiej zgrozy nie odczuwał przed bezdomnością, jak teraz właśnie. Miejmy nadzieję, że adwokat okaże się człowiekiem, ale jeśli zamyśla on iść wprost z narzędziem morderczem na kalekę, to musi z nim Petra raz jeszcze pomówić i nauczyć go rozumu.

— Jak myślisz o tem? — zapytał Oliver.

Petra pomyślała i osądziła, że nie jest to niemożliwym. Ale tyle innych rzeczy mówiło przeciwko temu, nie miała przecie nawet przyodziewku...

— Przyodziewku?

Wyniszczyła już te giezłeczka nieszczęsne. A bo to nie byłaby jej potrzebna jaka bluzka, z tych, co to

odpinają się na piersi? A oprócz tego i inne ubranie.

Jeśli nic innego nie stało temu na przeszkodzie, to już się Oliver z pewnością może wystarać i otrzymać nieco odzieży, jako zaliczkę. Oliver znów się zapalił, nasadził czapkę na bakier, jak gdyby posiadał do dyspozycji wielkich protektorów i mówił, niby ten opiekun rodziny: — Pójdę wprost do magazynu mód i postaram się o tę odzież dla ciebie!

W takich wypadkach przecie wyteżyc wszystkie siły.

XXVIII.

Ale adwokat Fredryksen najmniej chyba ze wszystkich myślał o tem, by niepokoić Olivera i jego dom. Daleko ważniejsze miał sprawy, którym musiał stawić czoło. Miasto dotknięte zostało w tych dniach taką próbą, takim wstrząśnięciem, że wydało się, jak gdyby świat się kończył. I co znaczyła w swym czasie grabież poczty w porównaniu z tem, że parowiec *Fia* zatonął! I co znaczyły wszystkie inne wypadki wobec tego, że parowiec *Fia* nie był asekurowany i pociągnął może samego dubeltowego konsula Johnseną w ruinę i nieszczęście!

Wszystko inne było bez znaczenia.

Zdarzyły się w mieście liczne poważne wypadki i przedtem: umarł stary dyrektor szkoły, ten, co to umiał wszelakie języki świata i wyuczył ostatnie pokolenie różnych gramatyk i nieodzownej wiedzy, on tu umarł właśnie i cała jego uczoność została pochowana z nim razem. Inną jeszcze aferę omawiano dokumentnie u studni: doktorowa narzekąca od dwóch miesięcy, że oczekiwała dziecka, był to jej pierwszy raz i, Boże na wysokościach! jakie to jej wstrętne było, i jaka ją zgroza zdejmowała, i jak ją to bolało — i czy nie istniała żadna żywa rada na takie nieszczęście, i czy to nie stworzył Bóg sprawiedliwości! A naraz pewnego

dnia doktorowa już nie nosiła się z dzieckiem. — Co! krzyczały kobiety u studni i nie pompowały wody i nie odchodziły w swoją drogę z wiadrami, lecz zostawały na miejscu i czyniły postój. Czyżby ta kobieta pomyliła się w swych wnętrzościach i wcale nie —? Nonsens! Gdzieżby tam! Ale nierówno obdzielił Pan Bóg kobiety, niektóre musiały być matkami rok po roku, inne obchodziły się bez tego życie całe. Tak to bywa, gdy się ma za męża doktora, on posiadał uczoność, on mógł czynić co mu się chciało, o to nie stało...

Nie brakło więc sensacji.

Ale pewnego dnia grzmot zwałił się na studnię, a było to wtedy, gdy wieść o zatonięciu *Fii* doszła do miasta. Pochodziła ona od Szeldrupa Johnsen z Nowego Orleanu, depeza datowała od trzech dni, oznajmiał krótko i węzłowato, nazwał czas i miejsce i wychodził z założenia, że asekuracja była w porządku. Wtedy to piorun trzasnął w studnię.

W owej mieścinie nadmorskiej, która żyła ze swych łodzi i z niczego więcej, każda kobieta wiedziała, co znaczy asekuracja, nie miałby więc dubeltowy konsul Johnsen tego zrozumieć! Czy to nie on właśnie miał na głowie owe wielkie sprawy, a pozostawił Berntsenowi zarząd sklepem i magazynem mód? Między konsulem i jego kierownikiem doszło do starcia: konsul uważał, iż dał Berntsenowi rozkaz odnowienia asekuracji, a Berntsen, rzeczywiście, wznowił ją wtedy, gdy go o to proszono, ale nie później. — Ale konsul wydał rozkaz raz na zawsze. — Nie, odparł Berntsen, on tego tak nie pojął. — Konsul targał na sobie włosy i utrzymywał, że tak, on wyraźnie myślał na zawsze, na całe życie. Zresztą powinien się był tego Berntsen sam domyśleć! czy też nie widział, ile to leżało na

biurku konsula? ze wszystkim musiał on się uporać, z tą okropną korespondencją codzienną, raportami do rządów swoich, księgami, światem, chaosem — więc co, jeśliby Berntsen domyślił się sam z siebie? — Okazało się, że Berntsen w rzeczywistości dobrze rękę przyłożył, inaczej wyglądałoby tu daleko gorzej na biurku Johnseny. — Tak, ale konsul wyłożył papiery asekuracyjne do załatwienia. — Berntsen widział papiery, ale po upływie trzech tygodni, a potem nagle — zniknęły. — Owszem, konsul odłożył je wkońcu na stronę, jako załatwione. — Berntsen ani słowa nie słyszał o tem, by je załatwić. — Tak! bo, do stu djabłów, konsul raz na zawsze powiedział już oddawna, by wysłano premję: — Nie zapomnij pan asekuracji! — prosił. O, niechże mu teraz Bóg miłościw będzie!

Pani przysła, chwiejąc się, do kantoru i płakała, załamywała ręce, wycierała nos i oczy, pokrzykiwała, drżała i mówiła od rzeczy; a było to szkodliwe dla pani, z pewnością cierpiała też na chorobę wątroby, tak żółtą miała cerę. Przysła i córka, panna Fia i ona przyjęła to w całkiem inny sposób i nie dołała oliwy do ognia. Trudna rada, rzekła, trzeba znosić doświadczenia. Powinni pokazać, że mają kulturę, rzekła Fia, rzekła hrabianka; co do niej — to pracować będzie jeszcze pilniej, miała przecie swą sztukę i swe powołanie, dwa obrazy, które skopjowała w Luwrze, będzie zmuszona sprzedać, pośle je niezwłocznie na licytację. Nie bójże się, ojczy!

Konsul ani słyszał, ani widział.

Ale inny człowiek w mieście za to słyszał i widział, — adwokat Fredryksen, o, człek przenikliwy, gracz pomyslny, a więc czysty djabeł do dobrych kalkulacyj.

Otóż powracał teraz do domu, wysiedziawszy się niemal dosyta w stortingu i w swej komisji, a miał obecnie lepszy wygląd niż ostatnim razem, nie wyglądał już tak pożądliwie, Bóg wie, czy nie czynił sobie masażu twarzy. Bo z czegoby też pochodzić mogła owa niemal duchowa łagodność? Wprawdzie musiało to na nim wywrzeć swój skutek, że wybrano go na referenta jego miasta, ale nie zmuszało to adwokata do odwiedzania zakamarków nędzy i niedoli, do wysiadywania pół godziny jedynie na pociechę. Poszedł do córki dyrektora szkoły, tej, która straciła ojca i do starego pocztmistrza, który stracił rozum i wszędzie starał się być miłym. Takim to się on stał. Już, skoro tylko wyszedł na ląd ze statku, przywitał go ten samotny Olaus na Błoniach, pytając go i nazywając jeno Fredryksenem, ale on się uśmiechnął na to i rzekł: — Ponieśno moją walizę, Olausie! — Olaus odparł: — Sam możesz ponieść sobie swoją walizę!

Nim więc na nowo rzucił się w swe ciężkie publiczne sprawy i wezwał zarząd miasta na pierwsze posiedzenie, zażywał sobie nieco odpoczynku i przechadzał się w jasnym ubraniu i wielkim kapeluszu, kupił sobie laskę, a buty jego całe były, palił stale cygara, stał się całkiem innym człowiekiem. W jakim celu kręcił się dokoła, poco udawał się ten ociężały człowiek aż na wzgórze z widokiem? Wyglądało to wyszukanie i samotnie, nie było to zgoła niepodobne do miłości i głębszego uczucia. Gdy przechodził mimo ogrodu konsula Johnsen, ogrodu z urnami cementowymi i zapachem bzu i motylkami, kłaniał się swym wielkim kapeluszem pani, przeciwko której nic przecie nie miał, pannie, ba samemu konsulowi, jeśli siedział z rodziną na werandzie. Prawda, że był przewodniczącym ko-

misji przeciw konsulowi, ale domu i rodziny nie należało włączać w te sprawy.]

— Witam panią po powrocie z Paryża! — zagrzymiał przez sztachety ku pannie Fii.

Dawno to już zresztą temu powróciła z Paryża, pomyślała sobie chyba, a przecie i ona mogłaby powitać go też jako powracającego ze stortingu, ale skinęła tylko niedbale głową w podziękę. Ktoby zrozumiał tego człowieka!

Adwokat opiera swe okrągłe ramiona na sztachetach i nie zaraz idzie sobie w swoją drogę, lecz mówi: — Z pewnością uważa pani, że miło to znów przebywać w domu?

— Tak.

— To samo i ja sędzę.

Co za brak uprzejmości ze strony konsula! Siedzi tu na werandzie i czyta gazetę, wreszcie zwrócił jakby uwagę i podnosi i on również kapelusz i kłania się, ale powraca nazad do gazety.

— Oczywiście, że tak, sędzę, i ja jestem zdania, że dobrze to być w domu. A przytem nie mam właściwego domu.

— Czy nie chciałby pan wejść do nas? — pyta pani.

— O nie, dziękuję, tak już późno. Chodzę tylko i spaceruję sobie nieco przed pójściem do łóżka. Mogę oddać pani ukłon, ze wzgórza, panno Fio.

— Ładnie tam pewnie było dziś wieczorem?

— Przepięknie. Zachód słońca i kilka wyjątkowo ślicznych obłoków! Nie znam się przecie na tem, tak jak wy, malarze i artyści, ale według mego zdania, było to coś niebywałego. Czy nie dałaby się pani namówić na małą przechadzkę na wzgórze?

— Teraz? Nie.

— O nie. I pewnie najchętniej woli pani pójść tam sama.

Konsul zapala teraz cygaro, ale nawet i podczas tego oderwać się nie może od swego czytania. Cóż go tam, na miłość boską, tak interesuje? I co się dzieje z panią? Toż pani Johnsen nie zawsze była tak małomówną, w dawnych czasach trajkotała nader wesoło, gdy adwokat Fredryksen mówił do niej i zadawał się z nią, a teraz, zaprawdę, wydaje się, jakby nawet mało dbała o niego. Jakże to ci ludzie stali się bogaci i wielcy, i jak to nie mogli się powstrzymać, by tego nie okazać! Patrzajcie, otóż siedzi panna domu, dość już stara, od lat kilku i dość piękna aż do zbytku, a siedzi i obstaje przy swoim, tylko dlatego, że jest tak potężnie bogatą i dobrą partją. Adwokat Fredryksen mógłby się zresztą przysłużyć rodzinie w rozmaity sposób. Nie jest on już byle kim, lecz członkiem stortingu i wielkim mężem, mógł zostać jeszcze większym, miał niemal z pewnością widoki pozostania jeszcze większym, nowe wybory zadecydują o tem. Poco on tu wystaje i umizga się poza sztachetami! Nie wypadło to dla takiej osoby jak on, niechże ona wyjdzie w jego obręb, niechże się da wziąć palcem małym! Nauczył się czegoś w wielkiej stolicy, powiedzie mu się lepiej następnym razem, ujmie ją pod rękę...

— Dobranoc! — skłonił się i odszedł.

Dobłą chwilę potem konsul uniósł głowę i też uchylił kapelusza, ale ujrzał wtedy już tylko plecy adwokata i fałdę tłuszczu na karku. Podobna wyniosłość! I co z czytaniem? Konsul odrzucił gazetę precz i podniósł się zwolna, ziewnęła głośno i rzekł: — No, pójdę do pokoju i położę się!

— Tak, dobranoc — rzekły damy.

Wszystko dyszało spokojem, znikąd żadnego niebezpieczeństwa. Ale następnego to dnia właśnie piorun spadł z nieba.

Adwokat Fredryksen dowiedział się o tem przedewszystkiem w golarni, potem spotkał aptekarza, który mu wieść potwierdził. Adwokat zamierzał właściwie ogolić się elegancko i wałęsać się jeszcze w ciągu kilku dni w stronę wzgórza z widokiem, mimo ogrodu konsula Johnsen, ale wobec wiadomości o zatonięciu statku *Fia* zmienił rezolutnie swe postanowienie i podążył w kierunku domu Gryn-Olsena. W chodzie jego nie było żadnego wahania, żadnej mistyki, obliczył coś sobie i obliczył dobrze, oczywiście, że udał się teraz do domu Gryn-Olsena, — dokądby indziej mógł pójść? O, w kroku jego było samoobjawienie!

Oczekiwano go, panna Olsen zarumieniła się, usłyszawszy głos jego, od dwóch dni wiedziała, że powrócił do domu i w ciągu tych dwóch dni jeszcze tu nie przyszedł.

— Nie, bo wybrali mnie przecie na referenta miasta w czasie mej nieobecności — oświadczył, — musiałem wtajemniczyć się w te nowe sprawy, pracowałem. A wieczorami tak bywałem zmęczony, że musiałem używać samotnej przechadzki. W przeciwnym razie byłbym sobie pozwolił przyjść odwiedzić panią.

— Słyszałam, jak ojciec i matka mówili z sobą o tem, że pan powrócił.

Dalej nie poszła, nie poszła panna Olsen; ale gdyby on w tej chwili dał jej do zrozumienia, że teraz już w żaden sposób nie zdoła uniknąć jego gwałtownej miłości, to byłaby się z pewnością zachwiała. Dwa lata minęły od czasu, gdy ostatnim razem mówili z sobą. Jej przybyło jeszcze więcej lat do wieku, parę listów

w międzyczasie utrzymywało ledwo życie w zamierającej pamięci o nim. Z owym drugim malarzem, synem malarza pokojowego, nie doszło do niczego, był to tylko artysta i szaleniec, zdarzało się, że zakochał się w tej czy innej, o, bezustanku, ale stałości nie miał. Wkońcu poszedł na wybrzeże i malował Olausa na Błoniach! Nie wypadalo to, skoro już był malował konsulostwo Olsen, zaprawdę, konsulowie Olsen nie należeli do dumnych, ale nie chcieli też pójść na języki ludzkie. A zresztą — wyjść za malarza, to też była jeszcze kwestja sporna — siostra jej tego spróbowała, a nie zawsze się nazbyt słodko miała, mówiono nawet o rozwodzie — ostatnia na dobre moda w kraju. Miała obecnie już dwoje dzieci i ostatniemi laty długie tygodnie przepędzała u starych, by ulżyć budżetowi, a kiedy odjeżdżała do domu, zabierała z sobą wszelakie pieniądze i napchane skrzynie. W ostatnim roku stosunki wprawdzie zmieniły się, malarz zdobył sobie większe imię, wystawił w Berlinie i sprzedawał swą sztukę za wyższe ceny. Skutki były takie, że malarz począł teraz przebąkiwać o rozwodzie, mógł już stać o własnych siłach. Takie to było smutne i niemądre! Katastrofę dało się jeszcze dotąd zażegnać, małżeństwo jednak nie należało do szczęśliwych. O, te związki artystyczne, nie zawsze bywają one trwałe!

Lecz co się działo z owym pisarzem powiatowym? Wyjechał. Był tu rok, poczem dostał się do ministerjum rewizyjnego, nikt po nim nie tęsknił, nikt nie odczuwał jego braku. Następcą jego był inny kandydat prawniczy, który, jak się okazało, miał i narzeczoną i pierścionek — czego on tu chciał w mieście i co miała z nim począć panna Olsen? Gdy przychodził z wizytą, nie wychodziła wprawdzie całkiem z domu, nie, tego

nie czyniła, ale pozostawała zazwyczaj w swym pokoju, —naco miałyby schodzić nadół? Później widywała go na ulicy, miał wygląd zbiega, tak przetarte były jego spodnie, tak wydawał się zamysłony i znękany, ale zato posiadał narzeczoną i pierścionek. Takiego człowieka należy zostawić w spokoju.

Tak więc panna Olsen dalej przesiadywała w domu i poczyniała się starzeć i przebierać w swych wspomnieniach. Serce jej nie tęskniło pewnie za adwokatem, ale też nie wyszedł on całkowicie z jej myśli, musiał uchodzić za wróbla w rękę. Jakże to, czy były widoki, że zostanie on radcą stanu? I nadal sama natura wiodła w niej politykę, raz przecie i ona musiała zostać żoną.

— Czy nie chciałby pan zapalić cygara? — mówi do adwokata.

Adwokat rozpoczął opowiadać o zatonięciu statku, — była to dobra przestroga wypisana na ścianie rodziny Johnsenów. — Pomyśl pani, nie asekurować parowca! Cóż więc robił konsul w swym kantorze, jeśli mógł zapomnieć o tak niebywale ważnej rzeczy? Należy przecie znać miarę! Oczywiście, że trzeba mieć współczucie z ludźmi w nieszczęściu, ale Bóg wie, może nawet ci przezacni Johnsenowie wcale nie odczuwają skutków owej klęski. Wszyscy oni stali się jakoś tak bezwstydnie głupio-wielkimi.

— Nie wiem — rzekła panna Olsen — nie zdaje mi się, aby Szeldrup był głupi.

Adwokat odpowiada obojętnie: — I ja nie wiem, jaki Szeldrup jest lub nie jest. Mówię o córce i rodzicach.

— Ciekawam, jak Szeldrup to przyjmie. Jak pan myśli, do czego on się teraz zabierze?

Wtedy adwokat patrzy na nią z całkiem innego świata i nie może powstrzymać się, żeby nie ściągnąć brwi i nie spojrzeć na nią: — Pytanie pani takie jest zabawne, jeszcze się nad tem nie zastanowiłem, miałem inne rzeczy do obmyślenia. Co ten czy tamten chłopak będzie robił? Nie wiem. Uczyni pewnie to, co dotąd czynił. Czy nie stoi on za ladą, czy coś w tym rodzaju?

— Szeldrup! Nie, on nigdy nie stał za ladą.

— Aha, nie stał. No, dla mnie jest to zgoła obojętne.

— Być może powróci do domu i obejmie interes.

Adwokata irytuje to gadanie, to też próbuje i nadal zachować się z wyższością: — Kto obejmie tę zbankrutowaną siedzibę i ten sklepik, na to doprawdy nie poświęciłem czasu, by się zastanowić. Może Szeldrup jest właśnie odpowiednim do tego człowiekiem, nie wiem. Czy on się uczył czego?

— Uczyl? Przecież nic innego chyba nie czynił zagranicą w ciągu tych wszystkich lat.

— Taak? Chodził do szkoły, studjował na zagranicznych uniwersytetach? Dziwne, że nikt o tem nic nie słyszał! — Ale w tejże chwili staje się jasnym adwokatowi, że postępuje w kompletnie fałszywy sposób i mówi: — Tu wogóle niema mowy o Szeldrupie Johnsenie, lecz są może ważniejsi członkowie w rodzinie, którym nie zawadzi, jeśli będą musieli ugiać swe dumne karki. Ich to miałem na myśli.

Panna Olsen może pozwolić sobie, by wstawić kilka słów za Fią: — Ona tak ślicznie maluje.

— Tak pani uważa! — W tem miejscu adwokat wygląda, jakby można go było zmusić do wypowiedzenia czegoś innego. Gdy panna pyta: — Tak, a czy pan

też tego nie uważa? — odpowiada: — Czy nie mogli-
byśmy pomówić o czem innem — pani i ja!

I wtedy to przystąpił do swej sprawy.

O, bardzo to być może, iż lepiejby wyszedł na tem,
gdyby był milczał zupełnie. Nie umiał się zabrać do
rzeczy. Panna Olsen, oczywiście, z pewnością znalazła,
że długoletni jego chłód był zastanawiający, ale otóż
on się teraz wytłumaczy, oczyści się, nie proste to za-
danie. Lecz gdzież to miałby się on nauczyć owej trudnej
sztuki ubiegania się o serce, a myślenia o posagu? Zresztą
jego lwi głos był przeciwko niemu, stworzony był do
bójek i debat, a on powinien nim wyszeptać coś, do
pewnego stopnia wyśpiewać, zaprawdę, inny na jego
miejscu zaniechałby! Lecz on nie domyślał się niebez-
pieczeństwa i tylko parł naprzód.

Szczęście, że panna nie nazbyt ostro sądziła.
Z biegiem lat nabrała ona wprawdzie niejednej wy-
twornej przywary, ale miała ustalone zdanie o życiu
i nie była podlotkiem. Fia Johnsen też nie daleko zaszła
z wszystkimi swemi manierami hrabianki.

Adwokat rozpoczął jednak nazbyt dosadnie, ten
chłop, ten bałwan: — Współczyn — rzekł — czy może
więc być między nimi mowa o współczynie? Czy po-
myślała już ona nad tem?

Na to panna nic nie odparła, lecz co takiego jest
współczyn? Wydało jej się w każdym razie, że nie jest
to słowo, któreby dało jej do wyboru: albo spiec raka
albo odejść sobie.

Rozwinął obszerniej, jak to on myślał i myślał
o niej w ciągu tych dwóch lat — tak, ona go może
w międzyczasie zapomniała, lecz on nic nie zapomniał,
może powołać się na załączniki, jego dwa listy. Wszystko,
cokolwiek wyraził przy ich tymczasowej umowie, zo-

stało powtórzone w listach, i miało wartość dotychczas. — A więc, proszę pani, kwestja zatem przedstawiała się tak: czy z obu stron istnieje nieco porozumienia i przychylności?

Żadnej odpowiedzi. Czekał nader długo, a wreszcie ona rzekła, podobnie jak i on: — Pomówmy o czem innym!

Byłaż to znów afektacja? Nie czuł się, snać, dłużej całkiem pewnym, jej gadanie o Szeldrupie przyprawiło go o niepokój, ona tak stanowczo utrzymywała, że on nie stał za ladą i przypuszczała, iż powróci do domu i obejmie interes, — co to wszystko miało oznaczać w podobnej chwili? Do djabła, śpiewać nie umiał, lecz nie przestawał mówić: Czy chciałaby może mieć jeszcze dłuższy termin do namysłu? Dla niego pora teraz nadeszła odpowiednia, niepewność pchnęła go właśnie tego poranku do przyjscia jedynie w tym celu, aby usłyszeć, jak rzeczy stoją. Ale, być może, ona pragnie dłuższego jeszcze czasu do namysłu?

— Tak, rzekła tylko.

Doprawdy? Musiał przyznać, że zaledwie daje temu wiarę po upływie dwóch długich lat i po tem wszystkim, co między nimi zaszło. Czy nie uważa ona, prawdę mówiąc, że ta miejscina stała się smutną dziurą? Miasto, w którem panuje smutek, i bankructwo i nędza, a gdzieindziej ludzie śmieją się i czują się dobrze. Jakiego rodzaju rozrywki można tu mieć?

Wtrąciła z uśmiechem: — Nie przywykłam do rozrywek.

Ale może przywyknąć! brzmiało w odpowiedzi. O, te piękne ulice i okna wystawowe i Tivoli i kawiarnie w innych miastach, czyżby jej to nie nęciło? A co się tyczy trybu życia, to przecie można go wybrać według

woli, niesposób wymienić takiej rzeczy, którejbyś tam nie dostał. Wszystkie rozkosze życia zebrane są tam na jednym miejscu, dzienniki wychodzą rano i wieczorem, muzyka gra, na gmachu stortingu powiewa flaga; w niedziele można pozostać w łóżku dzień cały, o ile taka wola, albo pójść do teatru, lub przejechać się tramwajem, albo też pospacerować w Studentenbundzie, lub posłuchać dobrego odczytu. A co się tutaj miało! Gdyby jej wola, tak jak jego, mogłaby stąd wyjechać —

I to także nie było właściwie śpiewem, ale nienajgorsze to jednak gadanie i panna powinna by okazać mu nieco zainteresowania, lecz nie. Bóg wie, co by mogło wyprowadzić tę damę ze spokoju. Adwokat posuwa się dwoma ostrożnymi ruchami bliżej ku niej i dosięga jej wreszcie, o, on się nauczył czegoś w stolicy, maca z mniejszym lękiem, ramię dokoła niej zakłada i mówi: „Droga pani, gdybyśmy to mogli dojść do lepszego porozumienia“ —

Ona podniosła się, tak uczyniła, podniosła się, lecz nie podbiegła ku drzwiom, dama nie stała wobec czegoś nieuniknionego. spojrzała tylko na niego i rzekła: — Mam nadzieję, że pan jest szlachetnym, Fredryksenie?

— Oczywiście. Hm. Ale damy przeciwnie, lubią zazwyczaj nieco zalecanek, — rzekł i kiwnął głową i mignął jednym okiem, jak gdyby on się dobrze znał na tem. Nie miał nic złego na myśli, tylko pragnął nieco zbliżenia, wiedziała przecie, kto on taki, dobry znajomy —

— Tak, wiem o tem dobrze — rzekła i usiadła na krześle.

On przecie przebywał teraz z mnóstwem dam, na tem nie zbywało, uczęszczał na przyjęcia i chodził do

zamku i słyszał wielkie śpiewaczki, no i wszystko — — o, tak, owszem, niektóre były naprawdę eleganckie i niebywale, według jego gustu, w głęboko wyciętych sukniach i przechylone wtył i nosiły łańcuchy na szyi i diamenty. Lecz aby założyć rodzinę z niemi i pojąć je za towarzyszkę życia — nie! zagrział Fredryksen i potrząsnął głową. Raczej zawsze musiał myśleć o pewnej damie w jego własnem miasteczku i pokładał wszystką swą nadzieję w niej, w —

— W Fii — rzekła panna Olsen.

Jakże to spadło niespodzianie! Zaciął się nieco natychmiast i tylko zapytał: — czemu ją pani wymienia?

Panna Olsen uśmiechnęła się.

— Fia — rzekł — dajmy jej pokój, niech sobie chodzi w swym czerwonym kapeluszu, niech sobie ma-luje. Czy nie prawda, co mówię, czy można sobie wy-obrazić bardziej niepożyteczne stworzenie? Ale nas to nie obchodzi, nie rozumiem wcale, czemu to o niej mówimy. Proszę, niech mnie pani mylnie nie pojmuje, sztuka i piękne obrazy i malowidła mają swe wielkie znaczenie. Lecz, Boże święty, jak ta kobieta do pani niepodobna, panno Olsen, ona i połowy pani nie sta-nowi, chuda i cienka i te długie nożyny! Boże ucho-waj mnie!

Nie mogło to być niemile pannie Olsen, że ją choć raz przeniesiono nad inną i poczytywano za pierwszą, adwokat zaś nie szczędził jej pochwał i jeśli nie przy-wykła do uznania, to je teraz otrzymała! Panna Olsen powstaje, zaprawdę, i przysuwa mu popielniczkę, aby mu tu dobrze było, i przy tej uprzejmości, przy tem jej gospodarowaniu porwany, śnać, został miłością ku niej, objął ją ramieniem. Ona powtórzyła to samo: — Niechże pan będzie szlachetnym, Fredryksenie! —

i nie zwionęła jak sen, opadła na krzesło obok niego. Nie był niebezpiecznym i pożerającym, był tylko nieco brutalnym i niedystygowanym, jak wszyscy mężczyźni — z czem zresztą nie jest mężczyznom nie do twarzy.

— Ale przyznać pan musi, że mocno zajęty był pan Fią — rzekła.

— Fią! — Że też jej się o tem mówić chciało, że też ona coś podobnego wogóle wymówić mogła! — Słuchaj pani, malarka, wcielona blednica! — On objechałby chętnie ziemię dokoła dla panny Olsen, ale nie uczyniłby tego dla obrazów Fii. — Widzi pani! Sztuka — owszem, ale na codzień przekładam nogi, ramiona i piersi i figurę panny Olsen, ogółem wzięwszy. — O, pani! — rzekł.

— Ona ma śliczne zęby.

Czy to wciąż jeszcze o Fii mówili? A to djabło uparta była panna Olsen, gdy rozpoczęła o czem. Odpowiedział w ten sposób, że więcej jeszcze pochylił się ku niej, znacznie więcej, i że położył ramię dokoła niej, napawając się ciepłem jej pleców. I podczas tego, oczywiście, mówił: Otóż on jej powie, kto ma piękne zęby. I otóż on jej powie, kto jest piękną, hożą dziewczyną i upiększeniem jego bogatego domu. On przecież przebywał już w większych miastach i poprostu w wyższych sferach, więc mógł czynić porównania, a to wyznać musi, że podobnie pięknego stworzenia i figury ogółem wzięwszy — wobec czego Fia, — spojrzysz pani na siebie samą, i spojrzysz pani potem na Fię, to jest, tak mi Boże dopomóż, jakby kto spadł z obłoków na ziemię. A zresztą wszystko, co ona mówi i czyni, i jak wygląda, to tylko kunszty i subtelności, koronki i afektacja wszystko razem.

W tem miejscu musiała się panna Olsen roześmiać z koronek, a adwokat nabrał więcej jeszcze odwagi: — Gdybyż to choć były koronki u majtek! — rzekł.

Czuł, że plecy jej osuwają się nieco, jakby zamierzala podnieść się, lecz ramię jego trzymało silnie: Tak, musi to wręcz powiedzieć. — Bo, hohoho — śmiał się, — nie z powietrzem przecie chciałby się człowiek ożenić. On nie z tych, którzy nienawidzą radości życia, przeciwnie, on był wielkim amatorem dobrych figlów i przyjemności w tej dziedzinie, a jeśli słusznie pojmował, to i panna Olsen była jakby stworzona do tego samego. Czy nieprawdaż?

— Proszę, niech mi pan pozwoli odejść — rzekła i znów poruszyła plecami.

Zmuszony był powrócić do powagi i interesu: objaśnił jej, że chwila obecna jest odpowiednia, następne wybory znów go zawiodą do sejmu, a on nie jest też pozbawiony ambicji, aby wstąpić do składu rządu. Może wydaje się to z jego strony przesadne, że on myśli i mówi w ten sposób, ale brak im tam w stortingu przedstawiciela żeglugi, a on, jako przewodniczący w komisji marynarskiej, nabrał gruntownej znajomości w tym zakresie, rzekł.

— Patrzcie, a więc zostanie pan radcą stanu! — rzekła.

— Według obrachunku ludzkiego, — odparł. Chyba nie sądzi ona, że on tu siedzi i zmyśla? Prócz tego, że wymieniono go w gazecie, jako przyszłego męża, słyszał przecie to i owo za kulisami. A teraz, pani, pyta ją z całego serca: czy nie składałoby się to nader dobrze, gdyby ona dzieliła los jego i została żoną znanego polityka, radczynią stanu?

Żadnej odpowiedzi.

Gadał dalej, ale nie obeszło się bez tego, że dał jej do zrozumienia, iż nie byłby całkowicie bezradnym i bez niej, zawarł wszelakie znajomości, jednakże ona, panna Olsen, była jedyną myślą jego. Wychodził z założenia, że rodzice jej, konsul i żona, nie mieliby nic przeciwko temu, nie pragnęliby przecie wykierować jej na zwykłą tylko żonę. Jakąż ona dawała odpowiedź, czy mógł mieć nadzieję?

I wreszcie ona odparła: — Nie mogę nic o tem powiedzieć.

— W każdym razie chce pani powiedzieć, że pomyśli pani nad tem?

— Tak, tak. Pomyślę nad tem.

— Jak długo?

— Nie wiem. Nie mówmy już więcej o tem.

— Może poczekamy aż po wyborach? — zapytał.

— Jak długo jeszcze do tego?

— Z miesiąc czasu, pięć tygodni. Chciałbym zabrać panią z sobą, gdy będę się znów udawał do Krystjanji, potrzeba mi pani, kocham panią. Będziemy mieszkali we własnem mieszkaniu i przyjmowali ludzi u siebie, ludzi z wpływami, polityków. A właśnie przypominam sobie: kupimy dwa obrazy szwagra pani, powiedziałem raz, więc to już całkiem pewne; lecz pani sama musi je wybrać. Czy możemy więc postanowić, że zaczekamy aż po wyborach?

— Tak, tak.

Nie obiecywała nic, ani odrobiny. Po jego odejściu pozostała na krześle zamyślona. Panna Olsen nie mogłaby narzekać, nic nie było dla niej stracone, ona wciąż jeszcze nie zgubiona, los jej, zaprawdę, nie należał do najgorszych. Mogło wszak dojść do tego, że otrzyma męża, na powrót którego miasto wywiesi kiedyś cho-

rażwie, — któżby mógł w takim razie pochwalić się równym mu mężem?

Słyszy kroki na schodach i myśli: — Czyżby powracał? — Lecz daleko większa jeszcze niespodzianka miała ją spotkać: ojciec wszedł wraz z konsulem Johnsenem, samym dubeltowym konsulem, który dotąd nigdy nie przestąpił progu ich domu, obecnie przyszedł i sprzedał swą posiadłość Gryn-Olsenowi.

XXIX.

Sprawa z dubeltowym konsulem była daleko poważniejsza, aniżeli naogół sądzono. Nie ukrył on bynajmniej, że *Fia* zatonąła nieasekurowana, przeciwnie, w swem pierwszym pomieszeniu nawet głośno o tem prawił. Teraz odzywały się skutki; zarówno on, jak i jego zarządzający Berntsen dość mieli do czynienia, aby nie dopuszczać do siebie strwożonych wierzycieli. Radzili, czynili i działali, konsul nawet zabezpieczył telegraficznie statek już po zatonięciu, ale uczynił to na własną rękę, a Berntsen niezwłocznie, i też na własną rękę, zanulował ten wymysł warjacki. Berntsen był istną perłą.

Ale perła Berntsen też był człowiekiem. Śród całego tartasu miejskiego zachował trzeźwą głowę i myślał ludzko też o sobie samym.

Patrzajcie, otóż stoją ludziska małemi gromadkami pod ścianami domostw i rozprawiają o katastrofie: że sam dubeltowy konsul zbankrutował, on, który nigdy dotąd nie stał bezradny, on, który miał środki na wszystko, który był centrem doli i niedoli całego miasta, który rozdawał na prawo i na lewo, który posiadał ów wielki dom z werandą i balkonem — on był teraz bankrutem. Jakto, wiedzieli o tem ludzie? Wszyscy o tem wiedzieli. A bo to nie przyjechał wczoraj jakiś pan

z Krystjanji i dopominał się pieniędzy od niego! A bo to nie przyjechał drugi pan z Hamburga i też dopominał się pieniędzy! A czy to nie przyjedzie trzeci i czwarty, czy nie przyjedzie każdego dnia inny! Ludzie dobrze pojmowali, że oznaczało to zupełny upadek konsula.

Wywarło to skutki szeroko, dosięgło wszystkich członków miasta, doktor odczuł to w swej praktyce, warsztaty okrętowe stanęły. Henryksen na Dokach stracił głowę i rzekł: — Idźcie do domu, chłopcy, ja już więcej nie podołam!

Więc teraz, kiedy miasto leżało w konwulsjach, nastąpiła chyba pora, aby się ludzie opamiętali i nawrócili. Otrzymali już oni poważną przestrożę przed kilku laty, w postaci pewnej grabieży pocztą, ale nie dbali więcej o nią, jak o cielę o dwóch głowach, ludzie pozostali takimi, jakimi byli. Lecz teraz? Czy rzeczywiście cios, trzęsienie ziemi, jakim było bankructwo konsula dubeltowego, nie zdołało zbudzić ludzi? Z czego więc oni byli ulepieni! Wszak w gazecie miejskiej znajdowało się wezwanie do mieszkańców, aby być religijnymi, a kobiety u studni omawiały ów program szeroko, tak że dostał on się do każdej komory w mieście, ale i to, zdawało się, nie przeistoczyło ludzi, ani odrobiny różnicy nie dostrzegłbyś w nich z dnia na dzień, przeciwnie, jeśli już istniała jaka odrobina, to, rzekłbyś, chyba na gorsze. Wszak tym samym parostatkiem, co i pan z Hamburga, przyjechał dziś, naprawdę, inny jeszcze gość do miasta, znana osobistość z dawnych czasów: nauczycielka tańców! Świat, niestety, był szalony. Akurat wtedy, kiedy ludzie powinni stać się nabożnymi i nie do poznania z nadmiaru bojaźni Bożej, wracała nauczycielka tańców, aby działać wśród nowego pokolenia. I ludzie pozostali sobie wierni:

Lecz co się dzieje z Berntsenem? O tak, Berntsen zamyka, jak zwykle, sklep i wychodzi zwykłemi krokami, mija jedną gromadkę pod ścianami domów za drugą i jest absolutnie bez śladu zgnębienia. Tak też powinien zachowywać się człowiek, który jest zarządzającym u zbankrutowanego człowieka, powinien strzec dobra swego pana i wyglądać, jak gdyby miał dobry interes na widoku. A obok tego może też myśleć ludzko i o sobie samym.

Zarządzający Berntsen nie udaje się bezpośrednio do domu, do swego pokoju na facjatce, ale gdzieś tam, udaje on się wprost do wielkiego domu C. A. Johnsen'a i prosi o rozmowę z panną Fią. Wiedział doskonale, że konsula w domu niema. Konsul wolał pójść gdzieś indziej, a nie do domu, gdy go co gnębiło. Z pokoju dochodziły obce głosy: Alicja Heibergów tam była, Konstancja na Dokach, nawet panna Olsen, nawet córka pocztmistrza, ta, która pracowała w magazynie mód, — przyszły widać, aby panna Fia nie siedziała zupełnie sama ze swem strapieniem.

No, panna Fia, hrabianka, świetnie potrafiła dowieść, że jeśli miała zmartwienie, to miała też kulturę, żeby je znieść. W tej właśnie chwili zabawiała damy opowiadaniem indyjskiej bajki, którą była czytała, a do której chciała narysować ilustracje.

Wpuściła zarządzającego Berntsen'a do pokoiku na parterze, gabinetem zwanego, i siadła, by go posłuchać. Widzicie: Berntsen ostatniemi czasy gadał—tylko wiekuiście z samym konsulem, a do pani Johnsen, która mało sobie z niego robiła za dni swej potęgi, nie chciał się teraz udawać. Nie pozostawał mu więc nikt inny, prócz Fii. Tak się chyba rzecz mieć musiała, jakżeby inaczej być mogło! Siedział więc tu

zapewne i tylko przedstawiał plan rzeczy, ten przykry węzeł, w który wplątany był interes, ruinę, pocóżby innego mógł on tu siedzieć i wykladać! A zresztą, nie zajęło to długo czasu, niewiele minut tylko, a gdy Berntsen dom opuścił i panna Fia znów weszła do dam, twarz jej była równie gładka i spokojna, jak zazwyczaj. Damy spojrzały na nią smętnie, Berntsen przyszedł, widać, z jakimś nowem nieszczęściem, — czemby innem? lecz Fia okazywała hart ducha.

Tak, okazała Fia teraz w wysokim stopniu hart ducha. Zapewne gniewało ją to, że dziewczęta, które tak daleko niżej stały od niej, pozwalały sobie na natarczywe współczucie, lecz ona śmiała się z nich, — ot co czyniła!

Gdy to damy ujrzały, uśmiechnęły się do niej w odpowiedzi i były rade: — Dobre wieści? — zapytały.

— No, jak myślicie? — odparła Fia. — Oświadczył mi się.

Niema chwila.

— Kto? Berntsen?

Fia skinęła głową, śmiejąc się głośno: — Subjekt mego ojca.

W ciągu następnej minuty nikt nie mógł przyjść do siebie. Alicja Heibergów chciałyby chętnie okazać się nobliwą, mimo, iż nie była bogatą i rzekła: — Służba pozwala sobie obecnie na zuchwalstwa.

A na to Fia odparła: — Tak, trzeba teraz znosić niejedno.

Ale wobec tych tak wielkich manier hrabiowskich, nie mogła, widać, panna Olsen nie wpaść nieco w zamyślenie. Powinny też być granice hartu ducha. Taka naprzykład Fia Johnsen... Ojciec jej zmuszony był odprzedzić swą posiadłość, nie wiodło mu się nazbyt dobrze,

może nawet nie tak już niesłychanie postąpił subjekt, gdy w danej chwili ofiarował swą rękę i serce? — I coś na to odpowiedziała? — zapytała panna Olsen.

Fia spojrzała tylko na nią z wysoko wzniesionemi brwiami i milczała.

— Nie wiem, czy było to tak całkiem bezwstydnie z jego strony, Fio. Berntsen nie wiele jest starszy od ciebie, napewno dorobi się w przyszłości własnego interesu, a z wyglądu nie jest odrażający.

Panna Olsen przedstawiła to zachęcająco, tak jakby przeciw temu nic nie miała, aby Fia Johnsen zrobiła mniej świetną partję. Ale Fia spojrzała tylko na nią raz jeszcze, — ci Gryn-Olsenowie, to też coś osobliwego! I — och, nie — panna Olsen też nie była nadmiernie dystyngowana i wytworna i subtelna, nie, ona nie umiała kopjować obrazów, z pewnością też nie była nieomylna w ortografji, nie czytała bajek indyjskich. Lecz panna Olsen posiadała zdrowy rozum, uważała snąć, że i Fia Johnsen powinna kiedyś wyjść zamaż. Rzekła: — Tak, może masz kogo innego, Fio. Bo w przeciwnym razie nie pojmuję, czemu to ten nieborak Berntsen zbyt daleko się posunął.

Dostała więc, i to prosto w twarz!

— No, wiesz ty! — rzekła Alicja Heibergów napominająco.

— Musiałabym być chyba w okropnem położeniu! — rzekła Fia.

— Tak, więc powtarzam swoje: musisz mieć gdzieś kogo innego.

Na to hrabianka odrzekła, zaprawdę, nieco bardziej zirytowana, niż zwykle: — Mam dziesięciu innych, jeśli zechcę.

Niema chwila. Cztery panny uważały snąć, że

to wysoka liczba, a panna Olsen rzekła: — No, jeśli tak —!

— Tak, właśnie, że tak, rzekła Fia i kiwnęła głową. Ale nawet gdybym nie miała ani jednego jedyne go, tobym nie wzięła nikogo tu z miasta.

— Tak? — rzekła panna Olsen i pełne jej usta ściągnęły się nieco. Patrzajcie, ona miała ptaka w ręce, który pochodził tu z miasta, ale — kto wie — może będzie on nienajgorszy, ho ho, niewykluczone, że miasto kiedyś flagi na cześć jego wywiesi. Lecz panna Olsen miała w danej chwili zazdrosną świadomość tego, że ptak jej pierwiej krążył dokoła Fii Johnsen, nim przyfrunął do niej, ileż więc musiała ona się nacierpieć!

— Przecież, doprawdy, bywałam nieco w świecie i widziałam i słyszałam wiele, — rzekła Fia. — Interesuję się mą sztuką i obcuję z artystami, a nie z panami tego miasta.

No, to już było za silne nawet i dla Alicji Heibergów, ona sama miała tu jednego z miasta, Reinerta, syna dzwonnika; młody był jeszcze, ale co za loki i co za eleganckie obejście, co za adorator! Zaprawdę, dobrze się ona zadurzyła w tym pędziwiatrze-studencie podczas ostatnich wakacyj.

Fia chwije w zamyśleniu głową i szeptem: — Ty wielki świecie, jakby się to ze mnie artyści śmiali!

Na to panna Olsen odparła: — Gdybyś wzięła Berntsena? Mój szwagier nie byłby się w każdym razie śmiał z ciebie z tego powodu.

— Tak? pyta Fia zaciekawiona. To ją zainteresowało. Szwagier panny Olsen nie był byle kim, lecz artystą o coraz większem i większem imieniu, gwiazdą wschodzącą. Co też mógł on powiedzieć, co miał na myśli, że ona nie maluje dobrze?

— Powiedział, że jesteś poprostu za dystyngowana i że nie umiesz kochać, ani wierzgnąć nogą, rzekł. Nie wiem, co on przez to miał na myśli, ale rzekł, że to już taka twoja natura, że ty chyba nigdy zamaż nie wyjdiesz.

Fia puściła mimo uszu tak niewytworne gadanie i zapytała tylko: — Ale co powiedział o mych pracach?

— Nie przypominam sobie. Zdaje mi się, powiedział, że niema w nich zarzewia.

— Czego w nich niema?

— Zarzewia. Nie pamiętam tak dokładnie. Ale że podobno zimny z ciebie człowiek i że tego zdania byli wszyscy artyści, rzekł.

Panna Fia nieboga, otóż zamyśla się i milczy długą chwilę. Niezbyt to jej miłe, bardzo spotulniała: — Nie widział on ostatnich moich kopij z Paryża — rzekła — sądzę, że mogę powiedzieć, iż w nich nie brak żaru. Zresztą nie widział on też ilustracyj, które zamierzam zrobić do indyjskich bajek. Spodziewam się, że otworzą one oczy każdemu z oddzielna.

Gdy damy odeszły, Fia poszła do matki, po raz pierwszy w porządnym niepokoju, chora na duszy. Ale może matka już się położyła do łóżka, znudzona troskami i brzemieniem dnia, a wizyta córki nie podziela chyba na nią orzeźwiająco? — I poco przysła Fia akurat teraz?

Oczywiście, że weszła do pokoju grzecznie i jako osoba z wykształceniem. Zapytała, czy nie przeszkadza, czy matka nie życzy sobie, aby ona odeszła raczej, bo to — w istocie nawet nic takiego.

— Cóż się stało, Fio?

— Nic, ty się też niedobrze czujesz, nic takiego, można odłożyć to na kiedyindziej. Ale czy nieprawda,

mamusi, przecież jestem artystką i nie można mnie pognać głupią krytyką?

— O czymże ty gadasz, dziecko, przecież miałaś tylko dobrą krytykę?

— Czy nie prawda? O, ja im pokażę! Zobaczysz, co ja rozpocznę jutro, mamusi! będzie to najlepsze ze wszystkiego, co dotąd zrobiłam!

— Czy był tu Berntsen?

— Tak. Czy wiesz, czego on chciał?

— Zdaje mi się, że rozumiem.

— Ani trochę. Oświadczył mi się.

Ku wielkiemu zdumieniu Fii matka nie podniosła się na łóżku jednym ruchem i nie zażądała, aby natychmiast oddalono z miejsca zarządzającego Berntsena, nie, pozostała nadal w leżącej pozycji i, zdawało się, popadła w zamyślenie.

— Czy wiesz, że ojciec sprzedał posiadłość? — rzekła.

— Co za posiadłość? — Fia nic nie wiedziała, nigdy nic podobnie okropnego nie słyszała, chciałyby najchętniej cofnąć ugodę. Sprzedać aż posiadłość!

— Gryn-Olsenowi.

Wtedy Fia opadła na łóżko. A więc dlatego to owe cztery młode panny przyszły dziś wieczorem! To córka Gryn-Olsena sprowadziła sobie towarzystwo, aby było świadkiem jej triumfu! Gdyby Fia nie miała swej sztuki, byłaby teraz zbankrutowana, lecz ona władała bogactwem.

— Omówiliśmy to z ojcem — rzekła matka. — Berntsen też sam doradzał, zgodziliśmy się na to, aby dla ciebie w każdym razie coś pozostało.

— Dla mnie? — rzekła Fia. — Ja mam swoją sztukę.

Matka i córka roztrząsają sprawę. O, pani konsulowa Johnsen stała się zadumana, może przejrzała nawet manewr zarządzającego Berntsena, umiała teraz wogóle lepiej niż dawniej przenikać w miście ludzi, stojących poniżej jej samej. I cóż Berntsen? Uczynił to samo, co jej własny mąż, konsul Johnsen, uczynił był ongi i co tak wielu innych uczyniło. Żyjemy przecie w wieku ludzi.

Rozprawiają i rozprawiają o tem dalej, ale Fia myślała, widać, wciąż o swoim i nie trzymała się wyłącznie poziomu. Artyści sądzili, że z niej chłodny człowiek, — także więc było podziękowanie za wszystko, w czym ona im pomogła! — Nieprawdaż, że im pomogłam, mamusiu?

— O, tak. Ale teraz koniec już temu. Gryn-Olsenowie, konsulstwo Olsen więcej mają środków, niż my.

— Ale nie posiadają kultury — rzekła Fia pocieszająco.

— Nie. Tylko że tacy z nich bogacze. Pomyślnie, kupili sobie kryształowe płóćki!

Z tego uśmiechnęły się tylko matka i córka, i naogół wzięwszy, poweselały nieco. Nawet pani Johnsen, która leżała oto ze swą żółtą twarzą i zmartwieniem i ze swem nieszczęściem, rzekła: — Tak, no, zobaczymy, gdy Szeldrup przyjedzie, może on znajdzie jaką radę!

— Ależ z pewnością, nie bój się mamusiu! Ach, widzisz, artyści wcale znów nie tak wiele znaleźli we mnie do krytykowania. Tylko uważają, że mi brak żaru. Ale co do tego, to podejmuję się im pokazać, o, już oni zobaczą!

I dalej mówiła o tem.

Siedziała tu panna Fia. Była już obecnie dobrze w latach, cera brzoskwiniowa jej twarzy utraciła już swą świeżość, była przedojrzałą, pewna opieszałość poczynała widnieć w damie. Spędziła wszystkie swe lata bez pomyślności, ale i też bez niepomyślności, nic nie byłoby w możności zmienić jej usposobienia, była nieczuła na wpływy i zachwycająco samopewna. A że nie wchodziła na bezdroża, pochodziło to stąd, że wogóle nie dążyła. Czemużby miała dążyć? Była przecież tak ułożona i tak zamknięta w sobie. Jej miłość i instynkt macierzyński wyrażały się w malowaniu obrazów, nie zbrakło jej nigdy środków do tego zajęcia, nie malowała ani z zewnętrznej ani z wewnętrznej potrzeby, lecz malowała. Nikt nie widział, by kiedykolwiek trapiła się nad sobą, nie błędziła, nie czyniła zła nikomu, nie trwonila, mówiła grzecznie, kłaniała się. Pewnego dnia mogłaby zapytać nieba nad sobą i ziemi pod sobą: czy jestem kimś? czy jestem czemś? O, onaby o to pytała!

Panna Fia — może nie znosiła ona ciężaru własnych swych kroków, były może brzemieniem w drodze. Niedobrze to być całkowicie pozbawionym potrzeb i skruchy nad samym sobą.

— Więc ja jestem zimnym człowiekiem? — rzekła i podniosła się z łóżka. — I przytem nie umiałabym wierzyć nogami?

Matka i córka były teraz w dobrym humorze i mogły żartować. Matka uniosła się na łóżku i śmiała się nieco chwilami, miały obie jednaki temperament i jednaką błogosławioną gotowość zapominania ciemnych chwil życia.

Fia udawała doskonały humor, hej, cofnęła nieco nogę wtył, jak gdyby wcale nie tak mało tkwiło w niej

szaleństwa, wcale nie tak mało, i wykonywała drobne ruchy łokciami, akurat, jakby trącała w zakochaniu kogoś, siedzącego tuż obok niej. Nieźle to było podrobione. Podgarnęła rękami spódniczki, tak że jej białe majteczki stały się widoczne aż pod górę, takie piękne i nieporównane, pełne koronek i kokardek, ach, takie rajskie, i otóż wyjrzały one na światło dzienne, a Fia machnęła wysoko lewą nogą. Podczas tego miała wygląd tak obiecujący, jakby z czasem i latami mogła jeszcze zadziwić artystów swemi wybrykami. — Hej! — rzekła znowu. Tak, bo w gruncie rzeczy desperacka z niej kobieta i świnia, nieprawdaż? już to oni zobaczą! Gdy po raz trzeci wyciągnęła nogę, czyż i tego było mało? Czy jeszcze nie dość zrobiła? Brakowało tylko, żeby zarżała!

O, wszystko to, zaprawdę, było przyzwoite i niewinne, ale smętne to było widowisko, te wywijasy starej panny mogłyby rozśmieszyć rurę od pieca.

— A gdzie jest Berntsen? — spytała nagle. — Odszedł? Jeśli tak sądzisz, mamu, to czemu nie, jestem gotowa na wszystko. On z pewnością jeszcze stoi na dole, — czy mam go tu znów sprowadzić?

Nie zaszła potrzeba jej ofiary. Fia mogłaby zaoszczędzić sobie swe wielkoduszne poświęcenie, bo los pozwolił jej prowadzić nadal swe dawne życie, swe piękne i zdobne życie, akurat jak dawniej, czemużby więc miała je zmieniać! Do miasta powrócił mianowicie pewien człowiek, uporządkował wszystkie sprawy, wyratował interes, posadził członków rodziny na ich poprzednie miejsca, uśmierzył konwulsje miasta.

Szeldrup Johnsen powrócił do domu.

Uporządkował wszystkie sprawy? W niektóre wprowadził nieporządek. O, tego uniknąć niepodobna.

Ludzie popychają się wzajemnie i przechodzą jeden przez drugiego, niektórzy osuwają się na ziemię i służą jako pomost dla innych, niektórzy giną, — o, to są ci mniej wytrwali na ciosy, więc giną. Nie sposób tego uniknąć. Ale inni kwitną i powodzi im się wyśmienicie. Taką jest nieśmiertelność życia. Patrzajcie, o wszystkim tem wiadano u studni.

Szeldrup Johnsen nie wydawał się zbyt tklivym i łagodnym, gdy nagle przyjechał do domu z Nowego Orleanu; nie znalazł złego słowa dla zarządzającego Berntsena, ojciec jednak musiał się tłumaczyć.

Konsul nie pojmował, czemu to o n ma za wszystko odpowiadać: widział to kto coś podobnego, — ma więc w dodatku jeszcze słyseć przymówki! Wszak wyraźnie prosił Berntsena, aby nie zapomniał asekuracji.

— Ale o czem ty sam myślałeś? — zapytał Szeldrup.

Niepodobne było dyskutować z tak głupim synem, z tak stanowczym i nowoczesnym synem, powracał z innego świata: szterlingi, mówił, dolary, mówił. Przewęszył książki ojca, jak gdyby mu zależało na tem, aby znaleźć w nich błędy, cały był tylko interesem. Nie miałże konsul wiele do pamiętania? Nie byłże on wieźycą miasta i, prócz wiele innego, konsulem dwóch krajów, miał może nie pisywać swych raportów?

Lecz próżną była obrona, konsul malał i malał podczas starcia ze swym synem, dał do zrozumienia, że zacznie realizować. Zabezpieczył już przyszłość Fii i sprzedał posiadłość, z nim i z żoną niech idzie jak chce, być może uda mu się dostać jakąś agenturę, agenturę ubezpieczeniową —

Wtedy na ustach Szeldrupa wykwitł uśmiech szeroki i ojciec dojrzał go. Dotknięty w swej godności

powtórzył, że będzie realizował, zapłaci wszystko i pozostanie uczciwym człowiekiem.

Szeldrup odparł: — My nie będziemy realizowali.

— Owszem — rzekł ojciec i trwał w swem samozaparciu. — A jako szlachetny człowiek wyrzeknę się swych konsulatów.

— Ani mowy o tem! — rzekł Szeldrup stanowczo.

— Nie możemy sobie pozwolić na tak drogocenne aktywa, rzekł. Zresztą skończył przeglądanie książek: były nieco dowolnie prowadzone tu i tam, co jest błędem! liczby to nie coś w przybliżeniu, liczba to coś poważnego, coś ścisłego, nie żartuj z liczbą! — Ale położenie nawet wcale nie jest tak z gruntu złe, ojczu, dobrzeby to wyglądało, abyśmy potracili głowy! Każ odtąd tym włóczącym się panom z Krystjanji i Hamburga i Göteborgi i Havru przychodzić do mnie, rzekł.

— Mówisz to poważnie?

— Ale pod jednym warunkiem: że ty odpoczniesz sobie, ojczu.

Nareszcie więc przebiło się w nim uczucie synowskie, zrozumiał, że ojciec potrzebował odpoczynku. A ojciec tak dalekim był od sprzeciwiania się odpoczynkowi, miał dotąd zbyt dużo do uporania się, włosy jego stały się niczem w porównaniu z tem czem były dawniej, oczy — bez blasku, dni — bez spokoju, noce — bez radości. — Lecz nie mogę przecie chodzić tylko i próżnować? — rzekł.

Szeldrup oznajmił: — Chcę objąć całkowite kierownictwo. Ty możesz odpocząć.

Na początku Szeldrup rozporządzał się bezczelnie co do ludzi i spraw: wymówił Oliverowi Andersenowi miejsce w składzie, cofnął roczną pomoc i doroczną odzież filologowi Frankowi, synowi Olivera, odprawił

starego odziedziczonego drwala, który służył za cześć i srebrną łyżkę, w nagrodę, jeszcze w domu rodzicielskim pani Johnsen, cofnął też pewną umowę obowiązującą z Henryksenem na Dokach.

I znów stali ludzie gromadkami pod ścianami domostw i starali się utwożyć sobie zdanie o stanie rzeczy: nie było wątpliwości, że konsul został zrzucony i że Szeldrup objął rządy, widziano to po skutkach dookoła, dobrych i złych skutkach, które wszystkie obsadzano u studni. O, jak się te młyńce kręciły! Otóż pani Johnsen sprawiła sobie nowy kapelusz. Dawniej nosiła duży kapelusz o wielkiem obramowaniu, które chwiało się w górę i na dół, gdy pani chodziła, tak, zdawało się niemal, jak gdyby ten kapelusz miał zawiasy dookoła. Lecz teraz kupiła sobie kapelusz podobny niejako do tego, jaki paniusia konsulowa Davidsen nosiła i który wiele nie kosztował. Widać, że Szeldrup wdał się i w to, gdzież bo on się nie wtrącił? Ową mistyczną sprawę z Dokami też on rozwiązał. Widzicie, był to, widać, pewien niewielki układ, który powstał w swym czasie między nieboszczką panią Henryksen a konsulem, dawno już bardzo temu, wtedy, gdy pani chodziła jeszcze żywiuteńka po ziemi i miała tylko niewiele ponad lat trzydzieści. Tak to widać było. Ale teraz warsztaty stanęły i to było najgorszem ze wszystkich zarządzeń, warsztaty stały, a Kacper i wszyscy inni robotnicy byli rozpuszczeni i nic innego nie mieli do roboty, jeno strzegli swych żon przed sobą nawzajem.

Szeldrup ujął wodze. Gdy zjawiali się obcy wysłańcy kredytorów, odsyłano ich do jego kantoru, gdzie siedział sam, w pojedynkę; panowie z Göteborgi i Hawru nie pozostawali długo u niego, załatwiał ich, kłaniał

im się we drzwiach i siadał napowrót. Co im mówił, aby ich zadowolić? Nie to, co mówił, lecz to, co czynił, sprawiało na panach niezapomniane wrażenie: wypisywał czeki na ich pretensje: Bardzo proszę — jeden cud za drugim! Parowiec *Fia* przyprawił interes o stratę dwustu tysięcy koron, — skądże więc wziął pan Szeldrup Johnsen ten miljon, aby wyrównać stratę statku? A to szatańskie miał on snać stosunki w wielkim świecie!

Szeldrup jął się innych rzeczy jeszcze. Okazało się pewnego dnia, że ów dobry Szeldrup zgola nie był tylko interesem — a może i tak? Wszak serce umiało go ponosić. Udał się w porze obiadowej z wizytą powitalną do Gryn-Olsenów i wyszedł stamtąd jako człowiek zaręczony. Czyż więc on nie działał! Stało się to tak jakoś samo przez się, ani Szeldrup ani panna Olsen nie obejrzeni się na prawo lub na lewo, lecz załatwili rzecz z miejsca. Dama nie prosiła nawet, aby ją traktowano szlachetnie, cała sprawa była zakończeniem młodzieńczego zakochania, oboje osiągnęli, czego sami pragnęli, obojgu było im to potrzebne. Miało to miejsce akurat wtedy, gdy adwokat Fredryksen odbywał swe pilne posiedzenia z wyborcami, nie był więc w możności stawić się na innych polach walki i przeszkodzić porozumieniu, więc sprawa musiała pójść swym torem. Owszem, adwokat wybrany został przecie — w jednym miejscu, lecz odrzucony został w drugim. Nigdy chyba adwokat Fredryksen nie obrachował tak błędnie: najważniejsze wybory okazały się przeciwko niemu. Mógłby ponieść porażkę polityczną — do następnego razu, ale postanowienie panny Olsen było dlań stratą na życie całe. Nie pomogło macanie jej ramieniem z tyłu, nie pomagało grzmienie. Cóż więc pomogło?

Chodził w zamyśleniu czas jakiś, z tydzień czasu. O, adwokat Fredryksen nie był żadną miarą stracony, jego witalizm był tak wielki, on chciał iść naprzód, a więc z drogi tam! Nie dążył do wielkiej władzy, on dążył do wyżyn i honoru polityka w stortingu, on dążył do zabezpieczonego życia, do bogactwa małomiasteczkowego, do tego zmierzał. Nie miałby więc osiągnąć tak skromnego celu? Wszak już i teraz był wielkim mężem, referentem swego miasta, członkiem stortingu, przewodniczącym niekończącej się komisji, po jakimś czasie zostanie ministrem sprawiedliwości. Co za karjera! Któżby miał tak wysokie mniemanie o nim przed kilku laty, gdy chodził obdarty i bez zajęcia, gdy nie mógł pozwolić sobie na cygaro, ba, gdy zdarzało się, że musiał golić się na kredyt u cyrulika Holtego: — Zapomniałem wziąć z sobą nieco drobnych, zapisz mi to pan na rachunek do następnego razu!

Panna Olsen wyrzuciła mu sromotny figiel, lecz on go przeżyje, adwokat Fredryksen zawsze go przeżyje, wstąpi do większej ilości komisyj, weźmie żonę z mieniem, poczem będzie płacił cyrulikowi Holtemu za każdym razem. Jako minister sprawiedliwości będzie załatwiał w swem biurze, co należy załatwić, więcej nie potrzeba, więcej od niego nie oczekują. Jeden z dawnych jego kolegów z ławy stortingu zapyta go o to lub owo, napomknie o tej lub owej kwestji administracyjnej, owszem, minister sprawiedliwości obiecuje zwrócić uwagę na sprawę i członek stortingu dziękuje. O, minister sprawiedliwości jest tęgim mężem, on z chęcią przystaje, by zwracano uwagę na coś, niezawodnie, on jest człowiekiem dążącym naprzód, przywódcą, biuro jego załatwia wielkie i drobne sprawy. Ten, który się obawia, że radca stanu Fredryksen po-

pełni coś niezwykłego, nie zna go, uczyni on właśnie to tylko, co jest koniecznem, na to jest jakby stworzony. Został kółkiem maszynerji państwowej, gdy inne koła się obracają, i on toczy się wraz z niemi. Los mu wyznaczył powolne kroczenie, on nie powinien się toczyć wartko, nie powinien tylko stać na miejscu.

Brak go będzie, kiedy umrze.

XXX.

I znów spadł na Olivera ładny ojczenasz: wymówiono mu miejsce w składzie. Dotąd chodzi tam jeszcze i spełnia swą pracę codzienną, lecz gdy termin upłynie, popadnie w nędzę. Tego, zaprawdę, nie oczekiwał nigdy! Oliver jest głęboko znękany.

Idzie więc do Abła i rozmawia z nim. Do kogóżby innego miał się udać? Filolog Franek był nadzwyczajnym lingwistą i nauczycielem ludzi, ale dotąd jeszcze nie nadsyłał do domu tego wielkiego wsparcia, którego ojciec oczekiwał, natomiast wieść głosiła, że zaręczył się z Konstancją Henryksen na Dokach. Tak, ale co to pomogło Oliverowi!

Abel rządził obecnie w kuźni, którą mu wreszcie majster Karlsen odstąpił za umiarkowaną cenę, kupił też ów cudacki młot parowy, który szedł na parafinie, a który kuł doskonale. Abel miał dużo do czynienia i zarabiał dobrze. Nie był z niego żaden sknera, który ustawicznie tylko sam dla siebie potrzebuje każdej dwukoronówki, zarabiał na meble wszelakie, na pościel, skrzynię, poszedł do złotnika Ewensena i kupił dwaście gramów złota. Co kupił? Złoto. A jednakże pozostawała Ablowi nieraz dwukoronówka i dla kieszeni ojca.

Patrzajcie, Oliver nie czynił ani cienia różnicy

między swemi dziećmi: gdy był w potrzebie, nie udawał się więc do Franka, który był nieobecny, lecz do Abła, którego codzień mógł zastawać rankiem w kuźni. A dziś chodzi o więcej, niż o dwukoronówkę, Oliver objaśnia, że Szeldrup Johnsen wymówił kalece miejsce, tu chodzi o chleb codzienny, i co mu czynić należy?

— Tak — rzekł Abel i zamyślił się nad tem — nie wiem innej rady, jeno że się muszę ożenić — rzekł.

A to ci gadanie do stu djabłów! To też ojciec bezsprzecznie natychmiast gębę rozdziawił. — Co masz na myśli? — zapytał.

— Już jest wszystko gotowe i dłużej nie chcę na nią czekać — objawił Abel. — Chcę, żeby się to raz rozstrzygnęło.

Oliver nie zrozumiał, dlaczego syn na podobny pomysł wpada w tej chwili, lecz był on ojcem, który umiał przystosowywać się do okoliczności, więc wnet porzuciwszy własne sprawy, słuchał ze współudziałem syna: — Ładnieby to wyglądało, żebyś miał dłużej na nią czekać! — rzekł.

— No, tak uważasz?

— Nie miałbym tak uważać! Czem jest ona, a czem ty? — Piórko znalezione na ulicy albo puch to tyle akuratnie jest ona, i nie więcej.

— Chcesz zobaczyć pierścionek? — spytał Abel. Wyjął go z szuflady w ławie pod oknem: a nie bylejaki to był pierścionek, gruby i błyszczący, ciężki w dłoni, złoty. — Akurat go wykończyłem, — rzekł.

Oliver niemieje i niedowierza, ale nawet twarzy nie skrzywił. Wreszcie pyta: — Ile wziął Ewensen za pierścionek?

— Ewensen? Ja sam zrobiłem pierścionek! — Abel pokazał mu formę, w której go odlał, pokazał mu

wiórki do pilowania, któremi go pilował, pokazał mu pilniki, które się ozłociły. A tu, widzisz, papier szmerglowy, którym go szlifowałem, a tu masz rozmaite pilniki, grube i cienkie wkońcu to i skórki zamszowej używałem.

Wszystko to było czystą prawdą. Oliver głową kiwa i mówi: — Bóg bądź mi miłosiernym, Ablu, to tak, jakbyś wszystko mógł robić, co tylko zechcesz!

A Abel dumny był z pochwały ojca, ale jednak powiedział: — Teraz zależy tylko, czy ona go zechce.

— Zechce? — wykrzyknął Oliver. — Jeśli go tylko to stworzenie nie zechce, to ty ją przyslij do mnie. Tak uczyni. Czy zechce taki pierścionek? Zobacz-ino, dwa razy tyle waży, co ten, który kupiłem dla matki twej zagranicą. Nie gadaj takich głupstw!

Nie mówiono już więcej o zajęciu ojca, a jednak odwiedziny w kuźni dodały otuchy nieborakowi. Wystarczało do tego niewiele, już to samo, że Abel nie tracił ducha wobec zagrażającej biedy, było pociechą i podporą. Abel miałby upaść na duchu? Nie.

Abel wyciąga chusteczkę, która wystaje różkiem z kieszonki ojca, Abel chciałby pożyczyć jej na chwilę, Ablowi wpadł pył do oka. A gdy Oliver otrzymuje chusteczkę z powrotem, czuje, że stała się cięższą o dwukoronówkę.

Odchodzi tedy. Odchodzi Oliver. Zadziwiająco, jak się czuje rześkim. Te odwiedziny w kuźni dobrze mu uczyniły, znów ma szelążki w kieszeni, jutro jest niedziela, z pewnością będzie pogoda sprzyjająca, więc wypłynie na morze — o, i na przyszłość też się rada znajdzie! Gdy przychodzi do domu na obiad, przynosi z sobą trochę cukierków dla dzieci, a wieczorem wypływa na morze.

Nadchodzi noc i Oliver nie powraca do domu, następuje dzień jutrzejszy i Oliver nie powraca, nie, — ale to rzecz zwykła: łódkę puszcza samopas, i łowi ryby na obiad, dobija do brzegu, gotuje, spożywa i śpi. Nic nie dałoby się porównać z tem cudownem próżniaczeniem i gnuśnieniem.

Pierwszy poranek nad morzem i wyspami zawiera w sobie jakby wieczność samotności, — hen daleko, na lądzie, stoi kilka nagich słupów telegraficznych. Oliver słyszy bicie dzwonów w którejś plebanji poza miastem. Nastraja go to łagodnie, nastraja do ciszy. Ranek ten nie nakłania do żadnego rodzaju zaniedbania obyczajów, do żadnych wyklinań lub bluźnierstw, nie, nie, świat jest prześlicznem miejscem pobytu. Zaiste, a po spożyciu resztki ryby z wczorajszego wieczoru czuje się Oliver sytym i zadowolonym i mówi: — Chwała Bogu i dzięki za jadło! — Więcej to, niż ludzie zwykli mówić codziennie.

Nie wszystkie nauki podobne są do tego. Dziś jest poranek niedzielny z biciem dzwonów i nabożeństwem, w powietrzu słycać szmer za szmerem, u stóp jego rozciąga się morze. Toż to kraj jego rodzinny, kolebka jego; fale płyną ku niemu, wzbijają się w górę i opadają nadół, przeobrażają się w pianę i w nic na wybrzeżu. Wszystko to razem jest piękne. Pomyślcie, ongiś, w młodości, Oliver kupił bilet na obrus i wygrał go. Później kiedyś sprowadził do portu duży statek. Wszystko to uczynił Oliver Andersen.

Przespał się znowu, — dobrze to jeść i spać. Słońce stoi wysoko na niebie, dzień i droga jakby stworzone dla niego. Chce wreszcie na serjo wybrać się na oną górę ptaszą, hen daleko, gdzie statki kursują. Dziś to musi nastąpić. Z pewnością jest tam puch na owych maleń-

kich zębcah skalnych wzdłuż stoku góry. Ach tak, mocny Boże! wzdycha Oliver i rusza na morze. Jego pobożność jest może nieco wyrachowana, jak każda pobożność ludzka, w każdym razie nie może on przeciezaniedbywać swych spraw. Wie, że statek pasażerski był już w mieście i ruszył dalej, nie spotka więc nikogo, będzie samotnym na tej wyprawie, bez świadków. I coby mu świadkowie uczynić mogli? Oliver odbywa wybieczkę na ryby, Oliver ma prawo do tego.

O, i teraz, jak dawniej, jak niemal zawsze w ciągu ostatnich lat dwudziestu, jest w życiu Olivera coś niebezprawnego, lecz coś na pograniczu, niekiedy nawet cokolwiek poza granicami.

Nie udaje mu się dzisiaj wykraść puchu z tą samą rafinerją i znajomością rzeczy, jak zwykle; oczywiście, że nie umiałby przejść mimo cennego towaru, nie zabrawszy go z sobą, więc chwyta go chciwie, napycha tutkę złym i dobrym, nie przebierając. Zdarza się coś innego, co zajmuje go więcej. Umysł Olivera nie porzucił nigdy bajki, a bajka nie opuściła jeszcze jego. I co mu się przytrafiło?

Niema tu żadnego ptaka w gnieździe, niema jajek, młode się już wykłuły, Oliverowi nadarza się najlepsza okazja do czynu. Bada więc najniższe gniazdo, grzebie w niem do dna i znajduje tam papier — a więc papier, listy! Cóż to być może? Poczta, listy z markami, jakież to dziwne! Odchyła na stronę puch i zagarnia listy: toż to poczta pieniężna, rozdarte koperty opieczętowane lakiem, ale opróżnione już z pieniędzy; są też listy polecone, które nawet nie są jeszcze otwarte, czyta więc niektóre adresy i poznaje właścicieli: ludzi w mieście i ludzi z okolicy, wpada mu do głowy, by otworzyć jeden z poleconych listów i natyka się na

banknoty, otwiera więcej listów i natyka się na banknoty —

— Bajka.

Całe popołudnie zajmuje Oliverowi ukończenie roboty na górze ptasiej. Stał się pożądanym, przebiera więcej i więcej gniazd, do których może się dostać, znajduje od czasu do czasu to, czego szuka i zbiera to w jedną kupkę, bogaci się coraz więcej i więcej. Odpływa z góry ptasiej ze swą zdobyczą o zmroku, płynie, niczem statek, nie spotyka nikogo, nie ma świadków. Przybija znowu do wyspy, która go w gospodę przyjęła ostatniej nocy.

Od tej chwili aż do śmierci samej będzie drżało serce Oliverowe na wspomnienie onego przeżycia. Na początku pomylił się, odgadując, że listy pochodziły z rozbitego gdzieś okrętu. Potem przypomniał sobie, że gazety donosiły niekiedy historje o nierzetelnych urzędnikach pocztowych, którzy opróżniali listy z ich zawartości pieniężnej, poczem wrzucali je do morza. O, lecz głowa Olivera wprawna była w rozstrzyganiu dwuznacznych spraw, domyślił się rychło prawdziwego skojarzenia wypadków: były to pozostałości z pewnej grabieży poczty. Ani on, ani też inni nie zapomnieli dotąd wielkiego zdarzenia, rodzina pocztmistrza miała przyczynę wspominać je, Oliver zaś pamiętał jeszcze paczkę banknotów z owego czasu. Ale ktokolwiekby był ongi tym złodziejem, Adolf ze skrzynią, ten co to się mianował Ksander, czy drugi sternik, syn pocztmistrza, czy ktokolwiek inny — co za osioł być musiał z niego, co za partacz, co za pożałowania godny uczeń! Miał oto niebywałą okazję i wykorzystał ją jak głupiec, stał na okręcie pociemku i plondrował tylko co najgrubsze listy, a resztę cisnął do morza! Postąpił jak marnotrawca z ową ceną zdobyczą, zachował się, jakby nic

świętego dlań nie było. Olivera gniew brał za jego sprawowanie się. Tedy nieme zwierzęta edredony były już niby ci rozumni i uczeni ludzie, one przechowywały skarby. O, edredony są tak mądre, wyściełają dno swoich gniazd wszystkim co tylko znajdują, robią je z poczty wartościowej —

Oliver nie ma ochoty do jadła, nie ma ochoty do snu, siedzi tylko spokojnie aż do rana, potem sortuje skrupulatnie swą pocztę od morza, pocztę od nieba i Boga, wyjmuje banknoty i wsuwa je do kieszeni, zgarnia listy do kupy i pali je. Poczem rozprasza dokoła popiół i zaciera wszelkie ślady. Może być nader zadowolony z swej wyprawy na ryby, owszem, ale i pewni ludzie też mogą być radzi, że listy zostały spalone.

Więc płynie do domu, płynie niczem statek. Jest to poniedziałek rano. Oliver czuje się znużonym po naprężeniu i niewiele mówi, lecz jest w niezwykle łagodnym nastroju i okazuje wdzięczność za bylejaką strawę, — wszak ma pieniądze w kieszeni i sam może dokupić sobie słodczy. Poczem udaje się do składu.

W ciągu dnia wykrada się więcej niż raz za wory i skrzynie i beczki i liczy swe pieniądze, wygląda je, odwija ośle uszy. Przybywa ten i ów klient, witają się z nim, współczując, gdyż wymówiono mu miejsce, litują się nad nim, a Oliver odpowiada: — No, znajdzie Bóg radę i dla mnie!

W głębi duszy aż rośnie. Otóż stoi znów w swym składzie z pieniędzmi w kieszeni wewnętrznej i coraz gęstszej i gęstszej nabiera miny. Suknie jego są mocno podniszczone, lecz charakter jego się polepsza, zachowanie staje się pewniejsze, wewnątrz niego dokonywa się powolne dźwignięcie. Nie dziwota, Oliver znajduje się u szczytu, na wierzchołku, widoczny jeno dla siebie

samego, przechodzi to w pychę, a nawet, otwarcie mówiąc, zadziera nosa. Nie, aż do tego stopnia, żeby miał udać się do hotelu, udawać Anglika i zażądać powozu z koniem na wycieczki w okolice — — tylko bez przesady. Gdy wracał do domu na obiad, wpadł mu wprawdzie ten kapryśny pomysł do głowy, aby wstąpić do kilku sklepików i popłacić stare długi, ale z przeblyskiem rozumu pomiarkował się w porę. Mocny Boże! bogactwo jego nie było znów tak olbrzymie, nie mógłby sobie za nie kupić pensji dożywotniej, o nie, gdzie tam! — ale były one tak błogosławionej wielkości, że nieborak nabrał otuchy, kulą w podłogę uderzył i rzekł do siebie samego: — Nie dam się wyrzucić ze składu, pójdę do konsula!

Przedewszystkiem kupił dla siebie i przyniósł do domu wszelakich smakołyków, np. nieznanne dotąd papu w puszkach i papierkach srebrzystych. Od tej pory nie były już gruszki w konfiturze fikcją i bajką dla rodziny Olivera; to też skutek był ten, że Oliver podziw wywołał w ludziach, którzy nigdy nie objechali ziemi dokoła, a Petra naigrawała się z niego, mówiąc, że chyba skarb jaki znalazł na swej ostatniej wyprawie. Większych jeszcze dokonał cudów: nie był już teraz tak ostrożny ze swemi wydatkami, jak w poprzednim swym okresie bogactwa, nakupił rozmaitego ubrania i okrycia dla wszystkich w domu, sprawił i sobie całkowity garnitur, a prócz tego krawat ze srebrnymi chwaścikami. Możliwe, iż była to krawatka dla dziewcząt, ale on nie mógł, widać, wyobrazić sobie, aby mogła stroić inną, niż jego szyć. Później nieco wciągu tegoż dnia udał się do złotnika Ewensena, który sprzedawał również psalterze, okulary i instrumenty muzyczne i tam kupił błyszczącą trąbkę mosiężną i klarnet na ścianę w izbie. Do Petry rzekł:

— Pamiętaj, żebyś mi go utrzymywała w czystości i glansie!

Tak to on żył na wielkiej stopie i poczynił swe zakupy. Pozostało mu teraz załatwić się z konsulem. Przechwalał się już zgóry, że pójdzie do niego; miał słówko do powiedzenia temu panu, temu wielmoży, zamierzał dać mu do poznania, powiedzieć, kto on taki —

Jednakże odkładał wciąż i dzień i godzinę, jął rozmyślać nad czemś i nie mógł się jeszcze pogodzić ze sobą. Tymczasem otrzymał też list od adwokata Fredryksena, radcy stanu Fredryksena; pisał, że ponieważ został radcą stanu, chciałby załatwić wszystkie interesy w mieście rodzinnem, to też musi Oliver spłacić natychmiast swój dług, którego termin już minął, lub też wyprowadzić się z domu, który zamieszkuje.

Wtedy nie rozmyślał już Oliver dłużej, zaczekał tylko do godziny, w której ukończył robotę, opuścił składy i poszedł do doktora.

O, wziął się może do niepięknej roboty, ale poszedł do doktora.

W pokoju doktora panował ten sam niedostatek i ta sama nieuczoność co i dawniej; żadnego kościo-trupa, żadnego mikroskopu, zato niedokończony portret samego doktora zawieszono na ścianie. Przed kilku laty pozował przecie temu malarczykowi, temu sowi-zdrzałowi, który miał namalować portret „Lekarz,“ Było to rozrywką w ubogiem życiu doktora, zaiste, wywarło to nawet pewien wpływ na nim, niczem jaki zaszczyt. Lecz pewnego dnia uważał malarz, że wolno mu przerwać pracę, aby pójść do sąsiedniego domu i namalować order Dannebrog na fraku, a tego doktor nie ścierpiał, nie — to nie uchodziło. Dzięki, nie było

się głupcem, nie było się bylekim. Doktor rzekł: — Zabierz pan z sobą swe smarowidło i idź sobie! — Spal je pan! — odparł malarz. — Sam pan spal swoje rupiecie, — rzekł doktor — nie jestem pańską posługaczką! — Co rozgoryczyło widać owego czeladnika i malarza, więc rzekł: — To nie rupiec, to napół wykończona robota, to ma podobieństwo, to jest całkowiec portret pański! — Z początku obraz stał do góry nogami w kącie, ale z czasem zmienił, śnać, doktor swe zdanie o nim, nie był przecie takim gruboskórcem, aby nie pojąć znaczenia słów malarza, mogły one zawierać jądro prawdy i słuszności. Należał do generacji, która wątpiła o wszystkim, z wyjątkiem wiedzy, przyznawał się do praw rządzących naturą, nawet do teorii o brązowych oczach, lecz generacja jego nie znała tchórzostwa, umiała zajrzeć w oczy próżni i beznadziejności życia, nie pisnąwszy nawet, Doktor uważał się z pewnością za uczonego, za nadczłowieka w miasteczku, że oskarżyciela i karciciela, ale umiał też w dobrych chwilach dojrzeć zawczasu większe osobistości od siebie, Anglika, Francuza, niektórych Niemców, Holendra, — o, doktor wcale głupim nie był, mógł nawet zgodzić się na to, że nie był znowu tak całkiem doskonały i zawiesić niedokończony swój portret na ścianie. Postępek to dowodzący prawdziwej wielkości.

Czego chciał Oliver od niego?

By go zbadano.

Co chciał, by mu zbadano?

Biodro i okolice. Chciałby, aby zbadano szkodę, którą poniósł i aby wydano mu świadectwo na nią.

I poco to? Nie, doktor się nie zgadzał. Mógł Oliver przystać, kiedy doktor tego pragnął, teraz wszystko to są banialuki. — Wracaj do domu!

Oliver zdziwił się. Co to miało oznaczać? czyżby doktor mógł się obejść bez jego biodra? Opowiedział, że on i rodzina jego popadli w istny ojczenasz i że mieliby pożytek z piśmiennego świadectwa doktora.

— Nie, wracaj do domu.

Oliver podnosi rękę do wewnętrznej kieszeni i mówi, że zapłaci za to, rozstawia szeroko nogi na sposób marynarski i mówi, że da chętnie sto koron za to.

— Ty masz sto koron? — pyta doktor.

— Tak, mam sto koron.

Lecz przy ostatniem pytaniu policzki doktora: pokrywają się lekkim rumieńcem. Co mu się to przypomniało? — Może pewna obietnica dotycząca brylantowego pierścionka, obietnica dana żonie w młodości, a dotychczas jeszcze nie dotrzymana? Lekki rumieniec delikatnie pokrył policzki i uczynił je ładniejszymi. Nasadzając sobie binokle, pyta: — Spadła wówczas na ciebie beczka tranu i rozplątała cię?

Oliver nieco w ambarasie z powodu swego dawnego łgarstwa: — Nie była to akuratnie beczka tranu. Nie, spadłem okrakiem na podpornicę i zostałem zmiażdżony. Potem operowano mnie.

— Rozbierz się!

Oliver rozbiera się, doktor maca go, naciska i mówi: — Czego chcesz się dowiedzieć ode mnie? Że nie jesteś ojcem? Sam wiesz o tem! — I nie może powściągnąć się, aby nie pochwalić się nieco swą wielkością i nieomylnością: — Zresztą nie było to dla mnie tajemnicą nigdy.

Oliver uważa pilnie i prosi, by mu to дано na piśmie.

— Poco? — Nie, tego doktor znów nie chce. — Ile dzieci ma twoja żona?

— Mamy pięcioro dzieci — ona ma pięcioro.

— Moje świadectwo przyszłoby za późno, piwne oczy już się w mieście przestały szerzyć. Ubierz się z powrotem.

— Nie dla tych piwnych oczu chciałem mieć świadectwo. Nie, gdzieżby tam. Mamy dwoje dzieci z błękitnymi oczami.

Doktór, ten stary plotkarz małomiasteczkowy, nastawił uszu, ale nie on przecie jest tym, który stawiać będzie pytania, przeciwnie, rzekł z oznaką niechęci: — No, nie wtajemniczaj mnie w swe stosunki rodzinne! — Oliver nie powiada mu też nic nowego, doktor z pewnością słyszał już pierwej to i owo i mógł sobie pozwolić, aby udać teraz wcale nie zaciekawionego. Napisał świadectwo i odczytał je głośno, Oliver głową skinął, że było doskonale i sięgnął do kieszeni.

Doktór go powstrzymał: — Nie odważysz się chyba ofiarować mi zapłaty za tę robotę?

— Jakto? — zapytał Oliver zmieszany.

— Nie.

Tedy Oliver odszedł.

Udał się do Szeldrupa Johnsen i poprosił o zwolnienie go z pracy na dni kilka. — Ależ chętnie! — odparł Szeldrup Johnsen i w mowie jego przeświecało, jak dalece był Oliver zbyt czynnym naogół wzięwszy. Oliver powrócił do domu.

Oświadczył rodzinie, że zamierza udać się w podróż, a gdy rodzina aż ręce złożyła, Oliver napęczniał i dał do zrozumienia, że podróż ta jest dla niego nic nie znaczącą bagatelą, dla niego, przyzwyczajonego do objeżdżania ziemi dokoła: — Wybieram się tylko na małą przejażdżkę do Krystjanji, bliźiutko — rzekł — do pewnego

radcy stanu — rzekł, mam tu w kieszeni papier, który chciałbym mu pokazać! — O, jakże ciemną była ta mowa Olivera, i jak on się pysznił! Poszedł do Abła i rzekł: — Jeślibyś pragnął czego z Krystjanji, jakich maszyn lub narzędzi, to tylko powiedz! — Tak, — odparł Abel, — gdybyś mógł kupić mi żelazną calówkę. Nie można tu jej nigdzie dostać, a ja straszecznie bezradny bez niej jestem w kuźni. — Dostaniesz swą calówkę — rzekł Oliver z godnością. — Najlepszego gatunku, — rzekł. — Bo tyle przecie może twój ojciec zrobić dla ciebie!

I pojechał Oliver.

Powrócił po kilku dniach i był we wspaniałym humorze. Tak, bo zaiste osiągnął, czego pragnął od swego sekretnika.

Szukał również swego syna, — toż to rzecz całkiem oczywista, bo Oliver nie czynił różnicy między swemi dziećmi i szukał też Franka. Ale napróżno. Franek miał gdzieś miejsce nauczyciela w jakiejś wielkiej szkole; zresztą ukończył już uniwersytet, nie mogli go tam nauczyć niczego więcej. A następnie mógł się Oliver pokłonić od radcy stanu Fredryksena, wspaniałego człowieka, rozmownego i grzecznego jak dawniej, a który teraz skwitował z domu. Rodzina szaleje z radości. Oliver w nowym kapeluszu na bakier: — Kosztowało mnie to tylko parę jędrnych słów! — Rodzina pełna ciekawości, pełna pytań. Oliver milczy.

Oliver i dawniej już umiał był to i owo osiągnąć i będąc w opresji, posiadał swój własny sposób postępowania, dziwnie podstępny wzrok, który zwolna podnosił do góry od samej podłogi, a któremu towarzyszyły słowa skrycie przepelnione niebezpieczeństwem. Biła wtedy od niego jakaś podłość, jakaś perwersyjna nik-

ciemność, przed którą musiał się przeciwnik cofnąć. I tym razem nie użył on względem swego kredytora słów grubiańskich, ani noża. Co więc powiedział? Drobnostki. Wieczorem, w łóżku, ustąpił niepohamowanej ciekawości swej żony i powtórzył rozmowę z radcą stanu. O, ta para małżonków, ten Oliver i jego żona, oboje bez żenady omówili sprawę, a Petra chwaliła go od czasu do czasu za jego dobre odpowiedzi i rzekła: — Tak, ty osiągniesz wszystko! — A Oliver rósł.

Nie, co też to on powiedział? Oświadczył, że uważałby to za rzecz zupełnie w porządku, gdyby radca zechciał wyrzec się swego długu pocichu, gdyby radca podarował mu dom po dobroci, jemu i Petrze i dzieciom —

— Dzieciom? Chyba one już dorosłe? — rzekł radca stanu.

— Nie wszystkie. Nie te o oczach błękitnych. Jedno z nich nawet bardzo małe jeszcze.

— Tak?

— Małe. Prawie nic, naprawdę. A radca miał teraz tyle do myślenia u króla i rządu, że powinienby skwitować z domu.

— Skwitować? Nie.

Oliver wyklada świadectwo lekarskie, że jest człowiekiem poszwankowanym. Tak, radca czyta papier, oddaje go napowrót i nie widzi, co to ma z nim wspólnego. Nie, odpowiada i Oliver, bo radca ma tyle do myślenia. Dlatego też wcale nie powinien już radca myśleć o domu w mieście rodzinnem, lecz odpisać się z niego raz na zawsze.

— Tak, a czemu to?

Oliver podnosi nań wzrok z podłogi i mówi: — Bo inaczej, radca będzie miał więcej jeszcze do myślenia!

Tak to oni z sobą mówili.

Czyżby radca Fredryksen począł rozumieć, że reputacja jego była zagrożona? Krótko i węzłowato, nie chciał on przecie mieć stosunków interesownych z poszwanowanym człowiekiem i kaleką, dla jakiegoś domu, cóżby na to powiedział dawny jego okręg wyborczy! I skwitował.

Czas jakiś żył Oliver wniebowzięty swym triumfem i nie skrywał wcale przyjemności, której mu on dostarczał. Jeszcze posiadał pieniądze, choć wiele z nich wydał na swą wielką podróż, na odzież dla rodziny, na calówkę, klarnet, łakocie, jedno z drugiem, ale jeszcze mu cokolwiek pozostało, jeszcze zachowanie jego było zachowaniem człowieka, który się dźwignął. Jedna rzecz się tylko nie zmieniła: miejsce w składzie i nadal pozostawało wypowiedziane, a należało porzucić je rychło. Na tem polegało jego nieszczęście, miało go ono powoli dobić i ugiąć mu karku.

Pewnego dnia Oliver przedsięwziął sobie zuchwałą i brudną robotę i poszedł do konsula ze swem świadectwem lekarskiem. Do samego konsula. Poszło tak gładko z radcą stanu Fredryksenem, że Oliver musiał powtórzyć eksperyment; przemógł się zaprawdę do tego ostatnim wysiłkiem woli, ale gdy innej rady nie było —

Nigdy przedtem nie byłby wyobraził sobie, że spadnie aż tak nisko, pragnąłby zaoszczędzić Johnsonowi tę niedyskretność, byłby i teraz, jak dotąd, ochraniał te wesole piwne oczy, by nie zasnuły się smutkiem. Co jednak miał czynić? Wkrótce pozostanie bez chleba, a konsul mógłby przyznać się do tak wielkiego udziału w doli i niedoli rodziny Olivera, że powinienby stale zachować miejsce składowego dla kaleki. A co byłby Oliver w stanie uczynić dla niego w zamian? Wszystko.

Mógłby służyć za parawan konsulowi, o, nic nie zmieniło się w jego przywiązaniu do zalotnego szefa, mógłby odstąpić mu swe prawa, zostać psem jego, stróżem jego haremu —

Udał się do konsula.

Nie doprowadziło to do niczego. Nie, konsul i dubeltowy konsul Johnsen nie był już ten sam co dawniej, odpoczywał, został zamieniony kim innym, syn ujął rządy, starą wieżę zwalono. Nawet zewnątrznie nosił konsul Johnsen ślady tego, że jest już niczem, osiwiiał, nabrał ziemistej barwy twarzy i poprostu wyglądał, jakby ubranie jego było trochę niewyszczotkowane. Gdyby ludzie nie wiedzieli prawdy, możnaby pomyśleć, że on jedynie poszedł za radą niektórych pism i stał się nabożnym. Oczywiście, że wciąż jeszcze był konsulem dwóch państw i pisywał raporty do swych rządów, że miał wciąż jeszcze ten sam kulisty brzuch co i dawniej — lecz co poza tem? Teraz tylko słychać było: Szeldrup i Szeldrup, mijano ojca w drodze do syna, bez opowiedzenia się nawet ze swej sprawy, ba, konsul słyszał znów w ostatnich czasach, że ludzie nazywali go Johnsenem w Przystani, ni mniej ni więcej. Tacy to są ludzie. — Gdzież się podziiała załoga *Fii*?, — mówili. Wprawdzie byli to chłopcy, którzy osobiście już od lat dziesiątków przebywali poza domem, ale rodzina ich w każdym razie pobierała pensję u właściciela aż po ów dzień, obecnie zaś przepadli całkowicie; pogrążeni byli na dno morza, więc czy to, koniec końców, nie wina Johnsenem w Przystani? Konsul próbował na początku usprawiedliwiać się, tłumaczyć, ale coby to wogóle pomogło walczyć z podobną niewiedzą! Nie pozwolili mu nawet mieć ostatniego słowa, odpowiadali hardo, sarkali. Minęły czasy, gdy można było ucho-

dzic za pana, zawiesiwszy sobie tylko gruby łańcuch złoty na kamizelce.

Dopisało szczęście Oliverowi w Krystjanji, tu na miejscu mu skrewiło. Konsul wysłuchał go, a prawie żał było patrzeć, jak go konsul słuchał uważnie i wydawał się coraz bardziej i bardziej bezradnym, zaprawdę. Oliver nie przemógł się nawet, by mu wręczyć świadectwo lekarskie. — Przecież nie postępowałem źle względem ciebie ani twej rodziny, — rzekł konsul, — teraz nic dla ciebie zrobić nie mogę, nie mam nic więcej do powiedzenia, ufajmy, że lepsze dni nastąpią!

O, doprawdy, smutno było wiernemu słudze słuchać tego gadania.

Następnie Oliver obmyślił sobie inne wyjście: zwróci się do tego łajdaka, do samego Szeldrupa i pokaże mu szczerą pięść. Pomogłoby to? Bez wątpienia. Nie było się bez powodu Oliverem Andersenem. Ale otóż i owa błogosławiona kieszka zaczęła chudnąć, a odwaga i moc ducha Olivera malała w tymże stopniu, przepuszczał dzień po dniu, nie zdobywając się na żadne postanowienie, a pewnego wieczora rzekł Szeldrup do niego, aby zwrócił klucz od składu Berntsenowi w sklepie.

Miał zatem Oliver nie przyjść więcej nazajutrz, skończyło się.

Nie było to nic innego, jeno to, czego sam oczekiwał, a jednak spadło na niego znienacka i poraziło go, wszak nie zdążył nawet pomyśleć w porę o odrobinie taniej kawy i kaszy, rodzina musiała zatem odtąd ssać własne palce.

Uplywa czas jakiś, przykry miesiąc czasu, Oliver staje się stetryczalym i nieprzystępnym, w domu nie mówi więcej ponad to, co najpotrzebniejsze i wałęsa się po ulicy od ściany do ściany, bo w każdym razie

ma przyzwoite ubranie. Na łonie rodziny nie znajduje żadnej przyjemności, dzieci blednieją, klarnet wisi na ścianie niewyczyszczony, nawet babka nie może się powstrzymać od westchnień i podmuchiwań, okrutnie brak jej kawy. Oliver zaraz przerywa jej — Tak możesz odtąd dostawać kawę z kasy! — Taka stara już jestem, że daj Boże, abym legła pod murawą! — rzekła babka.

Pewnego dnia szczególniej jakoś była rodzina w kłopotcie, niema nawet na kubek ciepłego napoju do śniadania. Petra powraca od studni, gdzie jej może inne kobiety dodały nieco otuchy, ale Oliver milczy. Uważał widać, że Opatrzność powinna by ująć się teraz za nim, ale Opatrzność zdawała się być jedynie zajęta liljami na łąkach i onemi włosami na głowie, których nikt nie liczył. Petra mówi, jak gdyby myśl tę podsunął jej kto na drodze: — Ciekawam, gdybym tak poszła do Szeldrupa i pogadała z nim?

Oliver nie odpowiada wcale. Policzki mu zeszczuplały, nigdy tak obwisłego i niesamowicie martwego oblicza nie miał, jak obecnie, nie obchodzi go nic. Gdy w porze obiadowej znów powraca z ulicy, rzuca się sam i swoją kulę na krzesło i pyta drwiąco: — Czy to nie ty chciałaś pójść do Szeldrupa?

Petra nieboga, nieprzygotowana jest na pytanie i odpowiada tylko: — Tak —?

— Aleś nie poszła?

Petra odzyskuje równowagę i czyni korowody: — Dzisiaj? Nie mogła przecie iść w te pędy, musiałyby pierwszej uprać trochę bielizny dla siebie, taka była zaniedbana.

A gdy nazajutrz ukończyła Petra pranie i stała ślicznie ubrana i wszystko co potrzeba, była znów sza-

tanem-babą, pięknie zbudowaną, Oliver widział jej usta, które wyginały się w łuk, w górę i na dół, niczem galopada, Oliver mógłby ucałować ją, ale on był bez życia. I cóż jej z tego przyszło, że była urodziwa?

Wizyta jej u Szeldrupa spełzła na niczem, przyszła do kamienia, do drewnianego człowieka. Szeldrup zbył ją, nie miał użytku dla Olivera, nie miał środków na utrzymywanie go dłużej — nie gadajmy dłużej o tem! O, Szeldrup nie zapomniał chyba pewnego poważnego policzka, który mu Petra wycięła w młodości, a obecnie był zaręczonym człowiekiem i małostkowym facetem, nie miał podobieństwa do swego ojca konsula, który często umiał sypanąć pełną garścią.

Nie pozostało więc nic innego do czynienia. Oliverowi tyle wściekłości wezbrało w duszy, że sam poszedł do Szeldrupa. Krok brzemienny w następstwa miał przykre następstwa dla niego samego. Nie pomogło mu jednak, że użył zwykłego sposobu postępowania: ciemnych, zastraszających słów i wzroku z ukosa, podniesionego od samej podłogi, Szeldrup był nowoczesnym, stanowczym jegomościem, o zahartowanych uczuciach. Jeżeli myślał kto może, iż się ten pan obawiał skandalu, to się mylił, chyba — tylko w tym wypadku, gdyby na nim nic nie zarobił, ale w danym razie mógł być spokojny, miał przecie swą pannę Olsen, bez względu na to, co zająć mogło.

Oliver musiał odejść z niczem, zachował się głupio i stracił równowagę, krzyknął nawet. — Pst! — ostrzegł Szeldrup surowo. Oliver cisnął swoje drogocenne świadectwo doktorskie na stół, ano tak, i Szeldrup także wziął papier do ręki i przeczytał, poczem spytał: — Co to ma znaczyć?

— Że nie jestem ojcem, — rzekł Oliver.

Szeldrup zapytał ze śmiechem: — Tak, ale co u djaska mnie to obchodzi?

Ten kupczyk nie miał najmniejszego zrozumienia dla niesłychanego losu, który tu miał przed sobą, widać też tylko powierzchowne wrażenie wywarła na nim niskość i groźba, zawarte w słowach kaleki, chichotał dalej. Oliver upadł na duchu i stchórzył, jak zazwyczaj; powiedział wszystko, czego nie powinien był opowiedzieć, wymienił pięcioro dzieci, jął się powtarzać i mówił o piwnych oczach, o pięknych oczach, brązowych —

— Idź już sobie! — rzekł Szeldrup.

— Piwne oczy —

— No, to co z tego?

Oliver stracił całkiem pewność siebie, ale taki uparty brak rozumu rozżarzył znowu jego natręctwo: — Śmieję się pan zwolna! A kto tu w mieście ma piwne oczy —?

— Ja! — przerwał Szeldrup i śmiał się więcej jeszcze.

— Nie, nie pan, sam pan wie o tem dobrze. Co pan ma, to może być wszystko jedno. Ale co inni mają —

— Posłuchajno — rzekł Szeldrup i powstał, — nic to doktorowi nie pomoże i tym razem, bierz jego papier i idź precz. Mówię teraz poważnie.

XXXI.

Nie minęło wiele dni, gdy po mieście rozeszła się nowina, że Oliver był nietylko o jednej nodze, lecz również inwalidą w szczególny sposób, że chodził ze świadectwem lekarskiem, jakoby dzieci nie były jego. Co więc pozostało z niego? Wieść ta doszła własnych uszu Olivera przez Mateusza Stolarza.

Więc i to jeszcze, i ta sromota na dobitkę wszystkiego! W jaki sposób ta głęboko ukrywana tajemnica stała się jawną? Czy można wogóle ukryć jakąkolwiek tajemnicę? Przesącza się ona przez ściany, kamieniebruку mówią o niej, wszystko co nieme staje się donośnem, młody kupczyk rzuca ją może, śmiejąc się, wśród ludzi, jako dobry koncept.

Mateusz Stolarz niezwłocznie martwi się z powodu tego, że przypisywał niewinnemu człowiekowi dziecko Maryny Salt, on jest tak szczery i niezręczny, chciałby naprawić wyrządzoną krzywdę, wyczekuje więc na Olivera na ulicy i wita go, podając mu rękę. Otóż stoją ci dwaj mężczyźni, — co za nieprawdopodobne spotkanie, Oliver nic nie pojmuje.

— Ano, mówi Mateusz, tylko tyle, że się chciałem przywitać z tobą. I żebyś mi wybaczył, jaki byłem względem ciebie. — Mówi, jak może, najostrożniej i posuwa rzecz doprawdy tak daleko, że dłuższą chwilę

pozostaje niezrozumiałym dla Olivera, który nie podejrzewa żadnej biedy. O ten Mateusz Stolarz, otóż go macie, cudak, śmieszne, dobre chłopisko, nie zważa na to, że go Oliver pokrzywdził, oszukał o dwoje drzwi, ocyganił o pierścionek, tak, a nawet poniekąd ocyganił o samą Petrę, a tylko zapalił się do tego, by go przeprosić, spokoju nie zaznał od wczoraj, kiedy usłyszał, jaki to Oliver jest —

— Jaki ja jestem?

— Tak, żeś inwalida i operowany.

Oliver wpatruje się w niego i mówi wreszcie: — No, i o tem wiesz?

I czemu nie miałyby Mateusz o tem wiedzieć? Miasto o tem mówiło, Maryna Salt wróciła z tem wczoraj od studni, rozeszło to się ze szczegółami i nowymi dodatkami, a nie było to nawet nadmiernie smutne, przeciwnie, nieco komiczne, nieco z gruntu komiczne. I ta Petra, która sama sobie robiła swe dzieci, nie wszystkie kobiety poradziłyby tak, hihhi!

Mateusz nie tak znów ostro o tem prawi, ale współczucie okazuje kalece i z ust jego padają słowa, iż żalność bierze, jak to życie okrutnie względem niego postąpiło. Albo może wszystko to razem kłamstwo tylko?

Oliver stał ze spuszczoną głową, był narazie zmieszany i nie wiedział, czy ma się przyznać i zaprzeczyć wypadkowi. Podał się, odrzucił na bok całe swe zachwalstwo i rzekł: — Nie, to nie kłamstwo.

Przy tej odpowiedzi stolarzowi jakby lżej się zrobiło, tak, jakby przeszkodę jaką uprzątnięto mu z drogi, niewiadomo nawet dlaczego. Czyżby myślał w tej chwili o czemś całkiem osobistem? Poczem rzekł do Olivera: — Tak, tak, biedaku, skoro już takie nieszczęście cię spotkało! Ale jedno ci powiem: nikt

z nas nie wie, co się z nami, z każdym oddzielnie, stanie, wszyscy jesteśmy w ręku Opatrzności. Ot — któregoś dnia dziecko dorwało się zapalek i chciało podpalić wióry w warsztacie. Mógłby się był spalić! — Mateusz gawędzi, pociesza Olivera, mówi do niego: biedaku, i robi, co może. I od słowa do słowa opowiada, że właśnie ma rozpocząć łóżko dla Abla. Przyszedł dziś i zamówił je, musi mieć je gotowe za dni czternaście.

— No — rzekł Oliver — dla Abla?

— Dla Abla. Ma się żenić. Całkiem to dziwne, jak młodzież szybko wyrasta i staje się dorosłą tuż w oczach naszych. Co można powiedzieć! Ale niedość na tem, bo i w podeszłych latach ludzie też są w ręce losu — rzekł Mateusz i gadu-gadu jednym ciągiem. A że Oliver nie odpowiada, stolarz wręcz mówi: — Przyznać ze wstydem, to i ja sam stan swój zmieniam.

Oliver ma zdolność zapominania własnych swych spraw i przysłuchiwania się cudzym, pyta zdumiony: — Ty?

— Tak, możesz się tak pytać! Ale teraz będzie, jakem rzekł, kiwa głową stolarz. I co miałem robić, może mi powiesz? Maryna nie chce odstąpić chłopca, a ja, głupiec, już się trochę do niego przyzwyczaiłem. Wcale się tak znów okropnie do niego nie przyzwyczaiłem, ale kiedy dziecko chce podpalać wióry, to się sam przy tem mogę spalić, o tem wiemy wszyscy. No i drepci dokoła mnie bez przestanku, a w niedzielę, to bierze mnie za rękę, żeby z nim wyjść. Zdziwiająca z niego chłopczyśko. Ale nie powiem, żeby się obyć bez niego nie mógł, tylko Maryna też go nie chce odstąpić —

I znów długa perora, poczem Oliver pyta: — A więc to Marynę poślubiasz?

— A co mam czynić? — odpowiada stolarz. — Tak Marynę.

Ale, zadziwiające, gdy Mateusz Stolarz odchodzi, nie czyni wcale wrażenia, jakoby mu życie zbrzydło, z powodu że poślubia Marynę, rzekłbyś — śpieszył nawet do domu. Być może zdjęto mu jakowyś ciężar, ucisk na jego duszę, Bóg wie. Być może ulżyło stolarzowi w najśroźszem, że — w każdym bądź razie — nie Oliver miał coś wspólnego z Maryną i jej chłopcem? Że — któkolwiek bądź — ale nie był to Oliver?

I kaleka idzie również do domu. Naturalnie, niema takiego, któryby się przed nim nie chował, nie uciekał przed nim do swej kryjówki. On taki dziwoląg, tak osobliwie obrządzony, on jest wstrętny dla ludzi. Czy może oczekiwać, żeby ktokolwiek z dobrej woli spojrzał na niego? Jego obwisły tłuszcz jest wstrętny, cała jego osoba odpychająca, jego kroki na ulicy nieznośne! Jest on niedoskonały, nawet jako zwierzę, jako czworonóg, i nie tylko kaleka z niego, lecz wydrążony kaleka, wypróżniony. Ongiś był on człowiekiem.

Otóż i kuszyka. Nawet Mateusz Stolarz z ulgą odchodzi od niego.

Ponieważ nakłada drogi, idąc mimo domu doktora, może czyni to dlatego, że podejrzywa go, iż doktor zdradził tajemnicę jego i chce go pociągnąć do odpowiedzialności? Oliver pociągnąć jeszcze kogo do odpowiedzialności? Minęły te czasy. Dostrzega doktora w oknie poczekalni i oddala się; może też zrozumiał nagle, że jest na fałszywym tropie.

Wlecz się dalej, wzdłuż całej ulicy, doktor stoi w oknie i śledzi za nim oczyma. Jest zagadnieniem, problematem. Doktor może rezonować nad nim i oceniać go na swój własny sposób. Ten djabeł szpotawy został

narażony na coś, był centrum wiru, piorunu, on jest zniweczony. Dowcip miejski przewał go ongiś meduzą, przezwisko, które pono pochodziło od własnej jego wesołej żony, doktor uważał je za głupie. Meduza nie jest popsuta. Meduza jest niby odbyt, plwocina, owszem, jest bez zarysu, bez formy, zgoda na to. Ale plwocina ta jest cudem barwnym, bajkowym jajkiem sadzonym. A czym jest Oliver? Skacze po ziemi, osobliwość, rebus. Każdy dojrzeć może, jakiego z członków mu brak. Otóż i kuleje ulicą, nawet cielesnie nie jest obecnym, tylko część jego tu chroma; a co mu poza tem niedostaje, o tem słyszała dziewczyna doktora u studni. Pewnego dnia pozbawiono go wspólnej ludziom treści życia, stało się to sumarycznie, jednym cięciem noża; od tego dnia znalazł się poza rubieżą ludzkości, utracił swą rzeczywistość, stał się marą. Zbyt silne słowa? Jako — więc nie jest on zniweczonym? Ależ proszę, zbadajcie go ponownie, znajdziecie niezwykłą bezbłądność w jego pustce, a jest ona tak szczególnie doskonałą, spotęgowaną przez nieszczęście, które uczyniło z dawnego marynarza coś, co jest niczem. Został zgładzony, zagłada jego jest majstersztykiem, niesłychanie dobrze wykonanym, a skutecznym z rozmysłem.

Wstrzymajcie się nieco. Wszak jeśli żyje, nie jest on docna zgładzonym, jest on szczątkiem, który wywija swą nogą drewnianą i kulą, można ułożyć z niego runę lub literę hebrajską. Czemu ominął samej śmierci? Spytajcie opatrności ludzkiej! Jakiż był tego cel? czyżby człowiek ten miał jeno służyć jako nieudana próba, szkic zniszczenia? Jest on resztką tylko, ta resztką ma resztki, przyjdźcie i bierzcie je, pozostała mu noga jeszcze, pozostała mowa —

Ongiś był on człowiekiem.

Pozostawiano mu tyle, że miał odwagę ustawicznie walczyć z życiem. Dzielnie się sprawiał! Używał sztuk, by przebrnąć, łąał, by ratować swą skórę, udawał męczyznę, nosił długie spodnie. Aby ukryć prawdę, wymyślił kłamstwo z beczką tranu; ubrał ten wypadek w podniosłą godność i nazwał losem; musiał rehabilitować się oszukaństwem; ponieważ kazał się uważać za takiego, jak wszyscy inni, za współmiernego, więc zmuszony był, biedaczysko, użyć własnego wymiaru i nakłonić siebie samego do tego, by w to wierzyć. Może znajdował w tem własne swe małe szczęście, — w każdym bądź razie nie miał innego. A więc sztuka wszystko razem? Sztuka wszystko razem. Ale wcale nieźle dzieło sztuki.

Obecnie wszystko wyszło na światło dzienne, dzieło sztuki odsłonięte, artysta wyjawiony, dziewczyna doktora słyszała najbardziej niewypowiedziane rzeczy u studni, Petra miała wizytę księżycy i dostała od tego dziecko, hihi. Lecz sam Oliver też był majstrem, przez całych dwadzieścia lat stał w składzie na widoku wszystkich ludzi i grał rolę człowieka. Podobne nieszczęście jak jego byłoby każdego innego zmusiło do wgłębienia się w siebie, do szukania Boga, na co innego istniałyby doświadczenia! Lecz Oliver? Nie. Widać musi to być zatwardziałość. Doktorowa wniosła plotkę krążącą przy studni do pokoju, doktor rzekł: — A to dowcipne! czy nie mogą ludzie pojąć braku jego bogobojności teraz, kiedy jest zniweczony? Czy nie przestawał on ze swym Bogiem? Czy mało go to trudu kosztowało, by się utrzymać na powierzchni ludzi normalnych?

Stoi oto doktor i wodzi oczyma za kaleką, mówi szeptem do siebie samego i znów odnajduje słowa z czasów swej junackiej młodości, jego pojmanie

życia nie uległo żadnej zmianie: — Człowiek wschodni — tłusty i bezpłodny. Ale gdyby choć był takim! Nieznany on okaz w biologji, — zwierzę o członkach drewnianych. I naco się zresztą zdało tak go obrządzić? Wszak on się wielkim stał przez to! Inwalidą — owszem, lecz i weteranem. Stał cały czas wyprostowany, na swej jednej nodze, na swym kosturze, i został nie mniejszym od świętego — słupnika. Hoho, ta opatrzność ludzka!

I otóż znika Oliver hen, w końcu ulicy.

Oliver wraca do domu. Nic osobliwego po Petrze dostrzec nie może, lecz chyba, że wie wszystko. Ponieważ ton jej nie różni się od zwykłego, odzywają się w nim na nowo głosy życia, czuje się głodnym i usposobionym, widzi jadło na stole, które może nie dla niego jest przeznaczone, ale niejedno go tłumaczy, gdy się rzuca na nie. Była to zimna kasza. Aby uprzędzić burzę ze strony Petry, opowiada niespodzianie, że owszem, już wreszcie Mateusz ma stan swój zmienić.

Petra przejrzała jego chytryść i nie odrazu mu ustępuje, lecz mówi: — No, zabrałeś wszystką kaszę. A to ci dobre!

Milczenie.

A zresztą nowina Olivera wielka jest i zadziwiająca. i Petra pyta: — Czyś gadał z Mateuszem?

— Tak.

— Kogo ma wziąć?

Oliver milczy odpowiednio i potem mówi: — Kogo ma wziąć? — i znów milczy.

— Tak mnie tam to nic nie obchodzi! — mówi Petra i powraca znowu do kaszy: miska już próżna. Co mają począć teraz z wieczerzą?

— Ma wziąć Marynę, — mówi tedy Oliver.

Trwa małą chwilkę, nim Petra zdoła temu uwierzyć, pojąć, staje się pocieszenie zazdrosną i szkaluje Marynę, pluje na Marynę: baba w wieku próchna, czarownica z bębniem! O, szczęście to dla Olivera, że mógł przyjść do domu z tą nowiną. Odwróciła ona uwagę żony od wszystkiego innego, zostawiono go w pokoju z własnymi jego utrapieniami.

Nie jedyny to raz dano mu pokój w ciągu następnych dni i tygodni, uniknął zdawania rachunku. Była to jakby Opatrzność, czy wyższe zrządzenie, że za każdym razem, gdy już się trwożył, że sromota jego podpadnie dyskusji, następowało to lub owo, co pomagało Oliverowi wybrnąć z opałów. Pierwszym był fakt, że się Abel ożenił. Nic mniejszego. Wielkie, poważne zdarzenie, które zajęło dom cały.

Abel się wreszcie ożenił.

Nie dostał wprawdzie tej, którą chciał pojąć, lecz wziął dziewczynę z okolic miasta, wielką i łagodną, Lowisę, córkę na zagrodzie. Była jednych z nim lat, młodą tworzyli parę, lecz oboje mieli dobre ramiona i szerokie piersi. Mogłoby trafić się Ablowi gorzej, temu szaleńcowi i sowizdrzałowi beztroskiemu. Gadał o żeniaczkę bezustanku, lecz w dniu, w którym ojciec opowiedział, że został bez chleba, przedsięwziął snąc sobie działać szybko. Zadziwił wtedy swego ojca natychmiast, ale tym razem zrodził się w nim widocznie akurat należyty pomysł.

Pierścionek nie będzie więc zdołał tej, dla której był wykonany. Nie, Lidka nie chciała przyjąć pierścionka, gdy z nim do niej przyszedł, sama kupiła sobie pierścionek z czerwonym kamieniem, nie chciała nosić gładkiej obrączki.

— Co mu brakuje? — zapytał Abel — Sam go zrobiłem, a nie myślę, żeby pękł w spojeniu.

Ach, nie, ona dziękuje, lecz nie chce go; ludzie mogliby pomyśleć, że jest zaręczona. A zresztą, nie ma w tej chwili Lidka czasu, musi znów iść do policjanta Karlsena ćwiczyć się na fortepianie; kręciła się po pokoju z pewnym pośpiechem i stała przed zwierciadłem, a miała na sobie przeróżne świecidełka. Obcasy jej bucików były wspaniałej wysokości, ba, zbudowane jakby przez architekta.

Abel mówił o swej sprawie, jak zwykł zawsze, może z nieco większą obawą i zawstydzeniem, oczywiście bął też niejedno i przeplatał żarty powagą. Jakże więc ona sądziła? oboje już są dość starzy, a Abel miał kuźnię, chętnie chciałby już to teraz wiedzieć?

Wiedzieć co? Nie rozumiała go, całkiem nie. Abel objaśnił, a już taki jego sposób i delikatność jedwabista była, że wielkich korowodów nie czynił.

Lidka prosiła, by zaprzestał, ona czuła się szczęśliwą i zmienić stanu nie chciała, ona szła dla magazynu mód.

Doskonale. Ale Abel chciałby mieć decyzję teraz. Posiadał już młot parowy, zakupił rozmaitości dla domu, będą mieszkali w starej izbie jego domu, Mateusz majstrował łóżko —

Zdawało się zaiste, jak gdyby to zbyt wiele było dla Lidki, tak jakby ją to, co słyszała, całkiem wyprowadzało z równowagi. Pochyliła się naprzód i spojrzała na niego.

— Patrzysz się na mnie? — spytał Abel.

— Tak — rzekła. — Nie rozumiem, że myśleć o tem możesz! Że sądzisz, iż się zgodzę!

Pomówili dalej o tem, z tej i z tamtej strony, jej

się aż śmiać z niego chciało, rzekła. A potem przeszła na powagę. Otrzymał wkońcu nader wyraźne odpowiedzi, nie obeszło się też bez tego, że przebąknęła coś nawet o tem, jakiego to on miał ojca i matkę.

Nie było więc wyjścia dla niego, umilkł.

Ponieważ nie była to dziewczyna, bez serca lecz dziewczyna, jak wszystkie inne, poczęła gawędzić niewinnie o innych przedmiotach: oto brat jej Edward znajdował się w drodze do domu, pisał do nich z Bostonu. Na to Abel odpowiedział grzecznie i znów umilkł. Tak, oznajmiła, a teraz jest już gotowa, i musi odejść. Abel podniósł się i zbliżył ku drzwiom; aby nie wydać się wprost zdruzgotanym, spróbował nawet raz jeszcze pożartować i rzekł: — Tak, tak, mogę powrócić tu później!

Nie powrócił później.

Powlókł się gościńcem; najłżejszy człowiek w mieście wędrował ciężkim krokiem. Poszedł, widać, by strząsnąć z siebie nieco trosk i niedoli, przyspieszył kroku, szedł coraz prędzej i prędzej, jakby pod naciskiem, jak gdyby miał zostać wydziedziczony, jeśli się nie pośpieszy. O, był pewnie też trochę zmartwiony i trochę wściekły.

Stanął przed zagrodą przy drodze. Z zagrody tej miał pewne wspomnienie dzieciństwa: tu właśnie, jako mała wiewiórka, stał i przemykał się ku marynarce, która wisiała na sznurze; bąknął coś o odrobinie jadalnego i nie dostał go, poprosił wreszcie, by mu sprzedali kubek kawy i został odprawiony pod pozorem, że jest za mały. Biedna wiewiórka! Ale przy tej sposobności obiecał powrócić do tych bezwstydných ludzi, gdy dorośnie. I oto przyszedł.

Przed zagrodą stała dziewczyna. Znał ją nieco,

widował ją niekiedy w mieście i kiwał jej głową. A i ona go znała, wyraźnie to pomiarkować można. Zbyt gorliwie jakoś zajęta jest oselką i gmera koło niej, czerwieni się, — Lowisa jej na imię. Oczywiście nie całkiem to przypadkowo, że się teraz Abel przed nią znajduje, nie liczone tylko zdarzenia trafiają się całkowicie przypadkiem; on tu stoi, gdyż wzgardzono nim w innem miejscu, on tutaj zaszedł z przekory. A młoda Lowisa też może nie całkiem przypadkowo wyszła z izby akurat teraz, w każdym razie niepodobna chyba, aby sądziła, że należy obejrzeć oselkę aż tak skrupulatnie. Wszczytną gawędę, a że Abel znów nie wiele w bawelnę obwija, więc dogadał się różności. Ona nie odpowiadała wiele, otaczała ją jakowaś urocza niepewność, a usta jej były gniazdem pełnem uśmiechów. Tym pierwszym razem układają się co do tego i tamtego, następnym razem nieco więcej, a trzecim razem — ostatecznie. Śpieszno Ablowi oddać pierścione.

Zdawałoby się, że strasznie wielka rodzina spadła od samego początku na plecy Abła: żona, rodzice, dwie siostry i babka, — to też krucho może szło im w pierwszych tygodniach po ślubie, lecz Abel i młot parowy pracowali doskonale, a prócz tego wziął się ojciec do pomocy w kuźni, posiadał przecie ów przepotężny tors, a szczególnie pilował niczem maszyna. Wszystko szło wcale dobrze. Przytem zdarzyło się że Modraczek opuścił dom rodzinny, więc ubyła jedna gęba do karmienia. Patrzajcie-no na tę małą osóbkę, Modraczka! Oto przeniosła się ze swą Pluskiewką do własnej rozkosznej izby na Wzgórzu i pozostawiła Abła, tego cudaka, popłakującego ukradkiem w ciągu całego dnia. Ojciec rzekł, by go pocieszyć: — Tak, tak, grzeczne z was dzieci były względem siebie. I co za dzieci z was wszyst-

kich powyrastały! — Przecie nie było znów z' nią takiego pośpiechu, — odparł Abel.

Nie poprzestało na tej jednej siostrze. Abel posiadał przecie jeszcze jedną, Brunetkę, tę o oczach rodzinnych i owalnym liczku. Mogłaby przecie pozostać jeszcze czas jakiś tam gdzie była, uważał Abel, ale rozbiło się wszystko o Edwarda, marynarza. Edward powrócił do domu i wziął ją sobie, był w podróży wiele lat, a otóż powrócił jako dorosły parobek i pojął Brunetkę. Wynikł z tego zresztą mały romansik: przede wszystkim ona taka młoda jeszcze była, prawie dziecko, a po drugie Edward spotkał się z sprzeciwem zarówno swej matki, jak i sióstr wszystkich.

— Co takiego! — rzekł Edward nieskończenie zdumiony. — Że ma taką matkę i żadnego ojca, a mnie co to obchodzi? — objaśniły mu dokumentniej i starały mu się należycie sprawę wyłożyć, ale Edward był majtkiem i zdrowym parobkiem, a i zakochanym, djabła dbał o plotki i wszystko, czego sam nie mógł dojrzeć golem okiem, rzekł. Wkońcu opowiedzieli mu, że i Lidka nie chciała wejść do tej rodziny i wziąć Abła. — Ale powinna była to uczynić! — odparł Edward.

Ani sposób dojść z nim do ładu.

Na ślub przyszły obie rodziny i Abel znów spotkał się z Lidką. Pogawędzili też z sobą cokolwiek. Nie zapytała go wręcz, czy ją już zapomniał, ale, rzekłbyś, oczekiwała jakby objaśnienia, czemu to on nie przyszedł napowrót, jak zapowiedział. Była pokorna i rzewna w swej mowie, ton jej był nabożny. Zdarzało się, że pokaszliwała i kładła rękę na piersi, miał snąć zobaczyć, że ona już nie ta sama, co wprzód, życie brała poważnie i płakała po nocach, a może nawet poprostu spluwała krwią i czem podobnem. Oczywiście, że miała na sobie

nader piękne stroje mimo takiego zrezygnowania, i chwilami oczy jej wilgniały, — a przecie tak młodą była, nie wyparła się chyba całkowicie świata. Naraz wyciągnęła z za piersi coś nader cieniutkiego, co tam widniało, a co Abel uważał za koronkę i ozdobę, lecz była to chusteczka, a nią strzepnęła pył z czubków swych buczków. O, Lidka da sobie radę; ten któryby uśmiechnął się do jej wilgotnych oczu, ujrzałby natychmiast, że te same oczy były już suche i surowe, umiała ona się bronić.

Edward i jego żona nie pozostali w mieście, nie, nie pozostali nawet w kraju, odjechali do Ameryki. Gdy Edward zobaczył, jak rzeczy stoją: że dom pełen jest dorosłych siostr, które siedziały i szyły i były wielkiem państwem, czmychnął. Abel silnie odradzał parze wyjazdu, a to ze względu na siostrę, powiedział do niej, że w takim razie nie zobaczą się już więcej. Jemu samemu było to obojętne, rzekł, ale niesłusznie to względem innych! Wykręt jego się nie udał, siostra pragnęła towarzyszyć swemu mężowi. — Nie myślisz o tem, że zostaniemy okropnie bezradni w izbie, — rzekł zgorzony. O, ten Abel, wyśmiany został przez dom cały, przez wszystkie dorosłe kobiety, które pozostały.

Ale wszystkie te małżeństwa i codzienne wypadki nie miały przecie znaczenia dla miasta i innych ludzi, jedynie dla rodziny Olivera. Dla niej były one wielkie i ważne, może też wszystko skłaniało się ku najlepszemu. Oliver nie mógłby narzekać, w ostatnich czasach nie prześladowano go, i to i owo zachodziło raz po raz, a jemu od tego zła nie przybywało, przeciwnie, jadał codziennie przy dużym stole Abla i od czasu do czasu, po dawnemu, otrzymywał od niego jaki grosz kieszonkowy. Czego więcej mógł sobie życzyć! Krzywo na

niego nie patrzyli, Petra milczała. Zaprawdę, ostatecznie nienajgorszy los dostał się mu w udziale, Oliverowi powróciła nazad otucha i odporność. Wówczas, gdy sam dubeltowy konsul został rażony ciosem, wielki mąż się zwałił i zaniechał wszystkiego. Pocztmistrz doznał pewnej nocy nacisku na swą niedowiedzianą myśl ludzką i od tej chwili stał się niemy i głupi. Stary, szlachetny kowal Karlsen nie zniósł złości, ludzkiej, nie przeniósł, że go podejrzywano o syna, który miał japońskie wizerunki na ciele, zdziecinniał, płakał, mamlął ustami, dziękował Bogu za zło i dobro i wyczekiwał śmierci. Oliver zaś, on był trwalszego gatunku, mniej subtelny i wrażliwy, bardziej beztroski, a zatem bardziej odpowiedni materjał ludzki, on znosił życie. Któż to głębiej od niego dał nurka! Lecz nieco nowego szczęścia, udatna kradzież, pomyślny psikus złodziejski — znów uczyniły zeń zadowolonego człowieka. Czyż więc stał z palmami w dłoniach? Oliver był w świecie, widział palmy, ale nie na to one były, by je trzymać w ręce.

Dni upływają. W domu miał pokój, chłopcy uliczni nie wołali za nim, tylko Olaus na Błoniach go prześladował, kiedy tylko mógł. Oliver czułby się teraz niemal szczęśliwym, lecz Olaus mu tego nie chce życzyć, zapytał kaleki w obecności innych ludzi o pewne świadectwo lekarskie. Oliver powrócił do domu, spalił świadectwo i cisnął na nie przekleństwo. Unikał swego sekutnika, jak mógł, a miał szczęśliwy pomysł przechowywania w kieszeni paczki tytoniu dla niego, gdy go spotka następnym razem. Role zmieniły się całkowicie, Olaus był górą.

— Żal mi ciebie — rzekł Olaus.

— Jak ci ten tytuń smakuje? — zapytał Oliver.
— Może nie jest dość dobry?

Lecz Olaus był samem niemiłosierdziem i spytał: — Czy to prawda, co o tobie powiadają?

Oliver mógłby żałować, że oddał paczkę tytoniu bez nijakiej potrzeby, ale mimo to wspomniał, że nie będzie to ostatnia paczka; zarabiał teraz dobrze w kuźni u Abła i może wesprzeć niekiedy dobrego przyjaciela tytoniem.

Jörgen Rybak nadszedł i posłuchał dalszego ciągu złościwości Olaus'a. Podwójnie bolało Olivera, że ten się właśnie słuchacz nadarzył, wszak pierwej nieraz renomował przed Jörgenem, a prócz tego w familji był z nim teraz. Czy Olaus okazał choć źdźbło delikatności i taktu w swych pytaniach natrętnych? Oczywiście że nie. Ostatnie, co rzekł, było, że naco to Oliver chodzi w ubraniu? Czy nie mogłoby mu być wszystko jedno, gdyby przechadzał się nago po ulicy! Poczem oddalił się Olaus zuchwały i z zadartym czubem.

Pozostawił Olivera w niezwykłej wściekłości. Jörgen Rybak rzekł: — Niema się co oglądać na Olaus'a! — Ale tak, wydawało się jednak, że było się co oglądać na Olaus'a, kaleka miał bestjalski wzrok i stał chwilę, żując szczękami. — Już ja mu to popamiętam! — rzekł i skinął głową.

Na nic to się zdało stać i bajać ze starowiną Jörgenem, Oliver naraz pochromął precz od niego i skręcił w największą ulicę miasteczka. Szczęściem, była to sobota wieczór i Oliver miał na sobie piękne ubranie. Nie wyzbył się jeszcze nadziei. Otóż stanął przed oknem szewca i przyglądał się bucikom damskim. Skinieniem przywołał do siebie kogoś i gadał: owe buciki damskie są tak wysokie, zachodziły tak daleko poza łydki. Oliver stał i mlaskał do bucików i był niczem — ten rozpustnik w swem paplaniu. Nagle wyrostek jakiś

ciska trafnem przewiskiem w Olivera, wślad za niem rozlega się śmiech, Oliver oniemiał. — Tak, obuwie już rychło zbyt drogie będzie dla zwykłych ludzi — mówi ktoś za nim. To Jörgen Rybak zjawia się ponownie, Oliver nabiera z powrotem otuchy, raz jeszcze opowiada o cholewach tych bucików i mlaska, o, lecz jest to tylko słaby odbłask poprzedniej jego gawędy z Jörgenem, djabelby tam pojał. Musiał, snać, ochłonać. W swej desperacji wykrzykuje głośno: — Idę teraz na tańce!

Poczynił przygotowania, kupił wody pachnącej i wylał ją na siebie, tak że już woniał zdaleka, nakupił smakołyków, kupił cienko pokrajanego łożu, którym zamierzał wysypać podłogę w sali tanecznej. Patrząc, on się wybiera na coś, szykuje się na wyprawę piorunową, Boże pociesz mię, na miłostki i na porwanie oblubienicy — z drogi tam! Bóg wie, może był mężny z braku odwagi, życie jego było tak żałośne, że się aż zabawnem stało, przybladł i spotniał, wyjmuje z kieszeni lusterko i trze sobie policzki, pragnie uczynić się nieco urodziwym. Poczem otwiera drzwi sali i wwała się do wnętrza.

Oczy wszystkich, zdawało się, zwróciły się ku niemu: — Oliver — mówią — Oliver, haha! Znajduje sobie ławkę i siada na niej. Taniec idzie dokoła. — Przygarnij ku sobie swą kulę! — ostrzega młody majtek i mija go w walcu. — I czemu to on krzyczy? Ja nie krzychałem na salach balowych za moich czasów — mówi Oliver do najbliższej siedzących. Rychło znaleźli się tacy, którzy go słuchali: — Tak, z ciebie istny ogar być musiał ongiś, Oliverze? — mówią. Oliver waży głową i opowiada o Alkazarze w Hamburgu i o Greenhorn'ie w Nowym Yorku, tańczył ze wszystkimi możliwymi rasami i barwami, wszędzie miał kochanki, wi-

rował z malajkami i chinkami, hinduskami i murzynkami, pewna hinduska była najśliczniejszą dziewczyną, którą całował w swem życiu. —

Oliver błądy jest i spocony, nuży snąć tego gnuśnego człowieka to udawanie podnieconego. Mówią mu: — Tak, tak, teraz już myśleć więcej nie powinien o czemś podobnem! — a on odpowiada, że — dlaczegożby nie? Tak ogniotrwała natura jak jego nie może nigdy ustać, przecie sami widzą! teraz jeszcze chodzi na salę tańców! — Patrzajcie-no, chłopcy, czy chcielibyście pokosztować ekstra fajnych cukierków!

Wyraził swe zdanie o tańcu, że nic to w porównaniu z tem, jak było za jego czasów. Ten dryblas co to tak krzyczał, nie umiał przecie wcale tańcować, nie pięty powinny tańczyć, lecz palce, a damę należało unosić tak, aby nie zziajała się do cna. Ten tu taniec był marny, Oliver miałby ochotę wystąpić naprzód i pokazać, jak należało go wykonać.

Roześmiali się słuchacze.

— Hej! — rzekł Oliver, mógłby doskonale. — Patrzajcie-no na łydki tej tam, o, dobre łydki, zaprawdę, musiałbym ja się tylko do nich dobrać! A później — domyślacie się chyba, jakby to tam poszło! Trululu! Patrzajcie, idźcie a wysypcie-no tym łojem podłogę — rzekł i dał swoją tutkę.

— Łojem? rzekli.

— Łojem! Zawsześmy go mieli z sobą i sypaliśmy, gdy podłoga ciężka była i oporna.

— No, — rzekli i posypali łojem.

Tak, sunęli tedy gładko, muzyka i taniec zwały się w jedno, był to walc unoszony łydkami, podpierany temi słupami wokół podłogi. Zdziwiałające, jak dobrze ten lój poskutkował.

— Ty się znasz na rzeczy, Oliverze — mówiono i pobłażano mu jak można najdłużej, ponieważ był kaleką.

Aj — jakaś para gruchnęła na ziemię. Wszczął się pisk i krzyk. Nowa para stoczyła się na pierwszą i powstał wielki harmider. Co to za święństwo, o które się poślizgnęli? Łój. Skąd się tu wziął? Tancerze przeszli salę, zmierzając ku Oliverowi, okrutnie wymazani łojem i kurzem i wyklinali mu prosto w twarz. Kaleka odpowiedział, że on sam niegdyś tańczył na łoju, oni jego nie mają co uczyć pod tym względem, ani tańca w prawo ani na odsibkę. Tancerze wymagali, aby im zapłacił za suknie, które im poniszczył, nazwali go idjotą i świętuchem i czem się dało. Tedy zaiste, Oliver znów nabrał nieco godności i opowiedział im, kto on zaczął: Oliver Andersen, zarządzał składem konsula Johnseną przeszło pół życia, że powinni wstydzić się i nie zachowywać się podobnie względem lepszych ludzi —

— Fora stąd! — krzyczeli tamci i o, jakże go oni różnemi imionami przezywali i wyliczali, co za resztki człowieka z niego pozostały, pusta skóra od kielbasy, skop. Dobrze, że wylał na siebie pachnącej wody, zgnily był, siedział tu i cuchnął jak obora. Precz!

Ma się rozumieć, że się przygoda jego dostała do ust ludzkich i że zgorszył kobiety u studni. Pojąć nie mogły, że tak podupadły nieborak nie staje się raczej nabożnym i nie chodzi do kościoła; dla kogoby innego były kościoły! Ale zadziwiające, i tym razem Oliver nie potrzebował w domu zdawać sprawy ze swego zachowania. Rzekłbyś, Petra całkiem ręką nań machnęła. Prawda, że wypełnił izbę swem okropnem pachnidłem, gdy powrócił do domu, a Petra bez wątpienia na początek nieco się zachnęła, lecz do walki nie doszło.

O, wyższa Opatrzność znów się w to wdała; wieść nadeszła, że filolog Franek, syn domu, został czasowo powołany na dyrektora wielkiej szkoły miasteczka.

— Wy mnie niczego nie nauczycie, odpowiedział. I po owem małym uznaniu, które mu wyrażono, znów wykrzyknął: Hej! i buńczuczył się; zdawało się, że zaraz zaintonuje hymn zmartwychwstania. — Ach ty, radosny wieczorze! Spójrzycie no na tę dziewczkę, na jej wielgachne piersi, idźcie i powiedźcie jej, że chciałbym z nią pomówić.

Dziewczyna przyszła, Oliver wyciągnął ku niej cukierki i był światowcem aż po czubki palców:—Bardzo proszę, panienko, posilić się cokolwiek! Dziewczyna śmiała się, wyjęła nieco z tutki i zwiąła. Inna przyszła, kilka ich przyszło, Oliver rozdzielał cukierki i mówił błady i ociekający potem, jaką to on chęć ma na nie. — Ty? pytały i chichotały i w głos się z niego śmiały. A tak, właśnie że miał, okropną chęć. To i co, że on kulawy? Był przecie mimo to równie dobry! Powinnyby one tylko zobaczyć, jak się to go pielęgniarzka w Italji czepiała i chciała wyjść za niego! — Spokoju świętego człek nie miał od jej całusów i poklepywań.

Taniec szedł znów dokoła. Oliver wygląda znużenie, lecz wystukuje takt że aż dudni, jak gdyby niedość to uwagi zwracało, przesadzał, kołatał także kulą do taktu. Ale otóż począł złościć tego i owego chłopca zarówno stukiem w ziemię, jak i tem, że bałamucił damy swem lekkomyślnem gadaniem i swemi cukierkami. Przestrzeżono go, aby siedział cicho i nie hałasował tyle, ale nie pomogło, tylko bardziej jeszcze stawał się swywołnym. Tak, zaprawdę, on się dziś wybrał na potężną zabawę, już to prawda, że on — niczem kogut na dziewczęta, i na nicby się nie przydało skrywać

prawdy, gdyby kto o to zapytał, bo o tem i tak wszyscy już wiedzieli. — Bardzo proszę, panienko, znów się trochę posilić —

W owej chwili nikt przecie nie przyszedł i nie powiedział Oliverowi, że z niego człowiek bezdziejny. Dzieci jego były jeno jego czystą fikcją, owszem, lecz on je posiadał, w ciągu całego ich dzieciństwa i rozwoju on był czemś dla nich, on i oni znali się wzajemnie, nazywali go ojcem między sobą i w rozmowach z innymi. Otóż powracał teraz Franek do domu, do miasta rodzinnego, dorosły i uczony. Oliver wezbrał dumą. Petra i babka i nadal wołałyby go widzieć księdzem, ale na to już rady niema. Oliver rzekł z godnością: — Co za syn!

XXXII.

Wmieście powiewają chorągwie tam i sam u Gryn-Olsenów, u dubeltowego konsulostwa, tak, u wszystkich konsulów i u Henryksena na Dokach. Jest to na cześć Szeldrupa Johnsen a panny Olsen, którzy byli w Krystjanji, tam wzięli ślub i dziś mieli powrócić, jako para małżonków. Statek pasażerski już widnieje zdaleka, gdy jeszcze jedną flagę hisują do góry — to na brzegu konsula Heiberga, który gdzieś w kącie przystani tran ładuje.

Już wiele osób zebrało się na wybrzeżu, a coraz więcej przybywa. Z konsulów nie stawił się tylko Dawidsen, ów przebiegły kramarz, który zawsze trzyma się zdaleka od wielkich. Soltysa i doktora też niema, lecz Franek, ów młody dyrektor szkoły, zjawił się także. Niedawno ożenił się z Konstancją Henryksen na Dokach, lecz żony niema tu z mężem. Franek nie należy do najniższych na wybrzeżu, ma on wyższość filologiczną nad całem miastem, całem miastem nadmorskiem, wielki to mąż, uczony aż do przesady w obcych gramatykach i językach w zakresie szkolnym. Stoi dobrze na uboczu pod górą beczek z tranem, które należy władować na bryg; ponieważ nosi na sobie nowy surdut, w którym brał ślub, nie może zanadto zbliżyć się do beczek, a z drugiej strony mają mu one

służyć jako schronisko na tem przewiewnem wybrzeżu. Wrażliwy jest na przeciąg. Ojciec jego stoi na drugim końcu wybrzeża i nie przeciska się do syna. Oliver umie zachować się należycie.

Oliver znów znajduje się w okresie wielkiego rozkwitu. Nie ma już wysokiego stanowiska w składzie towaru, ale pracuje jak dzień długi w kuźni wraz z Ablem, niekiedy piłuje żelazo, rzadko kiedy wypływa też na morze i łowi szczupaki morskie w zatoce. — Mój syn, majster kowalski, — mówi, — mój syn, dyrektor szkoły, — mówi — Opiera się o swych synów i korzysta dobrze z ich godności.

Dobrze mu i jest zadowolony, jeśli go teraz los w spokoju zostawi, to on skarżyć się nie będzie. Samo przez się wypływa, że chłopcy nie wołają na ulicy za ojcem samego dyrektora szkoły, i ma się rozumieć, że już Oliver nie chadza więcej na salę tańców i nie robi skandalu. Pozostał tylko Olaus na Błoniach, któregooby obawiać się należało, a nawet i on, zdało się, poniechał wrogich uczuć. O zaiste, dzień po dniu mija powoli. Oliver nie jest też najpośledniejszym na wybrzeżu, wielu tam mniejszych od niego. Wszyscy ci poczciwcy tutaj — czem są? Powszednie osobistości, wielkości małomiasteczkowe i nudne figury w krochmalnej bieliźnie. Oliver zaś był czemś osobliwym. W tem miejscu, gdzie wszyscy niemal równi sobie byli, należało go uważać jako coś samego w sobie. Ofiara feralnych sił życia, i owszem, przeżuty i wypluty, porzucony na wybrzeżu, ale z nieśmiertelnym pędem do życia w sobie. Gazeta miejska mogła znów sobie drukować swój program i wzywać do pożytecznych praktyk religijnych, jak czyniono w innych miastach, parafjanom potrzebne to było i czasy skłaniały do tego, słowem

należało rozpocząć od końca. Oliver — on nic już nie rozpoczynał więcej, nie jego to rzecz rozpocząć cokolwiek. Stał, gdzie został posadzony, myśl ludzka go nie zdruzgotała, kobiety u studni go nie nawracały. Naturalnie, że życie, Bóg i opatrność były djabło niebotycznymi zagadnieniami i potężnie potrzebnymi zagadnieniami, lecz rozwiązywali je ludzie, którzy uczyli się byli pisać i czytać, — coby tam miał Oliver do czynienia? Jeśliby mózg, jak jego, zabrał się do badania, dostałby tylko zawrotu głowy, i Oliver nie byłby mógł wtedy ustać przy swej robocie, cieszyć się jedzeniem i cukierkami, nie nadawałby się do tego, czem był obecnie. Niech sobie inni będą czem więcej, niż są!

Tak, on się czuje zadowolony, widać to z jego miny. Stoi nie mniej butnie na swej drewnianej nodze i zdaje się, jakoby otrzymał potężnych opiekunów, o których się może wesprzeć plecami, o ileby ich tylko chciał do tego zużyć. I ludzie nagle znów go poważają: on jest ojcem dyrektora szkoły, myśleli ludziska...

Statek pasażerski przybija. Przy burcie stoją obojenowożeńcy w otoczeniu swej rodziny, kapelusze wznoszą się w milczeniu na statku i na lądzie, panna Fia nie obawia się, że będzie raziła w oczy silną czerwienią, którą ma na sobie, purpurą; otóż poczęła ona interesować się maleńkimi pieskami i trzyma teraz na ramieniu małe, kudłate, śnieżnobiałe stworzonko ze spadającą na szyję grzywą i błękitną wstążeczką na szyi. Elegancka jak zawsze, mówi przytłumionym głosem, dama i hrabianka bez skazy; gdyby posiadała życzenie jakie — to chyba to, aby być zdrową i wytrzymałą w życiu, aby wolno jej było długie lata jeszcze uprawiać swą sztukę i ilustrować bajki indyjskie. A że jest dobrze

wychowana i nieszkodliwa, zapewne nakłoni się życie do jej woli.

Matka jej, pani Johnsenowa, opamiętała się i nie gnębi się troskami więcej. Równie żółta jest na twarzy jak i dawniej, ale znów sobie sprawiła wielki kapelusz. Wieść krążyła, że cała ta sprawa ze statkiem F i a i bankructwem była zmyślona, że pani Olsen była trzy tygodnie biedna z urojenia i że potem znów się wzbogaciła, jak poprzednio. Gruba i rozłożysta stoi przy galeryjce obok swej córki. Ona to początkowo przyczyniła się swym posagiem do wielkości C..A. Johnsen w Przystani, uczciwie zasłużyła na duży kapelusz, to też trzyma się dobrze na uboczu od Gryn-Olsenów, jak gdyby powiedzieć chciała: — Owszem, spowinowaceni jesteśmy, lecz nie obcujemy wiele z nimi! Sromotnego to figla przypadek im wypadł, że mąż jej głowę stracił i odprzedał posiadłość tej rodzinie. Naco takim ludziom posiadłość? Od czasu, jak ją kupili, raz jedyny w niej byli, a nie jeździli do niej końmi i powozem, nie, szli pieszo, zarówno konsul Olsen, jak i jego małżonka. Widać, dość im było tej wycieczki pieszej, bo w Krystjanji podarowali posiadłość nowożeńcom, był to ich podarek ślubny. Naco więc ludziom posiadłość, skoro jej używać nie umieli!

Ale otóż i nadchodzi sam Johnsen, dubeltowy konsul, jedyny z towarzystwa w cylindrze. Na ramieniu nosi pled i nadbiega śpiesznie — może wstrzymały go nieco rozrachunki, albo może zabawił się cokolwiek z posługaczką. Djabelby tam dał wiarę, dubeltowy konsul jest wielkim człowiekiem i dyryguje wielu sprawami, posiada on liczne filje. Zwalona wieżyca, on? Odbudowana wieża. Znów jest podobny do miliona, czy do innego zaokrąglenia; w Krystjanji miał order

Dannebrog na piersi. Czyżby doprawdy było coś zmyślonego w F i i i asekuracji i ku czemu by to zmierzało? Konsul Johnsen w każdym razie znów przeżył lepsze dni, nie wypoczywa więcej, widać znów ma coś do powiedzenia w sprawach własnych i innych ludzi. Człowiek ten ongiś w okresie refleksji udał się do starego pocztmistrza, by tam znaleźć spokój; później kiedyś i w daleko gorszych opalach poszedł boczną drogą do starego kowala Karlsena w tymże samym celu, nikt więc po tem nie może powiedzieć, że z niego człowiek obojętny, on odbył swój kurs nabożności; ale to mu nie pomogło. A po upływie pewnego czasu wykręcił się z opresji i nie potrzebował więcej pomocy. I poco mu ona? Gdy myślał o pocztmistrzu i jego skromności, mógł się znów uśmiechać. Pocztmistrz szukał i szukał pokoju, znalazł małą gwiazdkę i szedł w świetle bijącym od niej, ale nie było to światło silne. nie słońce i jasny dzień, jeno odrobinka światła do rozróżnienia przy niem przedmiotów. Samo umiarkowanie! Konsul Johnsen nie szukał, zbyt wielka to subjekcja, on tylko chciałby zapytać, gdzie na rynku znaleźć można spokój. Stoi teraz oto na statku i znów beztroski jest i górą, hoho, rzekłbyś, przetrzyma jeszcze dwa lub trzy niszczące bankructwa. A to ci szatan z tego dubeltowego konsula, w ten czy w inny sposób musiał snać ukrócić swego wścibskiego syna i położyć mu tamę; „my“ mówi on o interesie, „moi subjekci“ mówi. Szybko też nastąpiła zmiana w postępowaniu ludzi względem niego, znów spoglądają na niego z podziwem i nie omijają go w przejściu. W gruncie rzeczy zgoła nie o syna, lecz o ojca ludzie dbali wszystkie dni swego żywota, tylko jego lubili. On posiada wszystkie ich przymioty, jest pospolitym, jak i oni, dobrodusznym człowiekiem bez powagi i stateczności, lecz numerem

pierwszym z tuzina, wielki to dostojnik miasteczka, okrągły i bogaty, rychło pewnie będzie miał nową Fię —

Konsul Johnsen jest też jedynym, który głośno przesyła ukłon na brzeg. Może sobie na to pozwolić, bo on jest tym, kim jest. — Czy nie widzisz tam kogo, ktoby mógł ponieść nasze rzeczy? — mówi do Szeldrupa i w tej-że chwili znów sobie odchodzi. Może zapomniał czegoś w kajucie, albo też chciałby pożegnać się z kimś po raz ostatni. Djabełby mu dowierzał.

Wreszcie i Olaus na Błoniach przychodzi na wybrzeże, a idzie, niczem chwat. Czyżby zasnął dzisiaj, czy też siedział i grał w karty do ostatniej chwili? Bierze kładkę i ciska ją na statek, że aż się rozlega, koń, który ma zawieźć nowożeńców na posiadłość, pomyka w bok. Olaus nie kłopoce się o to, wita majtka przy mostku spustowym kilku dosadnemi wyrazami: — No, chwytaj kładkę i nie stój tam, jak wesz bezkostna!

Olaus powraca właśnie z kilkudniowej bumlerki i nie cofa się przed okazaniem swojej ważności. Bumlerka Olaus na Błoniach różniła się wielce od zwykłej komunji z winem w kościele, pił, ile mógł zmieścić. Przyszedł oto na wybrzeże pijany i wspaniały, o, błogi zawadjaka, wyprostowany, ćmiący fajkę, może głodny, lecz nieugięty i silny. Do ludzi używał mowy górnej, mowy świadomej siebie, grubijańską miał gębę i pełno „rr“ w krtani. Co mówił? Słowa jego były zrozumiałe, nie błąkały się ani na prawo ani na lewo. Udawał, jakoby nie dostrzegł Szeldrupa Johnsen na statku i wyraził się o nim: — No, więc masz powieźć Szeldrupa na posiadłość? — zawołał do stangreta. — Niczego sobie nicpoń! Zapytaj no go, jak to tam było z asekuracją F i i. Czyście słyszeli? Szeldrup, ten cwaniak,

sam zaasekurował statek i wsunął pieniądze do własnej kieszeni.

Wszyscy na wybrzeżu stali, przysłuchując się. Nie były to bagatele, Olaus może nawet wcale nie łął, w każdym razie dał wyraz coraz więcej i więcej krążącej wieści. To co tu mówiono o Szeldrupie, żadną miarą nie było nie do wiary, wszak on to właściwie stale dysponował statkiem, na czym się ojciec zgoła nie znał, czy nie mógł więc Szeldrup zapłacić i premji także? Byłby w stanie to uczynić. Tem możnaby też sobie jednocześnie wytłumaczyć, że Szeldrup powrócił do domu, siadł w kantorze na krzesło ojca i wypisywał kredytorem czek za czekiem. Taby też wreszcie wytłumaczyło, że ojciec odebrał napowrót swe krzesło, gdy sprawa wyszła na jaw dnia pewnego. O, może to dlatego konsul Johnsen zapłonął nanowo, stał się ruchliwym, ukrócił swego nowoczesnego syna i ujął z powrotem tyle ile chciał z kierownictwa interesem. Nic tak nie podnieca ludzi, jak zwycięstwo.

Nowożeńcy schodzą na ląd z pełnemi naręczami kwiatów, wsiadają do powozu i odjeżdżają, kłaniając się, jadą na życie małżeńskie i miesiąc miodowy. Olaus milczy jako tako. Ludzie z orszaku jeden po drugim opuszczają statek, więc się tu Olausowi chyba przykrzy, porzuca swe miejsce przy kładce i idzie na przedni kasztel, aby przyjrzeć się towarom. Kilka skrzyń wyładowuje się na brzeg. Olaus nie skąpi jeszcze parę docinków, jest, jak zazwyczaj, właściwie bez złości, ale zuchowaty i nieodpowiedzialny, sili się tylko na to, aby zadziwić obecnych i doprowadzić ich do śmiechu.

A tu w kącie stoi Franek, nowy dyrektor szkoły, chudy i biegły w językach. Olaus mówi do niego: — Nie stójże tu i nie zaświniaj beczek z tranem! — woła.

Że tym razem udaje mu się być psem dowcipnym, chociaż wszyscy ludzie. Oliver usłyszał to pokrzykiwanie na syna, ów głęboki brak respektu i przystępuje kilka susów bliżej, jak gdyby pragnął się wtrącić. Patrzy się znów swym przebiegłym wzrokiem i zdaje się, jakoby żywił teraz pewne uczucia dla Olausu.

Lecz i Olausu podżega zwycięstwo, więc ciągnie dalej: — Ty tu stoisz pośrodku mego lokalu, może o tem nie wiesz? Tak, w tym kącie leży Olaus na Błoniach, i ja pod brezentem. Może chcesz przyjść wieczorem do mnie, to i ciebie tam whisuję.

A zatem jeszcze więcej nieuszanowania.

Franek zakłada ręce na plecy, aby okazać się obojętnym i zwolna odchodzi wzdłuż wybrzeża. On odpowiada tylko wtedy, gdy ma nauczać, ale on nie naucza nikogo na wybrzeżu.

Olaus nie odczepia się od niego, śmieje się za nim i mówi: — A tak, wierzaj mi, że cię poważam! — Dostrzega naraz ojca jego, Olivera, i woła ku niemu, opowiada mu, że oto syn idzie, syn Petry i księżyca. Oliver słyszy to, stoi i patrzy w ziemię. Zresztą Olaus uznaje Petrę, chwali Petrę, znał ją, kiedy jeszcze dziewczyniątkiem była, zawsze piękna, mówi, nazbyt dobra, aby popaść w nieszczęście. Więc wyszła zamąż za Olivera i stała się tak jakby wdowa wieczna: — Niech cię Bóg ma w swej opiece, Oliverze, ciebie i do gęby wziąć nie można. Żal mi cię, nieboraku, tobie siedzieć tylko, jak ta baba, i nawlekać igły. Petra natomiast —

Olaus dostrzega doktora na wybrzeżu i w podchmieleniu zaraz i doktora wciąga do swojej paplany, nie oszczędzał nikogo: — Petra to nie tak, jak doktorowa, co to nie chciała mieć dzieci, nie, dostać ich w domu nie mogła, to poszła na miasto i dostała. —

Tak też być powinno, i wszystko mu jedno, co o tem mówią w domu modlitwy. — Bo może to tak ma nastać, żeby kobiety nie miały rodzić dzieci? Do djabła! Mają może robić, jak doktorowa, beczeć i stękać, dopóki się ich nie pozbędą? Ady niech płacze i tak i siak, a ty je utop na dnie morza, na nic lepszego nie zasłużyła! Przecie tak to było, doktorze, — wołał w swej swawoli, — żeś musiał chodzić z gałgankiem i wycierać łzy jej z podłogi? A tak, zakręcasz teraz i nie chcesz dośłuchać reszty. Ale powiem ci jedno jeszcze, nim odejdiesz, że te kobiety, które nie dają z siebie życia i krwi, powinny pójść i zagrzebać się same, ot co powinny —
— Chwytaj mostek! — ostrzega kapitan.

Olaus wznosi kładkę niepotrzebnie wysoko do góry, zniża ją cokolwiek i puszcza na ziemię. Przystań drzy. Statek odbija.

O, lecz po raz to ostatni dzisiaj Olaus na Błoniach bajdurzył na wybrzeżu chelpił się swą siłą, — zamilkł tejże nocy: becзки tranu Heiberga zwały się na ten brezent, pod którym leżał i przygniotły mu klatkę piersiową. Żalony miał koniec, ale nie mógł chyba oczekiwać lepszego. Wiele dałoby się powiedzieć przeciw Olausowi na Błoniach, ale może i on był pokrzywdzony przez los, koń zajeżdżony podczas tresowania. Ludzie na brzegu słyszeli wprawdzie hałas w nocy, lecz rychło wszystko ucichło, więc spali dalej. Skoro dzień zaświtał, znaleźli Olausą. Był nieco więcej płaski niż zazwyczaj i nosił ślady krwi w nosie i w ustach, lecz nie leżał z gębą rozwartą, zęby jego były zaciśnięte. Poza tem wyglądał jakby się lenił czy spał, kamiennym snem, oczywiście, lecz bez drwiny i niechęci w twarzy, zdawał się mówić: — Nie budźcie mnie pierwej, aż przybędziemy!

Nieszczęście wnet rozeszło się po mieście i dotarło też do Olivera. Dziwnym trafem Oliver wyszedł sobie troszkę nocą i słyszał w całej niewinności łomot beczek na wybrzeżu, ale nie sądził, by mogło to mieć jakie znaczenie. Oliver nie życzył takiego końca dobremu towarzyszowi, rzekł, z gruntu i duszy dobremu człowiekowi, rzekł. Pięknie to niemal było słuchać jego mowy o tym biedaku, który nie umiał nawet igły nawlec, ale pochodziło to współczucie pewnie stąd, że Oliver sam miał subtelne i interesujące doświadczenie, wiedział, co to jest nieszczęście i to właśnie wkładało mu słowa w usta — —

Znów więc stali ludzie wobec zagadnień życia, losu i Boga, a niektórzy rozprawiali o nich z talentem. Raz jeszcze można się było przekonać, jak wątłą linią jest życie, a my tańczymy po niej! Olaus już zamilkł, lecz inni gwarzyli. A zresztą Olaus na Błoniach zbyt był marną osobą, aby śmierć jego mogła wywołać w ludziach jakieś stałe refleksje, męczono się spozieraniem bez przestanku w wylot lufy, tańczono znowu. O, ta nauczycielka tańców nie przestawała przyjeżdżać do miasta i podtrzymywać ognia próżności i grzechu! Rzekłbyś, popychało ją ku temu wewnętrzne powołanie. Niekiedy źle się jej działo, lecz znosiła wszystko, czegoż to się nie czyni dla sztuki na deskach! Gdy niedawno temu zatonąła Fia i miasto przycichło, nie dostała żadnych uczniów i odjechała tym razem tak chuda jak przybyła, lecz teraz, gdy powróciła nazad, podwójnie za to napływali uczniowie. Tacy to już są ludzie, przyziemni i niezmienni. I tacy to są ludzie, tak, że tańczą jednako obojętnie, czy śmierć naprawdę odwieździ ich tej nocy, czy też minie ich — tym razem.

Niektórzy niecierpliwi pragną wmieszać się w spra-

wy opatrności i czynić reformy, planują, by utworzyć ziemię bardzo różną od naszej, układają programy, rugują wszelką nikczemność. Nie czynią tego ze swawoli, nie pieją pod niebiosa, nie, lecz przebijają się naprzód prośbami i grzecznością, stoją, obracają kartki nut i szepcą pieszczotliwie. Ale życie nie gra według nut ludzkich.

Któż to uczciwiej od starego pocztmistrza zasłużył na to, by programowi jego przyznano słuszność, a kto doznał gorszego zawodu? Wprawdzie, racja pewna, grabież poczty zbawiła go przez to, że został idjotą na resztę swego życia, lecz, jako idjota, nie odczuwał może zawar- tego w tem błogosławieństwa. Lub jakże, był może i nadal zadowolony, chociaż na innej podstawie? czyżby czuł, czyżby wglądał głębiej niż inni? Zdawał się prze- bywać w innym świecie, stanowić jedność z wiatrem i gwiazdami, część wszechbytu, płynął wraz z nim. Jadło? Owszem, jadło spożywał również, lecz jakże obojętnem mu było, z czego się ono składało, i czy je wogóle dostawał! Cień, strzyga w sukniach, umrzyk, jedyne tylko to, że dostrzegał światło i mrugał oczami, wdychał i wydychał, kiedy się zaziębiał — kichał. Ale zresztą do niczego innego się nie nadawał. Czyżby z tego powodu był najnieszczęśliwszem stworzeniem w mieście? Nie mówił o tem, skończyło się jego gadanie. Ludzie, którzy go widzieli, uważali, że był spokojny i zrezy- gnowany, miał wygląd szczerzy i naturalny, jak gdyby chciał powiedzieć: nie siedzę tu przecież jako idjota bez powodu, mam swoje przyczyny ku temu, zna- lazłem sobie odpowiednie miejsce.

I wypadki idą swym tokiem. Być może, miał pocztmistrz rację, utrzymując, że życiem rządzi wielki i sprawiedliwy mózg gdzieś poza bytem. Inni też

jeszcze w mieście skłaniali się, zaiste, do tej wiary. Jakżeby inaczej mogli oni wytłumaczyć sobie, że w gruncie rzeczy sprawy powróciły znów do porządku? Na przykład: doki w ruch puszczono. Inne jeszcze radosne zaszły sprawy, ale że doki ponownie wszczęły swą działalność, było niczem innym, jeno szczęściem dla miasta. Kacper dostał znów robotę, wszyscy robotnicy mają znów zarobek. Sam Henryksen nie wzbogacił się chyba od jednego zamachu, lecz otrzymał pomoc bogatą, okazało się, że dubeltowy konsul Johnsen raz jeszcze umiał czynić dobro, gdy zasiadł w swem krześle i wziął na nowo ster w swoje ręce.

A więc idzie, wszystko idzie, a niejedno idzie nawet dobrze. Co jest właściwie najlepsze, tego nie wiemy. Wznoszenie się w górę i spadanie na dół — to przecie części całości, wszystko należy do niej. Świeca pali się spokojnie w lichtarzu, drzwi się otwierają i świeca gaśnie. Czyja w tem wina? I jaka wina?

Bądźmy cierpliwi, jak drzewa w lesie, mówi kowal Karlsen. On to bierze na swój sposób, jest nieinteligentny, dlatego też nie mówi nic wielkiego, lecz trudni się dziękczynieniem Bogu za każdy miniony dzień. W ostatnich czasach, rzekłbyś, nie miał on już nawet więcej rozumu ani do swego dawnego rzemiosła, ani do spraw codziennych. Stoją naprzykład w kuźni i rozmawiają o śmierci Olausu na Błoniach i innych sprawach, a kowal Karlsen opowiada o tem, jak to on niegdyś nie mógł zdobyć węgla. Zbrakło mu węgla i musiał na dni kilka zamknąć kuźnię, mówił, węgla w mieście nie można było dostać, nikt nie miał węgla. Wiele dni nie trwało, a węgiel nadszedł, Bogu dzięki, lecz z pewnością trwałoby to daleko dłużej, gdybym ja tylko sam potrzebował węgla.

— Czemu to? — pyta Oliver.

— Daleko dłużej — odpowiada kowal zcicha. — Bo ja na co lepszego nie zasłużyłem. Dzięki innemu tylko i mnie pomoc nadeszła.

Wywalczył więc sobie, widać, coś w rodzaju poznania mędrców, łagodny był i pokorny, może też nieco głupi, jak to u wielu mędrców bywa.

— No i jakże idzie? — pyta Abła.

— Dobrze idzie.

— Czy ten czeladnik twój sprawia się dobrze ze swą robotą? — pyta żartobliwie i wskazuje na młot maszynowy. — Tak, niech Bóg błogosławi i ciebie i młot! — mówi Karlsen. — No, więc idzie wam dobrze! — mówi.

Zabiera się do zaglądania pod ławę przy oknie. Abel pyta go, czy nie szuka czego i chce mu w tem pomóc. Nie, niczego nie szuka, nic to takiego. Lecz wreszcie znajduje, o, widział on to bez przestanku, lecz teraz udaje, jakgdyby to drobnostka była, którą niegdyś odrzucił: jest to skrzynka z rozmaitemi torebkami, z woreczkami.

— Co to takiego? — pyta Abel.

— Aha, co to takiego? To tylko w drodze leży.

— Czy mam to spalić w piecu?

Majster puszcza pytanie mimo uszu i mówi: — To tylko kilka małych woreczków, każdy z nich miał swój, to są rzeczy, które oni wyrzynali. A tak, był czas, kiedy strugali okropnie wiele, ma się rozumieć, że wychodziły im po większej części z pod ręki tylko deszczułki, ale czasem to i czółno, czasem to i toporki, a czasem i ludzie wychodzili z deszczulek. Chowaliśmy je po maleńku wszystkie, a oni okrutnie dokładnie przestrzegali tego, aby każdy z nich miał swój woreczek. Nigdy.

nic podobnego nie widział, żeby to się tu jeszcze wałęsało! Muszę to wydobyć i oczywiście rzucić do pieca —

Abel ofiaruje mu swą pomoc, lecz majster chce zanieść sam drogocenne woreczki.

Więc Abel wraca dalej do roboty. Jakiś człowiek wchodzi i pragnie, by mu okuto nowe koła u taczki; promownikowi przetarł się łańcuch żelazny i chce, by mu go spojono na poczekaniu. Abel spaja. Do swego ojca mówi: — Kiedy będziesz miał czas, to oczyść, proszę cię, cokolwiek te okucia? — Taki tu panuje ton, miła pogawędka — teraz jak i zawsze — żadnego komenderowania. I ojciec nie ma chyba wrażenia, że stoi tu tylko i jest zbyteczny, lecz przeciwnie, że potrzebny jest do tego i owego, odpowiada synowi: — Już ja się postaram znaleźć czas na to!

Więc czyści Oliver okucia, aż się błyszczą, a są to ucha i narożniki do skrzyni. Skrzynia ma iść na wieś, gdzie ludzie dotąd jeszcze pragną mieć solidną robotę kowalską u swych statków drewnianych. I dzień przechodzi w kuźni, przechodzi na robocie i gawędzie między ojcem i synem. Rankiem zajrzał dziś Modraczek do kuźni w przejściu do kupca, więc było ich troje do rozmowy. Ponieważ Modraczek ma jasną sukienkę na sobie, Abel powstaje z kupy węgla, aby ona na czemś usiąść mogła; poczem utrzymuje, że ona ma plamę na czole i kładzie jej swój sadzami uczerniony palec akurat na to miejsce. Tedy musi znów ojciec wydobyć lusterko z kieszeni.

Dobrze im z sobą, żaden drugiemu w drodze nie stoi, gdy Modraczek odchodzi — pozostawia brak za sobą.

Wieczorem chce się Oliver wybrać na ryby, począł mżyć deszczyk, więc pogoda śliczna do połowu. Abel

umawia się z góry i kupuje od niego rybę: — Kiedy wysiądziesz na ląd, zawieś porządny sznurek ryb na drzwiach kuchennych inżyniera. Ile to chcesz za cały sznurek?

— Nic nie chcę za niego — odpowiada ojciec.

— Nie, nie, ty lepiej zapukaj do drzwi i wymagaj porządnej zapłaty od samego inżyniera — żartuje Abel, Ale ja o tem nic wiedzieć nie chcę. Tu masz dwie korony, więcej nie powąchasz!

Oliver wypływa na morze i nie długo na niem pozostaje, po paru godzinach rozchmurza się i do-bija do brzegu. Pięknie nanizal rybę na sznurek i chroma z nią do miasta. Bardzo być może, iż Abel wie, dokąd się ojciec udaje. Mija inżyniera i idzie prosto do wielkiej kamienicy z kolumnami: krew gęściejsza od wody, Oliver idzie do swego syna, dyrektora szkoły, i zatrzymuje się przed drzwiami kuchennymi. Tutaj pięknie pucuje swój but śliną, a staje on się na jedną chwilę nieprawdopodobnie nowy i błyszczący, noga zaś drewniana nie wymaga przecie czyszczenia. Tedy puka Oliver.

Dziewczyna jest w kuchni, pani przychodzi — Konstancja na Dokach, gruba i ciężarna. Oliver ma takt i zachowanie, zdjął kapelusz i otóż podaje rybę. Dziewczyna ją odbiera. Pani nie jest dumna, osobiście dziękuje za podarek, zna swego teścia, lecz nie proponuje mu krzesła. — Pomyśleć, gdybyśmy tak byli dostali tę rybę na obiad! — mówi, aby coś powiedzieć. Oliver silnie się puszy, akurat jakby sam pochodził z lepszych ludzi i odpowiada że — Tak, proszę pani, o ile w jego marnych siłach stać będzie, postara się przyjść następnym razem bardziej w porę. — Nie, mówi pani, niech nie przychodzi więcej z rybą, ona nie życzy sobie tego, przecie on

kulawy i tak jedno z drugim. Oliver gwizdże na taką mowę, gwizdże bardzo nieznacznie, oczywiście, lecz jednocześnie ręką wywija, że prawie wcale kulawym nie jest, on już z pewnością przyjdzie. — Słyszysz przecie, że sobie tego nie życzę, — mówi pani, — i pewna jestem, że i mąż mój też tego nie pragnie, — mówi. Lecz Oliver nic nie pojmuje i obstaje przy swoim. Wtedy pani innej rady nie ma, jeno pyta dziewczyny o tę czy inną obojętną rzecz, a gdy na nią odpowiedź otrzymała, odwraca się i idzie sobie. Oliver próbuje pogawędzić tymczasem z dziewczyną, pani poszła może po coś dla niego, po jakieś ciastko, małą pamiątkę, przykro to znikać, gdy jej tu niema. Ale nawet i dziewczyna skąpa na słowa. Oliver poznaje ją: to ta z sali tańców, ta z wielką piersią, on jej dał wówczas cukierków. Ma się rozumieć, że nie wspomina teraz o swym uciesznym wieczorze, nie, Oliver zachowuje się tu w domu, jak chłopiec stateczny, mówi, że ładna tu kuchnia, śliczna kuchenka. — O, tak — odpowiada dziewczyna. — Czy dyrektor szkoły w domu? — pyta Oliver. — Tak w domu. — Co robi, czyta pewnie? — Tego dziewczyna nie wie i dalej pracuje przy swem zajęciu. Oliver stoi chwilę, pani nie wraca. Tedy mówi dobranoc i odchodzi.

Nic się złego nie dzieje, wszystko jest jak należy. Oliver czuje tylko odrobinę ulgi, bo się pozbył sznurka ryb. Nie zachodzi w głowę. Gdyby kto przyszedł i ofiarował mu śmierć, nie przyjąłby jej, gdzież tam, życie jest niezgorsze, uważa Oliver. Nie wszystkim tak się dobrze dzieje jak jemu, ma dach nad głową, chleb codzienny, dwukoronówkę w kieszeni, żonę i dzieci! — i jakie dzieci! On jest trwałym materiałem ludzkim.

Chroma w stronę domu. Jest nieco inwalidą, trochę niedoskonały ciałem, lecz co jest doskonałe!

Życie miasteczka ucieleśnia się w nim: pełza, lecz kwapi się mimo to. Rozpoczyna się wczesnym rankiem i trwa do wieczora, wtedy kładą się ludziska. A niektórzy kładą się pod brezent.

Wielkie i drobne zdarzenia, to ząb z ust wyleci, to człowiek z szeregów, to wróbel spadnie na ziemię.

KONIEC.





WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ

LWÓW

ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6 || ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15

PROSPEKT

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nieznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON SYNNOVE SOLBAKKEN —
[MARSZ WESEŁNY
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIAJĄCE SERCE — POWIEŚĆ
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-
[GNARDA
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-
[SZY — ZELĄKANE PTAKI
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI
[BENGALU.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.
„ XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

- Tom XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA —
POWIEŚĆ.
- „ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS
POETYCZNY.
- „ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON — TOMASZ RENDALEN —
POWIEŚĆ.
- „ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I.
ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.
- „ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS —
POWIEŚĆ.
- „ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II.
LATO — POWIEŚĆ.
- „ XXVIII. PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI — NOWELE
WŁOSKIE.
- „ XXIX. SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.
- „ XXX. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PEKNIĘTY DZWON.
- „ XXXI. GERHARD HAUPTMANN — GLUPIEC — POWIEŚĆ.
- „ XXXII. MAURZYCY MAETERLINCK — GOŚĆ NIEZNANY.
- „ XXXIII. KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK —
POWIEŚĆ.
- „ XXXIV. MAURZYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZE-
ZNACZENIE.
- „ XXXV. KNUT HAMSUN — KOBIETY U STUDNI. POWIEŚĆ.

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

- ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — POWIEŚĆ.
 RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE.
 JACINTO BENAVENTE — ŹLE KOCHANA.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi
w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje
od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie
takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.



So. 12. -

e

S-96

5.6

36.383

2

35702

20.17.58

40-

✓

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Politechniki Krakowskiej

I 40659

PL. Zam. 1200/73 - 100000 egz.

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000297718